

MIĘDZYNARODOWY **BESTSELLER** SPRZEDANY DO PONAD 30 KRAJÓW!

SAMUEL BJØRK

*Strzeż się,  
JO NESBØ!  
Masz konkurenta!*

# SEZON NIEWINNYCH

Misternie skonstruowany, wyrafinowany thriller  
nominowany do **Norwegian Booksellers' Award**.



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA



SAMUEL BJØRK

# SEZON NIEWINNYCH

Z języka norweskiego przełożył  
Sławomir Kupisz



Tytuł oryginału:

DET HENGER EN ENGEL ALENE I SKOGEN

Copyright © Samuel Bjørk 2013

Published by agreement with Ahlander Agency

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski

Korekta: Barbara Meisner, Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-7999-542-4

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

28 sierpnia 2006 roku na oddziale położniczym szpitala Ringerike w Hønefoss przysłała na świat dziewczynka. Matka dziecka, dwudziestopięcioletnia przedszkolanka Katarina Olsen, była chora na hemofilię i zmarła podczas porodu. Asystujące przy nim położna i pielęgniarki wspominały później wyjątkową urodę dziewczynki. Opisywano ją jako ciche, lecz niezwykle ruchliwe dziecko o spojrzeniu, które sprawiało, że pracownicy oddziału odnosili się do niej w szczególny sposób. W formularzu rejestracyjnym, który wypełniła podczas przyjęcia do szpitala, Katarina Olsen wpisała „ojciec nieznany”. W ciągu kolejnych dni kierownictwo szpitala, we współpracy z Urzędem Ochrony Praw Dziecka gminy Ringerike, ustaliło adres mieszkającej w Bergen babci dziewczynki. Kobieta nie wiedziała o ciąży córki. Do szpitala przybyła jedynie po to, by stwierdzić, że dziecko zniknęło z oddziału położniczego. Przez kilka kolejnych tygodni policja w Ringerike prowadziła zakrojoną na szeroką skalę akcję poszukiwawczą, nie przyniosła ona jednak żadnych rezultatów. Dwa miesiące później w wynajętym mieszkaniu w centrum Hønefoss znaleziono ciało pochodzącego ze Szwecji pielęgniarza Joachima Wicklunda. Powiesił się. Na podłodze pod Wicklundem leżał napisany na maszynie list. Składał się tylko z jednego słowa: „Przepraszam”.

Dziewczynki nigdy nie odnaleziono.

Lisa poszła do szkoły. Hopsa, hopsa hop.  
W swej nowej sukience. Rażno jej się szło.

# CZĘŚĆ I

Walter Henriksen siedział przy stole w kuchni i desperacko próbował wmusić w siebie choć odrobinę śniadania, które przygotowała mu żona. Jajka i bekon. Śledź, peklowana kiełbasa i świeżo upieczony chleb. Filiżanka ziołowej herbaty zaparzona z ziół z własnego ogrodu. Pragnęła tego domu tak bardzo, że go kupili, z dala od centrum Oslo, mając za najbliższego sąsiada lasy Østmarki, by móc poświęcić się swoim zdrowym zainteresowaniom. Chodzić na spacer po lesie. Założyć mały ogródek warzywny. Zbierać jagody i grzyby, a przede wszystkim dać psu więcej swobody. Walter Henriksen nie znosił tego cocker-spaniela, ale kochał swoją żonę i dlatego zgodził się na to wszystko.

Walter przełknął kęs chleba ze śledziem, walcząc rozpaczliwie z odruchem wymiotnym. Pociągnął duży łyk soku pomarańczowego i ze wszystkich sił próbował się uśmiechać, choć głowa bolała go tak, jak gdyby ktoś walił w nią młotem. Impreza firmowa, na której bawił się wczorajszego wieczoru, wymknęła się spod kontroli, nie udało mu się powstrzymać od picia.

Gdzieś z głębi domu płynęły wiadomości, podczas gdy Walter usiłował odczytać wyraz twarzy żony. Wysondować jej nastrój. Czy czuwała, kiedy bladym świtem zwałił się na łóżko? Nie wiedział, kiedy dokładnie to było, ale na pewno późno, bardzo późno. Pamiętał tylko, że się rozebrał, mgliście przypominał sobie też, że spała i że w jego głowie pojawiła się myśl: Całe szczęście. A potem runął nieprzytomny na zbyt twardy materac, który kupili na jej prośbę, z uwagi na dokuczające jej ostatnio bóle pleców.

Walter odchrząknął cicho, otarł usta serwetką i pogładził ręką brzuch, dając do zrozumienia, że śniadanie mu smakowało i jest najedzony.

– Pomyślałem sobie, że mógłbym przejść się z Lady – bąknął, wykrzywiając twarz w grymasie, który, miał nadzieję, przypominał uśmiech.

– O, to świetny pomysł – kiwnęła głową jego żona, trochę zaskoczona. Choć nie rozmawiali o tym zbyt często, doskonale zdawała sobie sprawę, że Walter nie przepada za jej trzyletnią suką.

– Może tym razem zabierzesz ją nieco dalej niż tylko wokół domu?

Próbował usłyszeć w jej głosie ten lekko pasywno-agresywny ton, którego często używała, gdy była na niego zdenerwowana, i dostrzec uśmiech, który tak naprawdę nie był uśmiechem, ale czymś zupełnie innym, lecz niczego takiego nie znalazł. Sprawiała wrażenie zadowolonej, nie zauważyła, co się stało. Znów mu się upiekło. A teraz, obiecał sobie, z tym koniec. Od tej chwili zdrowe życie. I żadnych firmowych imprez.

– Pomyślałem sobie, że wezmę ją do Maridalen, a potem może zejdziemy ścieżką do Dausjøen.

– To cudownie, naprawdę – uśmiechnęła się jego żona.

Pogłaskała psa po łbie, pocałowała go w czoło i podrapała za uchem.

– Ty i twój pan pójdziecie teraz na spacer, słyszysz? O tak, będzie miło, będzie milusio

dla mojej grubaski, mojej małej grubaski. Jesteś moją grubaską?

Przechadzka w górę Maridalen przebiegała tak samo jak zawsze, kiedy od wielkiego dzwonu zdarzało mu się wyjść z psem. Walter Henriksen nigdy nie przepadał za psami, nie wiedział o nich absolutnie nic i gdyby to zależało od niego, wszystkie psy na świecie mogłyby zostać wybite. Czuł, jak rośnie jego irytacja na głupiego kundla, który szarpał smyczą, chcąc, by szli szybciej. Albo się zatrzymali. Albo poszli w zupełnie innym kierunku, niż chciał Walter.

Wreszcie stanął na ścieżce schodzącej do Dausjøen. Tutaj mógł wreszcie spuścić psa z uwięzi. Przykucnął i zaczął odpinać smycz. Wyciągnął rękę, chcąc delikatnie pogłaskać sukę po łbie i okazać jej odrobinę przyjaźni.

– Teraz możesz trochę pobiegać, słyszysz?

Pies spojrzał na niego bezmyślnie i wywalił jęzor z pyska. Walter zapalił papierosa i przez chwilę poczuł do małej suczki coś w rodzaju sympatii. To przecież nie była wina psa. Zwierzak był w porządku. Ból głowy nieco zelżał, świeże powietrze zrobiło swoje. Od tej chwili postara się polubić psa. Mądry piesek. Tak naprawdę całkiem przyjemnie było spacerować tak razem po lesie. Byli teraz niemal przyjaciółmi, pies szybko uczył się słuchać poleceń, naprawdę mądry piesek. Był bez smyczy, a mimo to spokojnie szedł ścieżką razem z nim.

W tym momencie cocker-spaniel podskoczył, zbiegł z dróżki i popędził pomiędzy drzewa.

Cholera.

– Lady!

Walter Henriksen stał na ścieżce i przez chwilę nawoływał psa, ale bez skutku. Wyrzucił papierosa, zaklął pod nosem i zaczął wspinać się na wzniesienie, tam gdzie zniknęła suka. Kilkaset metrów wyżej się zatrzymał. Pies leżał spokojnie na ziemi, na niewielkiej polance. I wtedy Walter zobaczył wiszącą na drzewie małą dziewczynkę. Kołysała się tuż nad ziemią. Z tornistrem na plecach. I kartką na szyi: „Podróżuję sama”.

Walter Henriksen upadł na kolana i bezwiednie zrobił to, na co miał ochotę od chwili, kiedy się obudził.

Zwymiotował wprost na siebie, a potem się rozplakał.



Mię Krüger zbudziły krzyki mew.

Właściwie powinna się już do tego przyzwyczać, dom nad samym morzem kupiła przecież przed czterema miesiącami. Miasto wciąż jednak tkwiło w niej głęboko. W mieszkaniu na Torshov, przy Vogts gate, zawsze było głośno. Autobusy, tramwaje, syreny policyjne, karetki pogotowia. Żaden z tych dźwięków nigdy jej nie obudził, działały na nią niemal uspokajająco. Ale te mewy... Od tych krzyków nie miała dokąd uciec. Być może było tak, bo wokół panowała taka cisza?

Sięgnęła po zegarek leżący na nocnym stoliku, ale nie udało jej się zobaczyć wskazówek. Zupełnie jak gdyby ich tam nie było, jakby rozpląnęły się gdzieś we mgle. Kwadrans po dziesiątej, a może w pół do drugiej albo pięć po w pół do którejkolwiek. Tabletki wzięte poprzedniego wieczoru wciąż działały. Uspokajały, łagodziły, otępiały zmysły. „Nie łączyć z alkoholem”. Kogo to obchodziło? Przecież umrze już za dwanaście dni. Krzyżyki w kalendarzu w kuchni na dole. Zostało już tylko dwanaście pustych kwadratów.

Dwanaście dni. 18 kwietnia.

Usiadła na łóżku, założyła gruby sweter i chwiejnym krokiem zeszła do salonu.

Tabletki przepisał jej kolega. Przyjaciel z obowiązku, który powinien pomóc jej zapomnieć, pomóc jej przez to przejść, ruszyć do przodu. Psycholog policyjny. A może psychiatra? Chyba musiał nim być, skoro miał prawo wystawiać recepty. W każdym razie dostawała to, czego chciała. Nawet tu, na tym odludziu, mimo że wszystko kosztowało ją немало wysiłku. Ubrać się. Uruchomić silnik łodzi. Marznąć przez piętnaście minut, które zajmowało dotarcie do przystani. Uruchomić samochód. Wytrzymać czterdzieści minut za kierownicą i dojechać do Fillan, tutejszego centrum. Niezbyt imponującego, ale zawsze. Najpierw apteka w centrum handlowym Hjorten. Potem państwowy sklep z alkoholem w tym samym miejscu. Lekarstwa już czekały, zamówione telefonicznie z Oslo. Apodorm, Vival, Lamictal, Citalopram. Część od psychiatry, niektóre od internisty. Wszyscy byli tacy uczynni, tacy przyjacielscy. „Nie bierz za dużo, bądź ostrożna”. Ale Mia Krüger nie miała zamiaru być ostrożna. Nie przybyła tu, żeby wyzdrowieć. Przybyła tu, żeby zniknąć.

Jeszcze dwanaście dni. 18 kwietnia.

Mia Krüger wyjęła z lodówki butelkę wody mineralnej, ubrała się i zeszła na brzeg. Usiadła na skale, szczelniej owinęła się kurtką i wzięła pierwszą tego dnia porcję lekarstw. Kolorowe pastylki przemieszane w kieszeni spodni. Nie wiedziała, które to już tego dnia, wciąż czuła się otępiała. To jednak nie miało już żadnego znaczenia. Popiła je łykiem wody z butelki i wyciągnęła stopy w kierunku fal. Siedząc, przypatrywała się swoim butom. To było bez sensu. Miała wrażenie, że to nie jej stopy, lecz kogoś innego, kogoś, kto siedział tam zamiast niej. Przeniosła spojrzenie na morze. To też było bez sensu, lecz mimo to zmuszała się, by patrzeć w stronę horyzontu w oddali i małej wysepki, której

nazwy nie znała.

Wybrała to miejsce zupełnie przypadkowo. Hitra. Wyspa w Trøndelagu. Było jej wszystko jedno, chciała tylko samotności. Pozwoliła podjąć decyzję agentowi nieruchomości. Sprzedaj moje mieszkanie i daj mi coś innego. Popatrzył na nią dziwnie, jakby oszalała albo była idiotką, ale chciał przecież zarobić, więc było mu to kompletnie obojętne. Śnieżnobiały uśmiech, oczywiście, zajmę się tym, czy chce od razu wystawić mieszkanie na sprzedaż? Jakies specjalne wymagania? Ta wymuszona uprzejmość... Ale ona przeniknęła przez nią i zajrzała w głąb jego oczu. Na samą myśl robiło jej się słabo. Fałszywe, wstrętne oczy. Z jakichś powodów zawsze widziała wnętrza ludzi, którzy znajdowali się blisko niej. A teraz on, wymuskany człowiek w garniturze i krawacie... Nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

„Musisz wykorzystywać taki talent, skoro zostałeś nim obdarzona. Nie rozumiesz tego? Musisz go do czegoś wykorzystać, i powinnaś go używać właśnie do tego!”

Niech ją diabli, jeśli do czegoś go wykorzysta. Już nie. Nigdy więcej. Ta myśl ją uspokoiła. Odkąd tu przyjechała, była w ogóle wyjątkowo spokojna. Hitra. Pośrednik nieruchomości dobrze się spisał. Pomyślała o nim niemal serdecznie.

Mia Krüger wstała ze skały i ruszyła ścieżką w stronę domu. Nadszedł czas na pierwszego tego dnia drinka. Nie wiedziała, która godzina, ale na pewno już czas. Kupiła kilka butelek drogich alkoholi, zamówiła je wcześniej, być może był w tym jakiś odruch sprzeciwu. Dlaczego nie pozwolić sobie na coś drogiego, skoro pozostało jej tak niewiele czasu? Dlaczego to? Dlaczego tamto? Dawno przestała myśleć o takich rzeczach. Otworzyła butelkę armagnacu Domaine de Pantagnan 1965 Labeyrie i napełniła w trzech czwartych szklanekę do herbaty, która nieumyta stała na kuchennym blacie. Armagnac za osiemset koron w brudnej szklance. „Widzisz, jakie to dla mnie ważne? Wierzysz, że to dla mnie ważne?” Uśmiechnęła się lekko do siebie, wyjęła z kieszeni spodni kolejne tabletki i znów zeszła na brzeg.

Ponownie niemal ciepło pomyślała o agencji nieruchomości o nienaturalnie białych zębach. Gdyby miała gdziekolwiek spędzić życie, wybrałaby właśnie to miejsce. Powietrze, widok na morze, spokój unoszący się pod białymi chmurami. Nigdy wcześniej nie była w Trøndelag, ale ta wyspa urzekła ją od pierwszej chwili. Żyły tu jelenie. Całe mnóstwo. I to ją fascynowało, jelenie kojarzyły jej się przecież z innymi miejscami. Z Alaską, z filmami. Piękne zwierzęta, do których pewni ludzie za wszelką cenę chcą strzelać. Mia Krüger uczyła się posługiwać bronią w akademii policyjnej, ale nigdy tego nie lubiła. Broń nie była zabawką, używało się jej tylko w ostateczności, najlepiej jednak było nie sięgać po nią nawet wtedy. Sezon polowań na jelenie trwał na Hitrze od września do listopada. Pewnego dnia w drodze do apteki natknęła się na grupę młodych ludzi przywiązujących jelenia do skrzyni ładunkowej samochodu. W lutym, poza sezonem łowieckim. Przez chwilę się zastanawiała, czy ich nie zatrzymać, spisać nazwiska, zgłosić, by ponieśli zasłużoną karę, ale się rozmyśliła.

Kiedyś policjantka. Czy już zawsze policjantka?

Teraz już nie. Nie, do cholery.

Jeszcze dwanaście dni. Osiemnasty kwietnia.

Wypiła ostatni łyk armagnacu, oparła głowę o skałę i zamknęła oczy.

Holger Munch pocił się, stojąc w hali przylotów lotniska Værnes i czekając na kluczyki do swojego wynajętego samochodu. Z powodu mgły w Gardermoen samolot jak zwykle wylądował z opóźnieniem. Holger przypomniał sobie Jana Fredrika Wiborga, naukowca, który popełnił rzekomo samobójstwo w Kopenhadze po tym, jak skrytykował plany przeniesienia lotniska w Oslo z uwagi na panujące w okolicy warunki atmosferyczne. Jeszcze dziś, osiemnaście lat później, Munch wciąż pamiętał o tej sprawie. Dorosły mężczyzna wypada z o wiele za małego hotelowego okna, bez powodu i tuż przed tym, jak miał zrelacjonować aferę z lotniskiem przed parlamentem? I dlaczego ani duńska, ani norweska policja nie miały ochoty gruntownie zająć się tą sprawą?

Blondynka przy stanowisku Europcar wyrwała Holgera Muncha z rozmyślań. Chrząknęła, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że teraz jego kolej.

– Munch – powiedział krótko. – Samochód był zamawiany.

– Ach, a więc będzie pan mieć nowe muzeum w Oslo? – spytała kobieta w zielonym uniformie, puszczając do niego oko.

Munch nie od razu zrozumiał żart.

– Czy to nie pan jest tym malarzem? – spytała kobieta, nie przestając stukać energicznie w klawiaturę.

– Co? Nie, nie jestem malarzem – powiedział Munch. – Nie jestem nawet jego krewnym.

Mając takich przodków, pewnie nawet bym tu nie stał, pomyślał Munch, kiedy kobieta wręczała mu formularz do podpisania.

Holger Munch nienawidził latania, dlatego był w nie najlepszym nastroju. Nie dlatego, że obawiał się katastrofy. Z zamiłowania był matematykiem i wiedział, że niebezpieczeństwo upadku samolotu jest mniejsze niż ryzyko, że piorun porazi kogoś dwa razy tego samego dnia. Nie, Holger Munch nienawidził latania, ponieważ ledwie mieścił się w jakimkolwiek fotelu.

– Proszę – powiedziała z miłym uśmiechem kobieta w zielonym uniformie, wręczając mu kluczyki. – Piękne przestronne volvo V70, wszystko opłacone, bezterminowo i bez limitu kilometrów. Może je pan odstawić, kiedy i gdzie pan sobie zażyczy. Szerokiej drogi.

Przestronne? To miał być kolejny żart, miało go to uspokoić? Oto twój samochód, w którym mieścisz się tylko ty, bo brzuch urósł ci tak, że nie widzisz własnych butów?

W drodze na piętrowy parking Holger Munch zerknął na swoje odbicie w wielkim oknie hali przylotów. Chyba najwyższa pora na trochę sportu. Na zdrowsze jedzenie. Ostatnio z różnych powodów błąkała mu się po głowie myśl, żeby zrzucić kilka kilo. Już dawno przestał uganiać się za przestępcami po ulicach, robili to jego podwładni, więc nie w tym rzecz. W ostatnich tygodniach Holger Munch zrobił się trochę próżny.

„Och, Holgerku, nowy sweter? Och, Holgerku, nowa marynarka? Och, Holgerku, przystrzygłeś brodę?”

Otworzył volvo, włożył telefon do uchwytu zestawu głośnomówiącego i włączył go. Zapiął pas i ruszył w kierunku centrum Trondheim. Zaczęły nadchodzić wiadomości. Westchnął. Godzina bez telefonu i znów się zaczyna. Ani chwili spokoju. To nie do końca tak, że nastrój psuło mu tylko latanie. Ostatnio dużo się działo, zarówno w pracy, jak i na froncie domowym. Holger przesuwiał palcami po wyświetlaczu smartfona, który sam musiał sobie kupić. Teraz trzeba być high-tech, policja musi być up to date, również w Hønefoss, w którym spędził ostatnie półtora roku. Okręg policyjny Ringerike. Tu zaczął karierę i teraz znalazł się tu ponownie. Z powodu wydarzeń w Tryvann.

Siedem połączeń z centrali na Grønland. Dwa od byłej żony. Jedno od córki. Dwa z domu opieki. Oprócz tego niezliczone esemesy.

Holger Munch uznał, że świat może jeszcze chwilę poczekać, i włączył radio. Odszukał stację NRK Klassisk, opuścił szybę i zapalił papierosa. Papierosy były jego jedynym nałogiem, nie licząc oczywiście jedzenia, ale to coś zupełnie innego. Holger Munch nie miał zamiaru rzucić palenia, niezależnie od tego, ile jeszcze ustaw wymyślą politycy i ile tabliczek z napisem „Palenie zabronione” pojawi się we wszystkich możliwych miejscach. Jak choćby na desce rozdzielczej jego wypożyczonego samochodu.

Bez papierosa nie potrafił myśleć, a jeśli Holger Munch cokolwiek lubił, było to właśnie myślenie. Posługiwanie się mózgiem. Dopóki funkcjonował mózg, ciało nie było aż takie ważne. Z radia dobiegały dźwięki Mesjasza Händla. Wprawdzie nie był to ulubiony utwór Muncha, ale też mu nie przeszkadzał. Wolał raczej Bacha. W muzyce podobała mu się matematyka, więc cenił go bardziej niż tych wszystkich kompozytorów odwołujących się do uczuć. Aryjska gorączka wojenna Wagnera, impresjonistyczny, emocjonalny świat Ravela. Munch słuchał muzyki klasycznej, aby uciec od ludzkich uczuć. Gdyby człowiek był zadaniem matematycznym, wszystko stałoby się o wiele prostsze. Dotknął obrączki ślubnej i pomyślał o Marianne, swojej ekszonie. Minęło już dziesięć lat, a on wciąż nie zdecydował się jej zdjąć. Marianne dzwoniła. Może...?

Nie. Chodziło oczywiście o wesele. Chciała porozmawiać o weselu. Mieli córkę. Miriam zamierzała wyjść za mąż. Trzeba omówić sprawy praktyczne. To wszystko. Holger Munch wyrzucił papierosa przez okno i zapalił kolejnego.

„Nie piję kawy i trzymam się z daleka od alkoholu. Do cholery, przecież nie mogą mi zabronić zakurzyć sobie od czasu do czasu!”

Holger Munch upił się tylko raz, mając czternaście lat. Winem wiśniowym jego ojca, w wakacyjnym domku pod Larvikiem. Od tamtej pory ani razu nie wziął alkoholu do ust. Nie miał takiej potrzeby. Nie ciągnęło go. Niszczyć sobie w ten sposób komórki mózgowe? Nigdy nie przyszłoby mu to do głowy. Za to papieros albo hamburger, czemu nie?

Zjechał na stację benzynową Shella przy zajeździe Gjestegård i zamówił burgera z bekonem, którego zjadł na ławce z widokiem na fiord Trondheim. Gdyby koledzy musieli w trzech słowach opisać Holgera Muncha, dwa razy użyliby prawdopodobnie słowa „nerd”. Ostatnim określeniem byłoby być może „sprytny” albo „przesadnie miły”, ale „nerd” pojawiłby się z pewnością. Gruby, sympatyczny nerd, który nigdy nie brał do ust alkoholu, kochał matematykę, muzykę klasyczną, krzyżówki i szachy. Może trochę nudny, ale znakomity śledczy. I sprawiedliwy szef. Po tym, jak żona zostawiła go dla nauczyciela z Hurum, który co roku miał dwa miesiące wakacji i nie musiał zrywać się w nocy, by

wyjsć, nie zdradzając, dokąd się wybiera, innym nie przeszkadzało już, że nigdy nie uczestniczył we wspólnych wypadach na piwo ani że nie umawia się już z kobietami. Wszyscy wiedzieli, że nikt nie miał tak dobrego odsetka wyjaśnionych spraw co Holger Munch. Wszyscy lubili Holgera Muncha. Pomimo to znów wylądował w Hønefoss.

„Nie degraduję cię, tylko przenoszę. Powinieneś być zadowolony, że w ogóle masz jakiegokolwiek zajęcie”.

Niewiele brakowało, by tam, w biurze Mikkelsona na Grønland, rzucił natychmiast na stół raport o zwolnienie, ale jakoś się powstrzymał. Cóż miałby potem robić? Zatrudnić się jako ochroniarz?

Holger Munch wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Trondheim drogą E6. Zapalił papierosa i obwodnicą jechał na południe. W samochodzie był GPS, ale go nie włączył. Wiedział, dokąd chce jechać.

Mia Krüger.

Przez chwilę myślał serdecznie o swojej dawnej koleżance. Zadzwoił telefon.

– Munch.

– Gdzie, do diabła, jesteś?

Po drugiej stronie Mikkelson, zdenerwowany, w stanie przedzawałowym. Jak zawsze. Dla wielu ludzi pozostawało tajemnicą, jak ten człowiek przeżył dziesięć lat na stołku szefa na Grønland.

– Jestem w samochodzie, a gdzie, do diabła, jesteś ty? – powiedział Munch oschle.

– Gdzie w s a m o c h o d z i e? Jesteś już na miejscu?

– Nie, jeszcze nie, niedawno wylądowałem. Chyba o tym wiesz. O co chodzi?

– Chciałem tylko sprawdzić, czy robisz to, co uzgodniliśmy.

– Mam tu akta i zamierzam je przekazać, jeśli to masz na myśli – powiedział Munch, wzdychając. – Tylko dlatego mnie tu wysłałeś? A nie pomyślałeś o kurierze? Mogliśmy przecież wysłać kolegów stąd.

– Wiesz dobrze, dlaczego to właśnie ty tam jesteś – odpowiedział Mikkelson. – I chcę, żebyś tym razem zrobił to, co ci powiedziałem.

– Po pierwsze – Munch westchnął znowu i wyrzucił niedopałek przez okno – nie jestem ci nic winien. A po drugie, nie jestem ci nic winien. Po trzecie, to ty odpowiadasz za to, że nie używam już mojego mózgu do tego, do czego powinienem go używać, a więc bądź łaskaw się zamknąć. Wiesz, nad jakimi sprawami teraz pracuję? Chcesz to usłyszeć, Mikkelson? Nad czym pracuję?

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza. Munch uśmiechnął się w duchu.

Jeśli Mikkelson czegoś nienawidził, to prosić kogokolwiek o przysługę. Munch wyczuwał wściekłość Mikkelsona. Cieszył się, że jego stary szef nie dostał, czego chciał, i musiał zagryźć zęby.

– Po prostu to załatw.

– Yes, sir! – Munch wyszczerzył zęby i przytknął dwa palce do skroni.

– Tylko bez tego ironicznego tonu, Munch. I zadzwoń, kiedy już będziesz coś wiedział.

– Tak zrobię. A, jeszcze jedno...

– Co znowu? – burknął Mikkelson.

– Jeśli ona się zgodzi, wracam. Koniec z Hønefoss. Chcę z powrotem na stare śmieci.

Na Mariboesgate. Nie pracujemy w centrali. I chcę mieć ten sam zespół co wcześniej.  
Umowa stoi?

Na chwilę zapadła cisza.

– To absolutnie nie wchodzi w grę. Całkowicie wykluczone, Munch. To...

Munch uśmiechnął się i rozłączył, zanim Mikkelson zdążył powiedzieć więcej. Zapalił papierosa, podgłosił radio i postanowił pojechać drogą na Orkanger.

Mia Krüger zasnęła pod kocem na kanapie przed kominkiem. Śniła jej się Sigrid. Obudziła się z uczuciem, że jej siostra bliźniaczka wciąż jest przy niej. Żywa. Że znowu były razem, tak jak zawsze. Sigrid i Mia. Mia i Sigrid. Dwie papużki nierozłączki z Åsgårdstrand, urodzone dwie minuty jedna po drugiej. Blondynka i brunetka. Tak różne, a zarazem tak podobne.

Mia chciała z powrotem zanurzyć się w sen, wrócić do Sigrid, ale zmusiła się, żeby wstać i pójść do kuchni. Spróbować coś zjeść i zatrzymać alkohol w organizmie. Jeśli dalej będzie tak robić, umrze wcześniej, a to nie mogło się zdarzyć.

18 kwietnia.

Jeszcze dziesięć dni.

Da radę, wytrzyma jeszcze dziesięć dni. Mia wmusiła w siebie dwie kromki chrupkiego pieczywa. Zastanawiała się, czy nie wypić szklanki mleka, zdecydowała się jednak na wodę. Dwie szklanki wody i dwie tabletki z kieszeni spodni. Nie miało żadnego znaczenia które. Tym razem biała i jasnoniebieska.

Sigrid Krüger.

Siostra, przyjaciółka i córka.

Urodzona 11 listopada 1979. Zmarła 18 kwietnia 2002.

Kochana najmocniej. Nieodżałowana.

Mia Krüger usiadła na kanapie i poczekała, aż tabletki zaczną działać. Otepienie. Błona pomiędzy nią a światem. Potrzebowała tego teraz. Nie widziała siebie prawie od trzech tygodni, ale teraz musiała wziąć prysznic. Łazienka na pierwszym piętrze. Omijała ją tak długo, jak to było możliwe, nie chciała oglądać swojego odbicia w dużym lustrze, które poprzedni właściciel powiesił wprost na drzwiach. Chciała znaleźć śrubokręt, pozbyć się prześladowcy. Czuła się wystarczająco źle i nie szukała bynajmniej potwierdzenia swojego stanu. Nie miała jednak siły. Na nic nie miała siły. Tylko tabletki. I drinki. Valium krążące w żyłach, lekki szmer we krwi, cudowna tarcza przed wszystkimi kolcami, które tak długo się w niej zatapiały. Zebrała się w sobie i zaczęła wchodzić po schodach. Otworzyła drzwi do łazienki i zszokowana spojrzała na swoją postać w lustrze. To nie ona. To ktoś inny. Mia Krüger zawsze była szczupła, ale teraz sprawiała wrażenie chorej. Zawsze była zdrowa. Zawsze silna. Teraz nie zostało z niej prawie nic. Zdjęła sweter, dzinsy i w samej bieliźnie stanęła przed lustrem. Majtki wisiały luźno na biodrach. Cała tkanka tłuszczowa na biodrach i brzuchu znikła. Ostrożnie przesunęła dłoń po wystających żebrach, policzyła je. Zmusiła się, żeby podejść bliżej lustra, całkiem blisko. Podchwyciła swoje spojrzenie na upstrzonej plamami rdzy srebrnej płycie. Zawsze słyszała komplementy na temat swoich błękitnych oczu. „Nikt nie ma tak norweskich oczu jak ty, Mio” – usłyszała kiedyś od kogoś. Do dziś pamiętała, jaka była wtedy dumna. „Norweskie oczy”. To brzmiało tak pięknie. Sigrid zawsze była tą ładniejszą, być może

dlatego ten komplement sprawił jej tyle radości. Żywe błękitne oczy. Niewiele z nich pozostało. Wyglądały teraz jak martwe. Pozbawione blasku i bez życia, zaczerwienione tam, gdzie powinny być białe. Schyliła się po spodnie, wyciągnęła z kieszeni dwie tabletki, przytknęła usta do kranu z wodą i je połknęła. Ponownie stanęła przed lustrem, usiłując stać prosto.

„Moja mała Indianko”. Tak zawsze mówiła do niej babcia. Jeśli nie liczyć błękitnych oczu, mogła nią być. Indianką. Kiowa albo Siuksyjka, albo Apaczka. Jako mała dziewczynka fascynowała się Indianami, nigdy nie było żadnych wątpliwości, po czyjej stała stronie. Kowboje byli źli. Indianie dobrzy. „Jak się dziś miewasz, Mio Promieniu Księżycy?” Mia musnęła dłonią swoje odbicie w lustrze i z czułością pomyślała o babci. Przyjrzała się swoim długim włosom. Kruczoczarne, spływające na wątle ramiona. Już dawno nie miała tak długich włosów. W szkole policyjnej zaczęła obcinać je krótko. Nie u fryzjera, ale sama w domu. Po prostu brała do ręki nożyczki i obcinała włosy. Aby zademonstrować, że nie przykłada najmniejszej wagi do swojej urody. Że nikogo nie udaje. Nie malowała się. „Jesteś piękna w naturalny sposób, moja mała Indianko – powiedziała babcia któregoś wieczoru, zaplatając jej włosy w warkocz przy kominku w domu w Åsgårdstrand. – Widzisz, jakie masz śliczne powieki, jakie piękne długie rzęsy? Widzisz, że natura już cię umalowała? Nie powinnaś zawracać sobie tym głowy. Nie staramy się być piękne dla chłopców. Pojawią się, kiedy przyjdzie na to czas”. Indianka przy babci. I Norweżka w szkole. Perfekcyjna prawie w każdym calu. Nagle zrobiło jej się słabo. Od tabletek. W małych pastylkach kryły się nie tylko spokój i ukojenie. To się zdarzało od czasu do czasu, nigdy nie zadawała sobie trudu, aby sprawdzać, które tabletki wolno jej było łączyć. Oparła się dłonią o ścianę, czekając, aż przejdzie najsilniejsza fala mdłości. Jeszcze przez chwilę stała przed lustrem. Popatrzyła na siebie. Ostatni raz.

Jeszcze dziesięć dni.

18 kwietnia.

Nie zastanawiała się zbyt często, jak to będzie. Ostatnia chwila. Czy będzie bolało? Czy będzie trudno odejść? Nie wierzyła w te wszystkie historie o tym, że umierającemu życie przebiega przed oczami niczym film. A może to prawda? To nie miało większego znaczenia. Mia Krüger nosiła w sobie historię swojego życia. Widziała je w lustrze. Indianka o norweskich oczach. Długie czarne włosy, które kiedyś po prostu obcinała, teraz opadały jej na chude białe ramiona. Zaczesała włosy za ucho i zaczęła przyglądać się bliźnie nad lewym okiem. Długie na trzy centymetry cięcie, znak, który już nigdy nie zniknie. Przesłuchanie podejrzanego w sprawie o morderstwo. Z Akerselva wyłowiono zwłoki młodej Łotyszki. Mii zabrakło koncentracji, nie zauważyła noża, na szczęście udało jej się uchylić i nie straciła wzroku. Przez kilka miesięcy nosiła na oku opaskę. Tylko lekarzom ze szpitala Ullevål zawdzięczała, że mimo wszystko mogła widzieć na oboje oczu. Uniosła lewą rękę i przyjrzała się palcowi z brakującym koniuszkiem. Kolejny podejrzanym. Małe gospodarstwo niedaleko Moss, „Uwaga, groźny pies”. Rottweiler rzucił się jej do gardła, ale w porę udało jej się zasłonić ręką. Wciąż jeszcze czuła kły, czuła, jak przez te kilka sekund, zanim wyciągnęła pistolet z kabury i wypaliła prosto w pysk bestii z odsłoniętymi zębami, ogarnia ją panika. Jej wzrok spoczął na małym motyłu wytatuowanym na biodrze, tuż nad tasiemką majtek. Jest w Pradze. Ma dziewiętnaście lat,



jest wolna. Poznała pewnego Hiszpana, wakacyjny flirt. Wypili za dużo becherovki i oboje obudzili się z tatuażami. Ona miała małego liliowo-żółto-zielonego motyla. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Wiele razy zastanawiała się nad jego usunięciem, żalując tej młodzieńczej lekkomyślności. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Dotknęła małej srebrnej bransoletki na prawym nadgarstku. Obie, ona i Sigrid, dostały na komunię po łańcuszku. Dziecięca bransoletka, z serduszkiem, kotwicą i literą. M na jej, S na Sigrid. Wieczorem po uroczystości, gdy goście rozeszli się już do domów, usiadły w swoim dziecięcym pokoju w Åsgårdstrand. Wtedy Sigrid niespodziewanie zaproponowała wymianę.

„Chcesz moją? Ja wezmę twoją”.

Od tamtego dnia Mia już nigdy nie zdjęła srebrnej bransoletki.

Tabletki działały coraz silniej, z trudem rozpoznawała się w lustrze. Jej ciało było niczym duch, daleko stąd. Blizna nad lewym okiem. Zdeformowany mały palec. Czeski motyl nad tasiemką majtek. Patykowate ramiona i nogi. Indianka o smutnych, prawie martwych niebieskich oczach. Po chwili przestała już widzieć cokolwiek. Odwróciła wzrok od lustra i chwiejąc się, weszła pod prysznic. Stała pod strumieniem gorącej wody tak długo, aż ta zrobiła się lodowata.

Wychodząc z łazienki, unikała patrzenia w lustro. Naga zeszła do salonu i wysuszyła się przed kominkiem, w którym nie miał kto rozpalić ognia. Poszła do kuchni i zrobiła sobie jeszcze jednego drinka. W szufladzie znalazła kolejne tabletki. Przełykając je, ubrała się. Była jeszcze bardziej otępiała. Tak od zewnątrz, jak i od środka.

Założyła czapkę i kurtkę i wyszła z domu. Znów ścieżką w dół, nad morze. Usiadła na skale i wpatrzyła się w horyzont, pozwalając oczom odpocząć. „Føling i fjæra”<sup>1</sup>. „Emocje na brzegu”. Skąd to wspomnienie? Festiwal, antynorweski festiwal filmowy, organizowany przez kilku celebrytów uważających, że norweskie filmy muszą być inne. Mia Krüger uwielbiała kino, ale wcale nie miała wrażenia, żeby norweski film zmienił się na lepsze, odkąd na brzegu nie emocjonowano się już kulturą. Zawsze drażniło ją, kiedy jakiś nieszczęśnik próbował stworzyć filmowy portret policjanta lub policjantki. Najczęściej opuszczała wtedy salę, ze współczucia dla biednego aktora, któremu przypadła w udziale ta kwestia i któremu reżyser kazał robić różne rzeczy. Było to dla niej po prostu zbyt bolesne. Mia Krüger uśmiechnęła się i pociągnęła łyk z wziętej ze sobą butelki. Gdyby nie to, że przyjechała tu umrzeć, z łatwością potrafiłaby sobie wyobrazić, że tu zostanie.

18 kwietnia.

Uświadomiła to sobie pewnego dnia. Spłynęło to na nią jak objawienie. Od tego czasu pogodziła się z tym całkowicie. Sigrid została znaleziona 18 kwietnia 2002 roku. W piwnicy w Tøyen, jednej z dzielnic Oslo, na rozpadającym się materacu, z igłą wciąż tkwiącą w przedramieniu. Nie zdążyła nawet poluzować rzemienia. Przedawkowanie zaskoczyło ją całkowicie. Za dziesięć dni minie równe dziesięć lat. Mała, słodka, śliczna, cudowna Sigrid, która przedawkowała heroinę w brudnej piwnicy. Zaledwie tydzień po tym, jak Mia odebrała ją z kliniki odwykowej w Valdres.

Ach, jak cudownie wyglądała Sigrid po czterech tygodniach w rzeczywistym świecie. Miała zaczerwienione policzki, wrócił jej uśmiech. W drodze powrotnej do Oslo było niemal tak jak kiedyś. Obie się śmiały i przekomarzały, jak w ogrodzie domu

w Åsgårdstrand.

– Ty będziesz Królowną Śnieżką, a ja Śpiącą Królowną.

– Ale to ja chcę być Śpiącą Królowną. Dlaczego zawsze muszę być Śnieżką?

– Bo masz czarne włosy, Mio.

– Ach tak, i tylko dlatego?

– Tak, dlatego. Teraz już rozumiesz?

– Nie.

– Jesteś głupia.

– Nie jestem.

– Nie, nie jesteś.

– Właściwie dlaczego musimy się bawić w Królownę Śnieżkę i Śpiącą Królownę? Musimy spać sto lat i czekać, aż obudzi nas jakiś książę. To w ogóle nie jest zabawne, a do tego jesteśmy tu same.

– Ach, pewnego dnia przybędzie na pewno, przekonasz się, Mio, na pewno się zjawi.

Księciem Sigrid był jakiś palant z Horten. Podawał się za muzyka, miał nawet coś w rodzaju zespołu, który nigdy nie dał żadnego koncertu. Wysiadywali w parku, palili haszysz, brali speeda albo zwyczajnie się wydurniali. Cholerny, zarozumiały nieudacznik. Mia Krüger nie była nawet w stanie wypowiedzieć jego imienia, na samą myśl o nim zrobiło jej się tak słabo, że musiała wstać i wziąć głęboki oddech. Ścieżką prowadzącą obok skały minęła domek na łodzie i usiadła na przystani. Daleko w głębi łądu zauważyła jakiś ruch. Ludzi krzątających się wokół swoich ludzkich spraw. Która mogła być godzina? Przyłożyła dłoń do czoła i spojrzała na niebo. Sądząc z położenia słońca, było około dwunastej albo pierwszej. Pociągnęła łyk z butelki i poczuła, że tabletki zaczęły działać. Otepiały jej zmysły, zobojętniały ją. Zwiesiła nogi z krawędzi pomostu i wystawiła twarz do słońca.

Markus Skog.

Sigrid miała osiemnaście lat, ten gnojek dwadzieścia dwa. Przeniósł się do Oslo i zaczął pałętać się po Plata. Kilka miesięcy później dołączyła do niego Sigrid.

Cztery tygodnie odwyku. Nie pierwszy raz Mia odbierała siostrę z kliniki, ale tym razem wszystko wydawało się inne. Zupełnie nowa motywacja. Nie było zwykłego po wyjściu z odwyku ćpuńskiego uśmieszku, nie było kłamstw, ciągłych kłamstw i oczekiwania, by wyjść i znów dać sobie w żyłę. Nie, w jej oczach dało się teraz zobaczyć coś innego. Sprawiała wrażenie pewniejszej siebie, prawie takiej jak niegdyś.

Przez te wszystkie lata Mia myślała o siostrze tak często, że niemal wpadła w paranoję. Dlaczego właśnie Sigrid? Nudziła się? Ze względu na matkę i ojca? Tylko z powodu jakiegoś pieprzonego zdechlaka, tego cholernego idioty? Z miłości, by tak to ująć? Możliwe.

Matka potrafiła być surowa, ale wcale nie była taka zła. Ojciec bywał nazbyt miły, ale to nie powinno mieć chyba żadnego znaczenia. Eva i Kyrre Krüger adoptowali bliźniaczki zaraz po ich przyjściu na świat. Tak jak ustalili wcześniej z ich matką, młodą samotną kobietą, która nie mogła albo nie chciała ich zatrzymać. Dla bezdziejnej pary było to niczym uśmiech niebios. Dziewczynki były właśnie takie, jakich pragnęli. Czyste szczęście.

Matka, Eva, nauczycielka w szkole podstawowej w Åsgårdstrand. Ojciec, Kyrre,

sprzedawca farb, właściciel sklepu Ole Krüger i synowie w centrum handlowym w Horten. Wyjaśnienia, dlaczego Sigrid skończyła jako ćpunka, Mia szukała w ich domu rodzinnym. Ale go nie znalazła.

Markus Skog.

To jego wina.

Zaledwie tydzień po powrocie z Valdres. Było im tak dobrze razem w mieszkaniu przy Vogts gate. Sigrid i Mia, Mia i Sigrid. Królowa Śnieżka i Śpiąca Królowa. Znow nierozłączne. Mia wzięła nawet kilka dni urlopu, pierwszy raz od Bóg wie kiedy. I wtedy któregoś wieczoru na stole kuchennym znalazła się kartka: „Muszę pogadać z M. Wracam niedługo. S.”.

Mia Krüger wstała z pomostu i wolnym krokiem ruszyła w stronę domu. Lekko chwiała się na nogach. Czas na kolejne tabletki. I kolejnego drinka.

Holger Munch miał już dosyć jazdy, więc skręcił, chcąc zrobić sobie chwilę przerwy. Znalazł parking i wysiadł, aby rozprostować trochę nogi. Do celu było już niedaleko, zaledwie kilka kilometrów od tunelu na Hitrę. Nie musiał się spieszyć. Holger Munch nie chciał pytać, dlaczego człowiek, który miał zabrać go łodzią na wyspę, mógł to zrobić dopiero po drugiej. Kolega z miejscowego posterunku, z którym rozmawiał, sprawiał wrażenie nie do końca przytomnego. Holger Munch nie czuł rzecz jasna żadnych uprzedzeń wobec policji na prowincji, ale w Oslo przywykł do nieco innego tempa. Policja w Ringerike nie należała z pewnością do najszybszych w kraju. Munch zaklął i pomyślał z wściekłością o Mikkelsonie, szybko jednak dał sobie spokój. To nie była wina Mikkelsona. Wewnętrzne dochodzenie, coś musiało się potem wydarzyć w centrali. Miał tego świadomość, lecz mimo wszystko...

Munch usiadł na ławce i zapalił kolejnego papierosa. W tym roku wiosna wcześniej zawitała do Trøndelag. Na drzewach widać było zielone zawiązki liści, a śnieg stopniał niemal całkowicie. Holger nie wiedział wprawdzie, kiedy wiosna pojawia się zazwyczaj w Trøndelag, ale w lokalnym radiu wysłuchał rozmowy na ten temat. Zrezygnował z muzyki i przełączył na wiadomości. Udało im się zachować całą sprawę w tajemnicy czy też jakiś idiota z centrali wypaplał wszystko jakiemś spragnionemu sensacji dziennikarzynie z wypchanym portfelem? Na szczęście nie. Ani słowa o małej dziewczynce, którą znaleziono powieszoną na drzewie w Maridalen.

Telefon dzwonił i pikał przez całą drogę, ale Holger nie zwracał na to uwagi. Podczas jazdy nie chciał ani telefonować, ani wysyłać esemesów. Wystarczająco napatrzył się na wypadki, kiedy to z powodu zaledwie chwili nieuwagi ktoś zjechał z drogi albo zderzył się z innym samochodem. Poza tym nie musiał się spieszyć. Dobrze mieć czasem chwilę tylko dla siebie. Niechętnie przyznawał to przed sobą, ale momentami czuł znużenie. Całą tą pracą. I atmosferą w rodzinie. Nie miał nic przeciwko wizytom u matki w domu opieki. Nie miał nic przeciwko pomaganiu córce w przygotowaniach do wesela. Nie miał absolutnie nic przeciwko spędzaniu czasu z Marion, swoją sześciolletnią wnuczką. Ale coś było po prostu nie tak.

On i Marianne. Właściwie nigdy sobie nie wyobrażał, że to wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. Ale nawet teraz, po dziesięciu latach, miał uczucie, że coś w nim pękło i nigdy już nie będzie jak dawniej.

Otrząsnął się z tych myśli i sprawdził telefon. Kolejne dwa nieodebrane połączenia od Mikkelsona. Wiedział, o co chodzi, nie było sensu oddzwaniać. Jeszcze jedna wiadomość od Miriam, jego córki, jak zwykle krótka i bezosobowa. Parę telefonów od Marianne, jego ekszony. Cholera, zapomniał zadzwonić do domu opieki. Środa. Powinien był to zrobić, zanim wsiadł do samochodu. Wybrał numer, wstał i rozprostował nogi.

– Dom opieki Høvikvei, Karen.

– Cześć, Karen. Holger Munch z tej strony.

– Cześć, Holger, co słyhać? – odpowiedział miły głos po drugiej stronie. Munch zrobił się prawie czerwony. Spodziewał się, że jego telefon odbierze jedna ze starszych pracownic.

„Och, Holgerku, nowy sweter? Och, Holgerku, nowa marynarka? Och, Holgerku, przyszygłeś brodę?”

– Właściwie całkiem nieźle – odparł Holger. – Ale muszę jeszcze raz poprosić cię o przysługę.

Kobieta się roześmiała.

– Wal śmiało, Holger.

Od kilku lat mówili sobie po imieniu. Karen. Jedna z pracownic domu opieki, w którym jego matka początkowo za nic w świecie nie chciała zamieszkać, a gdzie w końcu, jak się wydaje, znalazła spokój.

– Znowu środa – powiedział Munch, wzdychając.

– I nie dasz rady?

– Nie, niestety – powiedział Munch. – Nie ma mnie w mieście.

– Wszystko jasne – powiedziała Karen i roześmiała się znowu. – Zobaczę, czy ktoś może odwieźć ją stąd taksówką, a jeśli nie, sama po nią zadzwonię.

– Oczywiście zapłacę – powiedział Munch szybko.

– Nie ma problemu.

– Dziękuję, Karen.

– Nie ma za co, Holger. Zakładam, że w przyszłą środę się zjawisz?

– Pomyślę.

– Świetnie, w takim razie do zobaczenia?

– Tak, całkiem możliwe – chrząknął Munch. – Naprawdę bardzo dziękuję, pozdrów ją ode mnie.

– Zrobi się.

Munch rozłączył się i wrócił na ławkę.

Dlaczego jej kiedyś nie zaprosisz? Co ci szkodzi? Filiżanka kawy? Wyjście do kina?

Odsunął od siebie tę myśl, gdy nadszedł e-mail. Te nowe telefony zupełnie mu nie odpowiadały, wszystko było w nich w jednym miejscu. Nigdy nie dadzą mu spokoju? W tym momencie nawet mu to jednak odpowiadało. Uśmiechnął się, gdy otworzył wiadomość i przeczytał nowe zadanie od Jurija, Rosjanina, którego kilka lat wcześniej poznał za pośrednictwem Internetu. Na forum strony math2.org, gromadzącej wszystkich nerdów z całego świata. Jurij był profesorem z Mińska, miał sześćdziesiąt kilka lat. Holger nie nazwałby go przyjacielem, bądź co bądź nigdy się nie spotkali, ale wymienili adresy e-mailowe i niekiedy do siebie pisali. Dyskusje o szachach i od czasu do czasu wspólne rozrywki umysłowe, to wszystko.

Woda napływa do zbiornika. Jej ilość podwaja się co minutę. Zbiornik napełni się w ciągu godziny. Ile czasu upłynie, zanim napełni się do połowy? J.

Munch zapalił kolejnego papierosa i zastanowił się. Po chwili znał już odpowiedź. Zabawne. Lubił Jurija. Zastanawiał się nawet, czy go kiedyś nie odwiedzić. Właściwie dlaczego nie? Nigdy nie był w dawnym Związku Radzieckim. Dlaczego by nie spotkać się

z człowiekiem, którego poznało się przez Internet? Miał więcej takich znajomych: mrmischigan40 z USA, margrete\_08 ze Szwecji, Birrrdman z RPA. Entuzjaści matematyki i szachów, ale przede wszystkim ludzie tacy jak on. Dlaczegoż by więc nie? Wybrać się w podróż, nawiązać nowe znajomości – to przecież zupełnie normalne. Chyba nie był aż tak stary? Kiedy ostatni raz wybrał się dokądkolwiek w podróż? Na wyświetlaczu telefonu mignęło mu jego odbicie. Odłożył aparat na ławkę.

Pięćdziesiąt cztery. Miał wrażenie, że wiek nie do końca się zgadza. Czuł się o wiele starszy. Tylko tego dnia, kiedy Marianne powiedziała mu o nauczycielu z Hurum, postarzał się o dziesięć lat. Próbował zachować spokój. Gdzieś w duchu nawet to przeczuwał. Długie dni w pracy, jego ogólne roztargnienie, nawet w tych rzadkich chwilach spędzanych w domu był stale pogrążony w myślach. W końcu musiało to pociągnąć za sobą konsekwencje, ale że tak szybko i w taki sposób? Była zupełnie rozluźniona, jak gdyby przez jakiś czas przygotowywała się do tej rozmowy. Poznali się na jakimś seminarium. Utrzymywali ze sobą kontakt. Pojawiło się uczucie. Kilkakrotnie spotkali się w tajemnicy, nie chciała jednak żyć już w kłamstwie. Holger nie potrafił zachować spokoju. On, który nigdy wcześniej nie podniósł ręki na drugiego człowieka. Krzyczał i rzucał talerzami o ścianę. Gonił ją po całym domu. Jeszcze dziś wstydził się swojego zachowania. Miriam, płacząc, przybiegła na dół ze swojego pokoju. Wtedy miała piętnaście lat, dziś, w wieku dwudziestu pięciu lat, była zdecydowana na małżeństwo. Piętnaście lat i po stronie matki. Właściwie nic dziwnego. Jak często przez te lata bywał w domu? Jak często znajdował dla niej czas?

Z trudem przymusił się do odpisania na wiadomość od Miriam. Krótką i bezosobową, niczym symbol ich relacji, zarówno obecnych, jak i wcześniejszych. Że też akurat teraz musiał o tym myśleć. Jakby dokumenty, które wiozł ze sobą, nie wystarczały.

Możesz dorzucić jeszcze kilka tysięcy? Postanowiliśmy zaprosić dodatkowo dzieci kuzynów.

Ślub. „Oczywiście” – odpisał, dodając uśmiechnięty emotikon, ale go skasował. Patrzył, jak wiadomość jest wysyłana, i myślał o Marion, swojej wnuczce. Zaraz po jej narodzinach Miriam oświadczyła mu wprost, że nie jest pewna, czy zasłużył na kontakt z małą, na szczęście zmieniła zdanie. Cieszył się ogromnie z tych spotkań. Godziny z cudownie otwartą Marion, światło w szarości codziennego dnia, który mówiąc szczerze, stał się jeszcze bardziej mroczny, odkąd został przeniesiony do Hønefoss.

Po rozwodzie pozwolił Marianne zatrzymać dom. Wydawało mu się, że tak należy, dzięki temu Miriam nie musiała zostawiać przyjaciółek, szkoły i piłki ręcznej. Kupił sobie nieduże mieszkanie w Bislett, wystarczająco blisko, a zarazem wystarczająco daleko od pracy. Po przeniesieniu do Hønefoss zatrzymał mieszkanie, teraz mieszkał w małym wynajętym lokum przy Ringvei, niedaleko miejscowego komisariatu. Rzeczy trzymał w kartonowych pudłach. Nie zabrał ze sobą wiele, spodziewał się szybkiego powrotu do stolicy, gdy tylko po wszystkim opadnie kurz. Teraz, prawie dwa lata później, wciąż tam mieszkał, nierozpakowany. Nie czuł się u siebie w domu ani tu, ani tam.

Przestań się nad sobą uzalać. Są ludzie, którym wiedzie się o wiele gorzej.

Munch rozdeptał niedopałek i znów pomyślał o teczce w samochodzie. Sześćioletnia dziewczynka powieszona na drzewie w Maridalen, znaleziona przez przypadkowego

spacerowicza. Takiej sprawy nie miał od dawna. Nic dziwnego, że koledzy w centrali na Grønland wpadli w popłoch.

Sięgnął po telefon i wysłał Jurijowi odpowiedź.

Po 59 minutach ;) HM

Munch nie chciał przyznać przed sobą, że teczka leżąca obok niego w samochodzie przyprawiała go o ciarki na plecach. Uruchomił silnik, wrócił na główną drogę i ruszył na wschód, w kierunku Hitry.

Mężczyzna z tatuażem orła na szyi specjalnie na tę okazję założył golf. Kiedyś bywał częstszym gościem na Dworcu Centralnym w Oslo. Dla człowieka jego profesji tłok stanowił doskonały kamuflaż, teraz jednak było tu pełno kamer i prawie żadnej możliwości, żeby pozostać niezauważonym. Swoje spotkania i transakcje już dawno przeniósł w inne miejsca. Sale kinowe, budki z kebabami, tam, gdzie nie tak łatwo człowieka nakryć, gdyby się okazało, że jego interesom przygląda się policja. Zdarzało się to jednak rzadko, działał teraz zresztą na znacznie mniejszą skalę. Mimo wszystko lepiej było dmuchać na zimne.

Mężczyzna z tatuażem orła na szyi naciągnął mocniej kaptur na głowę i wszedł do hali dworca. Wprawdzie to nie on wybrał to miejsce, ale zaproponowana kwota była tak wysoka, że po prostu posłusznie wypełniał instrukcje. Nie miał pojęcia, w jaki sposób zleceniodawca go odnalazł, pewnego dnia otrzymał tylko ememesa ze zdjęciem, poleceniem i kwotą. Zrobił tak jak zazwyczaj: odpisał „OK”, nie zadając żadnych pytań. Bez wątpienia dziwne zlecenie, jeszcze nigdy nie miał do czynienia z czymś podobnym. W swojej długiej karierze nauczył się jednak nie zadawać pytań, wykonywać polecenia i inkasować zapłatę. Tak przeszedł przez życie i w świecie cieni wciąż cieszył się solidną opinią. I choć klientów było coraz mniej, a zarobki spadały, bywało, że wpadało mu w ręce większe zlecenie, które pozwalało mu co nieco zarobić. Tak jak teraz. Dziwaczna prośba, szczerze mówiąc zupełnie odjechana, ale dobrze płatna. A właśnie tego teraz potrzebował: dobrze zarobić.

Marynarka, porządne spodnie, wypastowane buty, mała skórzana teczka, golf, a nawet okulary zerówki. Mężczyzna z tatuażem orła na szyi wyglądał jak kompletne przeciwieństwo samego siebie, i o to właśnie chodziło. Człowiek jego profesji nigdy nie mógł mieć pewności, czy policja nie zechce przejrzeć wszystkich nagrań z kamer, lepiej więc było dmuchać na zimne. Wyglądał jak księgowy albo zupełnie zwyczajny człowiek podróżujący w interesach. Choć trudno było w to może uwierzyć, mężczyzna z tatuażem orła na szyi zwracał uwagę na swoją aparycję. Nie chciał być brany za zadzierającego nosa bubka, kogoś z wyższych sfer, podobał mu się jego nieokrzesany wygląd, tatuaż i skórzana kurtka. Te cholerne spodnie uciskały w kroku, czuł się jak idiota. Śmieszna marynarka i głupie lśniące brązowe buty. Ale tak musiało być. Suma, która czekała na niego w schowku, była tego warta. Absolutnie. Od jakiegoś czasu był pod kreską i pilnie potrzebował pieniędzy. Chciał się zabawić. Uśmiechnął się i spokojnym, ostrożnym krokiem ruszył przez halę dworcową.

Pierwsza wiadomość przyszła blisko rok wcześniej, po niej nastąpiły kolejne. Ememes ze zdjęciem i kwotą. Zlecenie było tak dziwne i absurdalne, że z początku wziął to za dowcip, ale je wykonał. I dostał zapłatę. Następnym razem to samo. I znów to samo. Było mu zupełnie obojętne, o co w tym wszystkim chodzi.



Wszedł do saloniku prasowego, kupił gazetę i papierosy. Całkiem zwyczajny księgowy wracający do domu po zwykłym dniu pracy. Wsunął gazetę pod pachę i ruszył w kierunku skrytek bagażowych. Zatrzymał się przed wejściem do przechowalni i wysłał wiadomość:

Jestem.

Zaczekał na odpowiedź. Jak zwykle przyszła błyskawicznie. W telefonie odezwał się sygnał wiadomości, a w niej znalazł numer skrytki i kod potrzebny do jej otwarcia. Mężczyzna z tatuażem orła na szyi ostrożnie rozejrzał się kilka razy, a następnie zjechał ruchomymi schodami do skrytek i odszukał właściwą. Należało pochwalić Oslo S za pozbycie się tych wszystkich kluczy, które trzeba było potajemnie przekazywać sobie z ręki do ręki w rzadko uczęszczanych bramach. Teraz potrzebny był tylko kod. Mężczyzna z tatuażem orła na szyi wstukał cyfry na klawiaturze. Skrytka otworzyła się z kliknięciem. W środku leżała taka sama jak zwykle brązowa koperta. Wyjął ją ze skrytki, próbując się nie rozglądać i zachowywać jak najmniej podejrzanie. Otworzył aktówkę i szybkim ruchem włożył do niej kopertę. Z uśmiechem na twarzy zauważył, że tym razem koperta była znacznie grubsza. Ostatnie zlecenie. Czas na końcowe rozliczenie. Zamknął skrytkę, wjechał na górę ruchomymi schodami, przez halę dworcową doszedł do Burger Kinga i zamknął się w toalecie. Nie był w stanie dłużej czekać. Otworzył teczkę i wyjął kopertę. Zobaczywszy zawartość, uśmiechnął się szeroko. Znalazł tam nie tylko ustaloną sumę, w banknotach dwustukoronowych, o które zawsze prosił, ale dodatkowo małą torebkę z białym proszkiem. Mężczyzna z tatuażem orła na szyi otworzył przezroczystą paczuszkę, ostrożnie posmakował jej zawartość i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nie miał pojęcia, kim był jego zleceniodawca, ale najwyraźniej miał doskonałe kontakty i informacje. Ci, którzy go znali, wiedzieli, jakim zamiłowaniem darzy biały proszek. Wyjął telefon i jak zwykle wysłał wiadomość z odpowiedzią.

OK. Dzięki.

Zwykle nie wysyłał podziękowań, to był czysty interes. Nic osobistego. Tym razem jednak nie mógł się powstrzymać – ten cały dodatkowy zarobek i w ogóle. Po kilku sekundach przyszła odpowiedź.

Miłej zabawy.

Mężczyzna z tatuażem orła na szyi z uśmiechem włożył kopertę z torebką do aktówki i wyszedł z hali.

Mia Krüger siedziała na skale owinięta w koc, w białej czapce naciągniętej na długie kruczoczarne włosy. Był środek dnia. W aptecce usłyszała, że tego roku wiosna przyszła do Trøndelag wcześniej, ale Mii Krüger wciąż było zimno i prawie nie czuła ciepła, o którym tyle mówiono.

Zostało sześć dni. Sześć pustych okienek w kalendarzu w kuchni. Czuła radość.

„Śmierć nie jest taka straszna”.

W ostatnich dniach uświadomiła to sobie jeszcze wyraźniej. Ukojenie. Pewność, że wkrótce się uwolni. W kieszeni anoraka znalazła kilka tabletek. Popiła je z butelki, którą ze sobą zabrała. Uśmiechnęła się do siebie i wpatrzyła w morską dal. Gdzieś na horyzoncie po falach ślizgał się kuter. Kwietniowe słońce malowało chmury i połyskiwało w wodzie pod skałą. Przez ostatnie dni dużo myślała. O swoich najbliższych albo o tych, którzy byli jej najbliższymi. Została tylko ona, a wkrótce nie będzie nawet jej. Na tej planecie. W tej rzeczywistości, jak powiedziałaaby jej babcia. Mia uśmiechnęła się i pociągnęła z butelki kolejny łyk.

Sigrid zawsze była oczkiem w głowie wszystkich. Sigrid o jasnych długich włosach. To ona przynosiła ze szkoły dobre stopnie. To ona grała na flecie poprzecznym, w piłkę ręczną i przyjaźniła się ze wszystkimi. Mii nigdy nie przeszkadzało zainteresowanie, którym cieszyła się Sigrid. Sigrid nigdy nie wykorzystwała uwagi otoczenia do czegoś niewłaściwego, nigdy o niczym i o nikim nie mówiła źle. Była po prostu niezwykła. Ale mimo wszystko miło było, kiedy babcia odciągała Mię na bok i mówiła jej, że jest wyjątkowa.

„Jesteś zupełnie wyjątkowa, wiesz? Inne dzieci też są cudowne, ale ty to wiesz, Mio, wiesz, prawda? Widzisz rzeczy, których inni w ogóle nie dostrzegają”.

Nawet jeśli babcia nie była jej prawdziwą babcią, zawsze czuła, że jest między nimi coś szczególnego. Jakaś więź, jakieś porozumienie. Może dlatego, że obie były do siebie fizycznie podobne? A może dlatego, że babcia traktowała Mię niemal jak przyjaciółkę, jak pokrewną, rozumiejącą ich inność duszę? Babcia nie szczędziła Mii szczegółów ze swojego życia, nie owijając przy tym niczego w bawełnę, choć czasem chyba powinna. Mówiła, że miała wielu mężczyzn i że nie należy się ich bać, bo tak naprawdę to tylko niegroźne małe króliki. Że potrafiła przepowiedzieć przyszłość. I że istnieje wiele rzeczywistości oprócz tej, w której żyły. I że nie należy tak bardzo obawiać się śmierci. To chrześcijaństwo, mówiła babcia, zrobiło ze śmierci coś negatywnego. Oni chcą, byśmy bali się ich Boga, śmierć to piekło albo niebo, mówią, w każdym razie definitywny koniec. Ale wiesz co, Mio? Babcia nie jest tak do końca pewna, czy śmierć to koniec. W każdym razie się nie boję.

W Åsgårdstrand złe języki nazywały ją wiedźmą, ale nie przeszkadzało jej to. Mia dobrze rozumiała, co ludzie mieli na myśli. Szare, dziko rozczochrane włosy nad czystymi,

niemal granatowymi oczami. Babcia była inna niż wszyscy. W sklepie głośno mówiła o najdziwniejszych rzeczach, często siedziała całą noc w ogrodzie albo wpatrywała się w księżyc i śmiała do samej siebie. Potrafiła robić rzeczy, które ludzie w średniowieczu na pewno nazwaliby czarami, i często zabierała Mię do siebie, niczym małą uczennicę.

Mia była szczęśliwa. Dorastała w spokoju. Z kochającą matką i wspaniałym ojcem, z babcią zaledwie kilka domów dalej. Z babcią, która ją dostrzegała, widziała, kim dziewczynka była, i powtarzała jej, że jest wyjątkowa.

„Lekko i na palcach, Mio. Zapamiętaj to, lekko i na palcach”.

Ostatnie słowa babci przed śmiercią, które wypowiedziała, mrugając okiem do swojej niezwyklej przyjaciółki. Mia uniosła butelkę w stronę chmur.

„Śmierć nie jest taka straszna”.

Jeszcze sześć dni. Od tabletek znalezionych w anoraku zaczęła robić się senna. Mia Krüger połknęła jeszcze kilka i oparła się o skałę.

„Jesteś zupełnie wyjątkowa, Mio. Wiesz?”

Czy to dlatego zdecydowała się na szkołę policyjną? Żeby robić coś zupełnie innego? Przez ostatnie dni rozmyślała również o tym. Dlaczego dokonała takiego wyboru? Nie potrafiła już poskładać wszystkich kawałków układanki. Czas się przesunął. Sigrid nie była już małą jasną Sigrid, lecz ćpunką, realnym koszmarem. Matka i ojciec się wypalili, oddalili od świata, od siebie, od niej. Przeniosła się do miasta, kilka razy zaczynała studia na uniwersytecie. Uczyła się bez entuzjazmu, ani razu nie znalazła w sobie dość siły, żeby podejść do egzaminów. A może to szkoła policyjna wybrała ją? Żeby mogła oczyszczać świat z takich ludzi jak Skog?

Mia wstała i chwiejnym krokiem zeszła na przystań. Opróżniła butelkę i wsunęła ją do kieszeni anoraka. Znalazła jeszcze kilka tabletek i połknęła je, tym razem niczym nie popijając. Mewy ją opuściły i zainteresowały się kutrem. Jedynym dźwiękiem był plusk cicho obmywających skałę fal.

Strzeliła do niego.

Do Markusa Skoga.

Dwa razy.

Prosto w pierś. Wszystko stało się całkiem przypadkowo. Zostali wysłani w zupełnie innym celu. Zaginęła dziewczynka, wezwano więc oddział specjalny, żeby trochę powęszył i się rozejrzał. Tak to ujął Holger: „Nie mamy dużo na tapecie, Mio, więc myślę, że powinniśmy trochę powęszyć”.

Holger Munch. Mia Krüger pomyślała ciepło o koleźce. Usiadła na przystani i spuściła nogi z pomostu. Wszystko było takie dziwne. Zabiła człowieka, ale nie miała żadnych wyrzutów sumienia. Sumienie bardziej męczyło ją potem, kiedy stało się to wszystko. Te artykuły w gazetach, cała ta wrzawa na Grønland. Holger Munch, szef grupy, który wyłuskał ją ze szkoły policyjnej, został przeniesiony, a oddział specjalny rozwiązany. Gdzieś głęboko tkwiła w niej bolesna świadomość, że Holger zapłacił za coś, czego nie zrobił. Co dziwne, samo zabójstwo nie wywoływało w niej takich emocji. Poszli za tropem aż do Tryvann. Jacyś ćpuni albo hipisi – ludzie dzwoniący ze swoimi skargami nigdy nie potrafili ich rozróżnić – imprezowali w zaparkowanej na wzniesieniu przyczepie kempingowej. Holger uznał, że być może natrafią tam na ślad zaginionej dziewczynki.

W środku rzeczywiście znaleźli młodą dziewczynę, ale nie tę, której poszukiwali. Ze szklistymi oczami, z igłą w przedramieniu, w lepiącej się od brudu przyczepie kempingowej. A razem z nią, jakby znikąd, Markus Skog. Mia, jak precyzyjnie ujął to raport z wewnętrznego dochodzenia policji, „zadziałała nierozważnie, sięgając po nieadekwatne środki przymusu”.

Mia pokręciła głową, dziwiąc się, jak bardzo niemoralnie się zachowała. Holger Munch stanął w jej obronie. Oświadczył, że Skog ją zaatakował, poza tym na miejscu znaleziono nóż i siekierę. Ale Mia wiedziała lepiej. Była przeszkolona na tyle dobrze, że potrafiłaby obronić się zarówno przed atakiem nożem, jak i siekierą w rękach mizernego ćpuna. Mogła strzelić mu w stopę. W ramię. Nie zrobiła tego, zabiła go. W przypływie nienawiści, kiedy cały świat po prostu przestał dla niej istnieć. Dwa strzały prosto w pierś.

Gdyby nie Holger Munch, trafiłaby do więzienia. Wyciągnęła z anoraka prawie pustą butelkę, wlała do gardła ostatnie krople i jeszcze raz uniosła ją ku chmurom. To nie miało już żadnego znaczenia. Wszystko było za nią.

Ostatecznie.

Jeszcze sześć dni.

Podkurczyła nogi, położyła głowę na chropowatych deskach i zamknęła oczy.

Tobias Iversen zakrył dłońmi uszy młodszego brata, by ten nie słyszał hałasów dochodzących z parteru. Krzyki zaczynały się zwykle wtedy, gdy matka wracała z pracy i stwierdzała, że ojczym nie zrobił tego, o co go prosiła. Miał ugotować chłopcom obiad. Posprzątać mieszkanie. Znaleźć pracę. Tobias nie chciał, żeby brat słuchał tego wszystkiego, więc wymyślił zabawę.

– Zakryję ci uszy, a ty opowiesz mi o wszystkim, co widzisz w myślach. Dobrze?

– Czerwoną ciężarówkę z namalowanymi płomieniami – rozmarzył się brat.

Tobias kiwnął głową i uśmiechnął się w odpowiedzi. Dalej.

– Rycerz walczący ze smokiem – brat wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Tobias znów skinął głową.

Hałas z dołu stał się głośniejszy. Nabrzmiąte wściekłością głosy, przenikające przez ściany i wnikające pod skórę. Tobias nie znosił tego, co wydarzy się za chwilę: przedmioty roztrzaskujące się o ściany, jeszcze głośniejsze krzyki, może nawet coś gorszego. Postanowił wyjść z bratem z domu. Przyłożył chłopcu dłoń do ucha i szepnął:

– Wyjdziemy zapolować na bawoły?

Brat się uśmiechnął i pokiwał z entuzjazmem głową.

Polowanie na bawoły. Biegi po lesie i zabawa w Indian. Lubił to. W okolicy nie było zbyt wielu dzieci, Tobias i jego młodszy brat przywykli więc do spędzania większości czasu razem, choć Tobias miał trzynaście lat, a jego brat tylko siedem. W domu często trudno było wytrzymać, woleli spędzać czas na świeżym powietrzu.

Tobias pomógł bratu założyć kurtkę i buty. Nucąc i podśpiewując, tupał głośno w deski na schodach prowadzących do tylnego wyjścia. Torben patrzył na niego swoimi wielkimi oczami. Był przyzwyczajony, że starszy brat wygłupia się razem z nim i wydaje te wszystkie głośne, dziwaczne dźwięki. Uważał to za zabawne. Bardzo lubił swojego brata, uwielbiał bawić się z nim w te pasjonujące rzeczy, które wymyślał Tobias.

Tobias wszedł do drewnutni. Wziął ze sobą trochę cienkiego sznurka i nóż. Pozwolił bratu pobiec do lasu przed sobą. Mieli swoje tajne miejsce, więc nie było to niebezpieczne. Brat mógł bez obaw pobiec przodem na polanę pomiędzy świerkami, na której wspólnie zbudowali prowizoryczny szałas, mały domek z dala od domu.

Kiedy dotarli do szałasu, młodszy brat od razu rozsiadł się na starym materacu, wyciągnął komiks i zaabsorbowany wpatrywał się w nowe, ekscytujące litery i wyrazy. Po wielu staraniach zarówno w szkole, jak i w domu, i z małą pomocą starszego brata, wreszcie zaczął je rozumieć.

Tobias wyciągnął nóż i wybrał odpowiedni pęd wikliny. Uciął go przy samym korzeniu i oczyścił pośrodku z kory. To będzie uchwyt. Chwyty był jeszcze lepszy, jeśli po usunięciu kory pozwoliło się drewnu trochę podeschnąć. Tobias położył pęd na kolanach i na jego końcach umocował sznurek. Nowy łuk. Odłożył go na ziemię i wstał, żeby rozejrzeć się za

odpowiednim materiałem na strzały. To nie musiała być wiklina, nadawało się do tego właściwie każde drewno z wyjątkiem świerka, który miał zbyt kruche gałęzie. Wrócił z gałęziami, prostymi i cienkimi, i zaczął oczyszczać je z kory. Po niedługim czasie obok pnia, na którym siedział, leżały cztery nowe strzały.

– Tobias, co tu jest napisane?

Brat wyszedł z szalasu z komiksem w dłoni.

– Kryptonit – przeczytał Tobias.

– Superman go nie znosi – pokiwał głową młodszy.

– To prawda – odpowiedział Tobias, rękawem swetra wycierając bratu nos.

– Myślisz, że to się dobrze skończy?

Tobias wstał i założył strzałę na cięciwę. Naciągnął sznurek i wystrzelił, strzała poszybowała pomiędzy gałęzie.

– Super! – zawołał brat. – Założysz też dla mnie?

– Ta jest dla ciebie – mrugnął Tobias.

Młodszy chłopiec się zaczerwienił i popatrzył na Tobiasa ciepło. Naprężył cięciwę nowego łuku tak mocno, jak potrafił, i wypuścił strzałę na kilka metrów. Spojrzał na Tobiasa, który kiwnął głową aprobująco: nieźle. Torben poszedł po strzałę.

– Może postrzelamy do tych chrześcijanek? – powiedział młodszy brat, kiedy wrócił.

– Co masz na myśli? – spytał Tobias, trochę zaskoczony.

– Chrześcijanki, które zamieszkały w lesie. Może do nich postrzelamy?

– Nie strzelamy do ludzi – powiedział Tobias i stanowczo wziął brata za rękę. – Skąd właściwie wiesz o tych chrześcijankach?

– Ktoś opowiadał w szkole – powiedział młodszy brat – że w naszym lesie mieszkają teraz chrześcijanki i zjadają ludzi.

Tobias uśmiechnął się do siebie.

– Ktoś zamieszkał w lesie – uśmiechnął się Tobias. – Ale oni nie są niebezpieczni, a już na pewno nie jedzą ludzi.

– Dlaczego nie chodzą do naszej szkoły? – spytał brat z szeroko otwartymi oczami. – Skoro tu mieszkają?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Tobias. – Myślę, że mają swoją własną.

Młodszy brat spoważniał.

– Musi być bardzo dobra, skoro nie chcą chodzić do naszej.

– Przypuszczalnie. – Tobias mrugnął. – A więc gdzie chcesz dziś strzelać do bawołów? Przejdziemy się nad Rundvann?

– Przypuszczalnie – skinął głową młodszy. Chciał być taki jak brat. – Przypuszczalnie chcę właśnie tam.

– W takim razie idziemy nad Rundvann. Możesz przynieść strzałę, którą wystrzeliłem pierwszą? Znajdziesz ją?

Młodszy brat skinął głową.

– Przypuszczalnie ją znajdę – powiedział z chytrym uśmiechem i pomknął pomiędzy drzewa.

Holger Munch czuł mdłości, siedząc w małej motorówce, która miała go przewieźć z Hitry na małą wysepkę u jej brzegu. Nie cierpiał na chorobę morską, nic z tych rzeczy, uwielbiał pływać po morzu. Chodziło o to, że przed chwilą rozmawiał z Mikkelsonem. Jego przełożony zachowywał się bardzo dziwnie, wręcz skromnie, bez typowej dla siebie szorstkości na pokaz. Życzył Munchowi powodzenia i wyraził nadzieję, że Munch zrobi wszystko co w jego mocy. Powiedział, że to ważne, by wydział trzymał się teraz razem. Emocjonalna mowa-trawa, zupełnie nie w stylu Mikkelsona. Munchowi się to nie podobało. Niewykluczone, że coś się wydarzyło. Coś, o czym Mikkelson nie chciał rozmawiać z Munchem.

Owinał się szczelniej kurtką i spróbował zapalić papierosa. Łódź właśnie cicho przecinała ujście fiordu. Sterujący motorówką młody mężczyzna z rozczochranymi włosami z pewnością nie był z policji. Powód, dla którego nie mógł przewieźć Muncha przed drugą, był wciąż niejasny, ale Munch nie miał ochoty o to pytać. Na przystani przywitał się tylko z nieznanym i zapytał go, czy wie, o którą wyspę chodzi. Młody mężczyzna z rozczochranymi włosami kiwnął głową i pokazał ręką. Załedwie piętnaście minut łodzią. Ten stary dom należał niegdyś do niejkiej Rigmor, która mieszkała tam razem z synem. Chłopak wyjechał jednak do Australii, zapewne za kobietą, i Rigmor nie widziała już innej rady, jak tylko przenieść się na główną wyspę. Dom został sprzedany jakiejś dziewczynie ze wschodu, nikt nie wiedział o niej nic więcej. Parę razy widzieli ją w drodze do Fillan. Ładna dziewczyna, miała może ze trzydzieści lat, długie czarne włosy, zawsze w okularach przeciwsłonecznych. To tam ma płynąć?

Ostatnie słowa młody człowiek już wykrzyczał, próbując zagłuszyć warkot silnika, ale Holger Munch, który od chwili dotarcia na przystań nie odezwał się ani słowem, nadal milczał. Pozwalał chłopakowi mówić, a sam, osłaniając się przed wiatrem, po raz trzeci próbował zapalić papierosa. Bez powodzenia.

Wyspa była coraz bliżej. Mdłości, które Munch odczuwał po rozmowie z Mikkelsonem, ustąpiły. Dotarło do niego, że wkrótce znów zobaczy Mię. Brakowało mu jej. Ostatni raz widział ją niemal przed rokiem. W domu wypoczynkowym. Albo w sanatorium, nieważne. Nie była sobą, prawie nie udało mu się nawiązać z nią rozmowy. Próbował kilka razy się z nią skontaktować, zarówno telefonicznie, jak i e-mailowo, ale nie doczekał się odpowiedzi. Kiedy zobaczył przed sobą urokliwą wysepkę, zrozumiał dlaczego. Nie chciała kontaktu z nikim. Pragnęła być sama.

Motorówka przybiła do małej przystani i Munch wygramolił się na ląd. Nie poszło mu to równie łatwo jak jeszcze dziesięć lat wcześniej, ale nie był też w tak kiepskiej formie, jak sugerowało wiele osób.

– Mam zaczekać czy zadzwonisz, żebym po ciebie przypłynął? – zapytał młody mężczyzna z rozczochranymi włosami. Miał nadzieję, że będzie mógł tu zaczekać i być

może zostać świadkiem czegoś niezwykłego. Na tym odludziu niewiele się działo.

– Zadzwoń po ciebie – powiedział krótko Munch i zsalutował.

Odwrócił się i spojrział w górę, na dom. Stał tak przez jakiś czas, dopóki nie ucichł hałas silnika odpływającej motorówki. Zachwycające miejsce. Doskonałe, by się ukryć. Mia ma bez wątpienia dobry gust. Własna mała wyspa, niemal u ujścia fiordu. Z przystani do położonego wyżej urokliwego białego domku prowadziła wąska ścieżka. Munch nie był znawcą, ale na jego oko budynek musiał zostać zbudowany mniej więcej w latach 50. Mogła to być chata, przebudowana później na dom mieszkalny. Mia Krüger. Dobrze będzie znów ją widzieć.

Przypomniał sobie, jak zobaczył ją pierwszy raz. Tuż po utworzeniu specjalnej jednostki śledczej zadzwonił do niego Magnar Yttre, dawny kolega, a wtedy rektor szkoły policyjnej. Nie rozmawiali ze sobą od wielu lat, lecz mimo to jego stary kumpel nie tracił ani sekundy na cześć pogadanki. „Myślę, że znalazłem kogoś dla ciebie” – powiedział niemal z dumą, jak małe dziecko, które pokazuje rodzicom swój rysunek.

– Cześć, Magnar, kopę lat. Co tam?

– Znalazłem kogoś dla ciebie. Powinieneś się z nią zobaczyć.

Yttre mówił tak szybko, że Munch nie był w stanie zapamiętać wszystkich szczegółów, ale w skrócie jego opowieść wyglądała następująco: słuchacze drugiego roku akademii policyjnej zostali poproszeni o rozwiązanie testu opracowanego przez naukowców z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. W ramach testu, którego nazwy Munch nie pamiętał, wszyscy studenci otrzymali zdjęcie ofiary morderstwa, a także kilka zdjęć z miejsca zbrodni. Studenci mieli spisać swoje skojarzenia na widok zdjęć, powiedzieć, na co zwrócili uwagę, o czym pomyśleli. Aby słuchacze nie czuli presji, przekazano im, że to nieformalny test, wręcz coś w rodzaju zabawy.

– Nie prowadzę dokładnych statystyk, ale takiego wyniku jak ten nigdy nie widzieliśmy. Ta dziewczyna jest zupełnie wyjątkowa – mówił Yttre, dumny i rozemocjonowany.

Holger Munch spotkał się z nią w kawiarni. Nieoficjalnie, poza akademią. Mia Krüger. Miała zaledwie dwadzieścia kilka lat, nierówno ostrzyżone ciemne włosy i błękitne oczy, najczystsze, jakie kiedykolwiek widział, a na sobie biały sweter i obcisłe czarne spodnie. Od razu przypadła mu do gustu. Było coś w sposobie, w jaki się poruszała, w jaki mówiła, w jaki jej oczy reagowały na pytania, które zadawał. Jak gdyby wiedziała, że zjawił się, żeby ją przetestować. Pomimo to odpowiadała uprzejmie, z cieniem uśmiechu w oczach. „Masz mnie za głupią czy co?”

Kilka tygodni później, za zgodą Yttrego, który zadbał o formalności, zabrał ją z akademii. Nie było powodu, żeby dłużej siedziała w szkolnych murach. Była już wystarczająco wykształcona.

Munch uśmiechnął się do siebie i ruszył pod górę, w kierunku domu. Drzwi były uchylone, ale nigdzie nie widział Mii.

– Halo? Mia?

Zapukał i ostrożnie zrobił kilka kroków w głąb korytarza. Nagle uświadomił sobie, że choć przez wiele lat pracowali razem i że w pewien sposób blisko się przyjaźnili, ani razu nie był u niej w domu. Poczł się jak intruz. Przez chwilę stał w korytarzu, a potem zrobił z ociąganiem jeszcze kilka kroków. Zapukał jeszcze raz w uchylone drzwi do salonu



i wszedł do środka. Pokój był urządzony oszczędnie. Stół, stara sofa, kilka prostych krzeseł, kominek w jednym z kątów. Całość wyglądała trochę dziwnie. Nie przypominało to domu, a raczej miejsce tymczasowego pobytu. Żadnych fotografii ani osobistych przedmiotów.

A może się pomylił? Może jej tu nie ma? Może mieszkała tu tylko przez krótki czas i pojechała dalej, zaszyła się gdzie indziej?

– Halo? Mia?

Munch wszedł do kuchni i westchnął z ulgą. Na blacie pod oknem stał ekspres do kawy. Jeden z tych nowoczesnych modeli, które widuje się w kawiarniach, a nie w prywatnych domach. Uśmiechnął się. Wiedział, że dobrze trafił. Mia Krüger nie miała wielu nałogów, ale jeśli istniało coś, bez czego nie potrafiła się obejść, była to dobra kawa. Ileż razy przychodząc do jego pokoju w biurze, marszczyła nos, czując zapach jego kawy? „Jak możesz pić tę lurę? Nic ci po tym nie jest?”

Munch podszedł do blatu i dotknął błyszczącej maszyny. Była zimna. Nieużywana od jakiegoś czasu. To nie musiało nic oznaczać. Wciąż mogła być gdzieś w pobliżu. Ale coś naprawdę się nie zgadzało. Nie umiał tego nazwać, ale coś było nie tak. Nie potrafił się opanować i zajrzał do lodówki, a potem do szuflad.

– Halo? Mia? Jesteś tu?

Mia Krüger obudziła się, gwałtownie wzdrygnęła i usiadła na łóżku.

W domu ktoś był.

Nie pamiętała, jak znalazła się na piętrze, nie pamiętała chwili, kiedy się rozebrała i położyła. Teraz nie miało to żadnego znaczenia. W domu ktoś był. Słyszała hałas dochodzący z kuchni na dole. Brzęk butelek wypadających z lodówki na podłogę. Wskoczyła z łóżka, założyła dzinsy i T-shirt, a następnie wsunęła rękę do szuflady z bielizną i wyciągnęła z niej pistolet, małego glocka 17. Mia Krüger nie lubiła broni, ale nie była głupia. Boso przekradła się przez sypialnię, otworzyła okno na korytarzu i wyśliznęła się na niewielki dach. Poczowała zimny wiatr na odsłoniętych ramionach i nagle uświadomiła sobie, że jest przytomna. A była już tak daleko. Śniła o Sigrid. O złotych polach pszenicy. Biegły razem przez pola. Sigrid z rozwianymi włosami, jak na zwolnionym filmie.

„Chodź, Mio, chodź”.

Mia otrząsnęła się z resztek snu. Wetknęła pistolet za pasek spodni, zeskokczyła z dachu i miękko jak kot wylądowała na trawie. Kto to, u diabła, mógł być? Tu, na tym pustkowiu? W jej domu? Tak daleko od cywilizacji jak to tylko możliwe? Przemknęła za róg i zajrzała przez okno do salonu. Nikogo tam nie było. Powoli podeszła do tylnych drzwi i ostrożnie zajrzała przez małe okienko. Nikogo. Delikatnie pchnęła drzwi i przez chwilę stała w wejściu, a potem boso przekradła się w głąb korytarza. Zatrzymała się przed wejściem do salonu. Oparła się plecami o ścianę i wstrzymała oddech. A potem z impetem wpadła do środka, z pistoletem w wyciągniętych dłoniach.

– Czy tak witasz się ze starym kumplem?

Holger Munch siedział na kanapie z nogami na stole i uśmiechał się do niej.

– Pieprzony idiota – syknęła Mia. – Mogłam cię zastrzelić.

– Nie, nie sądzę. – Munch się uśmiechnął i wstał. – Za mały cel.

Poklepał się po brzuchu i lekko uśmiechnął. Mia odłożyła pistolet na parapet pod oknem i podeszła, żeby uścisnąć starego kolegę. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jest jej zimno. Była bez butów, lekko ubrana, a połknięte poprzedniego wieczoru tabletki wciąż działały. Instynkt przetrwania wziął w niej górę, dodał jej sił, których nie miała. Opadła na sofę i owinęła się kocem.

– Wszystko w porządku?

Mia skinęła głową.

– Nie chciałem cię przestraszyć. Przestraszyłem?

– Trochę – pokiwała głową Mia.

– Sorry – przeprosił Munch. – Zrobiłem herbatę, chcesz? Powinienem był zrobić filiżankę kawy, ale nie mam pojęcia, jak działa ten statek kosmiczny.

Mia się uśmiechnęła. Od dawna go nie widziała, ale jej kolega nie zmienił się ani

trochę.

– Chętnie napiję się herbaty – uśmiechnęła się.

– Dwie sekundy. – Munch wyszczerzył zęby i zniknął w kuchni.

Mia spojrzała na leżącą na stole grubą teczkę. Nie miała ani telefonu, ani dostępu do Internetu i gazet, ale nietrudno było się domyślić, że gdzieś tam, w wielkim świecie, musiało się coś wydarzyć. Coś ważnego. Na tyle ważnego, że Holger Munch wsiadł do samolotu, potem do samochodu i na koniec do łodzi, by ją odszukać.

– Przejdziemy od razu do rzeczy czy wolisz najpierw porozmawiać o bzdetach?

Munch się uśmiechnął i postawił przed nią na stole filiżankę.

– Nie wezmę już żadnej sprawy, Holger.

Pokręciła głową i upiła łyk herbaty.

– Nie, jasne, że nie – westchnął i opadł na krzesło. – Pewnie dlatego zaszyłaś się na tym odludziu. Rozumiem to. Nie masz telefonu? Niełatwo było cię znaleźć.

– O to chodziło – powiedziała Mia sucho.

– Rozumiem, rozumiem – westchnął Munch. – Chcesz, żebym wyjechał?

– Nie, możesz na trochę zostać.

Mia poczuła nagle ogromne zmęczenie. Zakręciło jej się w głowie. A była kiedyś taka pewna siebie i opanowana. Pomacała kieszeń, ale nie znalazła żadnych tabletek. Póki będzie tu Holger Munch, spróbuje się jakoś powstrzymać. Tak dobrze byłoby łyknąć pigułkę i popić drinkiem.

– A więc co o tym sądzisz? – zapytał Munch, przekrzywiając lekko głowę.

– Co sądzę o czym? – spytała Mia.

– Rzucisz na to okiem czy nie?

Wskazał głową na teczkę na stole między nimi.

– Chyba sobie daruję – powiedziała Mia, ciaśniej owijając się kocem.

– W porządku – powiedział Munch i wyciągnął telefon.

Wybrał numer młodego mężczyzny z rozczochranymi włosami.

– Z tej strony Munch, możesz mnie odebrać? Już skończyłem.

Mia Krüger pokręciła głową. Nie zmienił się ani trochę. Dokładnie wiedział, jak osiągnąć to, czego chciał.

– Jesteś idiotą.

Munch zakrył dłonią telefon.

– Co powiedziałaś?

– Dobrze, już dobrze. Rzucę na to okiem, ale that's it, OK?

– Odwołuję, co powiedziałem. Zadzwoń później.

Munch się rozłączył i przysunął bliżej stołu.

– Potrzebujesz czegoś? – spytał, kładąc rękę na teczce.

– Przynies mi parę skarpetek i gruby sweter. Są w sypialni na górze. Potem poproszę o drinka. W szafce pod ławką w kuchni jest butelka koniaku.

– Zaczęłaś pić mocne alkohole? – zapytał Munch, wstając. – To do ciebie niepodobne.

– I byłoby bardzo miło, gdybyś był łaskaw się zamknąć – powiedziała Mia i otworzyła teczkę.

W środku było około dwudziestu pięciu zdjęć i raport z miejsca zdarzenia. Mia Krüger

rozłożyła zdjęcia na stole.

– I co o tym sądzisz? Wrażenia na pierwszy rzut oka? – zawołał Munch z kuchni.

– Rozumiem, dlaczego tu przyjechałeś – powiedziała Mia cicho.

Munch wrócił do pokoju, postawił drinka na podłodze obok niej i wyszedł.

– Nie ma pośpiechu. Przyniosę wszystko, czego potrzebujesz, a potem usiądę tu koło ciebie i pogapię się na morze. OK?

Mia nie słyszała, co powiedział. Zatrzasnęła się już na zewnętrzny świat. Upiła duży łyk koniaku, wzięła głęboki wdech i zaczęła przeglądać zdjęcia.

Munch siedział na skale przy brzegu i wpatrywał się w zachodzące za horyzont słońce. Do tej pory sądził, że to w Hønefoss jest cicho. Leżąc wieczorami w łóżku w swoim wynajętym mieszkaniu, rzadko słyszał tam jakikolwiek dźwięk. Ale w porównaniu z tym miejscem to było nic. To była prawdziwa cisza. I piękno. Munch dawno nie widział równie urzekającego widoku. Doskonale rozumiał, dlaczego wybrała właśnie to miejsce. Cóż za spokój. Cóż za cudowne powietrze. Oddychał głęboko przez nos. Naprawdę coś wyjątkowego. Spojrzał na zegar na ekranie telefonu. Dwie godziny. Długo, ale zamierzał dać jej tyle czasu, ile potrzebowała. Zresztą nigdzie mu się nie spieszyło. A może by tak zostać już na tym odludziu? Zrobić to co ona i wyrzucić telefon? Odciąć się od świata? Uwolnić się całkowicie? Nie, nie mógł tak po prostu zostawić małej Marion. Inni byli mu zupełnie obojętni. Na pewno? Poczł delikatne wyrzuty sumienia. Przez głowę przemknął mu obraz matki jadącej na wózku inwalidzkim na spotkanie. Miał nadzieję, że wszystko poszło dobrze. Przecież powinien to robić. Środy, dom modlitwy. Nie rozumiał, dlaczego się upierała, żeby tam jeździć. Nigdy nie była szczególnie religijna, ale to nie miało znaczenia. Była dorosła, mogła samodzielnie o sobie decydować. Nawet jeśli Munchowi zupełnie nie podobały się jej decyzje.

– Holger?

Głos Mii dobiegający z domu wyżej przerwał rozmyślenia Muncha.

– Gotowa?

– Tak myślę.

Munch wstał rażno, przewyciężając sztywność ciała. Szybkim krokiem ruszył stromą ścieżką do domu.

– I co o tym sądzisz?

– Sądzę, że powinniśmy coś zjeść – powiedziała Mia. – Ugotowałam zupę.

Munch wszedł do salonu i usiadł na krześle. Rozrzucone wcześniej na stole zdjęcia były już w teczce.

Mia weszła do salonu i bez słowa postawiła na stole przed nim talerz dymiącej zupy. Widział dobrze, że intensywnie myślała, znał to jej spojrzenie. Zanurzyła się gdzieś głęboko w sobie i nie chciała, żeby jej przeszkadzano. W milczeniu zjadł zupę, pozwolił dokończyć jej swoją. Potem cicho odkaslnął, jakby chciał ją obudzić.

– Pauline Olsen. Staromodne imię. Rzadkie jak na sześciolatkę – powiedziała Mia.

– Line – odparł Munch.

– Co?

– Nosila imię po babci, ale wszyscy nazywali ją po prostu Line.

Mia Krüger rzuciła mu spojrzenie, którego nie potrafił zinterpretować. Wciąż była gdzieś daleko.

– Line Olsen – kontynuował Munch. – Sześć lat, jesienią miała pójść do szkoły.

Znaleziona w Maridalen przez przypadkowego przechodnia, powieszona na drzewie. Brak śladów molestowania seksualnego. Śmierć nastąpiła na skutek śmiertelnej dawki metoheksitalu. Na szyi kartka z Norwegian Air z napisem „Podróżuję sama”. Tornister na plecach. W środku podręczniki. Nie należały do niej, jak powiedziałem, dopiero miała pójść do szkoły. Piórniki, linijka, książki obłożone papierem, brak odcisków palców. Z jakiegoś powodu wszystkie książki są podpisane nie jej własnym imieniem, ale „Rikke JW”. Ubrania czyste, świeżo wyprasowane. Według matki żadne z nich nie należało do dziewczynki, wszystko jest nowe.

– To lalka – powiedziała Mia.

– Co? – spytał Munch.

Mia delikatnie napełniła swoją szklankę. Miała szklane oczy. Kiedy Holgera nie było, przyniosła z kuchni butelkę koniaku i opróżniła ją niemal do dna.

– To ubrania dla lalki – kontynuowała. – Kompletny strój. Skąd pochodzą?

Munch wzruszył ramionami w przeproszającym geście.

– Sorry, wiem niewiele więcej ponad to, co znalazło się w raporcie. Nie jestem w temacie.

– Przysłał cię Mikkelson?

Munch skinął głową.

– Będą następne – powiedziała Mia cicho.

– Co masz na myśli?

– Będą następne. Ona jest pierwsza.

– Jesteś pewna?

Mia popatrzyła na niego dziwnie.

– Sorry – powtórzył Munch.

– Na paznokciu małego palca miała cyfrę – powiedziała krótko Mia.

Wyjęła z teczki jedno ze zdjęć. Zbliżenie na lewą dłoń dziewczynki. Położyła ją przed Munchem i pokazała palcem.

– Widzisz? Na paznokciu małego palca lewej dłoni ma wydrapaną cyfrę. Przypomina kreskę, ale nią nie jest. To cyfra jeden. Będą następne.

Munch podrapał się w brodę. Dla niego wyglądało to jak zwykłe zadrapanie. Wprawdzie wspomniano o nim w raporcie, ale nie sądził, by miało to jakieś znaczenie.

– Ile? – spytał.

– Być może tyle ile palców.

– Dziesięć?

– Trudno dokładnie powiedzieć. Być może.

– A więc jesteś pewna? Mam na myśli to, że będą kolejne ofiary?

Mia spojrzała na niego otępiąłym wzrokiem, po czym pociągnęła ze szklanki.

– Chirurgiczna precyzja. Sprawca się nie spieszył. Nie jestem zresztą pewna, czy to był mężczyzna. To mógł być mężczyzna, ale jeśli nie, to...

– To co?

– Nie wiem. Schemat. Jeśli to mężczyzna, nie działa według schematu.

– Masz na myśli skłonności seksualne?

– Nie do końca się zgadza, a jednak się zgadza, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Jest coś, co

tu nie pasuje, a jednak wszystko się układa.

Znów go zostawiła. Nie było jej w salonie, przebywała teraz we własnej głowie. Munch jej nie przerywał, po prostu czekał na dalszy ciąg.

– Co to jest metoheksital?

Munch otworzył teczkę. Przez chwilę kartkował raport, zanim znalazł odpowiedź. Oczywiście do niego nie zajrzała. Jak zwykle poprzestała na dokładnym obejrzeniu zdjęć.

– Sprzedawany pod nazwą Brevital. Ma działanie nasenne. Używa się go do narkozy.

– Narkozy – powtórzyła Mia i znów zapadła się w siebie.

Munch miał ogromną ochotę zapalić, lecz nie ruszył się z miejsca. Nie chciał palić w środku, ale wołał jej nie zostawiać. Nie teraz.

– Nie chciał jej skrzywdzić – powiedziała nagle.

– Co masz na myśli?

– Sprawca nie chciał jej skrzywdzić. Wystroił ją, umył. Narkoza. Nie chciał, żeby cierpiała. Lubił ją.

– Lubił ją?

Mia Krüger skinęła milcząco głową.

– W takim razie dlaczego powiesił ją na skakance?

– Miała pójść do szkoły.

– Dlaczego tornister i książki?

Spojrzała na niego tępym wzrokiem.

– Z tego samego powodu.

– Dlaczego książki są podpisane „Rikke JW”, a nie Pauline?

– Tego nie wiem – westchnęła Mia. – Właśnie to mi nie pasuje. Wszystko inne się zgadza, z wyjątkiem tego. Nie sądzisz?

Munch nie odpowiedział.

– Wyszywana metka z tyłu sukienki. M 10:14. To pasuje – mówiła dalej.

– Ewangelia według świętego Marka? Rozdział 10, werset 14? „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie?”

Munch zapamiętał ten szczegół z raportu, gdyż wydał mu się ważny. Znaczenie kreski na paznokciu kompletnie przeoczyli.

Mia kiwnęła głową.

– Ale to nie jest aż takie ważne. M 10:14. To jakieś brednie. Jest coś ważniejszego.

– Ważniejszego niż nazwisko na książkach?

– Nie wiem – powiedziała Mia.

– Mikkelson chce, żebyś wróciła.

– I o to chodziło?

– Tak.

– Nieaktualne. Nie wrócę.

– Jesteś pewna?

– Nie wrócę! – krzyknęła nagle. – Nie słyszałeś? Nie wrócę.

Munch nigdy wcześniej jej takiej nie widział. Drżała, sprawiała wrażenie, że zaraz wybuchnie płaczem. Wstał i podszedł do sofy. Usiadł obok niej i objął ją ramieniem. Jej głowa leżała w zagłębieniu jego łokcia. Pogłaskał ją po włosach.

– Wystarczy, Mio. Tu się zatrzymamy. Wielkie dzięki.

Mia nie odpowiedziała. Holger czuł, jak jej szczupłe ciało drży. Nie była sobą. Nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie. Pomógł jej wstać i wejść po schodach na piętro. Odprowadził ją do sypialni, położył do łóżka i przykrył kocem.

– Chcesz, żebym został na noc? Posiedział tu? Przespał się na dole na sofie? Zrobił ci śniadanie? Mogę spróbować uruchomić ten statek kosmiczny. Obudzić cię filiżanką kawy?

Mia Krüger nie odpowiedziała. Piękna dziewczyna, którą tak bardzo lubił, leżała pod kocem niemal bez życia. Holger Munch usiadł na krześle obok łóżka. Kilka minut później usłyszał, jak jej ciężki oddech się uspokaja. Zasnęła.

Mia? W takim stanie?

Widywał ją już wyczerpaną i przygnębioną, ale nigdy taką. To było coś zupełnie innego. Spojrzał na nią ciepło, okrył szczelnie kocem, żeby nie zmarzła, i zszedł po schodach. Odszukał ścieżkę schodzącą do przystani i wyciągnął telefon z kieszeni kurтки.

– Mikkelson.

– Munch z tej strony.

– I co?

– Nic z tego. Nie wróci.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Cholera – padło w końcu. – Powiedziała coś ważnego? Coś, co przeoczyliśmy?

– Będą kolejne.

– Co to znaczy?

– To, co powiedziałem. Będą kolejne. Na paznokciu małego palca lewej ręki miała wydrapaną cyfrę. Przeoczyliście to.

– A niech to szlag... – zaklął Mikkelson i znów zamilkł na chwilę.

– Czy jest coś, czego mi nie powiedziałeś? – spytał wreszcie Munch.

– Najlepiej będzie, jeśli wrócisz – powiedział Mikkelson.

– Zostaję tu do rana. Ona mnie potrzebuje.

– Nie to miałem na myśli. Wrócisz tu, do nas.

– Otwieramy jednostkę na nowo?

– Tak, możesz od razu przyjechać tutaj. Jutro zadzwonię w kilka miejsc.

– OK, widzimy się jutro wieczorem – odpowiedział Munch.

– Świetnie – stwierdził Mikkelson i znów zamilkł.

Munch wyczuł pytanie unoszące się w powietrzu.

– Nie. Mia nie wróci.

– Jesteś pewny?

– Całkowicie – odpowiedział Munch. – Mariboessgate, to samo biuro?

– Wszystko jest już gotowe – odpowiedział Mikkelson. – Nieoficjalne jednostka została reaktywowana. Kiedy się tu zjawisz, będziesz mógł sam dobrać sobie ekipę.

– OK – odpowiedział Munch i szybko się rozłączył.

Czuł, jak wzbiera w nim radość, ale nie chciał, żeby Mikkelson to usłyszał. Wracał na swoje miejsce. Do Oslo. Jednostka znów działała. Odzyskał swoje stanowisko, ale nie był w stanie cieszyć się tym w pełni. Nigdy nie widział Mii Krüger w takim stanie, kompletnie na dnie. I nie chciał jej brać ze sobą w takim stanie. A myśl o dziewczynce wiszącej na



drzewie wciąż przyprawiała o dreszcze stąpającego twardo po ziemi śledczego.

Munch spojrzał na niebo. Ściemniło się. Cichy krajobraz był skąpany w zimnym świetle gwiazd. Cisnął niedopałek do wody i ruszył z powrotem do domu.

Tobias Iversen siedział na pniaku, strugając kolejną strzałę, i czekał na powrót brata. Lubił posługiwać się nożem. Podobało mu się, jak ostrze zagłębia się w drewno, cierpliwie i spokojnie prowadził je pomiędzy korą a drewnem, nie chcąc zostawić nacięcia na strzale. Miał zręczne ręce. To na zajęciach plastycznych i technicznych otrzymywał najlepsze oceny. Z pozostałych przedmiotów, zwłaszcza z matematyki, był średniakiem. Ale tam, gdzie liczyła się praca dłoni, nie miał sobie równych. I w norweskim. Tobias Iversen uwielbiał czytać. Do tej pory czytał najczęściej literaturę fantastyczną i science fiction. Ale ubiegłej jesieni przyszła do nich nowa nauczycielka norweskiego, Emilie. Śmiała się głośno i całą twarz miała upstrzoną piegami. Była nie tyle nauczycielką, ile miłą, dojrzałą dziewczyną prowadzącą niewiarygodnie fajne lekcje. Zupełnie inne od tych wcześniejszych, na których tylko... Kompletnie nie pamiętał, co na nich robili. Emilie podsunęła mu całą listę lektur, które jej zdaniem powinien przeczytać. Kończył właśnie Władcę much, jedną z książek z jej listy, i czuł, że naprawdę cieszy się na powrót do domu, gdzie będzie mógł położyć się do łóżka i czytać. Cieszyło go raczej czytanie w łóżku niż powrót do domu. Tobias Iversen miał dopiero trzynaście lat, ale w głębi duszy czuł się znacznie starszy. Doświadczył rzeczy, których dzieci w ogóle doświadczać nie powinny. Wiele razy miał ochotę uciec, spakować swój mały dobytek do szkolnego plecaka i ruszyć w świat, jak najdalej od tego mrocznego domu. Ale to było niemożliwe. Dokąd miałby pójść? Udało mu się zaoszczędzić trochę pieniędzy, z urodzin, ze świąt Bożego Narodzenia i przy innych okazjach, ale nie było ich tyle, żeby dokądkolwiek wyjechać. Nie potrafiłby zostawić młodszego brata. Kto by się nim opiekował, gdyby zabrakło Tobiasa? Powoli przesuwiał ostrze pod korą wierzbiny i próbował myśleć o czymś innym. Uśmiechnął się do samego siebie z zadowoleniem, gdy udało mu się ostrugać cały pasek bez zatrzymywania się.

Młodszy brat długo się nie zjawiał. Od czasu do czasu Tobias zerkał pomiędzy drzewa, nie niepokojąc się zbytnio. Maluch był ciekawskim chłopcem, pewnie odkrył jakiś interesujący grzyb albo mrowisko.

„Może postrzelamy do tych chrześcijanek?”

Tobias nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Typowy mały chłopiec. Taki niewinny. Nic jeszcze nie wie, może mówić wszystko co mu ślina na język przyniesie. Nie to co w klasie Tobiasa albo na szkolnym podwórku, gdzie trzeba uważać na to, co się mówi lub myśli, jeśli nie chce się zostać wykluczonym z grupy. Tobias widział to wiele razy. Dokładnie jak we Władcy much. Kto okazywał słabość, natychmiast stawał się ofiarą. W tym czasie wśród rówieśników główną rolę odgrywał sport. Na szczęście Tobias był wysportowany, biegał szybko, skakał wysoko i daleko, całkiem nieźle grał w piłkę. Problemem była odzież. Kilku nowych kolegów, którzy przeprowadzili się tu z miasta, miało inne potrzeby i więcej pieniędzy. Teraz należało nosić buty Adidasa, Nike, Pумы albo Reeboka. Tobias

usłyszał ostatnio kilka komentarzy na temat swoich zbyt ciasnych butów, jego spodenki, spodnie do biegania i stare T-shirty również miały nieodpowiedni fason i były niewłaściwej marki. Na szczęście istniało coś ważniejszego niż cała reszta – to, czy podobasz się dziewczynom. Jeśli im się podobasz, ani sport, ani szkoła, ani to, jakiej muzyki słuchasz, ani cokolwiek innego nie ma znaczenia. A dziewczyny lubiły Tobiasa Iversena. Nie tylko dlatego, że był przystojny, ale przede wszystkim dlatego, że był po prostu sympatyczny. I nie przeszkadzało im to, że na swoich piłkarskich butach miał tylko jeden pasek, a korki są starte.

Chrześcijanki. Nagle, ni stąd, ni zowąd, gruchnęła wieść, że jacyś ludzie wprowadzili się do dużego starego gospodarstwa przy jeziorze Litjønna. Od dłuższego czasu nikt tam nie mieszkał. I że przebudowali to miejsce tak, że wyglądało teraz zupełnie inaczej niż wcześniej. Mówiono, że podejrzanie. Podobno należeli kiedyś do Przyjaciół Smitha, ale najwidoczniej przestało im to odpowiadać, założyli więc własną religię, sektę, nieważne. Każdemu się wydawało, że coś wie, ale tak naprawdę nikt nie miał pojęcia, co się tam dzieje. Wiadomo było tylko, że dzieci, które tam mieszały, nie chodziły do szkoły i że całe ich życie skupiało się wokół Boga, chrześcijaństwa, bez różnicy. Tobiasowi to odpowiadało. Szybko zrozumiał, że gdy rozmowa schodziła na jego ubrania albo ubóstwo, wystarczyło po prostu wspomnieć o chrześcijankach i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszyscy natychmiast zapominali o markowych ciuchach. Kiedyś nawet skłamał, że je widział. Któregoś razu po gimnastyce. Tylko po to, żeby ci dwaj nowi z miasta zamknęli gęby. Podziałało. Wymyślił historię, że noszą dziwne ubrania i mają prawie martwe oczy, a kiedy go zobaczyły, przepędziły go. To było głupie, pewnie, bo ani nie miał do czynienia z tymi chrześcijankami, ani nic o nich nie wiedział. Ale co miał zrobić?

Tobias odłożył nóż i spojrział na zegarek. Brata nie było już dłuższy czas i zaczynał się niepokoić. Nie chodziło wcale o to, że musieli wracać do domu. Nie mieli ustalonej godziny powrotu, nikt nie zwracał uwagi na to, czy są w domu czy nie. Tobias miał wielką nadzieję, że znajdzie coś w lodówce i będzie mógł przyrządzić bratu skromną kolację. Wszystko inne nauczył się robić sam. Zmieniał pościel, nastawiał pralkę, pakował bratu tornister. Wszystko oprócz posiłków. Nie chciał wydawać własnych oszczędności na jedzenie, uważał, że to niesprawiedliwe. Ale w kuchennych szafkach zazwyczaj coś było, czasem puszka zupy, czasem trochę chleba i dżemu. Zwykle im to wystarczało.

Wbił ostrugany patyk w ziemię koło pnia i wstał. Jeśli mają zapolować na bawoły aż nad Rundvann, był już najwyższy czas. Zwykł kłaść brata spać przed dziewiątą, przynajmniej w dni powszednie. Zarówno z uwagi na brata, jak i na siebie. Dzielili pokój na poddaszu. Lubił te rzadkie chwile, kiedy brat już zasnął, a on mógł zapalić lampkę i poczytać przed snem.

– Torben?

Tobias ruszył w głąb lasu, w tym samym kierunku, w którym poleciała strzała i w którym poszedł jego brat. Wiatr zaczął wiać mocniej, szumiał w koronach drzew nad jego głową. Tobias się nie bał, bywał tu już wcześniej wiele razy sam, zarówno przy silnym wietrze, jak i w deszczu. Podobało mu się, jak przyroda pokazywała swoją siłę i wstrząsała wszystkim wokół. Młodszy brat mógł jednak łatwo się przestraszyć.

– Torben? Gdzie jesteś?

Nagle poczuł wyrzuty sumienia. Za wszystko, co opowiadał o tych chrześcijankach. Kłamstwa, wysane z palca historie opowiadane w chłopięcej szatni. Postanowił wybrać się pewnego dnia na małą wyprawę, tak jak chłopcy we Władcy much, niemający obok siebie nikogo dorosłego. Weźmie ze sobą latarkę i coś do jedzenia, wymknie się z domu i ruszy w stronę Litjønna. Znał drogę. Przekona się na własne oczy czy to, co opowiadano o nowym gospodarstwie, ogrodzeniu i rzeczach, które się tam dzieją, jest prawdą. To będzie ciekawe i pouczające. Ach, przypomniał sobie teraz, co robił ich poprzedni nauczyciel norweskiego. Zawsze powtarzał, że to, czym będą się zajmować, będzie ciekawe i pouczające, powinni więc siedzieć cicho i uważnie słuchać. Najwyraźniej jednak nie było ani ciekawie, ani zbyt pouczająco, bo Tobias zupełnie nie pamiętał, co tak właściwie robili na lekcjach. Przypomniał sobie też słowa, które usłyszał od swojego dziadka, gdy pewnego razu jechali jego starym czerwonym volvem. „Nie wszyscy nadają się, żeby mieć dzieci. Pewni ludzie nigdy nie powinni zostawać rodzicami”. Utkwiło to w nim mocno. Być może podobnie było również z nauczycielami? Być może niektórzy z nich nie nadawali się do tego zawodu i właśnie dlatego mieli smutne twarze za każdym razem, kiedy pojawiali się na lekcjach?

Jego rozmyślania przerwał jakiś szelest w zaroślach przed nim. Jego młodszy brat pojawił się jakby znikąd. Z nieobecny wyrazem twarzy. Na spodniach, w kroku, miał dużą moką plamę.

– Torben? Co się stało?

Brat spojrzał na niego pustymi oczami.

– W lesie wisi aniołek. Samiuteńki...

– O czym ty mówisz?

– W lesie wisi aniołek. Samiuteńki...

Tobias objął brata, czuł, jak chłopiec drży.

– Zmyśliłeś to sobie, Torben?

– Nie. Ona wisi tam dalej.

– Pokażesz mi gdzie?

Brat popatrzył na niego.

– Nie ma skrzydełek, ale to na pewno aniołek.

– Pokaż mi – powiedział poważnie Tobias i lekko pchnął brata przed siebie, pomiędzy świerki.

Mia Krüger siedziała na skale i po raz ostatni obserwowowała zachód słońca nad Hitrą. 17 kwietnia. Jeszcze jeden dzień. Jutro spotka się z Sigrid.

Czuła zmęczenie. Nie takie, na które najlepszy jest sen. Była zmęczona wszystkim. Życiem. Ludźmi. Tym, co się wydarzyło. Zanim Holger pokazał jej zdjęcia z teczki, odnalazła tu coś w rodzaju ukojenia. Po tym, jak wyjechał, zmęczenie znów zaczęło się do niej zakradać. Co za wstrętne uczucie.

Zło.

Pociągnęła łyk z butelki i mocniej naciągnęła czapkę na uszy. Ochłodziło się. Wbrew temu co mówiono, wiosna tego roku wcale nie przyszła wcześniej. Zwiodła wszystkich, którym się wydawało, że jest tuż-tuż. Mia cieszyła się, że miała ze sobą butelkę czegoś na rozgrzewkę. Zupełnie nie tak wyobrażała sobie swój ostatni dzień. Planowała nacieszyć się nim tak bardzo jak to tylko możliwe. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny jej życia. Ptaki, drzewa, woda, światło. Zrobić sobie dzień wolny od tabletek, ostatni raz poczuć świat i siebie samą. Tak się nie stało. Po wyjeździe Holgera jej pragnienie stłumienia zmysłów tylko się nasiliło. Piła jeszcze więcej. Łykała jeszcze więcej tabletek. Budziła się bez poczucia, że spała. Spała, nie mając świadomości, że jest na jawie. Obiecała sobie nie przejmować się zbyt zawartością teczki, lecz był to oczywisty idiotyzm. Czy kiedykolwiek udało jej się pozostać obojętną, kiedy w grę wchodziło coś takiego? Praca. Być może dla innych to była praca, ale nie dla Mii Krüger. Zawsze brała sobie do serca sprawy, nad którymi pracowała. Trafiały wprost do jej duszy, jak gdyby dotyczyły jej samej, jak gdyby to ona była ofiarą. Porwana, zgwałcona, skatowana żelaznym prętem, przypalana papierosami, zabita śmiertelną dawką środka usypiającego. Miała tylko sześć lat. Powieszona na drzewie na skakance.

Dlaczego to nie jej imię jest na książkach?

Przecież cała reszta została zaplanowana w najmniejszych szczegółach.

Cholera.

Próbowała zapomnieć o małej dziewczynce na drzewie, ale nie potrafiła wyprzeć jej z pamięci. Wszystko wydawało się takie sztuczne. Teatralne. Niemal jak przedstawienie. Jak gra. Coś jak wiadomość. Ale dla kogo? Dla tego, kto ją znalazł? Dla policji? Szukała w pamięci, próbując przypomnieć sobie sprawę, w której pojawiłoby się nazwisko Rikke, ale bez skutku. Kiedyś była to jej specjalność, lecz wydawało się, że to już przeszłość. Ale było tu coś niepokojącego, coś, czego nie potrafiła nazwać. I to ją drażniło. Mia obserwowowała, jak słońce zachodzi za ujściem fiordu, i próbowała się skupić. Wiadomość? Dla policji? Jakaś stara nierozwiązana sprawa? W swojej karierze nie miała ich wiele. Na szczęście. Mimo to dwie szczególnie nie dawały jej spokoju. Zamożna starsza kobieta znaleziona martwa w swoim mieszkaniu przy Bogstadveien. Nie znaleziono żadnych śladów wskazujących na morderstwo, choć Mia była niemal pewna, że winnym śmierci

kobiety był jeden ze spadkobierców. Nie przypominała sobie, by w tej sprawie pojawił się ktoś o nazwisku Rikke. Kilka lat temu pomagali policji w gminie Ringerike w sprawie zaginięcia. Z oddziału położniczego zniknęło dziecko. Do uprowadzenia przyznał się pewien Szwed, który popełnił potem samobójstwo. Dziecka nigdy nie odnaleziono. Sprawa została zamknięta, choć Mia oponowała przeciwko temu. Na tyle, na ile potrafiła sobie przypomnieć, również i w tej sprawie nie pojawiło się nazwisko Rikke. Pauline. Sześć lat. Czy to nie przed sześcioma laty zaginęło to dziecko? Mia opróżniła butelkę i wpatrzyła się w horyzont, próbując jednocześnie zajrzeć w głąb siebie. Cofnąć się o sześć lat. Coś zaczynało świtać jej w głowie. Miała to na końcu języka. Odpowiedź była zaledwie o krok.

Niech to szlag.

Mia wsunęła rękę do kieszeni spodni w poszukiwaniu tabletek, ale nie znalazła ani jednej. Zapomniała zabrać je ze sobą z domu. Wszystkie leżały teraz na stole w salonie. Wszystkie, które jej jeszcze zostały. Całkiem sporo. Wystarczy wziąć. Chciała poczekać do świtu. Lepiej wyruszyć w podróż, kiedy jest jasno, myślała. Jeśli zrobię to po ciemku, mogę na zawsze utonąć w mroku. Ale zmieniła zdanie. Wystarczyło tylko poczekać, aż minie północ. Z 17 na 18 kwietnia.

„Chodź, Mio, chodź”.

Nie tak wyobrażała sobie swój koniec. Wstała i cisnęła pustą butelkę do morza. Natychmiast tego pożałowała. Od dziecka wpajano jej, że nie należy śmiecić. Wspaniały ogród. Mama i tata. Babcia. Powinna była zamiast tego napisać list i włożyć go do butelki. Zrobić coś pięknego w czasie swoich ostatnich godzin na tym świecie. Pomóc człowiekowi w potrzebie. Rozwiązać sprawę. Zamierzała wrócić do domu, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Stała na skale, zmarznięta, mocno oplatając się ramionami.

Rikke JW. Rikke JW. Rikke JW. Pauline. Nie, nie Pauline. Rikke. R ikke. Er ikke.

Cholera.

Mia Krüger nagle oprzytomniała. Głowa, nogi, ramiona, krew, oddech, zmysły.

Rikke JW.

Jasne, jasne, jasne. Na litość boską, jak to możliwe, że wcześniej na to nie wpadła? To było przecież oczywiste. Jasne jak słońce. Ruszyła biegiem do domu. W ciemności się przewróciła, lecz natychmiast wstała i nie zamykając za sobą drzwi, wpadła do salonu. Potem do kuchni. Uklękła przed szafką pod zlewem kuchennym i zaczęła grzebać w koszu na odpadki. To chyba tam go wyrzuciła? Telefon, który zostawił jej Holger.

„Na wypadek gdybyś zmieniła zdanie”.

Znalazła telefon wśród śmieci i zaczęła szperać w poszukiwaniu kartki, którą Holger dołączył do telefonu. Żółtej karteczki samoprzylepnej z kodem PIN i numerem Muncha. Przeszła do salonu. Nie mogła czekać. Włączyła telefon. Drżącymi palcami wstukała PIN na małej klawiaturze. No jasne. Jasne. Nic dziwnego, że coś jej się tu nie zgadzało. Wszystko powinno do siebie pasować. I teraz pasowało. Ależ była głupia.

Mia wybrała numer Holgera i niecierpliwie czekała, aż odbierze. Włączyła się poczta głosowa, ale Mia wybrała numer po raz kolejny. I jeszcze raz. I znowu, dopóki nie usłyszała zaspanego głosu Holgera po drugiej stronie.

– Mia? – spytał Holger, ziewając.

– Zrozumiałam to – wysapała Mia, podekscytowana.

– Co rozumiałaś? Która godzina?

– Do diabła z godziną, zrozumiałam wszystko.

– Co rozumiałaś?

– Rikke JW.

– Mówisz poważnie? I co to jest?

– Wydaje mi się, że JW to Joachim Wicklund. Szwed ze sprawy z Hønefoss sprzed kilku lat. Pamiętasz go?

– Oczywiście – wymamrotał Munch.

– A Rikke – mówiła dalej Mia – oznacza po prostu „to nie”. „To nie Joachim Wicklund”. To ten sam człowiek. Ten sam co w Hønefoss.

Munch milczał przez dłuższą chwilę. Mii wydawało się niemal, że słyszy zgrzytające w jego głowie tryby. To zbyt szalone, żeby było prawdziwe, ale tak właśnie musiało być.

– Co o tym myślisz? – spytała Mia.

– To jakieś zupełnie wariactwo – powiedział wreszcie Holger. – Ale najgorsze jest to, że możesz mieć rację. To jak, wchodzisz w to?

– Tak – odpowiedziała Mia. – Ale tylko na czas tej sprawy. Po wszystkim kończę. Mam co innego do roboty.

– Jasne. Decyzja należy wyłącznie do ciebie – powiedział Munch.

– Jesteśmy z powrotem na Mariboesgate?

– Tak.

– Przylecę jutro.

– Świetnie. Widzimy się.

– Na razie.

– Prowadź ostrożnie, Mio.

– Zawsze jestem ostrożna, Holger.

– Nigdy nie jesteś ostrożna, Mio.

– Pieprz się, Holger.

– Ja też cię lubię, Mio. Dobrze, że wracasz. Do zobaczenia jutro.

Mia się rozłączyła i przez chwilę stała nieruchomo, uśmiechając się do samej siebie. Spokojnie przeszła do salonu i zobaczyła wszystkie tabletki, które położyła na stoliku.

„Chodź, Mio, chodź”.

Przeprosiła w myślach swoją bliźniaczkę. Sigrid musi jeszcze chwilę poczekać. Było coś, co Mia Krüger musiała najpierw zrobić.

# CZEŚĆ II



Gabriel Mørk stał na chodniku przy Mariboegade i czekał, aż ktoś po niego przyjdzie. Trochę się niepokoił. Był pewien, że komenda policji mieści się na Grønland i że to tam powinien się zjawić. Najwidoczniej było inaczej. Otrzymał esemesa. Spotkanie na Mariboegade. „Odbierzemy cię o 11”. Nadawcy brak. Żadnego numeru. Naprawdę dziwne. Cały ubiegły tydzień okazał się dziwny i na swój sposób ekscytujący, ale Gabriel Mørk jeszcze nie do końca przeczuwał, na co się zgodził.

Praca. Nigdy wcześniej nie pracował. Podporządkowywać się szefowi. Zespołowi. I takie tam. Rzeczywistość. Ranne wstawanie. Bycie częścią społeczeństwa. To zupełnie nie to, o czym myśli dwudziestoczteroletni człowiek.

Gabriel Mørk ożywał nocą, kiedy inni już spali. Lepiej mu się wtedy myślało. Za oknem nocne ciemności, pokój rozświetlony jedynie blaskiem monitorów. Pokój... Gabriel Mørk niechętnie przyznawał się, że wciąż mieszka w swoim dziecięcym pokoju w domu rodziców. Wprawdzie z osobnym, własnym wejściem i łazienką, ale wciąż z matką pod tym samym dachem. Było to trochę krępujące i gdy – rzadko bo rzadko – zdarzało mu się poznać kogoś nowego albo spotykać się ze starymi znajomymi z czasów szkoły, nigdy się tym nie chwalił. Znał wielu hakerów, którzy tak jak on mieszkali z rodzicami, ale to nie miało żadnego znaczenia.

Teraz wszystko miało się zmienić. Zupełnie nagle. Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. A może właśnie na to czekał przez całe życie? Poznał ją przez Internet zaledwie przed siedmioma miesiącami, a już była w ciąży. Teraz mieli przeprowadzić się do wspólnego mieszkania, a on stoi właśnie na środku chodnika i ma zacząć pracę w policji. Gabriel Mørk nigdy nie uważał się za człowieka sukcesu. Fakt, jeśli chodzi o komputery, niewielu było od niego lepszych. Ale w realnym życiu... W szkole trzymał się zazwyczaj na uboczu. Krępował się, kiedy dziewczyny podchodziły do niego albo chciały go gdzieś zaprosić. Po skończeniu szkoły, kiedy reszta klasy upijała się do nieprzytomności nad Tryvann, on został w domu. Następnej jesieni zapisał się na kilka przedmiotów na wydziale informatycznym, ale ani razu nie pojawił się na wykładach. Cóż miałyby tam zresztą robić? Wszystko to już od dawna umiał.

Nerwowo rozglądał się wokół, ale w dalszym ciągu nic nie wskazywało na to, by ktoś miał się po niego zjawić. A może z tą pracą w policji to tylko głupi żart? Z początku myślał, że zakpił sobie z niego jeden z jego internetowych kumpli. Znał paru takich, którzy uważali takie rzeczy za wyjątkowo śmieszne. Zabawa cudzym życiem. Włamanie do szpitalnych systemów informatycznych i kradzież dokumentacji medycznej. Włamanie do komputerów kancelarii adwokackich. Wysyłane do przypadkowych kobiet wiadomości, że są w ciąży. Fałszowanie wyników testów na ojcostwo. Radość z przysparzanych ludziom problemów. Gabriel Mørk był zupełnie innym typem hakera, ale znał wielu takich ludzi. Niewykluczone, że jeden z nich sobie z niego zażartował. Ale coś mu mówiło, że jest

inaczej. Mężczyzna, który do niego zadzwonił, sprawiał wrażenie wiarygodnego. Jego nazwisko mieli otrzymać od angielskiej GCHQ<sup>2</sup>. MI-6. Wywiad. Gabriel Mørk zrobił to co wielu jego znajomych: rozwiązał zadanie, które zeszłej jesieni niespodziewanie pojawiło się w Internecie. Canyoucrackit? Dla zwykłych ludzi pozornie nierozwiązywalny kod. Sto sześćdziesiąt par cyfr i liter oraz, dla zwiększenia napięcia, zegar odmierzający czas do zakończenia zadania. Nie złamał kodu jako pierwszy, ale nie był daleko w tyle za zwycięzcą. Jako pierwszy zrobił to Rosjanin, blackhacker, który rozwiązał kod zaledwie kilka godzin po jego udostępnieniu w sieci. Gabriel Mørk wiedział, że Rosjanin nie złamał samego kodu, lecz włamał się tylnymi drzwiami na stronę internetową canyoucrackit.co.uk i znalazł adres HTML, który miał być odpowiedzią. Samo w sobie dość zabawne, lecz na dobrą sprawę nie było w tym nic wyjątkowego.

Gabriel Mørk natychmiast się zorientował, że ma do czynienia z kodem maszynowym X86 z zaimplementowanym algorytmem RC4. Zadanie nie było łatwe. Twórcy kodu umieścili w nim oczywiście kilka pułapek, między innymi ukrywając blok danych w pliku PNG, w obrazku z kodem. Odszyfrowanie samych cyfr okazało się niewystarczające. Gabriel poświęcił na to kilka nocy. Interesujące wyzwanie. Rozwiązanie kodu wcale nie było jednak zabawne. Okazało się, że wszystko to było piarową akcją GCHQ, jednej z brytyjskich służb specjalnych. Testem. Ofertą pracy. „Jeśli udało ci się złamać ten kod, jesteś wystarczająco dobry, żeby pracować u nas”.

Podał swoje nazwisko i opisał sposób, w jaki rozwiązał kod, ot tak, dla zabawy. Wkrótce otrzymał odpowiedź. Tak, rozwiązał zadanie prawidłowo, ale o pracę mogą ubiegać się niestety tylko obywatele brytyjscy.

Gabriel Mørk nie zaprzętał sobie tym więcej głowy. Aż do ubiegłego piątku, kiedy zadzwonił telefon. Dzisiaj jest czwartek, a on stoi z komputerem pod pachą i ma spotkać się nie wiadomo z kim, żeby zrobić nie wiadomo co. Pracować w policji.

– Gabriel Mørk?

Gabriel drgnął i się odwrócił.

– Tak?

– Cześć, jestem Kim.

Mężczyzna wyciągnął dłoń. Gabriel kompletnie nie zauważył, kiedy się pojawił. Być może dlatego, że wyglądał zupełnie zwyczajnie i niczym się nie wyróżniał. Gabriel w duchu spodziewał się migających świateł, dźwięku syreny i munduru, w każdym razie czegoś, co bardziej kojarzyło się z policją. Tymczasem mężczyzna, który stał przed nim, mógł być kimkolwiek. Był niemal niewidzialny. Zwykłe spodnie, zwykłe buty, zwykły sweter, w kolorach, które w żaden sposób nie wyróżniały go z tłumu. Gabriel uświadomił sobie, że tak właśnie miało być. Policjant po cywilnemu. Wyszkolony, jak się nie wyróżniać. Jak nie rzucać się w oczy wśród innych. Jak niespodziewanie wyłonić się jak spod ziemi.

– Chodź za mną, pójdziemy na górę – powiedział mężczyzna imieniem Kim i przeciąwszy ulicę, ruszył w kierunku żółtego budynku. Przy drzwiach wejściowych policjant przeciągnął kartę przez czytnik i wstukał kod. Drzwi się otworzyły. Gabriel poszedł za mężczyzną do windy. I znów ta sama procedura. Aby uzyskać dostęp do windy, potrzebna była karta. Mørk ukradkiem przyglądał się funkcjonariuszowi, gdy ten wpisywał

kod na klawiaturze. Gabriel zupełnie nie wiedział, co powiedzieć i czy w ogóle powinien coś mówić. Nigdy wcześniej nie był na policji i nigdy nie jeździł windą, do której dostępu broni kod. Policjant imieniem Kim sprawiał wrażenie spokojnego, zupełnie jak gdyby przyprawianie z ulicy nowych kolegów czy wpisywanie kodów przy windach to był dla niego chleb powszedni. Nie różnili się specjalnie wzrostem, ale policjant sprawiał wrażenie mocniej zbudowanego. Mimo całej tej maski przeciętności dało się zauważyć, że jest wysportowany. Miał krótkie włosy ostrzyżone na jeża i niezbyt dokładnie się golił. Gabriel nie potrafił ocenić, czy to celowe, czy zwyczajnie nie sięgnął gdzieś gdzieś golarką. Starał się nie przyglądać zbyt ostentacyjnie, ale kątem oka zauważył, jak policjant tłumii ziewnięcie. Długie dni w pracy. Z pewnością trudne sprawy.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Policjant wysiadł pierwszy. Gabriel poszedł za nim długim korytarzem, aż dotarli do kolejnych drzwi otwieranych kartą i z zamkiem cyfrowym. Nigdzie ani śladu jakichkolwiek tabliczek. Ani napisu „Policja”, ani żadnego innego oznaczenia. Zupełna anonimowość. Mężczyzna otworzył ostatnie drzwi i byli na miejscu. Pomieszczenia nie były zbyt duże, ale przestronne i jasne. Otwarte biuro z kilkoma stołami, kilka niewielkich pokojów tu i tam, większość ze szklanymi ścianami, niektóre z opuszczonymi roletami. Nikt nie zwrócił uwagi na ich wejście, wszyscy byli zajęci swoimi sprawami.

Gabriel poszedł za policjantem do niewielkiego pokoju o przeszklonych ścianach. Co prawda będzie widoczny jak na dłoni, ale za to w swoim własnym gabinecie.

– To twój – powiedział Kim, wpuszczając Gabriela do środka.

Pokój był skromnie urządzone. Stół, lampa, krzesło. Wszystko wyglądało na nowe.

– Wysłałeś spis rzeczy, które będą ci potrzebne?

Gabriel skinął głową.

– Chodziło o stół i lampę z IKEA?

Kim po raz pierwszy okazał coś na kształt emocji. Mrugnął i poklepał Gabriela po plecach.

– Eee, nie, było tego trochę więcej – odparł Gabriel.

– Tylko żartowałem. Technik już jedzie, zajrzy do ciebie w ciągu dnia. Chciałem cię oprowadzić i wszystkim przedstawić, ale nie zdążymy. Za pięć minut mamy briefing. Palisz?

– Czy palę?

– Tak. No wiesz, papierosy?

– Eee... nie.

– To dobrze. Nie ma tu zbyt wielu zasad, ale jedna jest ważna. Kiedy Holger Munch jest na balkonie dla palących, jest tam on i tylko on. Holger Munch wtedy myśli. I Holger Munch nie chce, żeby mu przeszkadzano. OK?

Policjant wyprowadził Gabriela z pokoju i wskazał ręką w kierunku balkonu. Gabriel zobaczył mężczyznę, zapewne Holgera Muncha. Szefa. Tego, który do niego zadzwonił i zaledwie po dziesięciu minutach dał mu tę pracę. W policji. Nie przeszkadzać szefowi, kiedy pali. OK. Gabriel nie zamierzał nikomu przeszkadzać ani robić czegokolwiek poza tym, o co go poproszą. Nagle zobaczył dziewczynę, która stała z Holgerem na balkonie.

– O cholera – wyrwało mu się. Miał wrażenie, że powiedział to tylko w duchu, ale Kim

się odwrócił.

– Co takiego?

– Czy to jest Mia Krüger?

– Znasz ją?

– Co? Nie, nie osobiście. Słyszałem o niej.

– A kto o niej nie słyszał? – uśmiechnął się Kim. – Ponadprzeciętnie utalentowana, bez dwóch zdań. Klasa sama w sobie.

– To prawda, że zawsze chodzi ubrana na czarno albo na biało?

Gabriel zadał to pytanie, nie zastanawiając się zbyt długo. Ciekawość wzięła górę, lecz natychmiast ugryzł się w język. To było nieprofesjonalne. Amatorskie. Zapomniał, że rzeczywiście dostał tę pracę. Kim pomyślał pewnie, że jest jej wielbicielem albo kimś w tym rodzaju. W pewien sposób była to prawda, ale to nie tak Gabriel Mørk pragnął zaprezentować się koledze pierwszego dnia w pracy.

Kim przez chwilę mu się przypatrywał, zanim odpowiedział.

– No tak, nie przypominam sobie, żebym widział ją w czymś innym. A bo co?

Gabriel się zaczerwienił i wbił wzrok w podłogę.

– Nic, po prostu przeczytałem to gdzieś w Internecie.

– Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co czytasz. – Kim się uśmiechnął i wyjął z kieszeni kurtki kopertę. – To twoja karta. Kodem jest twoja data urodzenia. Sala briefingowa znajduje się na końcu korytarza. Zaczynamy za pięć–dziesięć minut. Przyjdź punktualnie.

Kim mrugnął, raz jeszcze klepnął Gabriela po plecach i zostawił go samego w małym gabinecie. Gabriel zupełnie nie wiedział, co ma robić. Stać? A może usiąść? A może zwyczajnie pobiec do domu i zapomnieć o całej sprawie? Znaleźć inną pracę, jakieś inne zajęcie? Poczł się nieswojo. I jak można zjawić się punktualnie za pięć–dziesięć minut?

Otworzył kopertę i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył tam kartę ze swoim zdjęciem.

„Gabriel Mørk.

Wydział zabójstw”.

Poczł nagły przypływ dumy. Sekretne przejścia. Tajne kody. Agenci specjalni. A on był jednym z nich. I czy to nie Mia Krüger we własnej osobie stała właśnie na balkonie? Postanowił pójść do sali briefingowej za kilka minut. W tym tajemniczym miejscu, na górze równie tajemniczego budynku, lepiej będzie zjawić się za wcześniej niż równo o czasie.

Hodowca świń Tom Lauritz Larsen z Tangen był początkowo niechętnie nastawiony do Internetu. Ale Jonas, młody pracownik gospodarczy, który zamieszkał w jego domu, nalegał, aby sześćdziesięcioletni farmer podłączył się do sieci. W przeciwnym razie nie zamierzał pracować w gospodarstwie. Tom Lauritz Larsen oczywiście się zdenerwował, zazwyczaj był zdenerwowany. Powodów do radości miał niewiele, a teraz jak na złość jeszcze ta choroba płuc. Iść na zwolnienie? Do diabła, co to za brednie? W jego rodzinie nikt nigdy nie poszedł na chorobowe, co ten idiota lekarz sobie wyobraża? Uważa, że Tom Lauritz Larsen nie poradzi sobie z własnym gospodarstwem? Trzy pokolenia hodowców świń w Tangen i żaden z nich nigdy nie poszedł na zwolnienie, nigdy nie wziął od państwa ani grosza zasiłku chorobowego. Ale właśnie wtedy zaczęły mu się zdarzać omdlenia, ot tak, zdawałoby się zupełnie bez przyczyny. Raz po raz, tu i tam. Ostatni raz stracił przytomność w otwartej furtce chlewu. Kiedy się ocknął, wokół niego stali sąsiedzi, a świnię rozbiegły się po całej wsi. Tom Lauritz Larsen tak się zawstydził, że następnego dnia posłuchał rady lekarza i pojechał na badania do szpitala w Hamar. Poszedł na zwolnienie lekarskie. I za pośrednictwem urzędu pracy znalazł pracownika gospodarczego.

Jonas, dziewiętnastolatek ze Stange, był świetnym pracownikiem. Tom polubił go od pierwszej chwili. Nie należał do łamag, które miały dwie lewe ręce do roboty. Nie, chłopak potrafił wszystko, co trzeba było zrobić w gospodarstwie. Gdyby nie ta sprawa z Internetem... Mimo oporów po usilnych naleganiach dziewiętnastolatka Tom Lauritz Larsen zgodził się, żeby go zainstalować. Chłopak miał dziewczynę w Vestlandet i płacił słone rachunki za telefon. Rozmowy przez Internet były za darmo, a do tego widziało się drugą osobę. Do stu diabłów, teraz już to wiedział. W każdym razie Telenor przysłał montera z Hamar i od kilku miesięcy Internet docierał już do małego gospodarstwa.

Tom Lauritz Larsen nalał sobie jeszcze jedną kawę i otworzył stronę Norweskiego Związku Producentów Rolnych. Znalazł tam bardzo interesujący artykuł. Przeczytał go już ubiegłego wieczoru, ale zamierzał zrobić to jeszcze raz. Tekst prezentował dane statystyczne dotyczące hodowli świń w Norwegii. Od 2007 roku co czwarty hodowca trzody chlewnej w Hedmark zaprzestał działalności, gdyż ta zwyczajnie przestała się opłacać. Ci, którzy utrzymali się na rynku, hodowali przeciętnie 53,2 maciory, podczas gdy w zeszłym roku wskaźnik ten wynosił 51,1. Nie trzeba było wielkiego geniuszu, żeby wytłumaczyć sobie przyczyny tego zjawiska. Duży producenci stawali się jeszcze więksi, a mali wypadali z rynku.

Tom Lauritz Larsen wstał, żeby dolać sobie kawy, ale zatrzymał się przy oknie kuchennym, z filiżanką w ręce. Jonas wyskoczył z chlewu jak gdyby się paliło. Co się stało temu chłopakowi? Larsen ruszył do drzwi. Zdążył tylko wyjść na schody, gdy chłopak niemal się z nim zderzył. Był cały spocony, blady na twarzy, z paniką w oczach. Zupełnie jakby zobaczył ducha.

– Na litość boską, Jonas, co się stało? – zapytał Larsen.

– T a a a m... Kristi... Kristi...

Chłopak nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Pokazywał coś ręką i wymachiwał rękami jak obłąkany. Wreszcie pociągnął za sobą Larsena przez podwórze. Farmer wciąż był w domowych pantoflach, w dłoni miał filiżankę kawy. Jonas puścił go dopiero, gdy znaleźli się w chlewie, przy jednym z kojców. Widok, który ujrzał Tom Lauritz Larsen, był tak przerażający, że jeszcze wiele miesięcy później miał problemy, żeby opowiedzieć o tym, co zobaczył. Filiżanka wypadła mu z ręki. Nawet nie poczuł, jak gorąca kawa spływa mu po udzie. Na posadzce kojca leżała jedna z jego macior, Kristine. Martwa. Nie, nie maciora. Tylko jej korpus. Ktoś odciął jej głowę. Piłą elektryczną. Przepiłował jej szyję. Świnia nie miała już głowy. Pozostał jedynie korpus.

– Dzwon po lensmana<sup>3</sup> – powiedział Tom Lauritz Larsen i była to ostatnia rzecz, jaką pamięta. Potem zapadł w ciemność.

Tym razem nie z powodu płuc.

Sarah Kiese siedziała w korytarzu przed biurem adwokackim w Tøyen i kipiała ze złości. Jasno i wyraźnie dała adwokatowi do zrozumienia, że odrzuca spadek po swoim mężu. Zresztą o jakim spadku mowa? Dzieci, które miał z innymi kobietami? Wezwania z firm windykacyjnych domagających się spłaty długów i grożących zajęciem jej majątku? Sarah Kiese daleko było do ideału, ale w porównaniu ze swoim zmarłym niedawno mężem wydawała się aniołem. Popełniła wystarczające głupstwo, decydując się na dziecko z tym idiotą. Wstydziała się tego wtedy, wstydziała się i teraz. Nie dość, że urodziła mu dziecko, to jeszcze za niego wyszła. Dobry Boże, jaka musiała być głupia. Pamiętała ich pierwsze spotkanie w pubie na Grønland. Zaczął ją podrywać. Z początku jej się nie podobał, ale była słaba. Stawiał jej piwo i drinki. Szlag by to trafił, jaka była głupia. Ale już dobrze. Już po wszystkim. Zawsze będzie kochać córkę, mała nie miała przecież nic wspólnego z tym idiotą. Kiedy tak właściwie bywał w domu? Żeby wziąć od niej pieniądze? Pożyczyć na taki albo inny interes? Mówił, że jest fachowcem od remontów, ale czy gdziekolwiek pracował? Albo czy miał własną firmę? Nie, nic podobnego, żadnych planów ani ambicji. Tylko od czasu do czasu drobne zlecenia, raz na jakiś czas wpadało mu do kieszeni kilka koron. I zawsze przynosił do domu zapach innych kobiet. Zdarzało mu się nie brać prysznic i cuchnący innymi babami pchał się wprost pod jej czystą, świeżo wypraną pościel. Na samą myśl o tym Sarah Kiese zbierało się na mdłości. Na szczęście było już po wszystkim. Wypadł z dziewiątego piętra jednego z nowych budynków przy Operze. Pewnie znalazł sobie jakąś kolejną gównianą fuchę, na czarno, jak to zazwyczaj bywało. Wieczorem, bez żadnych zabezpieczeń. Sarah Kiese pisnęła ze szczęścia, kiedy otrzymała tę wiadomość. Poczowała radość na myśl, jak bardzo musiał się bać. Dziewięć pięter... Pięćdziesiąt metrów swobodnego lotu wprost ku śmierci, coś zupełnie fantastycznego. Jak on musiał się wtedy panicznie bać... Jak długo mógł spadać? Osiem, dziesięć sekund? Cudownie.

Spojrzała poirytowana na zegar w poczekalni, a potem na drzwi do gabinetu adwokata. Nie, nie, nie – powiedziała, kiedy zadzwonił. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym idiotą. Ale adwokacina nalegał. Pieprzone gnojki, jedna szajka. Nie chce już więcej żadnego mężczyzny, chyba że to będzie następca tronu. A zresztą nie, pewnie okazałby się takim samym bydlakiem jak inni. Żadnych mężczyzn. Jedyne ona i jej córka, w nowym niedużym mieszkaniu przy placu Carla Bernera. Będzie wspaniale. Tylko jej własny zapach pod kołdrą zamiast zapachu pięćdziesięciu tanich perfum zmieszanych z nieświeżym oddechem. Dlaczego właściwie zgodziła się tu przyjść? Czy nie powiedziała wyraźnie n i e? Czy to nie tego uczyła się na kursie, na który skierowała ją opieka społeczna? Mówić nie, nie, zakreślić wokół siebie krąg. Jesteś swoim najlepszym przyjacielem, nie potrzebujesz nikogo innego. Nie, nie, nie, nie.

– Sarah? Cześć. Dziękuję, że przyszłaś.

Adwokat z włosami zaczesanymi „na pożyczkę” wychylił głowę przez drzwi i gestem zaprosił Sarah do gabinetu. Przypominał jej małą mysz. Małe słabe oczy i obwisłe ramiona. Nie, nie mysz. Szczura. Odrażającego, małego, tchórzliwego kloaczego szczura.

– Powiedziałam: nie.

– Wiem. – Szczur uśmiechnął się przymilnie. – Ale jestem ci niezmiernie wdzięczny, że pomimo to zechciałaś się tu pofatygować. Okazało się mianowicie...

Odchrząknął.

– ...że jest coś, co przeoczyłem... Wtedy, kiedy dzielony był spadek. To tylko drobiazg. Mój oczywisty błąd.

– Jeszcze jakieś pisma z firm windykacyjnych? Kolejne wezwania do sądu?

– Ha, ha, ha! Nie. – Szczur odchrząknął ponownie i złożył dłonie w piramidkę. – Chodzi o to.

Otworzył szufladę i położył przed nią pendrive’a.

– Co to jest?

– Dla ciebie – odpowiedział szczur. – Dał mi to jakiś czas temu i poprosił, żebym ci to przekazał.

– Dlaczego nie dał mi tego sam?

Szczur uśmiechnął się blado.

– Może dlatego, że kiedy ostatnim razem pojawił się w twoim mieszkaniu, oberwał gorącym żelazkiem w twarz?

Sarah uśmiechnęła się w duchu na to wspomnienie. Zamknął drzwi od mieszkania. Zaskoczył ją. Nagle pojawił się w salonie. Chciał jej dotknąć, być dla niej miły. Jak zawsze, kiedy czegoś od niej potrzebował. Rzucone z ogromną siłą żelazko trafiło wprost w otwarte ze zdumienia usta. Nie zdążył zareagować i runął na podłogę. Od tamtej pory ani nie widziała ani nie słyszała tego idioty.

– Powinienem był dać ci to już dawno, ale miałem mnóstwo pracy – powiedział szczur, trochę zakłopotany.

– Chciałeś powiedzieć, że obiecał ci za to zapłacić, ale nigdy nie zobaczyłeś ani grosza? – powiedziała Sarah.

Adwokat się uśmiechnął.

– To by było chyba na tyle.

Sarah Kiese wzięła pendrive’a, włożyła go do torebki i ruszyła do drzwi. Szczur uniósł się z zakurzonego fotela i odchrząknął po raz kolejny.

– Tak, tak... A poza tym wszystko u ciebie w porządku, Sarah? Radzisz sobie czy...

– Pieprz się – odpowiedziała Sarah i wyszła z gabinetu, nie zamykając drzwi.

W drodze powrotnej do nowego mieszkania spółdzielczego przy placu Carla Bernera wiele razy kusilo ją, by zwyczajnie wyrzucić pendrive’a. Cisnąć nim do kosza na śmieci i wreszcie skończyć z tym człowiekiem. Z jakiegoś powodu tego jednak nie zrobiła. Nie, wcale nie była ciekawa, co na nim jest. Miała kompletnie gdzieś, co znajduje się na pendrivie. Sarah Kiese była jednak bardzo poukładana. Szczur czy nie szczur, ale bądź co bądź to adwokat. A mąż, nawet jeśli był idiotą, miał ostatnie życzenie. Daj Sarah tego pendrive’a. Jej i tylko jej.

Zamknęła za sobą drzwi do mieszkania i włączyła komputer. Najlepiej mieć to już



z głowy. Czarny laptop powoli budził się do życia. Podłączyła pendrive'a i skopiowała jego zawartość na pulpit. Był tam tylko jeden plik o nazwie Sarah.mov. Krótki filmik. Niech będzie. A więc jeszcze raz będzie musiała zobaczyć tę ohydną gębę? Prześladuje ją nawet z grobu? Kliknęła dwukrotnie na plik, aby odtworzyć film.

Sfilmował siebie samego. Małą kamerą, a może swoim telefonem? Sarah nie była pewna. Ohydna twarz wpatrzona wprost w obiektyw. I spojrzenie, którego nigdy wcześniej u niego nie widziała. Wydawał się śmiertelnie przerażony.

„Sarah, mam mało czasu, ale muszę to zrobić, muszę to komuś powiedzieć, bo czuję, że coś tu jest nie tak”.

Zatoczył kamerą wokół siebie.

„Zaproponowali mi pracę, i to ja to zbudowałem. Jestem teraz daleko w...”

Rozległy się jakieś dziwne dźwięki, trzaski, jak gdyby zakrył dłonią mikrofon telefonu. Przez chwilę nie słyszała, co mówi. Jej były mąż drżącymi rękoma wciąż filmował miejsce, w którym się znajdował. Coś mówił, ale większość jego słów ginęła w zgrzytach i trzaskach. Coś zbudował. I co z tego?

„...i się boję. Co ja tak właściwie zbudowałem? Widzisz to? Jestem głęboko pod ziemią. Myślałem, że to może jakiś schron, ale to nie jest schron. Zobacz. Widzisz tu ten mały otwór?”

Jego głos ponownie znikł w szumach i trzaskach. Coś w rodzaju podziemnego schronu.

„...Nie, coś tu jest nie w porządku. Czuję, że jest w tym coś dziwnego. Spójrz na to. Zobacz tutaj. Tym czymś możesz podnosić i opuszczać różne rzeczy. Coś jak winda towarowa. Albo...”

Jej były mąż nagle drgnął i obejrzał się za siebie. Wszystko to przypomniało jej film, który oglądała kilka lat wcześniej. Blair Witch Project. Kilkoro młodych ludzi biegło po lesie. Filmowali się, śmiertelnie przerażeni.

„...Cholera, nie wiem, ale czuję, że coś mi się przydarzy. Po prostu mam takie przeczucie. Nie masz pojęcia, jakie to zadupie. Możesz spisać to, co mówię, Sarah? Gdzie jestem i jak dostałem tę robotę? I pójść z tym na policję, jeśli coś mi się stanie? Dostałem to zlecenie od takiego jednego...”

Znów trzaski. Sarah Kiese nie słyszała nawet jednej trzeciej tego, co mówił jej nieżyjący były mąż, widziała tylko jego przerażone oczy i drżące usta, które wyrzucały z siebie kolejne słowa. Trwało to jeszcze minutę. Potem film się skończył.

I kogo zerżnąłeś, żeby dostać to zlecenie? A może to była robota za rżnięcie? W każdym razie nie zobaczyłam żadnych pieniędzy. Pomóc ci... O tak, to w twoim stylu.

Sarah poczuła się bardzo nieswojo, obejrzawszy ten krótki film, ale czuła, że nie ma najmniejszej ochoty cokolwiek z nim zrobić. Wiedziała tylko, że równie dobrze mógł to być wygłup, jakiś idiotyczny żart. W przypadku tego bydlaka już dawno przestała wierzyć w cokolwiek.

Sarah skasowała film z komputera. Odłączyła pendrive'a, wywaliła go do kosza na śmieci, wyszła na korytarz i wrzuciła worek z odpadkami do zsypu. Już. Mieszkanie znów było czyste. Tylko jej. Ani śladu po nim.

Wkrótce córka wróci ze szkoły. Życie było cudowne. W tym mieszkaniu to ona podejmowała decyzje. Wyszła na balkon i zapaliła papierosa. Położyła nogi na stole

i uśmiechnęła się do samej siebie. Zamknęła oczy i rozkoszowała się wiosennym słońcem, które wreszcie wynurzyło się zza chmur.

Jej życie. Niczyje inne. W końcu.

Gabriel Mørk zamierzał właśnie wyjść do sali briefingowej, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak?

– Cześć, Gabriel.

Holger Munch wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Gabriel skinął głową na powitanie i uściśnął wielką ciepłą dłoń.

– No tak... – powiedział Holger i podrapał się po głowie. – Widzę, że nie masz tu jeszcze wszystkiego?

– Nie – odpowiedział Gabriel. – Ale ten, no...

– Kim?

– Tak, Kim. Powiedział, że sprzęt jest już w drodze.

– Dobrze, dobrze – odpowiedział Holger, gładząc brodę. – Mieliśmy wcześniej na tym stanowisku kogoś innego, ale chłopak nie potrafił oprzeć się pokusom. Szkoda, ale co zrobić.

Gabriela korciło, żeby zapytać, jakiej pokusie nie oparł się jego poprzednik, ale zrezygnował. W oczach Muncha coś się kryło. To samo spojrzenie widział już u Kima. Ciężki, poważny wzrok, myśli błądzące gdzie indziej.

– Przepraszam za tę nieco niestandardową procedurę rekrutacyjną. Zazwyczaj spotykam się wcześniej ze wszystkimi, których przyjmuję, ale tym razem niestety nie miałem czasu.

– W porządku – odpowiedział Gabriel.

– Bardzo nam cię zachwalano – powiedział Munch. Kiwnął głową i poklepał Gabriela po plecach. – Jeszcze raz przepraszam za cały ten stres. Jest teraz trochę... Kim powiedział ci już co nieco?

Gabriel pokręcił głową.

– OK, stopniowo będziemy wprowadzać cię w nasze metody pracy. Czytałeś dziś gazety?

– W Internecie – odpowiedział Gabriel.

– Czy jakaś wiadomość zwróciła szczególnie twoją uwagę?

– Ta o dwóch dziewczynkach, których szuka cały kraj?

Munch skinął głową.

– Mia i ja wkrótce zdamy wam wszystkim pełną relację. Rozmawiam tu z tobą, żebyś wiedział, o co chodzi. Masz jakieś doświadczenie w pracy policyjnej?

Gabriel pokręcił głową.

– Nie zaprzataj sobie tym zbytnio głowy. Wybrałem cię ze względu na to, co potrafisz – powiedział Munch. – Jak powiedziałem, gdybyśmy mieli wystarczająco dużo czasu, wysłalibyśmy cię na kurs. Skróconą wersję szkoły policyjnej. Ale nie damy rady, wszystkiego musisz się uczyć na bieżąco. Gdybyś miał jakiś problem, po prostu mnie

zapytaj, OK?

– Wszystko jasne – skinął głową Gabriel.

– Świetnie – mruknął Holger, znów zaabsorbowany swoimi myślami. – I co sobie pomyślałeś?

– O czym?

– Po przeczytaniu dzisiejszych wiadomości – powiedział Munch.

– Ach, o tym – odpowiedział Gabriel, czerwieniąc się. Miał poczucie, że powinien był od razu domyślić się, o co pyta jego nowy szef. – Pomyślałem sobie chyba to co wszyscy. Byłem w szoku. Śledziłem sprawę tych dwóch zaginionych dziewczynek. Miałem nadzieję, że odnajdą się żywe.

Gabriel przypomniał sobie nagłówki w serwisach:

Pauline i Johanne zamordowane...

Jak dwie lalki na drzewie...

Rodziny w głębokiej żałobie...

Widziano białego citroëna...

Widzieliście te sukienki?

– Czy o to ci chodziło?

– Co?

Munch znów odpłynął myślami gdzieś daleko.

– Mam mówić dalej?

– Nie, w porządku – odpowiedział Munch. Położył mu rękę na ramieniu i ruszył w stronę drzwi. – Albo tak. Mów dalej.

Munch dał Gabrielowi znak, by usiadł, a sam oparł się o szklaną ścianę przy drzwiach.

– Trudno mi powiedzieć – odpowiedział Gabriel. – Dziś rano byłem jeszcze... zupełnie zwyczajnym gościem. Nie miałem pojęcia, że to będzie sprawa, nad którą... będę pracować.

Czuł się dziwnie, wypowiadając te słowa. Pracować. Nad sprawą. O morderstwo. Gazety były po oczach krzykliwymi nagłówkami, stacje telewizyjne nie pozostawały dłużne. Wszyscy rozmawiali o znalezieniu ciał dwóch dziewczynek, które zaginęły kilka tygodni wcześniej i których szukała cała Norwegia. Było oczywiste, że policja wiedziała więcej, niż ujawniła mediom. Szukali kogoś, kto widział wcześniej te ubrania. Sukienki, w których zostały znalezione dziewczynki. Ubranka dla lalek. W powietrzu unosiły się słowa, których nikt jeszcze nie odważył się użyć. To przecież Norwegia, a nie USA czy inny kraj, gdzie takie rzeczy się zdarzały. Seryjny morderca. Słowa, których nikt nie wypowiedział głośno, lecz o których myśleli wszyscy.

– Pomyślałem sobie, że to ten sam sprawca – powiedział Gabriel.

– Dobrze, mów dalej.

– Pomyślałem sobie, że to zupełnie nie pasuje do Norwegii.

– Słusznie. Dalej.

– Ucieszyłem się, że to nie były dzieci kogoś, kogo znam – kontynuował Gabriel.

Munch dał mu znak ręką, by nie przerywał.

– Dziwne w tym wszystkim jest to, że obie dziewczynki miały niedługo pójść do szkoły. Na początku przyszło mi do głowy, że mógł mieć z tym coś wspólnego jakiś nauczyciel.

Potem pomyślałem sobie, że być może znikną kolejne dziewczynki. A potem, że gdybym miał sześćioletnią córkę, pilnowałbym jej teraz szczególnie.

- Co powiedziałeś? – powiedział Munch, nieco oprzytomniawszy.
- Gdybym miał sześćioletnią córkę, pilnowałbym jej teraz szczególnie.
- Nie, wcześniej.
- Że być może znikną kolejne dziewczynki?
- Jeszcze wcześniej.
- Przyszło mi do głowy, że być może ma z tym coś wspólnego jakiś nauczyciel.
- Hm... – powiedział Munch, ponownie gładząc brodę.

Otworzył drzwi.

- A tak przy okazji. Jesteś dobry w kodowaniu?

Gabriel się uśmiechnął.

- Myślałem, że to właśnie dlatego mnie zatrudniłeś.
- No tak, w pewnym sensie – uśmiechnął się Munch.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął kartkę, na której było coś nagryzmołone.

- To nic pilnego, sprawa prywatna. Pomyślałem sobie, że może mógłbyś mi pomóc.

Podał Gabrielowi kartkę.

- Mam wśród znajomych kilku maniaków komputerowych, którzy chętnie rzucają mi wyzwania. Jeden z nich przysłał mi właśnie to. Nie potrafię rozgryźć tego kodu.

Gabriel spojrzał na kartkę podaną mu przez Muncha.

`bwlybjlynwnztirkjao=5.`

- Wiesz, co to jest? – zapytał Munch z ciekawością.
- Nie tak od razu – mruknął Gabriel.
- Próbuję to rozszyfrować od kilku dni, ale wydaje mi się, że będę musiał spasować. Dasz radę coś z tego wyciągnąć? Złości mnie, kiedy ci moi kumple zapędzają mnie w kozi róg.

Munch się uśmiechnął i znów klepnął Gabriela w plecy.

- Ale to naprawdę nic pilnego. Sprawa prywatna, OK?
- Jasne – kiwnął głową Gabriel.

Munch ponownie ruszył w kierunku drzwi. Tym razem wyszedł już na korytarz, ale po chwili w drzwiach pokazała się jego głowa.

- Za chwilę briefing, pamiętasz?
- Jasne – kiwnął głową Gabriel, przyglądając się zadaniu, które zostawił mu Munch.

Benjamin Bache nie potrafił ukryć rozczarowania, gdy przebiegłszy wzrokiem artykuł w najnowszym wydaniu „Verdens Gang”, nie znalazł w nim swojego nazwiska. Gazeta wybrała najlepiej ubranych ludzi w Norwegii. W zeszłym roku zajął trzecie miejsce, pokonany tylko przez Mortena Harketa i Ariego Behna. W tym w ogóle nie znalazł się w zestawieniu. Niech to szlag. Aktor z całej siły uderzył dłonią w ścianę garderoby, ale natychmiast tego pożałował. Nie dość, że zabolalo, to jeszcze narobił hałasu. Chwilę później w drzwiach pojawiła się głowa Susanne, asystentki reżysera.

– Wszystko w porządku, Benjamin? Słyszałam jakiś huk.

Benjamin Bache schował bolącą rękę do kieszeni i uśmiechnął się najpiękniej jak potrafił. Był przecież aktorem.

– Lepiej być nie może. Może to u Tronda-Espena?

– W porządku – uśmiechnęła się Susanne. – Próba o piętnastej, akt trzeci od początku.

– Spóźnić się albo nie spóźnić, oto jest pytanie – odpowiedział Benjamin i puścił do niej oko.

Asystentka zachichotała i poszła. Niech będzie, trochę przesadził, ale co to, do cholery, ma znaczyć? W zeszłym roku znalazł się na liście, co się stało, że w tym go zabrakło? Przecież przykładał taką wagę do swojego ubioru. Korzystał nawet z usług specjalisty PR i stylistki, którzy doradzali mu w sprawach wizerunku. Uczyli go, jak dobrze wyglądać. Jak się ustawić, żeby jak najlepiej wypaść przed fotoreporterami. Westchnął i usiadł przed lustrem. Przez ostatni rok prawie się nie zmienił. Kilka małych zmarszczek wokół oczu. Może trochę większe zakola. Pochylił się i uważnie przyjrzał swoim włosom. Faktycznie, nie wyglądało to najlepiej. Jak gdyby od ostatniego razu, kiedy je kontrolował, zakola powiększyły się o kilka milimetrów. Zaczesał włosy nieco na bok. Teraz wyglądało to lepiej. Zrobił kilka ćwiczeń głosu. Zaczął rozgrzewać gardło. Pokazał dzióbek swojemu odbiciu w lustrze.

Prawie od ośmiu lat pracował w Teatrze Narodowym. „Narodziła się gwiazda” – napisał „Dagbladet” o jego występie w roli Estragona w *Czekając na Godota* Samuela Becketta. Od tamtego czasu, zwłaszcza w początkowych latach, był obsadzany niemal wyłącznie w głównych rolach. Zagrał Romea. Zagrał Peera Gynta. Wkrótce na głównej scenie miał być wystawiany *Hamlet* Szekspira, a on znów miał nadzieję na główną rolę. *Hamlet*. „Być albo nie być”. Tymczasem przypadła mu tylko rola Horacego. Rolę *Hamleta* dostał oczywiście Trond-Espen. Bache kompletnie nie rozumiał dlaczego. Był przecież dużo lepszym aktorem.

Dobry Boże...

Występ w cieniu Tronda-Espena. Zupełnie mu to nie odpowiadało. Pieprzony Horacy. Żadnego pola do popisu, dialogi właściwie tylko z *Hamletem*. Stać i zginać kark przed królem Trondem-Espenem... Nie, to mu się w ogóle nie podobało.

Benjamin Bache wstał i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Wyglądał znakomicie. To trochę poprawiło mu nastrój. Trening, który aplikował sobie ostatnimi czasy, przynosił efekty. Do tego joga. Pomogły też zabiegi kosmetyczne. Nigdzie na skórze nie widział ani jednej plamki.

Usiadł w fotelu i ponownie zaczął rozgrzewać gardło, gdy z głośnika odezwał się głos inspicjenta: „Gotowi na próbę aktu trzeciego. Hamlet, akt trzeci, od początku, za pięć minut”.

Benjamin Bache przerwał wprawki. Wyszedł z garderoby i ruszył w stronę głównej sceny.

Gabriel Mørk siedział w ostatnim rzędzie sali briefingowej i czekał na rozpoczęcie spotkania. Przywitał się ze wszystkimi, uściśnął im dłonie, ukłonił się, ale części imion i tak nie udało mu się zapamiętać. To Kim, ten, który przyprowadził go z ulicy. Ta długowłosa blondynka to Anette. Było też trzech młodych mężczyzn, ale nie pamiętał ich imion, i jeden trochę starszy. Czy przypadkiem nie miał na imię Ludvig?

Do pokoju wszedł Holger Munch, a zaraz za nim Mia Krüger. Usiadła na krześle na samym przedzie. Munch włączył projektor i podłączył do niego swój laptop.

– Witam wszystkich. Dziś pierwszy briefing, na którym ekipa jest w komplecie. Cały zespół razem i właśnie tego nam teraz potrzeba. Jest wśród nas kilka nowych twarzy, witajcie. Ci, którzy byli tu już wcześniej, spróbują wdrożyć nowych do pracy w grupie, tak abyśmy wszyscy mogli dać z siebie jak najwięcej. Od odnalezienia Pauline Olsen minęło dziesięć dni, od odnalezienia Johanne Lange osiem. Początkowo staraliśmy się trzymać wszystko w tajemnicy przed mediami, ale potem zdecydowaliśmy się wykorzystać je do naszych celów. Z pewnością zorientowaliście się już, że opublikowaliśmy dziś zdjęcia sukienek, które miały na sobie dziewczynki.

Holger przerwał na chwilę i omiół wzrokiem po zebranych. Gabrielowi Mørkowi wydawało się, że w poważnym spojrzeniu zobaczył cień uśmiechu.

– Właściwie powinniśmy byli uczcić fakt, że jesteśmy z powrotem na Mariboegate – powiedział Munch. – Ale jak wiecie, mamy do wykonania ważne zadanie. Świątowanie odłożymy więc na później.

Gabriel rozejrzał się po pokoju. Choć atmosfera był poważna, dostrzegał uśmiechy i zadowolenie w oczach kilku obecnych. Nie ulegało wątpliwości, że członkowie grupy cieszą się z ponownego spotkania.

– Niektórzy z was są tu od początku, ale część jest nowa. Dlatego najlepiej będzie, jeśli zreferuję wszystko jeszcze raz. Dodam tylko, że zapis całego briefingu znajdziecie na serwerze w postaci pliku PDF, będzie dostępny jeszcze dziś. Dzielimy się też ze sobą informacjami. Jeśli czegoś się dowiecie, wrzucajcie to na serwer. Wszyscy mają wtedy dostęp do wszystkiego, praca idzie szybciej, a i nam jest łatwiej, kiedy trzeba napisać raport.

Munch wcisnął klawisz i na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie prezentacji. To były inne zdjęcia niż te, które pojawiły się dziś na pierwszych stronach gazet. Fotografie przedstawiały dziewczynki wiszące na drzewach, przebrane w sukienki. Gabriel Mørk nigdy nie widział czegoś takiego. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, gdzie się znalazł. To nie film. To nie telewizja. To rzeczywistość. Te dwie dziewczynki nie żyły. Ktoś pozbawił je życia. Już nie oddychały. Już nigdy niczego nie powiedzą. Już nigdy się nie uśmiechną. Nigdy nie pójdą do szkoły. Gabriel Mørk starał się panować nad sobą, zmuszał się do patrzenia na zdjęcia niezależnie od tego, jak bardzo od tego widoku skręcał mu się żołądek.



Czuł się rozbity, było mu słabo. Zemdleć już na pierwszym briefingu? To z pewnością nie zrobiłoby dobrego wrażenia.

– Pauline Olsen i Johanne Lange – powiedział Munch. – Obie sześć lat. Jesienią miały pójść do szkoły. Zaginięcie Pauline zgłoszono przed czterema tygodniami, Johanne przed trzema.

Nowe zdjęcia, nowe mapy.

– Pauline zniknęła z przedszkola przy kościele Skøyen. Została znaleziona w Maridalen. Johanne zniknęła z przedszkola Lille Ekeberg, została znaleziona w lesie Krok, w pobliżu drogi na Hadeland. Trudno ustalić dokładne czasy zgonów, ale wszystko wskazuje na to, że dziewczynki przez jakiś czas były przetrzymywane, a dopiero potem przebrane w te sukienki i pozostawione tak, jak je znaleźliśmy.

Munch wcisnął klawisz. Kolejne zdjęcia. Gabriel nie był w stanie patrzeć na wszystkie. Co chwila wbijał wzrok w swoje buty.

Boże jedyny, na co ja się zgodziłem? Te dziewczynki naprawdę nie żyją. Ofiary jakiegoś groteskowego przedstawienia.

Chciał wrócić do łóżka. Czuł, że w ciągu zaledwie kilku minut jego życie wywróciło się do góry nogami. Żałował, że zobaczył te zdjęcia. Żałował, że są na świecie ludzie, którzy robią takie rzeczy. Nagle zrobiło mu się bardzo ciężko. Nigdy wcześniej nie doświadczył równie przejmującego smutku. Wiedział, że takie rzeczy się zdarzają, a jednocześnie nie miał o tym pojęcia. To tutaj było takie nierzeczywiste... Nie. Aż za bardzo rzeczywiste.

C h o l e r n i e r z e c z y w i s t e. Takie właśnie było. Gabriel wziął głęboki wdech. Musiał mocno się skoncentrować, żeby zachować spokój.

– Nie ma śladów molestowania seksualnego – kontynuował Munch. – Dziewczynki były świeżo wykąpane, miały przycięte i wyczyszczone paznokcie, uczesane włosy. Obie miały na szyi kartkę z Norwegian Air: „Podróżuję sama”. Obie miały na plecach tornistry. Obie zostały zamordowane śmiertelną dawką narkotyków. Wydaje się oczywiste, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą i że zarówno uprowadzenia, jak i morderstwa starannie zaplanowano. Pauline została znaleziona przez niejakiego Waltera Henriksena. Mamy go w naszej bazie, ale z zupełnie innych powodów. Parę lat temu dwa razy został zatrzymany po pijanemu za kółkiem. Nie ma powodu przypuszczać, że ma coś wspólnego z tą sprawą. Johanne znaleźli dwaj bracia, Tobias i Torben Iversenowie, trzynastie i siedem lat. Ich ojczym Mikael Frank to również nasz stary znajomy, siedział pół roku za jakieś drobiazgi. Ale i w tym przypadku nie ma powodu zakładać, że jest w jakiś sposób zamieszany w sprawę. Za każdym razem wypyaliśmy szczegółowo okolicznych mieszkańców. Dało to niewiele, ale mamy, jak wiecie, wzmiankę o samochodzie. Ten trop może być interesujący. Białe citroën, rocznik nieznan.

Munch wcisnął klawisz i na ekranie pojawiły się zdjęcia z gazet. Munch upił łyk ze stojącej na stoliku przed nim butelki wody mineralnej i mówił dalej:

– Sukienki to kopie ubrań dla lalek. Uszyte na zamówienie, tak aby pasowały na dziewczynki. Jeśli sprawca uszył je sam, prawdopodobnie nie ruszymy dalej, ale możemy mieć nadzieję, że zlecił ich wykonanie komuś innemu. Komuś, kto nie wiedział, do jakiego celu zostaną użyte. Dlatego przekazaliśmy dziś ich zdjęcia do gazet, być może ktoś je rozpozna. Jak do tej pory bez powodzenia. Anette?

Munch odwrócił się do blondynki.

– Na razie cisza – odpowiedziała Anette. – Ale jest wciąż dość wcześnie.

– Racja. – Munch pokiwał głową. – Dla tych, którzy jeszcze tego nie wiedzą: Anette jest łącznikiem między nami a centralą na Grønland. Cała komunikacja przechodzi przez nią, nie życzymy sobie stąd żadnych przecieków. Po to zaszyliśmy się tutaj. Prawda, Kim?

– I po to, żebyś mógł palić na balkonie?

Wśród zebranych rozległy się stłumione śmiechy.

– Dziękuję bardzo, Kim. Uważaj, żebyś wychodząc stąd, nie uderzył się tyłem głowy o drzwi. Żarty na bok, powtarzam to jeszcze raz. Nie rozmawiamy z nikim. Ani z dziennikarzami, ani z kolegami z Grønland, ani z krewnymi, przyjaciółmi, żonami, kochankami, współmieszkańcami, dziewczynami, ani, w twoim przypadku, Kim, z psem.

Znów rozległy się chichoty. Gabriel Mørk się rozejrzył. Nie rozumiał, jak można śmiać się w takiej sytuacji. Potem jednak dotarło do niego, że nie zostało im nic innego. Dystans. Zachowywali emocjonalny dystans. Gdyby nie on, nie byłiby w stanie myśleć jasno, nie potrafiliby wykonywać należycie swojej pracy.

Nie odczuwać zbyt wiele. Nie angażować się emocjonalnie.

Wziął głęboki wdech i sam spróbował się zaśmiać, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

– To, co wiemy, zachowujemy dla siebie – powiedział Munch. – Otrzymamy wszelką niezbędną pomoc, wystarczy zwrócić się do Anette. Niezależnie od tego, czego będziecie potrzebować, pytajcie Anette. W tej sprawie mamy do dyspozycji nieograniczone środki.

– Co masz na myśli mówiąc: nieograniczone? – spytał Kim.

– Mam na myśli to, że nie obowiązują nas żadne limity – odpowiedział Munch. – Nadgodziny, samochody, sprzęt, ludzie. Ta sprawa ma najwyższy priorytet nie tylko dla nas i nie tylko dla centrali. Interesuje też cały kraj. Polecenia przychodzą z samej góry, i nie mam tu na myśli Mikkelsona.

– Minister sprawiedliwości? – zapytał jeden z mężczyzn, którego imienia Gabriel nie mógł sobie przypomnieć.

Miał ogoloną głowę i wyglądał dość groźnie. Mógłby grać przestępców w filmach.

– Między innymi – skinął głową Munch.

– Premier? – mężczyzna nie dawał za wygraną.

– Gabinet premiera jest o wszystkim informowany na bieżąco – odpowiedział Munch.

– Czy to nie w tym roku mamy wybory? – Mężczyzna z ogoloną głową wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu.

– Zawsze są jakieś wybory, Curry – uśmiechnął się Kim.

Curry. A więc tak miał na imię. Gabrielowi wydawało się, że powiedział „Kari”.

– Wasze zdanie na temat premiera mnie nie interesuje – podjął na nowo Munch nieco ostrzejszym tonem. – Obie te dziewczynki mogły być naszymi córkami. Zajrzyjcie do Internetu, do gazet. Kraj jest w żałobie, w kompletnym szoku. Rozwiążemy tę sprawę, i to nie tylko dlatego, żeby oddać sprawiedliwość rodzinie tych dziewczynek. Sytuacja jest nadzwyczajna, ludzie są śmiertelnie przerażeni, więc twoje poglądy polityczne mam głęboko gdzieś, Curry. Rząd nas wspiera i jak już powiedziałem, mamy do dyspozycji nieograniczone środki. Naszym zadaniem nie jest doszukiwanie się motywów politycznych,

mamy znaleźć sprawcę. To nasza robota.

Na chwilę w sali zapanowała niezręczna atmosfera. Mężczyzna o imieniu Curry zamilkł, spuścił głowę i zaczął nerwowo przebierać palcami. Gabriel jeszcze nie widział Muncha takiego. Przez telefon i wcześniej, w jego pokoju, sprawiał wrażenie miłego i opanowanego. Ciepłego jak pluszowy miś. Teraz jednak bardziej przypominał niedźwiedzia. Z gniewem w oczach i gniewem w głosie. Gabriel zaczynał powoli rozumieć, dlaczego to Munch, a nie kto inny, jest tutaj szefem.

– Jak już wszyscy się zorientowaliście, znów jest z nami Mia – kontynuował Munch już swoim zwykłym tonem.

– Witajcie znowu – powiedziała Mia Krüger, która do tej pory nie odezwała się jeszcze ani słowem. Wstała i stanęła przed ekranem.

Wśród zebranych rozległy się pojedyncze oklaski i ciche gwizdy.

– Dziękuję wam wszystkim. Miło być tu z powrotem.

Gabriel ukradkiem zerkał na Mię. Nie miał odwagi, by spojrzeć na nią wprost, i bał się, że wszystko ma wypisane na twarzy. To było dla niego trochę zbyt wiele. Martwe Pauline i Johanne powieszono na drzewach, a teraz kilka metrów od niego sama Mia Krüger. Gabriel Mørk nie był jedynym człowiekiem, który w tamtym czasie fascynował się Mią Krüger. Na Facebooku można było kiedyś znaleźć nawet strony gromadzące jej fanów, choć Gabriel nie miał pewności, czy wciąż istniały. Zastanawiał się, czy nie „polubić” jednej z nich, choć jako haker Gabriel Mørk doskonale wiedział, że każde działanie w sieci zostawia po sobie ślad, który można wytropić. Dlatego zawsze był bardzo ostrożny. Chodziły plotki, że Mia Krüger z premedytacją zastrzeliła chłopaka swojej siostry, jakiegoś ćpuna. Gazety rozpisywały się o tym przez kilka tygodni, dopóki sprawa nie zeszła na dalszy plan wyparta przez inne sensacje. Raport końcowy stwierdzał, że Mia Krüger zachowała się zgodnie z procedurami, ale mimo wszystko na jakiś czas słuch o niej zaginął.

Szczupła kobieta z kruczoczarnymi włosami miała na sobie czarno-biały golf i obcisłe czarne spodnie z zamkami błyskawicznymi na udach. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Miała mętne spojrzenie, była znacznie szczuplejsza niż na zdjęciach w gazetach. Mia Promień Księżycyca. Tak nazywano ją w sieci. Jak bohaterka komiksu, którego tytuł nic Gabrielowi nie mówił – był za młody. Seria nosiła tytuł Srebrna strzała. Jedną z jego bohaterek była prześliczna Indianka, Promień Księżycyca. Podobno w latach osiemdziesiątych wszyscy mali chłopcy byli w niej zakochani po uszy.

Mimo to nie potrafił powstrzymać się od ukradkowych spojrzeń. Mia Krüger. To pewnie dlatego, że w Norwegii nie było zbyt wielu znanych śledczych specjalizujących się w morderstwach. Piękna, młoda, utalentowana, niebieskooka Norweżka, urodą przypominająca Indiankę, do tego zamieszana w skandal. Doskonały materiał dla prasy brukowej. Współczuł jej. Wyglądała naprawdę na wyczerpaną. Chude nogi w ciężkich butach motocyklowych z klamrami, które pobrzękiwały cicho przy każdym ruchu. Na jednym nadgarstku miała srebrny łańcuszek, na drugim skórzany rzemyk. Na ich temat w internetowych grupach dyskusyjnych krążyło wiele opowieści. Srebrny łańcuszek miał być jakoby prezentem od jej siostry, zmarłej po przedawkowaniu narkotyków. Rzemyk zabrała podobno pewnemu Łotyszowi, handlarzowi żywym towarem, podejrzanemu

o zabicie młodej kobiety, którą wcześniej przeschmugłował do Norwegii. Zdarzyło się to na początku kariery Mii. Łotyszowi udało się wywołać w niej współczucie i na czas przesłuchania zdjęła mu kajdanki. Zaatakował ją schowanym w bucie nożem do tapet. Z twarzą zalaną krwią udało jej się obezwładnić napastnika. Jego nożem do tapet odcięła mu rzemyk z nadgarstka. Teraz nosiła go, żeby przypominał jej, że nie może pozwolić sobie nawet na chwilę słabości. Niemal straciła wtedy oko, blizna była wciąż widoczna. Plotki i opowieści. Gabriel nie miał pojęcia, jak wyglądała prawda, ale i tak było to fascynujące. Teraz stała przed nim. I mieli pracować razem.

Mia Krüger mówiła cicho i jakby bojaźliwie. Gabriel musiał nadstawiać uszu, żeby cokolwiek usłyszeć.

– Wiecie już prawie wszystko. Ale teraz pokażemy wam coś, czego jeszcze nie wiecie, a co naszym zdaniem jest ważne.

Mia przycisnęła klawisz laptopa Muncha i na ekranie pojawiło się nowe zdjęcie.

– Obie dziewczynki miały na plecach tornistry. W środku były podręczniki podpisane na stronie tytułowej. Książki Johanne Lange podpisano „Johanne”. Książki Pauline podpisano „Rikke JW”.

Kolejne zdjęcie.

– A dlaczego tak?

Mia Krüger uśmiechnęła się blado.

– Dziękuję, Curry. Cierpliwy jak zwykle. Miło cię widzieć.

– Daj Mii skończyć – powiedział Munch poirytowany.

– A zatem na książkach Johanne było napisane „Johanne”. Na książkach Pauline – „Rikke JW”. Jak wszyscy wiecie, w tego typu sprawach nic nie jest przypadkowe. Wszystko wydaje się zaplanowane w najmniejszym szczególe. Sprawca wiedział, co robi, znał imiona dziewczynek. Mamy powody przypuszczać, że obserwował je na długo przed uprowadzeniem. Jeszcze do tego wrócimy...

Mia Krüger przerwała na chwilę i zakaszła. Munch wstał i podał jej swoją butelkę z wodą mineralną. Mia pokręciła głową i mówiła dalej cichym głosem:

– Nie ma żadnych wątpliwości, że obie sprawy są ze sobą powiązane. Ale mamy też powody przypuszczać, że mają związek z jeszcze inną sprawą. Sprawą, której przed kilkoma laty nie udało nam się rozwiązać.

Nacisnęła klawisz.

– W dwa tysiące szóstym roku ze szpitala w Hønefoss zniknęło niemowlę. Kilka tygodni później pochodzący ze Szwecji pielęgniarz Joachim Wicklund został znaleziony martwy w swoim wynajętym mieszkaniu. Powiesił się. Na podłodze pod nim znaleziono list napisany na maszynie. Wicklund przyznał się w nim do uprowadzenia. Dziecka nigdy nie odnaleziono, a śledztwo zostało zamknięte.

Mia Krüger przerwała ponownie. Tym razem wypięła łyk wody z butelki. Dla wszystkich było oczywiste, że nie jest w formie. Ta twarda zwykle kobieta drżała, wyglądała tak, jak gdyby nie potrafiła zmusić głowy, by funkcjonowała prawidłowo.

– Holger i ja – podjęła po krótkiej pauzie na oddech – jesteśmy przekonani, że imię na podręczniku Pauline, „Rikke JW”, jest czymś w rodzaju wiadomości od sprawcy. Nie wiemy jeszcze, co chciał nam w ten sposób powiedzieć, ale sądzimy, że „JW” oznacza

„Joachim Wicklund”, a „Rikke” to po prostu „er ikke”, czyli „to nie”.

Wśród zebranych rozszedł się cichy szmer. Było jasne, że wszyscy żywili głęboki szacunek dla Mii Krüger i jej intelektu.

Głos zabrał Munch.

– To oznacza, że otwieramy ponownie sprawę z Hønefoss. Wszystko, co wtedy ustaliliśmy, trzeba sprawdzić na nowo. Wszystkie rozmowy, obserwacje, nazwiska, które miały coś wspólnego z tym śledztwem. Ludvig, siedziałeś nad tą sprawą, dlatego chciałbym, żebyś zajął się nią ponownie. I żebyś wziął do pomocy Curry’ego, którego wtedy z nami nie było. Moim zdaniem para starych i para nowych oczu będzie całkiem dobrą kombinacją.

Starszy wiekiem Ludvig i ogolony na łyso Curry, tak chętnie wyrażający swoje zdanie na temat polityki, skinęli głowami.

– Mamy więc temat numer jeden: Hønefoss, dwa tysiące szóstego, Ludvig i Curry. Temat numer dwa: sukienki. Anette sprawdza zgłoszenia, które przychodzą do centrali, i omawia je ze mną i Mią. Sprawcy o podobnym modelu postępowania...

Munch uniósł wzrok.

– Curry?

Wysoki, szczupły mężczyzna o krótkich czarnych włosach i w dużych okularach uniósł wzrok znad notatek.

– Tak. Trond i ja zajmujemy się tym, ale lista nie jest długa. To, co mamy do tej pory, to przestępstwa na tle seksualnym, przypadki gwałtów i molestowania. Szczerze mówiąc, nie do końca wiem, czego szukać. Był już kiedyś taki przypadek? Tak na serio? O żadnym nie słyszałem. Skonsultowaliśmy nasze trafienia z przyjaciółmi w Europie, przede wszystkim w Belgii, są w posiadaniu nazwisk tych, którzy mieli do czynienia z Markiem Dutroux. Ale powtórzę: to był przypadek z gwałtem, zupełnie inny niż ten tutaj, absolutnie żadnych podobieństw. Tamci kręcą głowami i nie mogą nam pomóc, ale naturalnie szukamy dalej.

– Dobrze. – Munch skinął głową. – Aha, zapomniałem o jednej rzeczy. Mamy nowy program bazodanowy, będzie zainstalowany jeszcze dziś. Wszystko, co wprowadzimy do naszych baz, nazwiska, obserwacje i co tam jeszcze, zostanie natychmiast porównane ze wszystkimi dostępnymi bazami danych, naszymi i innymi. Gdyby ktoś miał jakieś problemy z programem, niech zwróci się do Gabriela Mørka, naszego nowego geniusza komputerowego. Przywitaliście się już z Gabrielem?

Gabriel wzdrygnął się, słysząc swoje imię. Podniósł wzrok i zobaczył, że wszyscy odwrócili się w jego stronę.

– Cześć, Gabriel – powiedział ktoś.

– Cześć – odpowiedział Gabriel, trochę zdenerwowany.

Znów poczuł się jak w szkole. Jak gdyby za chwilę musiał wstać i coś powiedzieć. Na szczęście mu tego oszczędzono. Nie miał pojęcia, o jakim programie mowa. Munch spojrział na niego i mrugnął.

– Nie zdążyłem ci tego powiedzieć, ale wrócimy do tego zaraz po briefingu, OK?

– OK. – Gabriel kiwnął głową, zadowolony, że Mia Krüger ponownie zabrała głos.

– Nie wiem, ilu z was już to wie...

Nacisnęła klawisz.

– ...ale na paznokciu małego palca lewej ręki Pauline znaleźliśmy cyfrę. Cyfrę jeden. Jak widzicie...

Kolejne zdjęcie na ekranie.

– ...Johanne również miała cyfrę. Dwa. Dwie kreski na palcu serdecznym lewej dłoni.

– A niech to szlag – wyrwało się Ludvigowi.

– Tak, można tak to ująć. – Mia skinęła głową, spoglądając na niego.

– A dlaczego niby „szlag”? – zapytał Curry.

– Będą następne – odpowiedziała Anette.

W pokoju zapadła cisza.

– Mamy wszelkie powody do obaw, że Pauline i Johanne to dopiero początek. Niestety.

Ponownie odezwał się Munch:

– Musimy zwracać szczególną uwagę na przypadki zaginięć. Dziewczynki w wieku sześciu lat, choćby były nieobecne tylko pół godziny. Dajemy z siebie wszystko. Jasne?

Zebrani skinęli głowami.

– Muszę zapalić. Ogłaszam dziesięć minut przerwy, po tym czasie widzimy się ponownie.

Munch wygrzebał paczkę papierosów z kieszeni kurtki i wyszedł na balkon, a zaraz za nim Mia. Gabriel nie za bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Oglądanie zdjęć obu zamordowanych dziewczynek było dla niego katorgą. A teraz miały być kolejne? Wziął kilka głębokich wdechów i wyszedł na korytarz przynieść sobie kawy.

Lukas siedział w domu wspólnoty na swoim tradycyjnym miejscu. Krzesło stało przy jednej ze ścian, na niewielkim podwyższeniu, dzięki czemu miał dobry widok na kazalnicę i zgromadzonych. Pastor Simon stał przed ołtarzem, ale jeszcze nie zaczął przemawiać. Widać było, że rozmyśla o czymś ważnym. Lukas i pozostali zebrani siedzieli w milczeniu, w dużej białej sali panowała kompletna cisza. Wszyscy czekali w napięciu. Pragnęli usłyszeć, co leży pastorowi Simonowi na sercu. Siwowłosey pastor był znany z tego, że nie spieszył się z rozpoczęciem kazania. Najpierw chciał nawiązać kontakt z Panem, stworzyć łączność pomiędzy Bogiem, sobą samym i wspólnotą, oczyścić pomieszczenie ze wszystkiego, co mogłoby zakłócić dialog z niebem. Całość była piękna, iście anielska, trochę medytacyjna. Lukas siedział spokojnie, z rękami złożonymi na kolanach.

Lukas bardzo lubił kazania pastora Simona. Po raz pierwszy usłyszał go zupełnie przypadkowo dwanaście lat wcześniej, na obozie młodzieżowym na południowym wybrzeżu. Jego rodzice zastępczy wysłali go na ferie razem z dziećmi sąsiadów, nie mogli bądź nie chcieli zabrać go ze sobą, gdy sami wyjeżdżali. Lukas nie pamiętał, dokąd się wtedy wybierali. Zapewne gdzieś nad Morze Śródziemne, ale to nie miało już znaczenia. Z początku piętnastoletni wówczas Lukas nie czuł się na obozie komfortowo. Miał wrażenie, że jest tam zupełnie niepotrzebny, wszyscy wydawali mu się jacyś dziwni. W pewnym sensie nie był to pierwszy raz, przez całe swoje życie czuł się zbędny. Od chwili kiedy Urząd Ochrony Praw Dziecka zabrał go z domu, przenoszono go z jednej rodziny zastępczej do drugiej i tak naprawdę nigdzie nie potrafił się odnaleźć. Również w szkole. Nie miał problemów z nauką, lecz z innymi uczniami. I nauczycielami. A właściwie wszystkimi ludźmi. Spoglądał z uwielbieniem na pastora Simona, który wciąż stał z zamkniętymi oczami i dłońmi wzniesionymi ku niebu. Lukas poczuł ciepło. Pulsujące ciepło i miękkie, jasne światło wlewały się w jego ciało i napełniały go poczuciem bezpieczeństwa. Przypomniawszy sobie pierwszy raz, kiedy doświadczył czegoś podobnego. Przed dwunastoma laty, na tamtym obozie na południowym wybrzeżu. Z początku czuł się trochę jak ryba wyrzucona na brzeg, jak gdyby wszyscy wokół niego dzielili jakąś tajemnicę, do której nie miał dostępu. Narastały w nim niepewność i niepokój, a zawsze kiedy tak się działo, w jego głowie odzywał się chór głosów żądających od niego wszystkiego co tylko możliwe. Rzeczy, o których nie powinno się mówić głośno. Ale potem, zupełnie jak gdyby Bóg rozświetlił mu drogę, zawędrował do niewielkiego namiotu na skraju obozu. Struga światła przed białym namiotem i s z e p t, jakże inny od k r z y k ó w, których tak nie znosił. Cichy, życzliwy s z e p t w tym obcym języku: „Sequere via ad caelum. Podążaj drogą do nieba”. Chwilę potem stał w namiocie, otulony głosami, ciepłem i światłem. A tam, na podwyższeniu, pośrodku tego wszystkiego, skrzące się oczy pastora Simona i jego silny głos. Wtedy Lukas uwierzył.

Powiódł wzrokiem po zgromadzonych oczekujących w milczeniu na rozpoczęcie

kazania. Znał wszystkie twarze. Większość należała do wspólnoty od wielu lat, ale nikt nie był w niej tak długo jak Lukas. Tamtego lata nie wrócił z dziećmi sąsiadów do domu, nikt zresztą specjalnie się tym nie przejął. Teraz, dwanaście lat później, znajdował się już wysoko w hierarchii wspólnoty. W wieku niemal dwudziestu siedmiu lat był prawą ręką pastora, kimś w rodzaju zastępcy przywódcy, kimś, kto służył pastorowi pomocą we wszystkim, niezależnie od tego, czy chodziło o sprawy natury prywatnej czy dotyczące wspólnoty. Dla Lukasa praca dla pastora Simona stanowiła sens życia. Nie było niczego, czego by dla niego nie zrobił, gdyby duchowny go o to poprosił. Życie bez pastora Simona było niczym i gdyby przyszedł kiedyś dzień, w którym musiałby za niego umrzeć, uczyniłby to z radością. Dla najbliższych towarzyszy pastora śmierć nie była właściwie śmiercią, lecz stanowiła kolejny krok na drodze do nieba. Lukas stłumił uśmiech, czując, jak ciepło i światło wypełniają jego ciało.

Od jakiegoś czasu głosy w jego głowie przycichły. Owszem, odzywały się czasami, ale nie tak głośno i nie tak często jak wcześniej, kiedy był młodszy. Kiedy nakazywały mu – najczęściej *k r z y k i e m* – robić rzeczy, których robić nie wolno. Czasem próbował protestować, ale nie miało to żadnego sensu. Lukas wiedział, że *k r z y k i* nie ustąpią. Mógł tylko być posłuszny, by mieć to już za sobą i liczyć, że coś zmieni się na lepsze. Lukasowi przyszło kiedyś do głowy, że z szeptami i krzykami jest jak z Bogiem i diabłem. Pastor Simon powiedział mu, że jedno nie mogłoby istnieć bez drugiego. Że oba bieguny wszechświata i wieczności są nierozzerwalne. I że nie powinniśmy się tego lękać, gdyż światło zawsze sprowadzi nas na właściwą drogę. To, że od czasu do czasu ulegamy podszeptom diabła, nie jest grzechem śmiertelnym, a jedynie dowodem na istnienie Boga. Bywa nawet, że głos diabła jest dziełem samego Boga, że to swego rodzaju test, sprawdzian. Pomimo to Lukas cieszył się, że głosy, zwłaszcza krzyki, nie pojawiały się już tak często.

*Deo sic per diabolum.*

*Do Boga przez diabła.*

Lukas dobrze wiedział, że nie było to oficjalne motto wspólnoty. W przypadku nowicjuszy z pewnością nie trafiłoby ono na podatny grunt. Tylko wtajemniczeni potrafiliby je zrozumieć. Ale nowicjusze byli tylko narzędziem, byli po to, by ich wykorzystać, podobnie jak zebrani tutaj, siedzący w nabożnym milczeniu. Liczyli się tylko wtajemniczeni. Ci, którzy pojęli, co pastor Simon *n a p r a w d ę* myśli o drodze do światła. A Lukas do nich należał.

Wieczór nowicjuszy. Lukas czuł radość na myśl o zbliżającym się końcu tygodnia. Wtedy znów pojedą do lasu. Razem z innymi wtajemniczonymi. Nie do końca rozumiał, dlaczego pastor Simon wciąż upierał się przy organizowaniu spotkań dla nowicjuszy, mieli przecież ważniejsze zadania do wykonania, ale nigdy nie przyszłoby mu do głowy, by sprzeciwić się duchownemu. Pastor miał kontakt z Bogiem i dobrze wiedział, co ma robić i dlaczego. *Lux domus*. Koniec tygodnia. Lukas musiał zacisnąć usta, aby nie westchnąć z rozkoszy, gdy ciepło i światło ponownie przeniknęły jego ciało.

Pastor Simon wreszcie przemówił i oto w sali pojawił się Bóg. Członkowie wspólnoty siedzieli na swoich krzesłach jak zahipnotyzowani, pozwalając wypełniać się błogością. Lukas znał już to kazanie, było napisane dla nowicjuszy. Skromne, lecz piękne. Cieszył się



bardzo na nadchodzący koniec tygodnia. Lux domus. Jeszcze jeden krok na drodze do nieba. Zamknął oczy i pozwolił wypełnić się słowom pastora. Chwilę potem kazanie dobiegło końca. Pastor stał już w wyjściu. Korowód wdzięcznych dłoni i pochylonych głów członków wspólnoty przewijał się obok niego i po chwili znów byli sami. Tylko oni dwaj, w dużej białej sali.

Lukas odprowadził pastora do gabinetu i pomógł mu zdjąć szatę. Odwrócił się, nie chcąc oglądać go w bieliźnie, a następnie pomógł mu założyć codzienną odzież. Przyniósł filiżankę świeżo zaparzonej kawy. Nie odezwał się ani słowem, dopóki pastor nie zasiadł na krześle za dużym biurkiem i nie dał dłonią znaku, że Bóg opuścił już pomieszczenie i można znów mówić.

– Jest nowe nazwisko – powiedział Lukas. Odchrząknął cicho i wyciągnął kopertę, którą przez całą ceremonię trzymał w wewnętrznej kieszeni kurtki.

– O?

Pastor popatrzył na niego i wziął kopertę. W środku znajdowała się pojedyncza kartka papieru. Lukas nie wiedział, co na niej było, wiedział tylko, że jest tam zapisane nazwisko. Nie miał pojęcia czyje, ta informacja była przeznaczona wyłącznie dla pastora. Zadanie Lukasa polegało tylko na odebraniu koperty i przekazaniu jej pastorowi. Nie mógł jej otwierać. Był tylko posłańcem, kimś w rodzaju anioła.

Pastor jak zwykle nie odezwał się ani słowem. Przeczytał nazwisko, złożył kartkę na pół i schował ją do sejfu pod małym stolikiem przy oknie.

– Dziękuję, Lukasiu. Jeszcze coś?

Pastor spojrzał na niego. Lukas odwzajemnił ciepłe spojrzenie.

– Już nic. Nie, jeszcze jedno. Jest tu twój brat.

– Nils? Tutaj?

Lukas skinął głową.

– Przyszedł prosto ze spotkania. Poprosiłem go, żeby zaczekał z tyłu w ogrodzie.

– Dobrze, Lukasiu, dobrze. Poproś go, by wszedł.

Lukas uklonił się i wyszedł po gościa.

– Dlaczego to tyle trwało? Powiedziałem przecież, że to pilne.

Nils, brat Simona, również znajdował się wysoko w hierarchii wspólnoty. Lukas spotkał go po raz pierwszy w tamtym namiocie na południowym wybrzeżu. Ale chociaż Nils był we wspólnocie równie długo co pastor, nie mógł równać się z nim pozycją. Lukas wiedział, że gdy to on został wybrany na zastępcę, pojawiły się liczne głosy protestu. Wielu uważało, że ta godność powinna przyspaść Nilsowi. Jak zwykle jednak nikt nie ośmielił się otwarcie sprzeciwić pastorowi. Bądź co bądź to on otrzymał klucz do niebios.

– Wiesz przecież, że pomaganie nowicjuszom jest dla pastora ważne. Już na ciebie czeka.

– Lux domus – mruknął zbity z tropu brat pastora.

– Lux domus – odpowiedział Lukas z uśmiechem, wskazując mu drogę.

Pastor podniósł się, gdy weszli. Gość skłonił się i podszedł do swojego starszego brata. Pocałował go w dłoń i oba policzki.

– Siadaj, mój bracie – powiedział pastor i sam ponownie zajął miejsce za biurkiem.

Nils zerknął na Lukasa.

– Mam wyjść? – spytał Lukas.

– Nie, zostań.

Pastor wykonał gest ręką, dając Lukasowi znak, by usiadł. Należał do wtajemniczonych i nie było powodu, by wychodził z pokoju.

Lukasowi wydawało się, że dostrzegł na twarzy Nilsa cień irytacji, ale brat pastora nie powiedział ani słowa.

– Jak wam tam idzie? – zapytał pastor, gdy wszyscy trzej usiedli.

– Wszystko w porządku – pokiwał głową brat.

– A ogrodzenie?

– Gotowa jest więcej niż połowa.

– Będzie takie wysokie, jak ustaliliśmy?

– Tak – brat jeszcze raz skinął głową.

– A dlaczego jesteś teraz tu, a nie tam?

– Co masz na myśli?

– Dlaczego jesteś tutaj, skoro masz tam pracę do wykonania?

Nils ponownie spojrzął na Lukasa. Wydawało się, że coś leży mu na sercu, ale nie miał ochoty powiedzieć tego w obecności Lukasa.

– Trzódka zmniejszyła się o jedną owieczkę – wymamrotał wreszcie. Opuścił głowę, jak gdyby się wstydził.

– Co masz na myśli?

– Jedną z młodych spotkało nieszczęście.

– Jak mam to rozumieć?

– Po prostu nieszczęście. Błąd. Teraz już wszystko jest w porządku.

– Kto to?

– Raket.

– Raket? Moja dobra Raket?

Brat skinął głową i spuścił głowę jeszcze niżej.

– Nie było jej przez całą noc. Ale jest już z powrotem.

– A więc wszystko w porządku?

– Tak, wszystko w porządku.

– W takim razie zapytam cię jeszcze raz, mój bracie: dlaczego jesteś tutaj, skoro masz tam pracę do wykonania?

Nils spojrzął na pastora, swojego starszego brata. Miał ponad pięćdziesiąt lat, lecz w tej chwili przypominał małego chłopca, któremu ojciec udziela reprimendy.

– Powiedziałeś, żebym informował cię na bieżąco.

– Jak dotąd wszystko jest w porządku. Czy tak?

Nils posłusznie skinął głową.

– Wydaje mi się, że byłoby nam łatwiej, gdybyśmy mieli telefon – powiedział z ociąganiem po chwili milczenia.

Pastor oparł się o oparcie fotela i złożył dłonie w piramidkę.

– I co jeszcze ci się wydaje? Jesteś niezadowolony z tego, co dał ci Bóg?

– Nie, nie to miałem na myśli. Pomyślałem tylko...

Nils nie mógł znaleźć odpowiednich słów i się zaczerwienił. Pastor pokręcił głową,

a w pokoju zapadła niezręczna cisza. Niezręczna dla Nilsa, nie dla Lukasa, który zawsze stał po stronie pastora. Zasłużył na to, pomyślał Lukas. Co mu przyszło do głowy, żeby kwestionować polecenia pastora? Nils wstał, wciąż ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– A więc przyjeżdżacie w sobotę?

– Przyjeżdżamy w sobotę.

– Dobrze. W takim razie do zobaczenia. – Nils skinął głową i wyszedł.

– Lux domus – powiedział Lukas, gdy został z pastorem sam na sam, tak jak lubił najbardziej. Tylko oni dwaj.

Pastor się uśmiechnął i spojrzał na niego.

– Myślisz, że postąpiliśmy właściwie?

– Oczywiście – skinął głową Lukas.

– Czasem nachodzą mnie wątpliwości – powiedział pastor i znów złożył dłonie w piramidkę.

– Muszę ci coś powiedzieć – powiedział Lukas.

– Tak?

– Tak. Mam przecież za zadanie cię chronić.

– Naprawdę, Lukasiu? Jesteś pewny? – uśmiechnął się pastor.

Lukas się zaczerwienił. Znał pastora bardzo dobrze. Znał jego głos. I wiedział, kiedy otrzymuje pochwałę.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale niewykluczone, że mamy we wspólnocie pewien problem.

– Ach tak? Chodzi o nich?

– Tak, o nowicjuszy.

– Na czym polega ten problem?

– Musisz sam rozstrzygnąć, czy to problem. Jestem tu tylko po to, żeby powiedzieć ci, co widzę, i żeby cię chronić.

– Tak, już to powiedziałaś, Lukasiu, doceniam to. Co się dzieje?

Lukas odchrząknął.

– Jedna z naszych zagorzałych nowicjuszek ma nieco kłopotliwe powiązania.

Pastor pokręcił głową.

– Teraz mówisz językami, Lukasiu. Wyrzuć to z siebie. Śmiało.

– Starsza pani na wózku inwalidzkim, duże okulary. Siedzi zawsze z tyłu.

– Hildur?

Lukas skinął głową.

– Co jest z nią nie tak?

– Jest matką Holgera Muncha.

– Kogo?

– Holgera Muncha. Policjanta.

– Ach tak, policjanta. Nie wiedziałem o tym.

Lukas się zdziwił, ale nie odezwał się ani słowem. Dobrze wiedział, że pastor świetnie zdaje sobie sprawę, kim jest Munch.

– Hildur jest jego matką – powtórzył.

– Dlaczego miałyby to stanowić dla nas problem?

– Chciałem tylko, żebyś o tym wiedział.

– Zastanawiasz się, czyje tym razem nazwisko jest w kopercie?

Lukas z wahaniem skinął głową.

– Dziękuję, Lukasiu. Wydaje mi się, że nie powinniśmy martwić się z powodu Hildur Munch. Mamy chyba ważniejsze sprawy na głowie, nieprawdaż?

– Owszem – powiedział Lukas, wstając.

– Lux domus, mój przyjacielu – powiedział pastor, uśmiechając się ciepło.

– Lux domus – uśmiechnął się Lukas w odpowiedzi.

Skłonił się nisko i bez słowa wyszedł z gabinetu pastora.

Mia Krüger siedziała w swoim pokoju w biurze. W kieszeni spodni wyczuwała tabletki. Obiecywała sobie, że nie zabierze ich ze sobą, że odstawi je do czasu, aż upora się z tą sprawą tutaj. Nie udało jej się. Wrzuciła kilka do kieszeni, na wszelki wypadek. Zastanawiała się, czy coś by się stało, gdyby wzięła teraz jedną. Jej ciało przeszywały kolce. Zapomniała, jak wygląda rzeczywistość. Udało jej się to wyprzeć. Sądziła, że już nigdy nie będzie musiała stawiać jej czoła. Ale wtedy pojawił się Holger Munch i wszystko zniszczył.

Mia Krüger nie piła już od czterech dni, od przyjazdu do Oslo. Nieraz kusilo ją, żeby zajrzeć do minibarku w pokoju hotelowym, ale potrafiła się powstrzymać. Holger zaproponował jej mieszkanie służbowe, ale ona obstawała przy pokoju w hotelu, za który sama chciała zapłacić. Nie chciała wracać. I nie zamierzała tego robić. Bezosobowy pokój hotelowy – niczego więcej nie potrzebowała. Tymczasowa kwatery. Poczekałnia. Nie chciała zbytnio zbliżyć się do codzienności. Tylko ta sprawa. Potem powrót. Na Hitrę. Do Sigrid. Szukała nowej symbolicznej daty. 18 kwietnia – dziesiąta rocznica – minął. Kolejną był 11 listopada, ich urodziny. Obie skończyłyby tego dnia trzydzieści trzy lata. Listopad wydawał się jednak nieskończenie odległy. Zbyt długo. Musiała znaleźć inną datę. A może żadnej nie potrzebowała? To mógłby być dowolny dzień. Najważniejsze, żeby to zrobić. Żeby się uwolnić. Od tych ludzi. Sięgnęła do kieszeni i położyła tabletkę na języku, po chwili jednak się rozmyśliła. Wypluła ją i z powrotem włożyła do kieszeni.

– Mamy sygnał w temacie sukienek.

Zupełnie nie zauważyła, kiedy Anette pojawiła się w pokoju.

– Co?

– Mamy informację na temat tych sukienek dla lalek.

– Tak szybko?

– Tak. – Jasnowłosa dziewczyna uśmiechnęła się i pomachała kartką papieru. – Zadzwoń do niejaka Jenny z „Pracowni krawieckiej Jenny” w Sandvika. Przepraszała, że nie skontaktowała się wcześniej, ale dopiero teraz przeczytała gazety. Pojedziemy razem?

– Chętnie. Gdzie jest Munch?

– Musi odebrać wnuczkę z przedszkola. Jej matka poszła przymierzyć suknię ślubną.

– Popatrz, niektóre to mają szczęście.

– Prawda? – Anette się uśmiechnęła. – Ale szczerze mówiąc, cieszę się, że to nie ja. Ślub? Czy to nie trochę staroświeckie?

– Pytasz niewłaściwą osobę – odpowiedziała Mia z uśmiechem. – Nie znam się na tym za dobrze.

Wstała i wygładziła dłońmi czarną skórzaną kurtkę.

– Poprowadzisz czy ja mam to zrobić? – Anette zamachała kluczykami.

– Chyba lepiej będzie, jeśli to ty usiądziesz za kółkiem. – Mia mrugnęła i ruszyła za

koleżanką do podziemnego garażu.

– Co takiego powiedziała? – spytała Mia, gdy wyjechały z centrum i pomknęły szosą w kierunku Drammen.

Mia pracowała już wcześniej z Anette, ale nigdy nie narodziła się między nimi specjalna zażyłość. Mia właściwie nie wiedziała dlaczego. Anette nie sposób było niczego zarzucić. Była niezwykle inteligentna i zawsze w pogodnym nastroju. Z wykształcenia prawniczka, doskonały członek jednostki specjalnej. Powodów należało doszukiwać się raczej w tym, że to Mia nie potrafiła nawiązać bliższych relacji z żadnym z kolegów. Nie licząc oczywiście Holgera Muncha, ale to było co innego. Czy w ogóle stworzyła z kimkolwiek mocniejszą więź? Ze starymi znajomymi z Åsgårdstrand nie rozmawiała od lat. Po śmierci Sigrid jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Może nie było to zbyt rozsądne? Być może dobrze by jej zrobiło, gdyby oprócz pracy miała też coś z życia. Teraz było to już jednak bez znaczenia. Rozwiązać sprawę, a potem z powrotem na Hitrę. Z powrotem do Sigrid. Poglądziła palcem literę „S” na bransoletce. Poczowała się pewniej.

– Nie rozmawiałam z nią osobiście, dostałam tylko notatkę z centrali. Ale wydaje mi się, że mamy właściwą osobę.

– Wiedziała o cyfrach z tyłu, na kołnierzu?

Anette kiwnęła głową i zmieniła pas.

– M 10:14. „Pozwólcie dzieciom przyjść do Mnie”. Myślisz, że to jakiś nawiedzony świr?

– Za wcześnie, żeby o tym mówić – powiedziała Mia, wkładając okulary przeciwsłoneczne.

Na zewnątrz było bardzo jasno. Dla niektórych mogło być to blade wiosenne słońce, ale nie dla niej. Zdawało się, że jej ciało nie toleruje żadnych wrażeń zmysłowych. Poprzedniego wieczoru próbowała oglądać telewizję, ale rozbolała ją głowa. Musiała nawet prosić Holgera, żeby wyłączał radio w gabinecie. W milczeniu jechały drogą w kierunku Drammen. Mia wyczuwała, że Anette jest ciekawa, choć nie daje tego po sobie poznać. Z pozostałymi było tak samo. Uprzejme uśmiechy, zaciekawione spojrzenia. Z wyjątkiem tych, którzy znali ją najlepiej. Curry, Kim, Ludvig. Chociaż oni też. „Co u ciebie?” „Jesteś już zdrowa, Mia?” „Słyszeliśmy, że zwariowałaś”. „Zgoliłaś wszystkie włosy?” „Próbowałaś popełnić samobójstwo na wysepce na środku morza?” Kątem oka widziała ukradkowe spojrzenia, które rzucała jej Anette. Samochód był pełen niewypowiedzianych pytań. Dokładnie tak, jak biuro przy Mariboessgate. Mia nie miała jednak ochoty zaprzętać sobie tym teraz głowy. Postanowiła zająć się tym później. Lubiła Anette. Być może mogłyby razem wyskoczyć na piwo albo coś takiego. A być może nie. Dlaczego to, dlaczego tamto...

„Chodź, Mio, chodź”.

Dlaczego tam zostałaś, zupełnie sama?

Gdy skręciły w kierunku Sandvika, zaczął padać deszcz. Ciche bębnienie kropel o przednią szybę. Mia nie zdjęła okularów. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w odgłosy. Krople deszczu na szybie. Warkot silnika. Przez chwilę znów miała jedenaście lat i siedziała na tylnym siedzeniu samochodu swojego ojca. Była sobota, wracali ze sklepu z farbami w Horten. Czowała jego zapach, słyszała jego zlewający się z dźwiękiem silnika

głos, widziała jego skórkowe rękawiczki, w których prowadził. Jedną ręką, niefrasobliwy i wolny, bo nie było z nimi mamy.

„Zaśpiewamy coś, Mia?”

„Tak, zaśpiewamy, juhuu!”

„Jedziemy samochodem

Ty z tyłu, a ja z przodu

Wesoło jest że hej!

Więc śmieję się ze mną, śmieję!”

„Jeszcze raz!”

„Jeszcze raz?”

„Tak!”

Mia się uśmiechnęła. Poczwała w brzuchu znajome łaskotanie, które w dziecięcych latach przyprawiało ją o gęsią skórę i rumieniec na policzkach. Wszystko było wtedy takie proste. Teraz nie ma już nic. Pozostała tylko ona.

Samochód się zatrzymał. Nagła cisza wyrwała ją z rozmyślań.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Anette i wysiadła.

Mia odłożyła okulary na deskę rozdzielczą i ruszyła za koleżanką. Rzęsisty deszcz przeszedł w lekką mżawkę. Łagodne wiosenne słońce wyglądało zza chmur, wskazując im drogę do małego żółtego pawilonu na obrzeżach centrum Sandvika.

W witrynie widniał napis „Pracownia krawiecka Jenny”. Na drzwiach staromodna wywieszka: ZAMKNIĘTE. Mia zapukała i chwilę potem zza zasłony ukazała się miła, choć wyraźnie zatroskana twarz.

– Słucham? – zapytała kobieta, nie otwierając drzwi.

– Mia Krüger, policja w Oslo. Wydział zabójstw – powiedziała Mia. Przystawiła swoją legitymację do szyby, chcąc uspokoić starszą panią.

– Policja? – Kobieta zerknęła nerwowo na Anette i Mię.

– Tak – odpowiedziała Mia spokojnie. – Możemy wejść?

Widać było, że starsza kobieta jest w szoku. Minęła dłuższa chwila, zanim otworzyła drzwi. Stare drżące palce zmagaly się z kluczem, lecz w końcu jej się udało. Mia spokojnym krokiem weszła do pracowni i jeszcze raz pokazała swoją legitymację służbową. Kobieta zamknęła za nimi drzwi i szybko przekręciła klucz w zamku. Stała pośrodku swojego kolorowego sklepu i wyraźnie nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

– To ty jesteś Jenny? – spytała Mia.

– Tak. Proszę mi wybaczyć, gdzie moje maniery. Ach, co za dzień. Cała jestem roztrzęsiona. Jenny Midthun – powiedziała kobieta, wyciągając do Mii szczupłą małą dłoń.

– To twoja pracownia? – zapytała Anette, rozglądając się.

Na wystawie stały manekiny w uszytych ręcznie sukienkach. Na regałach leżały uszyte zapewne przez Jenny obrusy i sukienki, jedna ze ścian była pokryta kolorowymi makatkami.

Uroczą starszą kobietą kiwnęła głową.

– Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Założyłam ją wspólnie z moim mężem, ale nie ma go już z nami. Zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym. Uważał, że sklep powinien się nazywać „Pracownia krawiecka Jenny”. Obstawałam raczej przy Jenny i Arild, ale on nie chciał o tym nawet słyszeć...

Na jej twarzy ponownie odmalowało się zakłopotanie.

– Czy to ty uszyłaś te sukienki?

Mia wyciągnęła zdjęcia z kieszeni kurtki i położyła je na ladzie. Jenny założyła okulary zawieszane na łańcuszku na szyi i obrzuciła fotografie szybkim spojrzeniem. Skinęła głową.

– Tak, obie. Co to znaczy? Mam jakieś kłopoty? Czy zrobiłam coś złego?

– Absolutnie nie, Jenny. Nie mamy powodu przypuszczać, że dopuściłaś się czegoś złego. Dla kogo je uszyłaś? – spytała Mia.

Starsza kobieta poszła za kontuar i zdjęła z półki segregator.

Zastukała w niego palcem.

– Tu mam wszystko zapisane.

– Co tam jest?

– Wszystkie zamówienia. Mam wszystko spisane. Rozmiary, materiał, cena, data odbioru. Tu jest wszystko.

– Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy go zabrały? – spytała Mia.

– Nie, oczywiście, że nie. Bierzcie, co chcecie. Ach, jakie to straszne, naprawdę nie miałam pojęcia... Jestem w potwornym szoku... Sąsiadka przyniosła mi gazetę...

– Kto zamówił te sukienki? – spytała Mia.

– Jakiś mężczyzna.

– Zanotowałaś jego nazwisko?

– Nie. Nigdy się nie przedstawił. Przyniósł tylko zdjęcia. Lalek. Powiedział, że chciałby właśnie takie sukienki, w rozmiarze dziecka.

– Powiedział, do czego są mu potrzebne?

– Nie, a ja nie pytałam. Gdybym wiedziała... Ale przecież nie miałam pojęcia.

Jenny Midthun chwyciła się za głowę. Musiała usiąść. Anette wyszła na zaplecze i wróciła ze szklanką wody.

– Dziękuję – powiedziała drżącym głosem kobieta.

– Kiedy dostałaś to zamówienie?

– Mniej więcej przed rokiem. W zeszłe lato. Pierwsze.

– Był tu więcej razy?

– O tak. – Jenny kiwnęła głową. – Bywał tu często. Nigdy nie było też problemów z zapłatą. Zawsze gotówką, żadnych trudności. Płacił dobrze. Żeby tak było zawsze...

– Ile sukienek uszyłaś?

– Dziesięć.

Starsza kobieta wbiła wzrok w podłogę. Anette spojrzała na Mię i uniosła brwi.

Będą następne. Dziesięć sukienek.

– Kiedy widziałaś go po raz ostatni?

– To było zupełnie niedawno. Może miesiąc temu? Tak, myślę, że tak. W połowie marca. Odebrał wtedy dwie ostatnie sukienki.

– Możesz nam powiedzieć, jak wyglądał? Potrafiłabyś go opisać? – spytała Anette łagodnym głosem.

– Zupełnie normalnie.

– Co rozumiesz pod pojęciem „zupełnie normalnie”?



– Był bardzo dobrze ubrany. Elegancki. Garnitur i kapelusz. Dobre, świeżo wypastowane buty. Niezbyt wysoki, wzrostu mniej więcej Arilda, mojego męża. Około metra siedemdziesiąt. Ani gruby, ani chudy. Zupełnie normalny.

– Mówił dialektem?

– Co? Nie.

– Czy to znaczy, że pochodził stąd? Ze wschodu? Mówił tak jak my? – zapytała Anette.

– Ach tak. Był Norwegiem, z Oslo. Czterdzieści kilka lat. Całkiem zwyczajny mężczyzna. Naprawdę sympatyczny. I bardzo dobrze ubrany. Ale skąd mogłam wiedzieć, że... Gdybym tylko wiedziała...

– Bardzo nam pomogłaś, Jenny – powiedziała Mia i ostrożnie pogładziła dłoń starszej kobiety. – To pozwoli nam ruszyć do przodu. Teraz proszę cię tylko o to, żebyś się zastanowiła, czy miał coś charakterystycznego. Coś, co zwróciło twoją uwagę.

– Nie, nie wiem, co to mogłoby być. Masz na myśli tatuaż?

Anette spojrzała na Mię i się uśmiechnęła.

– Miał tatuaż?

Kobieta skinęła głową.

– W tym miejscu – powiedziała, dotykając dłonią szyi. – Zazwyczaj miał na sobie golf i wtedy nie było go widać. Ale któregoś razu go nie założył, a może nie wywinął do końca kołnierza. Był trochę luźny, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Kobieta chwyciła kołnierzyk swojej bluzki, chcąc pokazać, jak luźny był kołnierz golfa.

– Czy to był duży tatuaż? – spytała Anette.

– Tak, bardzo duży. Sięgał prawie stąd aż tu na dół.

– A czy zauważyłaś, co przedstawiał ten tatuaż?

– Tak. To był orzeł.

– Miał na szyi wytatuowanego orła?

Jenny z wahaniem kiwnęła głową.

– Puść to dalej – powiedziała Mia.

Anette skinęła i wyciągnęła telefon. Wyszła przed sklep, żeby zadzwonić.

– Pomogłam wam?

Uroczą starszą pani spoglądała ze strachem w oczach na Mię.

– Pójdę do więzienia?

Mia dotknęła jej ramienia.

– Nie, nie pójdziesz. Ale chciałabym, żebyś pewnego dnia przyjechała do miasta, tak byśmy mogli przesłuchać cię zgodnie z procedurami. Nie musi to być natychmiast, wystarczy za kilka dni. Dasz radę?

Kobieta kiwnęła głową i odprowadziła Mię do drzwi. Policjantka wyciągnęła z kieszeni dzinsów wizytówkę i wręczyła ją starszej pani.

– Gdyby jeszcze coś ci się przypomniało, natychmiast dzwoń, dobrze?

– Zadzwonię. Ale nie będę mieć żadnych problemów?

– Nie, absolutnie żadnych – odparła Mia z uśmiechem. – Dziękuję za pomoc.

Mia wyszła na ulicę i usłyszała za sobą odgłos zamykanego zamka. Biedna kobieta. To wszystko musiało spowodować u niej prawdziwy wstrząs. Przez szparę w zasłonie Mia zobaczyła, jak kobieta zerka na ulicę. Miała nadzieję, że Jenny nie będzie musiała spędzić

reszty dnia sama, że ma do kogo zadzwonić.

Odwróciła się akurat w chwili, gdy Anette skończyła rozmawiać.

– Dzwoniłaś do Holgera?

– Nie, nie odbiera telefonu. Złapałam Kima. Puści to dalej.

– Dobrze – uśmiechnęła się Mia.

Policjantki wsiadły do samochodu i szybko ruszyły z powrotem do miasta.

Holger Munch siedział w Peppes Pizza przy Stortingsgata i próbował opanować sztukę czesania lalki. Właśnie skończyli jeść, choć należałoby raczej powiedzieć, że jadł on, a Marion popijała lemoniadę i się bawiła. Oczywiście się ugiął, nie umiał odmówić temu słodkiemu spojrzeniu i błagalnemu głosikowi. Nigdy tego nie potrafił, ku rozpaczy swojej córki. Od chwili narodzin Marion obsypywał ją prezentami, pluszowymi misiami, lalkami. Jej pokój przypominał sklep z zabawkami. W końcu Miriam tupnęła nogą i oświadczyła mu, że pora z tym skończyć. Próbowali wychować dziecko na rozsądną, samodzielną dziewczynkę, a nie na rozkapryszoną pannicę.

– Dziadku, spójrz. Monster High!

– Potwór? Jaki potwór?

– Monster High! Idą do szkoły. Aha, a to jest Jackson Jekyll. To chłopiec. Zobacz, jaką ma piękną żółtą koszulę. To dlatego że jest potworem. Możemy go kupić?

– Myślę, że na dziś wystarczy już zakupów, Marion. Wiesz przecież, co powiedziała mama. Musimy poczekać do urodzin.

– Ale to jeszcze trylion dni! A zasady mamy nie obowiązują, kiedy jestem z tobą.

– Coś takiego. A kto tak mówi?

– Ja tak mówię. Mówię tak teraz.

– Pięknie, pięknie...

– Ja też mogę o czymś decydować. Przecież mam już sześć lat i niedługo pójdę do szkoły Lilleborg. Nikt nie będzie mi rozkazywać. Sama będę decydować.

Po kim ona to ma? Urocza i słodka, ale jednocześnie uparta i nieustępliwa.

– O, tam jest Draculaura! Dziadku! I Frankie Stein! Ach, nie możemy kupić któregoś z nich? Proszę, dziadku!

Oczywiście Marion dostała to, czego sobie zażyczyła. Dwie lalki. Jackson Jekyll i Frankie Stein. Dwoje nastolatków ze szkoły potworów, o której Holger Munch nic zupełnie nie wiedział. Ale to nie miało znaczenia. Liczył się uśmiech w jej oczach i ciepłe, delikatne ręce, które oplótły jego szyję. Kogo interesowało, do jakiej szkoły chodzą jakieś lalki i czy mama będzie się złościć.

– Jackson Jekyll chce być z Frankie Stein, ale ona nie chce, bo jest niezamożną dziewczyną. Nie pozwala wodzić się za nos i wie, czego chce.

– Masz na myśli „niezależną”?

Marion uniosła na niego swoje błękitne jak niebo oczy.

– Tak, właśnie to mam na myśli.

Holger się uśmiechnął. Zupełnie jak gdyby słyszał swoją córkę. Mała Marion była istną kopia matki, a pod pewnymi względami nawet przewyższała oryginał. Wrócił pamięcią do dnia, kiedy po raz pierwszy odprowadzał Miriam do szkoły. Czuł wtedy taką dumę! Jego mała córeczka urosła i po raz pierwszy miała wyruszyć w świat. Z warkoczykami,

w nowej sukience i prawdziwym tornistrem na plecach była taka urocza... Bardzo się cieszyła, choć wszystko co nowe zawsze budziło w niej lęk. Stali z Marianne na szkolnym dziedzińcu i patrzyli, jak wchodzi do środka. Nie pozwolono im tam wejść razem z nią. Lepiej, żeby dzieci od pierwszego dnia zostawały w klasie same. Miriam mocno ścisnęła jego dłoń i nie chciała jej puścić. Córeczka tatusia. Jak to się stało, że nagle skończyła piętnaście lat, zaczęła grubo malować usta szminką, słuchać głośnej muzyki za zamkniętymi drzwiami i zupełnie przestała być córeczką tatusia? Czas biegł tak szybko... Teraz miała dwadzieścia dziewięć lat. Kiedy to się stało? Jak to możliwe, że ta mała dziewczynka, która tuliła się do niego, przestraszona obecnością tylu innych dzieci, przymierzała teraz suknię ślubną i przygotowywała się do ślubu z Johannesem, świeżo upieczonym lekarzem z Fredrikstad, chłopakiem, którego Holger ledwie znał? Holger Munch skupił się na swojej wnuczce. Tej, która wciąż uważała go za najlepszego na świecie, uwielbiała się do niego przytulać i siadać mu na kolanach.

– Teraz jesteś Jacksonem Jekylllem – oznajmiła Marion.

– Co powiedziałaś, kochanie?

– Teraz jesteś Jacksonem Jekylllem, a ja Frankie Stein.

– Nie masz ochoty na kawałek pizzy?

– Frankie Stein nie będzie już więcej jeść, bo musi schudnąć. Weźmiesz lalkę, dziadku?

Holger niechętnie wziął lalkę ze stołu, starając się ignorować dźwięki powiadomień o nowych wiadomościach nadchodzących co chwila na jego telefon. Obiecał to sobie kiedyś, solennie przyrzekł, nie chciał powtórzyć tego samego błędu. Kiedy był z Marion, poświęcał uwagę tylko jej. Reszta świata musi chwilę poczekać.

– Powiedz coś, dziadku – powiedziała Marion zniecierpliwiona, wykonując szczupłą lalką potworem taniec pomiędzy resztkami pizzy na stole.

– Co mam powiedzieć?

– Sam mógłbyś czasem coś wymyślić. Nie umiesz się bawić, dziadku?

– Cześć, czolem – powiedział Holger Munch zmienionym głosem, próbując wcielić się w Jacksona Jekylla. Miał nadzieję, że goście przy sąsiednich stolikach go nie słyszą.

– Cześć, Jackson. Czego chcesz? – odpowiedziała Marion głosem lalki.

– Pójdiesz ze mną do kina?

– Może. A na co?

– Pippi Langstrump – odpowiedział Holger Munch.

– Ale to jest film dla dzieci – westchnęła Frankie Stein. – I miałeś inny głos niż przed chwilą, dziadku.

– Przepraszam – powiedział Holger, głaszcząc wnuczkę po włosach.

– Już dobrze – kiwnęła głową dziewczynka. – Jesteś przecież stary, dziadku, i nie możesz wiedzieć, co teraz robią młodzi ludzie.

Wzięła obie lalki i zademonstrowała mu, jak mogłaby wyglądać rozmowa, gdyby tylko umiał trochę lepiej się bawić.

– Cześć, Frankie.

– Cześć, Jackson.

– Pójdiesz ze mną w piątek na szkolną dyskotekę?

– Chętnie, ale pamiętaj: to nie jest randka, jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Nie będzie całowania?
- Nie, żadnego całowania. Tylko przytulanie.
- Przytulisz mnie teraz?
- OK.

Marion mocno przycisnęła obie lalki do siebie. Holger skorzystał z okazji i ukradkiem zerknął na telefon. Dzwoniła Anette, a potem wysłała mu esemesa. Dwie wiadomości od Kima. Kurt Eriksen, adwokat prawa rodzinnego, z którego usług korzystali z Marianne przez wiele lat, dzwonił kilka razy. Czego mógł chcieć? Marion była zajęta zabawą, szybko przeczytał więc wiadomości.

Mamy krawcową od sukienek. I klienta. Mężczyzna z tatuażem orła na szyi. Rozmawiałam już z Kimem. Zadzwoń.

Tak szybko? Munch poczuł, że jego serce policjanta zaczyna bić szybciej. Media w końcu do czegoś się przydały, już po pierwszych ogłoszeniach udało się coś ustalić. Przeczytał wiadomości od Kima.

Chyba mamy coś w związku z tatuażem orła. Curry domyśla się, kto to jest. Zadzwoń.

I ostatnia...

Cześć.

– Cześć. Gdzie jest Marion?

Holger błyskawicznie oprzytomniał. Przed nim stała jego córka. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Cześć, Miriam. Marion? Jest...

Marion nie było na jej miejscu.

– Przed chwilą jeszcze tu...

Nie zdążył dokończyć zdania. Miriam szła już do Marion, która bawiła się lalkami w drugim końcu lokalu.

– Rozmawialiśmy o tym tyle razy. Nie powinienes jej tyle kupować – powiedziała Miriam, gdy znów stanęła przy stole.

– Tak, ale...

– Marion, pobieraj swoje rzeczy. Jedziemy do domu.

– Tak szybko? Ale dziadek i ja chcieliśmy jeszcze zjeść lody.

– Zjecie je kiedy indziej. Chodź już.

Miriam zaczęła zbierać rzeczy Marion. Holger wstał, żeby jej pomóc.

– Jak tam suknia ślubna? Wszystko w porządku?

– Nie do końca tak, jak sobie wyobrażałam – westchnęła Miriam – ale jest tam warsztat krawiecki, można będzie trochę przerobić. Mam tylko nadzieję, że wyrobią się z tym na czas.

– No tak, do dwunastego maja nie zostało go już za dużo.

– Właśnie. Chodź, Marion, musimy się pospieszyć. Tata zatrzymał się na zakazie. Pożegnaj się z dziadkiem.

– Do widzenia, dziadku – powiedziała dziewczynka, uśmiechając się. Przytuliła się mocno do niego. – Do następnego razu musisz poćwiczyć zabawę, dobrze?

– Obiecuję – odpowiedział Holger.

– Przyjdiesz sam? – spytała Miriam.

– Słucham?

– Na ślub. Przyjdiesz sam czy zabierzesz kogoś ze sobą?

Wziąć kogoś na ślub? Nie przyszło mu to do głowy. Nie wiedzieć dlaczego, nagle pomyślał o Karen z domu opieki. Ta, która zawsze się cieszyła, kiedy do nich zaglądał. Pierwsza randka i od razu na ślubie? Nie, to nie najlepszy pomysł.

– Przyjdę sam – odpowiedział Holger.

– Nie mógłbyś przyjść z Mią? Podobno jest w mieście? Ucieszyłabym się, gdyby mogła przyjść. Próbowałam się do niej dodzwonić, ale chyba ma odłączony telefon.

Wziąć ze sobą Mię. Na ten pomysł jeszcze nie wpadł. Wiedział, że Miriam i Mia się lubiły.

– Ma nowy – powiedział. – Mogę ją zapytać, dlaczego nie? To niezły pomysł.

– Dobrze, w takim razie wpisuję ją na listę gości – powiedziała Miriam i się uśmiechnęła, po chwili jednak znów przybrała swój zwykły, poważny wyraz twarzy. – A, jeszcze jedno. Może się zdarzyć, że Johannes i ja będziemy musieli w przyszły weekend pojechać do Fredrikstad. Mógłbyś wziąć Marion do siebie?

– Oczywiście.

– Wprowadziłeś się do mieszkania? Nie wynajmujesz już pokoju w Hønefoss?

– Tak, jestem z powrotem. Może spokojnie zostać ze mną na cały weekend, będzie naprawdę fajnie.

– Dobrze, jeszcze do ciebie zadzwonię.

Miriam wzięła Marion za rękę i obie ruszyły do wyjścia.

– Na razie, dziadku.

– Na razie, Marion.

Holger machał ręką, dopóki nie zamknęły się za nimi drzwi, a potem poszedł zapłacić rachunek.

Wyszedł na ulicę i wyjął telefon. Niecierpliwie wybrał numer do biura. Odpoczynek od rzeczywistości trwał wystarczająco długo. Mieli trop w sprawie sukienek. Kim odebrał po pierwszym sygnale.

– Tak, słucham?

– Co mamy?

– Anette i Mia znalazły krawcową. Mieszka w Sandvika.

– I?

– Klient to mężczyzna, czterdzieści kilka lat, tatuaż orła na szyi. Dziesięć sukienek.

– Dziesięć?

– Tak.

Cholera.

– Wiemy coś o nim?

– Curry uważa, że wie, kto to jest. Nie ma oczywiście stuprocentowej pewności, ale ilu facetów w wieku czterdziestu kilku lat ma wytatuowanego na szyi wielkiego orła? Pasuje też do profilu. Roger Bakken. Nie figuruje w archiwum, ale Curry miał z nim do czynienia, kiedy był w wydziale narkotykowym.

– Co to za jeden?

– Pracował jako kurier. Odbiór i przewóz przesyłek, rozumiesz.

- Pasuje jak ulał.
- Właśnie.
- Mamy adres?
- Ostatni znany to przytułek na Grønland. Oczywiście jeśli to ten sam Roger Bakken.
- Ktoś tam pojechał?
- Anette i Mia są już na miejscu.
- Będę tam za pięć minut – powiedział Holger i się rozłączył.

Mia przytrzymała drzwi Anette i ruszyła za nią do ciemnej recepcji. W czasie swojej służby w policji Mia Krüger poznała już wszystkie możliwe miejsca schronienia dla bezdomnych. To tutaj nie różniło się niczym od innych. To samo poczucie beznadziei przenikające ściany. Ostatni przystanek przed stacją końcową. Trafiasz tutaj wtedy, kiedy nikt inny już cię nie chce.

– Dzień dobry.

Anette zajrzała za kontuar recepcji w zapuszczonym hallu, ale nikogo tam nie było.

– Może po prostu wejdziemy?

Mia podeszła do drzwi, które prowadziły zapewne na wyższe piętra. Nacisnęła klamkę, ale były zamknięte.

– Myślę, że ktoś musiałby nas wpuścić – powiedziała Anette, schylając się za kontuar. – Tak to chyba jest w podobnych miejscach? Trzeba jakoś kontrolować, kto wchodzi, a kto wychodzi.

Mia Krüger się rozejrzała. Hall był urządzony oszczędnie. Mały stół. Dwa drewniane krzesła. Donica z uschniętą palmą w kącie.

– Dzień dobry! – zawołała Anette jeszcze raz.

– Jesteśmy z policji. Jest tu ktoś?

Po chwili drzwi za kontuarem się uchyliły i ukazała się w nich głowa szczupłego starszego mężczyzny.

– Czego chcecie?

– Policja. Wydział zabójstw – powiedziała Mia, kładąc legitymację na kontuarze.

Szczupły starszy mężczyzna popatrzył na nie z wyrazem powątpiewania. Spojrzał na fotografię Mii, przeżuwając ostatni kęs kanapki, którą trzymał w ręce.

– A więc? – spytał mężczyzna, dłubiąc paznokciem między zębami. – W czym mogę pomóc?

– Szukamy niejakiego Rogera Bakkena – powiedziała Anette.

– Bakken... Hm... – Mężczyzna zaczął kartkować leżący przed nim zeszyt.

– Roger Bakken – dodała Mia. W jej głosie słychać było zniecierpliwienie. – Czterdzieści kilka lat, duży tatuaż orła na szyi.

– Aaa, ten – odpowiedział mężczyzna, czyszcząc zęby językiem. – W takim razie niestety się spóźniłyście.

– Jak mam to rozumieć?

Mężczyzna wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. Wyraźnie cieszyło go, że może zagrać im na nosie. Wydawało się, że nie przepada za policjantami.

– Zawinął się jakiś miesiąc temu.

– Zawinął się?

– Nie żyje. Trup. Samobójstwo. – Szczupły mężczyzna usiadł na krześle za kontuarem.



– Robisz sobie z nas żarty? – spytała poirytowana Mia. – A skoro już przy tym jesteśmy, wszystko tu w porządku? Czy nikt nie ma w pokoju czegoś, czego nie powinien mieć? Nie znajdziemy tu chyba narkotyków, prawda?

Szczupły mężczyzna uniósł się z krzesła. Uśmiechnął się szeroko, gotowy do wszelkiej pomocy.

– Ale to prawda. Popełnił samobójstwo. Rzucił się z dachu, prosto na asfalt. Oczywiście jeśli mówimy o tym samym człowieku.

– Roger Bakken. Około czterdziestu pięciu lat. Tatuż na szyi.

Mężczyzna pokiwał głową.

– To nasz Roger, zgadza się. Smutna historia, ale niestety to u nas nie pierwsza. Takie życie. W każdym razie dla tych chłopaków.

– Jak to się stało? – spytała Anette.

– Wyskoczył z balkonu świetlicy. Ósme piętro.

– Macie tu balkony? Jak to możliwe?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– A co mamy robić? Zaryglować okna? Każdy powinien sam decydować o swoim życiu, nawet jeśli nie należy do najwyższych warstw społecznych. Nie uważasz?

Mia puściła mimo uszu jego sarkastyczny ton.

– Możemy obejrzeć jego pokój?

– Przykro mi, już zajęty. Ludzie ustawiają się do nas w kolejce. Mamy listę oczekujących na wiele miesięcy naprzód.

– Miał krewnych? Ktoś odebrał jego rzeczy?

– Żadnych – odpowiedział szczupły mężczyzna. – Powiadomiliśmy policję, ktoś przyjechał i go zabrał. Niewielu od nas ma rodziny. A nawet jeśli ktoś ma, to tamci nie chcą mieć z nim nic wspólnego.

– A więc jego rzeczy wciąż tu są?

– O ile wiem, stoją w pudle w piwnicy.

– Dziękuję – powiedziała Mia niecierpliwie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział szczupły mężczyzna.

Mia zabębniła palcami w kontuar. Kompletnie zapomniała, jak to jest być policjantką w stolicy. Znaleźć się w realnym świecie. Tęskniła za swoim domem. Za wyspą. Widokiem na morze.

„Chodź, Mio, chodź”.

– To było podziękowanie z góry – powiedziała wreszcie.

– Hę?

– Za to, że przyniesiesz nam jego rzeczy i nie każesz nam tu czekać cały dzień.

Szczupły mężczyzna z kwaśną miną kiwnął głową i nie spiesząc się, poszedł na zaplecze.

– Cholerny dupek – mruknęła Mia.

– Chyba nie jesteś dziś w formie – powiedziała Anette.

– Co masz na myśli?

– To do ciebie niepodobne złościć się na takich ludzi.

– Źle spałam – powiedziała Mia wymijająco.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do środka wszedł Holger Munch.

– Co mamy? – wysapał, podchodząc do kontuaru.  
– Złe wieści.  
– A mianowicie?  
– Roger Bakken popełnił samobójstwo przed miesiącem – powiedziała Anette z westchnieniem.  
– A więc przed zniknięciem Pauline?  
Mia skinęła głową.  
– Szlag by to trafił – zaklął Holger.  
Jego telefon zadzwonił. Munch spojrział na wyświetlacz i odebrał połączenie. Z zaplecza wyłonił się szczupły mężczyzna. W rękach trzymał kartonowe pudło.  
– To wszystko, co mamy.  
Postawił pudło na kontuarze przed nimi.  
– Jest tam telefon? Komputer?  
Szczupły mężczyzna wzruszył ramionami.  
– Nie wiem, nie zaglądałem do środka.  
Z tylnej kieszeni spodni Mia wyjęła wizytówkę i położyła ją na kontuarze.  
– Zabieramy wszystko – powiedziała. – Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz mieć jakieś pytania.  
– A niech to jasna cholera!  
Anette i Mia odwróciły się jednocześnie, zaskoczone nagłym wybuchem rozmawiającego przez telefon Holgera. Rozłączył się i podszedł do nich z zaciętym wyrazem twarzy.  
– To wszystko? – spytał, wskazując głową pudło.  
– Tak.  
– Bierzemy to.  
– Z kim rozmawiałeś? – spytała zaciekawiona Mia.  
– Z adwokatem rodzinnym.  
– Kłopoty?  
– Muszę do niego zajrzeć, zobaczymy się później w biurze.  
Holger Munch wsunął telefon do kieszeni swojego grubego wełnianego płaszcza i przytrzymał koleżankom drzwi.

Lukas jechał rowerem i rozkoszował się powiewem łagodnego wiosennego wiatru na twarzy. Był w wyśmienitym nastroju. Wstał wcześniej i wypełnił swoje obowiązki: poranna modlitwa i prace domowe. Lukas dbał, aby dom wspólnoty był czysty i by panował w nim porządek. Czuł z tego powodu dumę. Zresztą byłoby niestosownie nazwać poranną modlitwę obowiązkiem. Poranna modlitwa to radość. Czasami wznosił ją od razu po przebudzeniu, jeszcze w łóżku, mimo iż wiedział, że powinien zacząć raczej od porannej toalety i śniadania. Czuł, że tak właśnie trzeba; że należy porozmawiać z Bogiem i że powinna być to pierwsza rzecz, którą robi po otwarciu oczu. Wszystkie modlitwy rozpoczynał od dziękczynienia. Dziękował Bogu za to, że troszczy się o jego najbliższych. O pastora Simona. O wszystkich w lesie. Czasami zastanawiał się, czy w dziękczynieniach uwzględnić swoją dawną rodzinę, ale szczerze mówiąc, nie potrafił już przypomnieć sobie twarzy bliskich. Jego biologiczna rodzina się go wyrzekła, a zastępcza nieszczególnie się nim interesowała. Nikomu jednak nie miał nic za złe, dlaczegóż, u licha, miałby mieć? Ojczce, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią. Dla Lukasa wszystko było oczywiste. Gdyby jego dzieciństwo wyglądało inaczej, nie trafiłby na letni obóz na południowym wybrzeżu i nigdy nie otworzyłaby się przed nim możliwość osiągnięcia pełni szczęścia w Bogu, u boku pastora Simona. Lukas uśmiechnął się szeroko i mocniej nacisnął pedały. Z czego miałby być niezadowolony? Nie było żadnego powodu. Jego życie było spełnione. Doskonałe pod każdym względem. Uśmiechnął się i odmówił cicho krótką modlitwę. Dziękczynienie. Dzięki Ci, Boże, za ptaki na drzewach i za tę piękną szosę. Dziękuję, Boże, za wiosnę i za pozostałe pory roku. Dziękuję Ci, Boże, że uczyniłeś mnie kimś ważnym, że pozwoliłeś mi odnaleźć pastora Simona, że każdego dnia budzę się z radością i z radością zasypiam. To ostatnie wypowiedział już głośno, czując, jak ciepło i światło znów rozlewają się w jego żyłach. Na drodze prowadzącej do Maridalen wyprzedził go jakiś samochód, przejeżdżając trochę za blisko niego. Jeden z tych nieszczęśników, którzy nie mają ani żadnego celu w życiu, ani czasu. Lukas prawie spadł z roweru, ale nawet to nie było w stanie zepsuć mu nastroju. Już od dawna nie trwonił energii na bezbożników. Na ludzi niższej kategorii. Nie było żadnych powodów, by to robić. Z początku współczuł im, gdyż szczęście nie wszystkim sprzyjało tak jak jemu, ale z czasem przestał to robić. Każdy sam wybierał życiową drogę. „Klucz do szczęścia leży w twoich własnych rękach, musisz go tylko dostrzec” – mawiał pastor Simon. Była to jedna z jego ulubionych sentencji duchownego. Nigdy nie miał dość wygłaszanych z kazalnicy kazań pastora. „Nikt nie może wyrządzić ci nic złego, jeśli mu na to nie pozwolisz. Powinieneś zawsze robić to, czego w twoim własnym odczuciu robić nie jesteś w stanie. Smutek to roślina, która nie potrafi żyć bez wody. To ty decydujesz, czy chcesz ją podlewać czy nie”. Lukas znowu się uśmiechnął. Pastor znał wiele takich powiedzeń. Miał bezpośredni kontakt z Bogiem. Lukas sam tego doświadczył i nie było w tym ani trochę przesady. Widział to często. Widział

Boga w pokoju. Dzięki Ci, Boże, za to, że mnie oczyściłeś. Dzięki Ci, Boże, za te kwiaty na poboczu drogi. Dzięki Ci, Boże, za szepty i dzięki Ci za krzyki. Dzięki Ci, Boże, że uczyniłeś moje życie spełnionym.

Lukas zsiadł z roweru, postawił go na stopce i usiadł na przydrożnym kamieniu. Spotykali się w różnych miejscach, mała boczna droga była jednym z nich. Nie widywali się często, to był, zdaje się, ósmy raz. Czy to możliwe? Kobieta w samochodzie. Ostatni raz spotkali się zaledwie przed kilkoma tygodniami. Po prostu podjeżdżała, opuszczała szybę w drzwiach, podawała mu kopertę i odjeżdżała, nie odzywając się prawie ani słowem. Ostatnio było jednak trochę inaczej. Wysiadła z samochodu, zapaliła papierosa i chwilę z nim porozmawiała. O niczym szczególnie ważnym, o pogodzie i tym podobnych.

Nie wiedział dokładnie, ile miała lat, może jakieś trzydzieści pięć. Za każdym razem była bardzo dobrze ubrana. Buty na wysokim obcasie, płaszcz albo elegancki żakiet. Usta pomalowane krwistoczerwoną szminką i piękny uśmiech. Miała długie ciemne włosy i prosty nos. Zawsze nosiła okulary przeciwsłoneczne, niezależnie od tego, czy świeciło słońce czy nie. Nie należała do wtajemniczonych, tego Lukas był pewny. Wystarczyło na nią popatrzeć. Szminka, buty na wysokim obcasie, okulary przeciwsłoneczne, a nawet papierosy – takie jak ona nazywano w Biblii nierządnicami. Pastor Simon mawiał jednak: „Czasami droga do światła wiedzie przez głębokie ciemności”. Czuł, że oboje, on i ta kobieta, są w jakiś sposób ze sobą związani. Ona po jednej stronie, on po drugiej. Oboje byli posłańcami. Ich drogi przecięły się dzięki Bogu i dla Boga. Wstał i się przeciągnął. Kopnął leżący na ziemi kamień, aż ten poszybował w zarośla. Zaczął nucić. Ostatnimi czasy robił to często. To nie był głośny śpiew, zwykle nucenie, melodyjna msza w ustach. M-m-m-m. Spojrzał na wyglądające zza chmur słońce. Zobaczył wiewiórkę skaczącą z drzewa na drzewo. Dzięki Ci, Boże, za wszystkie wiewiórki i za wszystkie inne zwierzęta, którymi nas pobłogosławiłeś. Jesienią Lukas kończył dwadzieścia siedem lat, ale w głębi ducha czuł się o wiele młodszy. Jak gdyby czas przestał istnieć. Lukas nie miał wieku. Bóg nie miał wieku. Czas nie miał początku ani końca. Był tylko dla nowicjuszy. Tych, którzy używali zegarków, telefonów i wciąż musieli się spieszyć. „Wieczność już się zaczęła”. Dobrze pamiętał, kiedy pastor Simon powiedział to pierwszy raz. To było trzeciego dnia tamtego obozu na południowym wybrzeżu, po tym jak Lukas się nawrócił i odnalazł Boga. „Wieczność już się zaczęła”. Nucił jeszcze chwilę, po czym znów spojrzał w korony drzew. Na gałęzi siedziała sójka i gładziła piórka na grzbiecie. Z głębi lasu dochodził odgłos stukania dzięcioła. W sobotę w domu w lesie zauważył sowę. Lux Domus. Wielu ludzi nie lubiło sów, widzieli w nich zwiastuny nadchodzącego nieszczęścia. Ale Lukas wiedział lepiej. Koniec tygodnia był tak niezwykle, jak oczekiwał, a być może nawet bardziej. Nils wykonał w lesie kawał dobrej roboty. Miejsce zmieniło się w prawdziwy raj.

Samochód wjechał w boczną drogę i zatrzymał się kilka metrów od niego. To nie był ten sam samochód co ostatnim razem, ale z pewnością to była ona, rozpoznał ją przez szybę. Długie ciemne włosy związane w prosty koński ogon, szminka, tym razem kobieta nie miała okularów przeciwsłonecznych. Nie zamierzała wysiadać. Przywołała go do siebie gestem ręki, opuściła szybę i podała mu kopertę. Nerwowo zerkała na boki, jak gdyby czuła się obserwowana. Jak gdyby jej się spieszyło i chciała załatwić to możliwie najszybciej.

Lukas wyciągnął rękę po kopertę i w tym momencie kobieta odwróciła się do niego twarzą. Spojrzała na niego, a potem odwróciła się znowu.

Serce podskoczyło Lukasowi w piersi. M i a ł a o c z y r ó ż n e g o k o l o r u. J e d n o b r ą z o w e, d r u g i e n i e b i e s k i e. Lukas nigdy w życiu nie widział jeszcze czegoś takiego. Stał z kopertą w dłoni, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu poczuł coś w rodzaju niepokoju, który zaczął rozlewać mu się po ciele. Kropla czegoś mrocznego w jego jasnej, czystej krwi. Kobieta o oczach różnego koloru podniosła szybę i powoli zjechała na szosę do Maridalen. Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Mia Krüger zataszczyła duże kartonowe pudło do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. W gwarnym zazwyczaj biurze było teraz cicho i pusto. Po drodze pożegnały się z Anette. Miała pomóc w czymś swojej córce i zamierzała przyjechać później, ale Mia zapewniła ją, że to niepotrzebne i że sama da sobie radę z przejrzeniem rzeczy Bakkena. Anette miała najwyraźniej wyrzuty sumienia, jak wszyscy, którzy musieli godzić życie rodzinne i zawodowe. Mia starała się ją uspokoić i obiecała zadzwonić, gdyby pojawiło się coś ważnego. Prawda była jednak taka, że Mia najchętniej pracowała w samotności. Łatwiej jej się wtedy myślało. Łatwiej wnikało w istotę problemu. Odnajdywało powiązania. Nie miała nic przeciwko Anette ani któremukolwiek z kolegów. Wszyscy byli świetni w swojej pracy. Bywały jednak chwile, kiedy ci wszyscy ludzie wokół niej zwyczajnie nie pozwalali jej umysłowi właściwie funkcjonować.

Mia zaniósła pudło do sali briefingowej i postawiła je na stole. Usiadła i spojrzała na ścianę. Swoim zwyczajem Ludvig poobklejał ją zdjęciami z obu spraw. Karteczki samoprzylepne i strzałki, nazwiska i pytania. Pauline i Johanne. „Sukienki? Kto?” Znali już odpowiedź na to pytanie, choć jedyne, co mieli, to kartonowe pudło z rzeczami pozostawionymi przez nieżyjącego mężczyznę z tatuażem orła na szyi. Otworzyła pudło i przełożyła jego zawartość na duży stół. Nie było tego dużo. Kilka zdjęć. Jedno z nich przedstawiało psa, golden retrievera. Na innym mężczyzna na rybach. Nie było widać twarzy, tylko wielkiego łososa, którego mężczyzna trzymał w rękach. Samochód. Kto, do diabła, robi zdjęcia swojemu samochodowi? – pomyślała Mia i szukała dalej. Pod plikiem rachunków znalazła to, czego szukała. Laptopa i iPhone’a. Próbowwała uruchomić telefon, ale siadła bateria. Zaczęła szukać wśród rzeczy ładowarki, lecz jej nie znalazła. Spróbowała włączyć komputer, ale jego bateria również padła.

Mia poszła do swojego pokoju po ładowarkę. Z głębi korytarza usłyszała jakieś odgłosy. A więc jednak nie wszyscy poszli do domu. W biurze wciąż był ten geniusz od komputerów. Jak miał na imię? Gabriel? Tak, Gabriel. Mia poczuła irytację, jej głowa wciąż nie funkcjonowała jak należy. Dieta z tabletek i alkoholu, którą zaaplikowała sobie na wyspie, zrobiła swoje. Było jej słabo i czuła zawroty głowy. Nie miała apetytu, a jej myśli nie chciały ustawić się we właściwym porządku. Ruszyła do pokoju Gabriela. Powinna znów zacząć trenować. Kiedyś, dawno temu, była w znakomitej formie. Ciekawe, czy Chen był w mieście? Być może. Ale był na nią zły. A może ona na niego? Nie pamiętała już tego dokładnie. Zadzwonić do Chena. Więcej trenować. Przepuścić krew przez mięśnie. Znów zmusić mózg do wysiłku.

– Cześć. Jesteś jeszcze?

Mia zajrzała do środka bez pukania. Młody chłopak o jasnych włosach podskoczył na krześle.

– Nie słyszałem cię – powiedział usprawiedliwiająco.

Mia miała wrażenie, że lekko się zaczerwienił.

– Przepraszam, to moja wina. – Uśmiechnęła się. – Chciałam tylko zapytać, czy możesz mi pomóc z jedną małą rzeczą.

Gabriel skinął głową.

– Pewnie. Tylko uporam się z tym tutaj, OK? To zajmie chwilę.

Pokazał na kable leżące na podłodze.

– Spokojnie, nie ma pośpiechu – powiedziała Mia.

– Myślałem, że policja zna się trochę na rzeczy. – Gabriel się uśmiechnął i z kablami w dłoni wszedł na czworakach pod biurko. – Ale ci, którzy to instalowali, nie mieli chyba bladego pojęcia, co robią.

– Mnie nie pytaj, ja mam jeszcze mniejsze. Będę w sali briefingowej.

– Jasne, zaraz przyjdę.

Mia weszła do swojego pokoju po ładowarkę do iPhone'a i zasilacz do laptopa. Kto przechowuje zdjęcia własnego samochodu i psa? W gabinecie Mia nie miała żadnych fotografii. Przeprowadzając się do domu na wyspie, wszystkie swoje rzeczy oddała do przechowalni i zapłaciła z góry za trzy lata. Nie chciała teraz o nich myśleć. O zdjęciach rodziców, Sigrid. Odpędziła od siebie tę myśl i skręciła do sali briefingowej. Podłączyła komputer i telefon Rogera Bakkena do ładowania i wyszła na balkon-palarnię Holgera Muncha. Potrzebowała świeżego powietrza. Nad miastem zapadały wieczorne ciemności, zrobiło się chłodniej. Mia mocniej otuliła się swoją skórzaną kurtką. Żałowała, że nie wzięła czapki. Kiedy zrobiła się taka? Jak rozkapryszone dziecko? Nagle zaczęła się nad sobą roztkliwiać. Ona, która nigdy wcześniej na nic się nie skarżyła. Z jakiegoś powodu zachciało jej się zapalić. Nigdy nie paliła, ale tutaj, w tym miejscu, wydawało jej się to naturalne. Zapalić, żeby zebrać myśli. Tak robił Holger. Właśnie, gdzie on się podziewał? Spojrzała na zegar na wyświetlaczu swojego telefonu. Dwie godziny temu pojechał do tego adwokata. Miała nadzieję, że to nic poważnego, mieli wystarczająco dużo własnych problemów.

– Mia?

Usłyszała głos Gabriela z sali. Weszła z powrotem do środka. Popatrzyła na chłopaka i nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Przecież jest zupełnie nowy w policji. Czy ktoś go w ogóle wdrożył do pracy? Wyjaśnił mu, co ma robić?

– Co u ciebie, Gabrielu? – spytała, przysiadając na dużym stole.

Młody haker popatrzył w bok, a potem wbił wzrok w podłogę. Na jego policzkach znów pojawił się rumieniec. Faktycznie, wrażliwiec, pomyślała Mia i wyciągnęła z kieszeni torebkę pastylek odświeżających.

– Wszystko w porządku – odpowiedział Gabriel.

– Zaaklimatyzowałeś się już? Masz wszystko, czego potrzebujesz?

– Wszystko już zainstalowałem. Wygląda to nieźle. Rano jadę do centrali na szkolenie. Do jakiegoś Møllera.

– Fimpen. – Mia pokiwała głową. – Zna się na swojej robocie.

– To dobrze – powiedział Gabriel. – Nigdy nie zaglądałem do tych baz danych, fajnie będzie zobaczyć, jak to działa.

Mia się uśmiechnęła.

– Jesteś hakerem i nigdy nie buszowałeś w naszej bazie danych? I ja mam w to uwierzyć? Ani w bazie Interpolu? Nie żartuj, musiałeś się tam włamać...

Gabriel zaczerwienił się znowu, wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie wiem...

– Tylko żartuję, wyluzuj. Nie interesuje mnie to. Wyglądam na taką, która by się tym przejmowała?

Mia mrugnęła do niego i poczęstowała go pastylką. Gabriel wziął jedną i usiadł na krześle. Mia od pierwszej chwili polubiła tego chłopaka. Był miły i inteligentny. Uprzejmy i skromny. Przyjemnie przebywać z takimi ludźmi. Poczwała się trochę lepiej. Jej umysł powoli budził się do życia.

– W czym mógłbym ci pomóc?

– W tym – powiedziała Mia, wskazując podłączone do ładowania telefon i laptop.

– Czyje to?

– Rogera Bakkena. Zamówił sukienki, w których znaleźliśmy dziewczynki.

– Ten z tatuażem? – spytał Gabriel.

– Owszem. Jesteś na bieżąco, jak widzę.

Gabriel się uśmiechnął.

– Mam wszystkie rozmowy, esemesy i e-maile naszej grupy. Wszystko przechodzi przez mój komputer.

Mia wzięła kolejną pastylkę.

– Aha. I jest coś nowego?

Gabriel popatrzył na nią dziwnie.

– Mnie pytasz? Jestem tu przecież nowy – powiedział.

– Ja też jestem tu od niedawna. – Znow puściła do niego oko. – Ale poważnie, wszystko, co mówią? Wszystkie esemesy?

– Zgadza się. – Gabriel skinął głową. – A w telefonach jest zainstalowany program śledzący. Dzięki temu widzę, gdzie są wszyscy. Bezpieczeństwo i hiperkomunikacja.

– O cholera. Praktyczne.

– Dokładnie. – Chłopak skinął głową.

– Mam rozumieć, że kiedy wieczorem Curry zadzwoni na sekstelefon dla gejów, następnego dnia będziemy mogli to odsłuchać?

Gabriel popatrzył na nią tym samym dziwnym spojrzeniem. Nie miał pojęcia, czy to dowcip, i do czego zmierzała.

– Teoretycznie tak – powiedział i znow się zaczerwienił.

– To był tylko żart.

Wstała i klepnęła go w plecy. Gabriel usiadł na podłodze przed laptopem i telefonem i włączył oba urządzenia. Obserwował, jak powoli ożywały. Telefon był już naładowany, na ekranie pojawiła się prośba o podanie kodu PIN. Następny w kolejce laptop był również zabezpieczony hasłem.

– Łatwo jest dostać się do takiego urządzenia?

– Tak.

– Potrafisz to zrobić?

– Teraz?



– Byłoby świetnie.

– Dobrze.

Gabriel wstał i przyniósł ze swojego pokoju pendrive'a. Mia siedziała i obserwowała, jak młody haker zabiera się do dzieła.

– Mam tu program o nazwie Ophcrack. – Gabriel podłączył pendrive do komputera.

Przytrzymał wciśnięty przycisk zasilania, aż laptop się wyłączył. Potem uruchomił go ponownie.

– Muszę teraz tak zmodyfikować ustawienia startowe, żeby komputer czytał najpierw dane z pendrive'a, a dopiero potem z dysku twardego. Rozumiesz?

Mia kiwnęła głową. Nie była wprawdzie specjalistką w dziedzinie komputerów, ale tyle rozumiała. Gabriel wyłączył komputer i uruchomił go ponownie.

– Teraz, kiedy wystartuje, zacznie czytać dane z pendrive'a i załaduje Ophcracka.

Mia przyglądała się pracy Gabriela.

– Na laptopie są dwa konta użytkowników. Rogera i Randi.

– Kto to jest Randi?

Gabriel wzruszył ramionami.

– Może miał przyjaciółkę?

– Przypomnij mi, żebyśmy to później sprawdzili. Randi.

– OK – kiwnął głową. – Które hasło mam odczytać najpierw?

– Rogera.

– W porządku – powiedział Gabriel i wskazał na ekran. – Widzisz te kolumny? Pierwsza o nazwie LM Pwd 1, druga LM Pwd 2. Jeśli hasło jest dłuższe niż siedem znaków, a tak jest w tym przypadku, pierwsze siedem znaków pojawi się w kolumnie LM Pwd 1, a pozostałe w LM Pwd 2. Teraz muszę tylko wskazać użytkownika.

Gabriel zaznaczył użytkownika o nazwie „Roger” i kliknął przycisk Crack.

– Resztę program zrobi już sam.

Mia czekała w napięciu, aż program zakończy działanie. Po kilku sekundach na ekranie przed nimi pojawiło się hasło.

– FordMustang67.

Samochód na zdjęciu. Gdyby ten młody geniusz jej nie pomógł, pewnie dałaby sobie radę sama. Oczywiście nie w ciągu kilku sekund, ale z pewnością by na to wpadła.

– Czy każdy może robić coś takiego? – spytała zaciekawiona Mia.

– Ophcrack jest darmowy, można go znaleźć w sieci. Jeśli wiesz, czego szukasz... Tak, może to robić każdy – powiedział Gabriel. Wyłączył komputer i włączył go ponownie.

Na ekranie pojawił się ekran logowania. Gabriel zaczął wpisywać hasło, kiedy zadzwonił telefon Mii. Na wyświetlaczu pojawiło się „Holger Munch”. Wysła na balkon, żeby odebrać.

– Mia.

– Cześć, Mio. Holger z tej strony.

– Gdzie jesteś?

– W samochodzie. Słuchaj, chciałbym zapytać cię o radę w pewnej sprawie.

– Śmiało.

– Nie przez telefon. Nie masz ochoty skoczyć na piwo?

– Będziesz pił piwo?

– Nie, ja nie będę pił, ale muszę z tobą porozmawiać. To sprawa osobista. Nic związanego z pracą. Możesz wypić piwo, ja wezmę wodę mineralną.

– OK – powiedziała Mia. – Gdzie się spotkamy?

– Jesteś w biurze?

– Tak.

– Za kilka minut w Justisen. Pasuje?

– Nie ma problemu. Na razie, Holger.

– Świetnie – powiedział Holger i się rozłączył.

Dziwne. Holger nigdy wcześniej nie miał oporów przed rozmowami przez telefon, pomyślała Mia. Potem przypomniała sobie, co przed chwilą powiedział jej Gabriel. Ich telefony były podsłuchiwane, dla ich własnego dobra. Właśnie o to chodziło. Wciąż miała nadzieję, że nie wydarzyło się nic złego.

– Muszę niestety wyjść – powiedziała do Gabriela, gdy wróciła do pokoju.

– Jasne – skinął głową haker. – Uruchomiłem już komputer, chodzi jak trzeba. Mam się zabrać do telefonu?

– Byłoby świetnie – uśmiechnęła się Mia. – Długo zostaniesz?

– Jeszcze chwilę – odpowiedział Gabriel. – I tak najlepiej pracuje mi się w nocy, a mam tu sporo do ogarnięcia.

– Gdyby pojawiło się coś ważnego, zadzwoń do mnie, OK? Jeśli nie, dokończymy rano.

– Jasne – powtórzył Gabriel.

– Dzięki za pomoc – powiedziała Mia.

Zeszła schodami. Wyszła z budynku, mocniej owinęła się kurtką i ruszyła w kierunku Møllergata.

Holger Munch siedział w ogródku na tyłach kawiarni przy jednym z promienników. Zapalił papierosa i zaczął pisać wiadomość na telefonie. Odłożył go, zobaczywszy Mię.

– Możemy zostać tutaj? Już zamówiłem co trzeba.

– Jasne – odpowiedziała Mia i wysunęła sobie krzesło.

Wieczór w Oslo pod koniec kwietnia. Na piwo pod chmurką właściwie wciąż za chłodno, ale ciepło promiennika przy stole pomagało. Mia wiedziała, że zajmowanie miejsca w środku byłoby bez sensu, Holger i tak co chwila wychodziłby na papierosa. Równie dobrze mogli rozgościć się na zewnątrz. Znalazła koc i rozłożyła go sobie na kolanach.

– Co zamówiłeś?

– Wodę mineralną i kanapkę, a dla ciebie piwo. Nie wiedziałem, czy będziesz mieć ochotę na coś jeszcze.

– Nie, dziękuję. Piwo wystarczy – powiedziała Mia.

Holger rozejrzał się po przytulnym, urządzonym w rustykalnym stylu kawiarnianym ogródku.

– Dawno tu nie byłem.

– Ja też. – Mia się uśmiechnęła.

Oboje doskonale wiedzieli, kiedy byli tu po raz ostatni, ale żadne z nich nie chciało o tym mówić. Spojrzenie i skinienie głową wystarczały. Siedzieli tutaj, przy tym samym stole, kilka lat wcześniej, gdy tymczasem wciąż toczyło się postępowanie w sprawie naruszenia dyscypliny służbowej przez Mię. Mia znajdowała się w fatalnym stanie, a Holger był jedyną osobą, z którą potrafiła rozmawiać. W jakiś sobie tylko znany sposób znalazł ich fotograf z „Dagbladet” i zaczął robić zdjęcia. Nie chciał zostawić ich w spokoju. Holger uprzejmie, lecz zdecydowanie wyprowadził go z lokalu. Mia nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy przypomniła sobie tamten wieczór. Munch zachował się prawdziwie po rycersku. Potrzebowała go wtedy. Teraz to on ściągnął ją tutaj.

– Nie chciałem robić z tego dramatu, ale jakoś nie potrafiłem rozmawiać o tym przez telefon. To nic poważnego, w każdym razie nie tak ważnego jak nasza sprawa, ale mimo wszystko pomyślałem sobie, że poproszę cię o radę – powiedział Holger.

Pojawiła się kelnerka z zamówieniem. Woda mineralna i kanapka z krewetkami dla Holgera, piwo dla Mii.

– Smacznego. Jeśli będziecie jeszcze czegoś potrzebować, po prostu mnie zawołajcie. – Dziewczyna błysnęła uśmiechem i zniknęła we wnętrzu lokalu.

– Nawiasem mówiąc, nie uczciliśmy jeszcze naszego powrotu – Holger uniósł szklanę.  
– Na zdrowie.

– Na zdrowie – uśmiechnęła się Mia i upiła łyk piwa.

Choć niechętnie, musiała przyznać, że smakowało znakomicie. Trafiało dokładnie tam,

gdzie powinno. Wiedziała, że powinna mieć się na baczności, ale akurat teraz było jej to obojętne. Zasłużyła na chwilę odprężenia. Holger jadł kanapkę z krewetkami, nie odzywając się niemal ani słowem. Kiedy skończył, odsunął od siebie talerz i zapalił kolejnego papierosa.

- Macie coś nowego w sprawie Bakkena?
- Komputer i iPhone'a – odparła Mia.
- Nieźle. Coś interesującego?
- Jeszcze nie wiem. Gabriel zabrał się do nich.
- Co o nim sądzisz?

Mia wzruszyła ramionami i upiła kolejny łyk piwa.

– Nie rozmawiałam z nim zbyt długo, ale wydaje się w porządku. Jeszcze zielony, ale to nie musi nic znaczyć.

– Lubię go – powiedział Holger, wydmuchując dym w powietrze. – Dobrze wziąć do siebie kogoś z tej drugiej strony. Nowe, świeże spojrzenie, jeszcze niezrujnowane przez policyjne nawyki. Nie wydaje ci się, że trochę dopadła nas rutyna?

– Możliwe – odpowiedziała Mia. – Wydaje się, że jest dobry w tym, co robi.

Holger zaśmiał się.

– Ha, ha. Jego kwalifikacje nie budzą wątpliwości, żeby ująć to delikatnie. Dostałem jego nazwisko od MI-6 w Londynie. Złamał kod, wiesz, to zadanie, które umieścili w zeszłym roku w sieci.

Mia wzruszyła ramionami.

– Ach tak, zapomniałem, że przez jakiś czas byłaś odcięta od świata. Wiesz w ogóle, kto jest teraz premierem?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

Holger się uśmiechnął i przywołał gestem kelnerkę.

– Podać coś jeszcze? – spytała dziewczyna.

– Chyba mam ochotę na szarlotkę z lodami. Jeszcze jedno piwo?

Mia skinęła głową.

– Szarlotka z lodami i piwo, już podaję – powiedziała dziewczyna i zniknęła.

– W każdym razie jest dobry w tym, co robi. Pytanie tylko, czy nadaje się do policji.

– A kto tak właściwie się nadaje? – spytała Mia.

– Słusznie. – Holger pokiwał głową. – Cholernie się cieszę, że znów wróciłem do miasta i że tu jesteś. Rozmawiałem dziś z Mikkelsonem. To dochodzenie doprowadza wszystkich do szaleństwa. Bezpieczeństwo narodowe, renoma policji, naciski z samej góry, żeby jak najszybciej uporać się z tą sprawą. Pewnie codziennie dzwonią z ministerstwa, żeby dowiedzieć się o postępy w śledztwie.

– Dobrze, niech czasem i jemu ktoś pogoni kota – powiedziała Mia.

Dokończyła piwo i wyciągnęła pastylkę z torebki w kieszeni. Kelnerka podeszła z szarlotką i piwem. Mia poczekała, aż Holger zje trochę szarlotki. Nie chciała, by odniósł wrażenie, że rzuca się na alkohol. Poza tym nie przyszła tutaj, żeby się upić. Holger zamierzał o czymś z nią porozmawiać.

– A więc? Adwokat rodzinny. To nie o tym chciałeś pomówić?

– Tak, cholera – Holger westchnął. – Właściwie nie wiem, od czego zacząć. Jak

powiedziałem, to nic poważnego, ale mimo wszystko... Sporo się działo w ostatnim czasie. Miriam wychodzi za mąż i...

– Ojej! To świetnie. Nie wiedziałam.

Mia poczuła autentyczną radość. Bardzo lubiła Miriam. Obie doskonale rozumiały się od pierwszych chwil znajomości. Wiedziała, że jej stosunki z ojcem nie zawsze były takie, jak powinny, ale miała nadzieję, że się poprawią, wystarczy tylko trochę czasu.

– Owszem. Fantastycznie – kiwnął głową Holger.

– Zakładam, że wciąż Johannes? Skończył już tę medycynę?

Holger pokiwał głową.

– Jest na praktyce. W Ullevål.

– No proszę, prawdziwy szczęściarz. Myślałam, że po studiach wszyscy lądują na prowincji.

– Owszem, w czepku urodzony. – Holger uśmiechnął się kwaśno. – Żartuję. To porządny gość. Mamy nadzieję, że trochę tego jego szczęścia skapnie na Miriam.

– Co masz na myśli?

Holger Munch zawahał się przez chwilę.

– Sam tak naprawdę nie wiem. Na początku poszła na anglistykę, potem jej się odechciało. Chciała studiować literaturę, ale i z tego zrezygnowała.

– A czy nie zaczęła dziennikarstwa?

– Prawie je skończyła, ale postanowiła zrobić sobie przerwę na namysł. Nie mam pojęcia, co teraz robi.

– Myślę, że powinieneś dać jej trochę luzu – powiedziała Mia i pociągnęła łyk. – Ty i Marianne się rozeszliście, kiedy miała piętnaście lat. Jako dziewiętnastolatka została matką. Czego oczekujesz od tej dziewczyny? Daj jej trochę czasu.

– Może i tak... Pewnie masz rację. – Holger westchnął i zapalił kolejnego papierosa.

– Czy coś się z nią stało?

– Co? Nie, skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem, bawimy się w zgadywanke?

– Co masz na myśli?

– Mam zgadywać, o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Holger zaśmiał się głośno.

– Niewiele się zmieniłaś. Ostry język i żadnego szacunku. Wiesz, że jestem twoim szefem? I że właściwie powinnaś zamknąć gębę i robić, co ci każę?

Mia się uśmiechnęła.

– Powiesz w końcu czy nie?

– To trochę drażliwa sprawa. Zupełnie nie wiem, od czego zacząć. Jestem cholernie poirytowany.

– Mówże wreszcie – powiedziała Mia.

– Dobrze – powiedział Holger i zaciągnął się papierosem. – Pamiętasz moją matkę?

– Tak. Co z nią?

– Wiesz, że kilka lat temu umieściłem ją w domu opieki?

– Tak. A co? Coś się stało?

– Ależ nie, wszystko z nią w porządku. Nogi odmawiają jej czasem posłuszeństwa, więc

zdarza się, że trzeba ją wozić na wózku. Ale nie o to chodzi.

– Źle się tam czuje?

– Na początku było trochę problemów, ale szybko się zaaklimatyzowała. Odkryła, że nie jest jedyna w podobnej sytuacji, znalazła tam przyjaciółki, dołączyła do kółka szydełkowania. Nie, nie o to chodzi. Po prostu nagle przyszło jej do głowy, że jest wierząca.

– Co masz na myśli? Wierząca i praktykująca? Nagle uwierzyła w Boga?

Holger pokiwał głową.

– Coś takiego... Myślałam, że zostaliście wychowani na ateistów.

– Tak, i właśnie to jest dziwne. Nigdy nie słyszałem, żeby mówiła o religii albo o tego typu sprawach... A ona pewnego dnia nagle się zmieniła. Zaczęła chodzić na cotygodniowe spotkania wspólnoty religijnej. Razem z kilkoma przyjaciółkami z jej kółka szydełkowania.

– Może to kwestia wieku? – powiedziała Mia. – Cóż my o tym wiemy? Myślę, że jest jeszcze zdrowa i tak dalej, ale nie ma co ukrywać, że pozostało jej już mniej lat, niż przeżyła. A może nie ma w tym niczego złego? Mieć coś, w co się wierzy?

– Tak, w pewnym sensie masz rację. Ja sam nie uważałem tego za nic groźnego, broń Boże. Ma prawie osiemdziesiąt lat i sama może decydować o sobie, ale...

Holger zawahał się przez chwilę.

– Ale co?

– Sprawa jest jednak poważniejsza, niż początkowo sądziłem. To dlatego Kurt do mnie zadzwonił.

– Ten adwokat?

Holger kiwnął głową.

– O co chodzi?

Holger zgniótł niedopałek w popielniczce i zapalił kolejnego papierosa.

– Postanowiła przepisać tej wspólnocie cały rodzinny majątek.

– Shit.

– Właśnie.

Holger rozłożył ręce.

– Co mam zrobić w tej sytuacji?

– To duży majątek?

– Cholera, nie, krezusem nie jest, ale mimo wszystko. Mieszkanie na Majorstua, domek wakacyjny w Larvik. Ma też co nieco na koncie, w ogóle nie tknęła pieniędzy, które zostawił ojciec. Ale tu nie chodzi o pieniądze. Wiesz, zawsze wyobrażałem sobie, że to wszystko zostanie w rodzinie, dla Marion. Że da to jej poczucie bezpieczeństwa, stabilność. Rodzinne dziedzictwo i tak dalej, rozumiesz.

Mia kiwnęła głową. Holger miał mocną, czasem wręcz niezdrową więź ze swoją wnuczką. Mia była pewna, że gdyby pewnego dnia ktoś poprosił, by odrąbał sobie dla niej rękę, zrobiłby to bez chwili wahania. I bez znieczulenia. Proszę bardzo, oto ręka. Czy życzyś sobie coś jeszcze?

– Cholera, główniana sprawa.

– Nie da się ukryć. I co ja mam z tym zrobić?

– Proste to nie jest.

– Wiem, że to tylko pieniądze. Do diabła, mamy o wiele ważniejsze sprawy na głowie. Dwie sześćoletnie dziewczynki nie żyją, są jeszcze inne sukienki. To jakiś cholerny koszmar, boję się o tym myśleć. Jestem w kompletnej rozsypce. Nie mogę zasnąć, leżę i czekam, aż zadzwoni telefon, bo zaginęła kolejna dziewczynka. Rozumiesz?

Mia skinęła głową. Czuła się podobnie.

– Dlatego nie chciałem rozmawiać o tym przez telefon. W porównaniu z innymi rzeczami to właściwie drobiazg. I nie chcę, żeby reszta pomyślała sobie, że marnuję czas na takie rzeczy, zamiast łapać tego skurwiela.

– O ile jest tylko jeden – powiedziała Mia.

– Myślisz, że może ich być więcej?

– Nie wiem, ale chyba nie możemy tego wykluczyć, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie.

Holger zamilkł i się zamyślił.

– Nie możesz z nią po prostu porozmawiać?

– Co?

– Z twoją matką. Powiedzieć jej tego, co powiedziałaś mi przed chwilą. O Marion i tak dalej.

– Tak, psiarew, masz rację – westchnął Holger. – Gdyby tylko nie była tak cholernie uparta. Czasami mam wrażenie, że mści się na mnie za to, że to nie ona zdecydowała o tym domu opieki.

– Prawie puściła z dymem całą kamienicę, Holger. Nie było innego wyjścia.

– Tak, wiem o tym, ale mimo wszystko...

Mii nagle zrobiło się żal Muncha. Otoczony silnymi kobietami w każdym wieku, o wiele za miękki i dobry. On sam tego nie dostrzegał, wciąż męczyły go wyrzuty sumienia z powodu rozwodu. Mia wiele razy mówiła mu, że to nie jego wina, tylko decyzja Marianne, ale nie chciał jej słuchać.

– Myślisz, że jest ich więcej?

– Morderców?

Holger kiwnął głową.

– Nie sędzę.

– Też tak myślę. Ale nie możemy tego wykluczyć.

– Jestem trochę... – zaczęła Mia i nagle urwała.

– Trochę co?

– Nie wiem. Nie do końca to czuję. Nie potrafię w to do końca wejść. Nie widzę całego obrazu, coś tu wymyka się modelowi. Wiem to, to do mnie krzyczy, jest oczywiste, ale tego nie dostrzegam. Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi...

– To przyjdzie – powiedział Holger uspokajająco. – Nie było cię przez jakiś czas. To wszystko.

– Być może. – Mia pokiwała głową w zamyśleniu. – Mam nadzieję. Jeśli mam być szczerą, czuję się trochę nieprzydatna. Użalam się nad sobą. Rozwodzę się nad swoim dzieciństwem. To do mnie niepodobne. Nie znoszę siebie takiej. Jeśli nie uda mi się wejść w tę sprawę, musisz mnie od niej odsunąć. Obiecasz mi to?

– Potrzebuję cię, Mia – powiedział Holger. – To dlatego jesteś tu z powrotem.  
– Żeby doradzać ci w twoich sprawach rodzinnych?  
– Wiesz co? Pieprz się.  
– Sam się pieprz, Holger. Dobrze się czułam tam, gdzie byłam.  
Oboje się uśmiechnęli i popatrzyli na siebie ciepło. Nie potrzebowali żadnych słów.  
Holger zapalił kolejnego papierosa. Mia upiła łyk piwa i ciaśniej owinęła się kocem.  
– Hønefoss było w dwa tysiące szóstym, zgadza się?  
– We wrześniu – Holger skinął głową. – Dlaczego pytasz?  
– Jeśli ta dziewczynka jeszcze żyje, w tym roku poszłaby do szkoły. Myślałeś o tym?  
– Przyszło mi to do głowy – odparł Holger. – Gabriel powiedział coś, co mnie zastanowiło.  
– Co takiego?  
– Coś o nauczycielu. Że to mógł być nauczyciel, jakoś tak.  
– To nie jest głupia myśl. Może rzeczywiście ten chłopak nadaje się do policji.  
– Jeśli jeszcze żyje. Jak sądzisz? – spytał Holger.  
– Co masz na myśli?  
– Nie, to ty powiedziałaś. „Jeśli jeszcze żyje”. Dziewczynka, która zniknęła. Nigdy jej nie znaleźliśmy. Może być przecież i tak, że wciąż żyje.  
– Nie – odpowiedziała Mia.  
– Skąd ta pewność?  
– Ona nie żyje.  
– No tak, ja też w to nie wierzę, ale zawsze jest taka ewentualność, prawda?  
– Ona nie żyje – powtórzyła Mia.  
– A co sądzisz o tej teorii z nauczycielem?  
– Nie jest głupia, warto ją mieć na uwadze.  
Holger kiwnął głową i spojrział na telefon.  
– Muszę się zbierać. Mam jeszcze trochę papierkowej roboty przed snem. Mikkelson nie daje mi żyć.  
– Myślałam, że zajmuje się tym Anette?  
– Robi co może. – Holger wstał i wyciągnął portfel z płaszcza.  
– Ja zapłacę – uparła się Mia.  
– Jesteś pewna?  
– Jestem pewna. Twoja rodzina będzie wkrótce bez grosza przy duszy, tyle mogę dla ciebie zrobić.  
– Ha, ha. – Holger puścił do niej oko.  
– Będzie briefing jutro rano?  
– Nie myślałem o tym. Zobaczmy, co uda nam się wyciągnąć z komputera i telefonu Bakkena.  
Mia kiwnęła głową.  
– Będę cię informować na bieżąco.  
– Świetnie. Na razie.  
Holger wyszedł, a Mia została z pustą szklanką na stole przed sobą. Miała ochotę na jeszcze jedno piwo, ale nie była pewna, czy powinna. Pokój hotelowy byłby właściwie



lepszy. Wcześniej do łóżka, do czystej pościeli. Bębniła palcami po krawędzi szklanki i rozmyślała nad sprawą, próbując rozruszać mózg.

– Podać coś jeszcze?

Kelnerka pojawiła się obok niej, z nieodłącznym uśmiechem na twarzy.

– Tak, jeszcze jedno. I ratzeputza.

– Już podaję. – Dziewczyna skinęła głową i zniknęła.

– Mia?

Znajoma, a zarazem obca twarz wyłoniła się z chmury papierosowego dymu. Kobieta, mniej więcej w wieku policjantki, podeszła do jej stolika.

– Nie poznajesz mnie? Susanne. Z Åsgårdstrand.

Kobieta się pochyliła i długo ścisnęła Mię. Wielki Boże, oczywiście. Susanne Hval. Mieszkała kilka domów dalej przy tej samej ulicy. Starsza o rok od niej i Sigrid. Kiedyś, dawno temu, wszystkie trzy się przyjaźniły.

– Cześć, Susanne. Wybacz, myślałam o pracy.

– Rozumiem. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Mogę się przysiąść?

– Tak, jasne.

– Tego bym się nie spodziewała – powiedziała Susanne, śmiejąc się. – Ile to już lat?

– O wiele za dużo.

Dawna przyjaciółka wpatrywała się w Mię z szerokim uśmiechem na ustach.

– Nie widziałam cię od... Tak, od tamtego czasu, kiedy pisali o tobie w gazetach. A może nie chcesz, żebym o tym mówiła?

– Bez obaw, wszystko w porządku – uśmiechnęła się Mia.

– Jak to się właściwie skończyło? Tamta sprawa i w ogóle?

– Musiałam trochę odpocząć.

– Na pewno nie przeszkadzam?

– Nie, naprawdę. Usiądź – powiedziała Mia i wskazała krzesło, które przed chwilą opuścił Holger. Przez wszystkie te lata wiele razy myślała o Susanne, zwłaszcza po śmierci Sigrid. Spotkały się na pogrzebie, ale od tamtego czasu ani jej nie widziała, ani się z nią nie kontaktowała. To wszystko ją przerosło. Dobrze było znowu zobaczyć starą przyjaciółkę.

Kelnerka przyniosła piwo i ratzeputza.

– Napijesz się?

Susanne pokręciła głową.

– Mam piwo w środku. Jestem z kilkoma kolegami z pracy.

W jej głosie zabrzmiała odrobina dumy.

– A więc przeprowadziłaś się do miasta? – spytała Mia.

– Tak, cztery lata temu.

– Świetnie. Czym się zajmujesz?

– Pracuję w Teatrze Narodowym – uśmiechnęła się Susanne.

– Proszę, proszę. Gratuluję.

Mia przypomniała sobie amatorską grupę teatralną w Horten. Susanne bardzo chciała ją do niej wciągnąć, ale na szczęście Mii udało się jakoś od tego wymigać. Na samą myśl o występach na scenie przechodziły ją dreszcze.

– Jestem tylko asystentką reżysera, ale mimo wszystko to niesamowita sprawa. Wkrótce mamy premierę Hamleta, reżyseruje Stein Winge. To będzie wspaniały spektakl, jestem pewna. Powinnaś przyjść. Dostanę bezpłatne wejściówki na premierę. Chcesz?

Mia się uśmiechnęła. To była stara dobra Susanne. Lubiana przez wszystkich, pełna energii dziewczyna o ciepłym spojrzeniu, któremu trudno się oprzeć.

– Dlaczego nie? – Mia pokiwała głową. – Ostatnio mam mnóstwo roboty, ale zobaczymy, może znajdę chwilę.

– O Boże, jak dobrze cię zobaczyć. – Susanne się zaśmiała. – Poczekaj, przyniosę moje piwo. Mogę? Ci aktorzy są zresztą tak zajęci sobą, że nie zauważą, że mnie nie ma.

– Pewnie. – Mia się uśmiechnęła.

– Zaczekaj tu i nie znikaj.

Susanne zgmiotła niedopałek papierosa i pobiegła do środka po swoją szklanę.

Tobias Iversen nastawił budzik na szóstą i zerwał się już po pierwszym dzwonku. Chłopiec pochylił się nad nocnym stolikiem i wyłączył budzik, nie chcąc, aby przenikliwy dźwięk obudził innych. Jego młodszego brata Torbena nie było w domu, nocował u jednego z kolegów z klasy. Tobias wysliznął się z łóżka i ubrał się najciszej, jak tylko potrafił. Wszystko miał od dawna gotowe, tę wyprawę planował już od wielu dni. Mały plecak stał przygotowany u wezglowia łóżka. Nie wiedział, jak długo przyjdzie mu przebywać w lesie, więc na wszelki wypadek spakował trochę więcej ekwipunku. Wziął ze sobą mały, dwuosobowy namiot, śpiwór, kuchenkę gazową z zapasem prowiantu, nóż, dodatkową parę skarpetek i pulower na wypadek, gdyby się ochłodziło, kompas i starą mapę, którą znalazł w komórce. Obudził się w nim nastrój odkrywcy. Cieszył się, że wyrusza z domu.

Przez kilka dni po tym, jak on i jego brat znaleźli w lesie dziewczynkę powieszoną na drzewie, w domu było jakby przyjemniej. Matka i ojczym mieli wielu gości, przede wszystkim policjantów, którzy bez przerwy zadawali pytania. Matka i ojczym zachowywali się bardzo miło, posprząтали nawet dom. Salon wyglądał teraz zupełnie inaczej i prawie przez cały czas ładnie tam pachniało. Policjanci byli bardzo sympatyczni. Traktowali go trochę jak bohatera. Mówili mu, że zachował się mądrze, że wszystko zrobił jak należy. Tobias czuł się tym wszystkim nieco skrępowany, nie był przyzwyczajony do tylu pochwał. Policjanci gościli u nich przez kilka dni. Oczywiście nie nocami, ale od rana do późnego wieczora. Otoczyli okolicę biało-czerwoną foliową taśmą z napisem „Policja”, aby powstrzymać ciekawskich. A tych nie brakowało. Gapie przybyli zarówno z wioski, jak i z innych miejsc. Na drodze parkowały samochody z wielu stacji telewizyjnych, w powietrzu krążył śmigłowiec, zjawiało się też mnóstwo dziennikarzy i fotografów. Wielu z nich chciało rozmawiać z Tobiasem. Przez cały ten czas telefon w domu dzwonił niemal bez przerwy. Tobias słyszał, jak matka rozmawiała z kimś o pieniądzach. Mówiła, że mogliby zarobić krocie, gdyby chłopcy zaczęli udzielać wywiadów. Jednak policjanci kategorycznie zabronili jakichkolwiek rozmów z prasą. Tobiasowi właściwie to odpowiadało. Podczas przerw w szkole wszyscy zachowywali się w stosunku do niego inaczej. Większość uczniów, w tym dziewczyny, uznała go za kogoś w rodzaju gwiazdy. Ale niektórzy chłopcy, zwłaszcza ci dwaj nowi z miasta, zrobili się zazdrośni i zaczęli opowiadać o nim niestworzone rzeczy. Tobias prosił matkę, żeby pozwoliła mu przez kilka dni zostać w domu, dziennikarze przychodzili bowiem również do szkoły. Robili mu zdjęcia podczas gry w piłkę i przywoływali go do ogrodzenia. Oczywiście ani razu do nich nie podszedł. Policjanci powiedzieli, że nie wolno mu z nikim rozmawiać o tym, co zobaczył, a Tobias chciał być posłuszny ich poleceniom. Ubrani w foliowe ubrania ochronne funkcjonariusze przeszukali cały las. Tobias siedział na krześle na podwórku i obserwował ich pracę. Nikomu innemu nie pozwolono tego robić. Nawet reporterzy

NRK, TV2 i innych stacji telewizyjnych musieli stać za barierką w dole drogi i tylko przekrzykiwali się nawzajem, kiedy ktoś przejeżdżał obok nich. Ale to on ją znalazł. Znał każdy pniak w tym lesie, a teraz poznał jeszcze policjantów. Pierwszy z nich miał na imię Kim, drugiego nazywali Curry, była też Anette. Oraz szef. Nosił brodę i miał na imię Holger. Pojawił się tu tylko raz, ale to właśnie on przesłuchiwał Tobiasa i to on zdecydował, że o tym, co zobaczyli, nie wolno im z nikim rozmawiać. Tobias najczęściej rozmawiał z Kimem i trochę z Currym. Bardzo ich obu polubił. Traktowali go nie jak chłopca, a prawie jak dorosłego. Często zdarzało się, że wychodzili z lasu na podwórko i wypytywali go o różne rzeczy. O to, kto kręcił się po lesie. Czy to on zbudował szałas pomiędzy drzewami. Trochę o sąsiadów. O to, czy w ostatnim czasie zauważył coś szczególnego. Takie rzeczy. Pierwszego wieczoru pojawiła się również psycholog, z którą mógł porozmawiać, jeśli chciał. Pogadał więc z nią i było całkiem miło. To, że znalazł martwą dziewczynkę, nie zrobiło na nim początkowo większego wrażenia. Dopiero po kilku dniach dotarło do niego, co się tak właściwie wydarzyło. Dopiero wtedy to sobie uzmysłowił. Siedział na schodach i nagle zrozumiał, że to rzeczywistość, że dziewczynka na drzewie – nazywała się Johanne – miała mamę i tatę, siostrę, ciocię, wujków, dziadków, przyjaciół i sąsiadów, a teraz jej nie było, a oni już nigdy więcej jej nie zobaczą. I że ktoś zrobił jej to świadomie, tuż koło jego domu. Tobias wzdrygnął się na myśl, że równie dobrze to on mógł wisieć na drzewie. Albo jego młodszy brat. Poczł w środku ogromny ból, musiał pójść na górę i położyć się do łóżka. Tamtej nocy miał straszliwe koszmary. Śniło mu się, że ktoś zarzucił mu na szyję skakankę, powiesił go na drzewie i strzelał do niego wiklinowymi strzałami z ostrymi kolcami. Słyszał też wołającego o pomoc Torbena, ale nie potrafił się uwolnić. Wisiał, łapiąc się za gardło i spazmatycznie chwytając oddech. Obudził się zlany potem, z głową wciśniętą w poduszkę.

Policjanci odwiedzali ich skromne gospodarstwo przez kilka dni, a potem najwidoczniej skończyli swoją pracę i odjechali. Bariierka w dole drogi znikła i kilku dziennikarzy pojawiło się pod drzwiami, ale matka nie wpuściła ich do środka. Tobias był przekonany, że chętnie by to zrobiła, ale szef ekipy policyjnej, Holger, ten grubas z brodą i dobrymi oczami, surowo zakazał im jakichkolwiek rozmów z prasą.

Tobias planował tę wyprawę od dłuższego czasu. Nadarzyła się doskonała okazja. Dzień wolny od szkoły, a młodszy brat wyjątkowo u kolegi. Ubrał się tak cicho jak tylko potrafił, założył plecak i bezszelestnie wymknął się tylnymi drzwiami.

Tobias był już kiedyś nad Litjønna, znał więc drogę. Mapę i kompas spakował tylko na wszelki wypadek. Mogło się bowiem zdarzyć, że raz czy drugi zdecyduje się zboczyć z drogi. Zapałki. Zabrał zapałki? Zdjął plecak i pomacał ręką w bocznej kieszeni. Tak, były tam. Zapałki to ważna rzecz. Noce bez ognia były bardzo zimne. Nie zamierzał przebywać poza domem przez całą noc, ale niczego nie dało się wykluczyć. Mogło się zdarzyć, że nie wróci. Być może zostanie po prostu w lesie i już nigdy nie wróci do tego smutnego domu. To byłoby coś, gdyby tak po prostu zniknął. Dostaliby porządną nauczkę. To głupia myśl, przecież młodszy brat wraca jutro od kolegi. Tobias lubił spędzać czas ze swoim bratem, ale dobrze było czasem zakosztować trochę swobody.

Tobias zarzucił plecak na plecy i cicho zamknął za sobą drzwi. Na zewnątrz owionęło

go rześkie wiosenne powietrze. Szybko przemknął przez pole i skrył się w lesie. Ruszył inną drogą niż zazwyczaj, z dala od zbudowanego przez siebie szałas, koło którego znaleźli dziewczynkę. Tobias nie chciał myśleć o tym akurat teraz, nie miał ochoty znów się bać. Musiał być teraz zdecydowany. Miał wolny dzień, a pomimo to postanowił wybrać się na wyprawę. Nie było czasu ani miejsca na zmartwienia. Szedł ścieżką wzdłuż strumienia, aż dotarł do dróżki dla bydła, która poprowadziła go całkiem daleko w głąb lasu. Po mniej więcej godzinie zatrzymał się, zdjął plecak i zjadł śniadanie. Posiłek był ważny, a on nie chciał robić hałasu w kuchni. W lesie było sucho i przyjemnie, od dłuższego czasu już nie padało. Tobias siedział na pieńku, rozkoszując się widokiem. Zjadł dwie kromki chleba i popił je sokiem z butelki, którą zabrał z domu. Tobias uwielbiał wiosnę. Lubił obserwować, jak zima ustępuje. Wiosna oznaczała nowe możliwości, szansę na to, że być może wydarzy się coś wyjątkowego, że świat będzie inny. Już dawno doszedł do wniosku, że nowy rok powinien zaczynać się wiosną, a nie w środku zimy. Mijał trzydziesty pierwszy grudnia, a kolejny dzień niemal się od niego nie różnił. Tymczasem wiosną wszystko było inne. Młode, soczyste zielone liście na drzewach, kwiaty i rośliny w leśnym poszyciu, szczebiot ptaków wśród gałęzi. Tobias skończył śniadanie i ruszył w dalszą drogę, nucąc pod nosem. Postanowił, że dowie się czegoś więcej o tych chrześcijanach. Nie będzie już więcej zmyślać, na własne oczy zobaczy, co właściwie się tam dzieje. Wreszcie był w drodze. Żałował, że nie wziął ze sobą żadnej książki. Gdyby noc zastała go w lesie, miło byłoby usiąść przy ognisku i poczytać. Zaczął już kolejną pozycję z listy Emilie. Władcę much skończył w błyskawicznym tempie, niemal pochłaniając każde słowo. Nie był pewny, czy wszystko zrozumiał, ale to nie miało znaczenia. Podobało mu się. Książka poprawiła mu nastrój. Kolejna, Lot nad kukułczym gniazdem, okazała się nie tak łatwa w lekturze. Język był bardziej dorosły. Emilie powiedziała, żeby po prostu zabrał się do innej, jeśli ta okaże się dla niego za trudna, Tobias zamierzał jednak przeczytać ją do końca. Jak dotąd wydawała się bardzo interesująca. Traktowała o Indianach. O wodzu Bromdenie zamkniętym w szpitalu, z którego nie wolno mu było wyjść. Szpitalem kierowała niezwykle ostra kobieta, prawdziwa wiedźma. Wódz Bromden udawał głuchoniemego, człowieka, który nie słyszał ani nie mówił, bo... Tobias nie był do końca pewny, dlaczego Indianin zachowywał się właśnie w ten sposób, ale książka i tak wydawała mu się ciekawa. Szkoda, że jej nie wziął. To było niemądre.

Ze szczytu wzniesienia roztaczał się widok na okolicę. W dali dostrzegł jezioro Litjønna. Jeszcze godzina, dwie i będzie na miejscu. Tobias poczuł radość, a jednocześnie ucisk w żołądku. Wszyscy wciąż rozmawiali o tych chrześcijanach, ale nikt tak naprawdę nic o nich nie wiedział. Co, jeśli okażą się niebezpieczni? Albo nie tyle niebezpieczni, ile raczej niechętni gościom? Z drugiej strony być może okażą się szalenie mili? Być może przywitają go z otwartymi ramionami, dostanie pieczonego kurczaka i oranżadę i w ten sposób zdobędzie wielu nowych przyjaciół? Być może zamieszka tam i zabierze ze sobą Torbena? I wszystko się ułoży jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

Najlepiej nie iść tam od razu. Nigdy nic nie wiadomo. Może na początek rozbić gdzieś niedaleko obóz? Położyć się z lornetką, zamaskować się i trochę im się poprzyglądać? Poczekać na odpowiedni moment?

Tobias uśmiechnął się do siebie. To dobry pomysł. Rozbije obóz z dobrym widokiem i nieco poszpiewuje. Powinien był wziąć ze sobą książkę, tak, zdecydowanie powinien był to zrobić. Teraz już jednak za późno, żeby zawrócić. Zamiast tego sam stanie się Indianinem. Wódz Bromden na tajnej misji.

Zrobiło się trochę cieplej. Słońce wyjrzało zza chmur, jak gdyby oświetlając mu drogę. To był dobry znak. Tobias zdjął kurtkę, włożył ją do plecaka i maszerował ścieżką w głąb lasu.

Tak pochłoneły go własne myśli, że zauważył ogrodzenie, dopiero gdy znalazł się kilka centymetrów od niego. Głowę zaprzętały mu kamuflaż i obóz. Był tu kiedyś i znał dobry punkt obserwacyjny. Gmina sprzedała stare gospodarstwo i należący do niego teren. Wcześniej prowadziła tu schronisko dla narkomanów. Gospodarstwo, do którego mogli przenieść się z miasta, pracować na działce, w lesie i tak dalej. Miało to pomóc wyjść im z nałogu. Ale nagle gmina zaczęła cierpieć na brak pieniędzy, a być może wydała je na coś innego, Tobias nie wiedział dokładnie. W każdym razie przytułek dla narkomanów został zamknięty i przez pewien czas stał opustoszały. A teraz kupili go jacyś chrześcijanie. Tobias był tu do tej pory dwa razy. Raz, gdy mieszkali tu jeszcze narkomani, i drugi, kiedy gospodarstwo stało puste. Towarzyszył mu wtedy Jon-Marius, niegdyś jego najlepszy kumpel, który niestety w połowie szóstej klasy wyjechał z matką do Szwecji. Znaleźli znakomite miejsce do szpiegowania, wzniesienie położone niezbyt daleko od gospodarstwa, skąd jak na dłoni widać było to, co działo się w dole.

Jednak ogrodzenia, z którym niemal się zderzył, nie pamiętał. Wykonane z siatki, w rodzaju tych często zwieńczanych drutem kolczastym. Tobias szybko cofnął się kilka kroków i skrył za drzewami. Z ciekawością przyglądał się tej nieoczekiwanej przeszkodzie. Nie dostrzegł drutu kolczastego, ogrodzenie było za to wysokie. Znacznie wyższe niż Tobias, prawie dwukrotnie. Wyglądało na całkiem nowe, jak gdyby dopiero co zbudowane. Tobias spojrzął na górę siatki i przez chwilę się zastanawiał. Wprawdzie dałby radę przez nią przejść, ale z pewnością nie niezauważenie. W oddali widział dom. Nagle uświadomił sobie, że stało się tu coś dziwnego. To nie było to samo stare domostwo co kiedyś, zostało niemal całkowicie przebudowane. Nowi właściciele wzniesli coś po bokach i u góry i teraz budynek nie przypominał już domu, a raczej niewielki kościół lub coś w tym rodzaju. Był zwieńczony wieżyczką, a obok stała... szklarnia? Tobias przysłonił oczy przed słońcem, ale nie widział dokładnie z tak dużej odległości. Przestrzeń między ogrodzeniem a budynkami była zupełnie pusta, nie znalazłoby się zbyt wielu miejsc, w których dałoby się ukryć. Wzniesienie, z którego Tobias zamierzał obserwować gospodarstwo, leżało po drugiej stronie. Żeby tam dotrzeć, musiał obejść całe ogrodzenie. Znacznie szybciej byłoby przejść przez siatkę, ale po gruntownym namyśle uznał, że nie warto ryzykować. Nie chodziło nawet o to, że nowi gospodarze mogą okazać się nastawieni nieprzyjaźnie. Ale co by powiedział, gdyby został złapany? Bądź co bądź to właśnie on znalazł niedaleko stąd małą dziewczynkę powieszoną na drzewie w lalczynej sukience, z kartką na szyi. Lepiej było więc zostać po bezpiecznej stronie.

Istniała też inna możliwość – mógł po prostu wrócić do domu. Zobaczył już przecież co nieco. Właściciele zbudowali nowe budynki i wzniesli ogrodzenie. Zorganizowali w lesie coś w rodzaju chrześcijańskiego obozu. Będzie o czym mówić w szkole. Przez chwilę

Tobias walczył z tą pokusą, ale ciekawość przeważała nad obawami. Byłoby świetnie, gdyby miał do opowiedzenia coś więcej. Może uda mu się zobaczyć jednego z mieszkańców? Tobias cofnął się trochę w głąb lasu. Wystarczająco, aby skryć się wśród drzew, a jednocześnie widzieć ogrodzenie. Wydawało mu się, że krótsza droga wokół ogrodzenia prowadzi w lewo, dostrzegał tam załamane płoty. Po prawej stronie ogrodzenie znikało w lesie. Tobias nie miał pojęcia, jak daleko mogło się ciągnąć. Założył na głowę kaptur pulowera i się zastanowił. Przyjemnie tak ukryć się w swetrze. Wszystko robiło się jeszcze bardziej ekscytujące. Był agentem na tajnej misji. Z nożem i kieszonkową latarką w plecaku, i z zagadką do rozwiązania. Pochylił się lekko i zaczął przemykać się wzdłuż ogrodzenia, starając się jak najmniej rzucać w oczy. Tobias poruszał się tak cicho jak tylko potrafił, pokonując na raz krótkie odcinki. Pochylał się, przebiegał kilkadziesiąt metrów, po czym przypadał do ziemi, żeby się rozejrzeć. Nikogo nie było widać. Za ogrodzeniem zobaczył dół. Dostrzegł jakąś maszynę, zaparkowaną w oddali traktor. Tobias ruszył ponownie. Pochylił się i przebiegł krótki odcinek. Wypatrzył miejsce, które wydawało mu się odpowiednie, i rzucił się we wrzosy. Tym razem miał nieco lepszy widok. To była rzeczywiście szklarnia, a nawet dwie, całkiem duże. Z oszklonymi ścianami i dachami. Tobias wiedział, że dzieci, które tu mieszkały, nie chodziły do szkoły. Może nigdy nie były też w sklepie? Być może ludzie tutaj sami uprawiali wszystko, co było im potrzebne, by nie musieć dokądkolwiek chodzić? Wyciągnął lornetkę z plecaka. Całkiem wyraźnie widział szklarnie. I ciągnik. Stary zielony massey ferguson.

Gdy w szklach lornetki pojawił się jakiś człowiek, Tobias poczuł, jak serce zaczyna bić mu mocniej. Mężczyzna. Nie. Kobieta. W szarej sukience i z czymś białym na głowie. Weszła do szklarni i stracił ją z oczu. Przeczesał lornetką najbliższą okolicę, próbując wypatrzeć kogoś jeszcze, ale w gospodarstwie panowała niczym niezmacona cisza. Zarzucił ramię lornetki na szyję i wstał. Tym razem zaryzykował przebiegnięcie dłuższego dystansu, nie mógł się doczekać, aż dotrze na wzniesienie. Strach gdzieś się ulotnił, ciekawość wzięła w nim górę. Ledwie zdążył schować się we wrzosach, kiedy drzwi szklarni otworzyły się znowu i ktoś wyszedł. Tym razem dwie osoby. Ta sama kobieta i... Pokręcił nieco okularem lornetki, żeby poprawić ostrość. Mężczyzna. Kobieta i mężczyzna. Mężczyzna również był ubrany na szaro, ale na głowie nie miał niczego. Może tylko kobiety muszą tu nosić nakrycia głowy? To będzie niesamowita historia. Wszystkie tutejsze kobiety noszą na głowie coś białego, a mężczyźni nie. Ale czy na pewno niesamowita? Co to właściwie oznacza? Właściwie nic. Musi podejść bliżej.

Tobias wstał, gotowy do przebiegnięcia kolejnego odcinka, gdy nagle tuż za ogrodzeniem zauważył dziewczynkę. Był tak zaskoczony, że kompletnie zapomniał schować się z powrotem we wrzosach. Stał, nie mogąc się ruszyć. Mogła być w jego wieku albo trochę młodsza. Była ubrana tak samo jak kobieta ze szklarni, w grubą szarą sukienkę z wełny, a na głowie miała coś białego. Klęczała przy grządce i wrywała chwasty. Tobias nie widział dokładnie, co rośnie na grządce. Mogła to być marchewka albo sałata, albo jeszcze coś innego. Trudno powiedzieć. Przykucnął, by trochę mniej rzucać się w oczy. Dziewczynka wstała i rozprostowała plecy. Otrzepała kolana z ziemi. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Była bardzo blisko, nie dalej niż dziesięć metrów od niego. Tobias wstrzymał oddech. Tymczasem dziewczynka znów przyklęknęła na ziemi i wróciła do

pielenia. Od czasu do czasu ocierała pot z czoła. Tobiasz zapomniał zupełnie, że jest teraz szpiegiem i że musi być ostrożny. Dziewczynka wyglądała na zmęczoną i spragnioną. Chyba nic się nie stanie, jeśli ją zapyta, czy chciałaby się czegoś napić? Miał przecież w plecaku dużą butelkę wody.

Tobiasz chrząknął cicho. Dziewczynka nie zareagowała i pielila dalej. Tobiasz rozejrzał się wokół i zobaczył na ziemi kilka starych szyszek. Ostrożnie rzucił jedną, ale nie sięgnęła celu, nie doleciała nawet do ogrodzenia. Uniósł się nieco i rzucił następną. Mocniej. Tym razem trafił w sam środek ogrodzenia. Siatka zadźwięczała, trochę za głośno. Przestraszył się, rzucił się we wrzosa i leżał tak cicho jak tylko potrafił.

Kiedy podniósł wzrok, dziewczynka stała tuż przy ogrodzeniu. Usłyszała hałas, a teraz go zobaczyła. Widział jej oczy. Patrzyła wprost na niego. Tobiasz położył palec na ustach. „Pssst”. Dziewczynka wydawała się zaskoczona, ale mimo to posłuchała go i nie odezwała się ani słowem. Rozejrzała się. Najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Ostrożnie skinęła głową. Tobiasz również się rozejrzał i podszedł do ogrodzenia. Otworzył plecak i wyjął butelkę z wodą. Przecisnął ją pod ogrodzeniem na drugą stronę i wycofał się do swojej kryjówki. Dziewczynka w szarej sukience rozejrzała się ponownie. W pobliżu nie było nikogo. Podbiegła do butelki z wodą, podniosła ją, schowała pod sukienkę i szybko wróciła na grządkę. Tobiasz widział, jak odkręca korek i pije łąpczywie. Wypiła prawie całą butelkę. Musiała być bardzo spragniona. Dziewczynka z czymś białym na głowie rozglądała się przez cały czas. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, jakby się bała, że ktoś może się pojawić. Tobiasz nabrał odwagi i ponownie podszedł do ogrodzenia. Dziewczynka zbliżyła się również, powoli, przez cały czas oglądając się przez ramię. Teraz wyraźnie widział jej twarz. Miała niebieskie oczy i mnóstwo piegów. Z tym czymś dziwnym na głowie i w grubej sukience wyglądała jak starsza kobieta. Tobiasz był jednak pewny, że gdyby miała na sobie zwyczajne ubrania, wyglądałaby tak samo jak inne dziewczyny z jego klasy. Dziewczynka uniosła butelkę w jego kierunku, jak gdyby pytając, czy chce ją z powrotem. Tobiasz pokręcił głową. Dziewczynka przyklękła i wyjęła coś z kieszeni sukienki. Notes i mały ołówek. Szybko napisała coś na kartce i ostrożnie złożyła ją wpół. Wstała, podbiegła do ogrodzenia i przełożyła kartkę przez siatkę. Rozejrzała się nerwowo, po czym równie szybko wróciła na grządkę i znów zaczęła pielic. Tobiasz, pochylony, zbliżył się do ogrodzenia i podniósł kartkę. Odczołgał się z powrotem i ją rozłożył. Było na niej napisane: DZIĘKUJĘ. Podniósł wzrok na dziewczynkę i się uśmiechnął. Zastanawiał się, jak powiedzieć jej PROSZĘ, nie wydając z siebie dźwięku, ale nie było to takie proste. Dziewczynka zerknęła przez ramię i napisała coś jeszcze. Podeszła szybko do ogrodzenia, ale tym razem nie przełożyła przez nie kartki, lecz położyła notes i ołówek przy siatce. Tobiasz zbliżył się, wziął notes i ołówek, i wycofał się do swojej kryjówki. MAM NA IMIĘ RAKEL, przeczytał. NIE WOLNO MI ROZMAWIAĆ. A TY JAK MASZ NA IMIĘ? Tobiasz spojrzał na dziewczynkę. Nie wolno jej rozmawiać? Cóż to za zasady? Dlaczego była taka spragniona? I dlaczego jest tutaj zupełnie sama? Tobiasz pomyślał przez chwilę, po czym napisał odpowiedź. MAM NA IMIĘ TOBIAS. DLACZEGO NIE MOŻESZ ROZMAWIAĆ? MIESZKASZ TU? Z notesem w dłoni podczołgał się do ogrodzenia i wrócił do swojej kryjówki. Ostatnie pytanie było trochę niemądre, mieszkała tu, to było oczywiste, ale zupełnie nie miał pojęcia, co napisać.



Przeczytawszy kartkę, dziewczynka się uśmiechnęła i szybko odpisała. Wciąż była bardzo ostrożna. Zanim zaryzykowała przekazanie listu przez siatkę, kilka razy obejrzała się przez ramię. MIESZKAM TU. W LUX DOMUS. NIE MOGĘ POWIEDZIEĆ DLACZEGO (NIE MOGĘ ROZMAWIAĆ). Gdy to przeczytał, dziewczynka próbowała powiedzieć mu coś na migi, jak gdyby chciała coś wyjaśnić. Zupełnie jej to nie wychodziło. Tobiasz uśmiechnął się do niej i napisał odpowiedź. MIESZKAM NIEDALEKO W LESIE. JESTEŚMY SĄSIADAMI. Dziewczynka przeczytała kartkę i na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech. Tobiasz napisał: CO OZNACZA LUX DOMUS? Dziewczynka odebrała notes i uśmiechnęła się znowu. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, napisała odpowiedź i przekazała mu notes. Kilka szybkich kroków do siatki i z powrotem na grządkę. LUX DOMUS = DOM ŚWIATŁA. JESTEŚ BARDZO MIŁY, ŻE MI POMAGASZ. DZIĘKUJĘ. Tobiasza zdziwiło to, co napisała. Ona nazywa to pomocą? Przecież dał jej tylko trochę wody. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Każde słowo miało teraz znaczenie, skoro nie wolno im było wypowiadać ich głośno. Przez chwilę przygryzał końcówkę ołówka, zanim wymyślił, co może napisać. MAM CI JESZCZE POMÓC? Tobiasz z powrotem przesunął notes pod siatkę.

Tymczasem koło domu coś zaczęło się dziać. Dziewczynka zerknęła nerwowo przez ramię i szybko napisała odpowiedź. Wyrwała kartkę i złożyła ją na pół, jak za pierwszym razem. W ich stronę szli jacyś ludzie. Było ich dość dużo, jak gdyby właśnie skończyli coś robić w kościele. Dziewczynka poderwała się i cisnęła kartkę przez ogrodzenie. Tobiasz słyszał głosy. Wołali ją.

– Rakeł!

Dziewczynka w szarej sukience powoli wstała i zaczęła otrzępywać kolana. Nie widział już jej oczu, stała odwrócona do niego tyłem, pochylona. Wyciągnęła motykę z ziemi i wolno ruszyła w kierunku, skąd dochodziły wołające ją głosy. Tobiasz leżał w kompletnym bezruchu. Nie miał odwagi się poruszyć, dopóki grupa ludzi za ogrodzeniem nie odeszła. Dziewczynka zbliżyła się do nich i wszyscy weszli do jednej ze szklarni. Tobiasz wyczołgał się ze swojej kryjówki i podniósł kartkę. Wsunął ją do kieszeni i wyjął dopiero wtedy, kiedy znalazł się w bezpieczniejszym miejscu, głębiej w lesie. Rozkładając ją, czuł, że drżą mu palce. Przeczytał, co napisała, i przeszył go strach.

TAK. POMÓŻ MI. PROSZĘ.

Z powrotem podczołgał się do ogrodzenia.

W gospodarstwie wciąż panowała cisza. Tobiasz kompletnie nie wiedział, co powinien zrobić. Wymyślił sobie tajne zadanie, ale teraz dotarło do niego, że była to tylko dziecinna zabawa. Misja istniała tylko w jego głowie.

Lecz to nie była zabawa.

To się działo naprawdę.

Dziewczynka w szarej sukience rzeczywiście istniała. Bardzo chciało jej się pić i nie wolno jej było rozmawiać. Teraz prosiła go o pomoc. Tobiasz założył plecak i spokojnym krokiem ruszył w kierunku wzniesienia, z którego zamierzał obserwować gospodarstwo.

Mia Krüger obudziła się z uczuciem, że ktoś jest w jej pokoju hotelowym. Próbowwała otworzyć oczy, ale bez skutku. Leżała niczym we mgle, na wpół śpiąc, na wpół przytomna. Wreszcie uniosła powieki, wystarczająco, by zobaczyć, że jest sama, że w pomieszczeniu nie ma nikogo oprócz niej. Przyszła jej do głowy deprymująca myśl, że tak wygląda teraz jej życie. Pokój hotelowy i ta sprawa. Ale to bez znaczenia. To wszystko było przejściowe. „Chodź, Mio, chodź”.

Wkrótce i tak przecież zniknie. Czego miałyby się bać? Po co myśleć? Dlaczego to? Dlaczego tamto?

Z jakiegoś powodu Mię bolała głowa. Przez ostatnie sześć miesięcy połknęła niezliczoną ilość tabletek i sądziła, że jest odporna na takie dziecinne dolegliwości. Spotkanie z Susanne przeciągnęło się trochę dłużej, niż planowała. Zresztą słowo „planowała” zupełnie tu nie pasowało, ich spotkanie było przecież całkiem przypadkowe. W każdym razie wypijała o jednego drinka za dużo. Zamknęła oczy i próbowała przywołać sen. Śnił jej się Roger Bakken. Stał nagi na dachu miejskiego przytułku. Tatuaz z orłem miał nie tylko na szyi, teraz pokrywał niemal całe jego ciało. Bakken usiłował jej coś powiedzieć, krzyczał do niej z góry, ale nie słyszała jego słów, hałas uliczny był zbyt głośny, a do tego ktoś bez przerwy mówił jej coś wprost do ucha. Próbowwała się odwrócić i zobaczyć, kto szepcze jej te dziwaczne zdania, z których nic nie rozumiała, ale nikogo obok niej nie było. Roger Bakken wymachiwał rękami, desperacko starając się jej coś powiedzieć, ale niczego nie słyszała. „Chodź tutaj – krzyczała. – Zejdź na dół”. I wtedy Roger Bakken skoczył. Spadał powoli, wprost na nią. Tatuaz się rozmywał, pokrywał całe jego ciało i przestrzeń wokół niego. Ramiona mężczyzny zmieniły się w skrzydła. Nogi w pazury. Z głowy sterczał mu teraz dziób. Chwilę przed upadkiem wprost na nią Roger Bakken rozprostował skrzydła i odleciał. Nie udało jej się zrozumieć, co powiedział. Zmiana scenografii. Cmentarz. Grób Sigrid. Ktoś znów szepcze jej do ucha, czyjś niewidzialny głos. Z daleka dobiega dźwięk kościelnych dzwonów. Na wyspie. Dzwony biją na Hitrze. Metaliczne odgłosy wieczności, z telefonu w kieszeni spodni obok hotelowego łóżka. Sennie wyciągnęła rękę w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Dotknęła ekranu i zaczęła mówić, jeszcze zanim właściwie się obudziła.

– Tak? Mia.

– Sorry, obudziłem cię?

To był Gabriel Mørk. Ten nowy. Miły, wciąż rumieniący się chłopak. Haker.

– Nie. – Mia usiadła na łóżku. – Która godzina?

– Dziewiąta.

– Do licha, wcześniej jesteś w pracy.

Mia oprzytomniała. Sen się rozplątał, był tylko pokój hotelowy.

– Nie poszedłem do domu.

– Jezu, przeprowadziłeś się do biura czy jak?

Gabriel zaśmiał się cicho.

– Eee, nie, a zresztą może trochę. Mam sporo rzeczy do ogarnięcia. Nie będę ukrywać, czuję, że ciąży na mnie pewna odpowiedzialność.

– Rozumiem – powiedziała Mia.

Wstała z łóżka i odsłoniła żaluzje. Nowy dzień w centrum Oslo. Dzieci na skwerze Spikersuppa. Emerycy na ulicy Karla-Johana. Król w pałacu. Politycy w parlamencie. Wszyscy zajęci swoimi codziennymi sprawami. A jej zadaniem było dopilnować, by mogli robić to dalej. Aż za dobrze wiedziała, o czym mówi nowo przyjęty do służby haker.

– Ale musisz się czasem zdrzemnąć.

– Wszystko w porządku – powiedział Gabriel. – Przywykłem do pracy w nocy. Pomyślałem sobie, że może chciałabyś usłyszeć, co znalazłem?

– Oczywiście – powiedziała Mia, zasłaniając żaluzje.

Nie była gotowa na rozpoczęcie dnia. Chciała wrócić do swojego snu. Co krzyczał do niej Roger Bakken?

– Właściwie to nie jestem policjantem – powiedział Gabriel, usprawiedliwiającym tonem – i zupełnie nie wiem, co może być ważne, a co nie.

– W porządku – ziewnęła Mia. – Możesz mówić.

– OK – kontynuował Gabriel. – Pamiętasz, że komputer miał dwóch użytkowników?

– Roger i Randi?

– Tak, Roger i Randi. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

– A co jest?

– Zaczekaj. Najpierw Roger. Właściwie nic ciekawego. Komputera używał rzadko, żaden z niego geek.

– Jak go nazwałś?

– Chcę przez to powiedzieć, że zazwyczaj używał komputera do tych samych rzeczy co inni faceci.

– Na przykład do czego?

– E-maile. Samochody i motocykle. Dokładnie to, czego się spodziewałem.

– Do kogo pisał? Coś interesującego?

– Właściwie nic. Prawie żadnych prywatnych wiadomości. Prenumerował jakieś czasopisma o motocyklach. Rachunki, faktury elektroniczne. Reklamy. W każdym razie, jeśli spojrzeć na jego skrzynkę e-mailową, prowadził dość smutne życie.

– Nie wszyscy żyją w sieci, Gabrielu – powiedziała Mia.

– Oczywiście, masz rację, ale mimo wszystko. To dziwne, że nic tam nie było. Nieważne. Nie to jest najciekawsze.

– Zaczekasz sekundę?

– OK.

Mia włączyła funkcję wstrzymania rozmowy i podeszła do telefonu hotelowego na nocnym stoliku. Wybrała numer recepcji i zamówiła do pokoju śniadanie. Poprzedniego dnia odważyła się zejść na śniadanie do jadalni, ale wolałaby o tym zapomnieć. Zbyt wielu ludzi.

– Jestem.

– OK – powiedział Gabriel. – Przyjrzę się jeszcze użytkownikowi „Roger”, ale muszę opowiedzieć ci, co znalazłem na drugim koncie.

– Randi?

– Tak.

– Kto to jest?

– I właśnie to jest dziwne.

– Co takiego?

Gabriel milczał przez chwilę.

– Myślę, że powinnaś obejrzeć to sama, ale jestem prawie pewny, że to ta sama osoba.

– Co masz na myśli?

– Roger i Randi. To ta sama osoba.

– Roger Bakken był dwiema osobami?

– Tak. Albo nie. Albo tak. Lubił zmieniać się w kobietę.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie, to prawda.

– Skąd to wiesz?

– Na koncie „Roger” jest mężczyzną. Trzyma tam zdjęcia samochodów i motocykli. Jeździ na ryby, pije wódkę. Jako „Randi” jest zupełnie inny. Jest kobietą. W przeglądarce znalazłem zakładki do blogów o szydełkowaniu i stron o wystroju wnętrz. Ma swoje zdjęcia w kobiecych ubraniach. Wygląda to tak, jak gdyby prowadził podwójne życie.

– Jesteś tego pewny? – Usłyszała westchnięcie Gabriela po drugiej stronie linii.

– Wiem, że nie jestem policjantem, ale uwierz mi: potrafię odróżnić mężczyznę przebranego za kobietę.

– Sorry – powiedziała Mia. – Ale to wszystko brzmi tak dziwnie.

– Zgadza się – powiedział Gabriel. – Ale to on. Na sto procent. Obejrzyj to sobie sama, kiedy przyjdiesz.

– Będę niedługo – powiedziała Mia. – A co z telefonem?

– To samo.

– Co masz na myśli?

– Prawie wszystkie wiadomości skasowane, żadnych numerów w kontaktach. Nie wiem, co ten gość miał za uszami, ale w każdym razie zrobił wszystko co mógł, żeby się ukryć i zatrzeć po sobie ślady.

– Nie licząc zdjęć w damskich ciuchach.

– Tak, nie licząc tych zdjęć. Ale one były na komputerze.

– Powiedziałeś, że skasował prawie wszystkie wiadomości. Chcesz powiedzieć, że coś masz?

– Tak, mam ich kilka. Bardzo zagadkowe, ale jednak.

– Czytaj.

– Teraz?

– Tak, teraz.

Mia uśmiechnęła się do siebie.

– OK.

Gabriel odkaslnął.

- Są trzy wiadomości. Wszystkie z dwudziestego marca.
- Dzień jego śmierci.
- Naprawdę?
- Tak. Czytaj.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mia zarzuciła na siebie jeden z hotelowych szlafroków i odebrała śniadanie. Gabriel odszukał wiadomości.

- OK. Pierwsza jest krótka.
- Od kogo?
- Anonimowy nadawca.
- Jak to możliwe? Czy można ukryć swój numer, kiedy wysyła się esemes?
- Oczywiście. To proste – odpowiedział Gabriel.
- Może brzmię teraz jak dinozaur, ale jak to się robi? – spytała Mia, upijając łyk kawy.

Była paskudna. Wypluła ją i zaklęła głośno. Że też nie potrafią nauczyć się robić normalnej kawy. Jajecznica i boczek na talerzu również nie wyglądały zbyt zachęcająco.

– Wysyłasz przez Internet. Ze strony txtmnow.com albo z kilku innych. Jest sporo takich, na których nie trzeba się rejestrować. Wystarczy, że wpiszesz numer odbiorcy i wiadomość. Ta jest wysyłana, często z jakąś reklamą. W ten sposób się finansują.

- A co było w wiadomości?
- Były trzy.
- Czytaj.
- „Niemądrze jest latać tak blisko słońca”.
- Co powiedziałaś?

Mia nie dała rady przełknąć ani jednego kęsa. Odstawiła tacę na parapet.

- „Niemądrze jest latać tak blisko słońca”. Tak brzmi pierwsza wiadomość.
- Co odpowiedział?

– Nic nie odpowiedział. Nie da się odpowiedzieć na wiadomość, kiedy nie zna się nadawcy.

Mia usiadła na łóżku i oparła głowę o ścianę. Ból trochę zelżał. Latać zbyt blisko słońca. Tatuaz orła. Skrzydła. Ikar ze skrzydłami. Chłopiec, który podlegał tak blisko słońca, że wosk spajający skrzydła się roztopił. Pycha. Pewność siebie. Roger Bakken zrobił coś, czego nie powinien.

- Jesteś tam?
- Tak. Sorry, Gabriel, musiałam chwilę pomyśleć.
- Chcesz następne?
- Dawaj.
- „Who’s there?”
- Tak brzmiała wiadomość? Po angielsku?
- Tak? Czytać ostatnią?
- Tak.
- „Bye, bye, birdie”.

Mia zamknęła oczy, ale olśnienie nie przyszło. „Who’s there?” „Bye, bye, birdie?” To nie miało żadnego sensu. Wstała z łóżka i poszła do łazienki. W lustrze zobaczyła swoje odbicie. Ten widok się jej nie spodobał. Sprawiała wrażenie wyczerpanej. Niemal bez

życia. Wyglądała jak duch. Schyliła się i zaczęła napełniać wodę do wanny.

– Mia? Jesteś tam?

– Tak, sorry, Gabriel. Próbowałam doszukać się w tych dwóch ostatnich jakiegoś sensu.

– I?

– Na razie nic mi nie przychodzi do głowy. Niedługo będę, OK?

– Dobrze, czekam.

– Świetnie, Gabriel. Jak na razie znakomita robota.

Rozłączyła się i poszła do pokoju. Odłożyła telefon na parapet i jeszcze raz spróbowała coś zjeść. Nie dała jednak rady. Trudno. Zamówi kawę i scone w Kaffebrinneriet.

„Who’s there?”; „Bye, bye, birdie”?

Mia się rozebrała i weszła do wanny. Gorąca woda otuliła jej ciało i ją uspokajała. Miło było spotkać się z Susanne. Naprawdę bardzo miło. Umówiłyśmy się na następne spotkanie czy nie? Mia nie mogła sobie przypomnieć, na koniec była już trochę pijana. Oparła głowę na krawędzi wanny i zamknęła oczy.

„Who’s there?”; „Bye, bye, birdie”?

Niewiele, ale w każdym razie coś.

Cecilie Mykle spała tak mocno, że przebudzenie niemal sprawiło jej ból. Instynktownie wyciągnęła rękę po budzik, ale ten z jakiegoś powodu nie dzwonił. Cecilie próbowała otworzyć oczy, ale bez skutku. Jej ciało było jak z ołowiu. Było jej tak błogo i ciepło, jak gdyby leżała na miękkim obłoku, przykryta jeszcze jedną puszystą chmurą. Owinęła się szczelniej kołdrą i przewróciła na brzuch. Wcisnęła głowę w poduszkę. Próbowała wsłuchać się w swoje ciało. Śpij dalej. Zapomnij o tym, co mówi ci głowa i rozsądek. Potrzebujesz snu. Śpij, Cecilie. Śpij. To dlatego lekarz przepisał jej te tabletki. Cecilie protestowała, w życiu nie brała tabletek nasennych. Nie lubiła tabletek. Woląca zachować jasny umysł. Czuła się niekomfortowo ze świadomością, że coś przejmuje kontrolę nad jej ciałem. A Cecilie Mykle bardzo lubiła mieć kontrolę. Jeszcze raz wyciągnęła rękę spod kołdry, chcąc wyłączyć budzik. Nastawiony na kwadrans po szóstej, jak zwykle. Ten jednak wciąż nie dzwonił. Jakaś mała część jej mózgu próbowała dociec dlaczego, ale została szybko zagłuszona przez pozostałą, której było wszystko jedno i która wciąż znajdowała się pod działaniem tabletek nasennych.

– To nie jest propozycja, to nakaz – powiedział lekarz. – Powinnaś wziąć te tabletki, bo potrzebujesz snu. Potrzebujesz snu. Mam powtórzyć, żeby to do ciebie dotarło?

Najlepszy lekarz na świecie. Wiedział, czego potrzebowała, i potrafił być wobec niej stanowczy. Dbaj o siebie. Cecilie nie umiała o siebie dbać. „Musiś o siebie dbać” – powtarzali ciągle wszyscy, ale Cecilie Mykle uważała, że to nie takie proste. Jej matka nigdy nie troszczyła się o siebie i zawsze stawiała potrzeby innych ponad swoimi. Schemat, z którego nie tak łatwo się wyrwać.

Zmartwienia, zmartwienia. Nie mogła spać właśnie przez nie. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio przespała całą noc. Nawet wtedy nie potrafiła zaznać spokoju. Drzemała chwilę, potem krzątała się trochę po domu, oglądała jakiś późny program w telewizji. Filiżanka herbaty, od czasu do czasu udawało jej się przymknąć oczy na kilka minut przed tym, zanim o 6:15 dzwonił budzik. Powody do zmartwień zawsze się znalazły, a Cecilie należała do ludzi, którzy martwili się bardziej niż inni.

– Niepotrzebnie się zadręczasz – powtarzał często jej mąż, jak wtedy kiedy kupili ten szeregowiec na Skullerud.

– Nie jest za drogi?

– Damy radę – powiedział jej mąż. I miał rację. Dali radę. Zaczął pracować na platformie wiertniczej i przyszło im to z łatwością.

Sześć tygodni tu, sześć tygodni tam. Oczywiście przez te tygodnie, kiedy był poza domem, tęskniła za nim, ale zarabiał nadzwyczajnie. A kiedy był w domu, przesiadywał w nim cały czas. Cecilie Mykle kochała męża. Był doskonały w każdym calu, nie mogła znaleźć sobie lepszego przyjaciela i kochanka. Całkowicie różnił się od swoich kolegów, którzy także pracowali na Morzu Północnym. Ci przyjeżdżali do domu z kieszeniami

wypchanymi pieniędzmi i ruszali w miasto. Sześć tygodni pracy, sześć tygodni pijaństwa. Ale on – nic z tych rzeczy. Kiedy jej mąż był w domu, to był w domu.

Cecilie Mykle rozprostowała ramiona i w końcu otworzyła oczy. Leżała, powoli przytomniejąc. Czuła się ociężała, ale mimo wszystko było jej cudownie po pierwszej od dawna przespanej całej nocy. Miała ciepłą skórę, a ciało odprężone i spokojne. Żadnych snów, nie tak jak ostatnimi czasy. Niespokojne sny, niemal jak w gorączce. Tej nocy zupełnie nic. Tylko kompletny spokój.

Leżała w ciemnej sypialni i nagle poczuła wewnętrzny niepokój. Która właściwie była godzina? Wyciągnęła rękę w kierunku lampki na nocnym stoliku, ale ta się nie zapaliła. Dlaczego było tak ciemno? I zimno? Wyłączyli prąd? Cecilie podświetliła mały budzik i doznała szoku, widząc, która jest godzina. Piętnaście po dziesiątej? Boże święty, od dawna powinna być już na nogach, a Karoline w przedszkolu. Cecilie opuściła nogi z łóżka i usiadła z głową w dłoniach. Głowa jej ciążyła, jakby była z ołowiu. Oczy same się zamykały. Powlekła się z łóżka do włącznika przy drzwiach. Próbowwała zapalić światło, ale bez skutku. W domu było zimno i dziwnie cicho. Cecilie niemal po omacku podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Do sypialni wpadło wystarczająco dużo wiosennego światła, żeby coś zobaczyć.

Miała ciężkie nogi, z trudem szła przez ciemny korytarz. Musi obudzić Karoline. Podłoga była zimna, a ona zapomniała o skarpetkach. Szła w kierunku pokoju Karoline, przytrzymując się ściany.

– Karoline?

Jej głos był cienki i słaby. On także nie chciał się obudzić.

– Karoline, śpisz jeszcze?

Z pokoju dziewczynki nie dobiegła żadna odpowiedź. Kwadrans po dziesiątej? Karoline nigdy nie spała tak długo. Zwykle wstawała o siódmej, a w każdym razie się budziła. Najczęściej przychodziła do łóżka rodziców, ciągnąc za sobą swoją pluszową przytulankę. To była najprzyjemniejsza chwila dnia. Ranek w łóżku, z Karoline i pluszowym misiem.

– Karoline?

Cecilie wciąż szła nieprzytomna, oczy powoli zaczęły przyzwyczajać się jej do ciemności. Nagle poczuła pod stopami coś wilgotnego i lepkiego. Co u licha? Stanęła i uniosła stopę. Ostrożnie dotknęła podeszwy. Na podłodze leżało coś wstrętne. Przecież dopiero co sprzątała. Cecilie ostrożnie poszła dalej przez klejącą się posadzkę i weszła do pokoju Karoline. Sięgnęła do włącznika, ale i tym razem bez skutku.

– Karoline?

Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Światło wlało się do pokoju i dopiero wtedy Cecilie Mykle zaczęła martwić się na poważnie.

– Karoline?

Nie wierzyła własnym oczom. Karoline nie było w jej łóżku. Na podłodze zobaczyła krew. Nie, jeszcze się nie obudziła. Wdepnęła w krew. A więc to musi być sen. Nie powinna brać tych tabletek, ale lekarz nalegał. Cecilie Mykle stała w pokoju dziecięcym, czekając, aż się przebudzi. Nie podobał jej się ten sen. Karoline nie było w łóżku. Było piętnaście po dziesiątej. Na podłodze krew. Nie było prądu. W domu było ciemno. Na ramionach pod swetrem miała gęsią skórę. Chciała się obudzić. Budzik na pewno zaraz



zadzwoń, pomyślała i ugryzła się w wargę.

To tylko sen.

Cecilie Mykle była w szoku. Zupełnie nie słyszała, że gdzieś daleko dzwoni telefon.

Mia Krüger siedziała przy oknie w Kaffebrenneriet na Storgata i piła drugie tego dnia cortado. Zjadła scone i wychyliła szklankę soku pomarańczowego. Miała straszliwego kaca, ale czuła, że jej ciało powoli zaczyna budzić się do życia po wczorajszym wieczorze z Susanne. Zazwyczaj nie czytała gazet, ale z jakiegoś powodu zrobiła to dziś, choć nagłówki działały na nią odpychająco. Morderstwa dzieci – zupełnie jak gdyby wszyscy umówili się, żeby pisać w ten sposób. Mia nie znosiła takiego postępowania mediów. Przyklejania własnych etykietek do spraw dotyczących zabójstwa czy zaginięcia, do zamieszek i wojen. Czy dziennikarze nie rozumieją, jak to działa na czytelników? Nie pojmują, że w ten sposób rozsiewają strach wśród zwykłych ludzi, sprawiają, że ci zaczynają się bać? Niech ich szlag trafi. Dlaczego prawo tego nie zakazywało? Dlaczego nie groziła za to kara? Czy ci idioci nie rozumieją, że w ten sposób dają sprawcy dokładnie to, czego chce – rozgłos? Nie dociera do nich, że zazwyczaj takim ludziom chodzi właśnie o rozgłos? Strona za stroną, we wszystkich gazetach. Morderstwa dzieci. Czasami była ciekawa, jak dziennikarze wymyślają to wszystko. Wywiady z sąsiadami, koleżankami, pracownikami przedszkoli. Policja nie wpadła na żaden trop. Ciekawe, skąd mają taką informację? Zdjęcia Pauline na plaży, z przyjęcia urodzinowego z rodzicami. Zdjęcia Johanne na ślizgawce i na basenie z dziadkiem. Mia kręciła głową, ale nie potrafiła odłożyć gazet. Żadnych podejrzanych. Kraj w żałobie. Zdjęcia z pogrzebu. Zdjęcia kwiatów i zniczy na miejscach, gdzie znaleziono ofiary. Listy i pozdrowienia dla dziewczynek. Płaczące dzieci. Płaczący dorośli.

Odłożyła gazety i dokończyła cortado. Właśnie w tej chwili zadzwonił telefon.

– Mia. Słucham.

– To ja, Holger. Gdzie jesteś?

– Kaffebrenneriet na Storgata. O co chodzi?

– Mamy kolejne zaginięcie.

Mia poczuła, jak włosy stają jej dęba. Zarzuciła na siebie skórzaną kurtkę i po kilku sekundach była już na zewnątrz.

– Jesteś w biurze?

– Właśnie wyjeżdżam.

– Czekam koło 7-Eleven na Pløens gate.

– OK.

Mia schowała telefon i pobiegła w kierunku Youngstorget. Kurwa. Numer trzy. Trzy kreski na palcu środkowym lewej ręki. Nie, tym razem na to nie pozwoli. Był jeszcze czas. Żadnych kresiek więcej. Mia nie wiedziała, kim była ta dziewczynka, ale przepychając się przez tłum w kierunku Torggata, obiecała sobie: Tę dziewczynkę znajdziemy, zanim będzie za późno.

Skreśliła w Youngstorget akurat w chwili, gdy czarne audi Holgera pojawiło się na

Pløens gate. Wskoczyła na przednie siedzenie i szybko zamknęła drzwi.

– Dokąd jedziemy? – zapytała zdyszana.

– Disen – odpowiedział krótko Holger. – Disenveien. Meldunek sprzed dziesięciu minut. Andrea Lyng. Sześć lat. Nie było jej w łóżku, kiedy jej ojciec się obudził.

Munch wystawił koguta na dach i dodał gazu.

– Dopiero teraz wstał?

Mia spojrzała na zegar na wyświetlaczu telefonu.

– Najwyraźniej – mruknął Munch.

– Kto tam jest?

– Kim i Anette. Curry w drodze.

Munch z irytacją zatrąbił na tramwaj i na dwoje przechodniów, którzy nie dość szybko przechodzili przez ulicę.

– Cholerni idioci.

– Zniknęła z domu?

Munch kiwnął głową.

– Dziwne. Tamte dwie zniknęły z przedszkola.

– Spieprzać stąd, na litość boską!

Munch zatrąbił znowu. Po chwili wy dostał się z zatłoczonej ulicy i ruszył w kierunku Sinsen.

– W domu jest tylko ojciec? A gdzie matka?

– Nie mam pojęcia – mruknął Munch.

Jego telefon zadzwonił. Odebrał połączenie.

– Tak? Cholera. Zamknijcie okolicę i ściągnijcie natychmiast techników. Co? Mam to w dupie, to tutaj ma priorytet. Nie, oczywiście, że to ma być traktowane jako miejsce przestępstwa. Będziemy za pięć minut.

Rozłączył się i pokręcił głową.

– Anette?

– Kim.

– Coś znaleźli?

– Krew.

– Krew?

Munch pokiwał głową. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

– Może to nie nasz sprawca – powiedziała Mia. – Zupełnie inna metoda.

– Tak sądzisz?

Powiedział to, nie patrząc na nią. Sześciolatka dziewczynka zniknęła ze swojej sypialni w domu w Disen. Mia wyciągnęła z kieszeni skórzanej kurtki torebkę z pastylkami odświeżającymi. Mogli mieć nadzieję, że te sprawy nie są ze sobą związane. Trzy kreski na palcu środkowym lewej ręki. Nie, do diabła. Nie tym razem. Uda nam się.

Munch znów zatrąbił. Prawie przejechał dwóch punków, którzy nie uważali za konieczne przyspieszyć kroku na przejściu, choć wyraźnie widzieli migającego koguta.

– Krew dziewczynki? – spytała Mia.

– Za wcześnie, żeby to stwierdzić. Technicy są w drodze.

– Słyszałeś ostatnie wieści na temat Bakkena?

- Tatuaz z orłem, tak. Roger i Randi? Coś mi się obilo o uszy. Transwestyta, tak?
- Na to wygląda.
- Nie mam teraz głowy, żeby o tym myśleć. Nie czas na to – wycedził przez zaciśnięte zęby Munch.

To ostatnie powiedział nie tyle do Mii, ile raczej do siebie. Skręcił w Trondheimsveien w kierunku Disen. Disenveien. Małe czerwone szeregowce, których mieszkańcy obudzili się dziś rano w kompletnie innej rzeczywistości.

- Co mamy? – spytał Munch, wysiadając z samochodu.
- Andrea Lyng. Sześć lat. Zniknęła ze swojego pokoju. Ślady krwi przez całą drogę od schodów aż do jej pokoju. Krew na łóżku.

Kim podrapał się po głowie. Wyglądał poważnie.

- Gdzie jest ojciec?
- W salonie – Kim wskazał palcem. – Jest w kompletnym szoku.
- Jest lekarz?

Kim kiwnął głową i wskazał ręką drzwi wejściowe. Jednak zaledwie doszli do zwirowanej dróżki prowadzącej do domu, kiedy pojawiła się Anette. W dłoni trzymała telefon. Wyglądała na przerażoną.

- Jeszcze jedna.
- Co? – Munchowi wydawało się, że się przesłyszał. – Jeszcze jedno zaginięcie?

Anette kiwnęła głową.

– Meldunek dosłownie sprzed chwili. Karoline Mykle. Sześć lat. Zniknęła ze swojego pokoju w Skullerud.

- Kurwa – powiedział Munch.
- Krew?

Anette skinęła głową.

– OK – powiedział Munch. – Wy dwie jedzicie do Skullerud. Kim i ja zostajemy tutaj. I ściągnijcie tam techników.

- Już są w drodze – powiedziała Anette.

Munch spojrział na Mię. Nie powiedział ani słowa, ale doskonale wiedziała, o czym myśli.

Dwie tego samego dnia?

Dwie jednocześnie?

– Weźmiemy mój samochód – powiedziała Anette i pobiegła do czerwonego peugeota zaparkowanego na chodniku.

Dziennikarz Mikkel Wold z „Aftenposten” właśnie zamieścił jeden ze swoich artykułów w internetowym wydaniu dziennika. Czuł się naprawdę zadowolony z rezultatu. Tempo pracy w redakcji było tak zawrotne, że rzadko kiedy miał czas na korektę. Tym razem przeczytał gotowy artykuł aż dwa razy. Żadnych literówek, wszystko wyglądało jak należy. Pożegnanie Pauline. Dzień wcześniej razem z dwoma kolegami napisali o pogrzebie. Tamci dwaj odpowiadali za temat dnia do wydania papierowego gazety, podczas gdy jego zadaniem było poszukiwanie innych punktów widzenia. Zazwyczaj redakcja wydania papierowego i serwisu internetowego pracowały osobno, ale ta sprawa była wyjątkowa. Ich motto brzmiało teraz: „Każdy robi wszystko i najlepiej przed wszystkimi innymi”. Wold zauważył, że konkurencja zachowywała się podobnie.

Kościół w Skøyen był wypełniony do ostatniego miejsca. Zgodnie z życzeniem rodziny dziennikarze mieli pozostać na zewnątrz, ale nie wszyscy zastosowali się do tej prośby. Mikkel Wold widział kolegów z innych gazet, którzy wśliznęli się do świątyni pomiędzy członków rodziny, sąsiadów i przyjaciół. Miał świadomość, że pracowali w bezwzględnej branży, ale wszystko powinno mieć swoje granice. „Aftenposten” oddelegował do tej sprawy naprawdę niezły zespół. Inteligentni ludzie i dobrzy dziennikarze. Nie rozmawiali o tym, ale w redakcji panowała cicha zgoda, by trzymać się na uboczu. Nie rozdmuchiwać sprawy, mieć wzgląd na najbliższych ofiar. Żadnego grzebania żadnymi sensacjami brudnymi paluchami w otwartej ranie, jak robiła to niemal cała konkurencja.

Przed kilkoma miesiącami Mikkel Wold dostał propozycję nowej pracy. Zbliżał się do czterdziestki, a od prawie dwunastu lat pracował w „Aftenposten”. Nowa praca byłaby faktycznie ciekawym wyzwaniem i kto wie, kiedy znów trafi mu się jakaś oferta, ale Mikkel Wold cieszył się, że odrzucił tę propozycję. Ostatnie pożegnanie Pauline. Przeprowadził rozmowę z jedną z przedszkolnych koleżanek Pauline i z jej rodzicami. Miał wrażenie, że poruszają się niebezpiecznie blisko krawędzi, ale uznał, że nie przekroczyli dopuszczalnych granic. Opublikowali zdjęcie płaczącej dziewczynki, z bukietem kwiatów w dłoni i rysunkiem, który narysowała dla Pauline. Piękne i poruszające. I zgodne z normami etyki prasowej. A może nie? Mikkel Wold westchnął i się przeciągnął. Od czasu zaginięcia dziewczynek nie sypiał zbyt dużo. Czy aby nie zatracił umiejętności właściwej oceny? Czy dziesięć lat temu napisałby tak samo? Odpędził od siebie tę myśl i wstał, żeby przynieść sobie kawy z kuchni. W redakcji panowało istne szaleństwo. Od dawna nie mieli już takiego przypadku. O ile w ogóle kiedykolwiek zdarzyło się coś podobnego. Seryjny morderca, który przebiera dzieci w sukienki dla lalek i wiesza je, z tornistrami na plecach, na drzewach. Pokręcił głową i upił łyk kawy. To wszystko wydawało się jakies nierzeczywiste. Takie rzeczy zdarzały się w USA albo w telewizji, ale przecież nie tutaj, dosłownie tuż za rogiem. Mikkel Wold z trudem panował nad sobą, gdy patrzył na ludzi wychodzących z kościoła. Mała biała trumna. Wszystkie te zrozpaczone twarze. Smutek.

Ostatnie pożegnanie Pauline. Miał nadzieję, że nie posunął się zbyt daleko. Nie, na pewno nie. To był dobry artykuł.

– Znów pojechali.

Silje zajrzała do kuchni.

– Dokąd?

Mikkel postawił filiżankę na stole i ruszył za młodą dziennikarką do sąsiedniego pokoju. Przez całą dobę podsłuchiwali teraz na zmianę policyjną częstotliwość, nie chcąc niczego przegapić.

– Skullerud.

– Kolejna dziewczynka?

– Tego jeszcze nie wiemy – powiedziała Silje i podgłośniła radio.

– A co wiemy?

Wszedł Grung, nieogolony i jak zwykle zaczerwieniony na twarzy. Widać było, że i redaktor naczelny niewiele sypiał w ostatnim czasie.

– Kolejne wozy w drodze do Skullerud.

– Skullerud? Myślałem, że na Disenveien?

– I tam, i tam.

– Disen? – spytał Mikkel Wold, jak gdyby nie dosłyszał.

– Komunikat sprzed kilku minut – powiedział Grung, kiwając głową. – Erik i Tove już tam jadą.

Odwrócił się do Silje.

– Mamy adres w Skullerud?

– Welding Olsens vei. Niedaleko tamtejszej szkoły.

– Jadę tam – powiedział Mikkel.

– Dobrze – Grung skinął głową. – Chcę być o wszystkim informowany na bieżąco, OK?

Mikkel Wold pobiegł do swojego biurka i zaczął pośpiesznie zbierać sprzęt.

– Mamy jakiegoś fotografa? – krzyknął Grung.

– Wydaje mi się, że Espen jest wolny.

– Nie, pojechał z Olsenem.

– Dzwon do Niny – rzucił Mikkel Wold i pobiegł do drzwi. – Poproś ją, żeby przyjechała na miejsce.

Windą zjechał na parter, pobiegł na postój taksówek i znalazł wolny wóz. Wyciągnął telefon i wybrał numer Erika Rønninga, kolegi, który był już w Disen.

– Erik.

– Jak wygląda sytuacja?

– Wszystko ogrodzili. Małe zamieszanie. Wygląda na to, że nikt nie wie dokładnie, co się dzieje.

– Jesteśmy tam tylko my?

– Śnij dalej.

Kolega parsknął śmiechem.

– Zleciało się już całe stado sępów. Mia! Mia!

Erik zamilkł na chwilę. Po chwili odezwał się znowu.

– Co się dzieje? – spytał Mikkel Wold.

– Właśnie przyjechali Munch i Krüger. Chyba jesteśmy we właściwym miejscu. Mia! Mia!

Erik znów zamilkł, tym razem na dobre. Mikkel Wold wszedł do taksówki i poprosił kierowcę, by mocno cisnął pedał gazu. Miał nadzieję, że uda mu się dotrzeć na miejsce jako jednemu z pierwszych i że pozostali nie usłyszeli już ostatniego komunikatu policyjnego przez radio. Mikkel próbował dodzwonić się do kolegi, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Holger Munch i Mia Krüger w akcji. To musi być jakaś poważniejsza sprawa.

Wold dotarł na Welding Olsens vei w Skullerud tylko po to, by stwierdzić, że policja zdążyła już ogrodzić teren. Zapłacił taksówkarzowi, wyskoczył z samochodu i zaczął przeciskać się przez gęstniejący powoli tłumek. Bariere? Kiedy zdążyli je ustawić? Ostatnio zdarzało się to często. Choć nasłuchiwali policyjnych częstotliwości, na miejscu byli zawsze o włos za późno. Naprawdę jesteśmy tak cholernie nieudolni? Krążyły plotki, że policja używała teraz nowocześniejszych kanałów komunikacji, ale nikt nie wiedział na ten temat nic więcej.

Mikkel Wold przecisnął się do bariereki i zobaczył tam kolegę z „Verdens Gang”.

– Co się dzieje?

– Jeszcze nie wiem.

Kolega z „Verdens Gang” zapalił papierosa i wskazał ręką w głąb ulicy.

– Wydaje mi się, że chodzi o numer trzy albo pięć. Jeden z tych żółtych szeregowców. Nikogo z wagi ciężkiej tymczasem nie ma, jak na razie tylko piechota. Nie mam pojęcia, o co może chodzić.

Mikkel Wold się obejrzał. Zobaczył ludzi z NRK i TV2, byli też już koledzy z „Dagsavisen”. Zadzwoił jego telefon.

– Mikkel.

– Grung. Co mamy?

– Jak dotąd nic, ale wszyscy już tu są.

– Dlaczego jesteśmy tak cholernie nieudolni? – Grung był wyraźnie zdenerwowany.

– Wiem. Musimy posadzić kogoś przy radiu na stałe – powiedział Mikkel.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Redaktor nie lubił, kiedy ktoś mówił mu, co ma robić.

– Munch i Krüger są w Disen – powiedział Mikkel, chcąc zmienić temat.

Nie miał ochoty zadzierać z Grungiem. Znał ludzi, którzy zrobili to wcześniej, i nie skończyło się to dla nich dobrze. Nie uśmiechało mu się niższe stanowisko i pisanie o wystawach kotów w Sandvika.

– Krüger właśnie odjechała – powiedział Grung. – Założę się, że jest w drodze do ciebie.

– Dodzwoniłeś się do Niny?

– Tak, już jedzie. Mam Erika na drugiej linii, oddzwonię za chwilę.

– OK – powiedział Mikkel i się rozłączył.

Ponownie przecisnął się do bariereki, próbując zorientować się w sytuacji. Policja nie tylko odgrodziła jeden z domów, ale całą ulicę. Munch i Krüger byli w Disen, Krüger prawdopodobnie właśnie do niego jechała. To musi być jakaś większa sprawa. Więcej niż

jedna dziewczynka. Dwie jednocześnie? Nie miał wątpliwości, co jutro znajdzie się na okładce. Rozejrzał się, próbując znaleźć jakieś miejsce, przez które mógłby się przemknąć. Musi przecież być jakaś inna droga. Wold wrócił do miejsca, gdzie wysiadł z taksówki. Zostać tutaj czy spróbować obejść domy? Z rozmyślań wyrwał go dzwonek telefonu. Numer zastrzeżony.

– Tak? Mikkel.

Odpowiedziała mu cisza.

– Mikkel Wold. Kto mówi?

Przyłożył drugą rękę do ucha, żeby lepiej słyszeć. Ludzi przybywało, dookoła zbierały się samochody i zaciekawieni przechodnie.

– Czy to jest sprawiedliwe?

Dziwny głos w telefonie. Metaliczny, jakby zniekształcony. Nie potrafił rozpoznać czyj.

– Kto mówi? – zapytał ponownie Mikkel.

– Czy to jest sprawiedliwe? – powtórzył głos.

Wold oddalił się od tłumu, przeszedł przez ulicę i znalazł nieco spokojniejsze miejsce.

– Co jest sprawiedliwe? – spytał.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Halo?

Wold poczuł, że zaczyna się irytować.

– Halo? Kimkolwiek jesteś, nie mam teraz czasu.

– Czy to jest sprawiedliwe? – powtórzył dziwny głos.

– Co jest sprawiedliwe? Kto mówi?

– Czy to jest sprawiedliwe, że musisz stać tak daleko? – powiedział głos.

W tej samej chwili nadjechał czerwony peugeot. Mikkel dostrzegł Mię Krüger w towarzystwie jednego z kolegów. Samochód podjechał do barierki, gdzie został przepuszczony przez pilnującego przejazdu policjanta.

– Cholera – zaklął Mikkel.

Gdzie jest fotograf? Muszą mieć zdjęcia z tego.

– Zadzwoń i powkurzaj kogoś innego – syknął do telefonu. – Jestem zajęty.

Zamierzał się rozłączyć, ale wtedy metaliczny głos odezwał się ponownie.

– To numer trzy – powiedział.

– Jak mam to rozumieć?

– To numer trzy. Ma na imię Karoline. Wciąż chcesz się rozłączyć?

Mikkel Wold nadstawił ucha.

– Kto mówi?

– Kaczor Donald. Myślałeś, że kto?

– Nie, miałem na myśli...

Usłyszał śmiech.

– Mam zadzwonić do kogo innego? Do Tønninga z „Dagbladet”? Ruuda z „Verdens Gang”? Do któregoś z nich zamiast ciebie?

– Nie, nie – odpowiedział skwapliwie Mikkel. – Jestem.

Odsunął się jeszcze bardziej od tłumu.

– To dobrze – odpowiedział głos.



Mikkel wyciągnął notes i długopis z kieszeni.

– Chcesz zostać moim przyjacielem? – spytał zgrzytliwy głos.

– Być może – odparł dziennikarz.

– Być może?

– Tak, bardzo chcę zostać twoim przyjacielem – powiedział Mikkel. – Kto to jest Karoline?

– A jak myślisz?

– Czy ona to... numer trzeci?

– Nie, Karoline to numer czwarty. Numer trzeci to Andrea. Nie jesteś na bieżąco? Nie byłeś na Disenveien?

Przy barierkach coś się działo. Pojawił się jeszcze jeden samochód. Technicy kryminalni.

– Skąd mam wiedzieć, że...

– Skąd masz wiedzieć, że co? – spytał głos.

– Że nie...

Mikkel nie był w stanie wydobyć z siebie nic więcej. Miał gorące czoło i wilgotne dłonie.

– Czy nie wyglądają słodko, kiedy śpią? – spytał głos.

– Kto taki?

– Te małe.

– Skąd mam wiedzieć, że sobie ze mnie nie żartujesz?

– Chcesz znaleźć palec w skrzynce pocztowej?

Mikkelowi przebiegł po plecach zimny dreszcz. Próbował zachować spokój, ale nie było to łatwe.

– Nie, oczywiście że nie – wyjąkał.

Znów usłyszał głośny śmiech.

– Musicie zadawać właściwe pytania – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Na konferencjach prasowych. Dlaczego nie zadajecie właściwych pytań?

– Jak brzmią właściwe pytania? – spytał Mikkel.

– Dlaczego ta świnia tak zachlapała podłogę.

– Dlaczego ta... Co powiedziałaś?

Mikkel rozpaczliwie próbował notować i nie upuścić przy tym telefonu.

– Tik-tak – powiedział metaliczny głos i się rozłączył.

Holger Munch ściągnął cienkie gumowe rękawiczki i wyszedł na taras zapalić. Niech to wszyscy diabli, co za początek dnia. Tej nocy źle spał, przewracał się w łóżku z boku na bok. Nie udało mu się jeszcze porozmawiać z matką na temat spadku. Na samą myśl o tym czuł w ustach nieprzyjemny smak. Nie mógł zasnąć, choć miał na głowie wiele ważniejszych spraw. Dwie dziewczynki jednego dnia? Zapalił papierosa i zerknął do środka przez szybę. Technicy kryminalni pakowali sprzęt, ojciec pojechał na Grønland, do centrali. Z matką nie udało się jeszcze skontaktować. Ojciec dziewczynki był w szoku i mówił z wielkim trudem. Rodzice dziecka nie byli ze sobą, mieszkali osobno. Matka wyjechała z koleżankami na tydzień do wakacyjnego domku, gdzie najprawdopodobniej nie miała zasięgu. Okno w drzwiach balkonowych było pęknięte. Na dole, na schodach i w pokoju małej Andrei znaleziono ślady krwi. Ktoś zabrał Andreę z jej pokoju. Munch zaciągnął się papierosem, próbując powstrzymać nadciągający ból głowy. Wybrał numer Mii. Odebrała po kilku sekundach.

– Co macie? – spytał Munch.

– Karoline Mykle, sześć lat, zniknęła ze swojego pokoju.

– Ślady włamania?

– Nie ma. Klucz był pod wycieraczką.

Dobry Boże, westchnął Munch. Pod wycieraczką. To nie może być prawda.

– Krew?

– Ślady krwi na dole w korytarzu i na górze w pokoju dziewczynki.

– Rodzice?

– Cecilie i John-Erik Mykle. Oboje dotychczas nienotowani. On pracuje na platformie wiertniczej, próbujemy się z nim skontaktować. Ona jest nauczycielką.

– Nauczycielką?

– Tak, ale to nie ona. Jest w totalnym szoku. Kazałam ją zawieźć do szpitala Ullevål. Nie wiedziała, gdzie jest. Mówiła, że nie ma czasu ze mną porozmawiać i że musi zawieźć Karoline do przedszkola.

– No tak... – westchnął Munch.

– Rozglądamy się teraz po sąsiedztwie i pytamy, czy ktoś czegoś nie widział.

– Tu tak samo – powiedział Munch.

– Priorytet ALFA jeden?

Munch pokiwał głową.

– Holger?

– Co? Tak, wszyscy ruszają w teren. A kiedy mówię w s z y s c y, to mają być wszyscy. Obstawiamy każdą pieprzoną drogę wyjazdową. Każdą pieprzoną ścieżkę. Jasne?

– Wszystko jasne – powiedziała Mia i się rozłączyła.

Holger zaciągnął się głęboko papierosem. Głowa bolała go jak diabli. Wody. Musiał się

czegoś napić. I coś zjeść. Telefon zadzwonił ponownie.

– Tu Munch.

– Mówi Gabriel Mørk. Nie przeszkadzam?

– Mów.

– Chodzi o to, co mi kiedyś dałeś, pamiętasz? Ta prywatna sprawa?

Munch potarł czoło.

– Zadanie – odpowiedział Gabriel.

Umysł Muncha pracował na zwolnionych obrotach. Wreszcie sobie przypomniał. Zadanie matematyczne, którego nie potrafił rozwiązać. To, które przysłała mu e-mailem znajoma Szwedka.

– Rozwiązałeś je?

Munch wszedł do środka. Uważał, aby nie wdepnąć w plamy krwi i niczego nie dotykać. Technicy skończyli już pracę.

– Myślę, że je zrozumiałem, ale potrzebuję więcej.

– Więcej? Jak mam to rozumieć?

– Chyba że wolisz porozmawiać o tym później?

Munch wyszedł przed dom i wyciągnął papierosa z paczki. Barrierki zagradzające wjazd zostały ustawione daleko w głębi ulicy. Dziennikarze byli trzymeni z dala, przynajmniej na razie. Wzdrygnął się na myśl o tym, że będzie musiał porozmawiać z Mikkelsonem. Dwie ofiary. Żadnych podejrzanych. A teraz jeszcze dwie zaginione. Na Grønland wkrótce rozpęta się prawdziwe piekło.

– Wydaje mi się, że to Gronsfeld – powiedział Gabriel po drugiej stronie.

– Co takiego?

– Szyfr Gronsfelda. Język kodowany. To rodzaj szyfru Vigenère'a, z tym że wykorzystuje cyfry, nie litery. Ale potrzebuję więcej danych. Dostałeś coś jeszcze?

Munch próbował się skupić.

– Nie jestem do końca pewny. Co by to mogło być?

– Litery i cyfry. Szyfr Gronsfelda funkcjonuje w ten sposób, że obie strony, nadawca i odbiorca, znają tę samą kombinację. Liter i cyfr. Dla innych rozwiązanie zagadki jest niemożliwe.

– Nic mi nie przychodzi do głowy – powiedział Munch. Zobaczył Kima wchodzącego przez furtkę. – Porozmawiamy później.

– W porządku – powiedział Gabriel i się rozłączył.

– I co? – spytał Munch.

Kim pokręcił głową.

– Większość jest w pracy. Po południu zrobimy jeszcze jedną rundę.

– Nic? Cholera, ktoś musiał przecież coś widzieć.

– Jak do tej pory nic.

– Zróbcie jeszcze jedną rundę – powiedział Munch.

– Ale dopiero co...

– Powiedziałem: zróbcie jeszcze jedną rundę.

Młody policjant kiwnął głową i wyszedł z ogrodu.

Munch zamierzał właśnie wejść z powrotem do domu, gdy Mia zadzwoniła ponownie.

– Tak?

Wyczuwał to w jej głosie. Miała nowe informacje.

– Kobieta – wyrzuciła z siebie.

– Mamy świadka?

– Emeryt, mieszka dokładnie naprzeciwko. Wyglądał przez okno, twierdzi, że mogło być koło czwartej. Jakaś kobieta grzebała przy skrzynce pocztowej. Wyszedł, żeby przyjrzeć się jej dokładniej.

– Ranny ptaszek z niego. Co powiedział?

– Zawołał ją. Wtedy uciekła.

– I jest pewny, że to była kobieta?

– Absolutnie pewny. Stał zaledwie kilka metrów od niej.

– Do diabła.

– A nie mówiłam? Mówiłam, prawda? – Mia była podekscytowana. – Wiedziałam.

– Zgadza się, mówiłaś. Masz tam tego emeryta?

– Zabieramy go ze sobą.

– W takim razie w biurze o dziesiątej?

– Widzimy się – powiedziała Mia i się rozłączyła.

Munch niemal biegiem dotarł do samochodu. Kobieta. Usiadł za kierownicą i ruszył w kierunku barierek. Kiedy przejeżdżał obok reporterów i fotografów, rozbłysły flesze. Sępy w końcu doczekały się zdobyczy. Munch wystawił koguta na dach i na sygnale pomknął w kierunku centrum.

# CZĘŚĆ III

Norweski weteran wojny w Afganistanie Tom-Erik Sørlie siedział przy oknie w salonie, kiedy na ulicy pod jego domem zatrzymały się dwa radiowozy. Policjanci wysiedli i zaczęli ustawiać barierki. Tom-Erik Sørlie wziął lornetkę ze stołu w salonie i wyregulował ostrość tak, by móc obserwować funkcjonariuszy. Przez cały dzień, jak zwykle, nasłuchiwał policyjnej częstotliwości, wiedział więc, że ma miejsce jakaś akcja. Zamordowano dwie dziewczynki, kolejne dwie zaginęły, policja zdecydowała się więc na zablokowanie dróg wyjazdowych z miasta. Poprawił ostrość. Policjanci mieli na głowach hełmy i byli uzbrojeni w pistolety maszynowe MP5. Znał tę broń. Heckler & Koch MP5. Utworzyli służę i zaczęli zatrzymywać przejeżdżające samochody. Na szczęście dla kierowców było jeszcze stosunkowo wcześnie, korek tworzył się więc na wjeździe do miasta, a nie wyjeździe z niego.

Tom-Erik Sørlie odłożył lornetkę i podgłośnił wiadomości. W jego domu telewizor był włączony bez przerwy. Podobnie jak komputer. I policyjne radio. Wiadomości. Lubił być na bieżąco, trzymać rękę na pulsie. Dzięki temu czuł, że wciąż żyje, zwłaszcza teraz, kiedy nie był już w centrum wydarzeń.

Lex, jego pies, obudził się w swoim koszu i po chwili przybiegł do niego. Usiadł przed nim z przekrzywionym łbem i wywalonym jęzorem. Owczarek chciał wyjść na spacer. Tom-Erik Sørlie pogłaskał szczeniaka po łbie, próbując jednocześnie śledzić wydarzenia na ekranie. TV2. Na pierwszym planie reporter z mikrofonem w dłoni. Barrierki policyjne. W tle osiedle domów w Skullerud. Jedna z zaginionych dziewczynek została uprowadzona właśnie stamtąd. Usłyszał tę wiadomość przed godziną. Wstał i wziął szczeniaka na smycz. Zszedł z nim po schodach do ogrodu i przywiązał go na smyczy biegowej. Nie miał ochoty na spacer. Bolała go głowa.

Było już ciemno, kiedy policjanci zaczęli demontować barierki na drodze. Stali tam przez cały dzień. Ktoś w ministerstwie musiał mocno potrząsnąć kiesą. Tom-Erik Sørlie zjadł kolację przed telewizorem. Na ekranie pojawił się portret pamięciowy. Kobieta. Świadek widział ją w Skullerud. Powodzenia, pomyślał Tom-Erik Sørlie. Kobieta wyglądała jak każda inna. Migawki z konferencji prasowej. Przystojna adwokat policyjna. Dziewczynek wciąż nie udało się odnaleźć. Dwoje policjantów wysiadających z samochodu. Mężczyzna z brodą, w beżowym wełnianym płaszczu. Kobieta o długich czarnych włosach. Kamienne twarze. Mężczyzna w płaszczu unosi rękę w obronnym geście. Żadnych komentarzy. Tom-Erik Sørlie przyciszył telewizor i wstał, żeby przynieść sobie kawy. Usłyszał z zewnątrz jakiś odgłos czy to tylko złudzenie? Miał wrażenie, że ktoś jest w ogrodzie. Szybko założył buty i wybiegł na podwórko. Owczarka nie było na smyczy.

– Lex?

Poszedł za dom i kiedy spojrzął na jabłoń, znieruchomiał.

Ktoś zabił jego psa i powiesił go za łeb na skakance.

Mia Krüger przeszła przez ulicę i ruszyła w górę Tøyengata. Wyciągnęła z torebki pastylkę odświeżającą, próbując jednocześnie nie zwracać uwagi na nagłówki gazet w witrynach kiosków z prasą. Wciąż ani śladu tajemniczej kobiety. Portret pamięciowy na pierwszej stronie. Kobieta, którą widział emeryt. Rysunkowi nie sposób było niczego zarzucić, podobnie jak świadkowi. Problem polegał na tym, że mogła to być właściwie każda kobieta. Tylko pierwszego dnia odebrali tysiąc dziewięćset telefonów. Dzwoniący byli przekonani, że to sąsiadka, koleżanka, kuzynka, kobieta, którą poprzedniego dnia widzieli na przystani promowej. Telefony w centrali rozgrzały się do czerwoności, na jakiś czas musieli je zablokować. Mówiono, że na połączenie trzeba było czekać do dwóch godzin. Czy ktoś widział Karoline i Andreę? Kolejny nagłówek. Zdjęcia dziewczynek, duże, powiększone, jak gdyby tylko po to, żeby zakpić z Mii. Jesteś nieudolna. To ty ponosisz odpowiedzialność. Jeśli dziewczynki zginą, to będzie twoja wina.

Skąd, u licha, nagle krew? Mia Krüger tego nie rozumiała. To nie miało żadnego sensu. Zupełnie nie pasowało do reszty. Po zbadaniu krwi okazało się, że nie pochodziła od żadnej z dziewczynek. To nawet nie była ludzka krew, ale świńska. Prawda była taka, że sprawczyni z niej kpiła. Albo sprawca. Mia Krüger nie miała już co do tego pewności. Coś tu się nie zgadzało. Z tą kobietą w Skullerud, z portretem pamięciowym. Czuła, że to wszystko jest tylko grą. „Popatrzcie, jak to wszystko mi łatwo przychodzi. Mogę robić, co mi się podoba”.

„Ja wygrywam, wy przegrywacie”.

Mia mocniej owinęła się kurtką i znów przeszła przez ulicę. Nie mieli nic na temat białego citroëna. W sprawie z Hønefoss Ludvig i Curry zrobili gigantyczną robotę. Biuro na Mariboegate było od podłogi do sufitu oklejone zdjęciami i notatkami, ale jak do tej pory nie udało im się nic znaleźć. Bądź co bądź chodziło tutaj o ośmiuset sześćdziesięciu pracowników. Prawie dziewięćset ludzi, którzy pracowali w szpitalu. Nie mówiąc o wszystkich, którzy mieli do niego wstęp: pacjentów, odwiedzających, krewnych. W sumie tysiące ludzi. Kamery monitoringu niczego nie zarejestrowały. Na oddziale położniczym nie było wtedy kamer, jedna znajdowała się tylko przy wyjściu. Mia pamiętała, jak godzinami wpatrywała się w nagrania monitoringu. Bez skutku. Godziny przesłuchań i zeznań. Lekarze, pacjenci, fizjoterapeuci, psychologowie, rodziny, personel recepcji, sprzątaczkę. Sama rozmawiała z setkami osób. Wszyscy byli jednakowo wstrząśnięci. Jak to się mogło stać? Ktoś wszedł na oddział położniczy i wyszedł z niemowlęciem w rękach niezauważony przez nikogo? Pamiętała radość kierownictwa w centrali, gdy młody Szwed „przyznał się” do porwania i zaraz potem powiesił. Sprawa została zamknięta. Zamieciona pod dywan. Wstyd dla jednostki. Należało ją kontynuować.

Mia Krüger jeszcze raz przeszła przez ulicę i weszła w podwórko. Dawno tu nie była, ale wszystko wydawało się po staremu. Zielone drzwi bez jakiegokolwiek wizytówki, skryte



głęboko w niepozornym zakątku miasta. Zapukała i czekała, aż ktoś jej otworzy. Postanowili wyznaczyć nagrodę. Munch i Mia byli przeciwko, uważali, że to tylko zwiększy liczbę głupich telefonów, zablokuje linię dla tych, którzy mieli istotne informacje. Mimo to, po konsultacjach z prawnikami, decyzja zapadła. Będzie co ma być. Być może w jakiś sposób im to pomoże. Być może odpowiednia suma skłoni właściwą osobę do ujawnienia się.

Małe okienko się otworzyło i pojawiła się w nim twarz jakiegoś mężczyzny.

– Słucham?

– Mia Krüger – przedstawiła się. – Czy jest Charlie?

Okienko w drzwiach się zamknęło. Po kilku minutach mężczyzna wrócił. Otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. To musiał być nowy ochroniarz, Mia go sobie nie przypominała. Charlie wybierał zawsze takich samych: kulturysta, masywne, kanciaste ciało, wytatuowany biceps grubszy niż jej udo.

– Jest tam – powiedział mężczyzna, wskazując głową wewnątrz pomieszczenia.

Charlie Brown stał za barem. Uśmiechnął się szeroko, gdy weszła. W ogóle się nie zmienił. Może trochę się postarzał, a w jego wzroku kryło się zmęczenie, ale wyglądał tak samo barwnie jak zazwyczaj. Był krzykliwie umalowany, miał zieloną cekinową suknię i boa wokół szyi.

– Mia Promień Księżyca. – Charlie uśmiechnął się szeroko i wyszedł zza baru, żeby ją uścisnąć. – Do diabła, całe wieki. Jak się masz, girl?

– W porządku. – Mia kiwnęła głową i usiadła.

W niewielkiej sali było kilka osób. Sześć lub siedem, większość w damskich ubraniach, lamparcich spodniach i butach na wysokim obcasie. Białe suknie i długie jedwabne rękawiczki. U Charliego mogłeś wyglądać, jak chciałeś, nikomu to nie przeszkadzało. Światło było przyziemione, atmosfera stonowana, ze stojącej w kącie szafy grającej dobiegał głos Édith Piaf.

– Wyglądasz beznadziejnie. – Charlie Brown pokręcił głową. – Napijesz się piwa?

– Czyżbyś dostał koncesję na podawanie alkoholu?

– A fuj, girl... Nie używamy tutaj takich brzydkich słów. – Charlie mrugnął i nalał jej piwo. – Duże czy małe?

– Co oznacza teraz u ciebie „małe”? – Mia się uśmiechnęła, upijając łyk piwa.

– Oznacza wszystko, co tylko sobie życzysz – odparł Charlie, wycierając przed nią blat baru. – No cóż – mówił dalej. – To już nie to co kiedyś. Zestarzeliśmy się. A w każdym razie zestarzał się Charlie.

Zarzucił zielone boa wokół szyi i sięgnął po jedną z butelek stojących na półce.

– Kieliszek jägermeistera?

Mia skinęła głową. Zdjęła czapkę i skórzaną kurtkę. Dobrze było znaleźć się pod dachem. W cieple. Uciec na chwilę od świata. Kiedy media się na nią rzuciły, często zaglądała do Charliego. Mia znalazła to miejsce zupełnie przypadkiem, lecz od razu poczuła się tu jak w domu. Żadnych wścibskich oczu. Zupełny spokój i bezpieczeństwo, prawie jak w małej rodzinie. Miała wrażenie, że to było tak dawno, niemal w zeszłym życiu. Nie znała żadnego z mężczyzn siedzących przy oddzielonych od siebie parawanami stolikach wzdłuż czerwonej ściany.

Charlie wydobyl dwa kieliszki i nalal do nich likieru.

– W takim razie na zdrowie, słodziutka. Dobrze znów cię widzieć.

– Wzajemnie – uśmiechnęła się Mia.

– Ty za to w ogóle się nie postarzałaś – powiedział Charlie.

Uniósł jej podbródek i zaczął przyglądać się jej twarzy.

– Ach, te kości policzkowe... Girl... Po co poszłaś do tej policji? Powinnaś była zostać modelką. Ale poważnie. Twojej skórze przydałby się trochę zdrowszy tryb życia. A poza tym nawet kobieta ma czasem prawo trochę się umalować. Mama Charlie jest zawsze szczerą, wiesz o tym. – Charlie mrugnął i uśmiechnął się lekko.

– Dzięki – powiedziała Mia i opróżniła kieliszek.

Likier spłynął jej po gardle przyjemnym ciepłem.

– Czy możesz nam podać butelkę szampana, Charlie?

– Co powiedziałam na temat krzyków, Lindo?

Charlie odwrócił się do siedzącego przy jednym ze stolików mężczyzny. Miał na sobie krótką różową sukienkę, buty na wysokim obcasie, rękawiczki i naszyjnik z pereł na szyi. Mógł mieć około czterdziestki, ale poruszał się jak piętnastoletnia dziewczyna.

– Och, daj spokój, Charlie. Nie bądź takim sztywniakiem.

– To porządny lokal, a nie burdel w Amsterdamie. Podać kieliszki?

– Nie, wypijemy w tych. – Mężczyzna, którego Charlie nazywał Lindą, zachichotał.

– Cóż za brak klasy – westchnął Charlie i wywrócił oczami.

Przyniósł z zaplecza butelkę szampana i postawił ją przed mężczyznami. Otworzył ją z hukiem, ku radości transwestytów, którzy zaczęli klaskać i głośno się śmiać.

– A więc? – powiedział Charlie, wróciwszy za bar. – Myślałem, że cię straciliśmy.

Mia mrugnęła.

– Pogłoski o mojej śmierci są zdecydowanie przesadzone.

– Trochę różu i odrobina podkładu, wtedy się zgodzę – zachichotał Charlie. – Och, to było niegrzeczne. Zachowałem się bardzo niedelikatnie.

Charlie Brown przechylił się przez bar i uściskał ją mocno. Mia uśmiechnęła się w duchu. Dawno nie ściskał jej pluszowy miś w damskiej sukni. Było jej dobrze.

– Nie miej mi tego za złe. Wyglądasz cuuudownie, wiesz o tym. Jak milion koron.

– Jasne.

– Dwa miliony.

– Wystarczy, Charlie.

– Dziesięć milionów. Jeszcze jägermeistera?

Mia skinęła głową.

– Ale mówże wreszcie – powiedział Charlie, gdy oboje opróżnili kieliszki.

– Potrzebuję pomocy. – Mia wyciągnęła zdjęcie z wewnętrznej kieszeni kurtki.

Przesunęła fotografię po blacie. Charlie założył okulary i przystawił zdjęcie bliżej światła.

– Tak, to Randi – pokiwał głową. – Nie przyszłoby mi nigdy do głowy, że ma to coś wspólnego z tobą. Smutna historia.

– Przychodził tutaj? Przepraszam, przychodziła?

Charlie zdjął okulary i oddał jej zdjęcie.

– Tak, zdarzało się – skinął głową. – Raz na jakiś czas. Bywało, że zjawiała się często, a potem nie widzieliśmy jej całymi miesiącami. Roger był jednym z tych, którzy... Jak by to powiedzieć...? Nie czuł się komfortowo sam ze sobą. Myślę, że robił co mógł, żeby tylko nie być Randi. Ale wiesz, jak to jest. Nic nie mógł na to poradzić. Musiał dużo wypić, żeby się otworzyć. Czasem musieliśmy ją prosić, żeby opuściła lokal.

– Domyślasz się, dlaczego to zrobił?

– Dlaczego skoczył z dachu?

Mia kiwnęła głową. Charlie wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Życie jest ciężkie, tyle mogę powiedzieć. Wystarczająco ciężkie dla kogoś, kto jest normalny. To bardzo trudne, kiedy społeczeństwo każe ci być kimś, kogo twoje ciało nie akceptuje.

– Nie ma nikogo bardziej normalnego niż ty – powiedziała Mia, unosząc szklankę z piwem.

Charlie zachichotał.

– Ja? Mój Boże, żyję z tym już trzydzieści lat, ale nie każdy jest taki jak ja, dobrze wiesz. Poczucie winy, wstyd, wyrzuty sumienia... Mamy w telefonach Internet, wysyłamy sondy na Marsa, ale mentalnie i emocjonalnie wciąż tkwimy w średniowieczu. Sama o tym wiesz.

– Wiem? – spytała Mia.

– Tak, jesteś bystra. Dlatego tak cię lubię. I piękna. To się czasem przydaje. Ale przede wszystkim bystra, nie muszę ci wszystkiego tłumaczyć. Nie mogłabyś zostać premierem, Mio? Nauczyć ten kraj tego i owego?

– Myślę, że to by się dobrze nie skończyło.

– Tak, być może. Jesteś za uczciwa.

Charlie zachichotał i nalał obojgu jeszcze jeden kieliszek likieru.

– Przychodziła tu sama?

– Kto? Randi?

Mia skinęła głową.

– Zazwyczaj. Kilka razy była tu z przyjaciółką, ale nigdy z nią nie rozmawiałem.

– Mężczyzna?

– Nie, kobieta.

– Jak wyglądała?

– Chłodna. Wyniosła. Ciemne włosy związane w koński ogon. Dziwne spojrzenie.

– Dziwne? Co masz na myśli?

– Miała oczy różnego koloru.

– O?

Charlie pokiwał głową.

– Jedno niebieskie, a drugie brązowe. Wyglądała trochę dziwnie. Była jakaś taka... zimna. Nigdy się nie uśmiechała. Szczerze mówiąc, ucieszyłem się, kiedy przestał ją przyprowadzać. Dostawałem przy niej gęsiej skórki.

– Kiedy to było?

– Och, nie pamiętam dokładnie.

Charlie wyciągnął szmatkę i zaczął ponownie przecierać bar.

- Kilka miesięcy po tym, jak przestałaś przychodzić. A właśnie, gdzie się podziewałaś?
- Zrobiłam sobie krótki odpoczynek od świata.
- Dobrze cię znowu widzieć. Tęskniłem za tobą.

Charlie mrugnął i uniósł kieliszek.

- Mam wyprosić gości? Napijemy się porządnie, jak za starych dobrych czasów.
- Innego dnia, Charlie.

Mia założyła kurtkę.

- Mam teraz mnóstwo pracy.

Wyjęła długopis z kieszeni i zapisała na serwetce swój numer telefonu.

- Zadzwoń do mnie, jeśli sobie coś jeszcze przypomnisz, dobrze?

Charlie przechylił się przez bar i ucałował ją na pożegnanie w oba policzki.

- Don't be a stranger.

- Obiecuję.

Mia mocno naciągnęła czapkę na głowę i wyszła wprost w deszczowy wieczór. Rozejrzała się za taksówką, ale żadnej nie było w pobliżu. Może to i lepiej. Nigdzie jej się nie spieszyło. W pokoju hotelowym nikt na nią nie czekał. Naciągnęła kaptur na głowę i wolnym krokiem ruszyła w kierunku centrum. Zadzwoił telefon. Gabriel Mørk.

- Cześć – powiedziała Mia.

- Cześć. Masz chwilę?

- Pewnie – odpowiedziała Mia. – Jesteś jeszcze w biurze?

- Tak.

- Wiesz, że nie musisz tam siedzieć całą dobę? Holger ci tego nie powiedział?

- Tak, wiem, ale tyle tu jeszcze do ogarnięcia...

Gabriel sprawiał wrażenie zmęczonego.

- Masz coś nowego?

– Tak, rzeczywiście mam. Pomyślałem sobie, że odzyskanie skasowanych esemesów powinno być przecież możliwe. Zadzwoiłem więc do kumpla, fana jabłuszka...

- I?

- Bez problemu. Mam je.

- Wszystko, co było w jego telefonie?

- Owszem.

- Cholera, to świetnie – ucieszyła się Mia. – Co mamy?

– Mam dobrą i złą wiadomość. Odzyskałem skasowane esemesy, ale nie ma ich dużo. Telefon musi być stosunkowo nowy. Ledwie patrzę na oczy, nie dam rady ci ich teraz przeczytać. Może rzucisz na nie jutro okiem?

- Jasne. Czy te też są bez nadawcy?

- Nie. Mam numer.

- Do kogo należy?

– Nie jest udostępniony. Dlatego dzwonię. Żeby to ustalić, muszę włamać się do kilku baz danych.

- O ilu rozmawiamy?

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

- Tylu, ile będzie trzeba.

- I?
- Ech, przecież to nielegalne. Musimy postarać się o nakaz. Nie sądzisz?
- Rozmawiałeś z Holgerem?
- Nie odbiera telefonu.
- Nie możemy czekać – powiedziała Mia. – Bierz się do roboty.
- Jesteś pewna?
- Tak.
- OK – powiedział Gabriel.
- Weźmiesz się do tego od razu?
- Szczerze mówiąc, chciałem się trochę zdrzemnąć.
- Dobrze, prześpij się. Zdążymy to zrobić jutro.
- Albo nie. Zrobię to teraz.
- Też dobrze. Nie idę jeszcze spać.
- W porządku.

Mia się rozłączyła. Szła wolnym krokiem w kierunku centrum. Ulice były prawie puste. Przez okna widziała ludzi, blask telewizyjnych ekranów. Pokój hotelowy wydał jej się nagle jeszcze bardziej odpychający niż kiedykolwiek. Zresztą i tak nie miała ochoty spać. Równie dobrze mogła napić się piwa i spróbować uporządkować myśli.

W Justisen nie było na szczęście tłoku. Mia zamówiła piwo i znalazła wolny stolik w cichym kącie. Wyjęła długopis, kartkę papieru i przez chwilę wpatrywała się w pusty arkusz przed sobą. Cztery dziewczynki. Niedługo skończyłyby sześć lat. Pauline. Johanne. Karoline. Andrea. Wypisała imiona u góry kartki. Pauline. Zniknęła z przedszkola. Znaleziona w Maridalen. Johanne. Zniknęła z przedszkola. Znaleziona przy Hadelandsveien. Karoline i Andrea. Zniknęły ze swoich domów. Znalezione... Mia nie dostrzegła żadnego związku. Odpowiedź musi kryć się gdzie indziej. Roger Bakken/Randi. Esemesy. „Niemądrze jest latać tak blisko słońca”. „Who’s there?” „Bye, bye, birdie”.

Pierwsza wiadomość. Ikar. Zrobił coś, czego nie powinien. Druga wiadomość. „Who’s there?” Czy to nie tak zaczynała się seria angielskich dowcipów knock-knock? Knock, Knock. Who’s there? Doris. Doris, who? Doris locked, that’s why I’m knocking. Kompletnie bez sensu. „Bye, bye, birdie”. To akurat dość proste. Popularny wśród homoseksualistów musical. Tatuaż orła. Żegnaj, ptaszku.

Mia poczuła nieprzyjemny smak w ustach i zamówiła jägermeistera, żeby go spłukać. Alkohol dobrze jej zrobił. Poczuła w głowie lekki szum, myślenie przychodziło jej łatwiej. Wyciągnęła kolejną kartkę i położyła ją obok pierwszej. Tornistry. Podręczniki. Papier. Nazwiska na pierwszej stronie. Lalczyne sukienki. „Podróżuję sama”. „To jest to samo” – napisała szybko. „To się zgadza”. Świńska krew. „Who’s there?” „To się nie zgadza” – napisała pod spodem. Dwie z przedszkola. Dwie z domu. Dziesięć sukienek. Kobieta. Mia zamówiła jeszcze jedno piwo. Ruszyło. Myśli zaczynały się rozjaśniać. Transwestyta. Kobieta. Płeć. Zabawa płciami? Niepewność co do płci? Wstyd. Wina. „Podróżuję sama”. Pierwsze symbole jasno dowodzą inteligencji. Plecak. Wstążka. Sukienki dla lalek. Pozostałe nie mają związku z resztą. Były... Hm, głupim żartem? Świńska krew? „Who’s there?” Wyciągnęła kolejną kartkę i położyła ją obok dwóch poprzednich. Dokończyła

piwo i zamówiła następną. Tutaj coś było, czuła, że jest blisko. U góry trzeciej kartki napisała „kobieta”. Hønefoss. Oddział położniczy. Wykąpane i przebrane dziewczynki. Narkoza. Opieka. Pielęgniarka? Portret pamięciowy. Kobieta, która mogła być kimkolwiek. Niewidzialna? Gdzie można się ukryć, pozostając jednocześnie na widoku? Zostawiła część kartki pustą i zaczęła pisać na samym dole. Chłód. Powaga. Oczy różnego koloru. Brązowe i niebieskie. Schizofrenia? Jedna w Maridalen. Jedna przy Hadelandsveien. Las. Kryjówka. Każę szukać. Każę myśleć. Każę ścigać. Na widoku, lecz w ukryciu. Chce pokazać, co zrobiła, ale nie chce, żeby było to oczywiste, chce zmusić do wysiłku. Świńska krew? „Who’s there?” Skąd taka czystość na początku? Na serio? I dlaczego później taki bałagan? Nie na serio? Mia zamówiła jeszcze jedno piwo i wyciągnęła kolejną kartkę. Myśli płynęły coraz szybszym strumieniem, tu coś było. Czuła, że jest blisko, ale mgliste zarysy w jej głowie nie chciały przybrać żadnego konkretnego kształtu. Duma. Spójrz na mnie. Zobacz, co zrobiłam. Rikke JW. Nic nie możecie zrobić, i ja to udowodnię. Ja przeciwko wam. Gra. Dlaczego na początku tak czysto, a potem bałagan? Krew? Świńska? Jak w kinie. Teatralność. To nie jest prawdziwe. To się nie liczy. Coś w niej puściło. Lawina niedających się zatrzymać myśli. To było to. To nie jest prawdziwe. To się nie liczy. Mia pisała coraz szybciej, niemal zapomniawszy o swoim piwie. To się nie liczy. Nie wszystko ma znaczenie. Nie to, co filmowe. Nie to, co teatralne. To nieprawdziwe. Nieautentyczne. Nie pasuje. Skup się tylko na tym, co pasuje. Co jest autentyczne. Co oznaczają symbole? Co uznajemy za istotne, a co odrzucamy? Czy to jakaś gra?

To jakaś gra.

Mia uśmiechnęła się w myślach. Była daleko. Głęboko w sobie. Nie było miasta. Nie było Justisen. Nie było stołu. Nie było piwa. Skakanka. Tak. Tornistry. Tak. Sukienki dla lalek. Tak. Narkoza. Tak. „Podróżuję sama”. Tak. Świńska krew. Nie, zbyt teatralne. „Bye, bye, birdie”. Nie, nieistotne. „Niemądrze jest latać tak blisko słońca”. Nie, nieistotne. „Who’s there?”

– Mia?

Mia prawie podskoczyła na krześle. Rozejrzała się skonsternowana, nie wiedziała, gdzie jest.

– Przepraszam, przeszkadzam?

Powoli wracała do rzeczywistości. Wróciło piwo. Wróciła sala. Przy jej stoliku stała Susanne. Miała mokre włosy, ociekającą wodą kurtkę i smutek w oczach.

– Cześć. Coś się stało?

– Mogę się przysiąść? Wydawało mi się, że pracujesz. Nie chciałabym ci przeszkadzać.

Mia nie zdążyła odpowiedzieć. Susanne zdjęła już kurtkę i ciężko opadła na krzesło.

– Siadaj – powiedziała Mia. – Miło cię widzieć. Pada?

– I na zewnątrz, i w środku. – Susanne westchnęła, kryjąc twarz w dłoniach. – Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, i pomyślałam sobie, że może tu będziesz.

– Jestem, jestem – powiedziała Mia. – Chcesz piwo?

Susanne milcząco skinęła głową. Mia wstała i podeszła do baru. Przyniosła dwa piwa i dwa kieliszki likieru.

– Pisziesz książkę? – Susanne uśmiechnęła się blado.

– Nie, to praca – odpowiedziała Mia.

– To dobrze, bo to tutaj ktoś już przed tobą wymyślił – powiedziała, wskazując na jedną z kartek.

„Who’s there?”

– Przede mną? Co masz na myśli? Skąd to?

– To pierwsze zdanie z Hamleta.

Susanne odgarnęła włosy za uszy i upiła łyk piwa.

– Jesteś pewna?

Susanne parsknęła.

– Owszem, jestem pewna. Bądź co bądź jestem asystentką reżysera w teatrze. Muszę znać tekst.

– Wybacz, nie to miałam na myśli – powiedziała Mia. – Ale... mówisz poważnie?

Susanne odkaslnęła i nagle znów była tą Susanne ze szkolnego teatru w Åsgårdstrand.

– Who’s there? Nay, answer me, stand and unfold yourself. „Long live the king!”<sup>4</sup>

Upiła łyk piwa. Na jej twarzy pojawił się jakby wyraz zawstydzienia.

– To nieautentyczne. Możemy o tym zapomnieć – powiedziała Mia cicho.

– Co? – spytała Susanne.

– Nie, nic. Co się stało? Dlaczego jesteś taka smutna?

Susanne westchnęła. Odgarnęła włosy zza uszu i schowała się za nimi jak za zasłoną.

– Znów to samo. Jestem głupia.

Dopiero teraz Mia zobaczyła, że jej przyjaciółka jest już mocno pijana. Bełkotała i z trudem unosiła szklankę z piwem do ust.

– Aktorzy. Jak w ogóle można ufać aktorom? – kontynuowała. – Mówi, że cię kocha, następnego dnia już cię nie kocha, a potem nagle znów cię kocha. I kiedy zaczynasz mu ufać, idzie do łóżka z młodą dziewczyną od oświecenia. Co jest nie tak z tymi ludźmi?

– Są dwulicowi – powiedziała Mia. – Trudno domyślić się, co w nich jest prawdziwe.

Dwulicowi?

Zabawa płcią?

Aktor?

– Zakłamanie gnojki – rzuciła Susanne nieco zbyt głośno.

Jej głos rozbrzmiał w całym barze. Kilkoro gości odwróciło się w ich stronę.

– Ale to mija, prawda? – Mia położyła przyjaciółce dłoń na ramieniu.

– Zawsze mija. A potem znów zaczyna się od początku. Wieczny korowód, jak w Peerze Gyncie Ibsena. Wciąż od nowa i od nowa, aż nagle życie się kończy, a miłość nie przyszła.

– Jesteś pijana – powiedziała Mia i znów pogładziła jej ramię. – Opowiadasz jakieś głupstwa. Chodźmy, położę cię do łóżka.

Mia sama zaczęła odczuwać działanie alkoholu. Dopiła piwo i patrzyła, jak Susanne próbuje napić się ze swojej szklanki.

– Ciągłe muszę wracać do domu sama. – Susanne otarła łzę.

Zadzwoił telefon Mii. Znów Gabriel Mørk. Mia spojrzała na Susanne.

– Odbierz – kiwnęła głową Susanne. – Nie przejmuj się, nie jest ze mną aż tak źle, czasem muszę się tylko komuś wyzalić.

– Na pewno?

– Na litość boską, tak.

– Zaraz wracam.

Mia wzięła telefon i wyszła na podwórko.

– Tak?

– Tu Gabriel.

– Co mamy?

– Kolejny martwy trop.

– Niczego nie znalazłeś?

– Owszem, znalazłem. Numer należy do niejakiej Veroniki Bache.

– Fantastycznie, Gabriel. Kto to jest?

– Pytanie brzmi raczej, kto to b y ł? Veronica Bache zmarła w dwa tysiące dziesiątym roku. Miała dziewięćdziesiąt cztery lata.

– Jak to możliwe?

– Była stara.

– Pewnie, rozumiem. Ale skoro umarła w dwa tysiące dziesiątym, jak to możliwe, że jej telefon był używany jeszcze dwa miesiące temu?

– Nie mam pojęcia, Mio. Padam z nóg. Mam mroczki przed oczami, nie śpię od prawie trzydziestu godzin.

– Zdrzemnij się. Pogadamy jutro.

Rozłączyła się i weszła do środka. Susanne nie było przy stoliku. Stała chwiejnie przy barze i próbowała przekonać barmana, że jest na tyle trzeźwa, by móc kupić sobie jeszcze jedno piwo. Mężczyzna był jednak nieubłagany. Mia schowała kartki, założyła skórzaną kurtkę i wyprowadziła przyjaciółkę z lokalu.

– Nie jestem pijana – bełkotała Susanne.

– Myślę, że dzisiaj prześpisz się u mnie – powiedziała Mia.

Objęła przyjaciółkę ramieniem i ostrożnie poprowadziła ją przez mokre ulice w kierunku hotelu.



Kobieta o niebieskim i brązowym oku stała w łazience przed jednym z luster. Otworzyła szafkę i wyjęła soczewki kontaktowe. Dziś niebieskie. Do pracy – niebieskie oczy. Jednego koloru. W pracy nie była sobą. W pracy nikt nie wie, kim jestem. Zresztą to nie jest jej prawdziwa praca. To tylko zasłona. Na użytek innych. Ściągnęła włosy w ciasny koński ogon i nachyliła się do lustra. Ostrożnie założyła soczewki i zamrugła. Uśmiechnęła się sztucznie i przyjrzała się sobie. Cześć. Jestem Malin. Malin Stoltz. Pracuję tutaj. Wydaje wam się, że mnie znacie, ale tak naprawdę nic o mnie nie wiecie. Cześć, spójrzcie tylko, jak świetnie potrafię kłamać. I się uśmiechać. I udawać, że interesuje mnie to, co mówicie. Och, jak mi przykro, pies zachorował? Mam nadzieję, że wkrótce wyzdrowieje. Szklanka soku? Ależ oczywiście, pani Olsen. Zaraz też pościelę ci łóżko, dobrze ci to zrobi. Nie ma nic lepszego od świeżej, czystej pościeli. Kobieta o niebieskim i brązowym oku wyszła z łazienki i poszła do sypialni. Otworzyła szafkę i wyjęła z niej ubranie do pracy. Białe. Odpowiadało jej to. W takiej samej odzieży jesteśmy niewidzialne. O ile tylko oczy mają ten sam kolor. Miały. Były niebieskie. Niebieskie jak morze. Norweskie oczy. Ładne oczy. Zwyczajne oczy. Kanapki w stołówce. Och tak, zgadzam się całkowicie. Powinna stamtąd wylecieć. Nie, nie głosowałam na nią, ona nie potrafi tańczyć. Martwe twarze. Pustka. Pustka. Puste słowa. Usta poruszające się pod martwymi oczami. Naprawdę tak powiedział? Czy to twój były mąż? Wielki Boże. Tak, oczywiście, że mam konto na Facebooku. Kawa. O ósmej. Czasami wieczorny dyżur. Zaparkuj w garażu. Ale to nie jest prawdziwa praca, prawda? To nie jest rzeczywistość? Nie, rzeczywistość jest zupełnie inna.

Kobieta o niebieskim i brązowym oku wyszła do przedpokoju, wzięła kurtkę, torebkę i schodami zeszła do samochodu. Uruchomiła silnik i włączyła radio. Zniknęły, ale ktoś je znajdzie, prawda? Nie wszyscy mogą mieć dzieci. Kto o tym decyduje? Kto decyduje o tym, czy ktoś może mieć dziecko? Niektórzy tracą dzieci. Kto o tym decyduje? Kto decyduje o tym, kto ma stracić dziecko? To nie jest prawdziwa praca. Nikt nie wie, jaka jest jej właściwa. Nie, ktoś wie, ale nigdy tego nie wyjawia.

Kobieta o niebieskim i brązowym oku zmieniła stację. Wszędzie mówiono o tym samym. Zniknęły dwie dziewczynki i nikt nie wiedział, gdzie są. Gdzie są dziewczynki? Czy jeszcze żyją? Czy ktoś je gdzieś przetrzymuje? Ile dziewczynek potrzebuje? Ile powinno się mieć dzieci? Dwa przecinek trzy, czy to normalne? Normalne? Czy jest się normalnym, jeśli nie może się mieć dzieci? Kobieta o niebieskim i brązowym oku wyjeżdżała powoli z centrum. Trzeba jechać powoli, jeśli chce się pozostać niewidzialnym. Gdy ktoś zatrzyma samochód, może ustalić, że nie należy do ciebie. Że nie nazywasz się Malin Stoltz. Że nazywasz się zupełnie inaczej. To niedobrze. Najlepiej jechać powoli. Można się ukryć, a jednocześnie pozostawać całkiem na widoku. Jak w pracy. Niektórzy sądzą, że żeby dostać pracę, trzeba mieć wykształcenie. To nieprawda. Trzeba mieć tylko dokumenty.

A dokumenty nietrudno podrobić. Potrzebne są tylko referencje. Ale o referencje też nietrudno. Kobieta o niebieskim i brązowym oku zjechała z Drammensveien i podjechała do białego budynku. Zaparkowała samochód i poszła do drzwi wejściowych. Za dziesięć ósma. Kiedy jest się punktualnym i robi, co do niego należy, nikt nie zadaje żadnych pytań.

Weszła do budynku, a chwilę potem do służbowej przebieralni. Powiesiła kurtkę i torebkę w szafce i jeszcze raz przyjrzała się odbiciu swojej twarzy w lustrze. Mam dwoje niebieskich oczu. Z niebieskimi oczami jestem nieprawdziwa. To kłamstwo. Moja prawdziwa praca polega na czymś zupełnie innym. Dopóki nikt nic nie mówi, wszystko jest w porządku. Czasem można się ukryć, pozostając jednocześnie na widoku. Kobieta o niebieskim i brązowym oku poprawiła koński ogon i poszła do dyżurki.

– Cześć, Malin.

– Cześć, Eva.

– Jak leci?

– Świetnie. A co u ciebie?

– Długa noc. Helen Olsen znów się pogorszyło. Musiałam wezwać karetkę.

– Och, mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– Będzie. Dziś wraca.

– To dobrze. A co z twoim psem?

– Już lepiej. To nie było takie poważne, jak sądziliśmy.

Nie jestem chora. To ty jesteś chora.

– Kto ma dziś dyżur?

– Ty, Birgitte i Karen.

To ty jesteś chora. Nie ja.

– Co to jest?

Kobieta o niebieskim i brązowym oku zobaczyła plakat nad ekspresem do kawy.

Dom opieki Høvikveien świętuje dziesięciolecie działalności!

– O tak, będzie się działo. W piątek wielka impreza.

– O rany, jak miło.

– Pewnie. Przyjdiesz?

– Oczywiście. Jasne, że przyjdę.

Wszyscy jesteście chorzy. To nie jest rzeczywistość.

– Jedna z dziewczyn wspominała o małej rozgrzewce przed imprezą. Idziesz?

– Pewnie, że tak. O rany, jak miło. Mam coś wziąć?

– Pogadaj z Birgitte, to ona wszystko organizuje.

– Świetnie. Pogadam z nią.

– Już nie mogę się doczekać.

– Ja też.

– Spokojnego dyżuru, Malin.

– Dziękuję. Spokojnej drogi do domu. Pozdrów męża.

– Dziękuję, pozdrowię.

Kobieta o niebieskim i brązowym oku naląła sobie filiżankę kawy. Usiadła i zaczęła udawać, że czyta gazetę.

Mia Krüger siedziała w okularach przeciwsłonecznych w bufecie śniadaniowym na najwyższym piętrze hotelu. Strasznie bolała ją głowa, a do tego prawie nie pamiętała końcówki wczorajszego wieczoru. Przez całą drogę do hotelu podtrzymywała Susanne, zdaje się też, że po drodze wstąpiły do jeszcze jednego baru. Gdzie były? Mia dopiła sok pomarańczowy i zmusiła się do przełknięcia dwóch kawałków boczku. Czuła się słaba jak dziecko i wstydziła się w duchu. Dzwoniła pijana do Holgera? Mgliście zaczęła sobie przypominać. Była przekonana, że koniecznie musi mu powiedzieć o czymś, co odkryła i co nie cierpiało zwłoki. Wszystko jedno. Susanne wyszła z łazienki i wręcz doczołgała się do stolika. Wyglądała jeszcze gorzej niż Mia, dopiero zaczynała trzeźwieć.

– Musimy z tym skończyć – westchnęła Susanne, jak gdyby czytając Mii w myślach.

Opadła na krzesło i chwyciła się za głowę.

– Bezwzględnie – skinęła głową Mia. – Złe towarzystwo.

– Jestem złym towarzystwem?

– Nie, nie to miałam na myśli. Otaczamy się złym towarzystwem. To nie nasza wina – odparła Mia.

– Aktorzy. Pieprzone, egocentryczne małpy. Kogo oni tak naprawdę obchodzą? Jeden wielki chów wsobny. Śpią ze sobą, rozmawiają o sobie i wydaje im się, że innych interesuje, kto dostał jaką rolę albo co jedna czy druga myślą o tym, że reżyser śpi z tamtą, a nie z nimi.

– No już, wyrzuc to z siebie. – Mia uśmiechnęła się za ciemnymi okularami.

– Pieprzone dupki. Patrz na mnie, patrz na mnie, patrz na mnie, chodzę jeszcze do szkoły.

Wczorajszego wieczoru Mia była już bardzo blisko znalezienia rozwiązania. Myślała teraz tylko o tym, żeby zamknąć się dziś w swoim pokoju hotelowym i znów zanurzyć się w notatkach. Czuła się wtedy w swoim żywiole. Wewnątrz sprawy. Głęboko w środku. Wtedy była w domu, w swoim miejscu.

– Fuck, o dwunastej mamy kostiumówkę. Kompletnie o niej zapomniałam – powiedziała Susanne.

– Kostiumówkę?

– Pierwsza próba w kostiumach, ze wszystkimi rekwizytami i tak dalej.

Mia kiwnęła głową i spojrzała na zegarek.

– Zdążysz, jest dopiero wpół do jedenastej.

– Dlaczego wczoraj wieczorem napisałaś na kartce kwestię otwierającą z Hamleta?

– Praca – powiedziała Mia. – Nie mogę powiedzieć.

– Rozumiem. – Susanne kiwnęła głową. – Pomyślałam sobie tylko, że to trochę dziwne.

– Pewnie masz rację – powiedziała Mia.

– To ma jakiś związek z tymi zaginionymi dziewczynkami?

– Nie mogę o tym mówić, Susanne.

– Powiedziałam kilku osobom w teatrze, że cię znam. Zrobiłam głupstwo? – spytała Susanne.

– Nie, skąd ci to przyszło do głowy?

– Mamy w zespole dziewczynę. Pernille Lyng. Gra Ofelię. To ciotka jednej z tych zaginionych dziewczynek. Jest kompletnie rozbita.

– To zrozumiałe – powiedziała Mia.

– Andrei. Wiedziałaś o tym?

– Nie mogę o tym rozmawiać, Susanne.

– Nie, oczywiście, że nie. Myślę tylko, że to dziwne.

– Co masz na myśli?

– To, że zniknęła tuż przed premierą, a ty piszesz na kartce pierwszą kwestię ze sztuki. Pomyślałam sobie, że jest między tym jakiś związek.

Mia się uśmiechnęła i położyła ręce na dłoniach przyjaciółki.

– Nie rozmawiajmy już o tym, macie tam w teatrze chyba wystarczająco dramatów, prawda? To czysty przypadek, nie ma tu żadnego związku.

– W porządku. – Susanne kiwnęła głową. – Pieprzony alkohol, człowiek tylko się po tym wstydzi.

– Zgadzam się – uśmiechnęła się Mia. – Już nigdy nie wezmę do ust ani kropli.

– Tak, następnego dnia też tak zawsze mówię – zachichotała Susanne. – Ale zapominam o tym, gdy tylko dojdę do siebie. Dziwne, nie?

– Tak, rzeczywiście niezwykle – zaśmiała się Mia.

– Idę. – Susanne wstała. – Muszę zajrzeć do domu i się przebrać. Za dużo krzywych spojrzeń, kiedy pojawia się w tych samych ciuchach co poprzedniego dnia. Wszyscy zaczynają się oglądać i zastanawiają się, czy inne też nie nocowały w domu, rozumiesz?

Mia pokiwała głową.

– Rozumiem.

Wstała i objęła Susanne.

– Dzięki za wszystko – powiedziała Susanne. – Zobaczymy się niedługo?

– Chętnie – powiedziała Mia. – Ale żadnego piwa. Herbata albo coś takiego.

– Jasne – uśmiechnęła się Susanne.

Blondwłosa przyjaciółka wzięła torebkę i pospiesznie opuściła salę śniadaniową, próbując ze wszystkich sił sprawiać wrażenie trzeźwej.

Holger Munch siedział przed gabinetem Mikkelsona w centrali na Grønland i się denerwował. Żałował, że zgodził się na monitorowanie rozmów telefonicznych. Wszystkim nagle zaczęło zależeć na spotkaniach w cztery oczy. Nie miał na to czasu. Dziewczynki wciąż żyły, ale wkrótce umrą. Tak wyglądała sytuacja. O ile chodziło o tego samego sprawcę. A chodziło. Trochę inny sposób działania, odstępstwo od zwyczajowej metody, ale to był jeden człowiek. Kobieta, na której trop jak dotąd nie wpadli. Tysiące telefonów, wszystkie bezwartościowe. Absolutnie nic. Oczywiście o ile świadek mówił prawdę. Sprawiał jednak wrażenie wiarygodnego. Emeryt. Kobieta. Wiek pomiędzy trzydzieści a trzydzieści pięć lat. Około metra siedemdziesięciu wzrostu. Proste włosy związane w koński ogon pod kapturem. Prosty nos. Niebieskie oczy. Wąskie usta. To może być ktokolwiek. Gdzie przetrzymuje dziewczynki? Czy jeszcze żyją?

Munch wyciągnął z kieszeni gumę do żucia i zaczął bębnić palcami po krawędzi krzesła. Ustalił wspólnie z Mią, że wstąpi do domu opieki i szybko rozmówi się z matką, by mieć tę sprawę z głowy, ale teraz zaczął się zastanawiać, czy nie odwołać tej wizyty. Zwyczajnie brakowało mu czasu, który trwonił na takie niepotrzebne spotkania jak to. Wpaść na chwilę do domu opieki, wygarnąć, co mu leży na sercu, i ruszać dalej. Tak to robi. Musi jej wszystko powiedzieć, zanim nie będzie za późno. Zanim cały rodzinny majątek nie wpadnie w ręce jakiegoś szarlatana obiecującego jej życie wieczne w niebie. Zerknął na zegar na wyświetlaczu telefonu i poczuł, że coraz bardziej się denerwuje.

Andrea i Karoline zniknęły. Zniknęły spod jego nadzoru, już po tym, jak przejął tę sprawę. Wkrótce ktoś poda im śmiertelną dawkę środka usypiającego. Umyje. Ubierze w sukienki dla lalek. Powiesi z tornistrami na plecach. O ile nie znajdzie ich pierwszy. Holger czuł się jak uwięziony we mgle. Nie wiedział, dokąd powinni iść. Jaki powinien być ich kolejny krok. Jedyne, co mieli, to portret pamięciowy kobiety, o której nikt nic nie wiedział. Transwestyta Roger Bakken. Ten trop można właściwie odrzucić. Mia dzwoniła do Holgera zeszłej nocy, chciała powiedzieć mu coś ważnego, ale bełkotała tak, że musiał ją poprosić, żeby poszła spać. Telefony były monitorowane. Nie, to nie zawsze zdaje egzamin. Musi porozmawiać z Gabrielem. Na pewno jest jakaś możliwość skasowania jednoznacznie prywatnej rozmowy. Wycięcia jej z protokołu. Jak telefon Mii ubiegłej nocy.

– Holger? Wejdz.

Mikkelson sprawiał wrażenie przygnębionego. Munch mógłby policzyć zmarszczki na jego czole.

– Na czym stoimy? – zapytał, kiedy Munch usiadł.

– Na tym co wczoraj. Żadnych nowych informacji w sprawie kobiety z portretu pamięciowego. Sprawdzamy, ale niestety wygląda to kiepsko.

– ALFA jeden i żadnego śladu dziewczynek? Jak to możliwe?

Munch poczuł się nagle tak, jak gdyby znów siedział w szkolnej ławce. U dyrektora

w gabinecie, wysłuchując reprimendy. Nie podobało mu się to, ale nic niemógł na to poradzić.

– Też tego nie rozumiem. Wszystko wygląda na perfekcyjnie zaplanowane, tylko tyle mogę powiedzieć. Gdyby to był przypadek, już dawno byśmy ją mieli.

– To za mało, po prostu za mało – syknął Mikkelson.

– Tylko po to mnie tu wezwałeś? – spytał Munch oschle. – Mogłeś mnie opieprzyć przez telefon.

– Nie, wybacz.

Mikkelson zdjął okulary i potarł oczy. Zły znak. Coś się szykuje.

– Naciskają mnie z góry – powiedział wreszcie i z powrotem założył okulary.

– Kto? Ministerstwo Sprawiedliwości?

– To nie ma znaczenia.

– Robimy wszystko co w naszej mocy.

– Tak, już im to mówiłem, ale nie w tym problem.

– A w czym? – spytał Munch.

Czuł, że jego cierpliwość powoli się wyczerpuje. Miał dużo ważniejszych spraw do załatwienia.

– Chodzi o Mię – powiedział Mikkelson, patrząc Munchowi w oczy.

– Co z nią?

– Cóż... – Mikkelson znów zdjął okulary. – Pewni ludzie uważają, że stanowi zagrożenie dla śledztwa. Mam ją odsunąć od sprawy.

– Odsunąć ją od sprawy? Zupełnie oszalałeś? Dopiero co ją tu ściągnęliśmy. Wcale tego nie chciała, rozumiesz? Nie chciała, a my ją namówiliśmy. Bo jesteśmy pieprzonymi egoistami! A teraz chcemy się jej pozbyć? Nie, nie mamy o czym rozmawiać.

– Spokojnie, Munch, nie to miałem na myśli.

– A co miałeś na myśli?

– Miałem na myśli... – Znów założył okulary.

Zmarszczki na jego czole zrobiły się jeszcze wyraźniejsze.

– Jak by to... Czy ona... jest całkowicie zdrowa?

– Nie mam na to czasu – westchnął Munch i wstał. – Ktoś więzi gdzieś dwie dziewczynki, a ministerstwo wyciąga z dupy takie problemy? Nie mamy przypadkiem ważniejszych spraw na głowie?

– Licz się ze słowami, Munch. Jesteś na służbie.

– Ech, zamknij się wreszcie, Mikkelson. Mówisz poważnie? Firma? Mówisz poważnie? Reputacja firmy? Tym się teraz powinniśmy martwić? O tym myśli teraz ministerstwo? A czy ktoś myśli o tych przypadkach, kiedy Mia ratowała nam tyłki? Rosyjski dyplomata, morderca prostytutek? Kto dbał wtedy o reputację firmy? Ty, Mikkelson? Byłeś tam? Dwoje emerytów, napadniętych i zabitych we własnym domu w Kolsås? Czy to dzięki tobie ta sprawa została rozwiązana, Mikkelson? Co wtedy myślało sobie ministerstwo?

Munch wstał i ruszył do drzwi.

– W pełni zdaję sobie sprawę z tego, co zawdzięczamy Mii – powiedział Mikkelson. – Kraj jest jej wdzięczny. To chciałeś usłyszeć? Dziękujemy, Norwegia jest jej wdzięczna. Ale teraz mamy nowe czasy. Bjørn Dæhlie i Vegard Ulvang. Świetni biegacze narciarscy.

Góra złotych medali. Ale to już minęło. Nie możemy ciągle żyć przeszłością. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Boże wielki – westchnął Munch. – Nie, nie rozumiem, o czym mówisz. Co, do cholery, mają z tym wspólnego jacyś długodystansowcy? Kompletnie odleciałeś. Mówimy tu o śmierci, Mikkelson, a nie o dorosłych facetach w getrach, którzy ścigają się na deskach. Śmierć, Mikkelson. Dwie sześćoletnie dziewczynki. Dociera to do ciebie?

Munch chwycił klamkę. Ze złości ledwie nad sobą panował.

– Już dobrze, dobrze – powiedział Mikkelson. – Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Tymczasem może pracować, ale po zakończeniu tej sprawy musi odejść. Rozumiesz, Munch? Kończy, tak czy owak. Nic tu nie mogę zrobić. A, jeszcze jedno...

Otworzył szufladę i wyjął z niej wizytówkę.

– Ma zgłosić się tutaj.

– Psychiatra?

Mikkelson skinął głową.

– To polecenie z ministerstwa.

– Niech cię szlag, Mikkelson. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym, zanim wyciągnąłem ją z tej wyspy?

Mikkelson rozłożył ręce.

– Polityka.

– Wsadź sobie w dupę swoją politykę!

Odłożył wizytówkę na biurko Mikkelsona.

– Nie pójdzie do żadnego psychologa.

– Psychiatry.

– Zamknij się wreszcie. Wszystko jedno. Ma robotę do wykonania. Powiedziałem już, biorę za wszystko odpowiedzialność.

– Nie ty o tym decydujesz – powiedział Mikkelson.

Szef policji otworzył laptop i kliknął na plik dźwiękowy. Munch natychmiast rozpoznał głosy. To była nocna rozmowa telefoniczna pomiędzy nim a Mią.

– Munch.

– Holger, kochany Holger.

– To ty, Mia? Która godzina?

– To nie jest autentyczne. To tylko gra. Roger Bakken miał jedno oko niebieskie, a drugie brązowe. Susanne, wchodzimy tutaj. Tak, jasne, połóż się spać. Pomogę ci się rozebrać. Słyszysz, co do ciebie mówię, Holger?

Nosowy głos Mii. Munch westchnął, gdy Mikkelson wyłączył nagranie.

– Musimy słuchać dalej? – spytał Mikkelson.

– Była pijana, to wszystko.

– Jak myślisz, jak by to wyglądało, gdyby dostało się to do gazet?

Munch usiadł z powrotem na krześle.

– Dobrze – powiedział. – Pójdzie do tego psychiatry. Lepiej? Skończyliśmy?

– Skończyliśmy – odpowiedział Mikkelson.

Munch wziął wizytówkę ze stołu i bez słowa wyszedł z gabinetu.

Mia stała na chodniku i w myślach przeklinała się za to, że zgodziła się pojechać z Munchem do domu opieki. Po śniadaniu z Susanne od razu wróciła do łóżka. Trochę dręczyły ją wyrzuty sumienia, ale zmęczenie było silniejsze. Kuracja, którą zaaplikowała sobie na Hitrze, wciąż dawała o sobie znać. Pracowała niemal bez przerwy, jej głowa nie miała czasu odpocząć. Nieważne, czy leżała pod kołdrą, siedziała w samochodzie czy w biurze. Była przez cały czas w pracy. Od myśli nie było odpoczynku. Na chwilę przeniosła się na swoją wyspę. Wschód słońca nad morzem. Potrzebowała więcej snu. Było już za późno. Rozmowa z matką – nie powinien załatwić tego sam? Wyciągnęła z torebki pastylkę odświeżającą i zaczęła się zastanawiać, czy nie zadzwonić do niego i nie wykryć się od wyjazdu pod byle jakim pretekstem, ale było już za późno. Wsiadając do audi, które zatrzymało się przy chodniku, przeklinała w duchu samą siebie.

Holger Munch nie wydawał się w szczególnie dobrym nastroju, ale Mia nie miała siły, żeby o cokolwiek zapytać.

– Musisz załatwić sobie inny telefon – powiedział.

– Dlaczego? – spytała Mia, wyciągając kolejną pastylkę.

– Dzwoniłaś do mnie zeszłej nocy.

– Cholera, tak czułam.

– Byłaś pijana?

– Dawna znajoma z Åsgårdstrand.

– To wszystko tłumaczy – westchnął Holger. – Wiesz, że nasze rozmowy są monitorowane?

Mia nie odpowiedziała. Próbowwała przypomnieć sobie, co mówiła, ale w głowie miała pustkę. To było już zresztą bez znaczenia.

– Czego się dowiedziałaś?

– Roger Bakken miał przyjaciółkę. Bywali razem na mieście, kiedy był Randi.

– Znamy ją?

Mia pokręciła głową.

– Nie, ale ma oczy różnego koloru.

– Co masz na myśli? – spytał Munch zaniepokojony. – To możliwe?

– Tak. Jedno brązowe, drugie niebieskie. To coś w rodzaju wrodzonego defektu.

– Przyda nam się to do czegoś?

– Musimy próbować wszystkiego, nie sądzisz?

– Tak, jasne.

Munch opuścił szybę i zapalił. Mia nie znosiła zapachu dymu papierosowego w samochodzie, zwłaszcza w takim stanie, w jakim była tego dnia, ale nic nie powiedziała. Munch sprawiał wrażenie zmęczonego. I to bardzo.

– Jeszcze coś?



– Tak. Gabrielowi udało się odzyskać numer z komórki Bakkena.

– Słyszałem. – Munch kiwnął głową. – Veronica Bache. Zmarła w dwa tysiące dziesiątym. Udało się znaleźć coś więcej na jej temat?

– Jak do tej pory niewiele. Ostatni znany adres w Vika. Mieszkała razem ze swoim prawnikiem, niejakim Benjaminem Bache, aktorem. Wiesz, kto to?

– Nie.

– Teatr Narodowy. „Se og Hør”, ploteczki, te sprawy. Celebryta, rozumiesz.

Mia się zamyśliła. Myślenie nie szło jej dziś najlepiej, jak gdyby miała w głowie kisiel. Jeszcze raz obiecała sobie trzymać się z dala od alkoholu. Dopóki nie skończą tej sprawy. O ile w ogóle ją rozwiążą. Czuła się zmęczona. Była zła na siebie, że pozwoliła Susanne sobie wczoraj przeszkodzić. Zamiast tego powinna bardziej zagłębić się w sprawę. Znajdowała się na dobrej drodze. Coś tutaj było, coś, co nie do końca potrafiła uchwycić.

– Ktoś przez dwa lata używał jej telefonu. Płacił rachunki, żeby numer nie został zablokowany. Chyba tak to musiało wyglądać, prawda?

– Całkiem możliwe – skinął głową Munch.

– I co o tym myślisz? Prawnik z dostępem do rachunków? Ten aktor?

– Zupełnie możliwe. Próbowałem się dziś do niego dodzwonić, ale miał jakąś próbę. Musimy jak najszybciej z nim porozmawiać.

– Jak tam twój rak płuc? – spytała Mia, opuszczając szybę.

– Bardzo śmieszne – warknął Munch. – Nie piję kawy...

– ...i trzymam się z daleka od alkoholu. Do cholery, przecież nie mogą mi zabronić zakurzyć sobie od czasu do czasu! Wiem. – Mia się uśmiechnęła.

– Skąd ten dobry humor?

– Tak, po prostu – powiedziała. – Wydaje mi się, że coś znalazłam. Tak myślę.

– Niby co?

Munch zjechał z wylotówki w kierunku Drammen na Høvikveien.

– Wiesz, ta cała symbolika... – zaczęła Mia.

– Tak?

– Nie masz wrażenia, że coś się tutaj nie zgadza?

– Być może. Ale to twoja specjalność.

– Mówię poważnie, Holger. Tak myślę.

– Rozumiem, ale nie zawsze za tobą nadążam. Czasem wypadam na zakrętach.

Ostatnie zdanie wymruczał już do siebie, parkując samochód przy domu opieki Høvikveien.

– Here we go – westchnął i wyłączył silnik.

Mia miała przekonanie, że gdyby był wierzący, przeżegnałby się teraz. Widać było gołym okiem, że obawiał się tej rozmowy.

– Wszystko w porządku – powiedziała Mia. – Odpręż się.

– Ostatni papieros skazańca – powiedział Munch, wysiadając z samochodu.

Mia zdjęła okulary i poszła za nim. Czuła się już trochę lepiej. A tu, w Høvik, było całkiem przyjemnie. Cieszyła się, że mimo wszystko pojechała z Munchem.

– Chodź, poćwiczmy trochę – powiedział, zapalając papierosa.

– Teraz?

– Dlaczego nie? Pozwól mi zajrzeć do twojej głowy.

– Dobrze – odpowiedziała Mia, siadając na masce samochodu. – Jaki był pierwszy znak od sprawcy?

– Nie poszukujemy przypadkiem kobiety?

– Pieprzyć to. Jaki był pierwszy znak?

Munch wzruszył ramionami.

– Sukienki?

– Nie.

– Tornistry?

– Nie.

– Ewangelia według świętego Marka? „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie”?

– Nie.

– Powiedz wreszcie.

Munch westchnął i zaciągnął się papierosem.

– Rikke JW – powiedziała Mia.

– Niby dlaczego pierwszy?

– Dlatego, że nie pasuje do reszty. Wszystkie inne pasują, a ten nie. To fragment całościowego profilu, ale nie na to powinniśmy patrzeć. Powinniśmy patrzeć poza niego, przejrzeć go.

– I co? – spytał Munch, wyraźnie zainteresowany.

– Pierwsze, co się nie zgadza?

– Imię na podręczniku?

– Właśnie. Oczywisty sygnał, nie wydaje ci się?

– Sygnał czego?

– Świadomości, Holger. Boże jedyny, skup się.

– Świadomości?

– Poddaję się – westchnęła Mia.

Holger zaciągnął się jeszcze raz i wydmuchnął dym w stronę wiosennego słońca.

– No dobrze, świadomości. Pozostałe znaki powstały w afekcie. Kąpiele, sukienki, przybory do szkoły. Ktoś napisał Rikke JW. Zrobił to świadomie? Ktoś napisał Rikke JW, wiedząc, co robi?

– Brawo, Holger. – Mia zaklaskała ironicznie.

– Tak, tak, jeszcze nie jest ze mną aż tak źle.

– A co oznacza Rikke JW?

– Hønefoss.

– Właśnie. Co było drugim znakiem?

– Świńska krew?

– Nie, to trzeci.

– A co było drugim?

– Przypominasz sobie te trzy wiadomości w telefonie Rogera Bakkena?

– Tak.

– Która z nich nie pasuje?

– A czy któraś w ogóle pasuje?

– Boże, Holger. Tak. No już, skup się. Ikar latał bardzo blisko słońca. Skrzydła orła. Bye, bye, birdie, musical dla gejów. Bakken był gejem i miał wytatuowanego orła. Wszystko pasuje, oprócz „Who’s there?”. To jest niewiadoma.

– „Who’s there?” To był znak numer dwa?

Mia skinęła głową.

– I co to oznacza?

– Nie do końca wiem, ale wczoraj się dowiedziałam, że to pierwsza kwestia Hamleta.

Munch zapalił jeszcze jednego papierosa i nerwowo zerkał na drzwi wejściowe. Mia z trudem powstrzymywała uśmiech. Dorosły mężczyzna i szef wydziału, który boi się rozmowy z własną matką.

– Premiera Hamleta w Teatrze Narodowym. Telefon Veroniki Bache. Jej prawnuk. Sądysz, że tu powinniśmy szukać?

– Nie jestem pewna – powiedziała Mia i się zastanowiła. – Wiem, czego powinniśmy szukać, ale nie wiem dlaczego. Tymczasem dalej nie doszłam.

– A świńska krew? To numer trzy?

Mia kiwnęła głową.

– Ale co to znaczy?

– Przecież powiedziałam, że na razie dotarłam dotąd. – Mia wyciągnęła pastylkę. – Wchodzimy do środka czy będziemy stać tu tak cały dzień? Jeśli nam się znudzi, możemy pójść na pole golfowe Ballerud.

Mia wskazała na drogowskaz po drugiej stronie drogi.

– Co masz na myśli?

– Zabawna nazwa, nie uważasz? Pole golfowe Ballerud.

Munch pokręcił głową. Nie miał pojęcia, co ją tak rozbawiło. Nie zrozumiał żartu. Tego, co go czekało, również nie uważał za zabawne. Zgniół dopiero co zapalonego papierosa i nie czekając na Mię, wszedł po schodach do środka.

Dom opieki Høvikveien był przeznaczony dla lepiej sytuowanych seniorów, co do tego nie można było mieć żadnych wątpliwości. Typowe miejsce dla zachodniego Oslo, pomyślała Mia, kiedy weszli do jasnego przestronnego hallu. Już na pierwszy rzut oka miejsce wydawało się nieskazitelnie czyste. Nowe meble, lampy we współczesnym stylu, na ścianach oryginalne obrazy. Mia rozpoznawała autorów niektórych prac. Jej matka Eva bardzo interesowała się sztuką i kiedy tylko miała taką możliwość, zabierała ze sobą córki na wystawy. Na ścianach wisały liczne fotografie z różnych imprez. Szafa pełna pucharów. Wycieczki po kraju i za granicę. Turnieje brydżowe. Kręgle. Choć to miejsce było czymś w rodzaju przedostatniego miejsca spoczynku, wcale na takie nie wyglądało. Pensjonariusz domu opieki Høvikveien nie odchodził z tego świata, dopóki nie wykapał się w Morzu Martwym albo nie wygrał konkursu na największą dynię.

– Życz mi powodzenia – westchnął Munch i zniknął w korytarzu.

Zapewne poszedł do jednego z prywatnych pokoi, pomyślała Mia. Z osobną łazienką, telewizorem, radiem i całodobową obsługą. Starzy ludzie nie muszą już całymi dniami nosić pieluch, pozbawieni jedzenia i picia. Mia usiadła na krześle i wzięła do ręki gazetę „My po sześćdziesiątce. Czasopismo na twoje najlepsze lata”. „Lekkie treningi przeciwdziałają demencji. Toppen Bech<sup>5</sup> ma szminkę w kolorze auta”. Mia wyobraziła sobie, jak skwitowałyby to miejsce i to czasopismo jej babcia, i się uśmiechnęła. Odłożyła gazetę i już zamierzała wziąć następną, kiedy jej wzrok padł na jeden z dyplomów na ścianie. „Bożonarodzeniowy turniej kanasty, Høvikveien 2009. Zwycięzca: Veronica Bache”. Mia wstała i przyjrzała mu się uważnie. Zgadza się. Veronica Bache. To musiała być ona. Podeszła do szklanej ludy w głębi hallu i zadzwoniła małym dzwonkiem. Po kilku sekundach z zaplecza wyszła pielęgniarka.

– Cześć. Mogę w czymś pomóc?

Doskonale pasowała do otoczenia. Uśmiechnięta, ładna, z przypudrowanymi różem policzkami. Może przyjmują tu tylko takie, które pasują do wnętrza? pomyślała Mia. W Høvikveien próżno szukać zaciągających się tanimi papierosami zgrzybiałych staruszków. Kobieta była mniej więcej jej wzrostu. Wysoka i przystojna, z oczami niebieskimi jak niebo i czarnymi włosami związanymi w prosty koński ogon.

– Nazywam się Mia Krüger – powiedziała Mia.

Przez chwilę się zastanawiała, czy nie pokazać legitymacji, ale zrezygnowała.

– Mam na imię Malin – odpowiedziała miła dziewczyna. – Do kogo przyszłaś?

– Jestem tu ze znajomym, Holgerem Munchem. Przyjechał do matki.

– A, Hildur. – Niebieskooka dziewczyna się uśmiechnęła. – Urocza dama.

– Czarująca – kiwnęła głową Mia. – Zaciekawila mnie pewna rzecz. Właśnie zobaczyłam, że przyjaciółka Hildur, Veronica, wygrała turniej kanasty. O, tam wisi dyplom.

– Zgadza się. Organizujemy turniej co roku, na Boże Narodzenie. Zanim Veronica odeszła, wygrała go trzy razy z rzędu.

– Nigdy nie grałam w kanastę – powiedziała Mia.

– Ja też nie – miła dziewczyna mrugnęła – ale starsi lubią tę grę.

– To najważniejsze – przytaknęła Mia. – Coś mi przyszło do głowy. Wybacz, że pytam, nie wiem, czy w ogóle wolno wam odpowiadać na takie pytania, ale... Bache? Czy to jego krewna? Wiesz, tego świetnego aktora?

– Benjamina Bache?

– Tak, właśnie.

Niebieskooka dziewczyna popatrzyła na nią.

– Hm, właściwie nie wolno mi mówić o takich rzeczach. – Uśmiechnęła się.

Mia pokiwała głową.

– Rozumiem. Często ją odwiedzał? Widziałas go? W rzeczywistości też prezentuje się tak dobrze?

Dziewczyna znów się uśmiechnęła.

– Bywał tu rzadko, raptem kilka razy w roku. I między nami mówiąc, w telewizji wygląda o wiele lepiej.

Zaśmiała się.

– Rozumiem. – Mia mrugnęła.

– Chcesz filiżankę kawy? Zaraz będę roznosić lunch, jeśli masz ochotę, mogę ci zaparzyć.

– Nie, bardzo dziękuję – powiedziała Mia i wróciła na swoje krzesło.

Dziewczyna o niebieskich oczach uśmiechnęła się znowu i zniknęła na zapleczu. W kącie stał mały telewizor. Mia rozejrzała się za pilotem. Leżał przy odbiorniku.

Na dziś, na godzinę dwunastą, była zapowiedziana konferencja prasowa. Mia Krüger cieszyła się, że jej tego oszczędzono. Media. Miała napięte stosunki z dziennikarzami, w ich obecności nigdy nie czuła się swobodnie. Na użytek mediów trzeba było mieć drugą twarz. Nigdy nie mówić, co się naprawdę myśli, a tylko to, co w danej sytuacji należy. Nie akceptowała tego. Wolała być szczerą. To niemal tak jak w teatrze. Niektórzy lubili blask reflektorów, inni woleli się przed nim skryć. Zrobiła głośniej i przełączyła na NRK. „Morderstwa dzieci”. Jaskrawy napis na ekranie uderzał w oczy. Mia Krüger pokręciła głową i podgłośniła jeszcze bardziej. Dwaj moderatorzy w studiu, reporter przed wejściem do głównej komendy policji na Grønland. Konferencja najwyraźniej została przesunięta. Mia wyłączyła telewizor, wyszła przed budynek i wybrała numer Gabriela.

– Halo?

– Skąd to opóźnienie? Coś się stało?

– Nie, zaraz zaczynamy.

– Aha. Kto dziś prowadzi? Anette?

– Tak mi się wydaje. Razem z tą drugą adwokat policyjną. Tą z krótkimi włosami.

– Hilde.

– Możliwe.

– Masz już coś o Veronice Bache?

– A powinienem mieć?

- Nie, ale za to ja coś mam – powiedziała Mia. – Mógłbyś coś dla mnie sprawdzić?  
Gabriel westchnął.
- Pewnie.
- Coś się stało?
- Co? Neeee, po prostu, no... dużo pracy. No i...
- Co „no i”?
- Nie, nic. Moja dziewczyna jest w ciąży.
- Brawo, gratuluję!
- Eee, tak, dziękuję. Co mam dla ciebie sprawdzić?
- Nie jestem do końca pewna, to tylko przecucie. Chciałabym przyjrzeć się tej liście w domu opieki Høvikveien. No, jak to się nazywa...
- Liście oczekujących? Potrzebne ci miejsce?
- Bardzo śmieszne. Widzę, że już się zaaklimatyzowałeś? – zaśmiała się Mia.
- Wybacz, jestem dziś trochę nie w sosie.
- Nie odgrywaj się na mnie za swoją ciężarną dziewczynę – powiedziała Mia, szczerząc zęby w uśmiechu. – Bądź co bądź to twoja sprawa.
- Tak, wiem. Czy to normalne, że w środku nocy zachciewa jej się takich dziwnych rzeczy?
- Jakich?
- Na przykład lodów włoskich.
- Tak, słyszałam, że ciężarne miewają dziwne życzenia – powiedziała Mia.
- Wiesz, jak trudno jest kupić lody włoskie w środku nocy?  
Mia się zaśmiała.
- Ha, ha – odpowiedział Gabriel.
- Chłopak był najwidoczniej w naprawdę kiepskim nastroju.
- Wiesz, pracownicy, goście i tak dalej.
- Goście?
- A jak się nazywają ci, którzy mieszkają w domu opieki? Pensjonariusze? Klienci?
- Wiem, co masz na myśli. Chyba mówi się po prostu o personelu i podopiecznych.
- Ładnie. Możesz się tym zająć?
- Legalnie czy nie?
- Nie.
- Zakładam, że mnie kryjesz, jeśli sprawa się wyda?
- Widzę, że Fimpen już cię przeszkolił?
- Powiedział mi co nieco – odpowiedział Gabriel.
- Oczywiście, że biorę odpowiedzialność na siebie – stwierdziła Mia. – Dom opieki Høvikveien. Potrzebujesz adresu czy czegoś takiego?
- Nie, znajdę. Szukamy czegoś konkretnego?
- Nie mam pojęcia, to tylko przecucie, mówiłam ci. Matka Muncha i Veronica Bache w jednym domu? Wydaje mi się, że trzeba to sprawdzić.
- Matka Muncha?
- Powiedziałam coś takiego?
- Cholera, teraz mam kręcić jeszcze przed Munchem? – westchnął Gabriel. –

Przypuszczam, że nie powinien o tym wiedzieć?

– Bystry chłopak – powiedziała Mia. – Muszę kończyć. O której mamy briefing?

– O trzeciej.

– W porządku. Do zobaczenia.

Rozłączyła się dokładnie w chwili, gdy na schodach pojawił się Munch. Zamierzała podejść do niego, ale zrezygnowała, widząc, że nie jest sam. Obok niego stała pielęgniarka w takim samym białym fartuchu jak niebieskooka dziewczyna. Piękna, szczupła, o długich, falujących złocistorudych włosach. Śmiała się głośno i dotykała Muncha, który przypominał teraz czternastolatka, rumienił się i trzymał ręce w kieszeniach spodni. Mia włożyła do ust pastylkę odświeżającą i ruszyła w ich kierunku. Rudowłosa pielęgniarka i Munch wymienili jeszcze kilka słów. Kobieta dotknęła jego ramienia i roześmiana zniknęła w drzwiach wejściowych.

– Jak poszło? – spytała Mia, gdy Munch podszedł do samochodu.

– Nie pytaj – powiedział, zapalając papierosa.

– Kto to jest?

– Niby kto?

– A jak myślisz?

Munch wszedł do samochodu, nie wypuszczając papierosa z ust.

– A, ona. To Karen, tak ma chyba na imię. Opiekuje się moją matką. Powiniennem był...

Munch włączył silnik i wjechał na Høvikveien.

– Co powinieneś był?

– Mamy coś nowego? – powiedział Munch, zmieniając temat.

– Konferencja prasowa, właśnie trwa.

Munch włączył radio. Mia usłyszała głos Anette. „Nic nowego, szukamy nadal. Czekamy na wszelkie sygnały”. Nie mieli niczego nowego do powiedzenia, lecz pomimo to wszyscy domagali się konferencji prasowych. Mia spojrzała na Muncha. Był pogrążony w swoich myślach. Zastanawiała się, czy powinna go poinformować, że Veronica Bache mieszkała z jego matką w tym samym domu opieki, ale uznała, że na razie nie ma takiej potrzeby. Chwilowo zajmuje się tym Gabriel. Munch wyglądał tak, jakby za chwilę miała eksplodować mu głowa.

– Musisz pójść do psychologa – powiedział niespodziewanie, kiedy zjechali na Drammensveien.

– O co ci chodzi?

Munch wyciągnął z kieszeni kurtki wizytówkę i podał ją jej.

– Musisz pójść do psychologa.

– Kto tak powiedział?

– Mikkelson.

– A niech go szlag!

– Nie patrz tak na mnie. Nagrali twój nocny telefon. Myślą, że ci odbiło.

– Mogą o tym zapomnieć.

– Powiedziałem im to samo.

– W takim razie jesteśmy zgodni.

Mia otworzyła schowek i wrzuciła wizytówkę do środka, nie obejrzawszy jej nawet.

- Co za bezczelność.
- A czego oczekiwałaś?
- Trochę pieprzonego szacunku.
- Życzę ci powodzenia – westchnął Munch. – Wpadniemy po drodze na burgera?
- Z przyjemnością.

Akurat gdy Munch znalazł zjazd i skręcił na stację benzynową, zaczął padać deszcz.



Deszcz zacinał w okna pomieszczeń redakcji „Aftenposten” w budynku Postgiro. Zebrali się w gabinecie Grunga, żeby śledzić konferencję prasową. Zapowiedziano ją na dwunastą, ale rozpoczęcie opóźniło się o dziesięć minut. W gabinecie zjawili się Mikkel Wold, Silje Olsen, Erik Rønning i redaktor naczelny Grung. Choć Mikkel Wold myślał o tym niechętnie, przypadło mu w udziale najlepsze miejsce, w skórzanym fotelu tuż obok Grunga. Od czasu kiedy sprawca skontaktował się z nim w Skullerud, coś się zmieniło. Jego pozycja wzrosła. Nagle znalazł się w centrum wydarzeń. Grung przyciszył dźwięk i zachęcił wszystkich do dyskusji.

Rozmowę telefoniczną ze sprawcą trzymali w tajemnicy. Dotychczas nie zrobili żadnego ruchu. Jeszcze nie. To o tym zamierzali porozmawiać. Czy powinni to wykorzystać? A jeśli tak, to w jaki sposób?

- Myślę, że powinniśmy czekać – powiedziała Silje i ugryzła jabłko.
- Bo...? – zachęcił ją Grung.
- Bo nie wiemy, czy on albo ona nie zniknie, kiedy puścimy to w świat.
- A ja myślę, że już czas. Do diabła z nim – powiedział Erik.

Dwudziestosześcioletni niezwykle błyskotliwy dziennikarz był ulubieńcem Grunga od pierwszych dni jego obecności w redakcji i to właśnie on zasiadał zazwyczaj w skórzanym fotelu obok redaktora naczelnego. I jeśli teraz był niezadowolony albo zazdrosny, w żaden sposób nie dawał tego po sobie poznać. Siedział spokojnie z szeroko rozłożonymi nogami, ściskając w dłoni piłeczkę antystresową.

– Kto nam zagwarantuje, że jutro rano nie zadzwoni do „Verdens Gang”? Albo dziś wieczorem do „Dagbladet”? – kontynuował Rønning. – Mamy szansę na SKUP-a i powinniśmy ją teraz wykorzystać.

Mikkel uśmiechnął się lekko. Po tym, jak zdobył nagrodę SKUP za serię reportaży na temat bezdomnych w Oslo, Erik z upodobaniem zaczął ostatnio używać tego słowa.

– Dlaczego w takim razie nie zadzwonił do nich do tej pory? – odparowała Silje.

Silje i Erik byli jak dzień i noc. Ona miała dwadzieścia kilka lat, kolczyk w wardze, była hałaśliwa i jak na standardy „Aftenposten” prezentowała wyraźnie lewicowo-liberalne skłonności. On spokojny, wyważony, zazwyczaj w garniturze, nienagannie uczesany, z miłym uśmiechem i błyskiem w oku. Marzenie każdej teściowej. Jeśli w redakcji dochodziło do sporów, tych dwoje zawsze stało po przeciwnych stronach.

Mikkel Wold był dziennikarzem raczej starej daty. Z notesem i długopisem w rękę, zawsze blisko opisywanych wydarzeń. Wcześniej nigdy nie pisał o nikim ani o niczym, z kim nie porozmawiałby osobiście albo czego sam by nie doświadczył. Teraz coraz częściej zdarzało mu się tworzyć meldunki prasowe na podstawie zdawkowego telefonu, czasem nawet obywatela się bez dzwonięcia. W kwestii ubioru nie przypominał ani Silje, ani Erika. Sytuował się gdzieś pośrodku. Czy był nudziarzem? Nieraz się nad tym

zastanawiał. Czy nie powinien w końcu zebrać się w sobie i kupić ciuchów, które wyglądałyby jak te w poświęconych modzie czasopismach jego siostry i które p o d k r e ś l a ł y b y j e g o o s o b o w o ś ć. Nic nigdy z tego nie wyszło. Ubrania w jego szafie, wciąż te same, wisały tam już od prawie dziesięciu lat. Nie wiedział dobrze, jak to ująć, ale wydawało mu się, że tak wyeksponowana powierzchowność, niezależnie od stylu, nie licuje z równie poważną profesją jak dziennikarstwo. To zresztą nieistotne. Sprawca skontaktował się z nim. I z nikim innym.

– Zgadza się – powiedział Erik. – Musimy wykorzystać tę szansę.

– Daj spokój, Erik. Taka pasywno-agresywna argumentacja przystoi raczej nam, kobietom, prawda?

– Czyżbym był pasywno-agresywny?

– O Jezu, przestań już – zaśmiała się Silje.

– Co o tym sądzisz, Mikkel? – spytał Grung, odwracając się do niego.

Silje i Erik zamilkli. Przynajmniej ten jeden raz. Wszyscy chcieli usłyszeć, co myśli. Nie podobało mu się to, ale jego tajemniczy rozmówca w pewnym sensie wyświadczył mu przysługę.

– Nie jestem do końca pewny. – Mikkel odkaszlnął. – Z jednej strony myślę, że faktycznie można byłoby zrobić z tego jakiś materiał. To oczywiste.

– Na wyłączność – wtrącił Erik i zaczął turlać piłeczkę na stole przed sobą. – Tylko nasz. Niczyj inny. Powtarzam: zróbmy to.

– Ale z drugiej strony – Mikkel mówił dalej – byłoby głupie zrobić z tego jeden albo dwa artykuły na główną, a potem stracić kontakt. Może się przecież zdarzyć, że będziemy mogli pomóc.

Przy stole znów zapadła cisza.

– Pomóc? – spytała Silje. – Masz na myśli gliny?

– Policję. To nie „Klassekampen”, pracujemy w „Aftenposten”.

– I dlatego nie wolno nam mówić „gliny”?

Silje wywróciła oczami i znów ugryzła jabłko.

– W każdym razie – powiedział Grung – jest to bezwzględnie coś, co musimy brać pod rozwagę.

– Niby co takiego? – spytał Erik.

– Czy powinniśmy iść z naszą wiedzą na policję?

– Czemu miałyby to służyć? – zapytał Erik. – Po pierwsze: nic nie mamy. Nic konkretnego. Nic, co mogłoby się im przydać. Za to m y możemy to wykorzystać, zgadzacie się?

– Nie sądziłam, że kiedyś to powiem, ale tutaj faktycznie jestem po stronie Erika. Mam na myśli, że nie powinniśmy iść z tym do glin – powiedziała Silje.

– Na policję – wtrącił Grung.

– Naprawdę nie mamy niczego, co mogliby wykorzystać. Jeszcze nie.

Erik pokiwał głową.

– Zgadza się.

– Ale to nie znaczy, że musimy od razu to roztrąbić. Jeśli zrobimy z tego materiał, kto wie, co stracimy? A poza tym przypominam, że to było trzy dni temu. Trochę nieświeża ta

nowość.

– Nieprawda – przerwał mu Erik. – Świeżutka jak diabli.

– Cicho, zaczyna się – powiedział Grung, podgłaśniając dźwięk w telewizorze.

Konferencję prasową prowadziła Anette Goli razem z adwokat policyjną Hilde Simonsen.

– Goli i Simonsen – westchnął Erik. – Kiedy wreszcie przyślą Muncha i Krüger? Chciałbym jeszcze raz napisać coś o Krüger.

– Ha, ha – zaśmiała się Silje. – Wszyscy wiemy, co miałbyś ochotę zrobić z Krüger. Napisać? Don't think so.

– Pssst – syknął Grung i zrobił jeszcze głośniej.

Ledwie Anette Goli zdążyła przywitać przybyłych na konferencję, kiedy zadzwonił telefon Mikkela. W pokoju zapadła cisza.

„Numer zastrzeżony”.

– Niech zadzwoni dwa razy!

– Odbierz!

Silje i Erik odezwali się jednocześnie. Grung ściszył dźwięk w telewizorze i szepnął do Mikkela Wolda: „Włącz głośnik”. Mikkel usiadł na krześle, odchrząknął i odebrał połączenie.

– Mikkela Wold, „Aftenposten”, słucham?

Po drugiej stronie rozległy się zgrzyty, ale nikt się nie odezwał.

– Wold, „Aftenposten”, słucham – powtórzył Mikkela, nieco bardziej zdenerwowany.

Milczenie. I tylko dziwne metaliczne odgłosy.

– Ktoś tam jest? – spytał Erik, zniecierpliwiony.

Grung i Silje wywrócili oczami.

– Zamknij się – szepnął Grung.

Po kilku sekundach rozległ się zgrzytliwy, metaliczny głos.

– Och, czyżbyśmy nie byli sami?

Nawet Erik zamilkł i przestał ścisnąć w dłoniach swoją piłeczkę. Siedział z otwartymi szeroko ustami i oczami jak spodki. Do tej chwili w pewien sposób nie traktowali tego wszystkiego serio. Telefon od sprawcy. Marzenie wszystkich dziennikarzy. I taki honor spotyka akurat Wolda? Teraz nie było już żadnych wątpliwości. To się działo naprawdę. Silje wypluła z ust kawałek jabłka i ostrożnie położyła go na stole.

– Nie. Rozmawiamy przez zestaw głośnomówiący.

– Pięknie, pięknie. Jakież zaszczyt – odezwał się ironicznie metaliczny głos. – „Aftenposten” wsłuchuje się w głos swoich czytelników. Ale to dobrze. Podzielicie odpowiedzialność między siebie.

– Za co? – odkaszlnął Mikkela.

– Dojdziemy i do tego – powiedział głos. – Nawiasem mówiąc, wydaje mi się, że powinieneś być teraz na konferencji. Nie masz żadnych pytań?

– Dlaczego ta świnka tak zachlapała podłogę? – zapytał nerwowo Mikkela.

– Bystry chłopak, pamiętasz – powiedział głos.

– Znam się na swojej pracy. I nie zadaję pytań, których nie wymyśliłem sam i za które nie odpowiadam – powiedział Wold.

Zerknął na Grunga, który energicznie pokręcił głową. Wcześniej ustalili, że mają grać r a z e m z nim, a nie przeciwko niemu. Po drugiej stronie zapadła cisza.

Po chwili przerwy rozległ się śmiech.

– Dziennikarska solidarność.

– Tak – odpowiedział Mikkel.

– Jesteś uroczy. – Głos rozbrzmiewał ironią. – Wszyscy wiedzą, że dziennikarska solidarność to mit. Tylko wy w nią wierzycie. Wiecie, że w zeszłym roku dziennikarze znaleźli się na ostatnim miejscu w rankingu zawodów cieszących się największym zaufaniem? Wyprzedzili was adwokaci, spece od reklamy i sprzedawcy samochodów. Chyba wam to umknęło?

Znowu rozległ się metaliczny śmiech, tym razem był niemal serdeczny. Erik Rønning pokręcił głową i wyciągnął środkowy palec w kierunku telefonu na stole.

– Ale to nie dlatego tu jesteśmy – powiedział głos zimno.

– A dlaczego tu jesteśmy?

– Do licha, jaki jesteś dziś bystry. Sam wpadłeś na to pytanie?

– Przestań się zgrywać – powiedział nagle Erik, który nie był już w stanie się powstrzymać. – Skąd mamy wiedzieć, że nie jesteś jakimś żartownisiem, który postanowił zabawić się naszym kosztem?

Grung spurpurowiał. Nie wytrzymał i kopnął Erika pod stołem. Wszyscy zamilkli w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Dobrze pytanie – odezwał się sucho głos. – Z kim mam przyjemność rozmawiać?

– Z Erikiem Rønningiem – odpowiedział Erik.

– Wielkie nieba, Erik Rønning we własnej osobie. Zdobywca nagrody SKUP w dwa tysiące jedenastym roku. Gratuluję.

– Dziękuję – powiedział Erik.

– Jak to jest pisać o bezdomnych, a potem pojechać do swojego apartamentu na Frogner i popijać chardonnay w jacuzzi? Dziennikarska solidarność, mówisz?

Erik chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

– Ale oczywiście, masz absolutną rację, Rønning. Skąd możesz wiedzieć, że jestem tą osobą, za którą się podaję? Mam propozycję: zagramy w małą grę?

– Jaką grę? – Erik odchrząknął.

– Nazywam ją Jestem w wiadomościach. Przyłączycie się?

Przy stole zapadła kompletna cisza. Nikt nie miał odwagi odezwać się ani słowem.

– Zanim odpowiecie, wyjaśnię wam zasady. Zgoda? – powiedział metaliczny głos. – Na co dzień przekazujecie wiadomości, przyszło mi więc do głowy, że mogło wam się to już trochę znudzić. Dlaczegoż by choć raz nie z n a l e ż ć s i ę w w i a d o m o ś c i a c h? Nie byłoby ekscytująco?

– Co to ma znaczyć? – wychrypiał Mikkel.

– To, że to wy zdecydujecie – powiedział głos.

– O czym?

– Która z nich będzie żyć, a która umrze.

Czworo dziennikarzy siedzących przy stole popatrzyło na siebie.

– Co masz na myśli?

Rozległ się śmiech.

– A jak myślicie? Decyzja jeszcze nie zapadła. Karoline czy Andrea? To wy możecie ją podjąć. Czy to nie miło z mojej strony? Pozwolić wam się przyłączyć?

– N-n-nie mówisz tego poważnie – powiedziała Silje.

– Niemożliwe, są i panie. Jak miło. Kto mówi?

– S-s-silje Olsen – wyjąkała Silje.

Powoli zaczęła do niej docierać powaga sytuacji.

– I co o tym wszystkim sądzisz, Silje Olsen?

– O jakim wszystkim?

Ponownie usłyszeli śmiech.

– Że jestem kobietą? Wierzysz w to?

– Tak – powiedziała ostrożnie Silje.

Znów śmiech.

– Jacy wy jesteście naiwni... A to takie proste. Zupełnie proste. To się robi nudne. Naprawdę. Dlaczego tak łatwo się poddajecie? Hej, Mikkel, ty też w to wierzysz?

– Tak – odpowiedział Mikkel po chwili namysłu.

– Ech, przestań, naprawdę muszę prowadzić was za rękę? Kobieta. Emeryt zauważył kobietę. A co, jeśli to transwestyta? Przyszło to komuś do głowy? Albo bezdomny? Erik, jesteś w tym specjalistą. Jak myślisz, co jest gotów zrobić bezdomny za dwa tysiące koron? Założyć bluzę z kapturem i pokazać się w Skullerud w środku nocy, a nawet przespacerować się po ulicy tam i z powrotem. Zgodziłbyś się na to, Erik, gdybyś był bezdomnym?

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś kobietą? – spytał cicho Erik.

– Boże, jesteście jeszcze głupszy, niż mi się wydawało – zimno powiedział głos. – Trudno. Zrobimy tak: macie minutę, żeby uzgodnić imię. Andrea czy Karoline? Ta, którą wskażecie, umrze dziś wieczorem. Druga będzie żyć. Wróci do domu w ciągu doby. Jeśli nie wskażecie imienia, umrą obie, jest mi to zupełnie obojętne. Jedna umiera, jedna będzie żyć. Wybór należy do was. Zasady są jasne?

– Ale nie możesz tak po prostu... – wtrącił się Grung.

– Zadzwoń za minutę. Powodzenia.

– N-n-nieeee – jęknęła Silje.

– Tik-tak – powiedział głos i się rozłączył.

Lukas był w niebie. Tak się przynajmniej czuł. Przez wiele dni z niecierpliwością wyczekiwał tego trzeciego wyjazdu do domu w lesie. Lux Domus. Dom Światła albo Porta Caeli, jak lubił nazywać go sam pastor. Wrota Niebios. Czy może być coś równie pięknego? Porta Caeli? Wrota Niebios? Przez cały dzień jego ciało było jak odrętwiałe i teraz, kiedy wreszcie dotarli tak blisko nieba, z trudem się zmuszał, żeby siedzieć spokojnie na krześle pod oknem, podczas gdy pastor czytał dzieciom.

Duchowny odebrał przesłanie od Boga, który kazał mu zbudować to miejsce. Nową arkę. Tym razem nie dla zwierząt, a dla wybranych. Wtajemniczonych. Dom Światła. Wrota Niebios. Kiedy nastanie Dzień Sądu, wyruszą. Nikt oprócz nich. Tylko oni. Czterdzieścioro ludzi i tylko tylu. Bóg powiedział pastorowi, że na świecie są też inne arki, ale nie muszą wiedzieć, gdzie się znajdują. Świadomość tego, że istnieją, powinna im wystarczyć. Wszystkie spotkają się w niebie. W niebie. W Królestwie Bożym. Tam, gdzie w szmaragdowych rzekach płynie krystalicznie czysta woda, a wszystko jest ze złota, wzniesione na dywanie z białych jak śnieg chmur. Wieczność. Wybrani. Na zawsze.

Lukas zamknął oczy, pozwalając, by głos pastora wypełnił mu ciało. Głos Boga – oto czym był. Dzieci były najważniejsze, tak powiedział Bóg. Czyste, gotowe, otwarte, takie jak w łonie matki, jeszcze niezepsute latami życia na ziemskim padole. Nie, nie czyste, musiały dopiero zostać oczyszczone. Nawet gdyby potrzebny był ogień. Płomień piekielny. Pastor mówił miękkim, spokojnym głosem. Zdecydowanie, niczym prawa ręka Pana. Na zewnątrz twardy, a w środku sama łagodność. W głowie Lukasa szumiała teraz woda. Czyste rzeki pełne orzeźwiającej wody płynęły przez zielone lasy i białe pola, wiły się u stóp złotych domów.

– Moje dzieci, ukażę wam się, abyście mogły pomóc ludziom wyjść z ciemności do światłości<sup>6</sup> – mówił pastor spokojnym głosem. – Zamierzam objawić wam rzeczywistość piekła, abyście zostały zbawione i zawróciły ze złych dróg, zanim nie będzie zbyt późno. Ja, Pan Jezus Chrystus, zabiorę wasze dusze z ciała i przeniosę je do piekła, nieba oraz innych miejsc, które chcę objawić światu.

Pastor zamilkł na chwilę i powiódł wzrokiem po zebranych. Robił tak często. Spoglądał każdemu w oczy. To ważne. Tak, by wszyscy mogli zobaczyć, że za jego oczami kryły się oczy Boga. Lukas rozchylił powieki i się uśmiechnął. Jego dom będzie stać tuż obok domu pastora, tak powiedział Bóg. Dzieci nie było dużo, zaledwie ośmioro. Pastor wybrał je sam. Pięć dziewczynek i trzech chłopców, niemal czysti. Jeszcze kilka spotkań z dobrotliwym głosem pastora, a będą gotowe.

Lukas popatrzył na dzieci, próbując odnaleźć tę, którą pastor uważał za wyjątkową. Rakel. Dzieci były do siebie bardzo podobne, i tak powinno być. „Wszyscy jesteśmy równi wobec Boga”. Po chwili ją wypatrzył. Niebieskie oczy i mnóstwo piegów. Było z nią trochę problemów. Lukas nie rozumiał, dlaczego pastor tak bardzo zdenerwował się

z powodu tej jednej dziewczynki. Dlaczego była taka wyjątkowa? Jeśli chce uciec z Domu Światła i wieść swoje życie w piekle – droga wolna! Po co tracić na nią czas? We wspólnocie było chyba wystarczająco innych kandydatów?

Oczywiście nie powiedział tego głośno. Pastor zawsze wie, co robi. Skąd w ogóle przyszła mu do głowy taka myśl? Lukas pokręcił głową nad swoją głupotą i zamknął oczy. Głos pastora znów rozlał mu się po ciele. Zaciśnął mocno usta, jak zawsze, gdy się obawiał, że przypadkiem westchnie w uniesieniu.

– Pewnego wieczoru, gdy modliłem się w domu, odwiedził mnie Pan Jezus Chrystus – mówił dalej pastor. – Modliłem się w duchu od wielu dni, gdy nagle poczułem prawdziwą Bożą obecność. Jego moc i chwała wypełniły cały dom. Jaskrawe światło zalało pokój i spłynęło na mnie słodkie, cudowne uczucie. Światło przepływało falami, przesuwając się i przechodząc jedno w drugie. Było to niesamowite zjawisko. Usłyszałem wtedy głos mówiącego do mnie Pana. Powiedział: „Jestem Jezus Chrystus, twój Pan. Chcę dać ci objawienie, aby przygotować świętych na Mój powrót i przywieść wielu do sprawiedliwości. Moce ciemności są realne, a wyroki moje prawdziwe. Moje dziecko, zabiorę cię do piekła, przez Mojego Ducha, i pokażę wiele rzeczy, o których świat również powinien wiedzieć. Ukażę ci się wiele razy; zabiorę twego ducha z ciała i zabiorę cię do piekła”. „Drogi Panie – zawołałem. – Co chcesz, abym uczynił?” Cała moja istota chciała wołać do Jezusa, widząc Jego obecność. Poczułem spływającą na mnie miłość. Była to najpiękniejsza, najspokojniejsza, najradośniejsza i najpotężniejsza miłość, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem. Zaczęło wypływać ze mnie uwielbienie Boga. W tej chwili chciałem oddać Mu całe swoje życie, zostać użytym przez Niego, by prowadzić grzeszników do Boga, by wyratować ich od wiecznej śmierci. Wiedziałem przez Jego Ducha, że Tym, który przebywał razem ze mną w pokoju, był prawdziwie Jezus Chrystus, Syn Boga. Nie potrafię wyrazić Jego boskiej obecności, lecz wiem, że to był Pan. „Oto, Moje dziecko – powiedział Jezus – zamierzam wziąć cię przez Mojego Ducha do piekła, abyś mógł zarejestrować jego realność, abyś mógł powiedzieć całej ziemi, że piekło jest prawdziwe; by wyrwać straconych z ciemności do światłości Ewangelii Jezusa Chrystusa”. Nagle moja dusza została zabrana z mego ciała. Razem z Jezusem wyszliśmy z pokoju i wznieśliśmy się w kierunku nieba.

Pastor wstał i dzieci zrobiły to samo. Ustawiły się w kręgu pośrodku pokoju. Pastor skinął na Lukasa, by ten stanął razem z nimi. Lukas podniósł się rozpromieniony i wziął dwoje dzieci za ręce.

– Pomódlmy się – powiedział pastor, schylając głowę.

Po chwili cały pokój wypełnił się cichymi głosami.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie. Święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw od złego. Bo Twoje jest królestwo i potęga, i chwała na wieki. Amen.

– Amen – powtórzył Lukas, nie mogąc się powstrzymać.

Porta Caeli. Wrota Niebios. A oni są tu teraz. Należało jedynie przygotować się na dzień, który wkrótce nadejdzie.

Pastor otworzył drzwi i wypuścił dzieci. Wszystkie z wyjątkiem Rakeł. Zawsze rozmawiał z Rakeł dłużej niż z innymi. Może było z nią jak z tą owieczką, która odłączyła się od stada? Oczywiście, tak właśnie musiało być. Owca i stado. Lukas poczuł wyrzuty sumienia, że zwątpił w decyzje pastora.

– Myślę, że Rakeł potrzebuje jeszcze chwili sam na sam z Bogiem i ze mną – powiedział pastor, dając Lukasowi znak, żeby ich zostawił. Lukas z uśmiechem skinął głową i ruszył do drzwi.

– Lukasiu, dopilnuj proszę, aby nikt tu nie wchodził i nam nie przeszkadzał.

– Oczywiście. – Lukas się skłonił.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Zaczynało się ściemniać, dostrzegał już jasne punkciki gwiazd na niebie. Uśmiechnął się szeroko i poczuł ciepło rozlewające się po jego ciele. To właśnie tam wyruszą. Do nieba. Nie mógł się już doczekać. Wyglądał tej chwili tak mocno, że nie potrafił tego opisać. Nieustające, cudowne, radosne mrowienie przebiegało mu po ciele od czubka głowy po koniuszki palców. Szmaragdowe rzeki i domy ze złota. Czy to naprawdę możliwe? Że mógł mieć takie szczęście? Lukas skrzyżował ręce na piersiach, uśmiechnął się szeroko i zaczął nucić psalm, którego nauczył się niedawno.



To była z pewnością najdłuższa minuta w życiu Mikkela Wolda. I najkrótsza. Najkrótsza i najdłuższa minuta jednocześnie. Wydawało mu się, że czas się zatrzymał, a równocześnie przepływa mu między palcami. Czas miał teraz nowe znaczenie. Całkowicie stracił sens. Przez pierwsze pięć sekund po prostu patrzyli na siebie. Mikkel patrzył na Silje, która siedziała z szeroko otwartymi ustami i oczami jak spodki, jak gdyby właśnie zobaczyła UFO. Silje z rozpaczą utkwiała wzrok w Grungu, niczym młody członek stada szukający pocieszenia u starszych. Ale pocieszenia nie było. Pomysłowy i energiczny zazwyczaj redaktor spoglądał to na leżący na stole telefon, to na Wolda, który teraz gapił się na Erika Rønninga.

Erik zamarł. Dosłownie przestał funkcjonować. Mięśnie jego twarzy zastygły, nie było na niej najmniejszej emocji. Siedział jak skamieniały, ze ściśniętą piłeczką w dłoni. Miał półotwarte usta, lecz już obmyślany dowcipny lub sarkastyczny komentarz nie zdążył się z nich wydostać i teraz wracał do jego głowy. Cała czwórka była cicho jak myszki. Skamieniała. W kompletnym szoku. Tak minęło pierwsze pięć sekund.

Kolejne piętnaście sekund było ich kompletnym przeciwieństwem. Wszyscy nagle zaczęli mówić, jedno przez drugie. Jak czworo dzieci w tunelu, które właśnie zauważyły pędzący w ich stronę pociąg, lecz nie mogą zejść z torów i mają tylko jedną drogę ucieczki. Wiedzą, że najgorsze tak czy owak nadejdzie, ale instynktownie decydują się biec. Słowa bezładnie krzyżowały się w powietrzu.

- O mój Boże.
- Musimy wybrać jedną z nich.
- O mój Boże.
- A co, jeśli to nie blef?
- Zaraz zwymiotuję.
- Ale jak, do cholery? Tak przecież nie...
- A co, jeśli żadnej nie wybierzemy?
- O mój Boże.
- Musimy jedną z nich wybrać.
- Nie mamy do tego prawa.
- To niemożliwe.
- Grung?
- Mikkel?
- Co mamy robić?
- Nie możemy zabić człowieka.
- Chyba zwymiotuję. Słabo mi.
- Możemy uratować człowieka.
- Erik?

- Silje?
- A co, jeśli nic nie zrobimy?
- Obie umrą.
- Nie możemy zabić dziecka.
- O mój Boże.
- Możemy uratować dziecko.
- O mój Boże.
- Co robimy?
- O mój Boże.

Minęło dwadzieścia sekund. Zegar wiszący na ścianie nie miał wskazówki sekundowej i wciąż pokazywał dwunastą szesnaście. Był bezużyteczny. Brakowało mu sekundnika. Właśnie tego teraz potrzebowali – nie godzin ani minut, lecz sekund. Kolejne dziesięć sekund stracili, próbując ustalić, ile minęło już czasu. Po małym pomieszczeniu zaczęła rozprzestrzeniać się panika.

- Ile minęło już czasu?

Silje była blada jak ściana.

- Ile czasu nam zostało?

Grung wstał i oparł się dłońmi o blat stołu.

- Ktoś ma zegarek?

Mikkel Wold spojrzał na zegar na wyświetlaczu telefonu i na zegar na ścianie, pozbawiony sekundnika i kompletnie teraz bezużyteczny. Czworo dzieci w tunelu. Wyczuwali już drżenie szyn pod zbliżającym się do nich z ogromną prędkością pociągiem.

- Nie możemy tracić czasu na pytania, ile go już minęło!

Erik wstał i uderzył pięścią w stół. Raz. Drugi. Trzeci.

- Nie możemy tracić czasu na pytania, ile go już minęło!

Grung złapał się za głowę.

- Ile już minęło?

Ta faza trwała dziesięć sekund. Upłynęło już trzydzieści z nich.

- Musimy się zastanowić – krzyknął Erik. – Przekrzykiwanie się nic nie da.

- Nie możemy się przekrzykiwać! – krzyknęła Silje.

- Musimy podjąć jakąś decyzję! – krzyknął Erik.

- Co robimy? – krzyknął Grung, wciąż trzymając się za głowę.

- Uspokójcie się wszyscy! – krzyknął Erik.

- Uspokójmy się! – krzyknęła Silje.

Minęło już czterdzieści sekund. Ostatnie dwadzieścia było jak minuta. Albo godzina. Albo cały rok. Pierwszy rozsądek odzyskał Erik.

- Głosujemy.

- Co?

- Ani słowa. Głosujemy. Ręce do góry ci, którzy uważają, że musimy coś zrobić.

Erik podniósł rękę. Grung podniósł rękę. Wold podniósł rękę, choć sam nie wiedział dlaczego, zrobił to instynktownie. Ręce Silje leżały na stole.

Minęło czterdzieści dziewięć sekund.

- Trzy do jednego.

- Ale... – zaczęła Silje, lecz Erik jej nie słuchał.
- Ręce do góry ci, którzy uważają, że należy uratować Karoline.
- Masz na myśli „zabić Andreę”? – wyrwało się Silje.
- Podnoście ręce! – krzyknął Erik.

Pięćdziesiąt trzy sekundy.

– Podnieście ręce, jeśli uważacie, że trzeba ratować Karoline! – jeszcze raz krzyknął Erik, w rozpacz. Pociąg był tuż za ich plecami. To był jedyny sposób, żeby się wymknąć, zatrzymać go albo wykoleić.

Podniósł rękę i spojrzał na Grunga. Grung zrobił to samo i spojrzał na Silje.

- Nie... – załkała Silje. – Nie, nie, nie...

Upłynęło pięćdziesiąt siedem sekund.

Grung i Erik stali z podniesionymi rękami i patrzyli teraz na Mikkela.

- Tak czy nie? – krzyknął Erik.

Mikkel próbował unieść rękę, ale ta odmówiła mu posłuszeństwa. Była ciężka jak z ołowiu. Nigdy wcześniej nie była taka ciężka. Nie słuchała go. A może wprost przeciwnie? Nie wiedział tego.

Pięćdziesiąt dziewięć sekund.

- Szybciej! – ryknął Erik. – Ratujemy Karoline czy nie?

- Zabijemy Andreę – szlochała Silje. – Nie możemy...

- Tak czy nie? – krzyknął Grung.

Jego uniesioną rękę pokrywały gęste włoski. Mikkel jeszcze raz próbował dźwignąć swoją, ale ta za nic nie chciała unieść się z kolan.

Rozległ się dzwonek telefonu.

W pokoju zapadła kompletna cisza. Minuta minęła. Dzwonek rozległ się ponownie. Mikkel Wold, milcząc, wpatrywał się w telefon. Nie docierało do niego, gdzie jest. Widział jakby za mgłą. To wszystko równie dobrze mogło dziać się w innym pokoju. Albo na księżycu. Nie wiedział, co robić. Wreszcie Erik Rønning się pochylił i dotknął ekranu.

- Witam ponownie – odezwał się metaliczny głos.

Przy stole panowała zupełna cisza.

- Napięcie sięga zenitu. Co postanowiliście?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Jesteście tam? – spytał głos.

Silje spojrzała na Grunga, Grung spojrzał na Erika, Erik spojrzał na Mikkela, a Mikkel spojrzał na swoje palce.

Metaliczny głos zaśmiał się lodowato.

- Odebrało wam mowę? Potrzebuję odpowiedzi. Czas mija. Tik-tak.

Erik Rønning odchrząknął.

- Otóż...

– Andrea – spytał głos lodowato – czy Karoline? Która z nich wróci do domu? Jedna umrze, druga będzie żyć. Czy to takie trudne?

- Obie mają żyć – załkała nagle Silje.

Metaliczny głos zaśmiał się znowu.

- O nie, panno Olsen. Nie takie były zasady. Jedna żyje, jedna umiera. Wy decydujecie.

Czy to nie ekscytujące? Decydować, kto umrze, a kto będzie żyć? Czy to nie trochę tak, jakby było się Bogiem? Rønning?

W pokoju ponownie zapadła cisza. Sekundy mijały. Mózg Mikkela Wolda przestał funkcjonować. Silje zapadła się w siebie. Grung stał z obiema uniesionymi rękoma. Erik Rønning otworzył usta i zamierzał właśnie coś powiedzieć...

– No cóż – zimno odezwał się głos. – W takim razie umrą obie. Szkoda, ale jeśli taka jest wasza wola, nie zamierzam psuć wam zabawy. Miło było z wami rozmawiać.

– Niiieee! – krzyknęła Silje, chwytając telefon obiema dłońmi, jakby w ostatniej, rozpaczliwej próbie wzbudzenia ludzkich uczuć w metalicznej istocie, ale było już za późno. Głos znikł.

Mia Krüger siedziała na balkonie dla palących i obserwowała, jak Munch niszczy sobie płuca. Dopiero co zakończyli dzisiejszy briefing. Munch był w wyjątkowo podłym nastroju.

– Jak to możliwe? – powtarzał, pocierając oczy.

W ciągu ostatniego tygodnia żaden z członków zespołu nie miał okazji porządnie odpocząć, ale Munch wyglądał tak, jak gdyby spał najmniej. Mia czekała na odpowiednią chwilę, żeby opowiedzieć mu o swoich przemyśleniach. Trochę się tego obawiała. Nie miała pewności. To było tylko przecucie. W ciągu dnia jeszcze bardziej w niej urosło.

– Jak to możliwe? – powtórzył Munch, odpalając papierosa od poprzedniego.

– Co masz na myśli? – spytała Mia, wyłuskując pastylkę odświeżającą z torebki.

Munch wbił w nią spojrzenie. Oprzytomniał, widząc, z kim rozmawia. Jego spojrzenie złagodniało.

– Wszystko – powiedział, pocierając oczy. – Ktoś przecież musiał je widzieć? Dwie sześćdziesiątletnie dziewczynki nie mogą tak po prostu rozpuścić się w powietrzu.

– Nagroda też nie pomogła?

– Gówno dała. Pięćset tysięcy koron. Przecież ktoś powinien podrzucić jakiś trop.

– Podniosą do miliona?

Munch skinął głową.

– Komunikat będzie jutro. Możemy mieć tylko nadzieję.

– Na to, że świry z całego świata nie zablokują nam linii – powiedziała Mia.

– Musimy zaryzykować. – Munch głęboko zaciągnął się papierosem. – Udało ci się złapać Benjamina Bache?

Mia skinęła głową.

– Umówiłam się z nim o wpół do piątej pod teatrem. Ma dla mnie tylko pół godziny. Oprócz prób do Hamleta gra jeszcze w Kariusie i Baktusie<sup>7</sup>. Idziesz ze mną?

Munch pokręcił głową.

– Nie, załatw to sama. Dowiedz się, czy wciąż mieszka w mieszkaniu prababki i czy to tam przychodzą rachunki.

– No problem.

– A niech to szlag. Ktoś przecież musiał coś widzieć. Jak wsiadali do samochodu i z niego wysiadali. Z domu i do domu. Z piwnicy i do piwnicy. Dziewczynki muszą przecież coś jeść. Ktoś, kto kupuje dużo jedzenia. Ktoś, kto...

Munch wpatrywał się w rozżarzoną końcówkę papierosa.

– Jeśli wszystko jest dobrze zaplanowane, możemy liczyć tylko na szczęście, wiesz o tym – powiedziała Mia.

– A to wygląda na cholernie dobrze zaplanowane, nie sądzisz? – westchnął Munch.

– Niestety tak. I to zapewne od kilku lat.

– I wiemy, co to oznacza – powiedział Munch. – Dziewczynki umrą, jeśli w najbliższym czasie ich nie znajdziemy.

Mia nie odpowiedziała. Wpatrywała się w ulicę w dole. W jakiś sposób zazdrościła idącym nią ludziom. Zwykłym ludziom. Prowadzili swoje kioski albo kupowali buty dla dzieci. Nie martwiły ich podobne rzeczy. Wyjęła z torebki jeszcze jedną pastylkę.

– Muszę ci coś powiedzieć – powiedziała do Muncha.

– Wal.

Mia zamilkła na chwilę, szukając odpowiednich słów.

– O co chodzi? – zapytał Munch, wyraźnie zaintrygowany.

– Wydaje mi się, że masz z tym coś wspólnego.

– Co masz na myśli, mówiąc „coś wspólnego”?

– Myślę, że jesteś elementem ich planu.

– Do ciężkiej cholery, o czym ty mówisz, Mia?

Przerwał im nieco zdenerwowany Gabriel Mørk, który wsunął głowę w drzwi.

– Wybaczcie, że przeszkadzam, ale...

– Czego chcesz? – spytał opryskliwie Munch.

– Niczego. Mia, znalazłem, wiesz co. Informację, o którą prosiłaś mnie wczoraj wieczorem. Co z nią zrobić?

– Przekaż wszystkie nazwiska Kimowi i Ludvigowi, niech porównają je ze sprawą z Hønefoss. Mam przeczucie, że coś się w tym może kryć.

– Robi się – powiedział chłopak i szybko zamknął drzwi, nie spojrzawszy nawet na Muncha.

– Co, do diabła, masz na myśli, mówiąc, że jestem częścią planu?

– Tak myślę – powiedziała Mia. – Że chodzi o ciebie.

– O mnie?

Znowu im przerwano. Tym razem bardzo rozemocjonowana Anette Goli, która nawet nie zwracała sobie głowy pukaniem.

– Chodź ze mną – powiedziała do Muncha.

– O co chodzi?

– Mamy przełom. Właśnie zadzwonił adwokat...

Spojrzała na karteczkę samoprzylepną, którą trzymała w dłoni.

– ...Livold. Reprezentuje „Aftenposten”. Sprawca się z nimi skontaktował.

– Jasna cholera – powiedział Munch.

Wstał i zgniótł papierosa.

– Kiedy?

– Najwyraźniej kilka razy. Po raz pierwszy parę dni temu. Ostatni raz dziś około południa.

– I zawiadamiają nas teraz? Teraz?! – ryknął Munch. – Pieprzeni idioci.

– Pewnie zeszło im trochę na naradzenie się z adwokatem albo i dwoma.

– Cholerne gnojki! Gdzie oni są?

– W budynku Postgiro, czekają na nas. Samochód jest na dole.

Munch zwrócił się do Mii:

– Jedziesz z nami?

Pokręciła głową.

– Jestem umówiona z Benjaminem Bache.

– A, rzeczywiście.

Popatrzył na nią dziwnie.

– Jeszcze do tego wrócimy, i to w miarę możliwości szybko. Zupełnie nie rozumiem, o czym mówisz.

– Spotkajmy się później w Justisen – powiedziała Mia.

– Dobrze – odpowiedział Munch i wszedł do środka za Anette.

Kiedy dotarła na miejsce, Benjamin Bache siedział na schodach Teatru Narodowego. Wydawał się niespokojny. Spoglądał na zegarek, dotykał ekranu telefonu, palił papierosa, bębnił palcami po udzie i rozglądał się, jak gdyby się obawiał, że ktoś może go tu zobaczyć. Niezbyt dobre miejsce, jeśli chce się pozostać niezauważonym, pomyślała Mia i na chwilę przystanęła za pomnikiem Henryka Ibsena, chcąc nieco przyjrzeć się Benjaminowi.

Mia widziała go już wcześniej, ale potrzebowała trochę czasu, żeby wszystkie kawałki układanki zaczęły do siebie pasować. Na pewno nie w „Se og Hør”, bo Mia nie czytała takich gazet, nawet w poczekalni u dentysty nie wzięłaby tego do ręki. Nie chodziło nawet o to, że miała coś przeciwko niemu. To, o czym tam pisano, po prostu jej nie interesowało. Kiedy wokół policjantki rozpętała się burza, dziennikarze z prasy bulwarowej kręcili się obok niej nieustannie, ale konsekwentnie nie zgadzała się na jakiegokolwiek kontakty. „Prawdziwa historia Mii Krüger”. Dziennikarz, który do niej zadzwonił, powiedział mniej więcej coś takiego. Ale czy to byli jeszcze dziennikarze? Jak to właściwie jest? Czy jest się dziennikarzem, jeśli pisze się o cyckach albo o tym, kto gdzie spędził Święta Wielkanocne? Nie powinno się tego jakoś uregulować? Za każdym razem uprzejmie im odmawiała, choć proponowali jej „wspaniałą podróż nad Morze Śródziemne dla ciebie i twojego partnera”. „Jesteś teraz z kimś?” – pytali. Mia uśmiechnęła się do siebie i ugryzła jabłko, które kupiła po drodze w sklepie sieci Narvesen. Morze Śródziemne, niech ich szlag. To wszystko, na co było ich stać? To żart? Miała odsłonić przed nimi swoje prywatne życie w zamian za wyjazd nad Morze Śródziemne?

Benjamin Bache siedział z papierosem w ustach i przymknąwszy jedno oko, pisał coś na klawiaturze telefonu. Kiedy skończył, schował aparat do kieszeni, pobawił się chwilę papierosem, postukał palcami po udzie, po czym znów wyciągnął komórkę. Nagle ją olśniło. Føling i fjæra. Festiwal. Właśnie stąd go zna. Widziała go w jakimś filmie. Grał rolę śledczego. Miał być więc nią, a raczej nie tyle nią, co Kimem albo Currym. Był dochodzeniowcem ze sztabu, ale nie kierował zespołem. Rzuciło się w oczy, że nie czuł się komfortowo w tej roli. Mia dokończyła jabłko, wyrzuciła ogryzek do kosza na śmieci i ruszyła w kierunku schodów.

Benjamin Bache ją zobaczył. Wstał i uśmiechnął się szeroko.

– Cześć, Mio, bardzo mi miło – powiedział, ściskając mocno jej dłoń.

– Cześć. – Mia była zaskoczona. Zachowywał się, jakby byli dobrymi znajomymi.

Być może tak to wygląda w jego środowisku. „Pokazują nas w telewizji i w gazetach, jedziemy na tym samym wózku. Jesteśmy wspólnotą i trzymamy się razem”. To się jej nie spodobało, ale nic nie dała po sobie poznać.

– Zarezerwowałem dla nas stolik w Theatercaféen, nie masz nic przeciwko? – spytał Benjamin, zgniatając niedopałek.



- Jasne, że nie – uśmiechnęła się Mia. – Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.
- Cieszę się. – Benjamin mrugnął okiem i lekko stuknął ją palcem w ramię. – Muszę coś zjeść. Przez cały ranek próby, potem przedstawienie dla dzieci, a wieczorem znów próba.
- Rozumiem. Nie jestem głodna, ale chętnie ci potowarzyszę.
- Brzmi świetnie. – Benjamin się uśmiechnął i skinął na nią, by przeszła za nim przez ulicę.

Nie zdziwiło jej, że Benjamin Bache jest na ty z kelnerką z Theatercaféen. Plotkował z nią przez całą drogę do zarezerwowanego stolika przy oknie, przedstawił jej nawet Mię. Podając policjantce dłoń i wymieniając swoje imię, kelnerka była wyraźnie zakłopotana. Mia uśmiechnęła się do siebie. Imiona, imiona. Technika sprawowania władzy. Klasyczna manipulacja, choć nie miała pewności, czy Benjamin jest na tyle bystry, by zdawać sobie z tego sprawę. Może po prostu taki był. W swojej branży. Wszyscy na ty, miło, przyjemnie, wszyscy się znamy, jesteśmy sobie równi, daj mi tę rolę, to moja praca.

Nie ulegało wątpliwości, że był prawdziwym flirciarzem. Mia miała nadzieję, że Susanne nie okazała się na tyle głupia, żeby związać się z tym typem. I że to nie przez niego płakała. Nie, to raczej niemożliwe. Susanne zawsze miała skłonność do starszych mężczyzn. Takich, którzy by się o nią troszczyli. Nie takich młodych. Mia była jednak przekonana, że Benjamin Bache potrafiłby udawać silnego i opiekuńczego, gdyby tylko zechciał. W tym momencie odgrywał rolę... Jak to nazwać? Niewinnego chłopca?

- Tak, muszę przyznać, że byłem trochę zaskoczony, kiedy zadzwoniłaś – powiedział, gdy złożył już zamówienie. – O co właściwie chodzi?

Mia znów stłumiła uśmiech. W filmie, w którym go widziała, wygłosił niemal identyczną kwestię.

- To tylko rutynowe czynności – powiedziała, upijając łyk wody.
- Wal – stwierdził Benjamin Bache.
- Przeczesał dłonią włosy i mrugnął do niej. Naprawdę był flirciarzem. Obiecała sobie, że następnym razem, kiedy spotka Susanne, poprosi ją, żeby trzymała się z daleka od tego typu.
- Chodzi o twoją prababkę, Veronicę Bache.
- Poważnie? – spytał Benjamin, unosząc brwi.
- To twoja prababka, zgadza się? Veronica Bache, Hansteens gate dwadzieścia, zmarła dwa lata temu?
- Zgadza się – potwierdził Benjamin.
- Mieszkała tam do swojej śmierci?
- Nie – odpowiedział Benjamin. – Przez kilka lat mieszkała w domu opieki.
- Dom opieki Høvikveien?
- Owszem. Dlaczego pytasz?
- A kto mieszkał przy Hansteens gate dwadzieścia?
- To moje mieszkanie. Mieszkam tam od siedmiu lat.
- I to wtedy twoja prababka przeprowadziła się do domu opieki?
- Tak.
- Odziedzyczyłaś to mieszkanie? Jest przepisane na ciebie?
- Nie, przepisała je mojemu ojcu. O to właśnie chodzi? Dlaczego pytasz mnie o to

wszystko, Mio?

Znów po imieniu. Jeszcze chwila, a odsłoni się przed nim, powie mu, o czym naprawdę myśli. To była naprawdę dobra technika, musi ją zapamiętać.

– Jak już powiedziałam, to rutynowa procedura. – Mia upiła kolejny łyk wody. – W czym teraz występujesz?

– Co? A, tak. W Hamlecie. Na razie mamy próby. Gram jeszcze w spektaklu dla dzieci i próbuję swoich sił w niezwykle ekscytującym projekcie. Młoda norweska dramaturg, zaledwie dwadzieścia dwa lata, bardzo utalentowana. Zebraliśmy się, żeby jej pomóc, trochę pro bono, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Szczery przekaz, podziemie, wprost z ulicy.

– Rozumiem. – Mia skinęła głową. – Dokąd trafiała jej poczta?

– Czyja?

– Veroniki Bache.

– Jej poczta? Dlaczego pytasz?

– Chodzi mi o to, czy jej poczta przychodziła do domu opieki czy do ciebie?

Benjamin Bache sprawiał wrażenie skonsternowanego.

– Cóż, większość listów szła do domu opieki. Jakie listy masz na myśli? Niektóre przychodziły do mnie, ale albo odsyłałem je do domu opieki, albo zabierałem ze sobą, kiedy jechałem do niej w odwiedziny. O jakich listach mówisz?

Mia wyciągnęła z kieszeni kurtki kartkę i przesunęła ją po białym obrusie.

– Czy to był jej numer telefonu?

Benjamin spojrzał na kartkę. Wydawał się jeszcze bardziej skonsternowany, o ile było to w ogóle możliwe.

– Teraz już kompletnie nic nie rozumiem.

– Ten numer? Należał do niej?

– Moja prababcia nie miała telefonu komórkowego – powiedział Benjamin. – Nie znosiła telefonów. Zresztą po co byłaby jej komórka? Wszyscy mieli tam przecież prywatną linię.

Mia zabrała kartkę i schowała ją do kieszeni.

– Dziękuję – powiedziała, wstając od stolika. – To wszystko, co chciałam wiedzieć. Cieszę się, że znalazłeś dla mnie czas.

– To wszystko? – zapytał Benjamin Bache. Był niemal rozczarowany.

– Tak. Albo nie. Jeszcze jedna rzecz – powiedziała Mia i usiadła. – Komu twoja prababka przepisała swój majątek?

– Mojemu ojcu – powiedział Benjamin.

– I nie było nigdy mowy o tym, że... Jak by to ująć...? Nie przekazała części swojego majątku żadnej wspólnocie?

Benjamin Bache nie odpowiedział. Włożył do ust wykałaczkę i zaczął wyglądać przez okno.

– Muszę odpowiadać na to pytanie? – powiedział wreszcie.

– Oczywiście, że nie musisz – powiedziała Mia, kładąc mu rękę na dłoni. – Po prostu zajmuję się pewną poważną sprawą, jej imię pojawiło się w związku z nią. Nie powinnam raczej tego mówić, Benjamin, ale – pochyliła się ku niemu – jesteśmy blisko przełomu.

A gdybyś mógł mi pomóc, być może uda mi się rozwiązać ją do wieczora.

– Grubsza sprawa?

Benjamin lekko pochylił się w jej stronę i coś szepnął.

Mia kiwnęła głową i położyła palec na ustach. Benjamin skinął w odpowiedzi. Wyprostował się jak gdyby nigdy nic. Znakomite aktorstwo.

– To zostanie między nami, prawda? – powiedział, oglądając się przez ramię.

– Oczywiście – szepnęła Mia.

Benjamin odkaszlnął.

– Mój ojciec jest bardzo dumnym człowiekiem, więc gdyby to się wydało...

– To zostanie między tobą a mną. – Mia mrugnęła.

– Podpisaliśmy ugode – powiedział szybko Benjamin.

– Jaką ugode?

– Zmieniła testament, tuż przed śmiercią.

– Ile miała odziedziczyć wspólnota?

– Wszystko – odparł Benjamin.

– Ale udało wam się ją powstrzymać?

Skinął głową.

– Ojciec odwiedził tę wspólnotę. Zagroził procesem. Zaproponował pewną sumę. I na tym stanęło.

– Jak dużą?

– Wystarczająco – powiedział Benjamin przez zaciśnięte zęby.

Mia przyjrzała się badawczo młodemu aktorowi. Wydawał się szczerzy i niewinny, ale bądź co bądź był aktorem. Miał dostęp do telefonu Veroniki Bache. I czy nie powiedział właśnie, że ćwiczy do Hamleta?

„Who’s there?”

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zabrać go do komisariatu na dokładniejsze przesłuchanie, ale uznała, że lepiej będzie wysłać za nim ogon. Szybko dowiedzą się, czy Benjamin Bache rzeczywiście był tym, za kogo próbował uchodzić.

– Dziękuję ci. – Mia znów chwyciła jego rękę. – Bardzo nam pomogłeś.

Wstała i zapięła zamek błyskawiczny skórzanej kurtki.

– To już wszystko? Nie masz ochoty nic zjeść?

– Nie, dziękuję. Do zobaczenia, Benjamin.

– Do zobaczenia, Mia. Do zobaczenia.

Założyła czapkę i z uśmiechem wyszła z Theatercaféen.

Tobias Iversen podczołgał się na skraj niewielkiego wzniesienia. Robił co tylko mógł, żeby być jak najmniej widocznym. Z góry miał dobrą perspektywę na gospodarstwo w lesie. Nieco głębiej, pomiędzy drzewami, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć, rozbił namiot i w nim przenocował. Zastanawiał się już, czy nie wrócić do domu, ale po tym, jak spotkał dziewczynkę w szarej sukience, po prostu m u s i a ł tu zostać. Rakel. Tak miała na imię. Napisała do niego kartkę, prosząc go o pomoc. Jego obecność w lesie była teraz ważniejsza niż powrót do tego ciemnego domu, w którym nikt nigdy się nie uśmiechał. Tobias miał dopiero trzynaście lat, ale w głębi duszy czuł się dużo starszy. Był starszy już od dawna. Doświadczył rzeczy, których dzieci nie powinny doświadczać. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Tu, w lesie, sam był sobie panem.

Tobias zbliżył się do krawędzi wzniesienia i przyłożył lornetkę do oczu. W gospodarstwie w dole panowała cisza. Nie wiedział, która może być godzina, ale musiało być dość wcześnie, jeszcze nie całkiem się rozwidniło. Widział teraz znacznie więcej niż wczorajszego wieczoru. Nie było wątpliwości, że trwały tu intensywne prace budowlane. Wszędzie leżały porozrzucone materiały, różnej długości deski, worki, zapewne z cementem. Stały tam też betoniarka, mały ciągnik i nieduża koparka. Tobias naliczył w sumie siedem budynków, wszystkie pomalowane na biało. Budynek główny – niewielki kościół z krzyżem na wieżyczce, dwa oszklone, najprawdopodobniej szklarnie, trzy mniejsze i niewielka szopa. Wczorajszego wieczoru Tobias leżał w tym samym miejscu, aż zrobiło się zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć przez lornetkę. Narysował mały plan okolicy, na którym zaznaczył budynki, pola, pryzmy piasku, a także większe sterty desek i bramę. Cały teren otaczało wysokie ogrodzenie, przez które przekazywali sobie z Rakel kartki. Na tyle, na ile zdążył się zorientować, istniało tam tylko jedno wejście – brama. Nie wiedział, czy była zamknięta na klucz, widział tylko, że ją domknęto. Poprzedniego wieczoru zauważył, jak otwiera ją jakiś mężczyzna. Tuż przed nastaniem zmroku przyjechał duży czarny samochód, land rover albo honda CR-V. Tobias znał się trochę na samochodach. Nie interesował się nimi aż tak bardzo, ale co nieco o nich wiedział. Wolał motorowery, motocykle i wszystko, co miało koła crossowe i nadawało się do jazdy terenowej.

W samochodzie siedziało dwóch mężczyzn. Przywitano ich, jak gdyby byli królami, premierami albo kimś podobnym. Pierwszym z nich był młody mężczyzna o krótkich blond włosach. Był służącym, ochroniarzem albo kimś takim; wysiadł z samochodu pierwszy i otworzył drzwi drugiemu, starszemu mężczyźnie o włosach białych jak śnieg, trzymającemu w dłoni coś w rodzaju laski. Przypominał Gandalfa z Władcy Pierścieni.

Wszyscy wyszli ze swoich domów i ukłonili się nowo przybyłym. Kilku mężczyzn podeszło i przywitało się z tym z długimi białymi włosami. Po chwili wszyscy przeszli do dużego budynku z krzyżem na dachu. Ściemniło się i nie widział już dokładnie. W oknach

domów w dole świeciły się światła, ale przesłaniało je jakieś dziwne szkło, przez które nic nie było widać. Tobias nie wiedział, co to jest. Zjadł kanapki i w namiocie podgrzał trochę zupy na kuchence. Był bardzo ostrożny, wiedział, że właściwie nie powinno się jej używać w ten sposób, ale nie chciał rozpalać jej na zewnątrz, żeby nie zdradzić swojego obozowiska. Widział kiedyś w telewizji, jak polarnik Børge Ousland rozpałił swoją kuchenkę turystyczną w ten sposób. Być może na zewnątrz było zbyt zimno albo obawiał się niedźwiedzi? A może powód był zupełnie inny?

Tobias nie mógł zasnąć. Wciąż myślał o tej dziewczynce. Rakel. Była zupełnie inna od wszystkich dziewczyn w jego klasie. Emilie, ich nauczycielka norweskiego, mówiła, że nie jest łatwo być dziewczyną w dzisiejszych czasach. Kiedyś na lekcji rozmawiali na temat skąpych strojów niektórych dziewczyn. Emilie poświęciła na to całą godzinę. Nie było norweskiego ani książek, rozmawiali tylko o krzykliwych makijażach, odsłoniętych brzuchach i zbyt krótkich sukienkach. Emilie powtarzała im, by pamiętały, że mają dopiero trzynaście lat, i mówiła, że im się nie dziwi, kiedy widzi wszystkie te śpiewające dziewczyny w telewizji, ubrane tylko w obcisłe szorty, stanik i siatkowe pończochy. Ustalili wtedy kilka zasad dotyczących tego, co było dopuszczalne, a co nie. Sytuacja trochę się poprawiła, ale i tak jego koleżanki ubierały się zupełnie inaczej niż Rakel.

POMÓŻ MI. PROSZĘ.

Wydawała się przestraszona. I to bardzo. To nie zabawa w Indian i w polowanie na bawoły z młodszym bratem. Bawołów nie było, Indian też nie. Ale to istniało naprawdę. Był Tobias i była Rakel. Ona naprawdę się bała, a on był tutaj, żeby jej pomóc. Tobias Iversen włożył do ust gałązkę i zaczął ją żuć. Przepatrywał lornetką okolicę, chcąc ustalić, czy nie przeoczył czegoś na planie, który sporządził poprzedniego wieczoru.

Skierował lornetkę na bramę i maksymalnie wyostrzył obraz. Zrobiono ją z tego samego materiału co ogrodzenie – siatki z drutu stalowego czy jak to się nazywało. Duże uchylne skrzydło, które otwierało się do środka. Na środku znajdował się łańcuch, prawdopodobnie był też zamek. Tobias odłożył lornetkę na ziemię i otworzył pojemnik z jedzeniem, który miał w kurtce. Zostały mu jeszcze dwie kanapki, zaoszczędzone poprzedniego wieczoru. Jedna z brązowym serem brunost, druga z salami. Zjadł tę z serem i popił ją wodą z butelki, którą napełnił po drodze w potoku. Musiał opracować plan, to było najważniejsze. Najpierw powinien zorientować się w okolicy. Widział coś takiego w jakimś filmie. Szajka rabusiów planowała napad na bank. Nie, na kasyno w Las Vegas. Mieli mnóstwo map i planów i spotykali się bez przerwy, żeby ustalić wszystkie szczegóły. Mapę miał. Potrzebował tylko planu.

Tobias zamierzał właśnie zabrać się do kanapki z salami, kiedy w dole zauważył ruch. Chwycił lornetkę. Jedne z drzwi otworzyły się gwałtownie i wybiegła z nich jakaś postać. Dziewczynka w szarej sukience. Serce podskoczyło mu do gardła. T o b y ł a R a k e l. Biegła najszybciej jak potrafiła w stronę ogrodzenia, do miejsca, w którym rozmawiali ze sobą dzień wcześniej. Nogi plątały jej się w fałdach sukienki. Przewracała się co chwilę, ale natychmiast się podrywała i biegła dalej. Uniosła sukienkę, by biec szybciej, ale niewiele to pomogło. Z tych samych drzwi wybiegło za nią czterech, nie – pięciu mężczyzn. Tobias czuł, jak serce wali mu w piersi i drżą mu ręce. Rakel obejrzała się za siebie i znów upadła. Mężczyźni się zbliżali, byli już blisko, Tobias widział, jak wymachują

rękami, słyszał krzyki. Rakel była coraz bliżej ogrodzenia i nagle stanęła pod nim. Podskoczyła i zaczęła się wspinać, ale to nie było takie proste. Otwory w siatce były małe, a ciężka sukienka nie ułatwiała jej sprawy. Mężczyźni zbliżali się błyskawicznie. Jeden z nich dopadł ogrodzenia, chwycił dziewczynkę za stopę, a potem wierzgającą i wrzeszczącą ściągnął na dół. Mężczyźni wzięli ją między siebie i zanieśli z powrotem do domu. Po chwili zapanowała cisza.

Tobias poczuł nagle, że jest mu zimno. Nie na zewnątrz, ale w środku, pod skórą. Myśli galopowały mu w głowie, a on oddychał ciężko, choć leżał przecież w całkowitym bezruchu. Co u licha? Co tam się wydarzyło? Poderwał się. Nie ma czasu na obmyślanie planu. Pobiegł do namiotu, chwycił nóż i mapę i zaczął przekradać się do gospodarstwa.

Mia siedziała w Justisen. Miała wielką ochotę na piwo, ale zamiast tego zamówiła wodę mineralną. Kilka minut później pojawił się zasapany Holger. Opadł ciężko na krzesło przed nią.

– Co się stało? – zapytała Mia.

– Sprawca skontaktował się z „Aftenposten” kilka dni temu. Zadzwoił do jednego z dziennikarzy, niejakiego Mikkela Wolda. Zniekształcony głos. Przekazał informacje o Karoline.

– Dlaczego nie przyszli z tym do nas?

– Bo są bandą egoistycznych idiotów, którym chodzi tylko o nakład i sprzedaż.

Munch był wyraźnie poirytowany.

– I co z tym zrobimy?

– Nie wiem – mruknął. – Adwokat jasno dał mi do zrozumienia, że nie złamali prawa i nie możemy im nic zrobić.

– Ale przecież musimy ich tu ściągnąć, do jasnej cholery!

– Mikkelson powiedział, że zastanowi się nad tym, ale uważa, że wystarczy przesłuchanie, które już przeprowadziłem.

– Jak to możliwe?

– Pieprzony polityk – warknął Munch. – Zajęty tylko kryciem własnego tyłka i swoją karierą.

Zamówił kanapkę z krabami i colę i zdjął kurtkę.

– A więc co masz?

– Ustną relację. Dziś wyślą ją na piśmie.

– Coś interesującego?

– Nic, co mogłoby się nam przydać. – Zrezygnowany Munch pokręcił głową. – A jak poszło z Bache?

– Strzał w dziesiątkę – powiedziała Mia.

– Co masz na myśli?

– Myślę, że jesteś w to zamieszany.

Munch spojrzał na nią z zaciekawionym.

– Mówiłaś to już. Jak mam to właściwie rozumieć?

– Wydaje mi się, że to wszystko ma coś wspólnego z tobą.

Kelnerka przyniosła zamówienie Muncha. Holger upił łyk coli.

– Trudno mi to wytłumaczyć, powiedziałam już, że to tylko przecucie – mówiła dalej Mia.

– Daj mi szansę – powiedział Munch.

– OK – powiedziała Mia. – Morderca wskazuje na Hønefoss i na dziecko, które wtedy zniknęło. Kto prowadził tamtą sprawę?

– Ja – odpowiedział Munch.  
– Właśnie. Hamlet – powiedziała Mia. – O czym jest Hamlet?  
– O prawdziwej miłości?  
– To Romeo i Julia. Holger, nie wygłupiaj się. Hamlet?  
– To ty studiowałaś literaturoznawstwo, Mio.  
– Trzy wykłady w ciągu dwóch semestrów trudno nazwać studium – mruknęła Mia.

– Nie jestem wielbicielem Szekspira – westchnął Munch.  
– OK, nieważne. Zemsta. W Hamlecie chodzi o zemstę. Oczywiście o kilka innych rzeczy też, ale głównym motywem jest zemsta.

– Dobrze. Niemowlę znika. Ja prowadzę dochodzenie. Szwed się wiesza. Zamykamy sprawę. Dziecko się nie odnajduje. Przypuszczalnie nie żyje. Teraz morderca mówi nam, że to nie był ten Szwed.

– Rikke JW.

– Owszem. I odsyła nas do Hamleta. Czy to akt zemsty?

– Coś w tym rodzaju.

– Ale jak? OK, na razie nadażam. Dziecka nie ma. Świetnie. Ja ponoszę za to odpowiedzialność. Świetnie. Hamlet, zemsta, znakomicie. Ale po co zabijać dziesięć dziewczynek? Co to ma wspólnego ze mną? Nie masz wrażenia, że to trochę naciągane, Mio?

Mia wzięła łyk wody i przez chwilę się zastanawiała.

– Prababka Benjamin Bache.

– Veronica Bache. Co z nią?

– Mieszkała w tym samym domu opieki co twoja matka. Co o tym sądzisz?

Munch otworzył szeroko oczy.

– Naprawdę? Skąd to wiesz?

– Dowiedziałam się o tym wczoraj. Ludvig sprawdza teraz wszystkich pracowników, mieszkańców, wszystkie nazwiska związane z domem opieki pod kątem sprawy z Hønefoss. Nie sądzę, żeby to Benjamin Bache był naszym sprawcą, ale musimy przecież mieć na uwadze, że starego telefonu Veroniki Bache używano do wysyłania wiadomości. Przez kogoś z domu opieki? Czy ktoś wodzi nas za nos? Przyznaję, że akurat tutaj nie mam pewności. Poprosiłam Ludviga, żeby trochę się rozejrzył, może uda mu się coś znaleźć.

– I?

– Jak dotąd nic. Ale dom opieki to nie jedyne, co łączyło twoją matkę i Veronicę Bache.

– Co jeszcze?

– Wspólnota.

– Bache też do niej należała?

– Nie tylko należała. Zamierzała przepisać na nią cały rodzinny majątek.

– Co?

– Rozumiesz teraz? Rozumiesz, co miałam na myśli?

– Dobra robota, Mio – powiedział Munch. Zatopił się w myślach. Analizował to, co przed chwilą powiedziała mu Mia.

– Zadaję sobie tylko pytanie dlaczego?



- Tak, dlaczego?
- Tego nie wiem, ale chyba jest jeszcze za wcześnie, prawda? Jaki jest tu wspólny mianownik, Munch?
- Wspólnota.
- Właśnie.
- Ale... – zaczął Munch.
- Wiem, ja też tego nie rozumiem. Straszny galimatias. Dochodzę do wniosku, że sprawcy chodzi o to, żebyśmy się pogubili. Milion ślepych zaułków. Głupio to zabrzmiało, ale zrobił to naprawdę dobrze. Sprawca. Sama zrobiłabym to tak samo.
- Munch spojrzał na nią pytająco.
- Wiesz, co mam na myśli. Gdybym była po tamtej stronie. Wszędzie jakieś symbole, zmiana sposobu działania. Biegamy po omacku, a sprawca posyła nas raz tu, raz tam. Tak się chyba gra w tenisa, prawda?
- Tenisa?
- W tenisie ten, kto zagrywa, ma zawsze przewagę. Dopóki naciskasz swojego przeciwnika tak mocno, że może tylko odbić piłkę, to ty nadajesz ton grze. Jeśli nie popełnisz błędu, wygrasz.
- A więc morderca zagrywa?
- Tak.
- Nie wiem, czy rozumiem to porównanie – westchnął Munch. – Tenis i morderstwo?
- Doskonale rozumiesz, tylko jak zwykle nie chcesz przyznać mi racji. Do wszystkiego chcesz dojść sam.
- Tak, w sumie trochę tak jest. – Munch mrugnął, zjadł ostatni kęs swojej kanapki z krabem i serwetką starł majonez z brody. – Muszę zapalić.
- Chyba też powinnam zacząć – westchnęła Mia. – To cholernie irytujące ciągle biegać za twoim głodem nikotynowym.
- Sorry – powiedział Munch, choć wcale nie było mu przykro. Wyszedł na podwórko na tyłach kawiarni.
- Zdaję sobie sprawę, że to tylko takie moje rozważania – powiedziała Mia, kiedy stanęli pod promiennikiem. – Ale, do diabła, coś musimy zrobić.
- Dobrze byłoby zagrać partyjkę tenisa. – Munch puścił do niej oko.
- Przestań sobie ze mnie kpić – uśmiechnęła się Mia. – W porządku, żadnych sportowych analogii więcej. Ale rozumiesz, co mam na myśli.
- Chaos.
- Właśnie.
- Chaos. Oddaje to wszystko lepiej niż tenis.
- Dobrze, dobrze – powiedziała Mia. – Niech będzie chaos.
- Pomiędzy chaosem a tenisem jest duża różnica. W tenisie chodzi o precyzję.
- A tu tak nie jest?
- Munch zapalił papierosa.
- Hm... Jak dotąd tak.
- A widzisz? A więc mam trochę racji?
- Chaos jest lepszy.

– O Boże, zachowujesz się jak dziecko.  
– Jak obrabować bank, nie zwracając przy tym uwagi?  
– Wiem, wiem, wysadzić w powietrze budynek po drugiej stronie ulicy – westchnęła Mia.

– Sorry. – Munch uśmiechnął się i potarł oczy. – To był długi tydzień. Cholernie wkurzyłem się na tego adwokata. Diabli mnie biorą. Ludzie powinni brać odpowiedzialność za to, co robią. I co my mamy teraz z tym wszystkim począć?

– O to samo miałam cię zapytać.

– Ta wspólnota?

– Rozumie się samo przez się.

– Jedziemy razem? Jutro rano?

– Oczywiście.

– Gabriel jest w biurze?

– Tak sędzę.

– Wyślij mu wiadomość. Poproś go, żeby sprawdził tę szajkę, może znajdziemy coś, co pozwoli nam ruszyć z miejsca. Nie pamiętam, jak się nazywają, ale wydaje mi się, że mają siedzibę przy Bogerudveien, w Bøler.

– OK – stwierdziła Mia i wyciągnęła telefon.

– Jeszcze jedno – powiedział Munch, zapalając papierosa od poprzedniego. – Co powiedziałaś przed chwilą?

– Tenis?

– Tak, jeśli serwujesz, wygrywasz.

– O ile nie popełnisz błędu...

W milczeniu spojrzeli na siebie.

– To ciekawa myśl, nie sądzisz? – powiedział Munch.

– Pewnie. – Mia skinęła głową.

– Przycisnąć ich – powiedział Munch.

– Zobaczymy, czy coś wymyślę – kiwnęła głową Mia.

– Zrób to. A ja przyjrę się, kim są te cholerne świry, które tak bardzo chcą moich pieniędzy.

Munch wstał.

– Idziesz już?

– Dziś wieczorem zajmuję się Marion. Ślub, rozumiesz. Mają dużo do załatwienia.

– Jasne – skinęła głową Mia. – Pozdrów Miriam.

– Pozdrowię.

Munch zgniótł niedopałek i wyszedł. Mia znów nabrała ochoty na piwo, ale zamiast tego po raz kolejny zamówiła wodę mineralną. Wyciągnęła długopis i swoje kartki i rozłożyła je przed sobą na stole. Zawsze tak robiła, gdy chciała uporządkować myśli. Kiedyś widziała wszystko o wiele jaśniej, o wiele szybciej. W swoich najlepszych latach wystarczyło, że zamknęła oczy, a wszystko wyświetlało się jej w głowie. Ale to było dawno. Wydarzenia nad Tryvann. Miesiące na Hitrze. To tak, jak gdyby siatkówki jej oczu przykryła jakaś zasłona. Jak gdyby komórki jej mózgu spowiła mgła. Usłyszała, że potrzebuje odpoczynku. Długiego odpoczynku. I że nie wolno jej narażać się na

jakikolwiek stres. Tymczasem ona się znieczuliła. Niemal na śmierć. A teraz płaciła za to cenę. Zaczęła pisać na rozłożonych kartkach, próbowała zmusić długopis do pracy. Wprowadzić do tego szaleństwa jakiś ład. Myślenie sprawiało jej niemal ból. Dwie dziewczynki nie żyły, dwie zaginęły. I to ona ponosiła za to odpowiedzialność. Munch. To bez wątpienia musiało mieć coś wspólnego z Munchem. Była o tym przekonana. Była? To, co jeszcze kilka lat temu przychodziło jej bez trudu, teraz sprawiało wrażenie kompletnie nieosiągalnego. Nie powinna była zgadzać się na wyjazd z wyspy. Powinna była zrealizować swój plan.

„Chodź, Mio, chodź”.

Jeszcze raz wypisała imiona na górze kartki. Pauline. Johanne. Karoline. Andrea. Sześć lat. Jesienią miały pójść do szkoły. Ewangelia świętego Marka 10:14. „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie”. „Podróżuję sama”. Skakanka. Drzewa. Las. Świeże ubrania. Umyte ciała. Szekspir. Hamlet. Tornistry. Podręczniki. Coś zaczynało świtać. Rikke JW. Hønefoss. Dziecka nigdy nie odnaleziono. „Podróżuję sama”.

Chodź, Pauline, chodź.

Chodź, Johanne, chodź.

Chodź, Karoline, chodź.

Chodź, Andrea, chodź.

Drgnęła, kiedy kelnerka stanęła nagle obok niej. Cholera. A była już w drodze. Tam, gdzie powinna być. Tam, gdzie bardzo dawno już nie była.

– Podać coś jeszcze?

– Tak, poproszę piwo – mruknęła poirytowana Mia. – I ratzeputza. Albo dwa.

Potrzebowała wsparcia. Aby wrócić tam, gdzie było jej miejsce.

Mia Krüger była pijana, ale nie mogła zasnąć. Wypiła za dużo. Wypiła za mało. Pokój hotelowy wydawał się jeszcze zimniejszy i bardziej bezosobowy niż zwykle. Czysta pościel, która wcześniej była przyjaciółką, stała się wrogiem. Wybrała pokój w hotelu, ponieważ nie przypominał jej niczego, co знаła, ale teraz tęskniła za domem. Za prawdziwym domem. Za czymś znajomym. Za czymś bezpiecznym. Za czymś, gdzie mogłaby się skryć. Być może Mikkelson miał rację. Być może powinna wybrać się do psychologa. Być może powinna pójść do szpitala. Od długiego czasu balansowała na krawędzi. I choć początkowo dawała sobie radę, czuła się silna i nastawiona pozytywnie, teraz leciała spiralą w dół.

Przewracała się w dużym łóżku. Musi wziąć się w garść. Nie powinna pić. To jasne, że nie powinna. Nikt nie powinien. Ale była już na właściwej drodze. Była? Tam, gdzie bywała tak często. Do miejsca leżącego poza tym, co widoczne i oczywiste. Jej specjalność. Dostrzegać rzeczy, których nie widzą inni. Przestań wywierać na siebie presję. Odpocznij trochę. Wyjedź gdzieś. Zaszuj się na jakiejś wyspie. Odetnij się od świata. Zrobiłaś, co do ciebie należało. Nic z tego. Rzeczywistość musiała zapukać do jej drzwi. Zło musiało jej przeszkodzić. Samochody zastąpiły mewy. Światła ulicznych latarni zajęły miejsce gwiazd. Była wrażliwa jak otwarta rana. Jej skóra wydawała się prawie przezroczysta. Ona, taka twarda kobieta. Nie powinna pić. Absolutnie nie powinna pić. Nikt nie powinien pić.

Mia boso przeszła po podłodze i znalazła swoje spodnie na krześle. Tabletki wciąż były w kieszeni. Wzięła jedną, podeszła do okna i popiła ją łykiem wody. Usiadła i obserwowała uliczne sygnalizatory. Przyglądała się im do chwili, kiedy nie była już w stanie rozróżnić kolorów. Wśliznęła się do zimnego łóżka i położyła głowę na poduszce.

Już zasypiała, kiedy zadzwonił telefon. Robiła wszystko, żeby go zignorować. Musi odpocząć. Udawać, że nic się nie dzieje. Telefon przestał dzwonić. Nikt jej nie potrzebuje. Telefon zadzwonił ponownie. Telefon przestał dzwonić. Jej ciężkie jak ołów ciało leżało na białym prześcieradle. Kiedy telefon zadzwonił po raz trzeci, Mia nie potrafiła go zignorować.

– Mia?

Dzwonił Holger Munch.

– Która godzina? – wymamrotała Mia.

– Piąta – powiedział Munch.

– O co chodzi?

– Znaleźli dziewczynki.

– Co?

– Zabiorę cię spod hotelu. Będziesz gotowa za dziesięć minut? Mamy długą drogę do przejechania.

– Cholera. – Mia usłyszała swój własny głos. – Już idę.

Tobias Iversen leżał za drzewem i czekał, aż się ściemni. Dawno już zjadł ostatnią kanapkę i powoli zaczynał doskwierać mu głód, ale teraz nie mógł wracać do domu. Miał ważniejsze rzeczy do zrobienia. Początkowo zamierzał spróbować dostać się na teren gospodarstwa bramą, ale okazało się to niemożliwe. Była zamknięta łańcuchem, a do tego widoczna jak na dłoni. Grupa mężczyzn zaprowadziła Rakel do jednego z małych domków i od tamtej pory w gospodarstwie panowała zupełna cisza. Kilka razy widział ludzi wychodzących z kościoła i przechodzących do szklarni, ale poza nimi nikogo więcej. Okolica sprawiała wrażenie opuszczonej. Prawie jak cmentarz. Wiatr szumiał w koronach drzew nad jego głową. Tobias mocniej owinął się kurtką i wyciągnął lornetkę. Może jednak powinien wrócić do domu? Powiadomić policję? Ale przecież widział, jak tamci ją zabierali. Nie wolno tak robić. A może wolno? Przecież nie wyrządzili jej żadnej krzywdy, po prostu ją zabrali. Jak nieposłuszne dziecko, które nie chciało słuchać poleceń. Czy w takich przypadkach policjanci potrzebują nakazu rewizji? W amerykańskich filmach musieli go mieć. Bez niego nie mogli wejść do czyjegokolwiek domu ani tym bardziej go przeszukać. Tobias nie orientował się, jak to jest w Norwegii, ale pewnie wyglądało to podobnie. Nagle opuściła go cała odwaga. To wszystko zaczęło się jak zabawa. Chciał tylko trochę się rozejrzeć. Wybrać się na małą wyprawę. W swoich najśmielszych snach nie przypuszczał, że spotka kogoś, kto będzie potrzebować pomocy. Pomyślał o swoim młodszym bracie; na pewno wrócił już do domu i teraz zastanawiał się, gdzie jest Tobias. O matce i ojczymie, którzy nie mieli pojęcia, co mu odpowiedzieć. Zrobiło mu się dziwnie na myśl, że jego młodszy brat jest teraz w domu bez niego. Zaczął zastanawiać się nad powrotem. Nie znał przecież tej dziewczynki. Być może była po prostu niegrzeczna. Być może była jak Elin, dziewczynka, która w zeszłym roku chodziła do jego klasy. Elin włamała się do gabinetu dyrektora i ukradła pieniądze. A na przerwie ugryzła jednego z nauczycieli w rękę, kiedy ten na szkolnym boisku przyłapał ją na paleniu. Ona również wydawała się bardzo miła i taka wobec niego była, ale została wydalona ze szkoły i od tamtego czasu nikt jej nie widział. Tutaj mogło być podobnie. Być może wyobraźnia go trochę poniosła. Jego matka często powtarzała, że powinien przestać tyle fantazjować. To nic dobrego. Odpływać w marzenia to nic dobrego. Zrobiło się chłodniej. Niby już wiosna, ale trudno było ją poczuć, zwłaszcza wieczorami. Wyrzucał sobie, że nie zabrał ze sobą wszystkich swoich rzeczy. Namiot, śpiwór i plecak zostały na wzniesieniu, na którym nocował. Latarki też nie wziął. Ależ był głupi. „Gdzie ty masz głowę? – pytała często jego matka. – Coś tam w ogóle jest?” Poczł lekkie ukłucie wstydu. Wkrótce będzie zbyt ciemno, żeby pójść po rzeczy. Zbyt ciemno, żeby znaleźć drogę powrotną wśród drzew. Jeśli pójdzie teraz, zdąży. Przynajmniej przyniesie rzeczy. Drogę do domu znajdzie, jeśli tylko będzie mieć ze sobą latarkę. Tak będzie najlepiej. Przynieść rzeczy. Wrócić do domu. Do młodszego brata. Tobias wstał i rozejrzył się ze swojej kryjówki. Nagle zobaczył, jak

otwierają się jedne z drzwi. Wewnątrz coś się działo. Przyłożył lornetkę do oczu i znieruchomiał. Dwóch mężczyzn wyszło z domu, prowadząc kogoś pomiędzy sobą. Rakel. To była ona. Miała coś na głowie. Zarzucili jej na głowę kaptur. Mężczyźni trzymali ją pod ramiona i wręcz za sobą wlekli. Na chwilę zniknęli za kościołem i pojawili się trochę dalej. Tobiasz czuł, jak serce wali mu w piersi. Ledwie wierzył własnym oczom. To wyglądało jak w jakimś filmie. Schwytali ją. Związali jej ręce z przodu, a na głowę narzucili kaptur. Mężczyźni, ciągnąc Rakel między sobą, zmierzali w kierunku miejsca, w którym się ukrywał. Minęli ciągnik, niedużą szopę, przeszli przez pole i... Co oni robili? Tobiasz zebrał się na odwagę i zbliżył do ogrodzenia. Mężczyźni się zatrzymali. Jeden z nich się schylił. Tobiasz nie widział, co robi. I nagle już jej nie było. Zniknęła. Byli tylko dwaj wracający do domu mężczyźni.

Tobiasz błyskawicznie podjął decyzję. Początkowo zamierzał tu wrócić, kiedy zrobi się już ciemno, ale teraz nie miał czasu do stracenia. Przemknął się do ogrodzenia i zaczął się wspinać. Nikt nie miał prawa robić komukolwiek czegoś takiego. Nieważne, czego się dopuściła. Żaden z dorosłych nie powinien tak postępować. Czuł, że wraca mu odwaga. Był zły. Chwycił siatkę i mocno zaczepił palce. Czubkami butów udało mu się znaleźć oparcie i zanim się obejrzał, był już po drugiej stronie wysokiego ogrodzenia, w gospodarstwie. Usiadł na chwilę, żeby odetchnąć i się rozejrzeć. Znowu panowała cisza. Ziemia pod nim była chłodna i wilgotna. Gdzie ona się podziała? Wlekli ją ze sobą aż na środek placu i tam nagle zniknęła. Tobiasz powinien się bać, ale nie czuł strachu. Zamiast tego wypełniał go gniew – na wszystkich dorosłych, którzy podnosili ręce na dzieci. Dzieci powinny być wolne. Bawić się. Czuć się bezpiecznie. A nie stać w kuchni ze spuszczoną głową. Boli, kiedy się słyszy, że jest się głupim. Boli, kiedy ktoś mocno ściska za ramiona. Boli, kiedy nie można nic odpowiedzieć, bo nie wiadomo, czy jeśli powie się coś złego, nie zemści się to na młodszym bracie. Tobiasz się pochylił i zaczął się skradać w kierunku placu. To tam, jakieś sto metrów od niego, pochylił się jeden z mężczyzn. Potem Rakel zniknęła. Dlaczego rodzice decydują się mieć dzieci, skoro nie potrafią być dla nich dobrzy? Pewnego dnia, po lekcji norweskiego, Emilie zapytała go, skąd wzięły się te dziwne ślady na jego szyi. Dlaczego ma siniaki na ramionach. „Mnie możesz powiedzieć”. Była bardzo miła, głaskała go po ramieniu. „Możesz mi powiedzieć, tu nic ci nie grozi”. Ale nic jej nie powiedział. To nie była jej wina. Chciała mu tylko pomóc. Ale co mogła wiedzieć o tym, jak to jest? Czy będzie w jego domu, kiedy wróci? Kiedy tamci dowiedzą się, że się poskarżył? O nie, będzie jeszcze gorzej. Wszystko będzie gorzej, doskonale wiedział, co będzie. Trzeba wytrzymać. Znieść to wszystko. Zrobić wszystko, żeby młodsi brat był traktowany inaczej. Brać reprimendy na siebie. „Coś tam w ogóle jest? Jak można być tak tępym?”

Tobiasz skulił się w wilgotnej trawie, starając się jak najmniej rzucać w oczy. Był mokry do kolan, ale to nie miało teraz znaczenia. Umiał wiele znieść. Był silny. Trzeba tylko zacisnąć zęby. Nie odpowiadać, bo wtedy będzie jeszcze gorzej. Pochylić głowę. Potakiwać. Nie bał się. Już nie. Zarzucili jej kaptur na głowę. Tak nie wolno. Dorosłym nie wolno tak postępować z dziećmi. Ostrożnie przemykał się naprzód. Zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy nie otwierają się żadne drzwi i czy nikt go nie zauważył. Jeszcze tylko pięć lat i będzie dorosły. Kiedy ma się osiemnaście lat, można

samemu o sobie decydować. Będzie mógł się wyprowadzić, znaleźć sobie pracę, być może zabierze ze sobą młodszego brata, choć ten będzie miał wtedy dopiero dwanaście lat. „Czy w domu wszystko w porządku, Tobias? Czy możesz powiedzieć matce, żeby przyszła na wywiadówkę? Chciałabym z nią porozmawiać. Dawno nie była na żadnej wywiadówce. Zależy mi, żeby przyszła, możesz jej to przekazać? Skaleczyłeś się w rękę? Co ci się stało w ucho? Czy mogłabym ci jakoś pomóc, Tobias? Możesz mi zaufać, wiesz o tym, prawda?”

Tobias dotarł do miejsca, w którym zniknęła Rakeł. Było już ciemno. Kościół dźwigał się ku niebu, wyciągał swoją wieżyczkę w stronę księżyca i chmur. Prawie jak w jakimś starym horrorze. O Frankensteinie, Drakuli albo o kimś podobnym. Właściwie powinien się bać, ale nie odczuwał strachu. Był zły. Widział jej oczy pod białym czepkiem. Były dorosłe, choć to jeszcze dziecko. Nie wolno robić czegoś takiego dzieciom. Tobias znów pożałował, że nie zabrał ze sobą latarki. Niemal nie widział niczego na ziemi przed sobą. Wprawdzie księżyc dawał mu trochę światła, ale za każdym razem wychodził zza chmur tylko na kilka sekund. Tobias nie był głupi. Nie mogła tak po prostu zniknąć. Gdzieś tu w ziemi musiała być jakaś dziura. Pokrywa. Albo coś podobnego. Jaki dorosły wrzuca dziecko do dziury w ziemi?

Tobias przykłęknął i zaczął obmacywać ziemię wokół siebie. Nagle w kościele rozbłysło światło. Zareagował instynktownie. Rzucił się na wilgotną ziemię i znieruchomiał. Czuł zapach ziemi i trawy. Leżał tak przez chwilę, ale nikt nie wyszedł. Zebrał się w sobie, podniósł się i przykucnął. Światło padające z okien kościoła sprawiało, że lepiej widział. Pokrywa w ziemi. Tego szukał. Nikt tak po prostu nie zniknął.

Wkrótce ją znalazł. Była świeża i nowa, zbita z jasnych desek. Mierzyła mniej więcej metr na metr, niewielki włącz wprost w ziemi. Zamknięta na kłódkę. Niedużą, pozłacaną, taką, na jaką nauczyciel wychowania fizycznego zamykał swoją szafę, żeby nikt bez pozwolenia nie mógł wziąć stamtąd piłki do gry w nogę. Rozejrzał się. W pobliżu nie było nikogo. Z kościoła dochodziły głosy, w środku ktoś śpiewał. Byli zajęci czymś innym. Śpiewaniem. Ku chwale Boga czy kogoś jeszcze innego. Nie wiedzieli, że tu jest. Że jest tu ktoś, kto chce pomóc Rakeł. Otworzyć kłódkę wytrychem. Uwolnić dziewczynkę. Tobias uśmiechnął się do siebie w duchu. Nauczyciel nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego piłki ciągle znikają z szafy. Nie miał pojęcia, jak łatwo otwiera się kłódkę wytrychem. Tobias robił to wiele razy. Prawie wszyscy chłopcy w klasie to potrafili. To było jeszcze łatwiejsze, niż dostać jedynkę z klasówki. Robili wytrychy na zajęciach technicznych, kiedy nauczyciel wychodził na papierosa. Wszystko, co było potrzebne, to kawałek metalu. Dobrze nadawał się do tego pilniczek do paznokci, jakiego używały dziewczyny. Należało tylko odciąć końcówkę nożycami do metalu i obrobić ją tak, żeby była jak najcieńsza. Oczywiście istniał pewien haczyk, sztuczka, której należało się od kogoś nauczyć, ale po pierwszym razie wszystko było już proste. Tobias wyciągnął z kieszeni kurtki pęk kluczy i znalazł wytrych. Chwycił kłódkę tak, że otwór zamka był skierowany w prawo. Wetknął wytrych do zamka i mocno przekręcił końcówkę w lewo, aż poczuł, że opiera się o metal w środku. Potem przyciągnął zamek do siebie, nacisnął i mocno przekręcił wytrych w prawo. Usłyszał ciche szczęknięcie, kłódkę była otwarta. Zdjął ją i uniósł ciężką pokrywą. Drabina. Długa drabina schodząca w głąb otworu. Ostrożnie wsunął głowę i szepnął:



– Rakel? Jesteś tu?

Gdy Mia wyszła, Munch czekał już na nią pod hotelem. Wsiadła do czarnego audi, próbując się rozbudzić. Tabletkę, którą wzięła, wciąż działała, Mia czuła się otępiała i senna. Munch też nie wyglądał na wypoczętego. Nosił to samo ubranie co poprzedniego wieczoru. Brązową sztruksową kurtkę ze skórzanymi patkami na ramionach i poplamioną koszulę. Miał worki pod oczami, a czoło przecinały mu głębokie zmarszczki. Mii zrobiło się go trochę żal. Naprawdę potrzebował kogoś w swoim życiu. Kobiety. Kogoś, kto dbałby o niego tak samo, jak on troszczył się o wszystkich wokół.

– Co mamy? – spytała Mia.

– Fort Isegran.

– Gdzie to jest?

– Fredrikstad.

Mia była zaskoczona. Dwie pierwsze dziewczynki zostały znalezione w pobliżu Oslo, w lesie. Sprawca znów zmienił modus operandi.

– Kto je znalazł?

– Dwoje maturzystów – westchnął Munch. – Teren jest zamknięty, ale oni wśliznęli się tam na małe bara bara. Albo cholera wie po co.

– Mamy tam kogoś?

– Miejscowa policja. Curry i Anette są w drodze, powinni niedługo dojechać.

Mia spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. 5:15. Wciąż było ciemno.

– Co mamy?

– Obie dziewczynki leżały na ziemi. A pomiędzy nimi strzała.

– Strzała?

Munch pokiwał głową.

– Jaka strzała?

– Drewniana. Z nabitym na nią świńskim łbem.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałem. Dziewczynki leżały na trawie, a między nimi leżała strzała z nabitym łbem świni.

– Prawdziwym?

Munch znów pokiwał głową.

– Boże jedyny – westchnęła Mia.

– Jak myślisz, co to oznacza?

Munch włączył ogrzewanie w samochodzie. Wjechali do tunelu przy Rådhusplassen i ruszyli w stronę wyjazdu z miasta.

– Świński łeb na strzale?

– Tak.

– Trudno powiedzieć – odparła Mia. Ciepło w samochodzie zaczęło ją usypiać. Miała

ochotę na poranną kawę, ale nie chciała prosić Muncha o postój.

– Coś to przecież musi oznaczać?

– Władca much – powiedziała Mia cicho.

– Co?

– To z książki. Władca much. Kilku chłopców ląduje na bezludnej wyspie, nie ma z nimi żadnego dorosłego. Wierzą, że mieszka tam potwór. Nabijają świński łeb na kij jako coś w rodzaju ofiary.

– O Boże – westchnął Munch. – Tym potworem mamy być my?

– Nie da się tego wykluczyć.

– W środku jest paczka pastylek odświeżających. – Munch wskazał na schowek.

– I?

– Weź jedną – powiedział Munch. Mia poczuła irytację, ale trwało to tylko chwilę. Otworzyła schowek i wyjęła paczkę pastylek. Wyciągnęła dwie i schowała paczkę do kieszeni kurtki.

– Dlaczego, do diabła, Fredrikstad? – mruknął Munch. – To się w ogóle nie zgadza. I jeszcze tak na widoku?

– Jesteśmy zbyt wolni – powiedziała Mia, wyciągając telefon.

– Co masz na myśli?

– Sprawca chce pokazać, że jesteśmy kiepscy w tym, co robimy.

– O Boże... – westchnął Munch.

Mia odszukała Gabriela Mørka na liście kontaktów w telefonie.

– Gabriel.

– Cześć, tu Mia. Jesteś w biurze?

– Owszem – westchnął Gabriel po drugiej stronie.

– Spróbowałbyś znaleźć coś na temat fortu Isegran we Fredrikstad?

– Teraz?

– Tak. Jesteśmy z Munchem w drodze. Znaleźli dziewczynki.

– Słyszałem.

Zapadła cisza. Mia słyszała, jak Gabriel stuka palcami w klawiaturę.

– Masz coś?

– A czego konkretnie szukam?

– Wszystkiego.

– Popatrzmy. – Chłopak stłumił ziewnięcie. – Fort Isegran. Zbudowany na niewielkiej wyspie we Fredrikstad. Leży w rozwidleniu Glommy. Wzniesiony pod koniec trzynastego wieku przez jarla Borgsyssel, o ile ktoś wie, co to znaczy. Jako budulec posłużyły drewno i kamienie. W roku tysiąc dwieście osiemdziesiątym siódmym zniszczony przez jakiegoś króla. Nowa twierdza została zbudowana w siedemnastym wieku. Peter Wessel Tordenskiold wykorzystywał to miejsce jako swoją bazę w czasie wielkiej wojny północnej. Nazwa Isegran oznacza... Tutaj naukowcy nie są zgodni, ale może pochodzić od francuskiego île grand, wielka wyspa. Pomogłem w czymś?

– Właściwie nie za bardzo – powiedziała Mia. – Jest coś jeszcze? Z czasów współczesnych? Do czego służy dzisiaj?

– Poczekaj chwilę.

Mia oparła telefon na ramieniu i włożyła do ust pastylkę. W gardle wciąż czuła smak wódki.

– Nie ma tego za dużo. Zdjęcia ślubne. Wycieczki emerytów.

– To wszystko?

– Tak. Chwila, jest coś jeszcze.

Znów cisza.

– Co masz?

– Nie wiem, czy to ważne, ale w dwa tysiące trzynastym roku postawiono tam pomnik. Nie w samym forcie, ale na nadbrzeżnej promenadzie naprzeciwko.

– Jaki pomnik?

– Nazywa się Matka Muncha. Odlane z brązu postaci matki i ciotki Edvarda Muncha.

– Oczywiście – mruknęła Mia.

– Pomogłem w czymś?

– Nawet nie wiesz jak, Gabriel. Wielkie dzięki.

Już miała się rozłączyć, kiedy Gabriel ją zatrzymał.

– Jest tam Munch?

– Tak, bo co?

– W jakim jest nastroju?

– Znośnym. Dlaczego pytasz?

– Mogę z nim porozmawiać?

– OK.

Mia podała telefon Munchowi.

– Słucham, Munch.

Matka Muncha. A więc jednak miała rację.

– Tak, rozumiem – powiedział Munch do telefonu. – Ale nie stresuj się tym. Tak jak mówiłem, to sprawa prywatna, mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Co? Tak, można zwariować od tego wszystkiego. Co? Tak, dostałem to od internetowej znajomej. Ze Szwecji. Co? Nazywa się margrete\_08. Ale bez pośpiechu. Tak, jasne, rozumiem. Pogadamy później.

Munch się uśmiechnął i oddał telefon Mii.

– O co chodzi?

– Nic ważnego. Prywatna sprawa.

– Jest dobry – powiedziała Mia.

– Kto? Gabriel? Tak, zdecydowanie. Lubię go. Cieszę się, że przynajmniej tutaj mieliśmy fart.

Mia włożyła do ust drugą pastylkę i lekko opuściła szybę.

– Dowiedziałaś się czegoś od niego? O forcie Isegran?

Mia kiwnęła głową.

– Tak.

Opowiedziała mu, co przed chwilą usłyszała od Gabriela.

– Cholera – mruknął Munch. – A więc chodzi o mnie? To moja wina, że te dziewczynki giną?

Munch zmrużył oczy i uderzył ręką w kierownicę.

- Nie wiemy na pewno – powiedziała Mia. – Kiedy tam dojedziemy?
- Za półtorej godziny – odpowiedział Munch.
- Myślę, że zdrzemnę się chwilę – powiedziała Mia.
- Słusznie – skinął głową Munch. – Prześpij się też za mnie.

Słońce już wstało, kiedy zatrzymali się przed zagradzającymi drogę barierkami policyjnymi. Munch pokazał swoją odznakę. Młody policjant o potarganych włosach, który wyglądał tak, jak gdyby dopiero wstał z łóżka, pokierował ich dalej. Zaparkowali samochód przed małym czerwonym budynkiem. Café Galeien. Tam czekał na nich Curry, który poprowadził ich wzdłuż starego kamiennego muru. Mia widziała promenadę po drugiej stronie rzeki, przy której miał stać pomnik. Matka i ciotka Edvarda Muncha. Laura Cathrine Munch i Karen Bjølstad. Mia wiedziała dużo o Munchu. Większość mieszkańców Åsgårdstrand wiedziała o nim dużo. To małe miasteczko zawsze szczyliło się tym, że mieszkał w nim Munch, choć w tamtym czasie eleganckie damy ze wstrętem odgradzały się swoimi parasolkami od szpetnego artysty. Jakież to typowe, pomyślała Mia. Zobaczyła biały plastikowy namiot, który ustawili technicy kryminalni. Wtedy go nienawidzili, ale dziś już o tym nie pamiętamy. Czy nie było podobnie ze wszystkimi wielkimi artystami w tym kraju? Musieli umrzeć, byśmy ich docenili. Dotarło do niej, że nie była to jej własna myśl, a słowa jej mamy. W ich domu rodzinnym sztuka i literatura zawsze zajmowały poczesne miejsce. Często siedziała przy stole w kuchni i słuchała opowieści matki. Czasem przypominało to wręcz lekcję w szkole. Ona i Sigrid były uczennicami, każda ze swoją miską owsianki, a ich matka Eva stawała się rozemocjonowaną nauczycielką.

Curry był w zaskakująco dobrej formie i w drodze do namiotu mówił prawie bez przerwy. Ze swoją ogoloną na łyso głową i krępą sylwetką ten doświadczony policjant wydawał się na pierwszy rzut oka zimny i nieokrzesany, ale Mia wiedziała lepiej. Curry był wyjątkowo bystry i miał wielkie serce, choć wyglądał jak buldog i często zachowywał się podobnie.

– Dwoje maturzystów z liceum Glemmen. Chłopak i dziewczyna. Byli trochę w szoku, więc odesłaliśmy ich do domów.

– Nie mieli z tym nic wspólnego?

– Nie, ledwie byli w stanie cokolwiek z siebie wydusić. Nigdy w życiu nie widziałem dwojga tak trzeźwych maturzystów po balu. Myślę, że na ten widok alkohol natychmiast z nich wyparował.

– Jakież obserwacje z okolicy? – spytała Mia.

– Jeszcze żadnych – powiedział Curry. – Policjanci z Fredrikstad pukają teraz do domów, ale wątpię, żebyśmy coś znaleźli.

– Dlaczego? – spytała Mia.

– Pytasz serio?

Curry uśmiechnął się ironicznie.

– Nie mamy do czynienia z amatorem, nie sądzisz?

Doszli do namiotu akurat w chwili, kiedy wyszedł z niego starszy mężczyzna w białym kombinezonie ochronnym. Mia była zaskoczona, widząc znajomą twarz. Z patologiem

kryminalnym Ernstem Hugonem Vikiem pracowała przy wielu sprawach, ale była pewna, że od dawna jest już na emeryturze.

– Munch. Mia.

Vik skinął głową na powitanie.

– Czołem, Ernst – powiedział Munch. – Ściągnęli cię tu aż z Oslo?

– Nie – westchnął Vik. – Zaszłyłem się w domku niedaleko, żeby mieć trochę spokoju. Jak widzicie, to nie pomogło.

– Co mamy? – spytała Mia.

Vik ściągnął z głowy plastikowy kaptur i zdjął rękawiczki. Zapalił papierosa i otrząsnął z butów grudki ziemi.

– Nie leżą tu długo. Stawiam, że maksymalnie godzinę przed tym, jak zostały znalezione.

– A czas zgonu?

– Tak samo – stwierdził Vik.

– Zostały zabite tutaj?

– Wszystko na to wskazuje – powiedział starszy mężczyzna. – Ale dopóki nie zrobię sekcji, nie mogę niczego powiedzieć na pewno. Co to właściwie ma być, Munch? Przyznaję, że to jedna z najdziwniejszych rzeczy, z jakimi miałem do czynienia.

– Co masz na myśli? – spytała Mia.

– Cóż... – Vik zaciągnął się papierosem. – Jak by to ująć...? Jak na morderstwo rytualne jest za czysto. Dziewczynki są wykąpane i przebrane. Tornistry. I jeszcze ten świński łeb? Niech mnie diabli, jeśli coś z tego rozumiem. Zobaczcie to sami, ja muszę chwilę odsapnąć.

Starszy mężczyzna włożył rękawiczki do kieszeni i wolnym krokiem ruszył w stronę parkingu. Munch i Mia założyli przygotowane dla nich białe kombinezony i weszli do namiotu.

Karoline Mykle leżała na ziemi z dłońmi złożonymi na piersi. Miała na sobie żółtą lalczyną sukienkę. Tornister stał koło jej nóg. Andrea Lyng leżała kilka metrów dalej. I ona miała złożone na piersi ręce, a tornister stał przy jej białych butach. Na szyjach obu dziewczynek były takie same kartki jak u Pauline i Johanne. „Podróżuję sama”. Scena niemal religijna, z groteskowym świńskim łbem pośrodku. Mia Krüger założyła rękawiczki i pochyliła się nad Andrea. Uniosła małą białą dłoń i przyjrzała się paznokciom.

– Trzy – skinęła głową.

Ostrożnie położyła dłoń dziewczynki na trawie i podeszła do Karoline.

– Cztery.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu Muncha. Ten zerknął na wyświetlacz, ale nie odebrał. Telefon zadzwonił jeszcze raz.

– Do ciężkiej cholery – warknął, naciskając czerwoną słuchawkę.

– Pohamuj się. – Mia wskazała na dziewczynki.

– Sorry – powiedział Munch. Telefon rozbrzmiał po raz trzeci. Munch ponownie nacisnął czerwoną słuchawkę. Niemal od razu zaczął dzwonić telefon Mii. Na wyświetlaczu zobaczyła „Gabriel”.

– Gabriel? – spytał cicho Munch.

Mia skinęła głową i odrzuciła połączenie.

– Do ciebie też dzwonił?

Munch skinął głową. Telefon Mii zadzwonił ponownie. Wyszła z namiotu, żeby odebrać.

– To musi być bardzo ważne – syknęła do telefonu.

W głosie Gabriela brzmiała panika, chłopak był niemal bez tchu.

– Muszę rozmawiać z Munchem – wysapał.

– Jest zajęty, o co chodzi?

– Rozszyfrowałem wiadomość – wyjąkał Gabriel.

– Jaką wiadomość?

– Dostał e-mail. Zadanie. Zakodowaną wiadomość. Margrete 08. Rozwiązałem je. Szyfr Gronsfelda. Złamałem go.

Mia westchnęła.

– Czy to nie może poczekać?

– Nie może! – Młody haker prawie krzyczał. – Musisz mu to przekazać, i to natychmiast!

– Co mam mu powiedzieć? Co było w wiadomości?

Gabriel zamilkł na chwilę, jak gdyby nie miał odwagi powiedzieć głośno, co odkrył.

– Gabriel? – powiedziała Mia ponagłająco.

– „Tik-tak mała Marion = 5”.

– Co?

– „Tik-tak, mała Marion to numer 5”.

– Kurwa! – krzyknęła Mia i pobiegła do namiotu do Muncha.



# CZĘŚĆ IV

Miriam Munch siedziała na tylnym siedzeniu audi swojego ojca i próbowała zapanować nad emocjami. Na polecenie ojca naciągnęła mocno czapkę na uszy i założyła duże okulary przeciwsłoneczne. Marion leżała na siedzeniu obok niej, zwinięta pod kocem, który całkowicie zakrywał małą dziewczynkę. Miriam niewiele zrozumiała, kiedy przed kilkoma dniami ojciec obudził ją i nakazał jej zamknąć na klucz wszystkie drzwi. Nie otwierać nikomu. Nie zawozić Marion do przedszkola.

– Co masz na myśli, mówiąc: nie zawozić do przedszkola?

– Na miłość boską, Miriam, rób, co ci mówię!

Oczywiście domyślała się powodu. Miriam Munch nie była głupia. Wprost przeciwnie. Już od najmłodszych lat Miriam Munch należała do najinteligentniejszych dziewczynek w klasie. To, z czym inni musieli się zmagać w pocie czoła, przychodziło jej niemal bez trudu. Rzeki w Azji. Największe miasta w Ameryce Południowej. Ułamki. Angielski. Norweski. Szybko nauczyła się nie zdradzać wszystkiego, co wiedziała. Starła się nie być najlepsza na wszystkich klasówkach, nie wyciągać ręki po zbyt wiele. Inteligencja społeczna była jej mocną stroną. Pragnęła mieć przyjaciół. Nie chciała, by postrzegano ją jako bardziej uzdolnioną od wszystkich innych.

Oczywiście, że się domyślała. Bądź co bądź Marion miała jesienią pójść do szkoły, a ojciec Miriam dowodził grupą pracującą nad tą sprawą. Nie była głupia. Ale była też nieustępliwa. Niech ją diabli, jeśli da się zastraszyć. Niech ją diabli, jeśli jakimś świrowi uda się zniszczyć jej życie. Naturalnie podjęła środki ostrożności, kto tego nie zrobił? Sama odprowadzała Marion do przedszkola i sama ją odbierała. Nie pozwoliła jej pójść na dwa przyjęcia urodzinowe, ku wielkiemu rozczarowaniu małej. Z jej inicjatywy w przedszkolu odbyło się spotkanie pracowników oraz rodziców dziewczynek mających jesienią pójść do szkoły. Niektórzy rodzice, obawiając się posyłać dzieci do przedszkoli, brali urlopy w pracy, niektórzy twierdzili, że przedszkola powinny zostać zamknięte, jeszcze inni chcieli zostawać tam ze swoimi dziećmi. Przez chwilę panował chaos, ale Miriam udało się jakoś zapanować nad sytuacją. Starła się wytłumaczyć, że w miarę możliwości należy żyć normalnie, zwłaszcza ze względu na dziewczynki. Ale gdzieś z tyłu głowy stale słyszała ten cichy, wstrętny głos: Być może to ty jesteś najbardziej narażona. To ty powinnaś najbardziej się bać. I teraz tak się stało.

Miriam szczelniej okryła kocem śpiącą mocno córkę. Na zewnątrz było ciemno, czarne audi mknęło cicho przez niemal puste ulice. Miriam Munch się nie bała, choć czuła niepokój. Frustrację. Irytację. Złość.

– Wszystko w porządku tam z tyłu? – Mia Krüger odwróciła się i spojrzała na nią. Jeszcze jej nie powiedzieli, dlaczego wciąż przewożą ją z miejsca na miejsce, trzeci raz w ciągu dwóch dni, ale i tak to wiedziała.

– W porządku. – Miriam skinęła głową. – Dokąd tym razem?

– Do jednego z naszych mieszkań służbowych – powiedział jej ojciec i spojrzął na nią w lusterku wstecznym.

– Czy już nie pora, żebym się dowiedziała, co się dzieje? – spytała Miriam.

Próbowała nadać swojemu głosowi stanowczy ton, ale była zbyt zmęczona. Przez ostatnie dni prawie nie spała.

– To dla twojego własnego dobra – powiedział ojciec i znów zerknął na nią w lusterku.

– Czy sprawca jej groził? Robicie to ze względów bezpieczeństwa? Mam chyba prawo wiedzieć, o co chodzi? Mam czy nie?

– Dopóki robicie to, co mówię, jesteście bezpieczne – powiedział Munch. Przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle.

Wiedziała, jaki jest ojciec, kiedy coś postanowi, więc już o nic nie pytała. Nagle poczuła się tak, jak gdyby znów miała czternaście lat. Z biegiem lat złagodniał, ale wtedy był niezwykle wymagający i surowy. Nie było z nim jakichkolwiek dyskusji. „Nie, Miriam, nie możesz założyć tego do szkoły, ta sukienka jest zdecydowanie za krótka. Nie, Miriam, masz wrócić do domu przed dziesiątą. Nie, Miriam, nie chcę, żebyś spotykała się z tym Robertem, uważam, że to nie jest dobry chłopak dla ciebie”. Życie nastolatki kontrolowane w najmniejszych szczegółach przez tatę policjanta z paranoją. Miało to i dobre strony. Ci, w których domach panował rygor, cieszyli się największą sympatią w ich szkolnej paczce. A poza tym zawsze istniały sposoby, żeby zwieść rodziców, nawet jeśli byli policjantami. Na koniec prawie nie bywała już w domu i problem niejako rozwiązał się sam. Matka zaczęła znikać coraz częściej. Dorośli... Rodzice... Czy naprawdę sądzili, że ich dzieci nie rozumieją, co się wokół nich dzieje? To z Rolfem Miriam zrozumiała na długo, zanim w domu rozpętało się piekło. Jej matka, tak systematyczna, że można było według niej nastawiać zegarek, musiała nagle „spotkać się z przyjaciółką”? I ktoś nagle zaczął do niej „omyłkowo” wydzwaniać? Please.

– Śpi?

Mia Krüger znów się odwróciła i spojrzała na zwiniętą w kłębek pod kocem Marion.

Miriam kiwnęła głową. Lubiła Mię. Zawsze ją lubiła. Było w niej coś, czego nie potrafiła nazwać. Miała w sobie mnóstwo charyzmy, roztaczała wokół siebie piękną aurę. Czasami sprawiała wrażenie trochę nieobecnej i niekiedy zachowywała się dziwnie, ale nigdy w stosunku do Miriam. Mia przypominała jej trochę siebie samą, być może dlatego tak ją lubiła. Inteligentna i silna, a jednocześnie tak bardzo wrażliwa.

– Twój ojciec dostał zaszyfowaną wiadomość przez Internet – powiedziała Mia.

– Mia! – rzucił Holger przez zaciśnięte zęby, ale Mia mówiła dalej:

– Ktoś podawał się za szwedzką matematyk imieniem Margrete. Kiedy złamaliśmy kod, okazało się, że była to bezpośrednia groźba wobec Marion.

Miriam zauważyła, że ojciec czerwienieje na twarzy.

– Poważnie? – spytała.

Trochę zaskoczyło ją to, że była bardziej ciekawa niż zaniepokojona.

– I jak długo utrzymywałaś z nią kontakt? To znaczy przez Internet?

Ojciec nie odpowiedział. Zaciśnął usta i ścisnął kierownicę tak mocno, że pobieleły mu kłykciki palców.

– Prawie dwa lata – powiedziała Mia.

– Dwa lata? Przez dwa lata?

Miriam nie wierzyła własnym uszom.

– Utrzymywałś kontakt z tą osobą przez dwa lata? Tato? To prawda? Kontaktowałeś się z mordercą przez dwa lata, nawet o tym nie wiedząc?

Ojciec znów nie odpowiedział. Twarz miał czerwoną jak burak, mocno wciskał pedał gazu.

– Nie mógł tego wiedzieć – powiedziała Mia. – Użytkownicy tego forum są anonimowi. To mógł być praktycznie każdy.

– Już wystarczy, Mia – syknął ojciec.

– Co? – spytała Mia. – Przecież ona może coś wiedzieć. Jeśli morderca utrzymywał z tobą kontakt przez tyle miesięcy, niewykluczone, że skontaktował się również z nią. Musimy się tego dowiedzieć.

Ojciec zahamował gwałtownie i zjechał na bok.

– Zostań tu – rzucił, spoglądając w lusterko. – A ty wysiadaj.

– Ale Holger... – powiedziała Mia.

– Wysiadaj z samochodu!

Mia odpięła pas i ociągając się, wysiadła z audi. Ojciec otworzył drzwi od swojej strony i podszedł do niej na chodnik. Miriam nie słyszała, o czym rozmawiali, ale nie ulegało wątpliwości, że ojciec jest bardzo wzburzony. Gestykulował gwałtownie, z ust przyskały mu kropelki śliny. Widziała, że Mia próbowała coś powiedzieć, ale ojciec nie pozwalał jej dojść do słowa. Przyłożył jej palec do twarzy i przez chwilę Miriam miała nawet wrażenie, że ją uderzy. Ojciec wygłosił długą tyradę i na koniec Mia zamilkła, potakiwała już tylko głową. Wrócili do samochodu i usiedli na swoich miejscach. Samochód wolno ruszył, w środku panował przygnębiający nastrój. Miriam uznała, że lepiej będzie milczeć. Dwa lata? Ojciec tak długo utrzymywał kontakt z mordercą? Nic dziwnego, że był wściekły. Ktoś wodzi go za nos. A teraz cztery dziewczynki nie żyją. Czy Marion ma być numerem piątym? Czy to tego dotyczyła wiadomość? Miriam mocniej otuliła córkę kocem i delikatnie pogłaskała ją po włosach. Czarne audi mknęło przez noc do tajnej kryjówki, której położenia nie знаła.

Mia stała na chodniku przed szarą kamienicą w zachodniej części miasta, nie mogąc pozbyć się uczucia, że ktoś na nią patrzy. Czowała się tak nie pierwszy raz. Odkąd przyjechała do miasta, stale miała nieprzyjemne uczucie, że jest obserwowana. Uznała, że ma paranoję. W jej sytuacji to coś całkiem normalnego. Nie należało się temu poddawać. Nie ulegała łatwo emocjom, nic z tych rzeczy, ale mimo wszystko nie było to przyjemne. Rozejrzała się, ale nikogo nie zobaczyła. Na ulicy wokół niej panowała zupełna cisza.

Przewieźli Marion i Miriam do czystego mieszkania na Frogner. Czyste znaczyło tu tyle, że nie było nigdzie zarejestrowane, nawet w oficjalnych kartotekach. Poprzedniego wieczoru zawieźli je do mieszkania we wschodniej części miasta, ale Munch stwierdził, że nie jest bezpieczne, i postanowił je stamtąd zabrać. Obecnie korzystali z mieszkania przeznaczonego dla polityków i innych ważnych gości, którzy od czasu do czasu potrzebowali niekrępującego miejsca spotkań. Munch pociągnął za kilka sznurków, starając się nie robić zbyt wiele hałasu i zaangażować w to jak najmniej ludzi. Naprawdę zaczynał popadać w paranoję. Mia dobrze go rozumiała.

Wyciągnęła z torebki pastylkę odświeżającą i rozejrzała się na obie strony. Wokół żywej duszy. A nawet samochodów. I roznosiciele gazet. Była zupełnie sama i całkowicie przekonana, że nikt nie widział Miriam i Marion wchodzących do mieszkania.

Kilka minut później Munch wyszedł z kamienicy. Zapalił papierosa i przeczesał dłonią włosy.

– Sorry – powiedziała Mia.

– Cholera, nie przepraszaj. To moja wina – powiedział Munch. – Ja tylko... Wiesz sama.

– No stress. – Mia machnęła ręką.

– Jesteśmy sami?

– Tak mi się wydaje. Nie widziałam nikogo. Wszystko u nich w porządku?

Munch zaciągnął się łąpczywie papierosem i spojrzał w kierunku trzeciego piętra.

– W porządku. Miriam jest na mnie zła, dobrze ją rozumiem. Mam nadzieję, że uświadomi sobie, że chcę jej tylko pomóc.

– Na pewno. – Mia kiwnęła głową. – Może po prostu za dużo tego naraz. Kiedy to wszystko już się skończy, będzie ci wdzięczna.

– Sam nie wiem. Musiałem jej powiedzieć, żeby na razie zapomniała o ślubie.

– Ma go odwołać?

– Oczywiście.

– To na pewno ją zaboli – powiedziała Mia.

– Setka ludzi w jednym kościele? I wszyscy w jakiś sposób związani ze mną? Nie możemy do tego dopuścić – powiedział Munch.

To gra. On się z nami bawi. Albo ona. Jak obrabować bank? Wysadzić w powietrze

budynek po drugiej stronie ulicy. Sprawca dobrze wiedział, co robi. Co robiła. To coś więcej niż te cztery dziewczynki. Niż dziesięć dziewczynek. Ktoś od lat tropił Muncha. I doskonale wiedział, gdzie uderzyć, żeby zabolalo go najmocniej. Jak wywołać największe możliwe zamieszanie. Chaos. Strach. Od trzech dni Mia spała nie dłużej niż cztery godziny na dobę i czuła, że powoli zaczyna się to na niej odbijać. Nie potrafiła myśleć jasno.

– Kto jest w biurze? – zapytał Munch, gdy wsiedli do samochodu.

– Ludvig, Gabriel, Curry. Tak mi się wydaje – powiedziała Mia.

– Mikkelson chce mnie odsunąć od sprawy – powiedział Munch. Nie otwierając okna, zapalił kolejnego papierosa.

– Skąd wiesz? Co takiego zrobiłeś?

Spojrzał na nią niemal martwym wzrokiem.

– Odsunąć od sprawy – powtórzyła Mia.

– Owszem – odpowiedział Munch, ruszając w kierunku Mariboegate.

– A ty sam co o tym myślisz?

– Nie rozumiem?

– Pytanie jak najbardziej na miejscu. Pracujemy nad wyjątkowo trudną sprawą. Sprawca wziął na cel twoje życie osobiste. Potrafisz pozostać obiektywny? Powstrzymać emocje? Nie wydaje mi się.

– Po czyjej tak właściwie jesteś stronie? – syknął Munch.

– Oczywiście, że po twojej – powiedziała Mia. – Ale rozumiem, skąd się biorą te wątpliwości.

– Teraz to już sprawa prywatna – powiedział Munch. Oczy zwęziły mu się w szparki. – Każdy, kto podniesie rękę na moją rodzinę, za to zapłaci.

– No właśnie.

– Co?

– Taki komentarz przy Mikkelsonie i jesteś skończony. – Mia przejechała palcem po gardle, żeby nie było wątpliwości, co ma na myśli.

– Ha! Komu mieliby w takim razie przekazać tę sprawę? – spytał Munch.

– Wenngårdowi.

– I komu jeszcze?

– Klockervoldowi.

– Do cholery, Mia! W czyjej grasz drużynie?

– Ja tylko mówię, Holger. Są jeszcze inni. Możesz się wycofać.

Munch zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

– Co byś zrobiła, gdyby chodziło o kogoś z twoich bliskich?

– Dobrze wiesz.

– Właśnie. Zakończmy więc ten temat.

– Nie powinienes się trochę przespać?

– Powinienem, ale teraz nie dam rady. – Munch westchnął i opuścił nieco szybę. – Wyślij wiadomość do wszystkich. W biurze za godzinę. Kto nie przyjdzie, może od razu szukać sobie innej pracy. Musimy zacząć od początku. Zajrzymy pod każdy kamień, aż w końcu dopadniemy tego pieprzonego karalucha. Choćby miała to być ostatnia rzecz

w moim życiu.

Mia kiwnęła głową i wyjęła telefon.

– Co mamy? – zapytał Munch, kiedy wszyscy zebrali się już w sali briefingowej. – I nie mówcie mi, że nie mamy niczego, bo to niemożliwe. Ktoś musiał coś widzieć. Wiem, że wszyscy pracujecie non stop, ale począwszy od tej pory, pracujemy dwa razy więcej. Kto chce zacząć? Ludvig?

Mia powiodła wzrokiem po sali. Wpatrzone w nią zmęczone oczy. Widok przyprawiający niemal o ból. Przez ostatnie tygodnie wszyscy pracowali do upadłego, ale jak dotąd nie przyniosło to niemal żadnych efektów. Curry miał na twarzy gęsty zarost, a Gabriel Mørk był kredowobiały i miał wielkie worki pod oczami.

– Porównaliśmy wszystkie nazwiska z domu opieki przy Høvikveien ze sprawą z Hønefoss. Jak dotąd bez rezultatu, ale trochę nam jeszcze zostało.

– Kontynuujcie, może coś tu wyjdzie – powiedział Munch. – Kto następny?

– Sprawdziłem wspólnotę religijną, o której wspomniałaś – powiedział Gabriel.

Munch rzucił Mii szybkie spojrzenie. Ta wzruszyła ramionami i zachęcająco kiwnęła Gabrielowi głową. Nie szło im z tą wspólnotą. Zainteresowali się nią zbyt późno. Już mieli tam pojechać, kiedy w forcie Isegran zostały znalezione dziewczynki, a zaraz potem dotarły do nich wieści o groźbie wobec Marion.

– Czego się dowiedziałeś?

– Zastanawiająco mało – odparł Gabriel. – Nazywają siebie Kościołem Matuzalemowym, ale nie znalazłem żadnych towarzystw ani organizacji religijnych zarejestrowanych pod tą nazwą. Nie mają strony internetowej ani niczego takiego. Wygląda to tak, jakby jeszcze nie wkroczyli w erę cyfrową albo świadomie tego unikają. Nie wiem.

– To wszystko?

– Nie, znalazłem człowieka zameldowanego pod tym adresem.

Gabriel spojrział do notatek.

– Niejaki Lukas Walner. Sprawdziłem go, ale nie ma go w żadnej innej bazie.

– OK. – Munch podrapał się po brodzie. – Byłem tam kilka razy i o ile mnie pamięć nie myli, kręciło się tam dwóch facetów. Starszy gość o siwych włosach i młodszy, krótkie jasne włosy, dwadzieścia parę lat. Trzeba to sprawdzić dokładniej, i to jak najszybciej. Morderca depta nam po piętach, musimy chwycić właściwy trop. Moja matka chadza tam na spotkania, może uda mi się od niej dowiedzieć.

Gabriel skinął głową.

– Zajmę się tym zaraz po briefingu.

– Dobrze – powiedział Munch i rozejrzał się po zebranych. – Ktoś jeszcze?

– Benjamin Bache jest pod obserwacją, ale jak do tej pory nic nie wskazuje, że ma coś wspólnego z tą sprawą – powiedział Curry.

– Dobrze – powiedział Munch. – Mamy wystarczająco ludzi, więc niech chodzą za nim, dopóki nie będziemy pewni. Słucham dalej.



– Przyjrzałem się kontu margrete\_08 – powiedział Gabriel. – To konto w domenie Hotmail, założone...

Chłopak zerknął na leżącego przed nim iPada.

– ...2 marca 2010. Kilka dni przed tym, jak otrzymałeś od niej pierwszą wiadomość. Zgadza się?

Gabriel spojrział na Muncha, który nagle wydał się jakby zbity z tropu. Nie dość, że w sprawie zamieszana była jego matka, to jeszcze się okazało, że sprawca utrzymywał z nim kontakt. Prywatny. A on połknął haczyk. Mia znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, co się dzieje pod zmarszczonym czołem. Widziała, że próbuje wziąć się w garść. Nie chciał dać zespołowi odczuć, że traktuje tę sprawę osobiście.

– Zgadza się – powiedział Munch.

– Konto było wykorzystywane wyłącznie do wysyłania wiadomości e-mailowych do ciebie. Wysyłano je z trzech różnych adresów IP.

– Po norwesku proszę – ziewnął Curry.

– Adresy IP, czyli adresy protokołu internetowego. Każdy komputer podłączony do sieci ma swój własny adres, który informuje o lokalizacji urządzenia. Kraj, okręg, dostawca internetowy.

– Dokładnej lokalizacji? – spytał Munch.

– Tak. – Gabriel skinął głową i ponownie zerknął do swojego iPada. – Jak wspomniałem, pisano z trzech różnych adresów IP. Wszystkie należą do Burger Kinga. Lokale przy Karl Johan, na stadionie Ullevål i dworcu Oslo S. Wiadomości wysłano z laptopa. Jeśli mam być szczery, nie da się go namierzyć. Spingowałem go, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Nie jest więc już zalogowany do sieci, najprawdopodobniej sprawca się go pozbył. Ja bym tak zrobił.

– W Burger Kingu jest Internet? – zdziwił się Curry.

– Otrzymaliśmy prawie dwa tysiące telefonów – powiedziała Anette, ignorując pytanie Curry'ego. – Większość z nich dotyczyła portretu pamięciowego kobiety ze Skullerud. Przykro mi to mówić, ale ciągle nie mamy niczego, na czym moglibyśmy się oprzeć. Portret jest zbyt ogólny, pasuje do zbyt wielu osób. A nagroda... Sami wiecie, co to oznacza. Dzwoni mnóstwo ludzi, którzy mają chrapkę na milion koron, dzwonią też ci, którym sąsiad z jakiegoś powodu wydał się podejrzany.

Munch przeciągnął dłonią po brodzie.

– Sprawcy o podobnej metodzie postępowania?

Curry tylko pokręcił głową.

– Do diabła, ludzie, bez żartów! Musi przecież coś być! Ktoś musiał coś zauważyć? Usłyszeć?

Mia posłała Munchowi wymowne spojrzenie. Uspokój się. Wiedziała, że choć ich zespół był bardzo zgrany, zawsze znajdzie się ktoś, kto zapragnie wspiąć się wyżej. Mikkelson z pewnością miał gorącą linię z kilkoma kandydatami na miejsce Muncha.

Odchrząknęła i wstała. Podeszła do tablicy, chcąc odwrócić uwagę od Muncha.

– Nie wiem, czy dostaliście komplet informacji, postaram się więc przybliżyć wam wszystko od początku. Nie wszystko, co zamierzam powiedzieć, to konkrety, wiele z tych rzeczy to moje własne odczucia. Chciałabym, żebyście mi pomogli, powiedzieli, co

myślicie na ten temat, jakie jest wasze zdanie, co czujecie. Nic tu nie jest nieistotne, wszystko może okazać się przydatne. OK?

Mia rozejrzała się po sali. Panowała zupełna cisza. Oczy wszystkich były zwrócone na nią.

– To historia jak widzę ją ja. W roku dwa tysiące szóstym ze szpitala w Hønefoss ktoś zabrał noworodka. Zasadniczo są dwa powody, dla których ludzie porywają dzieci. Powód pierwszy to wymuszenie okupu. Nigdy nie zostały postawione jakiegokolwiek żądania, więc ten motyw odrzuciliśmy. Powód drugi jest taki, że być może ktoś rzeczywiście chciał mieć dziecko. Przez cały czas sądziłam, a może raczej czułam, że sprawcą jest kobieta. Kobieta pragnąca dziecka. Przyjmijmy zatem tę wersję. Ta kobieta ma dostęp do oddziału położniczego. Jak się przekonaliśmy, ukraść dziecko jest o wiele łatwiej, niż można to sobie wyobrazić. Zwłaszcza takie, które nie ma rodziców. OK. Kobieta kradnie dziecko. Zaczyna się piekło, wszyscy rzucają się do poszukiwań, media, my. Nikt nie lubi czuć na sobie takiej presji, kobieta znajduje więc kozła ofiarnego, Joachima Wicklunda. Jego śmierć odpowiada wszystkim. Raport z sekcji zwłok wskazuje na...? Słusznie. Nie było żadnej sekcji. Powiesił się. Przyznał. Sprawa rozwiązana. Można zająć się innymi sprawami.

Zrobiła przerwę na zaczerpnięcie powietrza i łyk wody. Mówiła bez przygotowania, bardziej do samej siebie niż do reszty zespołu.

– Nieraz przychodziło mi do głowy, że gdybyśmy przeprowadzili wtedy staranną sekcję zwłok, niewykluczone, że znaleźlibyśmy coś interesującego, na przykład ślad po ukłuciu igły w szyi tego Szweda. Wyrafinowane i sprytne, nieprawdaż? Potężna dawka środka usypiającego w szyję i od razu na sznur. Bardzo trudne do odkrycia, o ile nie ma podejrzenia popełnienia morderstwa. Cóż, w każdym razie to tylko teoria. A więc mamy kobietę z dzieckiem. Taką, która potrafi aplikować zastrzyki i ma dostęp do środków usypiających.

– Pielęgniarka? – spytał Ludvig.

– Zupełnie możliwe. – Mia kiwnęła głową i mówiła dalej: – Ale wśród personelu szpitala w Hønefoss nie znaleźliśmy nikogo podejrzanego. Mamy więc kobietę, która porwała noworodka. Wszystko jest w porządku. Media przestają interesować się tą sprawą, my odpuszczamy. Ale coś poszło nie tak. Być może dziecko umiera. Dziecko umiera, a ona postanawia zemścić się na nas. To my jesteśmy winni jego śmierci. Powinniśmy byli ją znaleźć. A odpowiedzialność za to ponosi Munch. I zaczyna go prześladować.

Mia odkaszlęła i wzięła jeszcze jeden łyk wody. W sali panowała kompletna cisza. Wszyscy wiedzieli, w czym Mia jest najlepsza. Nikt nie chciał jej przerywać, kiedy już weszła na właściwe tory.

– To niezwykle inteligentna kobieta – kontynuowała Mia. – Dostrzegam u niej pewne objawy schizofrenii. Porwanie dziecka uważa za dopuszczalne i nie ma oporów przed odebraniem komuś życia. To dla niej moralnie usprawiedliwione, niewykluczone, że musiała doświadczyć czegoś... czegoś...

Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

– Nie wiem, co by to mogło być, ale możliwości jest dużo. Myśli jasno, a jednocześnie

ma zaćmiony umysł. W każdym razie nie widzi świata tak jak my. Bardzo cieszyła się tym dzieckiem, a teraz ono nie żyje. Prawdopodobnie. Gdyby żyło, jesienią poszłoby do szkoły. Myślę, że ona patrzy na to właśnie tak. „Podróżuję sama”. Kartka. Dziewczynki wyruszają w podróż. Tak, to jest podróż. Ewangelia według świętego Marka, 10:14. „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie”. Dziewczynki wyruszają w podróż do nieba.

Mia mówiła teraz wyłącznie do siebie. W jej umyśle coś się otworzyło. Węzły, które tam były, puściły i wszystko, co kryło się w zakamarkach jej głowy, zaczęło wypływać na powierzchnię.

– Ta kobieta jest niezwykle troskliwa. Kocha dzieci. Chce je chronić. Kąpie je i przebiera. Nie chce wyrządzić im krzywdy. I jeszcze dwie rzeczy.

Mia zakaszłała. Ledwie trzymała się na nogach, ale nie potrafiła się już zatrzymać.

– Dwie rzeczy. Właśnie to jest dziwne. Cały ten chaos, wszystkie te symbole. Na początku ich nie rozumiałam, było tu tyle mylnych ścieżek. Dopiero po dłuższym czasie uświadomiłam sobie, że dwie rzeczy są tu istotne. Pierwsza to dziewczynki. Dziecko nie powinno być samo. Tak, tak. To przez nią umarło. To z jej powodu. Chce teraz wszystko naprawić. Znaleźć dziecku przyjaciółki. Ale to nasza wina. Powinniśmy byli ją powstrzymać. Cholera, zgubiłam wątek...

– Dwie rzeczy – podpowiedział życzliwie Curry.

– A, dziękuję. Dwie rzeczy. Pierwsza: zabija dziewczynki, żeby dziecko, które miałyby teraz sześć lat, nie było w niebie samo. Druga: chce załatwić Muncha. Przykro mi, ale to oczywiste. To dlatego wszystko było takie wymieszane. To dlatego błędziliśmy. Musimy patrzeć na każdą z tych rzeczy osobno, chociaż ona miesza te dwa motywy, żeby nas zmylić. Po pierwsze: zabija dziewczynki, żeby dziecko, które porwała, nie było w niebie samo. Po drugie: za wszelką cenę chce zemścić się na policji. Załatwić Muncha. W jakiś sposób doprowadziła do śmierci dziecka, ale winą za to obarcza Muncha. Myślę...

Mia Krüger była kompletnie wyczerpana. Mówiła z najwyższym trudem.

– Co myślisz, Mio? – spytał, jękając się, Munch.

– Że chce zostać złapana – dopowiedziała Anette.

– Co przez to rozumiesz? – spytał Munch.

– Chce zostać złapana – powtórzyła Anette. – Pokazuje nam, co robi. Rikke JW. Dziewczynki w forcie. Telefon do dziennikarzy. Chce zostać złapana, prawda, Mio?

Mia skinęła głową.

– Zgadzam się. Dobrze to ujęłaś. Chce zostać złapana. Zaczyna się niepokoić. Odślania przed nami coraz więcej. Ona też chce wyruszyć w podróż do nieba. Chce znów być razem z dzieckiem. Chce...

Mia nie była w stanie mówić dalej. Opadła wyczerpana na biurko, próbując złapać oddech. Munch podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku?

Mia kiwnęła głową bez słowa.

– Cholera, teraz to się zaczyna układać – powiedział Munch i odwrócił się do zebranych. – No dobrze. Kobieta. Niech będzie. Przekonuje mnie to. Mamy jakieś kobiety na rozkładzie?

– Kobieta o oczach różnego koloru – powiedział Ludvig.

– Ktoś z tej wspólnoty? – dodał Curry.

– Personel w domu opieki przy Høvikveien – powiedział Gabriel.

Mia spojrzała na Ludviga Grønliego.

– Masz coś? Jakiś związek z telefonem Veroniki Bache?

– Niestety jak na razie nic, pracuję nad tym – powiedział Grønlie.

– Jasna cholera, ależ ze mnie idiotka – powiedziała nagle Mia.

– O co chodzi?

– Charlie. Charlie Brun.

– Kto? – spytał Munch.

– Mój przyjaciel. Prowadzi klub dla transwestytów w Tøyen. To właśnie on mi o niej opowiedział. O tej babce o oczach różnego koloru. Widział ją kilka razy. Do diabła, ale ze mnie idiotka.

– Ściągnijcie go tu – powiedział Munch. – Musimy znaleźć tę kobietę. Kto wie, może to ta z portretu pamięciowego, ta, którą widziano w Skullerud. To nic pewnego, ale dlaczego by nie spróbować. Pokażemy temu Charliemu zdjęcia wszystkich osób przewijających się przez tę sprawę, które mogły opłacać rachunki za telefon Veroniki Bache po jej śmierci, wszystkich pracowników domu opieki i wszystkich mających jakiś związek z tą wspólnotą. Jeśli ją rozpozna, zapytamy tego emeryta, czy to ją widział.

W drodze do wyjścia Anette zatrzymała Mię.

– Jesteś tego pewna? – spytała Anette cicho.

– Czego?

– Tego wszystkiego? Czy to trochę nie za dużo dla Muncha? Groźby pod adresem jego wnuczki? Matka zamieszana w sprawę? Nie powinien zrobić sobie przerwy? Przekazać tej sprawie komuś innemu?

– Holger wie, co robi – ucięła Mia.

– Mam nadzieję – powiedziała Anette.

– I co o tym sądzisz? – spytał Charlie, odwracając się do Mii.

Zdecydował się na starą kwiecistą sukienkę po babci, lśniące srebrne kozaki do kolan, białe rękawiczki do łokci i zielone boa.

– Nie masz normalnego swetra i normalnych spodni? – westchnęła Mia.

– Na litość boską, Mio, tłamsisz moją swobodę ekspresji. Jestem artystą, chodzącym aktem kreacji, nie wiesz o tym?

Charlie zaczął przekopywać się przez zawartość szafy. Wzdychał raz po raz, dając jasno do zrozumienia, że jego życie nie należy do najłatwiejszych.

– Wiem, Charlie, wiem, już dobrze.

– Ha! Mam!

Charlie odwrócił się do niej, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Mister Freud.

– Mister kto?

Charlie klasnął w dłonie i podskoczył jak mała dziewczynka.

– Mister Freud. Od dłuższego czasu nie występował. Ostatnim razem pojawił się na rewii Czas na swing w dwa tysiące czwartym. Wiesz, klub dla swingersów i społeczność transwestytów mają sporo...

– Wystarczy – przerwała mu Mia. – Nie muszę wiedzieć o wszystkim, czym się zajmujesz. Niech będzie Mister Freud, ale się streszczaj.

Charlie wyjął z szafy duży pokrowiec na garnitur i zniknął z nim w łazience. Wrócił ubrany jak pożeracz niewieścich serc. Miał na sobie czarny garnitur, różowy krawat i eleganckie buty z lakierowanej skóry. Wyglądał jak połączenie Jamesa Bonda i Egona Olsena.

– Co o tym sądzisz? – Charlie się uśmiechnął, robiąc kolejny piruet.

– Rewelacja – powiedziała Mia.

– Wystarczająco męsko?

– Bardzo męsko. Babki w domu opieki obrzucą cię różami.

Charlie zachichotał.

– Naprawdę tak myślisz?

– Jestem pewna. – Mia się uśmiechnęła. – Chodź już.

Zeszli do czekającego na dole samochodu. W drodze do Høvik Mia zastanawiała się, czy wyjaśnić Charliemu, że w rzeczywistości nie jedzie tam na występ, ale po to, by obejrzeć w archiwum zdjęcia pracownic, ale zrezygnowała. Umówili się wcześniej telefonicznie. Na szczęście dom opieki miał zdjęcia całego personelu. Nowe procedury bezpieczeństwa zobowiązywały wszystkich pracowników do posiadania identyfikatorów z fotografią. To z pewnością ułatwi im pracę.

Holger Munch czekał na nich przed domem opieki.

Charlie się uklonił, a na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech.

– Miło mi cię poznać – powiedział Munch i uśmiechnął się lekko. – Urocze wdzianko.

– Dziękuję – odpowiedział Charlie i uklonił się jeszcze raz.

– Mia wyjaśniła ci, co będziemy robić?

– Pracuję pod przykryciem, zgadza się? – Charlie mrugnął.

– Tak, oczywiście. Chcielibyśmy, żebyś przyjrzał się tu zdjęciom na komputerze i powiedział nam, czy rozpoznajesz na którymś z nich przyjaciółkę Rogera Bakkena.

Charlie się uśmiechnął.

– Jasna sprawa.

– Ma różny kolor oczu, zgadza się?

– Owszem – Charlie skinął głową. – Brązowe i niebieskie. Wiedziałem, że ma w sobie jakąś tajemnicę.

– Cóż, tego nie powiedzieliśmy – powiedział Munch. – Chcielibyśmy ją tylko znaleźć i z nią porozmawiać. To wszystko.

– Rozumiem. – Charlie znów mrugnął. – Ścisłe tajna operacja policyjna.

W tym momencie otworzyły się drzwi i pojawiła się kobieta, z którą Holger rozmawiał ostatnim razem na schodach.

– To Karen Nylund – powiedział Holger.

Mogła dobiegać czterdziestki. Była szczupła, miała długie rudoblond włosy i urzekający uśmiech. Charlie się uklonił i podał jej rękę.

– To Charlie, będzie nam dziś pomagać. A to Mia, moja koleżanka.

Mia wyciągnęła rękę do Karen.

– Bardzo mi miło – uśmiechnęła się Karen. – Próbowałam dodzwonić się do Karianne, ale nie odbiera. Jest w tym bardzo zasadnicza. Wolne to wolne.

Mia się nie odezwała, ale domyśliła się, że Karianne to szefowa domu opieki.

– Ale nic się nie stanie, jeśli trochę się rozejrzemy?

– Oczywiście, że nie. Cieszę się, że będziemy mogły służyć pomocą – odpowiedziała Karen.

Mia znów nic nie powiedziała. Trochę martwiła się procedurami, potrzebowali przecież nakazu, a to zawsze wymagało czasu. Zakładała jednak, że Holger to załatwi, przecież wszyscy go tu znali.

– To dobrze – powiedział Holger. – Idziemy?

Poszli za Karen do jednego z pokojów. Charlie kroczył jak paw, rozdając ukłony na prawo i lewo.

– To tutaj – powiedziała Karen, wskazując na komputer stojący na jednym ze stołów.

Nagle jak gdyby naszły ją wątpliwości.

– To wspólny komputer dla wszystkich pracowników. Pensjonariusze nie mają do niego dostępu. To chyba nic strasznego, jeśli do niego zajrzycie? Jesteście przecież z policji...

Karen spojrzała na Holgera, który uspokajająco pokiwał głową. Mia stłumiła uśmiech.

– Wszystko w porządku, Karen – powiedział Holger, dotykając delikatnie jej pleców. – Biorę na siebie odpowiedzialność, nie musisz się o nic martwić.

Karen się uśmiechnęła.

– Dobrze. Pomyślałam sobie tylko, że nasza szefowa, Karianne, bywa czasem dosyć

ostra. Ale tak w ogóle jest bardzo miła i naprawdę dobra.

Ostatnie słowa dodała bardzo szybko, jak gdyby nie chcąc, by ktoś usłyszał, że krytykuje swoją przełożoną.

– Powtarzam, biorę odpowiedzialność na siebie – uśmiechnął się Munch. Przysunął do komputera jeszcze jedno krzesło, żeby Charlie mógł usiąść.

– Chcecie, żebym została? Jak będzie lepiej? – spytała Karen.

– Jeśli możesz, byłoby dobrze. Na wypadek gdybyśmy mieli pytania.

– Nie ma problemu. Niedługo podajemy lunch, ale zostało jeszcze trochę czasu.

– Świetnie – powiedział Munch, siadając przy stole obok Charliego. Wziął mysz i kliknął na plik, który przygotowała dla nich Karen.

– Przewijać w dół?

– Po prostu naciskaj strzałkę – uśmiechnęła się Karen, wskazując na klawiaturę.

Holger nacisnął strzałkę i na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie, a pod nim podpis: Birgitte Lundamo.

– Nie. – Charlie ściągnął brwi, jak gdyby dla potwierdzenia, że swoje zadanie traktuje poważnie.

Holger ponownie nacisnął klawisz. Tym razem pojawiło się zdjęcie niejakiej Guro Olsen.

– Nie – powiedział Charlie.

– Ilu macie tu pracowników? – spytała Mia.

– Mamy pięćdziesięciu ośmiu pensjonariuszy, a pracowników dwudziestu dwóch. Nie, dwudziestu trzech. Niektórzy na pełny etat, niektórzy w niepełnym wymiarze godzin. Mamy też współpracowników wspomagających nas w razie choroby albo czegoś takiego.

– I wszyscy są tutaj?

– Tak, wszyscy są zarejestrowani.

– Nie – powiedział Charlie.

Holger nacisnął klawisz. Malin Stoltz.

– To ona – kiwnął głową Charlie.

– Jesteś pewny? – spytała Mia.

– Absolutnie – odparł Charlie.

– Ale przecież miała mieć oczy różnego koloru?

– To ona – powtórzył Charlie zdecydowanie.

Mia zakłęta pod nosem. Znała tę kobietę. To ta z kruczoczarnymi włosami, z którą rozmawiała, kiedy przyjechała tu z Holgerem i na niego czekała.

– Znasz ją, Karen?

– Tak, oczywiście – powiedziała Karen. Na jej twarzy po raz pierwszy odmalowało się coś w rodzaju niepokoju. – Co takiego zrobiła?

– Za wcześnie, żeby o tym mówić – stwierdził Holger, spisując adres z ekranu.

– Dobrze ją znasz? – spytała Mia.

– Właściwie tak – powiedziała Karen. – Ale znamy się tylko z pracy. Jest świetną opiekunką. Wszyscy pensjonariusze bardzo ją lubią.

– Byłaś kiedyś u niej w domu?

– Nie, nigdy. Możecie mi powiedzieć, dlaczego jej szukacie? Zaczynam się trochę bać.

Karen popatrzyła na Muncha. Ten wstał, żeby ją uspokoić.

– Jest tylko świadkiem, Karen.

– Uff – westchnęła Karen, kręcąc głową.

– Tak jak powiedziałem, jest tylko świadkiem.

– Zanotowałeś adres? – spytała Mia.

Munch skinął głową nad ramieniem Karen i podał Mii kartkę. Dał jej znak, aby zadzwoniła na schodach, żeby jeszcze bardziej nie niepokoić kobiety.

Charlie był wyraźnie niezadowolony.

– To już wszystko?

– Wszystko. – Munch skinął głową. – Doskonała robota, Charlie.

– Świetnie się spisałeś, Charlie – pochwaliła go Mia i wyszła przed budynek, żeby zadzwonić do Curry'ego.

– Tak?

– Mamy nazwisko i adres – powiedziała Mia.

W jej głosie było słychać podekscytowanie.

– Malin Stoltz, urodzona w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku. Długie czarne włosy. Wzrost mniej więcej sto siedemdziesiąt centymetrów, waga około sześćdziesięciu pięciu kilogramów.

Podawała mu adres z kartki.

– To o n a? – zapytał Curry.

– Tak, rozpoznał ją od razu.

Usłyszała, jak Curry wykrzykuje polecenie komuś w pokoju. Po chwili odezwał się znowu:

– Wyjeżdżamy. Widzimy się na miejscu.

Mia się rozłączyła i wyciągnęła pastylkę z torebki. Rozmawiała z nią. Była tak blisko niej. A mimo to nie zrozumiała. Miała niebieskie oczy. Najprawdopodobniej szkła kontaktowe. Cholera, jak mogła być tak ślepa?

Charlie wyszedł na schody, zaraz za nim Holger i Karen. Kobieta była wyraźnie poruszona.

– Zadzwonię do ciebie. – Munch wziął Karen za rękę.

– Dziękujemy za pomoc, Karen – jeszcze raz powiedziała Mia.

– Nie ma za co. – Karen przeciągnęła dłonią po rudoblond włosach i próbowała się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

– To wszystko? – powtórzył Charlie, wyraźnie niezadowolony.

– Doskonała robota, Charlie – zapewniła go Mia.

Munch jeszcze raz pożegnał się z Karen i zbiegł do swojego samochodu.

– Jedziesz ze mną, Mia?

– Tak. – Kiwnęła głową i ruszyła za nim.

– A co ze mną? – Charlie uniósł ręce w dramatycznym geście.

– On cię odwiezie do domu. – Mia pokazała policjanta z patrolu, który przywiózł ich tutaj.

– Nie pójdziemy nawet na filiżankę kawy?

– Następnym razem – rzuciła Mia, wskakując do samochodu.



Munch wcisnął pedał gazu i z piskiem opon zjechał na Høvikveien.

Malin Stoltz źle spała. Miała dziwny sen. Śniło jej się, że przyszedł do niej anioł i zabrał ją ze sobą. Że było już po wszystkim. Myślała, a raczej śniła, że nie musi już dłużej tego robić. Czuła się trochę zakłopotana i nie wiedziała, co było jej sennym „ja”, a co prawdziwym. W każdym razie anioł przyszedł. Cudownie biała anielica. Wyciągnął do niej rękę i powiedział, żeby za nim szła. Żeby uniosła się razem z nim. Że nie musi już dłużej tego robić. Malin Stoltz poczuła, że jest szczęśliwa. Była szczęśliwa, kiedy się obudziła, i nie mogła już zasnąć. Tego dnia miała oczy różnego koloru. Jedno brązowe, a drugie niebieskie. Taka była. Kiedy była mała, inne dzieci naśmiewały się z niej z tego powodu. Nazywały ją brudasem i dziwadłem. Tylko koty miały oczy różnego koloru. Ty głupi kocie. Nie, nie słodki puszysty kociaku, ale parszywy dachowcu. Taki jak te, którym od najróżniejszych chorób wypada sierść. A przecież lekarz powiedział, że to częsta przypadłość. Heterochromia. Nie, nie tak częsta. Nie tak częsta, ale i wcale nie tak rzadka, jak niektórzy sądzili. Lekarz wyjaśnił jej, że to wada genetyczna. Nie, nie wada. Kiedy – na przykład na skutek mutacji – dochodzi we wczesnym stadium embrionalnym do zmiany genów, do organizmu, który miał mieć oczy koloru brązowego, może przeniknąć gen kodujący kolor niebieski. Mutacja. Mutant. Lekarz powiedział jej, że jest mutantem. Jest mutantem o oczach różnego koloru i dlatego nie może być sobą. Musi być kimś innym. Tak powiedział lekarz. A może gdzieś o tym przeczytała? Nie, lekarz nie powiedział niczego takiego. Przeczytała to w Internecie. I w „Illustrert Vitenskap”<sup>8</sup>. Lekarz miał wyłożone w gabinecie egzemplarze „Illustrert Vitenskap”. Kiedy badał ją, czy może mieć dzieci. Lekarz powiedział, że to niemożliwe, gdyż jest mutantem. I że nie będzie mogła być sobą, ale raczej kimś innym. Ale przecież знаła kilka gwiazd o oczach różnego koloru. Dan Aykroyd. David Bowie. Jane Seymour. Christopher Walken. Żadne z nich nie musiało być nikim innym, nawet jeśli niektórzy zmienili nazwiska. Malin Stoltz śniła, że anioł zabrał ją ze sobą. Nie musiała już dłużej tego robić i była tak szczęśliwa, że się obudziła. Potem już nie zasnęła. Przez kilka godzin stała przed lustrem w łazience. Lekarz przepisał jej tabletki. Powiedział, że nie jest normalna, że jest mutantem i musi brać tabletki. Malin nie lubiła tych tabletek. Wzięła je tylko kilka razy, kiedy w jej głowie odezwały się głosy. Za mało, żeby stać się normalną.

Malin Stoltz stanęła przed kuchenką. Była głodna. Od dawna niczego nie jadła, a do tego źle spała. Zupełnie zapomniała o jajkach, choć poprzedniego dnia wpisała je na listę zakupów. Malin Stoltz potrafiła świetnie udawać. Doskonale potrafiła być kimś innym niż ona sama. Dopóki była kimś innym, wszystko było dobrze. Nietrudno wtedy znaleźć pracę. Jeszcze raz poszła do łazienki, ale zupełnie nie wiedziała, dlaczego to zrobiła, wróciła więc do kuchni i otworzyła lodówkę. Zegar na parapecie pod oknem wskazywał ósmą. Tego dnia nie wybierała się do pracy. To dobrze, bo źle spała.

Malin Stoltz postanowiła się ubrać i pójść na zakupy. Wybrać się do sklepu było łatwo,

należało tylko znaleźć ubrania. Sklep otwierali wcześniej. Kupić jajka również było łatwo, trzeba było tylko pamiętać, żeby włożyć je do koszyka, zapłacić za nie i zabrać ze sobą w plastikowej torbie. Malin Stoltz poszła do sypialni poszukać ubrań, ale gdy otworzyła drzwi, zobaczyła, że szafa jest pełna przetworów mlecznych. Mleko, masło, śmietana. Zamknęła drzwi i uzmysłowiła sobie, że jest w sklepie. Pachniało kwaśno. Było bardzo wcześnie, a ludzie źle spali. Dlatego tak pachniało. Malin Stoltz śniło się, że anioł zabrał ją ze sobą. Powiedział jej, że nie musi już dłużej przebywać na ziemi. Ale teraz znajdowała się w sklepie i musiała kupić jajka, bo czuła głód. Nie wszystkie dni były tak samo złe. Istniały sposoby, dzięki którym było trochę lepiej. Być kimś innym, o tak, wtedy było lepiej. Kiedy była samą sobą, jak dziś, nie czuła się już tak dobrze. Ale dziś musiała być sobą. Miała dzień wolny i doskwierał jej głód. Od dawna nie miała wolnego. Była pracowita i dobra w swoim fachu. Była uprzejmą i normalną Malin Stoltz, o oczach tego samego koloru. Wkrótce przestanie być Malin Stoltz i stanie się kimś innym. Już się na to cieszyła.

Zamknęła drzwi regału lodówki z przetworami mlecznymi i odszukała półkę z jajkami. Włożyła do koszyka cztery opakowania. Koszyk był niebieski, widziała to. Kiedy zamknęła brązowe oko. Kiedy zamknęła niebieskie, stawał się brązowy. To nieprawda, ale kiedy się udaje, wszystko jest możliwe. Cztery opakowania po dwanaście jajek to w sumie czterdzieści osiem. Próbowała sobie przypomnieć, co jeszcze było na liście, ale bez skutku. Chleb, naturalnie. Podeszła do stoiska z pieczywem i wybrała razowy. W sklepie wciąż pachniało kwaśno, musiała zatykać nos. Koszyk z jajkami był za ciężki, żeby nieść go w jednej ręce. Młody kasjer też pachniał kwaśno. Pachniał tak, bo źle spał. Na karcie były pieniądze, płatność została zaakceptowana. Teraz w sklepie naprawdę cuchnęło. Zdążyła tylko spakować jajka do torby i wybiec na świeże powietrze, gdy sklep za nią się rozpadł i zgnił. Usiadła na schodach i siedziała, dopóki powietrze się nie oczyściło. Potem wzięła torbę w prawą rękę i ruszyła do domu.

Munch zaparkował w pewnej odległości od kamienicy, tak by móc obserwować drzwi wejściowe. Chwilę potem zadzwonił telefon Mii.

– Tak?

– Tu Curry.

– Jest w domu?

– Nie, nikt nie odpowiada. Chcieliśmy na was zaczekać. Widzicie nas?

Mia rozejrzała się po ulicy i zobaczyła czarne audi.

– Tak.

– Co robimy?

Mia spojrzała na Muncha.

– Wchodzimy?

Munch pokręcił głową.

– Musimy pamiętać, że nie wiemy, czy ta kobieta ma coś na sumieniu. Wiemy tylko, że знаła Rogera Bakkena i że być może miała dostęp do telefonu Veroniki Bache. Nie chcę popełnić żadnego błędu.

– Nie, jeszcze czekamy – powiedziała Mia do telefonu. – Mamy ludzi na wszystkich ulicach?

– Tak.

– Wyślij Kima – powiedział cicho Munch.

– Wyślij Kima – przekazała Mia przez telefon. – Niech zadzwoni do któregoś z sąsiadów i spróbuje dostać się do środka.

– OK – odpowiedział Curry.

Chwilę potem otworzyły się tylne drzwi drugiego audi. Kim podszedł do drzwi wejściowych kamienicy. Zadzwonił dwa razy do jednego z mieszkańców i po chwili drzwi się otworzyły. Kim zniknął w budynku.

– Jest w środku – powiedział Curry.

– Widziałam – odpowiedziała Mia.

Robili tak już wielokrotnie. Zarówno podczas pozorowanych, jak i prawdziwych akcji. Jeden lub dwóch ludzi wewnątrz, pozostali na zewnątrz, w samochodzie i na pozycjach. Ktoś zapukał w szybę od strony Mii. Opuściła ją. Curry wsunął do środka małą torebkę i natychmiast odszedł. Mia otworzyła pakiecik i podała Munchowi drugą słuchawkę.

– Mamy łączność – powiedziała Mia i odłożyła telefon. – Kim, jesteś tam?

– Jestem.

– Jak to wygląda?

– Drzwi do piwnicy. Winda. Schody.

– Wejdz schodami na drugie piętro – powiedział Munch.

– OK.

W napięciu czekali, aż Kim odezwie się ponownie.

– Jestem.

– Na pewno to te drzwi?

– M. Stoltz – odpowiedział Kim.

– Dzwon.

Odczekali kilka sekund.

– Nie otwiera. Wchodzić?

Mia i Munch wymienili spojrzenia.

– Tak – odpowiedział Munch.

Mia przypomniała sobie słowa Anette. O tym, że Munch ma obsesję na punkcie tej sprawy i być może nie zawsze podejmuje prawidłowe decyzje.

– Jestem w środku.

– Masz coś?

Przez chwilę panowała cisza.

– Wielki Boże – jęknął Kim.

– Co jest? – zaniepokoił się Munch.

– To... Musicie to sami zobaczyć.

– Co jest?! – ryknął Munch, ale Kim nie odpowiedział.

Malin Stoltz nagle oprzytomniała i uświadomiła sobie, że trzyma w dłoni plastikową torbę. Była w sklepie. Zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, żeby wychodziła z domu. Rozejrzała się. Była na ulicy. Ostatnia rzecz, którą pamiętała, to ten dziwny sen. Anioł uniósł ją z ziemi i mogła wreszcie odejść, tak jak to sobie zaplanowała. Poza tym nie pamiętała prawie nic. Zajrzała do torby. Cztery opakowania jajek i chleb. O Boże.

Zdarzyło się to nie po raz pierwszy, ale za każdym razem ogarniał ją taki sam strach. Raz ocknęła się w tramwaju. Raz w drodze do Tøyenbadet. Wzięła głęboki wdech i usiadła na ławce. Może powinna znów wybrać się do lekarza? Nienawidziła tam chodzić, ale sprawy zaszły już chyba za daleko. Utrata świadomości zdarzała jej się ostatnio coraz częściej, szczególnie w dni, kiedy miała wolne. Dopóki pracowała, wszystko było w porządku. W domu już nie. Wtedy kiedy była sobą. Właśnie to było najtrudniejsze. Cieszyła się, że wkrótce będzie po wszystkim. Już niedługo. Wtedy odpocznie. Wkrótce nie będzie już musiała być Malin Stoltz. Ani Maiken Storvik. Ani Marit Stoltenberg. Próbowała przypomnieć sobie drogę powrotną do domu, ale obrazy rozmywały się jej w głowie. Skupiła się więc na swojej torbie. Czowała dotyk plastiku. Torba na pewno była prawdziwa. Na pewno? Była? Tak, czuła to. Przyjrzała się swojemu ubraniu. Dwa identyczne buty. Świetnie. Spodnie. Super. T-shirt, a na nim cienki pulower. Czowała się z siebie zadowolona, nie wyszła z domu bez ubrania. Ubrała się w miarę odpowiednio. Było dość chłodno, to fakt, ale mimo wszystko coś na sobie miała. Potarła ramiona dłońmi, chcąc się rozgrzać, i ponownie zaczęła się zastanawiać, jak z ławki dotrzeć z powrotem do domu. Znów spojrzała na torbę. Rema. Była w sklepie Rema. Wracając stamtąd, musiała minąć pizzerię. Obejrzała się i zobaczyła neonowy szyld na rogu. Pizzeria Milano. Stąd znała już drogę. Mniej więcej. Zdecydowanym ruchem wstała i przeszła przez ulicę. Było jej zimno. Jak najszybciej musi wrócić do domu. Za nic nie chciała się przeziębici. Nie mogła iść wtedy do pracy, tej zasady ściśle przestrzegano. Starsi ludzie byli tacy słabi... Nie mogła zawlec do domu opieki żadnych zarazków. Dotarła do pizzerii i się zatrzymała, wypatrując kolejnego punktu orientacyjnego. Ulica jednokierunkowa. Iść pod prąd. Tam, gdzie czerwony znak z białym paskiem pośrodku. Dostrzegła znak i podeszła do niego, ale nagle się zatrzymała.

Coś było nie tak. Coś się nie zgadzało. Nie było tak jak zazwyczaj. Nie tak jak każdego ranka. W parku kręcili się jacyś ludzie. Inni siedzieli w samochodach i na coś czekali, rozglądając się wkoło. Myśli w jej głowie powoli ruszyły. Bardzo powoli. I wtedy zrozumiała.

Upuściła plastikową torbę, odwróciła się i zaczęła biec w dół ulicy.

Sarah Kiese stała przed kamienicą na Mariboegate i czekała na kobietę imieniem Anette. Od kilku dni próbowała dodzwonić się na specjalną linię policyjną, ale telefon wciąż był zajęty.

„Tutaj policja w Oslo. Obecnie wszystkie linie są zajęte. Prosimy czekać”.

Wreszcie jej się udało. Po trzech dniach. Ostatnim razem czekała ponad czterdzieści minut. Nie poddawała się, czekała cierpliwie i w końcu uzyskała połączenie. Spodziewała się, że usłyszy w telefonie miły głos, ale ku jej zaskoczeniu kobieta po drugiej stronie była wyraźnie poirytowana. Brzmiało to niemal jak: „Czego?”. Sarah Kiese poczuła się, jak gdyby zrobiła coś nie tak. Być może tamta kobieta pomyślała sobie, że dzwoni z powodu nagrody. Ale tak nie było. Pieniądze jej nie interesowały. „Milion koron za wskazówkę, która przyczyni się do rozwikłania tej sprawy”. Kiedy przeczytała w gazecie o nagrodzie, nagle zrozumiała.

Jej mąż zginął przed niemal rokiem. Wypadł z niezabezpieczonego budynku podczas prac budowlanych, z wysokości prawie pięćdziesięciu metrów. Sarah Kiese cieszyła się, że nie żyje. Był strasznym człowiekiem. Niemal zniszczył jej życie. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego, nawet nie poszła na jego pogrzeb. Zapach innych kobiet. Pieniądze na rachunki, które znikwały z jej portmonetki i ze słoika w lodówce. Rozczarowanie w oczach jej córki, kiedy w tych rzadkich chwilach, gdy był w domu, nie chciał się z nią bawić ani rozmawiać. Pendrive od adwokata, a na nim niewyraźny film nagrany w miejscu, które zbudował. Jakieś podziemne pomieszczenie. Zapomniała o tym. Wyparła to z pamięci. Miała teraz własne życie. Kupiła nowe mieszkanie. Była zadowolona, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Ale wtedy znowu się pojawił. Film na pendrivie. Film, który skasowała. Wyznaczono nagrodę w wysokości miliona koron. Być może okłamała poirytowaną kobietę przy telefonie. Być może zadzwoniła właśnie dlatego. W każdym razie właśnie to ją obudziło. Jej mąż sprawiał wrażenie przerażonego. On, który zawsze starał się zgrywać twardziela. Drżał mu głos. Powiedział, żeby Sarah poszła na policję, gdyby coś mu się stało. Gdzieś na odludziu zbudował podziemne pomieszczenie. Z windą towarową i systemem wentylacyjnym. Skasowała film, nie chciała mieć nic wspólnego z tym człowiekiem. Kiedy o nim myślała, całe jej ciało przeszywał ból i najchętniej by zwymiotowała. Chciała wyrzucić go ze swojej głowy, ze swojego ciała i dlatego skasowała film. I rzeczywiście, zniknął z jej życia. Aż do chwili kiedy mniej więcej przed tygodniem przeczytała gazety. Milion koron za wskazówkę, która przyczyni się do rozwiązania tej sprawy. Pauline, Johanne, Andrea i Karoline. Wtedy zrozumiała.

J e j m a ż z b u d o w a ł p o m i e s z c z e n i e, w k t ó r y m b y ł y p r z e t r z y m y w a n e p o r w a n e d z i e w c z y n k i.

Sarah Kiese wyciągnęła z kieszeni gumę do żucia i się rozejrzała. Powiedziano jej tylko, że ma czekać tu, na ulicy. Sądziła, że siedziba policji znajduje się na Grønland, ale

najwidoczniej było inaczej. Albo byli rozlokowani w kilku miejscach. Nagle otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich postawna blondynka o twarzy usianej piegami.

– Sarah Kiese?

– Tak.

– Cześć, jestem Anette. – Policjantka pokazała legitymację.

– Przykro mi, że zadzwoniłam tak późno – powiedziała Sarah. – Ale linia była ciągle zajęta. A poza tym ja i mój mąż niezbyt dobrze się dogadywaliśmy. I w ogóle.

– Nie zwracaj sobie tym głowy – powiedziała piegowata funkcjonariuszka. – Cieszę się, że przyszedłeś. Przyniosłeś ze sobą ten laptop?

– Tak. – Sarah kiwnęła głową i pokazała torbę.

– To dobrze. Chodź za mną.

Policjantka imieniem Anette poprowadziła ją do drzwi żółtej kamienicy i przyłożyła legitymację do czytnika.

W czasie jazdy windą obie milczały. Ta Anette sprawiała znacznie sympatyczniejsze wrażenie niż kobieta, z którą rozmawiała przez telefon. Sarah cieszyła się z tego. Spodziewała się raczej reprimendy za to, że zgłosiła się tak późno. Dość się ich już nasłuchiwała w życiu.

– Tędy. – Anette się uśmiechnęła i poprowadziła ją korytarzem.

Dotarły do kolejnych zamkniętych drzwi. Policjantka przeciągnęła swoją kartę przez czytnik. Drzwi się otworzyły i obie znalazły się w przestronnym, jasnym, nowoczesnie urządzonej biurze. W środku panowała gorączkowa atmosfera. Bez przerwy ktoś się pojawiał i wychodził, niemal przez cały czas dzwonił telefon.

– Tutaj. – Piegowata policjantka uśmiechnęła się, wskazując Sarah pokój z oszklonymi ścianami.

Młody mężczyzna o zmierzwionych włosach siedział zwrócony do nich plecami przed prawdziwą ścianą ekranów komputerowych. Wyglądało to prawie jak w filmie. Wszędzie monitory, jakieś pudła, kable, migające lampki i mnóstwo dziwnych, nowoczesnych urządzeń.

– To Gabriel Mørk – odezwała się Anette. – Gabriel, to Sarah Kiese.

Młody mężczyzna wstał i uścisnął jej rękę.

– Cześć, Sarah.

– Cześć.

– Usiądź, proszę – powiedziała Anette, siadając na jednym z krzeseł. – Możesz nam jeszcze raz krótko opowiedzieć, o czym mówił na filmie twój mąż?

– Jasne – odpowiedziała Sarah zduszonym głosem.

W skrócie zrelacjonowała im wypadki ostatnich miesięcy. Śmierć jej męża. Adwokat. Pendrive. Film. Pomieszczenie, które zbudował jej mąż. Jego przerażona twarz. Sądziła, że może to mieć jakiś związek z zaginionymi dziewczynkami.

– A ten film z laptopa skasowałaś? – spytał młody mężczyzna.

Skinęła głową.

– Zrobiłam głupstwo, prawda?

– Cóż, nie ukrywam, że byłoby lepiej, gdybyś go miała, ale myślę, że uda nam się go odzyskać. Przyniosłeś ze sobą laptop?



Sarah Kiese wyjęła komputer z torby i podała go Gabrielowi.

– Pendrive’a oczywiście nie masz?

– Nie, wylądował w śmieciach.

– Ha, ha, tego niestety już nie odzyskam. – Młody mężczyzna mrugnął do niej.

Sarah uśmiechnęła się blado. Wszyscy byli tu dla niej tacy mili. Ulżyło jej. Bała się, że policjanci zareagują gniewem i będą ją krytykować.

– Chciałabym, żebyś złożyła zeznanie na piśmie. Dasz radę? – spytała Anette.

Sarah kiwnęła głową.

– Tak.

– Chcesz filiżankę kawy?

– Tak, proszę.

Piegowata policjantka uśmiechnęła się i wyszła z pokoju.

Po porannej modlitwie pastor Simon podszedł do Lukasa i powiedział, że ten dzień spędzą razem. Lukas nie wierzył własnym uszom. Razem? Tylko oni dwaj? Poczł, że zalewa go fala gorąca. Lukas prawie nie odstępował pastora Simona, ale pastor stale był czymś zajęty. Rozmawiał z Bogiem albo głosił Słowo Boże odszczepieńcom. Sam Lukas też miał zazwyczaj dużo ważnych zadań do wykonania. Zmywał podłogi, prał, dbał o to, żeby pastor Simon miał czystą pościel. Pewnego wieczoru, przed kilkoma laty, pastor Simon powiedział Lukasowi, że uważa go za kogoś bardzo mu bliskiego, za swoją prawą rękę. Od tamtej pory Lukas urósł prawie dziesięć centymetrów, wyprostował się i z podniesionym czołem stał u boku duchownego. Ale jednego mu brakowało. Nigdy nie skarżył się pastorowi, co to, to nie, nic takiego nie przysłoby mu do głowy. Ale jeśli czegoś mu brakowało, to tego, aby dzielić z pastorem również te wzniosłe, duchowe momenty.

I właśnie to miał dziś na myśli pastor Simon. Lukas widział to w jego oczach. „Dziś będziemy razem, Lukasi. Ty i ja”. To miał na myśli. Dziś Lukas dostąpi inicjacji. Pozna tajemnice, usłyszY głos Boga. Był tego pewny. Z gospodarstwa w lesie, z Porta Caeli, wyjechali zaraz po porannej modlitwie i śniadaniu. Kobiety w gospodarstwie znały się na gotowaniu. Lukas był dumny z pastora Simona, który wybrał same pojętne i uzdolnione niewiasty. Piętnaście posłusznych Słowu Bożemu kobiet – dobrze gotowały, utrzymywały dom i odzież w należytym porządku i nie bały się ciężkiej pracy. Właśnie takich będą potrzebować w niebie. Niepotrzebne im zapatrzone w siebie kobiety, które tylko siedziałyby przed telewizorem, malowały się jak ladacznice i wymagały, by mężczyźni pracowali za nie.

Lukas uruchomił silnik i ruszył w kierunku bramy. Tego dnia Bóg pobłogosławił ich piękną pogodą. Słońce stało wysoko na niebie, a on nabierał coraz większej pewności, że to stanie się dzisiaj. Dziś przejdzie inicjację. Oczywiście co nieco już wiedział. Pastor zdradził mu już to i owo, a on sam wielokrotnie podsłuchiwał rozmowy duchownego z Bogiem. Lukasa dręczyły czasem z tego powodu wyrzuty sumienia, ale nie umiał się powstrzymać. W swoim pokoju pastor często rozmawiał z Bogiem. Słyszając dochodzące ze środka głosy, Lukas zawsze zaczynał myć podłogę przed biurem pastora. W ten sposób, nie robiąc niczego zakazanego, mógł szorować podłogę, a jednocześnie napełniać się Słowem Bożym. Pastor opłacił kurs prawa jazdy Lukasa, podobnie jak zapłacił za wszystko, co Lukas posiadał. Czarny garnitur na ważne okazje, biały na msze. Trzy pary butów. I rower. Oczywiście za jedzenie i pokój w suterenie domu wspólnoty też. Pastor był bogaty. Pieniądze dał mu Bóg. Pastor Simon nie należał do tych, którzy gardzili bogactwem. Wielu wierzyło, że gdy ma się Boga, pieniądze są niepotrzebne, ale pastor wiedział lepiej. „W naszym przyszłym świecie obędziemy się bez pieniędzy, wszystkie nasze potrzeby będą zaspokajane. Ale w tym obowiązują inne zasady”. Lukas nie czytał gazet i nie oglądał

telewizji, ale miał świadomość, że ten świat opiera się na pieniądzu. Istnieli bogaci i biedni. Biedni byli zazwyczaj ci, których Bóg ukarał. Powodów do wymierzenia takiej kary mogło być wiele. Homoseksualizm albo uzależnienie od narkotyków. Nierząd, bluźnienie Bogu, Jezusowi albo własnym rodzicom. Czasami Bóg karał całe kraje albo kontynenty. Powodziami, suszami albo innymi kataklizmami, ale najczęściej wtrącając ludzi w ubóstwo. Lukas dobrze wiedział, że nie wszyscy, którzy byli bogaci, o t r z y m a l i pieniądze od Boga. Niektórzy swoje pieniądze u k r a d l i Bogu. To było oczywiste. Wszystkie pieniądze należały do Boga. A gdy ktoś miał ich zbyt dużo, a nie dostał ich od Boga, tak jak otrzymał je pastor Simon, oznaczało to, że wzbogacił się nieuczciwie i musi zostać ukarany.

Lukas pojechał drogą, którą wskazał mu pastor Simon. Nie pojechali z powrotem do domu wspólnoty, ale w głąb lasu, nad nieduże jezioro. Lukas zaparkował samochód, wysiadł i ruszył za swoim mistrzem na małą ławkę nad brzegiem. Ukradkiem obserwował pastora. Jego grzywa białych włosów była niczym antena, tak często myślał. Coś w rodzaju anielskiej anteny, która pozwalała pastorowi bezpośrednio kontaktować się z Bogiem. Słońce stało wysoko na błękitnym niebie i świeciło bezpośrednio za głową pastora. Lukas siedział jak na szpilkach. Uśmiechał się szeroko.

– Widzisz w wodzie diabła? – spytał pastor, wskazując ręką.

Lukas spojrzał na jezioro, niczego jednak nie widział. Woda była ciemna i nieruchoma, na jej powierzchni nie rysowała się najmniejsza zmarszczka. Zewsząd dobiegał świergot ptaków. Nigdzie ani śladu diabła.

– Gdzie? – spytał Lukas, przyglądając się dokładniej.

Nie chciał wprost powiedzieć „nie”, to byłoby zbyt głupie. Być może chodziło o test, który miał sprawdzić, czy jest gotów na inicjację.

– O tam. – Pastor jeszcze raz wskazał ręką.

Lukas w dalszym ciągu niczego nie widział. Nie chciał kłamać, ale nie chciał też wprost zaprzeczyć. Starał się jak mógł, wpatrywał się w toń jeziora, mrużył oczy w nadziei, że z wody wyłoni się diabeł, ale nic takiego się nie stało.

– Widzisz go, prawda? – zapytał wreszcie pastor.

– Nie – odpowiedział Lukas zawstydzony i spuścił głowę.

– Chciałbyś go zobaczyć?

Lukas był zdumiony. Nie zobaczył diabła i spodziewał się reprimendy. Bywało, że pastor Simon ganił tych, którzy oddalili się od Boga, ale tym razem nie podniósł głosu. W dalszym ciągu mówił spokojnie.

– Wierzę ci, Lukasie – powiedział ciepłym, łagodnym głosem. – Ale nie możemy zabrać ze sobą nikogo, kto nie widzi diabła. Bo jeśli nie widzisz diabła, nie możesz też zobaczyć Boga.

Lukas spuścił głowę jeszcze bardziej i pokiwał nią w milczeniu.

– Chciałbyś pójść z nami do nieba, prawda?

– Oczywiście – wymamrotał Lukas.

– Chcesz, abym ci go pokazał? – spytał pastor z uśmiechem.

– Pokazał?

– Diabła – odpowiedział pastor, uśmiechając się szeroko.

Lukas się ucieszył, ale jednocześnie trochę przestraszył. Oczywiście chciał, żeby pastor Simon pokazał mu diabła, pozwolił mu go zobaczyć. Dużo jednak słyszał o diable i nie był pewien, czy jest wystarczająco gotów na spotkanie z nim.

– Rozbierz się i wejdź do wody – powiedział spokojnie pastor.

Lukas był zaskoczony. Wiosna tuż-tuż, drzewa wokół nich zaczynały się zielenić, ale powietrze było wciąż bardzo chłodne. A woda na pewno lodowata.

– Śmiało. – Pastor ponaglająco ściągnął brwi.

Lukas wstał z ociąganiem i powoli zaczął się rozbierać. Po chwili stał nagi przed pastorem. Jego szczupłe ciało drżało w chłodnym powietrzu. Pastor długo i w milczeniu lustrował go od stóp do głów. Lukas najchętniej gdzieś by się skrył, nie czuł się komfortowo, ale miał świadomość, że to, co się tutaj dzieje, należy do rytuału inicjacji. Musiał to przetrzymać, jeśli chciał osiągnąć wyższy poziom wtajemniczenia. Żeby się tam wspiąć, trzeba znosić również mało przyjemne rzeczy.

– A teraz wejdź do wody – powiedział pastor Simon, dając znak ręką.

Lukas skinął głową i zszedł na brzeg. Wsadził do wody paluch stopy i natychmiast go cofnął. Woda była lodowata. Jakiś ptak zerwał się z gałęzi i uniół się w niebo. Lukas oplótł się ramionami. Żałował, że sam nie potrafi latać. Mógłby wtedy polecieć wprost do Boga i zostać tam już na zawsze. To nie tak, że nie chciał dostać się tam w arce, byli przecież wybrańcami Boga na ziemi. Ale gdyby potrafił latać, nie musiałby robić takich rzeczy, żeby móc dołączyć do pozostałych. Zerknął na pastora, który niczym słup soli siedział na ławce. Lukas zebrał się w sobie i zdecydowanie wszedł do lodowatej wody. Poczul ból. Miał wrażenie, jak gdyby stał wśród kostek lodu. Chciał zapytać pastora, jak daleko ma wejść, ale pastor milczał. Uniósł się z ławki i stanął na brzegu, zaledwie kilka metrów od Lukasa. Jego rozświetlone promieniami słońca białe włosy wyglądały jak aureola.

– Widzisz diabła? – zapytał znów pastor.

– N-n-nie – wyjąkał Lukas.

Zmusił się, żeby iść dalej. Poczul lodowatą wodę na tej części ciała, o której nie mówi się głośno, i zrobił jeszcze kilka kroków. Woda sięgała mu już do pępka.

– Widzisz go teraz? – zapytał pastor.

Jego głos nie brzmiał już tak miękko jak zwykle. Był zimny jak lód, jak woda. Lukas niemal nie czuł już ciała, jak gdyby zupełnie przestało istnieć. Spuścił głowę i pokręcił nią w milczeniu. Czul się kompletnie bezużyteczny. Nie widział diabła. Nie widział niczego. Być może nie zasłużył na to, by pójść do nieba? Być może musiał zostać tu, na tym świecie, razem z ładacznicami i złodziejami, i płonąć na wolnym ogniu, aż mięso odpadnie mu od kości, podczas gdy inni uniosą się do wiecznego Królestwa Bożego?

Pastor nagle ruszył i w kilku długich krokach znalazł się w wodzie. Lukas niespodziewanie poczul na karku zimną dłoń. Próbował się bronić, ale pastor był zbyt silny. Przygiął jego głowę, a potem wcisnął ją pod wodę, odcinając od powietrza. Lukas wpadł w panikę i zaczął rozpaczliwie machać ramionami. Potrzebował powietrza! Ale pastor nie zwalniał uchwytu i jeszcze mocniej wpychał głowę Lukasa pod wodę.

– Zobacz diabła! – doszedł do niego krzyk pastora.

Lukas otworzył oczy. Czul, jak wiotczają mu mięśnie. Teraz umrze. To dlatego pastor

przyprowałdź go do lasu. Nad to jezioro. Znalazł się tu nie po to, żeby przejść inicjację, ale żeby umrzeć. Lukas ostatni raz spróbował uwolnić się od uchwytu pastora, ale nie miał najmniejszych szans. Pastor był niemal jak opętany. Jego palce nie były już palcami człowieka, a bezlitosnymi szponami ze stali. W oczach Lukasa zaczęły latać mroczki. Jego płuca krzyczały o powietrze, ale nie potrafił się wyrwać ze stalowej dłoni pastora. Był otoczony wodą. Pozbawiony jakiegokolwiek możliwości decydowania o swoim życiu. Poruszania się. Oddychania. Woda przestała być zimna, była ciepła. Zrobiło mu się ciepłej. Widział swoje palce poruszające się gdzieś daleko. Pastor wciąż coś krzyczał, ale jego słowa nie docierały już do Lukasa. Nie wiedział, jak długo jest pod wodą. Czas przestał już być czasem, stał się wiecznością. Teraz umrze, nadeszła chwila śmierci. Walka nie miała sensu.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, jego głowa znalazła się nad wodą, w zimnym wiosennym powietrzu. Lukas zaczął kaszleć i się krztusić, z jego ust wylatywały resztki śniadania, miał wrażenie, że za chwilę pękną mu płuca. Pastor chwycił go za kark i wyciągnął na brzeg. Lukas się położył i oddychał spazmatycznie. Nie czuł ciała.

Pastor ukląkł obok niego i pogładził go po mokrych włosach. Lukas popatrzył na niego wielkimi przerażonymi oczami.

– Zobaczyłeś diabła? – Pastor się uśmiechnął.

Lukas kiwnął głową. Kiwał tak mocno, aż poczuł, że za chwilę złamie kark.

– Świetnie. – Pastor uśmiechnął się szeroko. Delikatnie pogładził policzek Lukasa. – W takim razie jesteś gotowy.

Mia Krüger stała w mieszkaniu Malin Stoltz. Doskonale rozumiała reakcję Kima.

– W życiu nie widziałem tylu luster – powiedział Kim, który wciąż nie mógł dojść do siebie. – Rozumiesz już, dlaczego tak mnie zamurowało?

Mia Krüger skinęła głową. Mieszkanie Malin Stoltz przypominało gabinet luster w wesołym miasteczku. Lustra były wszędzie. Pokrywały każdy centymetr kwadratowy mieszkania, od podłogi po sufit, we wszystkich pomieszczeniach.

Czekali na zewnątrz jeszcze godzinę, ale nikt się nie pojawił. Munch zdecydował o wejściu do mieszkania. Mia nie do końca się z nim zgadzała, ale nie zaprotestowała. To on tu rządził. Najchętniej zostałaaby w samochodzie i jeszcze poczekała. Tak byłoby najlepiej. Teraz się odkryli. Munch wezwał cały zespół do przeszukania mieszkania. Policjantów było widać z daleka, Stoltz za nic już nie wróci. Mia to wiedziała i Munch też to wiedział. Pomimo to podjął taką, a nie inną decyzję. A może Anette miała rację? Może Munch był zbyt blisko tej sprawy? Miriam i Marion ukryte w tajnym mieszkaniu na Frogner... Jego matka związana z tą wspólnotą...

– Widziałaś kiedyś coś takiego? – spytał Kim.

Mia pokręciła głową. Nie widziała. Nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego. Gdziekolwiek stanęła, w którąkolwiek stronę by się odwróciła, widziała samą siebie. Odczuwała silny dyskomfort, ale nie było ani jednego miejsca, w którym jej oczy mogłyby odpocząć, nie było ucieczki. Wyglądała na wyczerpaną. Nie przypominała siebie. Alkohol i tabletki pozostawiły wyraźne ślady na jej skórze i w kiedyś tak niebieskich oczach. Mia nie była próżna, ale to, co zobaczyła, jej się nie spodobało. A do tego wymknęła im się Malin Stoltz.

Munch wszedł do kuchni. On też nie wyglądał na zadowolonego. Westchnął głęboko i stanął niezdecydowany przed pokrytą lustrami lodówką. Widać było po nim, że niezbyt często używa lustra. Mia dostrzegła, jak przygląda się swojemu odbiciu. Wiele by dała, żeby wiedzieć, o czym teraz myśli.

– Wydałem nakaz zatrzymania – powiedział po chwili milczenia. – Mamy ludzi na Gardermoen, na dworcu głównym, na Torp, samochody tam gdzie trzeba, ale mam wrażenie, że nas wykiwała.

Munch podrapał się po brodzie i raz jeszcze przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze.

– Co to, do diabła, ma być, Mia?

Mia wzruszyła ramionami. Wiedziała, że gdy chodziło o takie rzeczy, inni zdawali się na jej intuicję, ale w tej chwili miała w głowie pustkę. Mieszkanie pełne luster? Kto chciałby widzieć się przez cały czas? Ktoś, kto boi się, że zniknie? Ktoś, kto musi widzieć się przez cały czas, aby mieć pewność, że istnieje? Była taka zmęczona... Stłumiła ziewnięcie. Musi się chwilę przespać. Całe jej ciało wołało, że potrzebuje odpoczynku.

W drzwiach stanął szef zespołu przeszukującego. Niewysoki mężczyzna po

pięćdziesiątce, którego imienia Mia nie pamiętała.

– I co? – spytał Munch z nadzieją w głosie.

– Nic – odpowiedział niewysoki mężczyzna.

– Niczego nie znalazłeś?

– Kiedy mówię nic, to nic. Tu nie ma niczego. Żadnych zdjęć. Żadnych osobistych przedmiotów. Żadnych napisanych ręcznie notatek. Żadnych gazet, żadnych kwiatów. Tylko parę ubrań w szafie i mnóstwo szminek w łazience. Zupełnie jak gdyby tu nie mieszkała.

Mia myślami przeniosła się do domu na Hitrze. Robiła tak samo. Żadnych osobistych rzeczy. Tylko ubrania, alkohol, tabletki i ekspres do kawy. To wszystko wydawało się tak niewiarygodnie odległe. Wspomnienie tak mgliste... A przecież wszystko działo się zaledwie trzy tygodnie temu. Trzy tygodnie temu ostatni raz wzniosła toast ku niebu, gotowa zniknąć.

„Chodź, Mio, chodź”.

– Ona tu nie mieszka – powiedziała.

– Co? – spytał Munch.

Mia była wyczerpana, ale zebrała siły.

– Ona tu nie mieszka. Tu mieszka Malin Stoltz, ale to nie ona. Mieszka gdzie indziej.

– Co masz na myśli? – spytał Kim. – Ona to nie Malin Stoltz?

– Żadna Malin Stoltz nie jest nigdzie zameldowana. To fałszywe nazwisko – odpowiedział Munch, poirytowany.

– W takim razie gdzie mieszka? – spytał Kim.

– Gdzie indziej. Nie przeszkadzaj teraz – prychnął Munch.

Również i jemu zmęczenie wyraźnie dawało się we znaki.

– Tu nie ma żadnego pomieszczenia, w którym mogłaby przetrzymywać dziewczynki.

Usiadła na stole. Z wycieńczenia nie potrafiła już stać na nogach. Piekły ją oczy. Wiedziała, że musi szybko wyjść z tego mieszkania, zanim te wszystkie lustra ją zabiją.

– Tutaj mieszka Malin Stoltz. Ale ona nie jest Malin Stoltz. Ma swoje rzeczy gdzie indziej. Tam, gdzie jest sobą. I gdzie były dziewczynki. Domek wakacyjny albo jakiś dom na uboczu. Możesz odwołać ludzi z lotnisk. Ona nie ucieknie z kraju.

– Skąd to wiesz? – spytał Munch.

– Lubi być w domu – odpowiedziała Mia. – Nie pytaj mnie, skąd to wiem.

– Niech zostaną do wieczora – powiedział Munch. – Teraz musimy wrócić do domu opieki. Ktoś tam musi przecież coś wiedzieć o tej Malin.

Odwrócił się do Kima.

– Zajmiesz się tym? Pogadasz z całym personelem?

Kim skinął głową.

– Muszę się chwilę zdrzemnąć – wymamrotała Mia.

– Spokojnie. Jedź do domu, będę cię informować na bieżąco.

– Ty też powinieneś się przespać.

– Dam sobie jakoś radę – odpowiedział Munch z irytacją.

– Mamy się już zwijać czy co? – spytał niewysoki mężczyzna.

– Nie – odpowiedziała Mia.

– Dlaczego nie?

– Czegoś tu brakuje. Musi tu mieć jakiś schowek.

– Szukaliśmy wszędzie – odpowiedział niewysoki mężczyzna, trochę zdenerwowany sugestią, że wykonują niedbale swoją pracę.

– Szkła kontaktowe – powiedziała Mia.

– Co?

– Szkła kontaktowe. Używa szkieł. Jeśli trzyma tu szminki i ubrania, musi tu mieć też gdzieś soczewki.

– Skąd wiesz, że nosi szkła kontaktowe? – spytał niewysoki policjant.

Mia poczuła, że mężczyzna zaczyna działać jej na nerwy.

– Kiedy z nią rozmawiałam, miała niebieskie oczy. Ktoś inny mówił, że ma oczy różnego koloru. Gdzieś tu muszą być soczewki. Jeśli je znajdziemy, być może znajdziemy coś jeszcze.

– Ale wszędzie już... – zaczął niewysoki mężczyzna.

– Szukajcie dalej – polecił Munch.

– A gdzie?

– Soczewki przechowuje się w chłodnym miejscu – powiedziała Mia. – Przyjrzyjcie się lustrum.

– Ale...

– Zaczynajcie od łazienki – powiedziała Mia. – To tam chyba zwykle zakłada się szkła, prawda? Zbadajcie lustra, to znaczy... Cholera, mam na myśli, żebyście przyjrzel się lustrum.

Mia wstała i na sekundę straciła równowagę. Nogi się pod nią ugięły, ale Kimowi w porę udało się ją złapać.

– Mio?

– Mio, wszystko w porządku?

Mia doszła do siebie i się wyprostowała. Nie chciała sprawiać wrażenia słabej. Nie przed kolegami. Niech to szlag.

– Już dobrze. Muszę tylko się przespać i coś zjeść. Zadzwoń do mnie, dobrze?

Chwiejnym krokiem ruszyła do drzwi. Gdy tylko znalazła się na klatce schodowej, od razu zrobiło jej się lepiej. Mieszkanie pełne luster. Wszystkie ściany, od podłogi do sufitu, wyłożone lustrami. Co to, do cholery, miało być?

Mia Krüger niepewnym krokiem zeszła po schodach i kazała policjantowi z patrolu odwieźć się do domu. Do domu? Co to, do diabła, był za dom? To nie dom. Nie miała domu. Mieszkała w hotelu w Oslo, swoje rzeczy oddała do przechowalni i posiadała nieruchomość na Hitrze. Tym była teraz. Nikim. Dlatego tak ją bolało, kiedy widziała się w tych wszystkich lustrach.

Opadła bezwładnie na łóżko i zasnęła w ubraniu.



– Mamo, co robisz?

Marion Munch patrzyła na swoją matkę, która siedziała na sofie przy oknie. Miriam otrzymała polecenie, by zasłony były stale zaciągnięte, ale nie mogła już tego dłużej znieść. Musiała choć na chwilę wyrzucić na zewnątrz, poczuć, że świat wciąż istnieje.

– Tylko rzuciłam okiem przez okno, kochanie. Dlaczego wstałaś?

Marion podeszła do mamy i usiadła jej na kolanach.

– Nie mogę spać.

– Ale musisz spać, moja mała – powiedziała Miriam Munch, gładząc córkę po włosach.

– Wiem, ale nie potrafię spać, kiedy nie śpię – stwierdziła dziewczynka, przekrzywiając głowę.

– Mówimy na to „zasnąć” – odrzekła Miriam, uśmiechając się lekko.

Jej córka stała się w ostatnim czasie wyjątkowo rezolutna. Miriam musiała przyznać, że sama była taka w jej wieku. Krnąbrna i przemądrzała. Przedwcześnie dojrzała. Westchnęła i zaciągnęła zasłony. Wyparła wiele ze swojego dzieciństwa. Po rozwodzie rodziców część jej wspomnień po prostu znikła. Jak gdyby dzieciństwa nigdy nie było. Jej rodzice chcieli się rozstać. Pamiętała, że miała wtedy piętnaście lat, pamiętała pojawiające się pierwsze wątpliwości. Myślała tak: kłamali przez cały czas. Ale to było dawno. Bardzo dawno. Czuła się wściekła, naprawdę wściekła. Przede wszystkim na swojego ojca, Holgera Muncha, dochodzeniowca z wydziału zabójstw. A przecież była z niego taka dumna. „Mój tata jest policjantem. Może wsadzić twojego do więzienia, jeśli coś przeskrobie”. A on ją zranił. Doprowadził matkę do tego, że musiała poszukać sobie innego mężczyzny. Mężczyzny, z którym Miriam właściwie nic nie łączyło. Była teraz starsza, ale wciąż nie dawało jej to spokoju. Bardzo się do siebie zbliżyli. Można powiedzieć, że istnieli tylko oni dwoje. Ona i ojciec. Właściwie już dawno chciała zrobić z tym porządek. Usiąść obok niego i powiedzieć: „Przykro mi, tato, przepraszam, że byłam taka w stosunku do ciebie”. Ale nie potrafiła. Po prostu. Krnąbrna i przemądrzała. Poczwała, że nadeszła pora. Wkrótce mu to powie.

– A więc powiedzmy to, mamo.

– Dobrze, Marion. Teraz musisz iść do sypialni i z a s n ą ć. Dasz radę?

– To takie trudne – westchnęła blondwłosa dziewczynka. – Ciągle myślę o Draculaurze i Frankie Stein. Są w domu tacy sami...

Lalki, które jej ojciec kupił Marion jakiś czas temu.

– Ach, dają sobie radę.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiałam całkiem niedawno z tatą i powiedział mi, że u nich wszystko w porządku. Pozdrawia cię i każe ci to przekazać.

Marion uśmiechnęła się słabo.

– Okłamujesz mnie, mammo.

– Ja? Coś ty? Wcale nie kłamię, skąd ci to przyszło do głowy? – spytała rozbawiona Miriam.

– Bo one nie potrafią mówić!

– Przecież mówią, kiedy się nimi bawisz?

– Ach, mammo. To przecież mój głos, nie słyszysz tego?

– Ach tak? – powiedziała Miriam, udając zaskoczenie. – Twój głos? A ja myślałam, że one mówią.

Marion się zaśmiała.

– Czasem dajesz się łatwo nabrać, mammo.

– Naprawdę?

– Tak.

– Często mnie oszukujesz?

– Tak, czasami.

Marion sięgnęła po leżący na sofie koc i się nim owinęła. Położyła głowę na piersi matki. Miriam czuła przez pulower bicie serca małej.

– A więc kiedy oszukujesz mamę?

– Kiedy mówię, że umyłam dobrze zęby.

– A nie myjesz ich?

– Myję, ale tak jakby nie do końca.

– A więc kiedy pytam, czy umyłaś porządnie zęby, one są wciąż brudne?

– Tak. – Dziewczynka zachichotała.

– A więc jak je myjesz?

– Tak mniej więcej w połowie.

Miriam się uśmiechnęła i znów pogłaskała córkę po głowie.

– Chyba powinniśmy niedługo podciąć ci trochę włosy.

– Masz na myśli wizytę u fryzjera?

Miriam skinęła głową.

– O tak, bardzo bym chciała! Możemy jutro?

– Nie, jutro nie. Pójdziemy wtedy, kiedy wrócimy do domu.

– A kiedy wrócimy do domu?

Jej córka spojrzała na nią prawie błagalnie.

– Tego nie wiem, kochanie. Kiedy dziadek nam pozwoli.

– Dostaniemy nowy dom, kiedy już wrócimy?

Miriam spojrzała pytająco na córkę.

– Co masz na myśli?

– No wiesz, move that bus.

– Przesunąć autobus? Co masz na myśli, Marion?

– Przecież wiesz. Kiedy ludzie w telewizji przestają lubić swój dom, wtedy odsyła się ich gdzieś daleko i w tym czasie budują im nowy dom. Kiedy jest gotowy, tamci wracają, ale zawsze stoi tam autobus i wszyscy krzyczą: Move that bus. I wtedy on odjeżdża, a za nim ukazuje się piękny dom, wszyscy się cieszą i płaczą. Chciałabym mieć różowy pokój z łóżkiem pod sufitem. Dostanę taki kiedyś?

– Z łóżkiem pod sufitem?

– Tak.

– Zobaczymy. A gdzie to oglądasz takie programy?

– U dziadka.

– Ty i dziadek oglądaliście razem Ekstremalne metamorfozy?

– Nie pamiętam, jak się nazywał ten program, mamó.

Miriam wyraźnie zaznaczyła, które programy wolno oglądać Marion podczas jej wizyt u dziadka, a które nie, ale najwyraźniej jej słowa zostały pущczone mimo uszu. Jej ojciec oglądał coś takiego? Zupełnie nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Jakie jeszcze programy oglądałaś z dziadkiem?

– Nie wolno mi o tym mówić.

– Dlaczego?

– Bo to, że pijemy colę i oglądamy telewizję, to nasza mała tajemnica, rozumiesz, mamó? Moja i dziadka. A tajemnic nie wolno zdradzać, takie jest prawo.

– Tak, masz rację, nie wolno ich zdradzać.

Marion wtuliła twarz w szyję matki i zamknęła oczy. Włożyła kciuk do ust, ale się zreflektowała i z powrotem położyła dłoń na brzuchu. Dzielną dziewczynką. Długo próbowała odzwyczaić się od ssania kciuka. Nie było łatwo. Ale teraz wszystko wskazywało na to, że jej się udało. Miriam szczerzej owinęła córkę kocem i mocniej przytuliła ją do siebie.

– Mamó?

– Czy przypadkiem nie miałaś teraz zasnąć?

– Przecież nie mogę zasnąć, kiedy mówię – odpowiedziała Marion rezolutnie.

– Nie, to oczywiste – zaśmiała się Miriam.

To był błąd. Zaśmiała się. Dała małej pretekst, by mówiła dalej. Ale szczerze powiedziawszy, cieszyła się, że jej córka nie spała. Kiedy spała, mieszkanie było przeraźliwie puste i ciche.

– O co chciałaś mnie zapytać?

– Dlaczego nie ma z nami tatusia?

Miriam nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ze względów bezpieczeństwa Johannes nie został poinformowany, gdzie się znajdują. Ktoś, kto wieszał dziewczynki na drzewach, potrafiłby zapewne bez trudu wydobyć z niego, gdzie ukrywa się jego rodzina. Johannes. Pomyślała o nim ciepło. Ojciec był nieubłagany, ślub odwołano. Długo próbowała wyperswadować ojcu ten pomysł, ale w końcu musiała przyznać mu rację. Uczucia mówiły jedno, rozum drugie. Nie powinni spraszać tylu gości do kościoła. Gości, rodziny i przyjaciół. To byłoby nieodpowiedzialne. Niedobre dla nikogo. Nie teraz, kiedy Marion była numerem 5.

„Tik-tak, mała Marion = 5”.

Jej ojciec strasznie wściekł się na Mię, ale Miriam była wdzięczna, że jej to powiedziała. Lepiej było znać prawdę, choćby straszną, niż błędzić po omacku.

– Dlaczego nic nie mówisz, mamó?

– Tatuś musi pracować. Ale bardzo cię kocha. Mam ci to przekazać.

– Dzwoniłaś do niego?

- Tak, niedawno.
- A dlaczego nie mogłam z nim porozmawiać?
- Ponieważ spałaś.
- Wcale nie spałam!
- Ale ja myślałam, że spałaś.
- To nie to samo, mamo. Następnym razem musisz sprawdzić, tak nie może być.

Miriam znów się uśmiechnęła.

– Tak zrobię, kochanie. Tak zrobię.

– Dobrze – powiedziała Marion.

Dziewczynka odrzuciła koc na bok i wstała.

– Chyba pójdę do łóżka.

– Dobrze, Marion. Chcesz, żebym cię zaniósła?

– Nie jestem już dzieckiem – odpowiedziała Marion urażona. – Dobrze wiem, gdzie jest łóżko.

Miriam się zaśmiała.

– Jesteś bardzo dzielna. W takim razie daj mamie buziaka na dobranoc.

Dziewczynka pochyliła się i mocno objęła matkę.

– I nie zapomnij: chcę różowego pokoju i łóżka pod sufitem. Move that bus!

– Przekażę komu trzeba. – Miriam się uśmiechnęła i pocałowała córkę w policzek.

– Dobranocki.

– Dobranocki.

Marion ubrana w koszulkę nocną pobiegła po schodach na górę. Miriam wstała i poszła do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbatę. Usłyszała sygnał nadchodzącej wiadomości. Wróciła, żeby ją przeczytać.

Sorry, Miriam, ale dziś wieczorem musimy Was znów przenieść. Coś się wydarzyło, wyjaśnię Ci później. Zaraz kogoś po was przyślę. OK? M.

Cholera. Teraz? Marion dopiero co się położyła. Trudno. Jest na tyle lekka, że da radę ją znieść. Coś się wydarzyło? Ciekawe co. Odpisała:

OK :-)

Poszła do przedpokoju i wyciągnęła walizkę. Zabrała ze sobą niewiele rzeczy. Dwie zmiany bielizny dla każdej z nich. Przybory toaletowe. Tylko to co najpotrzebniejsze. Potrzebowała dziesięciu minut, żeby wszystko spakować. Przyniosła z kuchni filiżankę z herbatą i usiadła na sofie. Zastanawiała się, dokąd teraz pojedą. Pierwsze mieszkanie było małe, bez telewizora, miało tylko jeden pokój. Przyprawiało ją o klaustrofobię, doprowadzało ją do szaleństwa. Mieszkanie, w którym przebywały teraz, było znacznie większe i luksusowo urządzone. Z pewnością przyjmowano tu ważnych gości, którzy z jakichś przyczyn nie chcieli zwracać na siebie uwagi. Zupełnie anonimowe, doskonałe, żeby skryć się przed ciekawskimi dziennikarzami. Takimi jak ona. Czy to dlatego zrezygnowała ze studiów dziennikarskich? Bo praca w mediach przestała jej odpowiadać? Bo wolała raczej robić coś bardziej wartościowego? Pomagać ludziom? Nie, to nie dlatego. Praca dziennikarza miała wiele pozytywnych stron. Skąd w ogóle przyszła jej do głowy taka myśl? Wśród dziennikarzy byli najróżniejsi ludzie, dokładnie tak jak wśród nauczycieli czy policjantów. Niektórzy pisali o celebrytach. Inni o niesprawiedliwości.

Miriam chciała zostać dziennikarką, która o coś walczyła. Wykorzystywała swoje umiejętności, by dostarczać ludziom rzetelne informacje, a nie ogłupiać ich artykułami o tym, kto ubiera się najlepiej, i opowiadać im, co jakaś gwiazda ekranu zjadła w Boże Narodzenie.

Ledwie dopiła herbatę, kiedy odezwał się dzwonek domofonu. Miriam podbiegła i nacisnęła przycisk.

– Tak?

– Cześć, jak ci idzie?

– Jestem gotowa, wejdź na górę.

Wcisnęła przycisk otwierający drzwi wejściowe i założyła buty. Przeniosła walizkę do przedpokoju i założyła kurtkę. Miała nadzieję, że Marion nie obudzi się w czasie jazdy. Będzie wtedy marudna i pewnie już nie zaśnie.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Nie dzwonek. Bystrzaki z tych policjantów, pomyślała Miriam. Wiedzą, że w domu jest śpiące dziecko. Poszła otworzyć. Przed drzwiami ktoś stał. Na twarzy miał coś w rodzaju maski. I perukę. Nie zdążyła zareagować. Człowiek stojący pod drzwiami przyłożył jej do twarzy jakąś szmatkę. Usłyszała tylko:

– Dobranocki.

A potem straciła przytomność.

Mia Krüger siedziała przy oknie w Kaffebränneriet i walczyła ze snem. Dotarłszy do hotelu, niemal natychmiast zasnęła jak kamień, zdążyła tylko nastawić budzik w telefonie. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że pozwoliła sobie na kilkugodzinny sen, ale jej ciało było zupełnie innego zdania i chciało z powrotem do łóżka, pod kołdrę, do snów.

Słumiła ziewnięcie i zadzwoniła do Kima Kolsø.

– Kim, słucham?

– Mamy coś na temat personelu domu opieki?

– Nie – westchnął. – Najwyraźniej nikt nie utrzymywał z nią szczególnie bliskich kontaktów. Wygląda na to, że Malin Stoltz była odludkiem.

– Jesteś tam jeszcze?

– Nie, już wracamy. Musimy obskoczyć tych, którzy nie mają dziś dyżuru. Może uda nam się dowiedzieć czegoś od nich.

– Informuj mnie na bieżąco.

– Jasne.

Mia po raz kolejny słumiła ziewnięcie i wstała, by zamówić jeszcze jedną kawę. Jedyne sposobem, żeby jako tako funkcjonować – kawa, mnóstwo kawy. Żeby zmusić głowę do pracy. Żeby jakoś trzymać się na nogach. Śnił jej się labirynt luster. Nie mogła znaleźć wyjścia, czuła się uwięziona, i to uczucie wciąż jej towarzyszyło. Zamówiła podwójne espresso i już zamierzała wrócić na swoje miejsce przy oknie, kiedy nagle jej uwagę zwróciły dwie kobiety. Siedziały przy stoliku przy barze i rozmawiały o czymś poufnym tonem, na tyle jednak głośno, by je słyszeć.

– Próbowaliśmy naprawdę wszystkiego, ale bez rezultatu – powiedziała jedna z kobiet.

– Przykro mi. To z twojego powodu czy twojego męża? – spytała druga.

– Nie udało im się tego wyjaśnić – powiedziała pierwsza.

– To straszne. Współczuję.

– Tak, gdyby nie grupa wsparcia, nie udałoby mi się tego przetrwać. On po prostu nie chciał o tym w ogóle rozmawiać – powiedziała pierwsza.

– A nie zastanawiacie się nad adopcją?

– Ja zrobiłabym to chętnie, ale on... Chyba nie. Nawet nie chce o tym rozmawiać.

– Przecież to głupie z jego strony. Pomóc dziecku, które nie ma rodziców? Tu przecież każdy wygrywa.

– Tak, ja też tak na to patrzę, ale on...

– Przepraszam – powiedziała Mia. – Naprawdę nie chciałabym przeszkadzać, ale usłyszałam mimowolnie waszą rozmowę.

Obie kobiety spojrzały na siebie.

– Grupa wsparcia? O jakiej grupie wsparcia mowa?

Pierwsza z kobiet sprawiała przez chwilę wrażenie trochę urażonej, ale pomimo to

odpowiedziała:

– Grupa wzajemnego wsparcia dla kobiet, które nie mogą mieć dzieci. Dlaczego pytasz?

– Jedna z moich przyjaciółek... – zaczęła Mia, ale się rozmyśliła. – Ja... Niestety nie mogę mieć dzieci.

– Och... – westchnęła pierwsza z kobiet. – To przykre.

Jej zachowanie zmieniło się momentalnie. Nie była już urażona. Witaj w klubie, płyniemy w tej samej łodzi.

– Czy to było tu, w Oslo, czy gdzieś indziej? – spytała Mia.

– Tutaj, w Bøler. – Kobieta kiwnęła głową.

– Dużo jest takich grup? – spytała Mia zaciekawiona.

– Tak, są wszędzie. Gdzie mieszkasz?

– Wielkie dzięki – odpowiedziała Mia. – W takim razie spróbuję.

– Nie ma za co – odparła kobieta. – Myślałaś już o adopcji?

– Myślę przez cały czas – odpowiedziała Mia, odbierając swoje espresso. – Naprawdę wielkie dzięki.

– Musimy trzymać się razem – odpowiedziała kobieta, puszczając do niej oko.

– Musimy.

Mia mrugnęła w odpowiedzi. Z filiżanką w dłoni zaczęła przeciskać się do swojego stolika, kiedy zadzwonił Ludvig.

– Mia.

– Ludvig z tej strony. Masz chwilę?

– Tak.

– Znalazłem coś na temat tej wspólnoty. Mamy coś na ich temat. Sprawa sprzed wielu lat. Skarga z centrum opieki Hvelven w Hønefoss.

– W Hønefoss?

– Tak. Trzy skargi, wszystkie wycofane. Musieli się jakoś porozumieć.

Centrum opieki w Hønefoss. Dom opieki w Høvik. Coś musiało je łączyć.

– Możesz wystarać się dla mnie o listę ówczesnych pracowników tego centrum?

– Już w drodze.

– Sprawdzisz dla mnie jeszcze jedną rzecz?

– Wal.

– Mógłbyś się dowiedzieć, czy w czasie poprzedzającym zniknięcie dziecka istniała w Hønefoss grupa wsparcia dla kobiet niemogących mieć dzieci?

– Zrobi się. Na jutro rano, jeśli...

– Świetnie. Jest coś nowego w sprawie Malin Stoltz?

– Wciąż szukamy.

– Znajdziemy ją.

– Jeśli ktoś ma to zrobić, to tylko ty.

– Dzięki, Ludvig.

– Nie ma za co.

– Do jutra.

– Na razie.

Mia się rozłączyła i jednym haustem wypila kawę. Założyła skórzaną kurtkę

i z uśmiechem na twarzy wyszła z kawiarni.



Mia Krüger spoglądała na Holgera Muncha i było jej go żal. Jechali do siedziby wspólnoty religijnej w Bøler. Pracowali wspólnie nad niejedną sprawą, ale nigdy nie widziała go tak wyczerpanego. Siedział otępiały, z papierosem w kąciku ust i pustym wzrokiem wpatrywał się w drogę przed sobą. Zmartwienia dosłownie przygniotły do ziemi tego niegdyś tak opanowanego śledczego. Ta sprawa wdarła się głęboko w jego życie osobiste. Małej Marion grozono. Malin Stoltz udało się do tego stopnia wytrącić Holgera Muncha z równowagi, że zatracił zdolność racjonalnej oceny sytuacji.

– W domu opieki kompletnie nic? – spytała spokojnie.

– Wydaje się, że Malin Stoltz ma dwa życia – powiedział Munch. – Część pracowników zna ją z pracy, ale w czasie wolnym nikt nie utrzymywał z nią kontaktów.

– Udało ci się porozmawiać z matką?

Mia wiedziała, że kwestia jest drażliwa, ale to pytanie musiało kiedyś paść. Bądź co bądź kobieta była uwikłana w sprawę.

Munch kiwnął głową.

– Na czele tej wspólnoty stoi facet, którego nazywają pastor Simon.

To imię z trudem przeszło Munchowi przez usta. Nie ulegało wątpliwości, że nie był sobą. Być może Anette miała rację. Być może powinien zostać odsunięty od sprawy. Zaczęła skłaniać się ku tej opinii.

– Nic więcej? Jakies nazwisko?

Munch westchnął i pokręcił głową.

– Pastor Simon, to wszystko. Poprosiłem Gabriela, żeby trochę poszperał i zobaczył, czy uda się znaleźć coś więcej.

– A ten Lukas Walner? Wiemy, kto to taki?

Munch znów pokiwał głową.

– To najwidoczniej asystent tego pastora.

– Widziałeś ich kiedyś?

Mia wiedziała, że Munch nie chciał usłyszeć i tego pytania, ale musiała je zadać.

– Widziałem. Z daleka – powiedział Munch ponuro i otworzył okno.

Wyrzucił niedopałek i natychmiast zapalił kolejnego papierosa. Zatrzymali się przed białym budynkiem, w którym mieściła się siedziba domu wspólnoty. Gdyby nie wiedziała, dokąd się wybierają, nie uwierzyłaby, że są na miejscu. Z zewnątrz nic nie wskazywało na to, że stoją przed świątynią. Budynek wyglądał zupełnie anonimowo. Dopiero kiedy minęli bramę i podeszli do drzwi, nabrali pewności, że są we właściwym miejscu. Na niewielkiej tabliczce obok drzwi wejściowych widniał napis „Kościół Matuzalemony”, a nad nim niewielki krzyż. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Drzwi były zamknięte, wewnątrz panowała głucha cisza.

Munch zszedł po schodach i zwirowaną ścieżką ruszył na tyły budynku. Mia zamierzała

pójść za nim, ale w tej chwili zadzwonił jej telefon. Przez chwilę biła się z myślami, zastanawiając się, czy odebrać połączenie. Widziała, w jakim stanie jest Munch, i nie chciała nawet na chwilę zostawiać go samego. Cała jednostka była jednak w ciągłej całodobowej gotowości alarmowej, nie miała więc wyjścia. Zobaczyła tylko znikające za rogami plecy Muncha w grubej wełnianej kurtce i nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Mia. Słucham?

– Czy rozmawiam z Mią Krüger? – W słuchawce rozbrzmiał męski głos.

Nie rozpoznała, do kogo należał.

– Tak. Z kim rozmawiam?

– Trudno cię złapać – powiedział głos z wyrzutem.

– Naprawdę? Ale z kim rozmawiam? – spytała Mia.

– Wybacz, że ci przeszkadzam – powiedział mężczyzna. – Już od jakiegoś czasu próbuję się z tobą skontaktować, ale jak powiedziałem, to nie takie proste.

Mia skrzyła za róg i zobaczyła Muncha, który przez okno zaglądał do wnętrza domu.

– Ale o co chodzi? – spytała zniecierpliwiona.

– Nazywam się Albert Wold – powiedział mężczyzna. – Jestem zakrystianem w kościele Borre.

Kościół Borre.

Cmentarz, na którym leży pochowana cała jej rodzina.

– Jeszcze raz przepraszam, że przeszkadzam – powiedział kościelny.

– Czy coś się stało?

Munch poszedł dalej i zajrzał przez kolejne okno.

– Tak, dlatego dzwonię. Przed tygodniem odkryliśmy pewną rzecz, która wydała nam się dziwna. Nie wiedzieliśmy, co zrobić, oprócz rzecz jasna powiadomienia ciebie.

– Ale co się stało? – spytała nieco rozdrażniona Mia. Ruszyła za Munchem.

– Doszło tu do zbezczeszczenia grobu – odrzekł kościelny.

– Co? – spytała Mia. – Nie rozumiem.

– Tak, i to jest właśnie najdziwniejsze – powiedział mężczyzna. – Najwyraźniej sprofanowano tylko grób twojej siostry.

Mia Krüger stanęła i przestała śledzić wzrokiem kolegę.

– Grób Sigrid?

– Tak. Przykro mi – powiedział współczująco kościelny. – Według naszej wiedzy żaden inny grób nie ucierpiał.

– Profanacja? Co się stało?

– Nie wiem, jak to ująć – powiedział mężczyzna. – To wszystko jest trochę... nieprzyjemne. Ktoś przekreślił imię twojej siostry na nagrobku.

– Przekreślił? Jak mam to rozumieć?

– Farbą w spreju. Najpierw pomyśleliśmy sobie, że to zwyczajny akt wandalizmu. To się zdarza, kręci się tu naprawdę nieznośna młodzież, ale potem uświadomiliśmy sobie, że nie o to chodzi. I to jest właśnie dziwne.

Mia rozejrzała się za Munchem, ale nie mogła go nigdzie znaleźć.

– Co właściwie masz na myśli? Co jest „nie tak”?

– Teraz jest tam twoje imię.

– Co?

– Ktoś przekreślił „Sigrid” i dopisał „Mia”.

Mia Krüger się wzdrygnęła i w tej samej chwili zobaczyła Muncha wychodzącego zza rogu. Zamachał do niej ręką, przywołując ją do samochodu.

– Mogłabyś tu zajrzeć? – spytał zakrystian.

Munch podszedł do auta. Wymownie spojrzął na zegarek i poirytowany przywołał ją jeszcze raz.

– Spróbuję przyjechać tak szybko jak to możliwe – powiedziała Mia i się rozłączyła.

– Co ty tam robisz? – krzyknął Munch. – Dom wygląda na opuszczony. Musimy wydać nakaz doprowadzenia i tego Lukasa, i pastora.

– Co? – spytała nieobecna duchem Mia.

Ktoś sprofanował grób Sigrid.

– Musimy wydać nakaz doprowadzenia – powiedział Munch, coraz bardziej rozdrażniony. – Musimy znaleźć tych idiotów i ich przesłuchać.

Uruchomił silnik i wjechał na Bogerudvei. Mia zastanawiała się, czy powiedzieć mu o rozmowie z zakrystianem, ale wtedy zadzwonił telefon Muncha. Rozmowa nie trwała nawet dziesięciu sekund. Kiedy odłożył telefon, jego twarz, i tak blada, była biała jak ściana.

– Co jest? – spytała Mia.

Munch nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Dosłownie szeptał:

– Dzwonili z domu opieki. Matce gwałtownie się pogorszyło. Muszę tam natychmiast jechać.

– Cholera! – zaklęła Mia.

– Wysadzę cię w centrum. Załatw ten nakaz doprowadzenia.

– Jasne. – Mia kiwnęła głową. Chciała go jakoś wesprzeć, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

Munch włączył koguta, wcisnął pedał gazu i popędził w kierunku centrum.

# CZĘŚĆ V

Emilie Isaksen jechała samochodem drogą prowadzącą na wschodnie przedmieścia Ringkollveien. Była tu nowa, mieszkała w Hønefoss dopiero od roku, i niespodziewanie przyszło jej do głowy, że szybciej będzie pojechać Hadelandsveien, a potem skręcić w Gamle Ringkollveien. Tak też zrobiła. Emilie Isaksen była nauczycielką norweskiego. Wielu jej uczniów mieszkało w tej okolicy, kilka kilometrów za miastem. Włączyła drugi bieg i skręciła w Gjermundboveien.

Emilie Isaksen już w szkole średniej wiedziała, że chce zostać nauczycielką. Znalazła pracę w szkole krótko po ukończeniu studiów nauczycielskich. Spodobało jej się już od pierwszego dnia. Na początku wielu kolegów rozmawiało z niedoświadczoną koleżanką, udzielając jej życzliwych rad. Żeby myślała też o sobie, wystrzegą się zabierania zbyt dużej ilości pracy do domu, żeby nie przywiązywała się zbyt do uczniów. Ale ona tak nie potrafiła. To dlatego siedziała teraz w samochodzie.

Tobias Iversen.

Zwróciła na niego uwagę już na pierwszej lekcji. Ładny, szczupły chłopak o bystrym spojrzeniu. Miał w sobie coś wyjątkowego, coś, co nie do końca potrafiła nazwać. Był lubiany wśród rówieśników, to nie stanowiło problemu. Ten leżał gdzie indziej. Z początku tego nie dostrzegą, dopiero po pewnym czasie zaczęło to do niej stopniowo docierać. Jego matka ani razu nie pojawiła się na wywiadówce. Ojczym też nie. Na listy wysyłane ze szkoły nie było odpowiedzi. Nikt nie odbierał telefonów. Najzwyczajniej w świecie nie dało się skontaktować z żadnym z rodziców. A ona stale odkrywała kolejne siniaki na jego ciele. Na twarzy. Na rękach. Zajęcia wychowania fizycznego prowadził inny nauczyciel, nie mogła więc przyjrzeć się chłopcu dokładniej, ale podejrzewała, że ma siniaki również na innych częściach ciała. Zagadnęła o to kiedyś nauczyciela wychowania fizycznego, ale był to człowiek starej daty. Dzieci przewracają się od czasu do czasu. A chłopcy z siódmej klasy mają w sobie mnóstwo energii. Do czego właściwie zmierza? Ostrożnie próbowała wypytywać Tobiasa. Czy wszystko u niego w porządku? Jak wygląda sytuacja u nich w domu? Tobias nie chciał o tym mówić, ale i tak wyczytała to w jego spojrzeniu. Nie wszystko było tak, jak powinno. Inni nauczyciele woleli odwracać wzrok, nie chcieli wtrącać się do życia prywatnego uczniów. Ale Emilie Isaksen była inna.

A teraz od tygodnia nie chodził do szkoły. Próbowała dodzwonić się do jego domu, ale nikt nie odbierał. Zaczęła ostrożnie rozpytywać i dowiedziała się, że również jego młodszy brat nie przychodził do szkoły. Anonimowo skontaktowała się z Urzędem Ochrony Praw Dziecka, pytając, co zwykło się robić w takich sytuacjach. Jak należy się zachować? Usłyszała raczej ogólnikowe rady. Nikt nie powiedział jej konkretnie, jak powinno się postąpić, kiedy nie ma się konkretnych dowodów na swoje podejrzenia. Należy działać rozważnie. Emilie Isaksen słyszała to już wiele razy, ale nie zamierzała tak tego zostawić. Nie robiła przecież nic złego. Chciała tylko przekazać Tobiasowi prace domowe. Zamienić

kilka słów z matką. Może uda jej się umówić na spotkanie? Mogłyby zresztą porozmawiać w domu Tobiasa, jeśli jego matka tak rzadko wychodzi z domu. Z pewnością byłoby to pewne odstępstwo od ustalonych zasad, ale uznała, że nie stanie się nic złego. Będzie uprzejma. Powstrzyma się od jakichkolwiek zarzutów. Najprawdopodobniej wszystko jest w porządku. Być może wybrali się na wakacje, a rodzice zapomnieli usprawiedliwić nieobecność chłopców w szkole. Być może bracia byli chorzy. W szkole panowała ostatnio grypa, wielu nauczycieli i uczniów było przeziębionych. Powodów mogło być wiele.

Jechała powoli Gamle Ringkollvei, aż znalazła właściwy adres. Słowo „adres” było nie do końca precyzyjne, chodziło bowiem o zjazd prowadzący w głąb lasu. Przy drodze stała skrzynka pocztowa z nazwiskiem Iversen/Frank. Postanowiła zaparkować tutaj i przejść ostatni odcinek pieszo. Dom okazał się czerwony i nieduży, wokół niego stało kilka niewielkich budynków. Dawno temu było to pewnie niewielkie przyjemne gospodarstwo. Teraz przypominało bardziej wysypisko śmieci. Wokół stało pełno wraków samochodów, wszędzie leżały sterty odpadków. Podeszła do drzwi wejściowych i zapukała. Odpowiedziała jej cisza. Zapukała jeszcze raz i po chwili usłyszała ze środka ciche kroki. Drzwi się otworzyły, w szparze ukazała się brudna twarzyczka.

– Tak? – spytał chłopiec.

– Cześć. – Emilie pochyliła się, nie chcąc onieśmielać go wzrostem. – To ty jesteś Torben?

Chłopiec skinął głową. Miał na twarzy resztki dżemu i brudne ręce.

– Mam na imię Emilie, jestem nauczycielką Tobiasa. Może o mnie słyszałeś?

Chłopiec znów kiwnął głową.

– On cię lubi – powiedział Torben, drapiąc się po głowie.

– To miłe. Chciałam tylko zapytać, gdzie jest Tobias. Jest w domu?

– Nie – odpowiedział chłopiec.

– A czy jest twoja mama? Albo twój ojczym?

– Nie.

Zobaczyła, że chłopiec ma łzy w oczach.

– Jesteś w domu sam?

Malec skinął głową.

– Nie ma już nic do jedzenia – powiedział smutno.

– Jak długo jesteś sam w domu?

– Nie wiem.

– Ile minęło nocy? Ile razy było ciemno?

Chłopiec się zastanowił.

– Sześć albo siedem – powiedział wreszcie.

Emilie Isaksen poczuła, jak zaczyna ogarniać ją gniew, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Wiesz, gdzie może być teraz Tobias?

Chłopiec skinął głową.

– Poszedł do tych chrześcijanek.

– Gdzie to jest?

– Tam dalej, w lesie, przy Litjønna. Zawsze polujemy tam na bawoły. Jestem w tym

dobry.

– Zuch z ciebie. To na pewno świetna zabawa. Ale tak właściwie skąd wiesz, gdzie on teraz jest?

– Napisał mi kartkę i zostawił w naszym tajnym schowku.

– Macie tajny schowek?

Malec się uśmiechnął.

– Tak. I tylko my o nim wiemy.

– Brawo. Pokażesz mi tę kartkę?

– Pewnie. Chcesz wejść?

Emilie się zawahała. Nie powinna tego robić. Nie wolno jej było bez pozwolenia wchodzić do cudzego domu. Rozejrzała się. Nigdzie ani śladu nikogo. Malec niemal od tygodnia był sam i nie miał nic do jedzenia. To musi wystarczyć za powód.

– Tak, chętnie.

Emilie Isaksen uśmiechnęła się i weszła za chłopcem do domu.

Holger Munch stał przed pokojem swojej matki w domu opieki przy Høvikveien i ledwie widział na oczy. W ostatnich dniach dużo się wydarzyło. Zbyt dużo. Groźby wobec Marion. Mieszkanie, w którym obie musiały się ukrywać. Znaleźli Malin Stoltz. Zgubili Malin Stoltz. Mikkelson dzwonił do niego bez przerwy. Munch nie odbierał już telefonów. Opadł na fotel i wyprostował nogi. Poczł jakiś nieprzyjemny zapach i ze zdziwieniem stwierdził, że to od niego. Udało mu się zdrzemnąć kilka godzin w fotelu w biurze, ale przebrać się już nie zdążył. Potarł twarz, oczy same mu się zamykały. Na szczęście matka miała tu dobrą opiekę. W razie potrzeby lekarz zjawiał się błyskawicznie, nie musiała nawet wychodzić ze swojego pokoju. Czuła się dobrze. Sytuacja nie była tak poważna, jak się wydawało w pierwszej chwili.

Na szczęście.

Holger Munch wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do Miriam, ale ta z jakiegoś powodu nie odbierała. Pokręcił głową i spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem. Typowe. Ech, co za harda dziewczyna. Obiecał przywieźć im jedzenie, odzież na zmianę i trochę zabawek dla Marion, ale utknął w domu opieki. Wysłał jej esemesa, prosząc, by zadzwoniła, i schował telefon do kieszeni kurtki. Na korytarzu było gorąco, z trudem oddychał. Dobrze byłoby zdjąć grubą wełnianą kurtkę, ale wiedział, że nie pachniał zbyt ładnie. Wstał i poszedł do łazienki. Przyłożył usta do kranu i się napił. Zobaczył w lustrze swoje odbicie i ten widok mu się nie spodobał. Sprawiał wrażenie potwornie wyczerpanego. Całe mieszkanie Malin Stoltz było wyłożone lustrami. Od podłogi aż po sufit. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Kto mógłby mieszkać w takim miejscu? Już po pięciu minutach miał ochotę stamtąd uciec. Malin. Miriam. Marion. Mikkelson. Munch. Dużo tych „M”. Przez chwilę próbował być Mią. Same „M”? Czy to mogło coś znaczyć? Nonsens. Być może Mikkelson ma rację. Być może powinien przekazać tę sprawę komuś innemu. Pozwolić innym przejąć stery. Jego głowa nie funkcjonowała tak, jak powinna. Choć niechętnie, musiał przyznać, że Malin Stoltz miała go w garści. O ile to było jej prawdziwe nazwisko. Uderzyła ich w najczulsze miejsce, w życie osobiste. Pozbawiła ich oparcia. Pozbawiła go oparcia. Nie potrafił już racjonalnie myśleć, nie umiał rozróżnić pomiędzy rozsądkiem a emocjami. Miał ochotę wyjść na schody i zapalić papierosa, ale zamiast tego wyciągnął pastylkę odświeżającą. Cztery dziewczynki nie żyją, a cała jego rodzina znalazła się pod presją. Mieli już jednak wytypowaną podejrzaną. I nie porwano kolejnej dziewczynki. Wkrótce będzie po wszystkim, pomyślał i opadł na fotel. Znajdziemy ją i to wszystko się skończy. Nawet nie zauważył, kiedy opadły mu powieki.

Drgnął, kiedy otworzyły się drzwi i wyszedł z nich lekarz w towarzystwie Karen. To ona go powiadomiła.

Munch się poderwał.

– Jak ona się czuje?



– W porządku – powiedział lekarz. – Takie jest moje zdanie. Nie stwierdziłem żadnych objawów pogorszenia samopoczucia, jest tylko trochę zmęczona. Być może za szybko podniosła się z łóżka, przyczyn może być wiele. Nie ma jednak żadnych powodów do niepokoju. Czuje się bardzo dobrze.

Munch odetchnął z ulgą.

– Mogę ją zobaczyć?

– Dałem jej coś na sen, teraz potrzebuje przede wszystkim spokoju. Może jutro po południu?

– Dziękuję. – Munch skinął głową i podał lekarzowi rękę.

– Ktoś jeszcze? – zwrócił się lekarz do Karen.

– Torkel Binde – powiedziała Karen. – Narzeka na lekarstwa. Ma pokój na końcu korytarza. Zaprowadzę cię.

Karen uśmiechnęła się do Muncha i poprowadziła lekarza korytarzem. Munch wstał i wyszedł na schody przed budynkiem. Zapalił papierosa i zadzwonił do Gabriela Mørka.

– Tak?

– Holger z tej strony.

– Gdzie jesteś?

– W domu opieki, musiałem załatwić pewną prywatną sprawę. Jest coś nowego?

– Odzyskaliśmy film z laptopa Sarah Kiese. Jest uszkodzony, przede wszystkim jeśli chodzi o dźwięk, ale mam znajomego, który trochę się na tym zna. Mogę go ściągnąć?

– Pewnie – odpowiedział Munch.

– Zaraz do niego zadzwonię – powiedział Gabriel.

Munch rozłączył się i wybrał numer Mii. Nie odbierała. Spróbował jeszcze raz, ale bez skutku. Co, do diabła, wstąpiło w te baby? – pomyślał i wysłał jej wiadomość.

Zadzwon!

Wybrał numer Ludviga. Ten odebrał.

– Tak?

– Mówi Munch. Mogę cię prosić o przysługę?

– Jasne.

– Mógłbyś wysłać kogoś do mieszkania na Frogner, żeby zawiózł Miriam i Marion kilka rzeczy?

– Zrobi się. Czego potrzebują?

– Zaraz prześlę ci esemesa z listą. Wyślij kogoś zaufanego, dobrze?

– Jasne – odpowiedział Ludvig.

– Dobrze... A...

– Tak?

Na chwilę Munch zapomniał, co chciał powiedzieć. Potarł oczy. Musi odpocząć, na nic więcej nie ma już wpływu.

– Co mamy o Malin Stoltz?

– Wciąż jej szukamy, poza tym nic. Nie widziano jej ani na Gardermoen, ani na Oslo S. Resztę wiesz. Mamy dalej trzymać tam ludzi?

Munch przypomniał sobie słowa Mii. Powiedziała, że Malin Stoltz nie zamierza uciekać. Że chce wrócić do domu. Mieszkanie pełne luster. Na samą myśl o nim dostawał gęsiej

skórki. Nie chciał tego przyznać, ale ta sprawa z lustrami wstrząsnęła nim mocniej, niż przypuszczał.

– Nie. Odwołujemy akcję. Zajmiesz się tym?

– Zrobi się – powiedział Ludvig.

– Wysłaliście już nakaz poszukiwania ludzi ze wspólnoty?

– Tak – powiedział Ludvig.

– To dobrze.

Munch się rozłączył, wyrzucił niedopałek i już zamierzał zapalić kolejnego papierosa, kiedy z budynku wyszła Karen.

– Wszystko u ciebie w porządku, Holger?

Kobieta o rudoblond włosach patrzyła na niego z troską.

– Cześć, Karen. Tak, pewnie.

– Nie wyglądasz za dobrze. Nie zrozum mnie źle, ale czy nie powinieneś trochę odpocząć?

Zeszła do niego na parking. Stała tak blisko, że poczuł zapach jej perfum. Nagle ogarnęło go dziwne uczucie, którego nie potrafił do końca nazwać. W końcu zrozumiał, co to było. Martwiła się. Od dawna nikt się o niego nie troszczył. Zazwyczaj to on, Holger Munch, dbał o wszystkich wokół.

– Jesteś zajęty? – spytała Karen.

– Jak zawsze. – Munch uśmiechnął się i zakaszał.

– Nie mógłbyś zdrzemnąć się chociaż chwilę?

– Co masz na myśli?

– Chodź – szepnęła Karen, chwytając go za rękaw wełnianej kurtki.

– Dokąd?

– Pssst – powiedziała Karen.

Zaprowadziła go na górne piętro budynku, do niezamieszkanego pokoju.

– Nie mam na to czasu – powiedział Munch, ale Karen położyła palec na ustach.

– Widzisz to łóżko?

Pokazała na zasłane czystą pościelą łóżko pod oknem. Munch skinął głową.

– A te drzwi?

Munch kiwnął znowu.

– Proponuję, żebyś wziął teraz prysznic. I się przespał. Obudzę cię za godzinę. Tutaj nikt nie będzie ci przeszkadzać.

– Ale...

– Jeśli mam być szczerą, potrzebujesz i tego, i tego – powiedziała Karen, marszcząc nos. I dodała: – Ręczniki leżą w łazience. Za godzinę jestem.

Miła pielęgniarka objęła go i puściwszy do niego oko, zniknęła z pokoju.

Zdrzemnąć się godzinę. Chyba nie zaszkodzi. To dobre dla głowy. Dobre dla ciała. Dobre dla wszystkich.

Munch wysłał Ludvigowi listę rzeczy dla Miriam i Marion. Wziął prysznic, w ubraniu zwałił się na łóżko i zamknął oczy.

Marion Munch obudziła się w pokoju, którego nie znała. Zazwyczaj otwierała oczy w swoim własnym domu, ale od niedawna było inaczej. Przez ostatnie dni budziła się w dwóch różnych miejscach. Najpierw w jakimś małym mieszkaniu. Potem w jakimś dużym. Teraz znów była gdzie indziej.

– Mama? – zapytała ostrożnie, ale nie usłyszała odpowiedzi.

Usiadła na łóżku i się rozejrzała. Pokój wyglądał całkiem ładnie. Z pewnością należał do jakiegoś dziecka. Tante mieszkania były tylko dla dorosłych, nie było tam żadnych zabawek ani dziecięcych rzeczy.

– Mama? – zapytała jeszcze raz. Wstała i zaczęła oglądać pomieszczenie.

Ściany były białe, oślepiająco białe. Tak białe, że najchętniej zakryłaby oczy ręką. Okien nie było. Marion trochę współczuła dziewczynce, która tu mieszkała. Żadnych okien. To musi być nudne. Z okna swojego pokoju na Sagene mogła zobaczyć mnóstwo ciekawych rzeczy. Samochody, dziwnych ludzi, wszystko co tylko możliwe. Dziecko, które tu mieszkało, nie widziało nic. Dziwna sprawa, nie było też drzwi.

W jednym z kątów stało biurko, a na nim lampka. Obok leżały blok i przybory do rysowania. Mama obiecała, że kupi jej takie biurko, kiedy Marion pójdzie do szkoły. To już wkrótce, już za... W każdym razie niedługo. Na ścianie wisiały nieduże plakaty z namalowanymi na nich literami. Na pierwszym litera A, a obok rysunek arbuza. Na drugim litera B i rysunek banana. Następnych liter nie znała. Ależ nie, teraz sobie przypomniała! C i rysunek napoju, którego mama nie lubiła, a który dziadek pozwalał jej pić. Cola. Nie potrafiła jeszcze zbyt dobrze czytać, ale znała kilka wyrazów. Lody. Słońce. Auto. Piłka. Mama nauczyła ją wesołej piosenki o abecadle, w ten sposób też można było poznawać litery. Alfabet. Wiedziała, że tak to się nazywa. Mama twierdziła, że umiejętność czytania jest bardzo ważna i sama Marion też tak uważała, ale zastanawiała się, co powie jej nauczycielka, kiedy przyjdzie do szkoły i będzie już umieć czytać? Pani nie będzie miała wtedy już nic do zrobienia i być może będzie smutna. Może więc lepiej z tym poczekać? Pływać już umiała. A to rzadkość u dzieci. Potrafiła też jeździć na rowerze bez bocznych kółek. Nie znała żadnej takiej dziewczynki. Przecież nie mogła nauczyć się wszystkiego od razu!

Dopiero teraz Marion zauważyła, że ma na sobie cudze ubrania. To było naprawdę dziwne. Poprzedniego wieczoru założyła przecież swoją jasnoniebieską koszulkę nocną. Tę z dziurą. Mama chciała ją wyrzucić, ale Marion jej nie pozwoliła. Lubiła wkładać palec w dziurę, czuć zaciskający się wokół niego materiał. Łatwiej było wtedy zasnąć, teraz kiedy już nie ssła kciuka, i w ogóle. Na początku czuła się dziwnie. Tak bardzo brakowało jej kciuka w ustach, że kilka razy oszukała rodziców i trochę go possała. Ale pewnego dnia Kristian z przedszkola powiedział, że tylko niemowlaki ssą kciuki. Wtedy przestała. Ostatecznie nie była już niemowlakiem. Niemowlaki nie potrafią przecież

pływać. Żadne niemowlę tego nie umie. A czy inni potrafią pływać? Nie, na pewno nie wszyscy. Ale przecież nic w tym dziwnego, inni nie bywali tak często na pływalni w Tøyen jak ona i jej mama, w każdym razie nigdy nie spotkała tam nikogo znajomego. Spojrzała na siebie i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wyglądała, jak gdyby wybierała się na bal karnawałowy. Mieli kiedyś taki w przedszkolu. Chciała przebrać się za Frankie Stein, ale mama się na to nie zgodziła, poszła więc przebrana za kowboja. A raczej kowbojkę. Zastanawiała się też nad kostiumem księżniczki, ale zrozumiała, że dla mamy jest ważne, żeby dziewczynki nie robiły tylko dziewczęcych rzeczy. W każdym razie często rozmawiała o tym z tatą. O zmywaniu, odkurzaniu, desce klozetowej i innych takich. To wszystko najwidoczniej było bardzo ważne. Przebrała się więc za kowboja. Z rewolwerem i wąsami. Było całkiem fajnie. Może nie super, ale fajnie. Teraz miała na sobie długą staroświecką sukienkę. Była naprawdę niewygodna i trudno było się w niej poruszać. Rozejrzała się i na półce na ścianie odkryła lalki. Pięć siedzących wysoko lalek ze zwisającymi nogami. To nie były nowe, fantastyczne lalki, jak Draculaura, ale takie staromodne, o zaciętych bladych twarzach, takie jak u babci na strychu. Jedna z nich miała na sobie taką samą sukienkę jak ona. Całkiem białą, z mnóstwem konerek czy koronek... Nie pamiętała, jak to się nazywało. Marion weszła na łóżko i ściągnęła lalkę. Miała na szyi kartkę. Marion wiedziała, co było tam napisane. „Marion”. Jej imię. Znała je. Potrafiła je napisać i przeczytać. Znajdowało się nad wieszakiem, na którym wieszala w przedszkolu swoją kurtkę. Spojrzała na pozostałe lalki. Wszystkie miały podobne stroje i kartki na szyi. Nie знаła napisanych na nich imion, oprócz jednego: „Johanne”. Tak miała na imię jedna z dziewczynek w przedszkolu. Jej wieszak był tuż obok wieszaka Marion.

– Mama? – spytała ponownie Marion, tym razem nieco głośniej.

Cisza. Pewnie była w łazience. Marion poczuła, że chce jej się siku. Gdzie tak właściwie jest tu łazienka? Podeszła do czegoś, co przypominało drzwi, ale okazało się, że to tylko kilka szczelin w ścianie, bez klamki. Przesunęła po nich małym palcem, ale nic się nie otworzyło.

– Mama?

Musiała natychmiast pójść do łazienki. To bardzo dziwne, że dziewczynka, która tu mieszka, ma kartkę z imieniem Marion. Być może chciała być miła. Być może wiedziała, że Marion się zjawi i przez jakiś czas tu pomieszka, więc napisała tę kartkę. Żeby pokazać, że wszystko jest w porządku, że użycza jej swojego pokoju, że wita ją serdecznie. Tak jak sąsiedzi Marion, którzy na swojej wycieraczce mieli napis „Witamy serdecznie”. Jeśli chcesz, możesz sobie rysować i uczyć się liter.

Ale teraz strasznie chciało jej się siku.

– Mamo! – krzyknęła tak głośno, jak tylko potrafiła.

Jej głos odbił się echem od ścian.

Och nie, m u s i zrobić siku!

Nagle w ścianie zaczęło się coś dziać. Rozległo się buczenie, jakieś metaliczne odgłosy. Na chwilę zapadła cisza, po czym dźwięk rozległ się znowu, tym razem niżej, jakby się zbliżał. Zupełnie jak gdyby ktoś uderzał o siebie dwiema pokrywkami od garnków, tak jak robili to w przedszkolu, kiedy z rzeczy, które mieli pod ręką, wyczarowywali orkiestrę.

Marion z zaciekawieniem wpatrywała się w ścianę, skąd dochodziły zagadkowe

odgłosy. Był tam uchwyt. Marion wyciągnęła rękę i za niego pociągnęła. Zobaczyła jakiś otwór. Marion wzdrygnęła się, widząc, co jest w środku. Poczwała, że przeszył ją dziwny dreszcz. W środku leżała mała małpka. Nakręcało się ją, a ona uderzała potem o siebie talerzami, które trzymała w dłoniach. Obok małpki leżała kartka. Marion poczwała, aż małpka znieruchomieje, i chwyciła kartkę.

Były na niej tylko trzy litery. Niektóre po dwa razy. Pierwszą znała. Drugą widywała wiele razy. K. Tak zaczynało się imię Kristiana, jej kolegi z przedszkola. I U. Tę też znała. Ale teraz koniecznie m u s i a ł a pójść do łazienki. Ścisnęła nogi i próbowała przeczytać, co jest napisane na kartce:

„A kuku”.

Nie rozumiała, co to miało oznaczać.

– Mama! Chce mi się siku!!!

Krzyknęła głośno, ale nikt nie odpowiedział. Nie potrafiła już dłużej wytrzymać. Uniosła niewygodną sukienkę. Pod nią miała dziwaczne, jakby za duże spodenki. Rozejrzała się po pokoju. Jest, pod biurkiem. Ściągnęła olbrzymie majtki tak szybko, jak się dało. Usiadła i zrobiła siku do kosza na papiery.

Mia Krüger zaparkowała samochód i ostatni odcinek drogi do kościoła pokonała pieszo. Kościół Borre. Piękny biały budynek z kamienia połyskiwał w słońcu i przyprawiał ją o niepokój. Trzy groby na tym samym cmentarzu. Nie była pewna, czy jest gotowa na ponowne spotkanie. Dlatego zwlekała tak długo. Ale ktoś się pojawił. Sprofanował grób Sigrid. I zmusił Mię, by tu przyjechała, choć tak naprawdę nie była jeszcze na to gotowa. Mia wypatrywała kościelnego, który obiecał na nią czekać, ale nigdzie nie mogła go znaleźć. Niechętnie, ciężkim krokiem ruszyła więc w stronę cmentarza.

Po drodze się zatrzymała i kupiła kwiaty. Miała wrażenie, że nie powinna tu bez nich przychodzić. Zapach kwiatów przyprawiał ją niemal o mdłości. Kwiaty. Dom pełen kwiatów. Przyjaciele i sąsiedzi składający jej kondolencje. To wszystko, co jej zostało. Trzy nagrobki i dom pełen kwiatów. Sprzedała oba domy. Zarówno ich rodzinny, jak i ten po babci. Dwa śliczne białe domy w samym centrum Åsgårdstrand, całkiem blisko tego, w którym często bywał Edvard Munch. Rodzinne dziedzictwo. Ale ona nie potrafiła tego znieść. Nie chciała tych domów. Pragnęła tylko zapomnieć. Minęła kran z wodą, obok którego stała zielona konewka. Trzy nagrobki. Czworo członków rodziny. Sigrid, babcia i rodzice. Spoczywali tu wszyscy jej bliscy, a ona ani razu nie posprzątała ich grobów.

„Sigrid Krüger.

Siostra, przyjaciółka i córka.

Urodzona 11 listopada 1979. Zmarła 18 kwietnia 2002.

Kochana najmocniej. Nieodżałowana”.

Było dokładnie tak, jak powiedział kościelny. Ktoś przekreślił farbą w spreju imię Sigrid. I dopisał imię Mii.

Czara goryczy się przelała. Zielona konewka wypadła jej z ręki. Upadła na kolana i zaczęła płakać. Wszystko, co w sobie tamowała, ruszyło teraz niepowstrzymaną rzeką. Nie płakała od długiego czasu, nie miała odwagi pogрузić się w żalu. A teraz klęczała, a łzy ciekły jej po policzkach.

„Chodź, Mio, chodź”.

Sigrid. Kochana, najdroższa, piękna Sigrid. Czy śmierć tego ćpuna w czymś pomogła? Nie pomogła w niczym. Sprowadziła tylko jeszcze więcej nieszczęścia. Doprowadziła do kolejnych śmierci. Do jeszcze większych ciemności. Nie chciała tego. Nie chciała go zastrzelić. Naprawdę nie chciała strzelać. Zasłużyła na karę. Zasłużyła na śmierć. Czekała to teraz. Nie zasługiwała na to, by żyć. Przez cały czas czuła się winna. Wcześniej nie potrafiła nazwać tego uczucia, ale teraz przyszło to samo. Była winna. Ponieważ żyła. Powinna być ze swoją rodziną. To do niej należała. Do Sigrid. Nie powinno jej być na tym pieprzonym świecie, na którym rządziły podłość i egoizm, gdzie nie było już sensu walczyć, chcieć zrozumieć, próbować coś naprawić. Świat był górą śmierci. Ludzie gnili od środka. Nie miała tu czego szukać.

Ktoś napisał jej imię na nagrobku. Czy ktoś wziął ją sobie na cel? Pragnął jej śmierci? Oczywiście miała wrogów, trudno wyobrazić sobie, żeby policjantka z jej renomą ich nie miała, ale w tej chwili nikt nie przychodził jej do głowy. Czuła się nieswojo, widząc swoje imię na nagrobku, ale gniew na tego, kto zbezczeszczył ostatnie miejsce spoczynku jej siostry, był o wiele silniejszy.

Cicho przeklęła nieznanego profanatora, wstała i otarła łzy. Usunęła liście i gałęzie i wstawiła kwiaty do wazonu, starając się doprowadzić grób do porządku. Spulchniła palcami ziemię, żeby nie wyglądała na taką suchą. Tak było lepiej. Poszła do miejsca, gdzie stała konewka, i przyniosła grabie. Zdjęła kurtkę i pulower. Zamoczyła rękaw swetra w wodzie i zaczęła ścierać swoje imię z nagrobka. Napis nie dawał się jednak usunąć. Farba w spreju. Musiała znaleźć kogoś, kto jak najszybciej usunie te bazgroły. Jej imię na nagrobku z niej szydziło. Szydziło z nich obu. Myśl o tym, że jest tam napisane, napawała ją wstrętem. Czekaając na kościelnego, zagrabiła ostatnie resztki starych liści. Powinna była przyjechać wcześniej. Teraz było o wiele za późno. Przez zaciśnięte usta szeptała: „Wybacz mi, Sigrid”, próbując powstrzymać kolejny potok łez. Za wazą zobaczyła coś małego i żółtego. Plastikowe opakowanie, podobne do tego, jakie kryje się w jajku niespodzianki. Schyliła się i podniosła je, a potem wyrzuciła je do najbliższego kosza na śmieci.

Nie, to niemożliwe.

Zawróciła do kosza na śmieci. Wyciągnęła opakowanie i je otworzyła.

W środku leżała zwinięta kartka.

Mia rozłożyła ją drżącymi palcami.

A kuku, Mia! Ależ jesteś bystra! Ale niewystarczająco. Myślisz, że to właściwy grób, ale tak nie jest. Widzisz mnie, Mia? Widzisz mnie teraz?

Mia Krüger co sił w nogach pobiegła do samochodu i wyciągnęła telefon. Mnóstwo nieodebranych połączeń, ale nie miała teraz na to czasu. Otarła łzy z oczu i wybrała numer Muncha.

Ludvig Grønlie wyszedł na balkon-palarnię Muncha, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Westchnął cicho i się przeciągnął. Był zmęczony, ale nie zamierzał się uskarżać. Pozostali członkowie jednostki pracowali w ostatnim czasie niemal dwa razy tyle co on. Ludvig Grønlie dobiegał sześćdziesiątki i choć nikt nie mówił tego głośno, wszystko i tak było wiadome. Ludvig miał za sobą długą i wierną służbę. I nawet jeśli nie pracował już dwadzieścia trzy godziny na dobę, nikt nie miał do niego pretensji. Ciężka na nich nie tylko presja fizyczna, ale przede wszystkim psychiczna. Ani chwili spokoju, ciągle coś do załatwienia. Dopóki seryjny morderca był na wolności, żadnemu z nich nie wolno spocząć.

Jego telefon zadzwonił. Ludvig spojrzął na wyświetlacz i odebrał połączenie.

– Grønlie – powiedział Ludvig, przeciągając się ponownie.

– Cześć, Ludvig. Tu Kjell.

– Cześć, Kjell. Znalazłeś coś?

Kjell Martinssen był jednym ze starych znajomych Ludviga. Pracowali razem w stołecznej policji przez wiele lat, ale w odróżnieniu od Muncha Martinssen zgodził się na niższe stanowisko. Albo raczej postanowił zwolnić nieco tempo życia. Znalazł sobie żonę. Poprosił o przeniesienie do okręgu policyjnego Ringerike. Stary kolega podjął dobrą decyzję. W jego głosie było słychać, że jest odprężony i w dobrym nastroju.

– Tak, można tak powiedzieć.

– Grupa wsparcia dla kobiet niemogących mieć dzieci?

– Zgadza się – odparł kolega. – Chociaż one nazywały się chętniej grupą dyskusyjną. Heidi pracuje na część etatu w Lokalnym Centrum Wolontariatu i to ona naprowadziła mnie na właściwy trop.

To Heidi namówiła Martinssena do wyprowadzki z Oslo. Ludvig sam przemyślał o tym wiele razy. Zapomnieć o stresie wielkiego miasta i znaleźć sobie posadę w jakimś małym miasteczku. Wyjazd na prowincję pozostał tylko w sferze planów, do emerytury zostało mu zaledwie kilka lat.

– Istniała w latach dwa tysiące pięć–dwa tysiące dziewięć. I chyba o ten okres ci chodziło?

– Zgadza się. – Ludvig pokiwał głową. – Masz listę nazwisk albo coś takiego?

– Lepiej. Myślę, że uda mi się zdobyć zdjęcia wszystkich jej członkiń, z nazwiskami i kompletem danych.

– Dobra robota, Kjell, naprawdę dobra robota – powiedział Ludvig i podszedł do swojego biurka. – Możesz mi to przefaksować?

– Przefaksować? Ludvig, proszę cię... – Kolega się zaśmiał. – Nie masz konta mailowego?

– Oczywiście, miałem na myśli e-mail.

– Każę komuś to wszystko zeskanować i prześlę ci, jak tylko skończymy.



- Świetnie, Kjell. Dobra robota.
- Dacie radę rozwiązać tę sprawę? – zapytał kolega poważniejszym tonem. – Ludzie tu o tym gadają. I mają wątpliwości.
- Znajdziemy ją – powiedział Ludvig i zastanowił się, czy nie powiedział za dużo.
- Ją? Stoltz? Tę, której zdjęcie dostaliśmy? Tę poszukiwaną?
- Jeszcze tego nie wiemy – powiedział Ludvig i zawahał się przez chwilę. – Jest na jednym ze zdjęć?
- Być może, jeszcze ich nie oglądałem. Heidi pojechała po nie do centrum wolontariatu, właśnie wraca. Cześć, Rune. Nasz skaner działa?
- Ostatnie słowa były skierowane do kogoś w pokoju. Po chwili głos kolegi ponownie odezwał się w telefonie.
- Jeśli Heidi miała rację i uda jej się znaleźć te zdjęcia, dostaniesz je jeszcze dziś. Może być?
- Świetnie – powiedział Ludvig.
- Rozłączył się. Chwilę później do pokoju zajrzał Gabriel Mørk.
- Odezwali się do ciebie Munch albo Mia?
- Z Munchem rozmawiałem przed chwilą, ale Mia nie odbiera telefonu. A o co chodzi?
- Chciałem jej tylko przekazać, że powinniśmy uporać się dziś z tym filmem. Wysłałem go kumplowi, on wie, jak oczyścić go z zakłóceń.
- Dobrze – powiedział Ludvig. Przypomniał sobie prośbę Muncha. – Nie masz przypadkiem ochoty zaczerpnąć świeżego powietrza?
- Dlaczego pytasz?
- Munch prosił, żeby przywieźć jego córce do mieszkania trochę kłopotów. Załatwisz to?
- Jasne – odpowiedział chłopak. – Czego potrzebuje?
- Poczekaj chwilę. – Ludvig spojrział na listę, którą Munch przesłał na jego telefon.

Emilie Isaksen weszła do małego domu i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Korytarz był ciemny i tak zagracony, że niemal nie sposób było przejść. Wszędzie wały się resztki jedzenia, niedopałki z przepelnionych popielniczek, worki ze śmieciami, których nikt nie wynosił. Smród był tak przeraźliwy, że Emilie z trudem powstrzymywała się przed zatkaniem nosa. Starła się jednak zachować pogodną minę. Nie chciała wymagać od tego małego chłopca więcej ponad to, co i tak zapewne przeżył. Tydzień sam na tej górze śmieci zwanej domem, bez jedzenia, bez kogokolwiek, kto by się o niego zatroszczył? Emilie Isaksen była wściekła, starła się jednak uśmiechać.

– Chciałabyś zobaczyć nasz schowek? – spytał Torben.

Wydawał się przeszczęśliwy z powodu tej wizyty. Kiedy otworzył drzwi, przestraszony, z oczami mokrymi od łez, był niemal w szoku, ale teraz powoli wracał do siebie.

– Chętnie. – Emilie uśmiechnęła się i schodami poszła za chłopcem na pierwsze piętro.

Wyglądało równie odrażająco jak parter. Emilie nie potrafiła tego pojąć, to wszystko ją przerastało. Bieda biedą, ale to tutaj? Tylko pokój, w którym spali chłopcy, jako tako przypominał dom. Był jasny, pachniało w nim czystością i panował porządek.

– Chowamy rzeczy w materacu, na wypadek gdyby przyszli jacyś zbóje – powiedział Torben konspiracyjnym tonem, przyklękając przed łóżkiem.

Otworzył zamek błyskawiczny poszewki cienkiego materaca i rozchylił ją szeroko, by Emilie mogła zajrzeć do środka.

– Czy to tam jest kartka od Tobiasa? – Emilie pokazała palcem.

Torben energicznie pokiwał głową.

– Tak.

– Mogę rzucić na nią okiem?

– Jasne.

Malec włożył brudną rękę do skrytki. Wyciągnął kartkę i podał ją Emilie.

„Idę poszpiewować te chrześcijanki, wracam wkrótce. Tobias”.

– Wiesz może, kiedy ją napisał?

Chłopiec się zastanowił.

– Nnnieeee... Ale na pewno zanim wróciłem do domu, bo wtedy już tu leżała.

Emilie nie była w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Z pewnością masz rację. A kiedy wróciłeś do domu?

– Po meczu piłkarskim.

– Po którym meczu piłkarskim? Wiesz może?

– Liverpool kontra Norwich, oglądałem go u Clasa. Mają w telewizji całą piłkę nożną. Nie tylko Puchar Norwegii, ale wszystkie możliwe ligi. Clas i ja kibicujemy Liverpoolowi. Wygrał.

– Może w sobotę?

– Przypuszczalnie w sobotę. Tak. – Torben skinął głową i podrapał się po głowie.

Chłopiec był brudny i nie pachniał zbyt ładnie. Potrzebował kąpieli, czystych ubrań, jedzenia, świeżej pościeli. Dziś jest piątek. Od sobotniego wieczoru malec był sam w domu. Emilie usiadła niezdecydowana na podłodze w pokoju chłopców. Co powinna zrobić w tej sytuacji? Nie mogła go tu przecież zostawić. Nie mogła też jednak zabrać go do siebie do domu. Co robić?

– Chcesz zobaczyć, co jeszcze mamy w naszej skrytce? – spytał podekscytowany Torben.

Wyraźnie bał się, że ona zaraz odejdzie. Dostała już przecież to, po co przyszła.

– Tak, oczywiście, ale posłuchaj mnie, Torben...

– Tak?

– Od chwili kiedy znalazłeś kartkę, Tobiasa nie było w domu?

– Nie, nie było nikogo.

– I nikt nie dzwonił?

Chłopiec pokręcił głową.

– Telefon nie działa. Nic nie słyhać, kiedy podnoszę słuchawkę. A komórki są strasznie drogie, nie wiesz o tym?

Emilie skinęła głową i czule pogłaskała Torbena po włosach.

– Owszem, są drogie. A na dodatek wcale nie trzeba jej mieć.

– Tobias mówi to samo.

– Kim są te chrześcijanki?

– Tego nie wiemy, tylko zgadujemy – odpowiedział rezolutnie malec. – Niektórzy myślą, że zjadają innych, ale to nieprawda. I wiemy, że nie chodzą do naszej szkoły, mają własną.

O nowych mieszkańcach gospodarstwa w lesie Emilie Isaksen wiedziała mniej więcej tyle samo co pozostali. Czyli prawie nic. Oczywiście rozmawiali o nich w pokoju nauczycielskim, ale były to właściwie tylko domysły i plotki. Żadne z tamtejszych dzieci nie było zapisane do ich szkoły. Ta sprawa wykraczała poza zakres ich kompetencji.

– A więc wyszedł z domu w sobotę i od tego czasu nikt go nie widział?

– Nie wiem, czy wyszedł w sobotę. Liverpool wygrał trzy do zera. Luis Suárez strzelił hat tricka. Wiesz, co to jest? Dlaczego nie wszyscy mają piłkę nożną w telewizji? Przyniosłaś mi coś do jedzenia? Uwielbiam pizzę.

– Masz ochotę na pizzę?

– Jak nie wiem co. – Torben się uśmiechnął. – Ale najpierw musisz zajrzeć.

– OK – powiedziała Emilie.

– To kamień, który spadł z księżycy – powiedział Torben, pokazując jej czarny kamień z otworem pośrodku. – Trzymamy go tutaj, bo może się zdarzyć, że ludzie stamtąd będą chcieli go odzyskać. Zwrócimy im go. Oni zatkają dziurę w księżycu, a my zobaczymy ludzi, którzy tam żyją. I wszyscy będą zadowoleni. Sprytne, prawda?

– Tak, bardzo sprytne. – Emilie pokiwała głową. Zaczynała się trochę niecierpliwić.

Tobias Iversen zniknął bez śladu siedem dni temu i nikt nie zgłosił jego zaginięcia. Bała się nawet myśleć, co mogło przydarzyć się chłopcu, którego tak polubiła.

– A to jest tajna informacja dla policjanta, którego ja i Tobias znamy. Możemy do niego zadzwonić, kiedy tylko będziemy czegoś potrzebować albo kiedy będziemy w Oslo. Bo

jesteśmy bohaterami! Wiedziałaś o tym?

– Tak, słyszałam – powiedziała Emilie i znów pogłaskała Torbena po włosach.

Jego włosy lepiły się od brudu. Naprawdę pilnie potrzebował kąpieli. I czegoś do zjedzenia. I wreszcie kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Obaj bracia znaleźli drugą ofiarę tego straszego mordercy dzieci. Media bez przerwy rozpisywały się o tej sprawie. Następnego dnia w sali gimnastycznej odbyło się zebranie uczniów całej szkoły. Pojawiło się też kilku psychologów. Dzieci, jeśli sobie tego życzyły, mogły porozmawiać z nimi o tym, co się wydarzyło.

– Ma na imię Kim. O, tu jest to napisane – powiedział Torben z dumą.

Podał jej wizytówkę i pokazał imię policjanta.

– K-I-M. Kim. Prawda?

– Pięknie, Torben, naprawdę świetnie. Czytasz już naprawdę dobrze.

– Wiem – odparł z dumą chłopiec.

Emilie przeczytała wizytówkę.

„Kim Kolsø, Wydział Zabójstw, jednostka specjalna”.

– Wiesz co, Torben? – spytała Emilie, wstając.

– Nie?

– Myślę, że teraz pojedziemy kupić sobie pizzę.

– Tak!

Twarz chłopca pojaśniała z radości.

– Ale myślę, że najpierw powinieneś wziąć prysznic i przebrać się w coś czystego. Co ty na to? Zrobisz to sam czy mam ci pomóc?

– Phi, oczywiście, że dam sobie radę – powiedział chłopiec i podszedł do szafy.

– To są moje rzeczy – powiedział, wskazując na trzy najniższe półki.

– Doskonale. – Emilie się uśmiechnęła. – Mam rozumieć, że znajdziesz sobie wszystko, czego potrzebujesz, a potem pójdiesz pod prysznic? A później kupimy pizzę?

– Jasne – powiedział Torben. Uklęknął przed szafą i wyjął z niej to, co uznał za potrzebne.

– Muszę na chwilę wyjść na zewnątrz i zatelefonować. W porządku?

– Ale nie pójdiesz sobie?

Chłopiec spojrział na nią ze strachem w oczach.

– Nie – odpowiedziała Emilie.

– Na pewno?

– Na pewno, Torben.

Znów pogładziła go po włosach.

– Potrafisz sam się wykapać?

– Potrafię – powiedział Torben i poszedł do łazienki.

Emilie nie chciała wiedzieć, jak wyglądała w środku. Z trudem wytrzymywała w tym domu. Była zrozpaczona. Obaj bracia musieli żyć w takich warunkach i nikt się o nich nie troszczył.

Poczekala, aż z łazienki dobiegł ją szum wody, i wyszła na podwórko, żeby zadzwonić.

– Okręg policyjny Ringerike.

– Dzień dobry, mówi Emilie Isaksen, jestem nauczycielką w Hønefoss i chciałabym

zgłosić zaginięcie.

– Proszę poczekać – powiedział głos w telefonie. – Przełączam.

Emilie niecierpliwie czekała na połączenie z właściwą osobą.

– Holm. Słucham?

Emilie przedstawiła się po raz drugi i wyjaśniła, o co chodzi.

– A gdzie są rodzice? – zapytał mężczyzna przy telefonie.

– Tego nie wiem. Znalazłam w domu tylko młodszego brata.

– A chłopak? Ten, jak on się nazywa... Tobias, tak?

– Iversen. Tobias Iversen.

– Kiedy widziano go po raz ostatni?

– Nie jestem pewna, ale zostawił wiadomość, którą jego brat znalazł w sobotę. Napisał, że wybiera się do lasu, tam gdzie ta wspólnota religijna wykupiła stary ośrodek dla narkomanów. Pewnie o tym słyszałeś? Chciał im się poprzyglądać.

– Słyszałem – odpowiedział policjant.

Ucichł. Najwyraźniej zakrył ręką mikrofon. Być może naradzał się z kimś w pokoju.

– Mamy więc chłopaka, który twoim zdaniem zaginął, i rodziców, którzy też zaginęli. To chcesz powiedzieć?

Jego ton nie był już tak sympatyczny jak jeszcze przed chwilą.

– Tak. To właśnie chcę powiedzieć – powiedziała Emilie beznamiętnie.

– A skąd wiesz, że nie przebywa teraz razem z rodzicami?

– Tego nie wiem.

– A więc może być teraz z rodzicami?

– Nie, przecież poszedł do lasu!

– Kto tak twierdzi? – zapytał głos.

– Napisał swojemu bratu wiadomość.

Mężczyzna po drugiej stronie westchnął.

– Nie mogę przyjąć zgłoszenia zaginięcia, dopóki...

– Słuchaj – przerwała mu Emilie. Jej cierpliwość się wyczerpała. – Jestem tu z siedmioletnim chłopcem, który od tygodnia jest sam w domu. Jego brat zniknął bez śladu. Jego rodzice zniknęli. A ty mi mówisz, że nie możesz...

Poczuła, jak ogarnia ją wściekłość. Musiała wziąć głęboki wdech, by móc mówić dalej.

– Nie, oczywiście przyjmujemy zgłoszenie. Sporządzę notatkę i jutro zobaczymy, co da się zrobić. Mogłabyś wpaść tu dziś do nas?

– Jutro? – krzyknęła Emilie. – Chłopakowi, który od tygodnia jest sam w lesie, każesz tam siedzieć jeszcze jedną noc? A jeśli coś mu się stanie?

– Tak, rozumiem cię, ale to nie takie proste. Mam na myśli... Co, jeśli jego rodzice wyjechali na urlop i zabrali ze sobą chłopaka?

– A siedmiolatka zostawili w domu?

– Widywaliśmy już gorsze rzeczy – powiedział policjant. – Zapiszę twój numer, zobaczę, co da się zrobić, i oddzwonię do ciebie. Możemy się tak umówić?

– W porządku – prychnęła Emilie.

Podawała policjantowi swój numer i się rozłączyła.

Gabriel Mørk stał na chodniku przed elegancką kamienicą na Frogner i czekał, aż ktoś odezwie się w domofonie. Trochę irytował się na Ludviga, który go tu przysłał. Nie rozumiał, dlaczego to właśnie on ma pójść do sklepu i zrobić zakupy. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że nie stał najwyżej w służbowej hierarchii jednostki specjalnej, wszak dopiero co zaczął w niej pracować, ale naprawdę mogli znaleźć sobie innego chłopca na posyłki. W tej chwili absorbowały go ważniejsze rzeczy. Zadarł głowę i ponownie nacisnął guzik domofonu. Żadnej odpowiedzi. To była piękna kamienica. Najlepszy adres w zachodnim Oslo. Duże okna. Każde mieszkanie miało balkon wychodzący na park. Pomyślał o swojej dziewczynie i dziecku, którego się spodziewała. Początkowo bardzo się martwił. Gdzie będą mieszkać? Z czego opłacać rachunki, kiedy dziecko przyjdzie już na świat? Tyle było do kupienia. Poczł się głupio, kiedy pomyślał sobie, jak niewiele wiedział o tym wszystkim. Właściwie nie wiedział nic na temat tego, jak to jest, kiedy pojawia się dziecko. Łóżeczko, wózek, a potem... Nie było końca wydatków. Teraz już się nie martwił. Miał pracę. Zupełnie niespodziewanie. Całkiem fajną posadę. Ważną pracę. Nigdy nie sądził, że będzie patrzeć na to w ten sposób. Dla hakerów, których znał, policja była kimś w rodzaju... przeciwnika. Nie ma co ukrywać. Ale tamci nie mieli pojęcia, o czym mówią. Nie znali Mii Krüger. Ani Holgera Muncha. Ani Curry'ego. Ani Anette. Ani Ludviga. Ani Kima i pozostałych. Nie wiedzieli, co to znaczy mieć kolegów. Nie wiedzieli, co to znaczy przychodzić do pracy ze świadomością, że jest się częścią zespołu. Nie wiedzieli, jak to jest, kiedy inni się uśmiechają i mówią ci „cześć”. Nie mieli pojęcia, jak to jest czuć, że jest się lubianym i cenionym za to, co się robi. Oglądając wiadomości, miał wrażenie, że jest w pewien sposób wtajemniczony. Do tej pory wiadomości w ogóle go nie interesowały. Ale kiedy mowa jest o twojej własnej pracy, wszystko się zmienia. Sprzęt, który przywieźli mu technicy z Grønland, był fantastyczny. Nigdy w życiu nie mógłby pozwolić sobie na coś takiego. W pierwszych dniach czuł się niemal jak dziecko w Wigilię.

Zadzwoił ponownie i znów pomyślał o zakupach, które ich czekają. I o tym, gdzie będą mieszkać. Na lokum w tej okolicy naturalnie nie będą mogli sobie pozwolić, ale być może jakieś ładne mieszkanie po drugiej stronie miasta? Na pewno nic z ogrodem ani z niczym takim, ale i tak czuł radosne podekscytowanie. Koniecznie tabliczka z nazwiskiem. Tu mieszka Gabriel, Tove i... Jeszcze nie rozmawiali o imieniu dla dziecka. Miał właśnie zadzwonić po raz kolejny, kiedy drzwi się otworzyły i wyszła z nich starsza kobieta. Uśmiechnął się do niej pogodnie, przytrzymał jej drzwi i wśliznął się do środka.

Z torbami pełnymi zakupów wszedł po schodach na drugie piętro. Ludvig powiedział mu, że mieszkanie znajduje się na samym końcu korytarza. Już sięgał ręką do dzwonka, kiedy zauważył, że drzwi są uchylone.

– Halo? – zawołał. – Jest tu ktoś?

Cisza.

– Halo? – zawołał raz jeszcze i ostrożnie pchnął drzwi.

Wniósł torby do przedpokoju.

– Dzień dobry. Mam kilka rzeczy od Holgera Muncha.

I wtedy ją zobaczył.

Co, do diabła?

Rzucił torby, zadzwonił na 112 i przypadł do kobiety leżącej na podłodze.

Mia Krüger jechała znacznie szybciej, niż to było dozwolone, ale nie miała wyjścia. Pomyliła się. Popełniła błąd. To nie Munch. To nie o Holgera chodziło sprawcy, lecz o nią. Zaklęła pod nosem. Wyprzedziła ciężarówkę i gwałtownie zjechała na swój pas, w ostatniej chwili unikając zderzenia z samochodem jadącym z przeciwka. Usłyszała tylko, jak kierowca ciężarówki wściekle na nią trąbi, i jeszcze mocniej wcisnęła pedał gazu. Nie o tego Muncha chodziło. Nie o Holgera. O Edvarda Muncha. Åsgårdstrand. Chodziło o nią. O Mię Krüger. To ona, nie Holger, była celem. Czuła wstyd. Pomyliła się. Do diabła, dlaczego Munch nie odbiera tego cholernego telefonu? Wyprzedziła kolejny samochód, tym razem kamper. Mocno ściągnęła kierownicę ręką i zjechała na swój pas, po raz kolejny o włos unikając zderzenia z samochodem jadącym z przeciwnej strony. Przyciskała telefon brodą do ramienia. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie użyć radia, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Nigdy nie wiadomo, kto go nasłuchuje, a Mia nie chciała, żeby ktokolwiek dowiedział się, co chciała powiedzieć.

Miała właśnie po raz kolejny wybrać numer Muncha, kiedy zadzwonił telefon. Gabriel.

– Gdzie jest Munch? – spytała Mia.

– Gdzie jesteś? – spytał Gabriel.

– W drodze do biura. Gdzie jest Munch?

– Diabli wiedzą – powiedział Gabriel. – Nie odbiera telefonu, szlag by to trafił, Mio.

Dopiero teraz usłyszała, że jest kompletnie roztrzęsiony.

– Co się stało?

– Marion zniknęła.

– Co, kurwa?!

– Mówię poważnie.

Chłopak niemal się jękał.

– Przyjechałem do mieszkania z kilkoma rzeczami i znalazłem ją leżącą na podłodze.

– Kogo?

– Jego córkę.

– Miriam?

– Tak.

Kurwa. Kurwa, kurwa.

– Jest ranna?

Mia ponownie zjechała na przeciwny pas. Wyprzedziła trzy samochody i znów gwałtownie ściągnęła kierownicę.

– Oddycha, ale śpi.

Narkoza. Do ciężkiej cholery, przecież mówiła, że przed mieszkaniem przez całą dobę powinien stać policjant.

– I ani śladu Marion?



– Nic – powiedział Gabriel.

– Namierzyłeś telefon Holgera? Kiedy rozmawiałam z nim ostatnio, był w drodze do domu opieki. Stan jego matki gwałtownie się pogorszył.

– Jego matki?

– Zapomnij o tym teraz, muszę go natychmiast złapać.

– Nie ma mnie w biurze – powiedział Gabriel. – Jestem na Frogner.

– Wracaj do biura – powiedziała Mia, trąbiąc na motorowerzystę, który jechał przed nią w ślimaczym tempie.

– Jemy... ścić... ceń...

– Nic nie słyszałam – powiedziała Mia. – Powtórz.

Wyprzedziła motorowerzystę i znów wcisnęła gaz.

– Pracujemy nad tym filmem i próbujemy oczyścić go z zakłóceń – powiedział Gabriel.

– Dobrze. Kiedy będziemy go mieć?

– Jak tylko skończymy.

– Tak, ale kiedy?

Była poirytowana, ale się opanowała. To nie była wina chłopaka. Dawał z siebie wszystko.

– Nie potrafię dokładnie powiedzieć.

– Wracaj do biura i zadzwoń stamtąd do mnie.

Rozłączyła się i wybrała numer Ludviga.

– Gdzie byłeś? – spytał kolega. – Mamy tu prawdziwe piekło. Słyszałaś już?

– Tak, już wiem. Gdzie jest Holger?

– Nie mam pojęcia, nie odbiera telefonu. Daleko jesteś?

– Będę za dwadzieścia minut, góra pół godziny.

– Cholera. Niech to szlag.

Nie było wątpliwości. Ukryli Marion w bezpiecznym miejscu, a pomimo to zniknęła.

Rozłączyła się i wybrała numer informacji telefonicznej. Zaczęło padać. Krople uderzały w przednią szybę, dodatkowo ograniczając widoczność. Mia ustawiła wycieraczki prawie na największą prędkość, ani na chwilę nie zdejmując nogi z gazu.

– Informacja telefoniczna, słucham.

– Czy możesz połączyć mnie z domem opieki Høvikveien?

– Mam podać twój numer?

– Nie, do cholery, łącz wreszcie! – syknęła Mia. Wcisnęła hamulec, widząc, że niebezpiecznie zbliżyła się do pobocza.

Długo nikt nie odpowiadał. Mii wydawało się, że minęła cała wieczność.

– Dom opieki Høvikveien. Birgitte, słucham.

– Cześć, tu Mia Krüger. Nie wiesz przypadkiem, czy jest u was Holger Munch?

– Jeszcze jakiś czas temu tu był – powiedział głos w telefonie.

– Jest jeszcze?

– Nie, nie widziałam go.

Niech to jasna cholera!

– Czy jest tam Karen?

– Tak, jest, zaczekaj moment.

Minęło milion sekund. Mia najchętniej wrzasnęłaby do telefonu. Musiała jeszcze zwiększyć prędkość wycieraczek, żeby cokolwiek widzieć przez szybę. Zanim usłyszała głos Karen, minęło kolejne milion sekund.

– Tak? Tu Karen.

– Cześć, Karen, mówi Mia Krüger.

– Cześć, Mio. Miło, że dzwonicz.

– Widziałaś dziś Holgera?

– Tak, był tu niedawno. Jego matka źle się poczuła, ale na szczęście to nic poważnego. Lekarz dał jej coś na sen i...

– To świetnie – przerwała jej Mia. – Ale jest tam jeszcze?

– Nie. Już pojechał.

– Wiesz dokąd?

– Nie, nie wiem. Był kompletnie wyczerpany. Powiedziałam mu, żeby...

Mia zaklęła w duchu. Nie miała na to czasu.

– ...i po godzinie go obudziłam. Wciąż nie wyglądał najlepiej, ale...

– Nie domyślasz się, dokąd mógł pojechać?

– Nie. Ktoś do niego zadzwonił i wybiegł jak wariat. Nawet się nie pożegnał – powiedziała Karen.

– OK – powiedziała Mia. – Dzięki.

– Jeszcze jedno – powiedziała Karen, kiedy Mia zamierzała już się rozłączyć.

– Tak?

– Nie wiem, czy to ważne, ale jej samochód tu stoi.

– Czyj samochód?

– Malin. Malin Stoltz. Jej auto stoi tutaj.

Padło tak mocno, że Mia musiała zwolnić. Krople tłukły o przednią szybę niczym grad. Zobaczyła, jak samochody przed nią hamują, jedno po drugim zapalały się czerwone światła stopu. Zdjęła nogę z gazu i wzięła głęboki wdech. Do Holgera ktoś zadzwonił. Kto? Ktoś zadzwonił, a po chwili Holger wybiegł z domu opieki. Holger nigdy nie biegał. I nawet się nie pożegnał. Po prostu wybiegł. Komu, do wszystkich diabłów, udało się zmusić Holgera Muncha do czegoś takiego?

Sprawcy.

To oczywiste. Marion zniknęła. Sprawca skontaktował się z Holgerem, a ten powiadomił kogoś z zespołu. Wybiegł, nawet się nie żegnając. Marion. Dla nikogo innego by tego nie zrobił.

– Jesteś tam jeszcze, Mia?

– Przepraszam, Karen, co powiedziałaś?

– Nic, to pewnie nieważne, możemy porozmawiać o tym później.

– Nie, powtórz, co powiedziałaś. Jej samochód?

– Tak. Stoi w garażu pod budynkiem. Nie wiem, czy to może coś oznaczać, ale...

– Co to za samochód?

– Citroën. Biały.

Biały citroën.

Mia wyjrzała przez okno. Próbowwała zorientować się, gdzie jest. Slependen. Była

niedaleko.

– Zaraz tam będę. Jest zamknięty?

– Nie wiem – odpowiedziała Karen. – Ale kluczyki mogą być w szafce w pokoju dla personelu. Jest trochę roztargniona, często gubi swoje rzeczy. Pamiętam, jak kiedyś mówiła...

– Dzięki, Karen – przerwała jej Mia. – Możesz sprawdzić, czy tam są? Będę u ciebie niedługo.

Rozłączyła się i zadzwoniła do Anette.

– Tu Anette.

– Cześć, Mia z tej strony.

– Jesteś wreszcie. Gdzie byłaś?

– W Åsgårdstrand. Dzwonił do ciebie Munch?

– Nie. Wiesz już?

– Tak. Niech to szlag.

– Cholera.

– Przyjechał Mikkelson. Jest wściekły.

Stan emocjonalny Mikkelsona był w tej chwili ostatnią rzeczą, która interesowała Mię.

– Kto teraz kieruje sprawą? – spytała, wypatrując zjazdu.

– Mikkelson – odpowiedziała Anette.

– Przecież on nie ma o niej żadnego pojęcia, Anette. Musisz objąć kierownictwo.

– Co według ciebie mam zrobić? Gdzie w ogóle jesteś?

– Dojeżdżam do Høvik. Znaleźliśmy samochód Stoltz. Coś nowego w jej sprawie?

– Nie, nic. Co mam robić?

– Przyciśnij Gabriela, niech wyciągnie z tego pieprzonego filmu współrzędne GPS. I niech namierzy telefon Muncha. Myślę, że sprawca się z nim skontaktował i Holger teraz do niego jedzie.

– OK – odpowiedziała Anette. – Coś jeszcze?

– Musimy...

Mia dostrzegła zjazd na Høvik i skręciła. Ulewa minęła, teraz przynajmniej widziała, dokąd jedzie.

– Musimy?

Zapomniała, co chciała powiedzieć.

– Dopilnuj tylko, żeby jak najszybciej uporali się z tym filmem, i zajmij się telefonem Muncha.

– Zrobi się – powiedziała Anette. – Aha, Ludvig ma coś dla ciebie.

– Co takiego?

– Zdjęcie. Grupa dyskusyjna z Hønefoss.

Fantastycznie. Strzał w dziesiątkę.

– Poproś go, żeby przesłał mi je na telefon.

– OK.

– Naprawdę nic na temat Stoltz?

– Kompletnie nic.

– Trudno. Niedługo będę. Zadzwonię do ciebie, jeśli coś znajdę w samochodzie.

Mia się rozłączyła i skręciła pod dom opieki.

Lukas siedział na ławce na brzegu, owinięty kocem. Przebrał się już w suchą odzież, ale wciąż dygotał z zimna. Pastor Simon wepchnął go pod wodę. Prawie się utopił. Pastor Simon zapytał go, czy widzi diabła, a on odpowiedział, że nie. Wtedy pastor wepchnął go pod wodę. Lukas był zdezorientowany. Pastor Simon najpierw niemal go utopił, a teraz przyniósł mu suche ubrania. Miał je w samochodzie. I koc. A więc wszystko zaplanował? Ale po co?

Pastor wrócił z samochodu z pojemnikiem na jedzenie i z termosem. Usiadł obok Lukasa na ławce. Kanapki z kozim serem. Odkręcił zakrętkę termosu i nalał do kubka gorącego kakao.

– Jedz i pij – powiedział pastor.

Lukas przełknął łyk kakao i poczuł ciepło w gardle. Długo przeżuwał kanapki. Przez cały czas pastor przyglądał mu się w milczeniu. Siedział ze złożonymi dłońmi i przypatrywał mu się miękkim, ciepłym spojrzeniem. Choć wciąż trochę się bał, Lukas czuł się znacznie lepiej niż jeszcze przed chwilą. Pastor ani na moment nie spuszczał go z oczu. Zazwyczaj wzrok miał utkwiony gdzieś nad głową Lukasa, w niebo, w dal. Nigdy nie patrzył wprost na niego, nie spoglądał mu w oczy tak jak teraz. Ciepło powoli rozlewało się po ciele chłopaka. Próbował odwzajemnić spojrzenie duchownego, ale nie do końca mu się to udawało. Zjadł wszystkie kanapki i wypił trzy kubki kakao. Wreszcie pastor przemówił.

– Bóg posłał swego rodzonego syna, Jezusa, na ziemię, aby odkupił grzechy ludzi – powiedział. – Ludzie mogli uratować Jezusa, ale zamiast niego wybrali bandytę Barabasza.

Lukas skinął słabo głową.

– Co z tego wynika? – spytał pastor.

Lukas nie odpowiedział. Nie chciał popełnić błędu i ponownie znaleźć się z głową pod wodą. Poczuł, że strach znów chwyta go za gardło.

– To, że ludzie nie wiedzą, co jest dla nich najlepsze – odpowiedział pastor. – Nie powinni mieć prawa decydować o sobie. Rozumiesz to, Lukasiu, prawda?

Lukas skinął głową. Rozmawiali o tym nieraz. Ludzie byli głupi. Nie wiedzieli, co było dla nich najlepsze. To dlatego Bóg wybrał tylko nielicznych i to im wolno będzie pójść do nieba. Wyjątkowym. Wtajemniczonym. Tym, którzy zrozumieli. Czterdzieścioru z ich wspólnoty. A także ludziom z innych miejsc na świecie, których mieli poznać później.

Pastor Simon spojrzał mu w twarz i wziął go za rękę.

– Jestem Bogiem – powiedział pastor.

Lukas poczuł, jak zalewa go fala gorąca. Rozlewała się po całym ciele, silniejsza niż kiedykolwiek. Od czubków palców u nóg przez kostki, uda, brzuch i szyję dotarła do głowy i uszu.

– Jestem Bogiem – powtórzył pastor. – A ty jesteś moim synem.

Lukas otworzył usta, ale nie mógł wykrztusić słowa.

– Jesteś moim synem, Lukasiu. Jesteś nowym Jezusem.

Lukas poczuł, że za chwilę zemdleje. Pastor był Bogiem. Oczywiście. A więc to tak. To dlatego. Kiedy w swoim gabinecie rozmawiał z Bogiem, rozmawiał z samym sobą. Pastor był Bogiem. A on, Lukas, był jego synem.

– Ojciec – powiedział Lukas z czcią i się skłonił.

– Mój synu – powiedział pastor, kładąc mu dłoń na głowie.

Lukas poczuł, jak ciepło boskiej dłoni rozchodzi się pod skórą jego głowy.

– Zdałeś test – powiedział pastor. – Złożyłeś swoje życie w moich rękach. I mam nadzieję, że teraz mi ufasz. Mogłem cię zabić, ale tego nie zrobiłem. Zanim wyruszymy do domu, czekają cię ważne zadania.

– Do domu? – spytał Lukas niepewnie.

– Do nieba. – Pastor się uśmiechnął.

– Naprawdę jestem nowym Jezusem? – wyjąkał Lukas.

Pastor skinął głową.

– Przed dwudziestoma siedmioma laty posłałem cię na ziemię.

Lukas nie wierzył własnym uszom. Oczywiście. Nagle wszystko stało się jasne. To dlatego nie miał rodziców.

– Ale odnalazłem cię – powiedział Lukas z czcią.

– Odnalazłeś mnie – powiedział pastor, uśmiechając się.

– Ale pierwszy Jezus dokonywał wielkich czynów. Co ja takiego zrobiłem? – spytał Lukas.

– Twój czas nadejdzie – powiedział pastor. – I to dziś.

– Dziś? – spytał Lukas zaintrygowany.

Pastor uśmiechnął się znowu. Wstał i poszedł do samochodu. Wrócił, trzymając w rękach małe zawiniątko. Ostrożnie położył je na ławce.

– Dla mnie?

– Rozwiń – powiedział pastor.

Lukas rozpakował zawiniątko drżącymi palcami. Kiedy zobaczył jego zawartość, otworzył szeroko oczy.

– Pistolet?

Pastor skinął głową.

– Co mam zrobić?

Pastor pochylił się do niego i wziął go za rękę.

– W ubiegłym tygodniu ktoś zakradł się do Domu Światła.

– Kto taki?

– Przysłany przez diabła chłopak.

Lukas poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Diabeł posłał chłopaka, by przeszkodził im w podróży do nieba. Domyślał się, że coś się stało. To dlatego w ostatnich dniach pastor i Nils byli tacy małomówni.

– Ale na szczęście jestem silniejszy od diabła. – Pastor się uśmiechnął. – Rozumiem go, ale on nie rozumie mnie.

Oczywiście, pomyślał Lukas.

Deo sic per diabolium.

Do Boga przez diabła.

Zrozumieć diabła. P o z n a ć g o. To pastor miał na myśli.

– Gdzie jest teraz ten chłopak?

– Jest zamknięty w schronie.

– I co z nim zrobimy?

– Zabijesz go – powiedział pastor.

Lukas spojrział na pistolet i wolno skinął głową.

– Jest tylko jeden mały problem.

– Jaki?

– Ma ze sobą Rakel. Moją Rakel.

– Diabeł – szepnął Lukas.

– Musisz więc być ostrożny. Masz zabić chłopaka, ale jej włos nie może spaść z głowy.

Potrzebuję mojej Rakel w niebie.

– Zrobię to najlepiej, jak potrafię.

Lukas się skłonił i pocałował pastora w dłoń. Pastor wstał. Lukas zawinął pistolet i odniósł go do samochodu.

– Kiedy znajdziemy się już w niebie, będziesz mógł mieć swoją własną Rakel – powiedział pastor.

– Naprawdę?

Pastor skinął głową.

– Oczywiście. Wiesz, te aniołki wiszące na drzewach.

– Dziewczynki, o których mówią wszyscy?

– Tak. Będą tam na nas czekać. Będziesz mógł wybrać sobie jedną z nich.

Dziewczynkę? Dla siebie? Nie chciał żadnej dziewczynki, w zupełności wystarczał mu Bóg. Zresztą cóż miałyby robić z taką małą dziewczynką? Lukas odsunął od siebie tę myśl, wolał nie sprzeciwiać się pastorowi. Zapiął pas, włączył silnik i leśnym duktem ruszył w stronę gospodarstwa.

Kim Kolsø siedział w tylnym rzędzie sali briefingowej i słuchał, jak na ich głowy sypią się gromy. A raczej nie tyle na ich, ile na Muncha i Mii. Żadnego z nich nie było w biurze i zapewne to tak rozwścieczyło Mikkelsona. Gdyby tu byli, mogliby odpowiedzieć na jego pytania. Mia przez cały dzień była nieosiągalna, dopiero niedawno Anette udało się z nią porozmawiać. Pojechała do Åsgårdstrand i teraz była w drodze powrotnej. Za to Munch jakby zapadł się pod ziemię.

Kim Kolsø westchnął i zaczął bębnić palcami o blat stołu. Co jakiś czas zerkał na Mikkelsona, który ze zmarszczonym czołem i z rękami założonymi na plecach przechadzał się pod tablicą. Jak nauczyciel. A oni byli uczniami, którym należy się reprimenda. Curry wywrócił oczami, a jego usta uformowały się w bezgłośnie słowo „pieprzenie”. Kim musiał odwrócić wzrok, żeby nie parsknąć śmiechem, ale nie mógł nie zgodzić się z kolegą. Mieli cholernie dużo roboty. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach. Nawet Ludvig, który niedługo miał odejść na emeryturę, wiercił się na krześle jak dziecko. Gabriel Mørk wyglądał na najbardziej niezadowolonego. Ściągnięto go z jego pokoju, gdzie właśnie rozmawiał przez Skype’a z kolegą, który zajmował się oczyszczaniem dźwięku filmu z laptopa Sarah Kiese. Chłopak bujał się na krześle i sprawiał wrażenie, że zaraz wybuchnie.

– A więc? – zapytał Mikkelson, rozglądając się po pokoju. – Są wszyscy?

Odpowiedziała mu cisza. Jeśli Mikkelson był nauczycielem, oni byli niedyscyplinowanymi uczniami, których zamknięto w tej klasie za brak szacunku dla władz szkoły. Sala była jak pole minowe. Wszyscy byli poirytowani, w powietrzu unosiło się napięcie.

– Czy ktoś może nam przedstawić obecną sytuację?

Mikkelson wsunął okulary na nasadę nosa i powiódł wzrokiem po sali. Nikt nie odezwał się ani słowem. Choć dziecinny, bunt klasy przeciwko nauczycielowi trwał. W tym niewielkim pomieszczeniu siedzieli najbardziej oddani przyjaciele i koledzy Muncha i Mii. Nikt nie miał ochoty wysłuchiwać, jak się ich dyskredytuje.

– Gdzie się podział Holger Munch? – spytał Mikkelson. – Gdzie się podziała Mia Krüger?

Wreszcie wstała Anette.

– Holger nie daje znaku życia – powiedziała spokojnie. – Z Mią dopiero co rozmawiałam.

– Konkretnie?

– Kiedy z nią rozmawiałam, była w drodze tutaj.

– A Munch?

– Od jakiegoś czasu nie mamy z nim kontaktu, ale Mia ma na ten temat pewną teorię – powiedziała Anette.



– Można to było przewidzieć – odparł sarkastycznie Mikkelson, ale zebrani nie zareagowali. – I co mówi ta teoria?

– Że sprawca zadzwonił do Muncha – powiedziała Anette. – Munch ma się z nim spotkać sam na sam i teraz jest w drodze do niego.

– Ale telefony są przecież monitorowane. Mamy jakiegokolwiek podstawy sądzić, że ta teoria jest prawdziwa? – spytał Mikkelson.

– Nie – powiedział Gabriel Mørk. – Do momentu wyłączenia telefonu niczego takiego nie zarejestrowano.

– Sprawca mógł skontaktować się z nim w inny sposób. Mylę się? – powiedział ostrożnie Ludvig.

– Co masz na myśli? – zapytał Mikkelson.

– Sam nie wiem. Munch ma przecież w swoim telefonie pocztę elektroniczną, zgadza się? Nie mamy dostępu do prywatnych kont pocztowych. Gmail i tak dalej. Chyba że mamy?

Grønlie spojrzał pytająco na Gabriela Mørka. Miał świadomość, że w sprawach technologii należał do zupełnie innego pokolenia policjantów. Miał nadzieję, że nie palnął głupstwa.

– Wszystko, co robimy, jest monitorowane? Mam nadzieję, że nie – powiedział sarkastycznie Curry.

Kilku kolegów się uśmiechnęło.

– Nie. Do nich dostępu nie mamy – powiedział Gabriel Mørk.

– A zatem mógł otrzymać wiadomość – powiedziała Anette – i zdecydował się spotkać gdzieś z porywaczem sam na sam.

Mikkelson westchnął.

– A więc tak postępujemy?

Rozejrzał się po sali, ale i tym razem nie było reakcji.

– Tak postępujemy? – spytał ponownie, tym razem głośniejszym głosem. – Nie, nie tak. Jesteśmy jedną drużyną. Zespołem. Nie ma tu miejsca na solowe popisy. Informujemy wszystkich o wszystkim i działamy wspólnie. Nic dziwnego, że drepciecie w tej sprawie w miejscu.

– Posunęliśmy się już całkiem sporo naprzód. – Ludvig odchrząknął i wstał.

Kim lubił Grønliego. Miał wszystko, co predysponowało go do bycia członkiem jednostki specjalnej. Trudno to było wytłumaczyć. Wielu przez krótki czas należało do jednostki, ale nie udało im się wkomponować w zespół. Nikt nie potrafił dokładnie powiedzieć, o jakie predyspozycje chodziło. To nie miało nic wspólnego z umiejętnościami, wiekiem, pochodzeniem czy wykształceniem. Chodziło raczej o chemię. Porozumienie bez słów. Robimy tak, a tak nie robimy. Przez jednostkę przewinęło się wielu naprawdę zdolnych i błyskotliwych kolegów, ale większości z nich nie udało się tu zadomowić. Nie potrafili znieść widoku Holgera Muncha, a Mię Krüger uważali za najbardziej przereklamowaną śledczą wszech czasów. Kim pracował z obojgiem od dawna. I nie był w stanie wyobrazić sobie lepszej pracy.

Ludvig Grønlie w skrócie zaprezentował Mikkelsonowi ich dotychczasowe ustalenia. Malin Stoltz. Mieszkanie wyłożone lustrami. Związek pomiędzy domem opieki dla seniorów przy Høvikveien a grupą wsparcia dla kobiet niemogących mieć dzieci

w Hønefoss. Film z komputera Sarah Kiese, dzięki któremu być może niedługo uda się ustalić dokładne położenie miejsca, w którym Malin Stoltz więzi Marion Munch. Jest szansa, że już by to wiedzieli, gdyby Mikkelson nie zwołał ich tu jak niesfornych uczniów.

– Jasne, jasne – powiedział Mikkelson, ponownie poprawiając okulary. – Na czym więc teraz stoimy?

– Czy mogę już iść?

Gabriel Mørk nie wytrzymał. Kim Kolsø uśmiechnął się ukradkiem. Lubił tego chłopaka. Pojawił się właściwie znikąd i w krótkim czasie stał się ważną częścią zespołu. Specjalność Muncha. W ten sam sposób Munch ściągnął też Mię Krüger. Chodziły plotki, że nie musiała nawet kończyć szkoły policyjnej.

– Bo? – Mikkelson zmarszczył brwi.

– Jeśli Munch jest teraz w drodze na spotkanie ze sprawcą, dobrze byłoby ustalić, gdzie to jest – powiedział Gabriel. – Właśnie pracujemy nad oczyszczeniem z zakłóceń filmu, o którym wspomniał Ludvig. Mam znajomego, który się na tym zna. Wkrótce będziemy mieć współrzędne GPS. W ten sposób lepiej wykorzystamy czas, niż siedząc tutaj.

Kim uśmiechnął się w duchu. Tamtego dnia, kiedy przyprowadził go tu z ulicy, Gabriel przypominał rozdygotanego dzieciaka. Teraz sprawiał wrażenie, jak gdyby pracował w zespole od samego początku.

– Mógłbyś powtórzyć, jak masz na imię? – zapytał Mikkelson, zdejmując okulary.

– Gabriel.

– Mówisz, że ile już pracujesz w policji?

– Dwa tygodnie – odpowiedział Mørk z kamienną twarzą.

– A ja dwadzieścia lat. – Mikkelson ponownie założył okulary. – I to raczej ja wiem lepiej, jak sensownie wykorzystywać czas. Nie sądzisz?

Ze swoim sarkazmem Mikkelson trafił w próżnię. Kim zauważył, jak Curry puszcza Gabrielowi Mørkowi oko. Ten odpowiedział tylko wzruszeniem ramion.

– Anette? – spytał Mikkelson, szukając wsparcia.

– Gabriel ma rację. – Anette wstała. – Film z komputera Sarah Kiese jest ważny i musi mieć teraz priorytet. Jeśli Munch zataił przed nami miejsce spotkania, bo Stoltz postawiła mu ultimatum, jest to zupełnie zrozumiałe. Kocha swoją wnuczkę. Postąpiłabym tak samo.

Twarz Mikkelsona zaczęła zmieniać kolor. Jeśli widział w Anette Goli sojusznika, pomylił się. Curry mrugnął do Kima. Ten uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Niech będzie. – Rozzłoszczony Mikkelson zaczął kartkować leżące przed nim na stole dokumenty. – Co teraz robimy?

Kim Kolsø wyciszył wprawdzie dzwonek telefonu, ale zapomniał wyłączyć funkcję wibracji. Leżący na blacie stołu aparat nagle zadrżał. Na wyświetlaczu pojawił się nieznaną numer.

– Kto to? – Mikkelson spojrzał na niego z irytacją.

– Muszę odebrać – powiedział Kim, wstając.

– Teraz? – spytał niechętnie Mikkelson.

– Tak – odpowiedział Kim.

– W takim razie...

Kim wyszedł z sali, nie słuchając dalszego ciągu. Wszedł do kuchni i nalał sobie filiżankę kawy.

– Kim Kolsø, słucham?

Po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos:

– Cześć. Nazywam się Emilie Isaksen.

– Cześć. W czym mogę ci pomóc?

Kim otworzył lodówkę i wyciągnął karton z mlekiem. Jeśli byli w czymś zgodni z Mią Krüger, to na pewno w tym, że biurowej kawy po prostu nie dawało się pić.

– Znalazłam twoją wizytówkę w materacu – powiedziała kobieta. – I kompletnie nie wiem, co powinnam zrobić. Pomyślałam sobie, że może coś mi doradzisz?

– Niewykluczone. A więc jak mógłbym ci pomóc? – spytał Kim, wlewając mleko do kawy.

Tobias oddał Rakel koc i wyłączył latarkę. W schronie było zupełnie ciemno, ale nie mieli wyjścia. Musieli oszczędzać baterie. Ich oczy szybko przyzwyczyły się do ciemności. Tobias nie miał pojęcia, jak długo już siedzą zamknięci w tym podziemnym pomieszczeniu. Sądził, że cztery albo pięć dni. Otworzył pokrywę i zajrzał do środka. Wyszeptał głośno imię Rakel, dziewczynki, którą niedawno poznał, chrześcijanki zza ogrodzenia, która potrzebowała pomocy. Wtedy ktoś zaszedł go od tyłu i zepchnął do środka. Bał się i czuł się dziwnie, chyba się też skaleczył. Długo spadał w czarną czeluść po czymś w rodzaju drabiny, a potem uderzył o betonową posadzkę. Na szczęście nie głową ani rękami. Upadł na bok, a drabina nieco wyhamowała jego upadek. Nie bolało aż tak bardzo. Tylko trochę w biodrze i w nodze.

– Spróbujemy jeszcze raz unieść pokrywę? – Usłyszał w ciemności miękki głos Rakel. Siedziała tak blisko, że mógł rozpoznać jej sylwetkę.

– To nic nie da – powiedział Tobias.

Nie chciał, by wyczuła jego przygnębienie, ale próbowali tego już wiele razy, co najmniej od kilku godzin. Wdrapywał się po drabinie i próbował pchnąć rękami drewnianą pokrywę, ale ta prawie nie drgnęła, była zamknięta od zewnątrz. Kłódka znajdowała się po drugiej stronie, więc wytrych, który miał ze sobą, był zupełnie bezużyteczny.

Na szczęście mieli co jeść. I koc. I latarkę. Musieli jednak oszczędzać baterie, gdyż na dole ich nie znaleźli. Byli zamknięci w schronie. Dziewczynka imieniem Rakel wyjaśniła mu wszystko. Była tam już kilka razy. To tutaj zamykano nieposłuszne dzieci. Te, które nie słuchały starszych. Zazwyczaj kara nie trwała tak długo, wszystko zależało od przewinienia. Tobias zrozumiał, że w tym gospodarstwie chętnie sięgano po kary. Zakaz rozmawiania przez tydzień był jedną z nich. To dlatego wtedy, przy płocie, Rakel posługiwała się kartkami. Potrafiła mówić i nie straciła głosu, jak w pierwszej chwili przypuszczał. Sądził nawet, że jest głuchoniema, jak wódz Bromden w Locie nad kukułczym gniazdem. Potrafiła mówić, co do tego nie mogło być wątpliwości. Od momentu kiedy ktoś zepchnął go do schronu, mówiła niemal bez przerwy. Tobias lubił słuchać jej głosu. Nie mówiła tak jak inne dziewczynki, które znał, jak te z jego szkoły, które albo chichotały, albo opowiadały jakieś głupstwa. Rakel mówiła starannie, niemal jak dorosła. Wiedziała też, gdzie co jest przechowywane w schronie. Były tam pudła z żywnością, wielkie beczki z wodą, ubrania i mnóstwo innych rzeczy. Baterii wprawdzie nie znaleźli, ale i one powinny gdzieś tam być.

Tobias nie po raz pierwszy był w schronie. Mieli schron w szkole i kiedyś wybrali się do niego w ramach ćwiczeń. Ludzie z obrony cywilnej w Hønefoss uruchomili w mieście kilka syren. Wszyscy musieli zejść na dół w długiej kolumnie i zachowywać się tak, jak gdyby to była prawdziwa wojna. W swoim szkolnym schronie mieli tylko kilka starych materaców gimnastycznych i kijów do hokeja na trawie, zupełnie inaczej niż tu, gdzie było

prawie wszystko. Początkowo trochę się bał, ale po jakimś czasie strach minął. Choć byli tu już dość długo, jak dotąd nic się nie wydarzyło. Rakel powiedziała, że w końcu będą mogli wyjść, czasami tylko trzeba poczekać dłużej. Najbardziej martwił się o swojego młodszego brata. Torben z pewnością się przestraszył, kiedy wrócił do domu i go tam nie zastał. Napisał mu kartkę i ukrył ją w otwieranej zamkiem błyskawicznym poszewce piankowego materaca. Nazywali to miejsce swoim tajnym schowkiem. „Idę pospieszować te chrześcijanki, wracam wkrótce. Tobiasz”. Miał nadzieję, że to go trochę uspokoi.

– Myślę, że Boga już nie ma – powiedziała Rakel, biorąc go za rękę.

Tobiasz już wcześniej trzymał dziewczyny za rękę, ale to było coś zupełnie innego. Rakel lubiła trzymać go za rękę, a on lubił trzymać ją. Miała szczupłe i ciepłe palce, a kiedy przytulała się do niego, czuł ciepło jej ciała. Miło było siedzieć w ten sposób razem, właściwie mógłby tak długo. Gdyby tylko nie byli zamknięci pod ziemią.

– Nie wierzę w Boga – powtórzył Tobiasz.

Rozmawiali o tym często. Najwyraźniej było to dla niej ważne. Rozmowy o Bogu. Czasami miał wrażenie, że rozmawia przede wszystkim z samą sobą, ale na tyle, na ile potrafił, próbował jej odpowiadać.

– Bo gdyby Bóg istniał, nie dopuściłby przecież do tych ohydnych, podłych rzeczy, które robią ludzie. Nie sądzisz?

Rakel przysunęła się bliżej do niego i ścisnęła mu dłoń. Tobiasz odwzajemnił uścisk. Robili tak od czasu do czasu.

Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy razem.

– Też tak uważam – powiedział Tobiasz, choć kwestia istnienia Boga nieszczególnie go interesowała.

W szkole się dowiedział, że istnieje wielu bogów. Na całym świecie ludzie wierzyli w różne rzeczy. Nie był to jednak jego ulubiony przedmiot i od tamtego czasu nie zaprzętał już sobie głowy tym tematem.

– W co właściwie można wierzyć, jeśli nie wierzy się już w Boga? – spytała Rakel.

– W Supermana? – zaproponował Tobiasz, chcąc poprawić trochę nastrój. Mówił coś takiego zawsze, kiedy jego brat był smutny. Po to, żeby go trochę rozweselić.

– W kogo? – spytała Rakel.

Tak właśnie było. Rakel wiedziała strasznie mało. Nie miała o niczym pojęcia.

– Człowieka, który jest niewiarygodnie silny i potrafi latać.

– Przecież nikt nie potrafi latać – zdziwiła się Rakel.

– Nie, on nie lata. Albo inaczej: lata, ale tak naprawdę nie istnieje, to tylko postać z komiksu.

– My mamy komiksy o Jezusie – powiedziała Rakel i zamilkła na chwilę.

Tobiasz trochę jej współczuł. Wcale przecież nie miał tak dużo. Inni w jego klasie mieli wszystko, co tylko można było sobie zamarzyć: komputery, iPady, iPhone'y i wszelkie możliwe nowości. Ale on mimo wszystko miał telewizję, książki i komiksy. Rakel nie miała niczego.

– Jak myślisz, kiedy nas stąd wypuszczą? Kto siedział tu najdłużej?

– Nie wiem dokładnie – powiedziała Rakel. – Podobno pewną dziewczynkę imieniem Sara trzymali tu dwa tygodnie. Ale kiedy tu zamieszkałam, już jej tu nie było.

- Co zrobiła?
- Mówili, że próbowała uciec.
- Tak jak ty?
- Tak.

W pomieszczeniu zrobiło się chłodniej. Na zewnątrz zapewne zapadł wieczór. Tobias chwycił narożnik koca i przykrył nim sobie ramię. Rakel przysunęła się do niego jeszcze bliżej i przykryła go. Siedzieli tak przez jakiś czas, blisko siebie, pod kocem, trzymając się mocno za ręce. Rakel położyła głowę na jego ramieniu. Po chwili usłyszał, jak jej oddech się uspokaja. Zasnęła. Tobias się nie ruszał, nie chcąc jej obudzić. Zamknął oczy. Wkrótce zasnął i on. Nie tak mocno, jak w łóżku w swoim domu, było to coś w rodzaju półsnu. To, że naprawdę zasnął, zrozumiał dopiero wtedy, kiedy obudził go jakiś hałas. Wzdrygnął się i zobaczył, że ktoś otworzył pokrywę nad nimi.

Nareszcie, pomyślał, gdy snop światła latarki oświetlił drabinę.  
Tobias Iversen obudził dziewczynkę z pięknymi piegami i wstał.

Gdy Mia zajechała pod dom opieki, przestało padać. Wchodząc po schodach, widziała, jak wielka ciemna chmura przesuwa się w kierunku centrum.

Gdy weszła do środka, Karen stała za kontuarem recepcji. W tym samym miejscu, gdzie Malin Stoltz tamtego dnia, kiedy Mia zauważyła na ścianie dyplom Veroniki Bache z turnieju kanasty. Wielki Boże, jakaż była głupia! Nie dotarło do niej kompletnie nic. To pewnie dlatego, że jej umysł nie funkcjonował jak należy. Nie zrozumiała, że to ją Stoltz wzięła na cel. Owszem, Munch, ale nie ten. Chodziło o Edvarda Muncha. To dlatego ciała dziewczynek zostały podrzucone w forcie Isegran. Matka Muncha. Mia Krüger także uczestniczyła w tamtym śledztwie w Hønefoss. Czy to dlatego? Bo była kobietą? I policjantką? Powinna była szybciej się domyślić? I odnaleźć małą dziewczynkę, ponieważ sama była wtedy jeszcze dziewczyną? Nie potrafiła już jasno myśleć. Wizyta na cmentarzu pozbawiła ją resztek sił. Jej babcia nie żyła. Jej matka nie żyła. Sigrid nie żyła. Mia została zupełnie sama. Cieszyła się, że wkrótce będzie po wszystkim. Tam, na Hitrze, wiele razy dopadały ją wątpliwości, zastanawiała się, czy dokonała właściwego wyboru. Odebrać sobie życie. Opuścić ten świat. Może powinna zmienić zdanie? Ale teraz było już po wszystkim. Podjęła słuszną decyzję. Nie należało wyjeżdżać z wyspy. Oczami wyobraźni widziała wszystkie te rozsypane na stole tabletki czekające na nią. Poczowała radość.

„Chodź, Mio, chodź”.

Najważniejsze to odnaleźć Marion. Wykrzesać z siebie resztkę sił i odnaleźć tę uśmiechniętą dziewczynkę, oczko w głowie Holgera Muncha. Dziecko, które wszyscy tak lubili. Znaleźć Malin Stoltz. Pomyślała o Munchu, który przepadł bez wieści po tym, jak ktoś do niego zadzwonił. Miała nadzieję, że nic mu się nie stało. Być może nawet dopadł Malin. Znalazł swoją wnuczkę. Mia uśmiechnęła się blado. Nie chciała pokazywać, w jak fatalnym jest nastroju.

– Cześć, Karen.

– Cześć, Mio.

– Dobrze, że mnie powiadomiłaś. Dzięki. Przepraszam za moje zachowanie. Jeśli byłam nieuprzejma albo coś... Mamy teraz w biurze naprawdę straszny kocioł.

– Coś się stało? – spytała Karen zaniepokojona.

Ona lubi Holgera, pomyślała Mia. To widać.

– Nie, nic, codzienny młyn – skłamała. – Znalazłaś kluczyki?

– Tak, są tu – powiedziała Karen. – Tylko zarzucę na siebie kurtkę.

Wyszła na zaplecze i po chwili wróciła ubrana.

– Samochód ciągle tam stoi?

– Nie wiem – powiedziała Karen. Poprowadziła Mię do drzwi, a potem schodami do podziemnego garażu. – Wynosiłam dziś rano śmieci. To właściwie nie należy do moich

obowiązków, ale co zrobić. Kiedy jest dużo pracy, każdy robi wszystko. To wtedy zobaczyłam ten samochód. Nie mam pojęcia, jak długo już tam stoi.

– Dlaczego nie pojechała nim do domu? – zapytała Mia.

– Naprawdę nie wiem – powiedziała Karen i na palcach weszła przed Mią do podziemnego garażu.

„Lekko i na palcach, Mio. Lekko i na palcach”.

Słowa jej babci wypowiedziane na łożu śmierci. Mia od dawna nie stąpała już „lekką i na palcach”. Karen była w jej wieku, mogła być nawet trochę starsza, ale wyglądała o wiele lepiej. Młodszej. Bardziej świeżo. Na twarzy ani jednej zmarszczki. Na jej ramionach nie spoczywała odpowiedzialność za świat. Opiekunka w pensjonacie dla seniorów. Coś zupełnie innego niż wyczerpana śledcza pozbawiona ochronnego pancerza. Była gotowa. Czuła to całym swoim ciałem. Tak długo próbowała stawiać temu wszystkiemu czoła. Być Mią Promieniem Księżyca. Zupełnie sama na świecie. Wizyta na cmentarzu pozwoliła jej wszystko zrozumieć. Nie musi już walczyć. Zebrała się w sobie i uśmiechnęła się do miłej opiekunki. Munch i Karen. Miała nadzieję, że połączy ich coś więcej. Że będzie im razem dobrze. Munch naprawdę na to zasłużył.

– Tu jest. – Karen wskazała białego citroëna w kącie garażu. – A tu są kluczyki – dodała.

Mia otworzyła samochód i zajrzała do środka. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na to, że należał do seryjnej morderczynie. Wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie. Kubek z McDonalda. Gazeta. Mia obeszła samochód i otworzyła bagażnik. Tam również nie znalazła nic szczególnego. Trójkąt ostrzegawczy. Para szpilek. Cholera, czego tak właściwie oczekiwała? Że Stoltz przechowuje tam rzeczy dziewczynek? Była na to za sprytna. Zbyt cyniczna. Zimna i wyrachowana. Kilka lat planowania. Nie zostawiła w samochodzie żadnych śladów. Była nawet na grobie Sigrid. Na myśl o tym Mia poczuła wściekłość. Telefon w jej kieszeni zaczął wibrować. Zdjęcie od Ludviga. Nie było więc z nią jeszcze tak źle. Ucieszyła się, miała rację. Grupa dyskusyjna w Hønefoss dla kobiet niemogących mieć dzieci. Spotkanie bożonarodzeniowe, dwa tysiące piąty rok. W sumie sześć kobiet. Uśmiechnięte pozują przed choinką. Rozpoznała ją natychmiast. Malin Stoltz. Oczy tego samego koloru. Niebieskie. Szklka kontaktowe. Mia powiększyła nieco zdjęcie. Malin Stoltz. To było takie dziwne. Wyglądała zupełnie normalnie. Całkiem zwyczajna kobieta, która pragnie dziecka, ale nie może go mieć. Ramieniem obejmuje kobietę stojącą obok niej. Kobieta obok niej. Mia przesunęła nieco obraz, żeby przyjrzeć się dokładniej.

Co, do diabła?

Odwróciła się błyskawicznie, ale było za późno. Kobieta na zdjęciu. Kobieta za nią. Poczowała ukłucie igły na szyi. Tyłem głowy uderzyła w otwartą pokrywę bagażnika.

– Odliczaj od dziesięciu do jednego – powiedziała Karen, uśmiechając się. – Tak zwykle mówią. Od dziesięciu do jednego, a potem zaśniesz. Czy to nie zabawne? Dziesięć, dziewięć, osiem...

Mia Krüger straciła przytomność, zanim doliczyła do sześciu.



# CZĘŚĆ VI

Anette Goli nie podobał się nastrój w sali briefingowej. Mikkelson przejął dochodzenie, chciał kierować nim osobiście, miał jednak zbyt nikłe pojęcie o szczegółach śledztwa, aby odpowiednio zmotywować zespół, zachęcić go do działania. Anette czuła, jak z każdą chwilą narasta w niej uczucie irytacji. Powinni iść do przodu, szybko, tak szybko, jak to możliwe. Mieli cholernie mało czasu, zbyt mało, żeby informować Mikkelsona o wszystkim, co ustalili. Gdzie jest Mia? Przecież niedawno z nią rozmawiała. I dlaczego Munch wyłączył telefon? Był w drodze na spotkanie ze sprawcą, fakt, ale dlaczego nie zostawił go włączonego? Żeby nie mogli go namierzyć? Nie chciał, żeby go śledzili? W myślach rozważała najrozmaitsze scenariusze i nie słyszała, co mówi Kim.

– Czy to naprawdę takie pilne? – spytał Mikkelson. – Nie mamy ważniejszych rzeczy na głowie?

Kim westchnął.

– Owszem, ale myślę, że może to mieć jakiś związek z tą sprawą.

– Cóż to by mogło być? – spytał Mikkelson.

Anette Goli musiała zacisnąć zęby, żeby nie wybuchnąć. Mikkelson nie wiedział zupełnie nic o dochodzeniu.

– Tobias Iversen to chłopak, który znalazł Johanne – westchnął Kim. – A teraz zaginął bez śladu. Rozmawiałem przed chwilą z jego nauczycielką. Od tygodnia nikt go nie widział. Swojemu bratu napisał wiadomość, że wybiera się do siedziby tej sekty w lesie.

– To może być przypadek – powiedział Mikkelson.

Anette nie wytrzymała.

– Równie dobrze może to znaczyć bardzo dużo – wyrwało się jej. – Jeśli mówimy o sekcie w lesie niedaleko miejsca, gdzie została znaleziona Johanne, trzeba to koniecznie sprawdzić. Bądź co bądź mamy pewną wspólnotę religijną zamieszana w tę sprawę. Nie wiemy jeszcze dokładnie, co ją z nią łączy, ale powinniśmy być wyczuleni na każdy sygnał.

Mikkelson popatrzył na nią i się zawahał.

– Niech będzie – powiedział w końcu. – Ale załatw to szybko. I nie wyłączaj telefonu, na wypadek gdybyśmy cię potrzebowali.

– Jasne. – Kim skinął głową.

Zasalutował i wyszedł z pokoju. Zamykając za sobą drzwi, zdążył jeszcze mrugnąć do Anette z wdzięcznością. Uśmiechnęła się i puściła mu oko w odpowiedzi. Lubiła Kima. Lubiła wszystkich w zespole. Munch miał swoje słabe strony, ale potrafił wyszukiwać odpowiednich ludzi jak nikt inny. Jeszcze nigdy nie pracowała w tak zmotywowanym i tak zżytych ze sobą zespole. Teraz jednak motywacja gdzieś się ulotniła. Mikkelson nadawał się może na szefa w centrali na Grønland, ale w roli dochodzeniowca i lidera teamu nie sprawdzał się zupełnie. Miał do tego zbyt słabe kompetencje społeczne. Niewystarczająco czułe anteny. Ten na co dzień tak zaangażowany zespół sprawiał w tej chwili wrażenie, jak

gdyby wszystko inne było dla niego lepsze niż nasiadówki w sali briefingowej. Nic dziwnego. Mieli do zrobienia milion rzeczy, a piasek powoli przesypywał się w klepsydrze. W okolicy mieszkania, w którym ukryli Miriam i Marion, nikt nie zauważył niczego podejrzanego. Marion zniknęła bez śladu. Pomyślała o Munchu. Być może był już na miejscu. Samotny i bez wsparcia, w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale wciąż był. O ile faktycznie umówił się na spotkanie ze sprawcą. Anette nie przychodziło do głowy inne wyjaśnienie.

– Na czym więc стоимy w kwestii Miriam Munch? – zapytał Mikkelson. W tym momencie zadzwonił telefon Anette.

Mikkelson spojrzał na nią niechętnie.

– Z centrali – powiedziała. – Muszę odebrać.

Wyszła z sali.

– Anette. Słucham?

– Cześć, Hilde Myhr z tej strony. Mam tu kogoś, kto chce z tobą rozmawiać.

– Akurat ze mną?

– Nie, z kimś od was. Próbowałam dodzwonić się do Muncha i Mii, ale żadne nie odbiera.

Mia nie odbiera telefonu? Gdzie ona się znów pałęta?

– Mam naprawdę dużo pracy, więc lepiej, żeby to było ważne.

– Na tyle, na ile się orientuję, to jest bardzo ważne.

– Kto to jest?

– Malin Stoltz.

Telefon o mało nie wypadł Anette z dłoni.

– Co powiedziałaś?

– Malin Stoltz jest tutaj.

Anette była tak oszołomiona, że zapomniała odpowiedzieć. Rozłączyła się i pobiegła do kolegów.

– Mamy Stoltz! – krzyknęła.

– Co? – zdziwił się Mikkelson. – Ale jak to?

– Jest na Grønland. Curry, jedziesz ze mną!

– Tak jest – powiedział Curry, zarzucając na siebie kurtkę.

Holger Munch usiadł na łóżku. Pękała mu głowa, a usta miał wyschnięte na wiór. Rozejrzał się zdezorientowany. Pokój wyglądał sterylnie czysto. Szpital. Dom opieki. Wciąż był w domu opieki Høvikveien.

Co u diabła?

Zerwał się, ale musiał od razu usiąść. Pokój zawirował mu przed oczami. Okno. Na zewnątrz było ciemno. Wieczór. Przespał cały dzień. W łóżku w domu opieki Høvikveien, w swoim własnym ubraniu. Przeszukał kieszenie, ale nie mógł znaleźć telefonu. Niech to szlag. Co to, do jasnej anielki, ma znaczyć? Gdzie jest Karen? Przecież miała go obudzić. Ponownie spróbował wstać, tym razem mu się udało. Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi i próbował je otworzyć, ale bez powodzenia. Były zamknięte od zewnątrz. To nie może być prawda! Holger Munch zrozumiał, co się stało, i poczuł, że zalewa go fala paniki.

Kurwa.

Zastukał pięścią w drzwi i krzyknął:

– Halo?!

Walił rozpaczliwie, próbując uporządkować myśli.

– Jest tam kto?!

Ponownie obmacał kieszenie wełnianego płaszcza i spodni. Zataczając się, wrócił do łóżka i zaczął przeszukiwać pościel. Jego telefon znikł bez śladu.

Za jego plecami otworzyły się drzwi. Opiekunka, której Munch nigdy wcześniej nie widział, zajrzała do środka. Spojrzała na niego przerażona.

– Kim jesteś? Co tu robisz?

– Munch, policja w Oslo, wydział zabójstw – wymamrotał Munch, przeciskając się obok niej. – Widziałaś gdzieś Karen?

– Karen? – spytała przestraszona kobieta. – Skończyła już dyżur. O co chodzi?

– Muszę gdzieś zadzwonić – wybełkotał Munch i zataczając się, zaczął schodzić do recepcji.

– Zaraz, chwila, nie możesz tak po prostu...

– Munch, policja. Moja matka tu mieszka – rzucił Munch, chwytając telefon.

Nagle zastygł, a na jego twarzy odmalowała się konsternacja. Ta pieprzona nowoczesna technologia! Nie znał już żadnego numeru na pamięć. Wybrał numer informacji telefonicznej i poprosił o połączenie z centralą policji na Grønland. Po chwili ktoś podniósł słuchawkę. Munch poprosił o przełączenie do jednostki specjalnej. Odebrał Ludvig.

– Grønlie. Słucham?

– To ja, Munch.

– Do diabła, Holger, gdzie ty się podziewasz?

- Nie ma czasu, Ludvig. Jest tam Mia?
- Nie, zniknęła.
- Zniknęła? O czym ty mówisz? Gdzie jest?
- Tutaj jej nie ma.
- Do cholery – powiedział Munch. – A Gabriel?
- Munch? – spytał Ludvig.
- Łącz mnie z Gabrielem, musi namierzyć jej telefon. Dawaj mi Gabriela!
- Munch? – powtórzył Ludvig.
- Do diabła, Ludvig, dawaj mi Gabriela!
- Twoja wnuczka zniknęła.

Munch zamilkł.

– Marion zniknęła – powtórzył Ludvig. – Ktoś zabrał ją z mieszkania. Ale wszystko będzie dobrze, Munch. Mamy Stoltz. Sama się do nas zgłosiła. Słyszałeś? Mamy Malin Stoltz. Anette i Curry właśnie ją przesłuchują. Wszystko będzie dobrze.

Munch powoli przytomniał. Jak niedźwiedź z zimowego snu.

– To nie ona – wychrypiał.

– Co masz na myśli?

Munch wreszcie zrozumiał.

– Przyślij samochód.

– Ale Munch...

– Przyślij samochód! – krzyknął Munch do telefonu.

– Jasne, przyślę, ale dokąd? – warknął Ludvig w odpowiedzi.

– Przepraszam – powiedział Munch. Czuł, że dygocze na całym ciele. – Dom opieki Høvikveien. Przyślij samochód, Ludvig. Nie jestem w stanie prowadzić. Przyślij samochód.

Odłożył telefon na stół i chwiejnym krokiem wytoczył się w wieczorną ciemność.

W nowoczesnym pokoju przesłuchań w podziemiach gmachu policji na Grønland unosił się jednocześnie nastrój napięcia i ulgi. Tak długo szukali tej kobiety. Najpierw człowieka bez twarzy, seryjnego mordercy, o którym nikt nie miał pojęcia, potem kobiety o oczach różnego koloru, która żyła w mieszkaniu wyłożonym lustrami. A teraz była tutaj. Zaledwie metr od nich. Anette przyglądała się jej ukradkiem, podczas gdy Curry nalewał kolejną szklankę wody. Malin Stoltz. Anette nie wiedziała, czego się spodziewać, ale raczej nie tego. Malin Stoltz była drobna i wątła. Długie czarne włosy i blada twarz. Szczupłe palce z trudem unoszące szklankę z wodą do wyschniętych ust.

– Dziękuję – powiedziała Malin Stoltz nieśmiało i znów spuściła głowę.

Anette zrobiło się jej niemal żal.

– Masz prawo do obecności adwokata. Poinformowano cię o tym? – spytał Curry, siadając.

Malin Stoltz ostrożnie kiwnęła głową.

– Nie potrzebuję go – powiedziała cicho.

– Mógłby ci się przydać – powiedziała Anette.

Malin Stoltz uniosła na nią wzrok. Jej oczy, brązowe i niebieskie, wyglądały tak, jak gdyby straciła całą ochotę do życia.

– Nie potrzebuję go – powtórzyła Malin Stoltz, przeciągając szczupłą dłońią po czarnych włosach. – Powiem wszystko, co wiem.

– Podejrzana rezygnuje z obecności adwokata – powiedział Curry do małego mikrofonu w stole.

– Jesteś pewna? – spytała Anette.

Malin Stoltz jeszcze raz skinęła głową, tak samo ostrożnie jak za pierwszym razem. Była taka delikatna. Anette nie mogła w to uwierzyć. Wydawała się prawie przezroczysta, jak szkło. Anette miała uczucie, że gdyby powiedziała coś głośniejszym albo pstryknęła palcami, tamta rozsypałaby się na drobne kawałki.

– Powiem wszystko, co wiem – powtórzyła Stoltz. – Ale chciałabym, żebyście do kogoś zadzwonili.

– Do kogóż to? – spytał szorstko Curry.

Anette dała mu znak, żeby się uspokoił. Nie było powodu do agresji. Malin Stoltz i tak była już kompletnie załamana.

– Jestem chora – powiedziała Malin. – Cierpię na pewną chorobę. Chciałabym, żebyście zadzwonili po mojego lekarza. Możecie to zrobić?

Malin spojrzała na nich błagalnie.

– Oczywiście. – Anette skinęła głową. – Znasz numer?

– Mam go w pamięci – powiedziała Malin.

Curry przesunął po stole blok kartek i długopis. Jego telefon piknął. Gdy Malin pisała na

kartce numer telefonu lekarza, Curry odczytał otrzymaną wiadomość. Uniósł brwi i podał telefon Anette. Esmes od Ludviga.

Munch jedzie do Was.

Anette się uśmiechnęła i odłożyła telefon. Munch się odnalazł. Wreszcie. Anette wzięła kartkę od Malin i podała ją Curry'emu.

– Zadzwonisz?

Curry kiwnął głową i wyszedł z pokoju.

– Chcesz jeszcze trochę wody? – spytała Anette, gdy zostały same.

– Dziękuję – powiedziała cicho Stoltz i zwiesiła głowę.

– Co ci dolega?

– Sami się zastanawiają, co mi jest – powiedziała Malin. – Ale to siedzi w głowie. Z moją głową nie wszystko jest w porządku. Czasami nie wiem, kim jestem. Ale oni nie mają pojęcia, co to jest.

– Gdzie jest Marion Munch? – spytała Anette.

– Kto?

Malin Stoltz spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Marion Munch. Uprowadziłaś ją z mieszkania na Frogner, zgadza się? Gdzie ją przetrzymujesz?

– Kogo? – spytała Malin Stoltz.

Sprawiła wrażenie kompletnie zaskoczonej.

– Wiesz przecież, dlaczego tu jesteś. Wiesz, prawda?

– Tak. – Malin skinęła głową.

– Dlaczego tu jesteś?

– Oszukiwaliśmy staruszków – powiedziała Malin cicho.

Anette nie kryła zaskoczenia.

– O czym ty mówisz?

Malin spojrzała na nią.

– Oszukiwaliśmy staruszków. To nie tak miało być, po prostu tak wyszło. Karen i ja. Chciałyśmy zdobyć pieniądze. Ja chciałam adoptować dziecko. To nie takie proste, kiedy jest się samotną i nie całkiem zdrową. Wiesz, jak trudno jest adoptować dziecko? Wiesz, ile to kosztuje?

Teraz to Anette kompletnie nie rozumiała, o czym mowa.

– Dobrze się teraz czujesz, Malin?

– Co? Ja?

Malin Stoltz wyprostowała się gwałtownie i rozejrzała po pokoju.

– Jesteś teraz Malin czy kimś innym?

– Ja nie mam na imię Malin – powiedziała Stoltz.

– A jak masz na imię?

– Nazywam się Maiken Storberget – odpowiedziała Malin Stoltz.

– To dlaczego podajesz się za Malin Stoltz?

– To był pomysł Karen – odpowiedziała drobna kobieta.

Maiken Storberget. Anette była kompletnie dezorientowana, ale starała się nie dać tego po sobie poznać.

Wrócił Curry.

– Rozmawiałem z twoim lekarzem. Każe cię pozdrowić i przekazać, że ktoś już do ciebie jedzie.

Jego agresja gdzieś się ulotniła. Patrząc na siedzącą przed nimi Malin Stoltz, Anette zaczynała mieć wątpliwości, czy jest osobą, której szukali. Chyba że potrafiła tak doskonale kłamać. To było zupełnie możliwe. Sama przecież przyznała, że cierpi na chorobę psychiczną. Że zdarzają się momenty, kiedy nie jest sobą. Ale w czasie swojej pracy w policji Anette spotkała już wielu kłamców i jeśli Malin Stoltz mówiła nieprawdę, robiła to po mistrzowsku. Anette wyłączyła magnetofon i przeprosiła na chwilę. Wyciągnęła Curry'ego na korytarz, zostawiając Malin Stoltz samą w pokoju przesłuchań.

– Co mówił lekarz?

– Potwierdził to, co powiedziała – odpowiedział Curry. – Od dziecka tuła się po najróżniejszych klinikach. Jeśli faktycznie rozmawiałem z prawdziwym lekarzem, ten przypadek jest tak kuriozalny, że już w nic nie wierzę.

– Powiedział, co jej dolega?

– Zasłonił się tajemnicą lekarską, ale potwierdził, że ma kuku na muniu.

– Curry...

– Niech będzie, jest chora psychicznie. Cholera, Anette, ta kobieta zabiła czworo dzieci, a ja mam ważyć każde słowo?

– Sprawdź tego lekarza. Dowiedz się, czy rzeczywiście nim jest. I niech ktoś zobaczy, czy mamy coś na temat niejakej Maiken Storberget.

– Kto to jest?

Anette wskazała głową na drzwi pokoju przesłuchań.

– Stoltz?

– Tak w każdym razie twierdzi. Zajmij się tym od razu, dobrze?

– Robi się – powiedział Curry.

Anette wróciła do pokoju przesłuchań i ponownie uruchomiła magnetofon.

– Piątek, czwarty maja dwa tysiące dwunastego, godzina dwudziesta druga czterdzieści. W pokoju przesłuchań są obecni adwokat policyjna Anette Goli i przesłuchiwana Malin Stoltz.

– Maiken Storberget – wpadła jej w słowo Stoltz. Sprawiała jednak wrażenie, jakby nie była już tego całkiem pewna.

– Jak więc mam się do ciebie zwracać? – spytała Anette przyjaźnie.

– Wydaje mi się, że Maiken – powiedziała Malin.

– Dobrze. Maiken. A więc, Maiken, chciałabyś jeszcze szklanek wody?

– Nie, dziękuję.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś, Maiken?

– Tak. Ponieważ ja i Karen oszukiwałyśmy starych ludzi. Tak mi przykro...

– To nie dlatego tu jesteś, Maiken.

– Nie?

Kobieta, która jeszcze przed chwilą była Malin Stoltz, a teraz nazywała się Maiken Storberget, spojrzała na nią pytająco.

– Jesteś pewna, że nie potrzebujesz adwokata?



– Słucham? Tak, jestem pewna. Dlaczego tu jestem?

– Jesteś podejrzana o zamordowanie czterech sześciolletnich dziewczynek, a ponadto o uprowadzenie sześciolletniej Marion Munch.

– Nie... Nie, nie, nie!

Maiken gwałtownie poderwała się z krzesła.

– Nie, nie, nie... Niiieee...

– Usiądź, Maiken.

– O nie, nie... Nie, nie, przecież wiesz, że nie mam z tym nic wspólnego. O nie, nie, nie...

Anette żałowała, że zgodziła się zdjąć Maiken Storberget kajdanki. Maiken sprawiała wrażenie, że w każdej chwili może zrobić sobie krzywdę.

– Czy mogłabyś usiąść, Maiken?

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Możesz usiąść, Maiken?

– To... O nie... To nie ja...

– Jeśli usiądziesz, wysłucham, co masz do powiedzenia. Możemy się tak umówić? – spytała Anette, starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej przyjazny ton. Jednocześnie położyła palec na przycisku alarmowym pod blatem stołu.

Miała zamiar wezwać strażnika dopiero wtedy, kiedy będzie to absolutnie konieczne.

Maiken Storberget spojrzała na nią i zdecydowała się usiąść.

– Maiken?

– Tak?

– Zapomnijmy na chwilę o tym, co powiedziałam, dobrze?

– Dobrze? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Maiken, ocierając łzę.

– Opowiedz mi trochę więcej o tym, o czym wspomniałaś przed chwilą.

– O staruszkach? – Maiken pokiwała głową i się wyprostowała.

– Kim są ci „staruszkowie”?

– Ludzie z domu opieki – powiedziała cicho Maiken. – Poznałam Karen w Hønefoss. W grupie dyskusyjnej dla kobiet niemogących mieć dzieci. Zaprzyjaźniłyśmy się. To był jej pomysł. Powiedziała, że zna pewnego człowieka...

– Kogo?

– Jakiegoś księdza. Na początku nie był księdzem, tylko handlarzem używanych samochodów. Dopiero później ogłosił się księdzem i zaczął odbierać pieniądze ludziom, którzy... których czas dobiegał końca.

– Chodziło o spadki?

Mia przekazała zespołowi informację o wspólnocie religijnej, która miała zakusy na należny Munchowi spadek po matce.

Maiken Storberget pokiwała głową.

– Dostawałyśmy pieniądze za każde nazwisko, które...

– Które...?

Maiken Storberget zawahała się przez chwilę.

– Wiesz... Nazwiska tych, którzy byli starzy i skłonni uwierzyć w życie wieczne.

Była wyraźnie zawstydzona. Oparła szczupłe dłonie na kolanach i zaczęła wyłamywać

palce.

– Jak długo to trwało?

– Długo. Bardzo długo. Oszukałyśmy wielu ludzi.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Curry. Anette wcisnęła przycisk nagrywania.

– Godzina dwudziesta druga pięćdziesiąt siedem. Do pokoju przesłuchań wszedł śledczy Jon Larsen. Przesłuchanie Maiken Storberget jest kontynuowane.

Spojrzała na Curry'ego. Ten skinął głową.

– Wszystko się zgadza – powiedział krótko.

– Kto to jest Karen? – spytała Anette.

– Nie znacie Karen? – spytała Maiken.

– Jakiej Karen? – spytał Curry.

– Nie, nie znamy żadnej Karen – powiedziała Anette.

– Ja ją znam – powiedział Munch, który niespodziewanie pojawił się w pokoju.

Anette nawet nie słyszała, kiedy otworzyły się drzwi.

– Godzina dwudziesta druga pięćdziesiąt dziewięć. Do pokoju wszedł Holger Munch, szef specjalnej jednostki dochodzeniowej.

– Gdzie jest Karen? – spytał Munch, siadając na brzegu stołu.

Wejście Muncha zawstydziło Maiken Storberget. Znali się. A Maiken brała udział w próbie pozbawienia rodziny Muncha jej majątku.

– Przykro mi, Holger – wydusiła z siebie Maiken i wbiła wzrok w kolana. – Chciałam tylko mieć dziecko. Dlaczego nie mogę mieć dziecka, kiedy wszystkie inne kobiety mogą?

– Już dobrze, Malin – powiedział spokojnie Munch, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Muszę tylko się dowiedzieć, gdzie jest Karen.

– Maiken – sprecyzowała Anette.

– Co? – spytał Munch, odwracając się do niej.

Anette nieraz widziała swojego szefa wyczerpanego, ale nigdy w takim stanie jak teraz. Rozbiegany, błędny wzrok. Gdyby nie wiedziała, że unika alkoholu, byłaby przekonana, że zdrowo się napił.

– Maiken Storberget. – Curry uspokajająco pokiwał głową.

– Maiken? Niech będzie Maiken – powiedział Munch. – Gdzie jest Karen?

– O nie, nie... – jęknęła Maiken i zaczęła bujać się na krześle.

– Munch? – powiedziała Anette, ale ten ją zignorował.

– Muszę wiedzieć, gdzie jest Karen. Rozumiesz? Muszę wiedzieć, gdzie jest, i to natychmiast!

Munch się pochylił i chwycił wążką kobietę za ramiona. Maiken Storberget odruchowo zasłoniła dłonią twarz.

– Nie, nie, nie...

– Munch. – Głos Anette zabrzmiał ostrzej.

– Gdzie jest Karen?! – krzyknął Munch, potrząsając szczupłą kobietą.

– Munch! – krzyknęła Anette.

– Gdzie jest Karen?!

Munch trzymał Maiken za ramiona i potrząsał nią z całej siły. Anette się poderwała, ale Curry ją uprzedził. Barczysty policjant chwycił Muncha swoimi muskularnymi ramionami

i wprowadził go z pokoju przesłuchań.

– Wszystko w porządku, Maiken? – spytała Anette, kiedy znów zostały same.

Kobieta spojrzała na nią zaczerwienionymi oczami i wolno kiwnęła głową.

– Zaraz wracam, dobrze? Muszę tylko zamienić dwa słowa z kolegami.

Maiken ponownie skinęła głową.

– Wiesz...

Maiken uniosła na nią wzrok.

– Wszystko będzie dobrze. Wierzę ci.

Maiken otarła łzę i słabo pokiwała głową.

– Dziękuję.

Anette się uśmiechnęła, położyła jej dłoń na ramieniu i wyszła z pokoju.

– Munch, co to ma być, do cholery?

Na korytarzu Curry wciąż trzymał Muncha w żelaznym uścisku.

– Przepraszam – wyjąkał Munch. – Ona ma Marion. Karen. Ma moją małą. Ma Marion.

– Uspokój się – powiedział Curry.

– Zaprowadź Maiken do celi – powiedziała spokojnie Anette. – Ja zajmę się Holgerem.

Curry niechętnie kiwnął głową i puścił Muncha. Wszedł do pokoju przesłuchań, zostawiając ich oboje na korytarzu.

– Holger, wszystko z tobą w porządku? – Anette położyła szefowi rękę na ramieniu.

– Ona ma moją małą – powtórzył Munch.

– Kto to jest Karen? – spytała Anette tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

– Pracuje w tym domu opieki – warknął Holger. – Ona ma moją małą, Anette. Ma moją małą.

– Znajdziemy ją – powiedziała Anette. Zadzwoił jej telefon.

– Anette. Słucham?

– Daj mi Holgera – wysapał Gabriel Mørk.

Podziała telefon Munchowi.

– Tak?

Munch słuchał przez chwilę, po czym się rozłączył.

– Film z laptopa Sarah Kiese. Mamy współrzędne GPS. Weź ze sobą Curry'ego.

Korpulentny policjant biegł już korytarzem, nie czekając nawet na odpowiedź.

Mię Krüger zbudziło coś, co wzięła za krzyk mew. Znów była na swojej wyspie. Dom, który kupiła, żeby być sama. Żeby uciec od ludzi. Uciec od siebie samej. Z własnej woli faszerowała się lekami, niemal ocierając się o śmierć. Morze. Powietrze. Ptaki. Spokój. Powinna być z Sigrid. Jak trudno jest żyć w samotności... Kiedy cała twoja rodzina już odeszła. Nie żyje. Jak trudno jest, kiedy nie ma się obok siebie nikogo, kto cię rozumie. Sigrid zawsze ją rozumiała. Cudowna, kochana, wspaniała Sigrid. Słowa były niepotrzebne. „Rozumiem cię, Mio”. Nie musiała nawet otwierać ust. Ciepłe, czułe spojrzenie spod jasnych włosów.

Teraz była sama. Utraciła poczucie bezpieczeństwa. Utraciła spokój. Tylko ten dom i te mewy. Niezłomna, inteligentna, wyjątkowa Mia Krüger. Mia Promień Księżyca, Indianka o błyszczących niebieskich oczach, jedna z najlepszych śledczych w kraju. Został z niej tylko strzępek, wyczerpana życiem dziwaczka na samotnej wyspie.

Czuła, że usta ma suche jak pieprz. Próbowwała otworzyć oczy, ale jej się nie udało. Przejście ze snu do rzeczywistości, niczym na zwolnionym filmie, z muzyką w tle. Radio. Dźwięki umilkły. Raz jeszcze spróbowała otworzyć oczy, ale jej powieki były jak sklezione. Nie tylko oczy. Cała była unieruchomiona, nie mogła się ruszyć. Mia wolno osunęła się z powrotem w swój sen. Kawa była gotowa, słyszała syk pary wydobywającej się z ekspresu w kuchni jej domu na Hitrze.

– Cześć, Mio.

Mia Krüger otworzyła oczy i zobaczyła Karen Nylund. Rudoblondwłosa kobieta się uśmiechała, trzymając w dłoni butelkę wody.

– Chciałabyś się napić? Musisz być bardzo spragniona.

Mia nagle zrozumiała. Szarpnęła się instynktownie, próbując się uwolnić. Miała coś na ustach. Jej ręce były przymocowane do krzesła taśmą klejącą. Nogi. Nogi też. Przywiązane mocno. Jej ruchy były bezwiedne, sterowało nimi ciało, nie mózg. Mięśnie napięły się w panice. Ale to nie pomogło. Mogła poruszać tylko głową.

– Jesteś naprawdę urocza. – Karen uśmiechnęła się i pomachała butelką. – Długo masz zamiar tak się szarpać? To naprawdę zabawny widok, nie krępuj się.

Mia poczuła, jak wzbiera w niej panika, ale się opanowała. Zdusiła strach. Wzięła głęboki wdech i rozejrzała się spojrzeniem policjantki. Była w jakimś niedużym domu. Albo wakacyjnej chatce. Nie, w domu. Ramy okienne były białe i stare. Na wsi. Była na wsi. Szyby zaklejone folią. Można było wyglądać na zewnątrz, ale z zewnątrz zajrzeć do środka już się nie dało. Ciepło i trzaski za jej plecami. Piec. Nie, odgłosy były zbyt wyraźne, zapewne kominek. Sofa. Stół w stylu lat sześćdziesiątych. Na podłodze kolorowy dywanik. Po lewej stronie drzwi. Stara lodówka. Kuchenka. Kolejne drzwi. Uchylone. Korytarz. Para brudnych butów. Na wieszaku rozpinany sweter i kurtka przeciwdeszczowa.

– Tak, ładnie tu. Prawda? – powiedziała Karen, stawiając butelkę na podłodze. –

Chcesz, żebym ci wszystko wyjaśniła?

Mia próbowała coś powiedzieć, ale z jej gardła wydobył się tylko głuchy pomruk. Taśma klejąca na ustach. Wyciągnęła język, wcisnęła go pomiędzy wargi. Poczła smak kleju.

– Jeśli chcesz coś do picia, nie wolno ci krzyczeć – powiedziała Karen. – Jesteśmy na odludziu, więc nikt i tak ci nie pomoże, ale nie chcę, żebyś obudziła dziecko.

Przed nią stał telewizor. Nie, nie telewizor. Monitor. Monitor komputera. Klawiatura. Mysz.

Karen włączyła monitor.

– Widzisz? Śpi. Musimy być cicho. Ciiiiii.

Karen Nylund się uśmiechnęła i położyła palec wskazujący na ustach. Ekran powoli budził się do życia. Mia zobaczyła śpiącą dziewczynkę. Marion. W jakimś białym pomieszczeniu. Obraz z kamery internetowej zainstalowanej gdzieś w narożniku pokoju.

– Czy nie jest słodka? – spytała Karen z uśmiechem.

Przysiadła na stole i delikatnie pogładziła dłonią ekran.

– Nie wolno budzić dziecka, kiedy śpi.

Nagle wstała, zrobiła krok w kierunku Mii i zerwała jej taśmę z ust. Mia gwałtownie chwyciła powietrze i zaczęła kasłać. Poczła mdłości. Igła w szyi. Miała wrażenie, że za chwilę zwymiotuje.

– A teraz się napij – powiedziała Karen, przystawiając jej butelkę do ust.

Mia piła łapczywie, tyle, ile mogła. Woda ściekała jej po brodzie, spływała na pulower i spodnie. Jej uda zrobiły się mokre.

– Grzeczna dziewczynka – powiedziała Karen, wycierając jej brodę i kącik ust grzbietem dłoni.

– Co z nią zrobiłaś? – wycharczała Mia.

– Nic. O czym ty mówisz? – spytała Karen, nie przestając się uśmiechać. – Nic jej nie zrobiłam. Oczywiście zabiję ją, ale nie mam zamiaru nic jej zrobić.

– Niech cię diabli – zaklęła Mia i splunęła.

Karen odskoczyła w bok, w ostatniej chwili unikając trafienia.

– Co to? Fúj, Mio! Chcesz z powrotem taśmę czy będziesz zachowywać się grzecznie?

– Będę się zachowywać – powiedziała cicho Mia. – Przepraszam.

– Widzisz? Od razu lepiej – powiedziała Karen i usiadła znowu.

– Dlaczego ja? – spytała Mia.

– Litości... Tak od razu do rzeczy? Nie uważasz, że to nudne? – spytała Karen z uśmiechem. – Nie wolałabyś najpierw trochę się zabawić? Bardzo lubię gry. Sprawiają mi wielką radość. A ty? Lubisz grać, Mio? Mio Promieniu Księżycy? Cóż za urocze imię. Mała Indianka w potrzasku. Bardzo odpowiednie, nie sądzisz?

Mia nie odpowiedziała. Zamknęła oczy i spuściła głowę na piersi. Karen wstała.

– Mio? Mio? Nie wolno ci teraz zasnąć. Mio, miałyśmy zagrać.

Mia otworzyła oczy i splunęła Karen prosto w twarz.

Kobieta o rudoblond włosach nie była na to przygotowana. Na ułamek sekundy opadła z niej maska. Uśmieszek znikł z jej twarzy, oczy rozblęły.

– Pieprzona dziwka!

Karen Nylund uniosła rękę i uderzyła Mię w twarz. Cios był mocny. Głowa Mii odskoczyła do tyłu. Przed oczami zatańczyły jej gwiazdy.

Kiedy otworzyła oczy, na twarzy Karen znowu pojawił się groteskowy uśmieszek.

– Kawalek ciasta? – spytała Karen, przekrzywiając głowę. – Upiekłam je specjalnie dla ciebie.

– Kim ty, do diabła, właściwie jesteś?

– Nie przeklinamy – powiedziała Karen. – To naprawdę niepotrzebne. Taka jest zasada. Umowa stoi? To zasada w naszej grze.

Mia się zawahała, po czym kiwnęła głową. Rozejrzała się jeszcze raz. Spojrzeniem policjantki. Była tu uwięziona. Daleko od cywilizacji. Znajdowała się w pułapce. Musiała uwolnić się sama. Perswazja. To jedyna szansa. Grać razem z tamtą.

– To dobra zasada – powiedziała cicho, próbując się uśmiechnąć.

– Świetnie – powiedziała Karen i zaklaskała w dłonie. – Kto zaczyna? Ja?

Mia skinęła głową.

– Wychowałam się w tym domu – powiedziała Karen. – Mieszkałam tu razem z moją matką, siostrą i tym, którego imienia nie wymawiamy.

– Twoim ojcem?

– Tym, którego imienia nie wymawiamy – powtórzyła Karen z uśmiechem i znów przysiadła na stole. – Teraz ty.

– Wychowywałam się w Åsgårdstrand – powiedziała Mia. – Razem z siostrą, matką i ojcem. Mieszkaliśmy w białym domu, niedaleko domu Edvarda Muncha. Moja babcia mieszkała tuż obok.

– Nuda – uśmiechnęła się Karen. – Kompletny suchar. To wiemy już od dawna. Opowiedzmy sobie coś nowego, coś, o czym jeszcze nie słyszałyśmy. Mogę najpierw ja?

Mia ponownie skinęła głową.

– Moja matka pracowała w szpitalu w Hamar. Wolno mi było chodzić z nią do pracy. Pokazywała mi tam wszystko. Miała najbardziej miękkie włosy na świecie i pozwalała mi je czesać. Moja siostra była jeszcze zbyt mała, mogła tylko patrzeć. Pewnego dnia mama nie wróciła z pracy do domu. Wszyscy wiedzieliśmy, co się stało, ale policja nawet nie kiwnęła palcem. Nie uważasz, że to dziwne? Mieszkamy w kraju, w którym policji nic nie chce się robić.

Karen się uśmiechnęła i zaczesła sobie włosy za uszy. Wpatrzyła się w sufit, sprawiała wrażenie, jakby nad czymś się zastanawiała.

Szpital w Hamar. Były więc niedaleko Hamar. Ojciec zabił matkę. Policja nic nie zrobiła. Stąd ta jej nienawiść wobec policji.

– Można zadawać pytania? – spytała Mia.

– Można. – Karen się uśmiechnęła. – W tej grze wszystko jest dozwolone.

– Z wyjątkiem przeklinania – powiedziała Mia z wymuszonym uśmiechem. Miała nadzieję, że wyglądał przekonująco.

– Słusznie – zachichotała Karen. – Tego nie lubimy.

– Jak ją nazwałaś? – spytała Mia.

– Kogo?

– Dziewczynkę z porodówki.

Karen przestała się uśmiechać.

– Margrete – powiedziała.

– To ładne imię.

– Ładne, prawda?

– Bardzo ładne. To był jej pokój?

Pokazała głową ekran.

– Tak – powiedziała Karen ze smutkiem. – A właściwie nie, tamten nie był taki ładny. Kazałam przebudować go na nowo. Stary był zbyt smutny.

– Co się z nią stało?

– O nie, teraz moja kolej.

Mia oderwała wzrok od ekranu. Nie mogła dłużej na niego patrzeć. Marion leżała na łóżku, w białej lalczynej sukience z koronkami.

– Miał krwotok wewnętrzny.

– Kto taki?

– Ten, którego imienia nie wymawiamy. Dosypałam mu do jedzenia trutkę na szczury. To ja musiałam zajmować się gotowaniem dla nas trojga. Po tym, jak policja powiedziała, że matka sama od nas odeszła. Świetnie się bawiłam, patrząc, jak umiera. Obserwowałyśmy to razem, moja siostra i ja. Najpierw zaczął krwawić z ust, a potem już zewsząd. To był naprawdę piękny widok. Uroczysty. Prawie jak wieczór wigilijny.

– Gdzie go pochowaliście? – spytała Mia, próbując nie patrzeć na ekran.

Skup się teraz, Mio. Koncentracja.

– Obok latryny – powiedziała Karen z uśmiechem. – Kupa, kupa, ciuś, ciuś, ciuś. Odpowiednie miejsce. Jesteś pewna, że nie chcesz ciasta?

– Może później. – Mia się uśmiechnęła.

– Jest bardzo smaczne – powiedziała Karen i na chwilę zanurzyła się w swoim świecie.

– Malin Stoltz?

– Masz na myśli Maiken?

– Oczy różnego koloru? Malin?

– Maiken. – Karen skinęła głową. – Biedna Maiken. Ma nie po kolei w głowie, wiedziałś o tym? Ale zarobiłyśmy razem górę pieniędzy.

Powoli coś zaczęło docierać do Mii. Zaczynała dostrzegać związek.

– Poprzez wspólnotę?

Karen Nylund się uśmiechnęła i znów klasnęła w dłonie.

– Bystra Mia. Naprawdę bystra. Nie masz pojęcia, jak chętnie starsze panie oddają wszystkie swoje pieniądze Jezusowi, kiedy mają świadomość, że wkrótce umrą.

Zaśmiała się.

– Oni zatrzymywali sześćdziesiąt procent, my czterdzieści. Powiedziałabym, że to uczciwy interes. Zarobiłyśmy góóóó górę pieniędzy, Mio. Nie masz nawet pojęcia ile.

– Nie – powiedziała Mia.

– Dużo. – Karen mrugnęła do niej. – Nie mieszkam już w tym domu.

– Wiedziała coś o Margrete i pozostałych dziewczynkach?

– Absolutnie nic. – Karen znowu się uśmiechnęła. – Maiken jest totalnie walnięta, ale zbyt tchórzliwa na cokolwiek. Co innego ten jej szurnięty kumpel, Roger Bakken. Czasem

mi się przydawał. Nie potrafił się zdecydować, czy jest mężczyzną czy kobietą. To w sumie zabawne. Tacy ludzie są zawsze bardzo słabi, łatwo nimi sterować.

– Niesamowite. Cóż za plan – powiedziała Mia. – Współpraca z sektą. Naprawdę sprytnie. Każdy wychodził na tym dobrze.

– Prawda? – spytała Karen z dumą.

– Ale co się z nią stało?

– Z kim?

– Z Margrete? Z dzieckiem?

Karen zamilkła na chwilę, po czym odpowiedziała:

– Potrącił mnie samochód. Miałam złamaną stopę i obie ręce – powiedziała, ścigając usta. – Leżałam w szpitalu.

– Długo?

Karen skinęła bez słowa głową.

– Nie powinno się mieć do nich pretensji – powiedziała po chwili. Uśmiech wrócił na jej twarz. – Mam na myśli staruszków. Tych, którzy oddają swoje pieniądze. Leżą tam zupełnie sami. Ciało przestaje funkcjonować. Podsumowują swoje życie i zaczynają żałować. Ach, jak oni żałują, Mio! Widziałam ich. Słyszałam, co mówią. Myślą o tym, co powinni byli zrobić inaczej. Żałują, że brali na siebie odpowiedzialność za innych. Że nie myśleli bardziej o sobie. Że nie podróżowali, nie bawili się, nie poznawali świata. Tak strasznie się boją. Mają w oczach strach, przeraźliwy strach, Mio. Powinnaś to kiedyś zobaczyć. Dociera do nich, że postępowali niewłaściwie. Ogarnia ich panika. Mają nadzieję na jeszcze jedną rundę. Chcą kupić sobie jeszcze jedną szansę. Nie powinno się mieć do nich pretensji. Jakie to uczucie, Mio? Musieć umrzeć?

– Chcesz mnie zabić? – spytała Mia.

Karen spojrzała na nią zaskoczona.

– Naturalnie. Dlaczego pytasz?

– Dlaczego mnie?

– Jeszcze tego nie rozumiałaś? A ja myślałam, że jesteś taka bystra!

– Nie, nie rozumiałam – powiedziała Mia cicho.

– Nie rozumiałaś, bo jestem sprytniejsza od ciebie.

Karen uśmiechnęła się triumfująco i zaklaskała w dłonie jak dziecko.

– Zabiłam psa, wiesz? Żeby dziewczynki miały się z kim bawić. Czy to nie miłe z mojej strony?

– Tego nie wiedziałam – wymamrotała Mia.

– Bo jesteś głupia – powiedziała Karen Nylund z uśmiechem.

– Tak, jesteś sprytniejsza ode mnie.

– Owszem.

– A więc dlaczego zamierzasz mnie zabić?

– Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz? – spytała szyderczo kobieta o rudoblond włosach.

– Nie.

– Mam powiedzieć?

– Tak.

– Bo zabiłaś moją siostrę – powiedziała Karen i zniknęła w kuchni.



Liv-Hege Nylund zaczęła wachać klej, mając trzynaście lat, w jakiejś bocznej uliczce w Hamar. Szkołę porzuciła dużo wcześniej. Nie podobało jej się tam. Przedmioty jej nie odpowiadały, ludzie również, poza tym nikogo i tak nie obchodziło, gdzie była. Nikogo z wyjątkiem jej siostry, starszej o dziesięć lat Karen. Karen zajmowała się nią, kiedy dorastały w Tangen, w małym domu na uboczu. Ojciec był tyranem. Dla obu sióstr i matki molestowanie fizyczne i psychiczne było codziennością, aż wreszcie pewnego dnia matka przepadła bez śladu. Mała Liv-Hege doświadczyła rzeczy, z którymi jej głowa i ciało nie potrafiły sobie poradzić. Szmataka nasączona klejem była cudowną ucieczką od rzeczywistości. Dopóki Karen znajdowała się obok, było jej łatwiej. Chodzić do szkoły. Zachowywać się tak, jak gdyby wszystko było w porządku. Wierzyć, że da radę. Ale Karen zrobiła się dziwna. Kiedy zostały w domu same, w jej osobowości zaszła olbrzymia zmiana. Wybuchła gniewem z powodu najmniejszych drobiazgów. Nagle zaczynała śmiać się z rzeczy, które w ogóle nie były śmieszne. Liv-Hege pamiętała, jak pewnego dnia przez okno w salonie do domu wleciał ptak. Liv-Hege schwyciła go, zaniosiła do swojego pokoju i włożyła do wymoszczonego kartonowego pudełka. Chciała go uratować. Kilka dni później wróciła do domu szkolnym autobusem. Jej starsza siostra stała w kuchni i zupełnie nie spodziewała się powrotu Liv-Hege. Na kuchence stał garnek z wrzącą wodą. Karen przypatrywała się, jak wrzeszczący wniebogłosy ptak gotuje się żywcem. Odwróciła się do Liv-Hege z szerokim uśmiechem, jak gdyby obserwowanie umierającego ptaka sprawiło jej przyjemność. Ich matka pracowała w szpitalu w Hamar. Starszej siostrze, Karen, wolno było czasem towarzyszyć jej w pracy. Matka nie miała jednak pojęcia, że Karen podkrada stamtąd lekarstwa. Pewnego razu, kiedy były w domu same, Karen pokazała Liv-Hege ukryte na poddaszu pudło. Były w nim strzykawki, ampułki i dużo innych rzeczy o dziwacznych nazwach. Liv-Hege nie miała pojęcia, do czego siostra zamierzała to wszystko wykorzystać, najprawdopodobniej chciała kogoś zabić. Karen lubiła zabijać.

Liv-Hege chciała zapomnieć. Nasączona klejem szmataka była początkiem podróży, której koniec mógł być tylko jeden. Z początku Liv-Hege jeździła autostopem pomiędzy Tangen a Hamar, ale pewnego dnia nie wróciła już do domu. W ruinach katedry wachali klej, a potem zasypiali w krzakach. Wachali poppersy, brali leki nasercowe, spali na ławkach albo na klatkach schodowych. Kradli jedzenie, a czas mijał im głównie na zdobywaniu czegoś, czym mogliby się odurzyć. Na im większym była haju, tym trudniej było jej wracać do rzeczywistości. Przez pierwsze lata odurzała się okazjonalnie, kilka razy w tygodniu, ale potem niemal przestała trzeźwieć. Spirala destrukcji, z której nie potrafiła się wyrwać. Liv-Hege prześladowało to, czego doświadczyła jako dziecko: całkowity brak miłości, ciągły strach przed tym, co może się stać. Nie miała szans, aby odnaleźć się w rzeczywistości tak jak inni. Dobre życie. Bezpieczne życie. Dom. Praca. Rodzina. Dzieci. Wakacje. Żadnych szans. Liv-Hege miała w swoim życiu tylko jeden cel –

po raz kolejny znaleźć się na haju. I jeszcze raz. I znowu. Miała mężczyzn, ale nie przywiązywała do tych znajomości większej wagi. Raz był to gość, który odstąpił jej łóżko i trochę haszyszu. Innym razem facet, u którego mogła wziąć prysznic i napić się wódki.

I wtedy poznała Markusa Skoga. Liv-Hege zasnęła w samochodzie i obudziła się w Oslo. Ktoś miał odebrać od kogoś jakąś przesyłkę. Speed albo coś innego. Znalazła się w mieszkaniu na Grønland. Liv-Hege wpadła po same uszy i wkrótce byli parą. Markus Skog zapoznał ją z heroiną i odtąd miała już dwie rzeczy, w których była zakochana do szaleństwa. Heroina była cudowna. Zupełnie inna niż klej i cały ten syf, którym odurzała się do tej pory. Owszem, miała po tym niezłe odloty, ale czuła się źle i bez przerwy męczyły ją mdłości. To było kompletnie nowe doznanie. Pewnego słonecznego dnia nad Akerselva Markus Skog zrobił jej pierwszy zastrzyk. Liv-Hege ledwie wierzyła, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Było tak, jak gdyby jej napięte przez całe życie ciało nagle się odprężyło. Wszystkie te ostre kolce, te dręczące ją nieustannie męczarnie były teraz jednym wielkim promiennym uśmiechem. Wielkim promiennym uśmiechem na różowej chmurze wiecznego piękna. Ludzie byli dobrzy. Świat był wspaniały. Już na zawsze. Od tamtej pory byli nierozłączni. Markus, ona i heroina. Niebiański trójkąt. Przenosili się z miejsca na miejsce, mieszkali to tu, to tam. Markus znał wielu ludzi, a kiedy zaczął dealować, poznali następnych. Dealerzy to celebryci podziemia, zawsze otoczeni świątą znajomych i obcych. I choć Markus dealował tylko na ulicy, dawali sobie niezłe radę. Teraz była jesień i od jakiegoś czasu pomieszkiwali w przyczepie kempingowej niedaleko Tryvann. Nastrój był imprezowy, może nawet za bardzo. Dużo kokainy, dużo speedu i za mało heroiny. Liv-Hege tęskniła za nią. Dobrze by jej zrobiła. Dać sobie w żyłę. Na szczęście towarzystwo ruszyło w kierunku centrum i w samochodzie pozostało tylko ich troje. Markus, ona i to cudowne płynne złoto, które wkrótce popłynie przez jej żyły.

– Dasz mi w kanał?

Liv-Hege uniosła błagalnie oczy na Markusa Skoga, który niespokojnie dreptał tam i z powrotem.

Przed chwilą wciągnął dwie kreski mieszanki speeda i kokainy i był już na niezłym haju. Rozmawiał sam ze sobą. Oczy miał wielkie jak spodki.

– Markus? – spytała jeszcze raz. – Daj mi w żyłę.

Liv-Hege podwinęła rękaw pulovera i położyła ramię na małym stoliku z szarego laminatu.

– Cholera, Liv-Hege, przecież możesz zrobić to sama. Wszystko muszę robić ja? – wymamrotał Markus Skog, przygotowując na stoliku dwie kolejne kreski.

– Ale jest mi tak cudownie, kiedy ty to robisz – powiedziała Liv-Hege. – No, chodź już.

– Cholera, działasz mi na nerwy, nie kapuję, dlaczego wszędzie ciągnę cię ze sobą. Po cholere to robię, po cholere, Liv-Hege?

Zawstydzona Liv-Hege wbiła wzrok w podłogę i sama zacisnęła sobie gumową pętlę wokół ramienia. Markus pochylił się nad stołem i wciągnął obie kreski, po jednej do każdej dziurki nosa.

– Ach, tak, tak! Zaczyna się jazda!

Roześmiał się głośno i uderzył pięścią w ściankę. Liv-Hege wzdrygnęła się, mało brakowało, a nie trafiłaby igłą w żyłę. Wreszcie jej się udało. Ciepło zaczęło wlewać się

do jej ciała. W końcu. Różowe chmury. Plaże bez końca.

Właśnie upuściła igłę na podłogę, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Halo? Jest tu ktoś?

Głos kobiety.

– Kto, do diabła... – mruknął Markus.

Próbował zerknąć przez zasłonkę, zapomniał jednak, że zamiast szyb w oknach tkwiła tektura. Z brudnej przyczepy nie można było wyjrzeć na zewnątrz.

– Policja.

Tym razem głos mężczyzny.

– Co, do kurwy... – powiedział Markus i zaczął ścierać proszek ze stołu. – Liv-Hege? Rusz się!

Ale Liv-Hege nie widziała powodu, żeby dokądkolwiek się ruszać. Uśmiechała się od ucha do ucha, była właśnie w drodze tam, gdzie wszystko jest dobre. Liv-Hege nie wiedziała, jak to się stało, że w przyczepie nagle pojawiła się policjantka.

– Mia Krüger, wydział zabójstw. Szukamy tej dziewczynki. Widzieliście ją?

Liv-Hege spojrzała na zdjęcie.

– To przecież Pia – uśmiechnęła się.

– Stul pysk! – krzyknął Markus.

– Ale to przecież Pia, Markus. Nie widzisz?

– Stul pysk, powiedziałem! – ryknął Markus Skog.

– Markus? – spytała nagle policjantka. – Markus Skog?

– Co się dzieje, Mia?

Usłyszeli głos policjanta na zewnątrz.

– Ja nie mogę, Mia Krüger we własnej osobie. – Markus wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Sto lat.

Policjantka imieniem Mia wyglądała, jak gdyby zobaczyła ducha.

– Jak się miewa twoja siostra? – zapytał Markus. Dwie wciągnięte kreski zaczynały działać, jego usta przypominały wielką ziejącą jamę. Tylko zęby i szyderczy uśmiech. –

Ach nie, zaraz. Przecież odwaliła kitę? Tak, nie ma jej już między nami, nie wytrzymała tego stresu, biedna... Ha, ha. Tak to już jest z tymi delikatnymi dziewczynkami z dobrych domów. Są takie słabe.

Liv-Hege nie widziała, kiedy policjantka wyciągnęła pistolet. Broń pojawiła się nagle. Liv-Hege nie było już w brudnej przyczepie. Siedziała na szczycie góry i przyglądała się całej scenie. Wiatr rozwiewał jej włosy.

W innym miejscu, daleko stąd, tam, gdzie jej nie było, Markus chwycił ze stołu jedną ze strzykawek. Z ust ciekła mu ślina. Wymachiwał strzykawką przed policjantką i śmiał się jak obłąkany.

– Nie chcesz trochę spróbować, Mia? Hę? Jesteś pewna, że nie chcesz? Twoja siostra była bardziej niż chętna. Ach, cóż to była za miękka cipka, biedna mała Sigrid, ha, ha!

Z tej cudownej góry, na której siedziała, Liv-Hege widziała jak na dłoni, co się wydarzyło. Było prawie tak jak w kinie. Markus odchrząknął gęstą flegmę i splunął na policjantkę, próbując jednocześnie trafić ją strzykawką. Policjantka odskoczyła i nagle rozległ się huk. Jej szczyt zmienił się w wulkan, poczuła pod sobą jego pomruk. Policjantka

wystrzeliła dwa razy. Siła uderzenia odrzuciła Markusa Skoga pod ścianę przyczepy. Zakrwawiony runął na podłogę.

Liv-Hege Nylund doszła do siebie dwa tygodnie później, przywiązana do łóżka, w pokoju, którego nie знаła. Dręczyły ją straszliwe objawy odstawienia. Obok niej siedziała Karen. Od tygodnia nie odchodziła od jej łóżka. Liv-Hege nigdy nie przeżyła czegoś takiego. To było piekło. Każda komórka jej ciała cierpiała niewyobrażalne męki i chciała eksplodować. Kac pomnożony przez miliard. Wyła, jak gdyby wstąpił w nią diabeł. Leżała przywiązana do łóżka, w tym białym pokoju, dopóki nie było po wszystkim. Karen nie odstępowała jej ani na chwilę. Siostra myła ją, karmiła, trzymała za rękę, uspokajała. Liv-Hege była daleko, ale teraz wróciła.

Potem pozwolono jej wstać. Mogła samodzielnie chodzić do łazienki i siadać do stołu do posiłków. Karen nie opuszczała jej nawet na sekundę. Mogła wychodzić do ogrodu. Siedzieć na trawie. Patrzeć na słońce. Patrzeć na drzewa. Karen się uśmiechała. Liv-Hege od dawna nie widziała uśmiechu na twarzy Karen, ale teraz jej siostra promieniała.

Karen Nylund nie widziała jednak, że Liv-Hege nie ma zamiaru zostać. W tym życiu. Straciła wszystko, co kochała. Obie jej miłości. Markusa Skoga i heroinę. Co w zamian miał do zaoferowania ten świat? Nic.

Tydzień później, kiedy po raz pierwszy pozwolono jej wybrać się na spacer samej, wspięła się na sosnę w lesie tak wysoko, jak potrafiła, i założyła sobie pętlę na szyję.

A potem skoczyła w wolność.

– Nawet nie wiesz, jak mi przykro – powiedziała Mia.

– Ach, nie szkodzi. Zabiłaś ją. I teraz sama musisz umrzeć. Wtedy wszystko się wyrówna, mam rację?

Karen się uśmiechnęła i poklepała Mię po dłoni. Wyszła do kuchni i wróciła z kawałkiem ciasta czekoladowego.

– Chcesz trochę ciasta, Mio?

Mia pokręciła głową.

– Musisz przecież coś jeść. Jest naprawdę pyszne, według przepisu mojej mamy.

Mia zerknęła na ekran. Marion Munch leżała nieruchomo na łóżku w piwnicy pod nimi. Nagle zobaczyła, że mała poruszyła się lekko. Dzięki Bogu. Dziewczynka tylko spała. Karen Nylund się uśmiechnęła i dwoma palcami pogładziła ekran.

– Jest śliczna, prawda?

Mia ostrożnie skinęła głową.

– Cieszę się na samą myśl, że niedługo się nią zajmę. To ważne, żeby dzieci były czyste, nie sądzisz?

Karen uśmiechnęła się do niej. Mia poczuła, że zaczyna się bać. Do tej pory zachowywała spokój, ale teraz to poczuła. Strach. Zło. Nigdy wcześniej nie widziała takich oczu. Kobieta przed nią wydawała się dobrze wiedzieć, co mówi i robi, lecz nie było w niej śladu empatii ani jakichkolwiek ludzkich uczuć.

– Chcesz usłyszeć, co się teraz stanie? Zagramy? – Karen się uśmiechnęła i wstała.

– Nie możemy zagrać w coś innego? – spytała Mia.

Musiała zyskać na czasie. Ze względu na siebie, ale przede wszystkim ze względu na Marion. Pomyślała o Munchu. Jak zareagowałyby, gdyby Marion coś się stało? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. To było zbyt nierzeczywiste.

– W co chciałabyś zagrać? – uśmiechnęła się Karen.

– Obojętnie – odpowiedziała Mia, wykrzywiając usta w uśmiechu. – Możemy porozmawiać o Margrete?

Karen spoważniała. Zmarszczyła brwi i położyła dłonie na piersi. Mia Krüger desperacko próbowała odgadnąć, co dzieje się w jej głowie, jak właściwie funkcjonuje ta kobieta. Chciała znaleźć jakiś słaby punkt, ale nie była w stanie przeniknąć Karen.

– Margrete ma się dobrze – zaszczebiotła Karen i znów się uśmiechnęła. – Chodzi do szkoły w niebie, ma tam cztery koleżanki, a wkrótce będzie mieć piątą. I nauczycielkę.

– Koleżanki? – spytała Mia zdziwiona.

– Owszem, przecież mają pójść do szkoły. Nie zrozumiałaś?

Klocki układanki wreszcie zaczęły układać się w głowie Mii. Tornistry. Podręczniki. Skakanka. Karen Nylund wpadła na szalony pomysł. Zamierzała stworzyć w niebie klasę, a sama zostać nauczycielką. To w ten sposób wszystko łączyło się ze sobą. W umyśle tej

psychopatki. Mia poczuła wyrzuty sumienia. Dlaczego zrozumiała to dopiero teraz? Gdyby stało się to wcześniej, być może Marion nie leżałaby zamknięta w małym pomieszczeniu w piwnicy, w tym domu rodem z horroru, gdzieś na odludziu.

– Ma też psa – powiedziała Karen. – Milusiego małego owczarka niemieckiego. Bardzo lubi się z nim bawić. Popatrz, Mio, jak się cieszy. Popatrz sama.

Karen wskazała na sufit i stała tak przez chwilę z dziwnym grymasem na ustach.

– Mamusia wkrótce przyjdzie. Już niedługo.

Karen pomachała ręką i posłała w górę całusa.

– Dlaczego dziesięć sukienek, a tylko pięć dziewczynek? – zaryzykowała Mia.

– Co?

– Zamówiłaś dziesięć sukienek, ale porwałaś tylko pięć dziewczynek.

– Każda dziewczynka powinna mieć więcej niż jedną sukienkę, nie sądzisz? Miałaś tylko jedną sukienkę, Mio? W domu, w Åsgårdstrand? Kiedy bawiłaś się razem z małą Sigrid?

Mia zagryzła wargę, słysząc imię Sigrid. Poczuła nagły przypływ gniewu, ale udało jej się zachować spokój.

Uśmiechnęła się.

– A więc zostaniesz przy pięciu?

– Tak. – Karen pokiwała głową w zamyśleniu, jak gdyby rozważała, czy nie powinna zabrać ze sobą jeszcze kilku dziewczynek. – Małe klasy są właściwie lepsze, wszystkich lepiej widać i słyhać. Nie sądzisz, że to ważne? Żeby wszystkich było widać i słyhać? Zresztą równie dobrze mogę zabrać ze sobą i dziesięć. Co o tym sądzisz? Czy wystarczy pięć?

– Wystarczy w zupełności. – Mia kiwnęła głową. – Nieźle to sobie wymyśliłaś. Naprawdę sprytnie.

– Naprawdę tak uważasz? – zdziwiła się Karen.

– Oczywiście – kontynuowała Mia. – Niezły pomysł i dobry plan. W końcu Margrete nie powinna chodzić do szkoły sama.

– Prawda? – powiedziała Karen, ponownie siadając na stole. – Przynajmniej tyle mogłam dla niej zrobić.

– Błyskotliwy plan – mówiła dalej Mia – i znakomicie zrealizowany. Nie zrozumieliśmy nic, przez cały czas wodziłaś nas za nos. Jesteś naprawdę bystra.

– Nie da się ukryć. – Karen się uśmiechnęła i klasnęła w dłonie.

– Najbystrzejsza, jaką do tej pory spotkałam. – Mia kiwnęła głową.

– Planowałam to od baaardzo długiego czasu – powiedziała Karen. – I bardzo starannie. To było takie proste... I to było najgorsze, wiesz? Że to było takie proste. Byliście kompletnie zdezorientowani, miło było się z wami zabawić. Zgodzisz się?

– Tak, to było bardzo zabawne. – Mia się uśmiechnęła.

– I za chwilę dojdziemy do końca. To będzie najciekawsze. – Karen westchnęła. – Teraz jeszcze wszyscy musimy umrzeć i wtedy będzie po wszystkim.

– Tak, to będzie najciekawsze. – Mia się uśmiechnęła. Myśli galopowały w jej głowie. – Powiedziałaś „teraz”, Karen? Kto umrze teraz?

– Najpierw ty – powiedziała Karen. – Potem Marion. Albo nie, poczekaj. Właściwie

jeszcze się nie zdecydowałam.

– Coś takiego. – Mia się zastanowiła. – Plan jeszcze niegotowy? To do ciebie niepodobne.

– Wiem. – Karen się uśmiechnęła. – Ale nie jestem w stanie wszystkiego zaplanować, w niektórych kwestiach zdaję się na przypadek.

– Naprawdę? Opowiedz mi o tym.

– Był pewien facet, który mi pomógł – powiedziała Karen, ponownie przysiadając na stole. – Mężczyźni są głupi, wiesz o tym?

– Jak cholera. – Mia się uśmiechnęła.

– Prawda? Zdziwiająco ograniczeni. Ale tamten był naprawdę walnięty. Głupi, naprawdę głupi. Rozumiesz, co mam na myśli? – spytała Karen rozbawiona.

– Kto to był?

– Jak on się nazywał...? William. Był żonaty, ale miał na mnie ochotę, rozumiesz. Oni już tak mają, sama wiesz. Mężczyźni są tacy prości. Pomógł mi zbudować pokój. Nie chciałam już starego, chciałam mieć nowy.

– Bo mieszkała w nim Margrete?

– Tak. Przestał mi się podobać.

– Rozumiem.

– Pomógł mi zbudować nowy, a potem wpadłam na śmieszny pomysł.

– Jaki?

Karen nie mogła się już powstrzymać. Chichotała jak uczennica.

– Nakręciliśmy krótki film. – Zaśmiała się.

– Film?

– Tak. Jego telefonem komórkowym. Boże wielki, ile było przy tym śmiechu.

Film z laptopa Sarah Kiese. Nie jest autentyczny.

Mia próbowała zachować kamienną twarz.

– Udawał, że jest śmiertelnie przerażony. – Karen znowu się zaśmiała. – I podał nieprawdziwe współrzędne miejsca, w którym był. Wiesz, współrzędne GPS, takie jak te w samochodach.

– I?

– Podał nieprawdziwe współrzędne, czy to nie zabawne?

– Jak diabli – powiedziała Mia, ale nie była w stanie zmusić się do uśmiechu.

– A jakie współrzędne podaliście? – spytała zduszonym głosem.

– I to jest właśnie najśmieszniejsze – zachichotała Karen. – Domu, który znajduje się zupełnie niedaleko, w dole drogi. Czy to nie śmieszne? Dostaliście ten film, prawda?

Karen stanęła tuż obok niej. Szalona kobieta pogładziła Mię zimną dłonią po twarzy.

– Wydaje ci się, że możesz mnie wykiwać, co? Udawać, że jesteś moją przyjaciółką? Masz mnie za idiotkę, Mio?

Mia poczuła zimne palce na powiekach i wargach.

– Dostaliście ten film, zgadza się? Od jego żony?

Mia słabo skinęła głową.

– Nie jestem głupia, Mio. Nie uda ci się mnie wykiwać. Nie podlizuj mi się. Dlaczego to tak długo trwało z tym filmem? Mówiąc szczerze, myślałam, że usłyszę wybuch dużo

wcześniej.

Mia poczuła mdłości. Karen znów pogładziła zimnym palcem jej twarz, niczym ślepiec, który próbuje wyczuć drogę.

– Co się stało, Mio?

Mia z trudem zachowywała spokój. Najchętniej ugryzłaby tę wariatkę w palec.

– Nie przekazała nam filmu. Mamy go dopiero od kilku dni – powiedziała spokojnie.

– Aha. – Karen się uśmiechnęła. – Chyba ma o nim niezbyt dobre zdanie, co?

Mia nie odpowiedziała.

– Dobrze ją rozumiem. – Kobieta o rudoblond włosach się roześmiała. – Był z niego kawał świni. Ale macie już ten film?

Mia wolno skinęła głową.

– Wspaniale. W takim razie spokojnie możemy czekać na wielkie „bum”.

Karen się uśmiechnęła i znów usiadła na stole.

– A więc to gdzieś w pobliżu? – spytała Mia.

– Tak. Czy to nie śmieszne? Usłyszymy, kiedy huknie, może nawet uda nam się coś zobaczyć. Oczywiście, jeśli zdążymy.

Karen wstała i zniknęła Mii z oczu. Mia niemal czuła jej chłód za plecami. Spojrzała jeszcze raz na ekran. Drgnęła, widząc, że Marion zaczynała powoli się budzić.

Nie, nie, Marion. Leż spokojnie.

– Nie o tobie mówiłam – Mia usłyszała szept Karen w uchu. – Ty nie usłyszysz wybuchu.

Karen pogładziła ją po policzku.

– Umrzesz teraz. Czy to nie piękne?

Mia raz jeszcze podjęła rozpaczliwą próbę, by się uwolnić, ale więzy nie chciały puścić. Poczwała, jak wzbiera w niej wściekłość, nie potrafiła już nad sobą panować. Miała wrażenie, że jej ciało za chwilę eksploduje.

– Ty pieprzona wariatko!

– Hola, hola, cóż to za język, Mia? – Karen puściła do niej oko.

Mia znów poczuła na ustach taśmę klejącą. Smak kleju na języku. Odcięty dopływ powietrza. Panika. Nie panikować. Spokojnie oddychać przez nos. Nie wstawaj, Marion, ona nie może cię zobaczyć. Leż spokojnie. To pułapka, Holger. Nie wysyłaj nikogo do tego domu. Ona chce zabrać wszystkich ze sobą. Nie pozwól nikomu tam wejść, Holger. Nie wchodźcie tam. Nie posyłaj tam ani Kima, ani Curry’ego, ani Ludviga, ani Gabriela, ani Anette. Nie posyłaj nikogo. Nie możemy nikogo stracić.

Mia poczuła ukłucie w prawej ręce. Spojrzała i zobaczyła, jak Karen wprowadza jej igłę do żyły. Słyszała, jak ta rudoblondwłosa psychopatka robi coś za jej plecami i wiesza zbiornik na stojaku. Po chwili poczuła, jak coś w nią wpływa. Czuła swędzenie, jej żyły zaczęły robić się zimne i odrętwiały.

– To tyle – powiedziała Karen, siadając na stole. – Szkoda, że nie możemy kontynuować naszej gry, ale lepiej będzie, jeśli już umrzesz. Chciałabym jeszcze chwilę побыć sama z Marion. Potrzebujemy trochę czasu, zanim wyruszymy, ona i ja. Nie jesteś mi tu potrzebna.

Zachichotała.



– Tylko pomyśl, jakie to śmiesznie, kiedy odkrywają, że umarłaś zaledwie kilka domów dalej? Oczywiście, jeśli przeżyją. Jak myślisz, Mia? Kto przeżyje? Munch? Kim? Ten Larsen, który uważa się za nie wiadomo kogo? Czy nie byłoby zabawne się dowiedzieć, kto przeżyje?

Mia wymruczała coś zza taśmy klejącej. Ta rudoblondwłosa psychopatka była myślami w innym świecie, nie rozumiała, że Mia nie jest w stanie odpowiedzieć. Karen zaczęła stukać palcami o blat stołu i cmokać językiem. Podrapała się po twarzy. Zeskoczyła ze stołu i zniknęła Mii z oczu. Po chwili wróciła ze strzelbą. Otworzyła ją, sprawdziła, czy w obu lufach są naboje. Zamknęła strzelbę i odłożyła ją obok siebie na stół.

– Ten, którego imienia nie wymieniamy, lubił strzelać do zwierząt – powiedziała, ponownie drapiąc się po twarzy. – Byliśmy tacy sami. Oboje lubiliśmy zabijać. Zabawnie jest widzieć, jak ktoś umiera, prawda Mia? Zabawnie, kiedy przestaje oddychać. Kiedy wyrusza w drogę.

Karen wstała i wyszła na korytarz. Mia słyszała, jak otwiera drzwi i po chwili je zamyka. Do pokoju wpadł powiew świeżego powietrza. Karen wróciła.

– Nie zastrzelę się, jeśli o tym pomyślałaś. Nie sądzę, żeby dziewczynkom spodobała się nauczycielka bez twarzy. Nie, broń jest tylko na wypadek, gdyby ktoś nas odwiedził. Ostrożności nigdy nie za wiele, prawda Mia?

Mia czuła pieczenie w grzbiecie dłoni. Coś jakby metalicznego wlewało się do jej krwiobiegu. Coraz trudniej było jej skupić wzrok. Próbowwała skoncentrować się na obrazie na monitorze. Marion zniknęła. Nie było jej. Czy Karen zeszła na dół? Co zrobiła z małą?

Karen pokręciła głową i się uśmiechnęła.

– Zabawnie było patrzeć, jak spadają. Ten dureń, który nakręcił film, spadał naprawdę ładnie. Przez chwilę pomyślałam sobie, że potrafi latać. Tak jak Roger Bakken. Roger miał nawet skrzydła. Wspaniałe widowisko. Ty też tak masz, Mio? Kiedy zabijasz?

Mia była przez chwilę nieobecna. Opuściła myślami ten upiorny pokój i wzdrygnęła się, kiedy się ocknęła. Karen pakowała walizkę.

– A ja byłam przekonana, że wiesz – powiedziała Karen. – Że wiesz dlaczego.

Mia zobaczyła Sigrid. W białej sukience. Biegła przez pole, jak gdyby na zwolnionym filmie.

„Chodź, Mio, chodź”.

– Markus Skog... – powiedziała Karen. – Moja siostra nie należała do najrozsądniejszych, ale była dobra. To nie jej wina. On był złym człowiekiem. Ale cóż zrobić? Mężczyźni... Szkoda gadać. Odebrała sobie życie. Po tym, jak go zastrzeliłaś. Żeby jeszcze złotym strzałem... Ale ona się powiesiła. Złoty strzał byłby o wiele lepszy, nie sądzisz, Mia? Tak jak Sigrid. Na pewno było jej przyjemnie, kiedy umierała. Nie musiała skakać z drzewa z pętlą na szyi.

Karen spojrzała na drzwi i znów podrapała się w twarz.

– Tak, tak... To wszystko przez miłość. Ale co ja mogę o tym wiedzieć?

Mia nie była w stanie utrzymać dłużej otwartych oczu. Nie czuła już rąk i nóg.

Karen wstała ze stołu. Podeszła do Mii i pogładziła ją po policzku.

– Szczęśliwej podróży, Mio Promieniu Księżycu.

Sigrid biegła do Mii przez pole i wreszcie stanęła przed nią, z szelmowskim spojrzeniem w oczach. Pomachała siostrze ręką.

„Chodź, Mio, chodź!”

„Idę, Sigrid, zaczekaj”.

„Mam być Śpiącą Królowną, a ty Królowną Śnieżką?”

„Tak, Sigrid, pewnie”.

„Chodź, Mio, chodź już!”

„Idę, Sigrid. Idę”.

Mia wyruszyła.

Złocistym jak pszenica polem pobiegła za rozwianą białą sukienką siostry.

– Delta jeden, odbiór.

Munch puścił przycisk interkomu i czekał na odpowiedź.

– Dziewiątka, tu Delta jeden, odbiór.

– Tu dziewiątka. Jaka jest wasza pozycja, odbiór?

Munch zerknął na Kima, który siedział obok niego w kamizelce kuloodpornej i z glockiem na kolanach. Miał zacięty wyraz twarzy. Curry był na tylnym siedzeniu, również w kamizelce kuloodpornej i z bronią w ręku. Podjechali leśną drogą z wyłączonymi reflektorami. Dom był zupełnie niedaleko.

– Dziewiątka, tu Delta jeden. Obiekt w polu widzenia na cztery-zero metrach. Cel niewidoczny.

– Delta jeden, tu dziewiątka. Zająć pozycje, nie strzelać bez mojego rozkazu, odbiór.

– Dziewiątka, tu Delta jeden, zrozumiałem, odbiór.

– Nic nie widać – szepnął Curry, wychylając się pomiędzy fotelami.

Munch włączył noktowizor i skierował go w kierunku starego zaniedbanego budynku. Nic nie wskazywało na to, że dom był zamieszkały. I o to z pewnością chodziło. Trafili tu dzięki współrzędnym GPS z filmu Sarah Kiese. Przez chwilę poczuł wdzięczność dla Gabriela Mørka, któremu z pomocą znajomego w rekordowo krótkim czasie udało się wydobyć współrzędne z nagrania. Ten chłopak to był strzał w dziesiątkę. Munch nacisnął guzik interkomu.

– Delta dwa, tu dziewiątka, odbiór.

– Dziewiątka, tu Delta dwa, odbiór.

– Pozycja, odbiór?

– Tu Delta dwa. Dwóch ludzi za domem, wschód. Trzech przed wejściem, północny zachód. Pozycja piętnaście-zero metrów, odbiór.

– Delta dwa, tu dziewiątka. Czekać na dalsze instrukcje. Bez odbioru.

– Dziwne, że zupełnie nic się nie świeci. – Kim Kolsø wziął noktowizor od Muncha.

– Może jej tam nie ma – powiedział Curry.

– Może są w piwnicy – stwierdził Munch.

Wziął z powrotem noktowizor od Kima i ponownie skierował go na nieduży budynek. Byli na miejscu w sile trzech jednostek. Dwie sekcje natychmiastowego reagowania Delta, zespół snajperów i jednostka uderzeniowa. Do tego Munch, Kim i Curry. Munch oddał noktowizor kolegom i uśmiechnął się w myślach. Ludvig i Gabriel koniecznie chcieli jechać z nimi. Ludvig swoją drogą, ale Gabriel? Młodzian w swoim życiu strzelał najwyżej z procy. Ale nie sposób mu było odmówić odwagi. Munch poprosił ich, by zostali. Mieli tu wystarczająco ludzi.

– Jest tam Mia? – spytał Kim.

– Tego nie wiemy, ale chyba możemy tak założyć? – spytał Curry.

– Znaleźliśmy jej samochód pod domem opieki – powiedział Munch. – A jej telefon został niedawno zlokalizowany gdzieś przy Drammensvei.

– Pewnie wyrzuciła go przez okno – syknął Curry.

– Dowiedziałeś się czegoś o tym chłopaku? Młodym Iversenie? – spytał Munch.

Kim, zajęty swoim wcześniejszym zadaniem, dołączył do akcji niemal w ostatniej chwili.

– Rozmawiałem z jego nauczycielką, Emilie Isaksen – odpowiedział Kim. – Bardzo energiczna kobieta, wyjątkowo wrażliwa społecznie. Przydałoby nam się więcej takich. Chłopak zniknął. Rodzice zniknęli. Zabrała z domu jego młodszego brata, przez cały tydzień nie miał tam nic do jedzenia. Poprosiłem ją, żeby nie robiła niczego na własną rękę, ale nie sądzę, żeby mnie posłuchała. Pewnie jest teraz w drodze do lasu, żeby poszukać sama.

– Porozmawiaj z Ludvigiem – powiedział Munch. – I niech przyślą kogoś z Hønefoss.

– Już to zrobiłem – odpowiedział Kim.

Munch skinął z aprobatą głową. Jeśli był ktoś, na kogo mógł zdać się całkowicie, to właśnie Kim Kolsø. Curry miał zbyt gorącą głowę, często trzeba go było hamować. Kim siedział na przednim fotelu niemal w bezruchu, podczas gdy Curry nie był w stanie wytrzymać w spokoju nawet chwili.

– Co robimy? – spytał Curry, ponownie wciskając głowę między fotele.

– Czekamy – powiedział Munch.

– Ale na co? Ta świruska ma tam w środku Mię, diabli wiedzą, co ona tam z nią wyprawia. Nie powinniśmy po prostu wejść i załatwić sprawę?

– Curry – powiedział Kim, chcąc go uspokoić.

– Wiem, jaka jest stawka – powiedział spokojnie Munch. – Moja wnuczka jest w środku.

Zmierzył Curry'ego spojrzeniem, które nietrudno było zrozumieć. Curry skinął głową, nieco zbity z tropu, i opadł na tylne siedzenie.

M a r i o n b y ł a w ś r o d k u.

Munch zebrał się w sobie. Nie wolno mu było teraz wchodzić w rolę dziadka. Mikkelson rzecz jasna nalegał, żeby Munch pozostał na miejscu, w centrali, i by pozwolił wykonać to zadanie innym, ale nawet buldożer nie powstrzymałby go przed udziałem w akcji. Ponownie przyłożył noktowizor do oczu i przyglądał się ciemnemu budynkowi.

– Ile jeszcze mamy czekać? – niecierpliwił się Curry.

– Curry – powtórzył Kim.

– On ma rację – powiedział Munch, zaciskając zęby. – Nie ma sensu dłużej zwlekać.

Wcisnął guzik interkomu.

– Delta dwa, tu dziewiątka, odbiór.

– Dziewiątka, tu Delta dwa, odbiór.

– Delta dwa, tu dziewiątka. Przygotować się do wejścia.

– Dziewiątka, tu Delta dwa. Zrozumiałem.

Munch upewnił się, że jego glock jest odbezpieczony, i skinął głową do obu kolegów.

– Gotowi?

– I to jeszcze jak – odpowiedział Curry.

Munch powoli otworzył drzwi i cicho wysiadł z samochodu.

Marion Munch znów obudziła się z tym dziwnym smakiem w ustach. Miała taki piękny sen. Śniło jej się, że jest w domu. Z mamą i tatą, a wszystko wygląda jak dawniej. Otworzyła oczy i zobaczyła, że wciąż jest zamknięta w tym małym zimnym białym pokoju. Ciągle miała na sobie tę głupią niewygodną sukienkę. Zwinęła się w kłębek pod cienką kołdrą i zaczęła płakać. Nie miała pojęcia, jak długo już tu jest. Światło nie gasło nawet na chwilę. Próbowała znaleźć wyłącznik, ale bez skutku. Tylko zimne ściany. Żadnego okna, żadnych drzwi. Marion płakała tak mocno, że prawie zabrakło jej łez. Pukała w ściany i wołała, ale nikt się nie pojawił. Z początku nie rozumiała dlaczego. Przecież zawsze przychodzili, kiedy płakała. Mama albo tata. Przychodzili zawsze. Tak jak wtedy, gdy miała gorączkę i śniło jej się, że Kubuś Puchatek zmienił się w potwora i chce ją zjeść. Mama i tata zjawili się natychmiast. Ale tu nikt do niej nie przychodził. W tym pokoju nikt się o nią nie troszczył. Była zupełnie sama.

Marion Munch wsunęła kciuk do ust i zwinęła się w kłębek. Dawno już przestała ssać kciuk, ale teraz zaczęła na nowo. Dotykała kciuka końcem języka, to było takie cudowne, błogie uczucie. Polizała go i poczuła coś dziwnego. Wyjęła palec z ust i przyjrzała mu się uważnie. Ktoś wydrapał coś na paznokciu jej kciuka. Coś jakby nacięcie przypominające literę Vivian z jej przedszkola. V. Miała na kciuku V. Marion z powrotem wsunęła kciuk do ust i przejechała językiem po ostrych krawędziach nacięcia na paznokciu.

Na początku rysowała. A raczej próbowała rysować. To nie było takie proste. Nie mogła przecież nikomu pokazać swojego rysunku, była tu zupełnie sama. Narysowała mamę, tatę i dziadka. Potem narysowała superbohaterkę. Kobietę, z którą mogła rozmawiać i która o nią dbała. W jej towarzystwie było trochę łatwiej. W tym białym pokoju dni niczym nie różniły się od siebie. W domu były ranki, popołudnia i wieczory, wiadomo było, kiedy przychodziła pora na różne rzeczy. Tutaj wyglądało to inaczej. Przez cały czas było jasno, znikąd nie dobiegał nawet najcichszy dźwięk. Z wyjątkiem momentów, kiedy z otworu w ścianie wychodziło jedzenie. Otworu, w którym znalazła hałasującą małpkę. Jedzenie było dziwne i nie wyglądało zbyt apetycznie, ale mimo to zjadała wszystko, bo czuła się bardzo głodna. Czasami była tam butelka soku, ale najczęściej znajdowała tylko wodę. Jeść było bardzo niemądrze, gdyż potem musiała iść do łazienki. A w pokoju łazienki nie było, jedynie kosz na śmieci, z którego coraz bardziej cuchnęło. Z kartonu po bloku rysunkowym Marion zmaistrowała małą pokrywkę, dzięki temu śmierdziało jakby trochę mniej. Ale za każdym razem, kiedy musiała unieść pokrywkę i usiąść na koszu, ogarniało ją coraz większe przerażenie, kosz coraz bardziej się bowiem wypełniał. Ohyda.

Mimo jaskrawego światła zasypianie przychodziło jej bez trudności. To było dziwne. Za każdym razem wyglądało to tak samo. Gdy tylko coś zjadła, zasypiała, choć wcale nie czuła się zmęczona. Zupełnie jakby to jedzenie ją usypiało. Jak gdyby było magiczne. Przypominała sobie Alicję w Krainie Czarów, z którą działy się dziwne rzeczy, po tym jak

na dnie króliczej nory wypija napój i zjadła ciastko. Raz robiła się malutka, raz wielka. A więc magiczne jedzenie istniało. Ale czy jedzenie mogło być magiczne, jeśli smakowało tak paskudnie? Marion jeszcze raz przejechała językiem po nacięciu na paznokciu i wtedy usłyszała, że w ścianie znów coś się poruszyło. Brr, wrz... Magiczny posiłek znów zjeżdżał do niej w ścianie. Wstała i podeszła do otworu. Stała przy nim i czekała, aż jedzenie się zatrzyma. Znała już te odgłosy. Brr, wrz, brr, wrz, a potem ting! Wtedy mogła otworzyć drzwiczki i zobaczyć, co dostała tym razem. Najczęściej było to purée ziemniaczane, marchewka i coś zielonego, co zupełnie jej nie smakowało. Kalafior. Nie, brokuły. Ani razu nie dostała tego, co najbardziej lubiła: pizzy, parówek czy zupy pomidorowej. Marion stała przy otworze w ścianie i czekała na brzęknięcie, wciąż z kciukiem w ustach. To dziwne, ale nigdy nie słyszała, jak winda wraca na górę. Zatrzymywała się, ona zabierała jedzenie, jadła, a potem winda znów jechała w dół. Czy to dlatego, że zasypiała? Pewnie dlatego. Magiczne jedzenie usypiało ją, a kiedy ona spała, winda wracała na górę. Tak musiało być.

Ting! Marion Munch otworzyła drzwiczki, żeby zobaczyć, co dostała tym razem. Była tam butelka soku. Dobre i to. Za to jedzenie nie wyglądało zbyt smacznie. Ziemniaki i znów coś zielonego. Wyjęła talerz i butelkę z windy i usiadła na krześle przy biurku. Widelcem, który również przyjechał do niej windą, zaczęła dłubać w jedzeniu. Właściwie nie była głodna. Chciała płakać. Nie jeść, tylko płakać. Poczowała, jak do oczu znów napływają jej łzy, i zacisnęła usta. Płacz nie miał sensu. Nie w tym pokoju. Tutaj nikt nie przyjdzie, nieważne, ile pociekłoby łez. Nie potrafiła jednak już się powstrzymać. Siedziała z widelcem w dłoni i patrzyła, jak łzy kapią jej na talerz.

A co, jeśli tym razem niczego nie zje? Nie miała pojęcia, skąd wzięła się ta myśl, po prostu nagle pojawiła się jej w głowie. Co się stanie, jeśli nie zje tego, co ma na talerzu? Co wtedy? Czy nie zaśnie? Czy usłyszy, jak winda rusza z powrotem na górę? Rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku otworu w ścianie. Skąd właściwie przyszła jej do głowy ta myśl? Hop i nagle była w jej głowie, zupełnie znikąd. Właściwie to naprawdę niezły pomysł. Zeskoczyła z krzesła i podeszła do otworu. Otworzyła drzwiczki i zajrzała do środka. Ciekawe, czy zmieściłaby się do środka? Chowała się już przecież w znacznie ciaśniejszych miejscach. Pewnego razu, kiedy bawili się w chowanego, skryła się w szafce z garnkami w kuchni. Nikomu nie udało się jej znaleźć i w końcu musiała wyjść sama. Szafka była strasznie ciasna i wszyscy byli zdumieni. Spróbuje oszukać windę. Będzie udawać, że je, wyrzuci jedzenie do kosza, odstawi talerz do kąta, gdzie stały już inne, i położy się do łóżka. Kiedy spała, winda odjeżdżała w górę. Może jeszcze uda, że śpi? Marion odwróciła się plecami do windy i zdjęła talerz ze stołu. Winda nie powinna zobaczyć, co robi, w przeciwnym razie może się rozmyślić. Ostrożnie uniosła pokrywkę kosza i tak szybko, jak potrafiła, wrzuciła jedzenie do środka. Wyprostowała się z powrotem i spojrzała na otwór w ścianie.

– Ojej, ale jestem najedzona – powiedziała głośno i pogładziła się ręką po brzuchu.

Winda milczała. Najwyraźniej niczego nie zauważyła.

– Ojej, ale jestem śpiąca – powiedziała, udając szerokie ziewnięcie.

Odstawiła talerz na stos w kącie i poszła do łóżka. Położyła się twarzą w kierunku windy i zamknęła oczy. Leżała cicho, z kciukiem w ustach. Umiała leżeć cicho. Wtedy, gdy

schowała się w szafce kuchennej, była cicho jak myszka. Trwało to długo. Tak długo, że mama i tata zaczęli ją wołać. Zacisnęła powieki i nasłuchiwała w oczekiwaniu na odgłosy z windy. Panowała jednak cisza. Marion zaczęła się niecierpliwić. To było coś zupełnie innego niż zabawa w chowanego i kryjówka w szafce kuchennej. Wtedy wiedziała, że w domu ktoś jest. Że ktoś jej szuka. Że ucieszy się, gdy ją znajdzie. Tutaj nikt nie przychodził. Znów poczuła, jak do oczu napływają jej łzy, ale się powstrzymała. Gdyby zaczęła płakać, oznaczałoby to, że nie śpi. Winda z pewnością by to zrozumiała. Wsunęła kciuk głębiej do ust i próbowała myśleć o czymś innym. Wtedy, w szafce kuchennej, wymyśliła sobie pewną zabawę. Małą historię. Historię o Monster High, całkowicie własną, taką, której nigdy nie pokazywali w telewizji. Czas biegł wtedy błyskawicznie. Wyobraziła sobie, że jest Draculaurą i zapomniała odrobić pracę domową. Czuła się głupio, gdyż za chwilę przyjdzie nauczyciel i będzie musiała powiedzieć, że nie odrobiła lekcji, choć wcale nie miała na to ochoty. Draculaura potrafiła być twarda, chciała też jednak być dobrą uczennicą. Inni być może niezbyt w to wierzyli, ale ona naprawdę chciała nią być. Tym razem zdarzyło jej się jednak zapomnieć o pracy domowej. Nie zrobiła tego specjalnie, po prostu zapomniała. Było tyle innych rzeczy do zrobienia. Marion zaczęła już się zastanawiać, dlaczego Draculaura zapomniała o swoich zadaniach, kiedy usłyszała, że winda się poruszyła. Brr, wrr... Nie namyślając się, wyskoczyła z łóżka i podbiegła do drzwiczek. Otworzyła je i szybko wpełzła do otworu w ścianie. Winda była bardzo mała i początkowo nie mieściła jej się stopa. Była w windzie, winda ruszyła w górę, ale jej stopa wciąż była w pokoju! Mocnym szarpnięciem podciągnęła kolano i nagle cała była w środku. Była w windzie! W drodze na górę!

Winda kołysała się i trzeszczała. Marion nie widziała zupełnie nic, skuliła się najmocniej, jak tylko potrafiła, i próbowała odpędzić strach przed ciemnością. Serce waliło jej jak młotem, bała się oddychać. Brr, wrr... Winda powoli się dźwigała i nagle... Ting! Winda się zatrzymała i w ogóle nie zauważyła, że Marion była w środku. Pchnęła ostrożnie drzwiczki i ku swojej radości poczuła, że się otwierają. Marion Munch wyczołgała się z windy i rozejrzała się zdumiona.

Stała w salonie. W domu, którego nigdy wcześniej nie widziała. Również i tu nie było okien. Nie, były, ale zasłonięte. Na krześle przy stole pośrodku pokoju siedziała jakaś kobieta. Marion się rozejrzała i podeszła do niej ostrożnie. Kobieta miała zamknięte oczy, a na ustach szary pasek taśmy klejącej. Do jej dłoni prowadziła ze zbiornika na statywie jakaś rurka. Z wodą albo czymś takim. Marion natychmiast poznała tę kobietę, widziała ją wiele razy. To była przyjaciółka dziadka, Mia. Ta, która przypominała Indiankę. Marion lubiła Mię. Mia zawsze wygłupiała się z nią. Była miła, a kiedy dziadek nie widział, dawała jej słodycze. Teraz nie żyła. Siedziała, martwa, na krześle, z taśmą klejącą na ustach.

Marion Munch stała bezradnie pośrodku pokoju i rozglądała się nerwowo. Zobaczyła korytarz, z butami, tak jak u niej w domu. I drzwi. Drzwi wyjściowe. Marion ostrożnie podkradła się do nich. Ta głupia sukienka utrudniała jej chód i strasznie hałasowała. Czy odważy się otworzyć drzwi? Kto wie, co się za nimi kryje? W tym domu, gdzie wszystko było takie dziwne?

– Stój!

Marion wzdrygnęła się, słysząc za sobą przenikliwy, rozgniewany kobiecy głos.

– Stój! Stój!

Marion Munch chwyciła za klamkę, pociągnęła drzwi i wybiegła w ciemność ile sił w nogach.



Karianne Kolstad nienawidziła sprzedawania losów. Sprzedawanie losów było najgorszą rzeczą, jaką znała. Z powodu tych głupich losów czternastolatka zastanawiała się nawet nad odejściem ze szkolnej orkiestry dętej. Nie miała absolutnie nic przeciwko zarabianiu pieniędzy, co to, to nie. Zbierała kamienie, zrywała truskawki, ale po prostu nie potrafiła znieść tych przeklętych losów. Nie chciała sprzedawać losów, ponieważ była nieśmiała. Musiała dzwonić do drzwi i rozmawiać z ludźmi.

Karianne Kolstad mocniej owinęła się kurtką i ruszyła drogą w dół, w stronę gospodarstwa Toma Lauritza Larsena. Przynajmniej do niego mogła pukać bez skrępowania. Hodowca świń był trochę dziwny, ale bardzo miły, rozmawiała z nim wiele razy. Ostatnio kupił od niej prawie cały bloczek losów. Może i tym razem szczęście się do niej uśmiechnie? Karianne Kolstad otworzyła furtkę i weszła na podwórko.

Tom Lauritz Larsen stał się znany, kiedy ktoś odpiłował głowę jednej z jego macior. Pisali o tym w „Hamar Arbeiderbladet”. I to kilka razy. Po raz pierwszy, gdy głowa znikła. Potem, kiedy się odnalazła. Sprawa morderstw dzieci: świnia miejscowego hodowcy nabita na drąg. Pod spodem zamieścili zdjęcie Larsena i jego pracownika gospodarczego.

Karianne Kolstad wiedziała wszystko o zaginionych dziewczynkach, czytała każdy artykuł prasowy na ich temat. W ich wsi odbyło się kilka spotkań poświęconych tej sprawie. Najpierw w szkole, potem w ich orkiestrze, wreszcie w domu gminnym. Przyszli nie tylko ci, którzy mieli córki w wieku szkolnym, ale prawie cała wieś. Zapalili świece dla zamordowanych dziewczynek, a Karianne w przypływie współczucia założyła na Facebooku poświęconą im grupę. Założyć grupę na Facebooku było łatwo, wystarczyło tylko usiąść przed komputerem. Co innego, kiedy trzeba było rozmawiać z ludźmi. Podeszła do drzwi i zapukała. Ściemniało się, w oknie kuchennym paliło się światło. Słyszała muzykę, gospodarz był więc w domu. Zapukała jeszcze raz i drzwi się otworzyły. Wzięła głęboki wdech i spróbowała się uśmiechnąć.

– Cześć. – Larsen przywitał ją pogodnie. – Znów kazali ci sprzedawać losy?

Uff. Dzięki. Nie musiała już niczego mówić.

– Tak. – Skinęła głową z wyraźną ulgą.

– W takim razie wchodź – powiedział Larsen, zerkając w ciemność za jej plecami. – Chodzisz sama o tej godzinie? – spytał, kiedy znaleźli się w kuchni.

– Tak. – Karianne kiwnęła głową z zakłopotaniem.

– Na co tym razem zbieracie?

Tom Lauritz Larsen zdążył już wyciągnąć portfel i stał, trzymając go w dłoni.

– Chcemy pojechać z naszą orkiestrą na tournée. Do Szwecji.

– Proszę, proszę. Zapowiada się ciekawie.

– Też tak myślę. – Karianne uprzejmie skinęła głową.

– Nie jestem milionerem – Larsen uśmiechnął się i wyciągnął z portfela banknot

stukoronowy – ale chyba powinno się wspierać młodzież, co?

– Dzięki. – Karianne się uśmiechnęła. – Kosztują dwadzieścia koron za sztukę. Możesz wygrać kosz owoców, kawę albo drobiazgi, które sami zrobiliśmy.

– Ech, i tak nic nie wygram. Ale losy kupię tak czy siak – powiedział Larsen i mrugnął do niej. – Niestety mam tylko sto koron. Trochę mi głupio.

Sto koron. Pięć losów. Tego wieczoru będzie więc musiała ruszyć dalej. Próbowwała odwlec tę chwilę jak tylko mogła. Następnego dnia, na próbie zespołu, musi oddać pusty bloczek. Do sprzedania zostało jeszcze dużo losów.

– Zawsze to coś...

Larsen wręczył jej banknot i wziął od niej losy.

– Uważaj na siebie – powiedział z troską w głosie, gdy Karianne wyszła na schody przed domem.

Ponownie wbił wzrok w ciemność za nią i zmarszczył nos. Było widać, że od momentu zniknięcia świńskiej głowy coś się z nim stało. Ostatnim razem, kiedy tu była, nie wydawał się taki nerwowy.

Karianne Kolstad przeszła przez podwórko i dotarła do furtki. Ruszyła w górę drogi, w kierunku mostu do Vik. Zaczęła się zastanawiać, czy nie wrócić do domu i czy nie dać sobie spokoju z losami, kiedy niespodziewanie na jej oczach rozegrała się scena nie z tego świata.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, co zobaczyła. To było przecież niemożliwe. Tangen to zabita dziura na końcu świata, takie rzeczy po prostu się tu nie zdarzały. Po przeciwnej stronie ulicy stał nieduży dom. Karianne nie miała pojęcia, kto w nim mieszka, sądziła nawet, że stoi pusty. Nigdy nie widziała, żeby ktoś do niego wchodził albo z niego wychodził. Ale teraz jego drzwi były szeroko otwarte, a po schodach zbiegała mała dziewczynka. Miała na sobie dziwaczną sukienkę i głośno krzyczała. Karianne Kolstad rozpoznała ją natychmiast. Widziała ją w gazetach. Mieli jej zdjęcie na swojej stronie na Facebooku. To była dziewczynka numer pięć. Marion Munch.

Karianne stała jak wryta z szeroko otwartymi ustami. Dziewczynka zbiegła ze schodów i jak długa wyłożyła się na zwirze. Za nią wybiegła jakaś kobieta. Marion się poderwała, rozejrzała, krzyknęła i znów zaczęła biec. Kobieta za nią była znacznie szybsza, dogoniła ją w kilku krokach. Zakryła Marion usta dłonią, wciągnęła ją do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Potem wszystko ucichło.

Karianne Kolstad była w szoku. Pieniądze, bloczek z losami i telefon wypadły jej na drogę.

Schyliła się, podniosła telefon i trzęsącymi się palcami wybrała 112.

Lukas odłożył pistolet na ziemię i włożył klucz do kłódki. Było chłodno, czuł na szyi powiew zimnego wieczornego powietrza. Otworzył kłódkę, uniósł ciężką drewnianą pokrywę i zaświecił latarką w głąb ciemnego szybu. Snop światła ślizgał się po drabinie i zatrzymał się na betonowej posadzce kilka metrów niżej. Lukas wsunął pistolet za pasek spodni i zaczął schodzić. Kiedy znalazł się na dole, chłopak i Rakel stali otuleni kocem. Zaświecił na nich, ale opuścił latarkę, widząc, że zasłonili oczy dłońmi, oślepieni silnym światłem.

– Jam jest Jezus – powiedział najłagodniej, jak potrafił. – Nie trwóście się, nie zrobię wam krzywdy.

Chwilę świecił po pomieszczeniu, aż znalazł to, czego szukał. Kanister stojący pod regałem pełnym kartonowych pudeł. Chłopak i Rakel, trzęsąc się, podeszli do niego.

– Możemy już iść? – zapytał niepewnie chłopak.

– Tak, możecie – odparł Lukas. – Idźcie z Bogiem. Brama jest otwarta.

Mijając go, chłopak przez chwilę spojrzał mu w oczy.

– Dziękuję – powiedział chłopak i ostrożnie położył mu dłoń na ramieniu.

– Jam jest Jezus – powtórzył Lukas, uśmiechając się, i latarką oświetlił im drabinę.

Odczekał, aż oboje znajdą się na górze, a potem znów poświecił na regały i odszukał kanister. Był ciężki, ale jakoś udało mu się wnieść go po drabinie na górę. Zamknął pokrywę, wyprostował się i przez chwilę wpatrywał się w gwiazdy. Rzadko widywał coś równie pięknego. Całe niebo migotało nadzieją i radością. Uśmiechnął się błogo i ruszył przez podwórze.

Pastor stał przed ołtarzem przy tylnej ścianie świątyni, zwrócony do niego plecami. Odwrócił się, usłyszawszy kroki Lukasa w wejściu.

– Jak poszło? – Pastor uśmiechnął się i z wyciągniętymi ramionami ruszył w kierunku Lukasa.

Stał jak wryty pośrodku kościoła, kiedy zobaczył, co Lukas trzymał w dłoni. Lukas wyciągnął pistolet zza paska i celował wprost w pierś pastora.

– Lukasiu? Co to ma znaczyć?

– Ratuję cię. – Lukas uśmiechnął się i zaczął wolno iść w kierunku siwowłosego mężczyzny.

– Jak mam to rozumieć, mój synu? – spytał pastor, zaciskając zęby. – Podejdz do mnie, synu. Oddaj mi broń. Nie wiesz, co czynisz.

Wyciągnął ramiona w kierunku blondwłosego chłopaka.

– Ciii – powiedział Lukas. Jego oczy się iskrzyły. – Nie czujesz?

– Czego? – wydusił z siebie pastor.

– Że wstał w ciebie diabeł?

– Teraz pleciesz głupstwa, mój synu – powiedział nerwowo siwowłosy mężczyzna.

– Nie – odpowiedział Lukas z powagą. – Diabeł znalazł w tobie schronienie, ale jeszcze nie jest za późno. Zostałem posłany na ziemię, aby cię ocalić. To moje przeznaczenie.

– Do diabła, Lukasiu – wyjąkał pastor.

– Słyszysz? – Lukas pokiwał głową. – Diabeł zawładnął twoim sercem. Przemawia przez twoje usta. Czegoś takiego nie robimy naszym dzieciom. Nie robimy czegoś takiego ludziom. Pomagamy im, a nie krzywdzimy. Nie taka jest wola Boża. To nie twoja wina. Diabeł cię zwiódł. Namówił cię, byś zaprosił go do swojego serca. Zawładnął twoją duszą. Sprawił, że zapragnąłeś czynić innym zło. Wszystko będzie dobrze, ojczu. Wyruszymy jeszcze dziś. Nie ma na co czekać. Dziś wyruszymy razem do nieba.

– Oddaj mi pistolet, ty pieprzony... – krzyknął pastor w panice, ale było już za późno.

Lukas pociągnął za spust. Posłał siwowłosemu mężczyźnie dwie kule prosto w pierś i upuścił broń na ziemię. Siła strzału odrzuciła pastora do tyłu. Upadł i rżąc, leżał przed Lukaszem. Lukas odkręcił kanister i zaczął polewać ściany jego zawartością. Nie śpieszyło mu się. We wnętrzu małego kościoła rozniósł się zapach benzyny. Pastor Simon leżał na posadzce z półotwartymi ustami i przerażonym wzrokiem patrzył na Lukasa, przyciskając rozpaczliwie sztywniejące dłonie do piersi. Jakież to piękne, pomyślał Lukas, patrząc na strumyki świeżej krwi na dopiero co wypolerowanej posadzce. Opróżnił kanister przed ołtarzem i podszedł do pastora, który teraz trzymał się za gardło i próbował coś powiedzieć. Z jego ust wydobywało się jednak tylko charczenie.

– Nie obawiaj się – powiedział Lukas i pogładził siwe włosy pastora.

Wstał i z kieszeni spodni wyjął zapalniczkę. Sprawdził, czy działa. Przez chwilę przyglądał się małemu płomykowi tańczącemu przed jego oczami. Potem poszedł do jednego z narożników. Benzyna zapaliła się błyskawicznie. Przeszedł na drugą stronę. Schylił się, przyłożył zapalniczkę do posadzki i podpalił. Po chwili całe wnętrze kościoła wypełniło się oślepiającym światłem. Wyrzucił zapalniczkę, wrócił do pastora, uklęknął przy nim i wziął go za rękę. Cały kościół stał już w płomieniach. Zasłony, ściany, posadzka, ołtarz. Lukas się uśmiechnął i zaczął nucić. Troskliwie głaskał pastora po siwych włosach.

– Widzisz diabła? Teraz cię opuszcza. Czy to nie piękne?

Pastor patrzył na niego przerażony. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Krew strumieniami lała się z ran na jego piersi.

Płomienie sięgały już sufitu. Były wszędzie.

– Zobaczmy się w domu, ojczu. – Lukas się uśmiechnął.

A potem zamknął oczy.

Holger Munch skradał się do niedużego domu z uczuciem, że coś się tu nie zgadza. Okna były szczelnie zabite deskami, a w dachu ziała wielka dziura. Budynek wyglądał tak, jak gdyby od lat nikt w nim nie mieszkał i jakby w każdej chwili mógł się zawalić. Czy to możliwe, że Karen ukryła się właśnie tu? Im byli bliżej, tym bardziej miał wrażenie, że coś jest nie tak.

– Wszystkie Deltę, tu dziewiątka – szepnął do interkomu. W tym momencie poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni. – Mamy coś?

– Negatyw – usłyszał cichą odpowiedź w słuchawce w uchu.

Widział, jak stojący kilka metrów od niego Curry przestępuje z nogi na nogę z pistoletem w uniesionej ręce. Kolega wzruszył ramionami i spojrzał na niego.

Na co czekamy?

W tym domu z pewnością nikt nie mieszkał. Czy kazała zbudować pod nim kryjówkę? Niewielkie pomieszczenie, które widzieli na filmie z laptopa Sarah Kiese? Wnioskując z tego, co zobaczyli na filmiku, pomieszczenie było bardzo małe. Wprawdzie mogło ich być kilka, obok siebie, ale...

Gorączkowo próbował podjąć jakąś decyzję. Nie mieli ani chwili do stracenia. Ona miała Marion. Miała Mię. Musieli coś zrobić. Być może było już za późno.

Już za późno.

Nawet nie próbował myśleć o konsekwencjach, gdyby miało okazać się to prawdą. Konsekwencjach dla Miriam. Dla Marion. Dla nich wszystkich. Dla jednostki. A wreszcie dla niego samego.

– Dziewiątka, tu Delta jeden – usłyszał w słuchawce cichy głos. – Stan gotowości, czekamy na sygnał do wejścia, odbiór.

Curry znów wzruszył ramionami. Niecierpliwił się. Wydawał się gotowy na wszystko. Nawet jeśli Munch nie wyda za chwilę rozkazu, i tak w pojedynkę zaatakuje ten budynek.

Munch przyklęknął w trawie, zaledwie kilka metrów od domu, próbując raz jeszcze zrobić przegląd sytuacji. Ponownie poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni.

Nie, to niemożliwe. Przeczucie mówiło mu, że to niemożliwe. Zbudować pojedyncze, odseparowane podziemne pomieszczenie – to jeszcze rozumiał. Ale cały kompleks mieszkalny? Po co, u diabła, ktoś miałby to robić? Przecież o wiele łatwiej byłoby przebudować piwnicę w domu, który nie zawali się za chwilę.

– Dziewiątka? – rozległo się w interkomie.

Nie tylko Curry się niecierpliwił. Cały zespół stał już w blokach startowych.

Telefon w kieszeni nogawki spodni wibrował bez przerwy niczym rozjuszona osa. Co, do diabła?

Wyciągnął go i rzucił okiem na ekran, drugą dłonią próbując zasłonić światło padające z wyświetlacza.

Dwa nieodebrane połączenia i wiadomość od Ludviga Grønliego. Wiadomość, która wyświetliła się teraz na ekranie telefonu.

Niewłaściwa lokalizacja!!! Świadek widział Marion. Zadzwoń!!!

– Wszystkie Delty, wszystkie Delty, tu dziewiątka – powiedział zdecydowanym tonem do interkomu. – Mamy nową lokalizację. Wycofujemy się, czekajcie na nowe rozkazy. Powtarzam: nie wchodzić, mamy nową lokalizację. Wycofać się i czekać na nowe rozkazy.

Wstał, pobiegł do samochodu i wybrał numer Ludviga Grønliego.

Emilie Isaksen jechała wąską zwirową drogą w górę lasu. Długo rozważała wszystkie za i przeciw. Obiecała przecież Torbenowi pizzę, ale malec był najwyraźniej równie usatysfakcjonowany czekoladą i bananem, które miała w torebce. Nie wiedziała dokładnie dlaczego, ale miała przeczucie, że czas nagli. Tobias. Od tygodnia nikt go nie widział. Zamierzał wybrać się do leśnego gospodarstwa zamieszkanego przez coś w rodzaju sekty, tak przynajmniej twierdził Torben. Nie chciała nawet myśleć, że gdzieś tam teraz jest i potrzebuje pomocy. Musiała coś zrobić, nawet gdyby jej wysiłek miał okazać się daremny. Nie wiedziała nawet, gdzie znajdowało się to miejsce. Opieszala reakcja policji rozwścieczyła ją jednak do tego stopnia, że postanowiła działać na własną rękę. Torben siedział obok niej z czekoladą w kąciku ust i się uśmiechał. Wyglądał na zadowolonego.

Czegoś takiego jeszcze w swoim życiu nie doświadczyła. Ci chłopcy potrzebowali nowego domu, i to za wszelką cenę. Nie wolno w ten sposób traktować dzieci. Emilie Isaksen była tak wściekła, że miała ochotę huknąć pięścią w kierownicę, powstrzymała się jednak ze względu na Torbena. Mimo to wahała się, czy podjęła właściwą decyzję. Zrobiło się ciemno. Droga była wyboista i oświetlały ją tylko reflektory jej samochodu. Dookoła rósł gęsty las. Gdyby zniecka z zarośli wyskoczył łoś, nie miałyby szans zahamować w porę. Jechała więc wolno. Samochód piał się wąską zwirową drogą. Nie dość, że widoczność była i tak kiepska, to na dodatek na przedniej szybie pojawiły się kropelki deszczu. Urząd Ochrony Praw Dziecka. Nie orientowała się zbyt dobrze, jak funkcjonował. Z pewnością istniały jakieś procedury. Należało napisać jakieś pisma, wezwać rodziców, dać im czas na złożenie wyjaśnień. Szykowała się długa batalia na dokumenty, być może rozprawa sądowa. Odebranie dzieci rodzicom nie było taką prostą sprawą, i nic w tym dziwnego. Ale w tym przypadku? Kiedy w żaden sposób nie można nawet skontaktować się z rodzicami?

W Urzędzie Ochrony Praw Dziecka pracowała jej znajoma, Agnete. Poznały się na aerobiku, kilka razy wybrały się razem na kawę. Emilie postanowiła do niej zadzwonić, jak tylko będą mieli za sobą tę straszną zwirową drogę. Agnete z pewnością będzie wiedzieć, co zrobić w tej sytuacji.

Padało coraz mocniej i przez szybę trudno było cokolwiek zobaczyć. Nie miała pojęcia, jak daleko ujechali. Dalsza jazda była nierozsądna. Bądź co bądź miała w samochodzie małego chłopca. Lepiej będzie zawrócić. Niech poszukiwaniem Tobiasa zajmie się policja, a ona w tym czasie zatroszczy się o Torbena. Trzeba go nakarmić i położyć do ciepłego łóżka. Skontaktować się z Urzędem Ochrony Praw Dziecka. Uruchomić proces, dzięki któremu ci chłopcy trafią być może do dobrej rodziny zastępczej. Z odpowiedzialnymi i godnymi zaufania dorosłymi, którzy ich polubią i którzy będą o nich dbać. Tak jak powinno się dbać o dzieci.

Zaczęła właśnie wypatrywać odpowiedniego miejsca, by zawrócić, kiedy nagle

pośrodku drogi pojawiły się dwie postacie. Stały, trzymając się za ręce, oślepione reflektorami.

Tobias.

Emilie Isaksen poczuła, że serce podskoczyło jej do gardła, gdy zobaczyła, że dwoje młodych wędrowców, przestraszonych spotkaniem z oślepiającymi reflektorami, w panice uskoczyło z drogi i schowało się w lesie.

Zahamowała gwałtownie, zaciągnęła hamulec ręczny i pozostawiwszy włączony silnik, wyskoczyła w deszcz.

– Tobias!

Odpowiedziała jej cisza. Tylko ciężki odgłos kropel deszczu padających na żwirową drogę i dudniących złowieszczo w maskę samochodu.

– Tobias! – krzyknęła znowu. Woda spływała jej po twarzy. – To ja, Emilie. Nie bój się! Możesz wyjść. Przyjechałam, żeby cię stąd zabrać. Tobias? Jesteś tam?

Mijały sekundy, które Emilie wydały się wiecznością. Niespodziewanie, całkiem blisko niej, poruszyły się gałęzie i spomiędzy zarośli wyłoniły się dwie zaskoczone twarze.

– Emilie? – spytał Tobias, jak gdyby nie dowierzając.

– Tak, to ja – powiedziała, śmiejąc się. – Wszystko z tobą w porządku? Jesteś cały?

Piękny chłopiec wyglądał na wyczerpanego i kompletnie zdezorientowanego, ale w każdym razie żył.

Dzięki Bogu. Całe szczęście.

– To Rakeł – powiedział ostrożnie, wskazując na dziewczynkę, która kryła się za jego plecami.

Dziewczynka w ciężkiej wełnianej szarej sukience i białym czepku na głowie, która wyglądała, jak gdyby przeniosła się w czasie, stała, trzęsąc się, za Tobiasem i nie miała odwagi się pokazać.

– Potrzebuje pomocy – powiedział Tobias.

Emilie dopiero teraz zobaczyła, jak bardzo był wyczerpany. Miał nieprzytomny wzrok i z trudnością trzymał się na nogach.

– Wsiadajcie! – Emilie otworzyła tylne drzwi.

– Tobias! – wykrzyknął Torben, widząc, że jego brat wsiada do samochodu.

Malec w mgnieniu oka odpiął pas i błyskawicznie znalazł się na tylnym siedzeniu. Bracia zaczęli się ściskać.

Boże jedyny, przez co ci chłopcy musieli przejść?

Emilie wsiadła za kierownicę i po chwili znalazła odpowiednie miejsce, by zawrócić.

– Wszystko z wami w porządku? – spytała, kiedy ujechali już kawałek drogi.

Podchwyciła w lusterku spojrzenie Tobiasa. Chłopiec wciąż wyglądał na zdezorientowanego, ale powoli zaczynało do niego docierać, że są bezpieczni.

– W porządku – odpowiedział drżącym głosem. – Pomożesz nam?

Spojrzał na Emilie w lusterku.

– Oczywiście. – Emilie skinęła głową. – Wszystko będzie dobrze, Tobias, obiecuję ci to.

Emilie Isaksen jechała wąską żwirową drogą najszybciej jak tylko mogła.



Po raz drugi w ciągu niecałej godziny Holger Munch siedział w samochodzie i z noktowizorem w dłoniach obserwował cel. Zespół Delta był gotowy do akcji. Tym razem o pomyłce nie mogło być mowy. Dziewczyna widziała Marion. Wybiegła z tego domu, a po chwili została wciągnięta z powrotem do środka. Przez Karen Nylund. Dziewczyna dobrze znała okolicę i wiedziała, o czym mówi. Nie było żadnych wątpliwości. I gdy jeszcze nie tak dawno, pod tamtym zrujnowanym budynkiem, wszystko wydawało się nie tak, tu wszystko się zgadzało. Stary dom z czerwonej cegły, trochę zaniedbany, ale jak najbardziej nadający się do zamieszkania. Światło padające z okien było przytłumione, jak gdyby szyby były oklejone folią chroniącą przed wścibskimi spojrzzeniami. Z ceglanego komina unosiła się wąska smużka dymu. Na pierwszy rzut oka sielski domek na prowincji. Ale wszyscy, którzy czekali teraz w gotowości, wiedzieli, że w środku sytuacja wygląda zupełnie inaczej. W środku była Karen Nylund. Morderczyni czterech sześciolletnich dziewczynek. Ta, która zniszczyła życie niewinnych rodziców, dziadków, rodzeństwa, koleżanek i sąsiadów, która przysporzyła im niewyobrażalnych cierpień. Zwiodła go. Pozwoliła mu uwierzyć, że może liczyć z jej strony na uczucie. Czuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Czoło miał gorące, dłonie mokre od potu, starał się jednak zachować spokój. Był zawodowcem. Nie wolno mu działać pod wpływem emocji. Tamta miała Marion. Marion żyła. W każdym razie żyła jeszcze przed niecałą godziną. Holger Munch bał się nawet pomyśleć, czy była tam też Mia i co mogło się z nią stać.

Musiał działać szybko, ale nie pochopnie. Należało ocenić sytuację. Rozmieścić wszystkie zespoły na pozycjach. Munch spojrział w dół drogi, gdzie przed chwilą zajechały trzy karetki pogotowia. Z wyłączonymi światłami, aby nie zwracać na siebie uwagi. Curry siedział niecierpliwie na tylnym siedzeniu i uderzał pistoletem o udo. Kim Kolsø, jak zwykle opanowany i nieruchomy jak słup soli, siedział obok Muncha i wpatrywał się w drzwi, które wkrótce będą szturmować.

- Delta jeden, tu dziewiątka, odbiór.
- Dziewiątka, tu Delta jeden, jesteśmy na pozycjach, odbiór.
- Delta dwa, tu dziewiątka, odbiór.
- Dziewiątka, tu Delta dwa. Potrzebujemy jeszcze kilku minut, odbiór.
- Delta dwa, tu dziewiątka, zrozumiałem. Czekamy.
- Co tam się, do diabła, dzieje? – spytał zniecierpliwiony Curry z tylnego siedzenia.
- Czekamy – odpowiedział szorstko Munch.
- Ale na co? W środku jest Mia, do cholery.

Ogolony na łyso policjant z trudem zachowywał spokój. Palcami niczym pałeczkami werbla przebierał gorączkowo po udzie. Oczy zwęziły mu się w szparki.

– Czekamy, aż Delta dwa zajmie pozycje – oznajmił Munch, najspokojniej jak tylko potrafił.

– Uspokój się, Curry – powiedział Kim z przedniego fotela.

– Pieprzyć to – usłyszeli nagle z tylnego siedzenia.

Wszystko stało się tak szybko, że Munch nawet nie zdążył zareagować. Curry otworzył drzwi i pobiegł w kierunku domu.

Munch wypadł z samochodu, a zaraz za nim Kim. Chciał zawołać Curry'ego, ale bał się, że ostrzeże Karen.

Niech to szlag.

Biegł żwirową ścieżką tak szybko, jak pozwalała mu jego tusza. Minał bramę, przebiegł chodnik i właśnie wskoczył na schody, kiedy Curry chwycił za klamkę i wpadł do środka.

A potem wszystko potoczyło się jak gdyby na zwolnionym filmie. Munch na ułamek sekundy podchwycił zdumione spojrzenie Karen, a zaraz potem rozległ się huk. Goście najwyraźniej zjawili się za wcześnie. Było oczywiste, że się ich nie spodziewała. Zdążyła jeszcze wycelować dubeltówkę w Curry'ego, który rzucił się w bok, gdy rozległ się strzał.

Trafiła go?

Curry, ty pieprzony idioto!

Wciąż jakby na zwolnionym filmie stanęła naprzeciwko niego. Jej dłonie ścisnęły strzelbę tak mocno, że kłykcie jej palców pobielwały. Otworzyła usta, wyglądało na to, że chciała coś powiedzieć, podczas gdy jej palec zaczął zginać się na spuście. W tym momencie film przyspieszył.

Uniósł pistolet i pociągnął dwa razy za spust. Raz. W szyję. Jeszcze raz. Prosto w serce. Siła strzału odrzuciła Karen Nylund do tyłu. Upadła na plecy. Nie było sensu sprawdzać, czy żyje. Krew z ran powoli sączyła jej się na pierś i ramiona.

Dopiero wtedy zobaczył Mię. Była przywiązana do fotela pod ścianą. Taśma klejąca na ustach. Igła wbita w dłoń, rurka zwisająca z czegoś w rodzaju statywu.

O nie.

Niech to szlag. Nie, nie, nie.

Holger Munch stał jak sparaliżowany przed swoją niedającą znaku życia koleżanką i nie widział, jak pozostali członkowie zespołu wbiegali do pomieszczenia. Kim. Zespół Delta. Lekarz. Sanitariusze. Stał, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa, i patrzył, jak ludzie, którzy wydawali się być całe mile od niego, odwiązują Mię od fotela i niosą ją do karetki. Nie zauważył, jak Curry podniósł się z podłogi, i trzymając się za ramię, chwiejnym krokiem zszedł po schodach, podpierany przez jednego z kolegów. Holger Munch oprzytomniał dopiero wtedy, kiedy w drzwiach ukazał się Kim z małą rozdygotaną istotką w ramionach.

Marion.

Żyje.

W złym stanie, ale oddycha.

– Karetkę – zawołał Holger Munch i pomógł koledze znieść dziewczynkę po schodach.

– Lekarza! Potrzebujemy tu lekarza! – krzyknął Munch.

Tym razem nie było potrzeby zachowywania ciszy. W akompaniamencie migających świateł i wyjących syren hałaśliwa kolumna wyjechała z gospodarstwa i pomknęła przez mrok w kierunku szosy E6.

# CZEŚĆ VII

Poczekalnia oddziału intensywnej terapii szpitala Ullevål pękała w szwach. Pielęgniarka kilkakrotnie wychodziła i uprzejmie prosiła ich, żeby poczekali gdzie indziej, ale Munch zbywał ją tylko machnięciem ręki.

W pomieszczeniu panował nastrój przygnębienia. Gabriel Mørk, oderwany od monitora, siedział na krześle ze złożonymi na brzuchu dłońmi i pustym wzrokiem wpatrywał się przed siebie. Anette i Ludvig siedzieli na sofie. Wstali, żeby zrobić miejsce Curry’emu i Kimowi. Cały zespół w jednym niewielkim pomieszczeniu. Poważne twarze, nikt nie mówił zbyt wiele.

Anette dopiero co skończyła rozmowę telefoniczną z Mikkelsonem i wróciła do poczekalni. W drzwiach mrugnęła do Muncha. Ten skinął głową i puścił do niej oko w odpowiedzi. Po chwili nastrój powagi wrócił.

Curry przechadzał się tam i z powrotem.

– Do diabła – powiedział, unosząc rękę. – Przecież muszą nam coś powiedzieć!

– Usiądź – powiedziała Anette. – Powiedzą nam dopiero wtedy, kiedy sami będą coś wiedzieć. Tak to jest.

– Cholera by to... – Curry westchnął i ponownie zaczął przemierzać błękitne linoleum.

– Ktoś chce kawy? – Ludvig uniósł się z sofy.

Doświadczony policjant miał poważny wyraz twarzy i był przygnębiony całą sytuacją równie mocno jak pozostali. Uniosło się kilka rąk. Ludvig skinął głową i zniknął w głębi korytarza.

W drzwiach pojawiła się Miriam. Munch podszedł do niej i uściskał ją mocno.

– Jak się czujesz?

Jego córka kiwnęła głową i ścisnęła go za rękę.

– W porządku. Naprawdę dobrze.

Zobaczyła Kima siedzącego na sofie. Podbiegła do niego i objęła go za szyję.

– Dziękuję.

Otarła dłonią łzę z policzka.

– Nie ma o czym mówić – powiedział Kim. – Wykonywałem tylko swoją robotę.

– Owszem, jest. Dziękuję. Naprawdę dziękuję. – Miriam raz jeszcze zarzuciła mu rękę na szyję. Potem podbiegła do Curry’ego i zrobiła to samo.

Curry sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego zainteresowaniem, które wzbudzał. Skinął głową Miriam i odwzajemnił uścisk.

– Jak ona się czuje? – spytał Munch, podchodząc do córki.

– Już wszystko w porządku – powiedziała Miriam, ocierając kolejną łzę z policzka. – Jest teraz u Johannesesa. Wyczerpana, ale zdumiewająco aktywna. Pyta o dziadka.

Munch się uśmiechnął.

– Coś nowego na temat Mii? – zapytała Miriam, poważniejąc.

– Nie – odparł Munch.

Na korytarz wyszła pielęgniarka. W dłoni trzymała jakieś papiery.

– Jon Larsen? – spytała i powiodła wzrokiem po zebranych.

– Curry – powiedziała Anette.

– Co? – spytał Curry.

– Ona pyta o ciebie – powiedziała Anette, wskazując na pielęgniarkę.

Curry się odwrócił.

– Jon Larsen? – spytała kobieta ponownie, spoglądając w papiery.

– To ja – powiedział Curry, unosząc rękę.

Drugą miał przyciśniętą do brzucha.

– Zerkniemy?

– Nie, nie ma potrzeby. – Curry machnął lekceważąco zdrową ręką.

Munch spojrział karcąco na kolegę, ale ten wciąż nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy. Curry niemal zawałił całą akcję. Swoją brawurą naraził życie ich wszystkich. Ale na razie to musiało poczekać. Na reprimendę przyjdzie pora później.

Munch spojrział na drzwi oddziału intensywnej terapii, ale nic nie było przez nie widać.

– Myślę, że mimo wszystko zerkniemy. – Pielęgniarka uśmiechnęła się do Curry'ego.

Curry westchnął i niechętnie ruszył za nią korytarzem.

– Informujcie mnie na bieżąco – zawołał, machając zamasyżycie zdrową ręką.

– Dziś wieczorem briefing podsumowujący? – spytała Anette, spoglądając na Muncha.

– Nie, jeszcze poczekajmy – powiedział Munch i przeciągnął dłonią po brodzie. W tym momencie otworzyły się drzwi i wyszedł z nich lekarz.

– Krewni Mii Krüger?

Uniosły się wszystkie ręce.

– Co z nią? – spytał Munch, podchodząc do lekarza.

– Było o włos. Ale się udało.

W poczekalni dało się odczuć ulgę. Gabriel zerwał się z krzesła i uściskał Anette. Kim uśmiechał się od ucha do ucha.

– Możemy do niej pójść? – spytał Munch.

– Jest jeszcze bardzo słaba – powiedział lekarz. – Ale na j e d n e odwiedziny mogą się zgodzić. Tylko nie za długo.

– Idę – powiedział Munch.

Zdjął swój gruby wełniany płaszcz, podał go Miriam i ruszył za lekarzem na oddział.

Gdy weszli, Mia leżała z zamkniętymi oczami.

– Nie za długo – powtórzył stanowczym głosem lekarz i wyszedł.

Munch podszedł do łóżka i położył dłoń na dłoni Mii. Wolno otworzyła oczy. Uśmiechnęła się, kiedy go zobaczyła.

– Palileś? – spytała cicho.

– Już od dawna nie – odpowiedział, też z uśmiechem.

– Wyjdzie ci to na zdrowie – powiedziała i znów zamknęła oczy.

Munch delikatnie ścisnął jej dłoń.

– Dopadliśmy ją? – spytała Mia cicho.

– Dopadliśmy – powiedział Munch.

– A Marion?

– Czuje się już dobrze.

Mia otworzyła oczy i uśmiechnęła się blado.

– Tak?

– Tak. – Munch kiwnął głową.

Poczuł, jak Mia w jednej chwili się uspokaja. Kobięca dłoń w jego dłoni zwiotczała, a głowa policjantki opadła głębiej w poduszkę.

– Odwiedzisz mnie? – spytała ostrożnie.

– Na Hitrze?

Wolno skinęła głową.

– Może podczas urlopu – powiedział Munch. – Ale myślę, że powinnaś zostać tutaj. Ktoś musi dotrzymywać mi towarzystwa.

– W porządku – wymamrotała Mia i zamknęła oczy.

Lekarz zajrzał do pokoju i wymownie wskazał na nadgarstek. Munch pokiwał głową.

Gdy odwrócił się do Mii, już spała.

---

<sup>1</sup> „Føling i fjæra” – kameralny festiwal, organizowany w latach 2004–2007 na plaży Hankø niedaleko Fredrikstad. Jego pomysłodawcami byli pisarz Ari Behn oraz reżyser i aktor Harald Zwart (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> Government Communications Headquarters – jedna z brytyjskich służb specjalnych, zajmuje się wywiadem elektronicznym.

<sup>3</sup> W Norwegii szef wiejskiego dystryktu policyjnego.

<sup>4</sup> Kto tu? Nie, pierwszej ty sam mi odpowiedz; Stój, wymień hasło! „Niech Bóg chroni króla” (tłum. Józef Paszkowski).

<sup>5</sup> Toppen Bech – ur. 1939, norweska dziennikarka, pisarka, redaktorka, gospodyni programów telewizyjnych.

<sup>6</sup> W swoim kazaniu pastor niemal dosłownie przytacza całe fragmenty książki amerykańskiej kaznodziei Mary Kathryn Baxter Boskie objawienie piekła – czas dobiega końca.

<sup>7</sup> Spektakl dla dzieci oparty na powieści Thorbjørna Egnera o tym samym tytule.

<sup>8</sup> Czasopismo popularnonaukowe ukazujące się w kilku krajach Europy i w USA.

# Spis treści

## Część I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

## Część II

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

32

## Część III

33

34



[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

#### [Część IV](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

#### [Część V](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[75](#)

Część VI

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

Część VII

89

Przypisy